

Fred Mustard  
**STEWART**

DC

**Tytan**  
*...w jednym życiu tak wiele...*



# Stewart Fred Mustard

## Tytan

*Fascynująca historia życia niezwykłego człowieka - uparcie dążącego do celu biznesmena, który jednocześnie dla idei zdobywa się na heroiczne wyczyny; producenta broni, który jest pacyfistą; kochającego ojca, który omal nie niszczy własnego syna.*

*Nick Fleming, urodzony w Ameryce nieślubny syn pół-Rosjanki, pół-Żydówki, po aresztowaniu matki pod zarzutem prostytutki, jako kilkunastoletni chłopak, postanawia wziąć życie w swoje ręce... a potem wszystko toczy się samo, a właściwie pędzi w zawrotnym tempie. A w tej wędrówce w górę nie omijają Nicka żadne z istotnych wydarzeń XX wieku - jest zakładnikiem komunistów w Rosji w czasie rewolucji, ma swój udział w rozwoju hollywoodzkiej "Fabryki snów", poznaje Churchilla i uczestników zamachu na Hitlera, przechodzi przez obóz koncentracyjny, pertraktuje z Johnem Kennedym. I gdzież w tak wypełnionym życiu jest miejsce na kobiety? A jednak... Jest żona Nica - aktorka filmu niemego - jest gwiazda berlińskiego kabaretu, jest i zmysłowa Francuzka, wszystkie piękne i powabne, a jednak przede wszystkim jest pierwsza miłość Nica, zdradzona kobieta, niemal tak silna jak on i chyba jeszcze bardziej konsekwentna w dążeniu do celu!*

## Prolog

### ŚMIERĆ TYTANA

1963

Zabójca stał na tunezyjskiej plaży i patrzył przez lornetkę na największy prywatny jacht na świecie.

Właściciel jachtu, legendarny, jak często nazywała go prasa, Nick Fleming, przebywał w luksusowej kabinie. Była dopiero siódma trzydzieści rano, ale na pokładzie smukłego, liczącego sześćdziesiąt trzy metry długości *Seaspraya* uwijało się dwóch członków załogi. Jeden zamiatał pokład z tekowego drewna, a drugi polerował części metalowe. Zabójca wiedział, że *Seaspraya* zawsze utrzymywano w nieskazitelnej czystości.

Dziwiło go, że płacono mu tyle pieniędzy za zabicie człowieka, który przekroczył już siedemdziesiąt lat - ile w końcu czasu zostało Nickowi Flemingowi? Jednak na szwajcarskim koncie zabójcy zdeponowano dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a przy takiej sumie nie zadaje się zbędnych pytań.

Zabicie Nicka Fleminga nie było łatwym zadaniem. Kiedy przebywał na pokładzie jachtu, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę strzegło go dwóch uzbrojonych strażników. Jak gdyby wyczuwając czyhającą na niego gwałtowną śmierć, Nick Fleming podróżował kuloodpornymi limuzynami lub prywatnym odrzutowcem, a jego pięć rezydencji naszpikowano najnowocześniejszymi systemami alarmowymi. Wielu ludzi na świecie pragnęło śmierci Nicka Fleminga. Ale czyż znaczna część jego miliardowego imperium nie opierała się na zyskach ze śmierci? Pewien żarliwy krytyk Fleminga oszacował - być może z większym jadem niż prawdą - że siedemnaście procent ludzi, którzy zginęli podczas drugiej wojny światowej,

poniosło śmierć od bomb lub kul wyprodukowanych przez Spółkę Zbrojeniową Ramschilda, której Nick Fleming był dyrektorem i głównym udziałowcem. To niemała liczba zgonów.

Przez wiele lat prasa nazywała go Tytanem Śmierci. Z drugiej strony, zabójca wiedział, że wielu ludzi będzie szczerze opłakiwać śmierć Fleminga. Fundacja Fleminga, której majątek oceniano na blisko miliard dolarów, finansowała badania medyczne i naukowe, ofiarowując również miliony dolarów zespołom baletowym i orkiestrom symfonicznym; sceptycy mogli to nazywać praniem pieniędzy, a jednak społeczeństwo odnosiło wielkie korzyści, a wszystko to dzięki bogactwu Nicka Fleminga. Chociaż był tylko w połowie Żydem i bynajmniej nie popierał bezkrytycznie idei syjonistycznej, dawał miliony na szpitale w Izraelu - Żydzi będą go opłakiwać. Domy aukcyjne i handlarze dziełami sztuki będą go opłakiwać - jego kolekcja sztuki współczesnej należała do najwspanialszych na świecie, a wartość czterdziestu dwóch obrazów starych mistrzów, w tym najlepszego znajdującego się w rękach prywatnych Vermeera, oceniano na pięćdziesiąt milionów dolarów. Jednak dostawcy produktów spożywczych i kwiatów nie uronią po nim jednej łzy - kucharz Nicka szkolił się w Le Grand Vefour w Paryżu, a kwiaty na przyjęcia pochodziły z prywatnych szklarni potentata. Będą go za to opłakiwać właściciele luksusowych sklepów w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Hobe Sound i Beverly Hills - królewskie życie Nicka kosztowało niewiarygodną sumę dziesięciu tysięcy dolarów dziennie.

Kobiety, młode i stare, także będą go opłakiwać - przygody miłosne Nicka dostarczyły dziennikarzom z działów kronik towarzyskich wielu tematów do plotek na dziesięciolecie. Zabójcy nigdy nie wynajmowano do mordowania plotek, ale teraz pomyślał z pewną dumą i podnieceniem, że Nick Fleming jest bez wątpienia jego najznakomitszym „klientem”. Zabójca, który ze względów zawodowych interesował się nekrologami, przypuszczał, że „The New York Times” poświęci Nickowi co najmniej dwie strony, a na pogrzebie pojawi się wiceprezydent Stanów Zjednoczonych oraz któryś z nie najmłodszych członków brytyjskiej rodziny królewskiej. To może być szczyt mojej kariery, myślał zabójca. Najpierw jednak musiał zabić Nicka Fleminga. Skierował lornetkę na rufę, gdzie jeden ze strażników czytał na leżaku czasopismo, karabin położywszy niedbale na kolanach. Jeśli plan zabójcy się powiedzie, także dla strażnika miał to być ostatni dzień na tym świecie.

Lornetka sunęła wolno wzdłuż *Seaspraya*; oczy zabójcy rejestrowały i zapamiętywały każdy szczegół wspaniałego jachtu, niemal aroganckiego symbolu monumentalnego bogactwa. Lornetka zatrzymała się na śródokręciu. Na pokład wyszła kobieta. Wysoka, o jasnych włosach i doskonałej, kontrolowanej dietą figurze. Miała na sobie elegancki, jasnoniebieski kostium i kapelusz z szerokim rondem. Trudno było odgadnąć jej wiek, ponieważ twarz, chociaż piękna, miała w sobie coś nienaturalnego, jak po operacji plastycznej; prawdopodobnie jednak kobieta przekroczyła pięćdziesiątkę. Zabójca wiedział, że patrzy na panią Fleming, która opuszcza męża tylko w nadzwyczaj rzadkich wypadkach. Dziś przydarzył się jeden z nich.

Przypłynięcie jachtu Nicka Fleminga do wyspy Dżerba, niedaleko granicy tunezyjsko-libijskiej, wywołało na sennej wysepce niemałe podniecenie, a zabójca miał uszy otwarte. Dzięki hojnemu napiwkowi dowiedział się od hotelowego recepcjonisty, że z powodu bólu zęba pani Fleming w ciągu godziny miała zostać przetransportowana helikopterem z jachtu do Tunisu, a stamtąd prywatnym odrzutowcem do Rzymu, gdzie miała umówioną wizytę u doktora Gianfranco Spady, ulubionego dentysty najbogatszych. Pomyśleć tylko, lecieć do Rzymu do dentysty! - zdumiewał się zabójca. Powinna dziękować opatrności za ten ból zęba.

Podeszła do relingu jachtu i oparła się na nim, napawając się cudownym porankiem. Zabójca wpatrywał się w nią przez lornetkę. Nagle uzmysłowił sobie, że kobieta na niego patrzy. Wyprostowała się, odwróciła i powiedziała coś do jednego z członków załogi, który pospieszył do kajuty. Po chwili wrócił i wręczył pani Fleming skórzany futerał. Wyjęła lornetkę i ustawiła ostrość na zabójcę.

Spokojnie, napomniał siebie, opuszczając lornetkę. Ona mnie nie zna. Czas jednak zbierać się stąd.

Ruszył plażą w stronę hotelu.

Jednak zabójca się mylił. Pani Fleming go znała. W każdym razie dostatecznie długo patrzyła na jego twarz, by wiedzieć, że skądś ją zna. Była pewna, że już gdzieś widziała człowieka z plaży.

Dżerba to wyspa położona u wybrzeży Tunezji, kąpiąca się spokojnie w słońcu południowej części Morza Śródziemnego. W odległości kilkuset kilometrów od Dżerby, w małym pustynnym miasteczku El Dżem. wznosi się drugie co do wielkości koloseum na

świecie. Jego mury i łuki zachowały się dzięki suchemu klimatowi pustyni; Tunezja stanowiła niegdyś część spichlerza imperium rzymskiego. W roku 1881 Francja okupowała ten kraj, spłacając długi skorumpowanych tureckich bejów, i nawet wiele lat po uzyskaniu przez Tunezję niepodległości wszędzie mówiono po francusku. Oliwki, fosfaty i owoce morza zasilają gospodarkę tunezyjską, jednak jej fundamentem była turystyka.

Przedsiębiorczy ludzie mówili już o Dżerbie jako o następnym Costa del Sol.

*Seaspray* zakotwiczył u wybrzeży Dżerby, ponieważ Nick Fleming miał zamiar zainwestować w hotel na tej tunezyjskiej wyspie.

Zbrodnia popłaca - morderstwa przyniosły zabójcy bogactwo. Ubierał się elegancko i zawsze podróżował w najlepszym stylu, nie tylko dlatego, że lubił wygodne życie, ale ponieważ wiedział, że większość ludzi zakłada błędnie, że zabójca nigdy nie będzie nosił koszul firmy Turnbull & Asser ani nie zatrzyma się u Ritza w Paryżu czy w Connaught w Londynie. W świecie oszalałym na punkcie pieniędzy choćby namiastka zamożności budzi szacunek. Bogacze mogą być mordowani, ale sami nigdy nie popełniliby morderstwa.

Dlatego też zabójca zatrzymał się w najlepszym hotelu na wyspie. Urodzony w Dusseldorfie w 1925 roku, w rodzinie kapitana armii niemieckiej, teraz posługiwał się paszportem szwajcarskim, ale do obsługi hotelowej zwracał się po francusku. Występował jako Louis Arneau z Genewy, z branży tekstylnej. Cel wizyty - wypoczynek. Okna jego kopulastego pokoju z prywatnym tarasem wychodziły na plażę, gdzie tego ranka przebiegł dwie mile, dzieląc piasek z beduińskim pasterzem i młodym tunezyjskim rybakiem. Jedzenie w hotelu było dobre, ale nie zszedł na kolację. Zażył valium, nastawił budzik na jedenastą i uciał sobie czterogodzinną drzemkę. Po przebudzeniu rozebrał się do niebieskich spodenek gimnastycznych i przez czterdzieści minut wykonywał ćwiczenia, które opracował dla niego pewien austriacki gimnastyk.

Wziął prysznic, po czym wyjął z walizki z wielbłądziej skóry gumowy pakunek. Wyciągnął zeń i włożył na siebie czarny kombinezon nurka. Płetwy i maskę zaniesie na plażę razem z przyssawkami i wodoszczelną torebką, zawierającą automatyczny Browning kaliber dwadzieścia dwa i tłumik. Podczas zadań na małą odległość, takich jak dzisiejszei nocv. zabójca unikał egzotycznych rodzajów

broni, łatwiejszych do rozpoznania. Zresztą dwudziestka dwójka była optymalną bronią małego zasięgu. Kula wystrzelona w głowę odbijała się wewnątrz czaszki morderczym rykoszetem, szatkując mózg na miazgę. Zabójca wiedział, że o dziesiątej w nocy hotel prawie pustoszeje -na Dżerbie po kolacji nie ma nic innego do roboty niż iść do łóżka i się kochać.

O pierwszej pogasił światła, opuścił pokój, zszedł schodami na pusty, ozdobiony ogrodem dziedziniec, po czym ruszył na plażę. Pustynna noc pierwszych dni marca była chłodna, ale bezwietrzna; drobne śródziemnomorskie falki leniwie głaskały piasek. Chmury zakryły księżyc w kształcie kawałka melona; kilka lamp hotelowych i odległe światła pozycyjne jachtów były jedynym źródłem oświetlenia.

Zabójca włożył płetwy, poprawił maskę i wszedł do wody. Kiedy sięgała mu do bioder, popłynął do oddalonego o pięćdziesiąt metrów *Seaspraya*.

Wcześniej tego wieczoru w salonie stary człowiek grzebał apatycznie w sałatce. Nick Fleming nigdy nie zabijał czasu, wiedział dobrze, że to czas zabija jego. Jednak nie miał tego śmierci za złe. Siedemdziesiąt pięć lat na tej planecie to więcej niż dość; wyczekiwał śmierci, pragnąc zaspokoić ostatnią ciekawość. Gdyby miała się okazać zapomnieniem, ku czemu skłaniał się w domysłach, przyniosłaby mu najwyższą przyjemność. Jeżeli ortodoksyjne religie miały rację i po śmierci przychodzi czas spłacania rachunków... cóż, jego przypadek bez wątpienia należy do interesujących.

Irytowało go natomiast własne ciało, które zawiodło go, nim jeszcze umarł. Nadal znajdował radość w seksie, ale po niedawnym lekkim zawale lekarze poradzili mu, by „uważał”, co odarło łóżkowe rozkosze ze znacznej części przyjemności. Seks nie był zbyt zabawny, jeśli się miało świadomość, że może zabić, a szkoda, bo Nick kochał trzecią żonę równie mocno, jak pierwszą. Nick zawsze kochał tak żarliwie, jak żył.

O jedenastej położył się do podwójnego łóżka w luksusowej kabinie. Czytał przez chwilę, potem zgasił światło i próbował zasnąć. Tęsknił za żoną. Powędrował myślami do początków ich romansu, wsoominał życie - o ileż boeatsze w emocje i niebezoieczeństwa niż

życie przeciętnego człowieka. Broni i amunicji, które produkował, zawdzięczał bogactwo i potęgę, które stawiały go często w centrum kluczowych wydarzeń dwudziestego wieku. Dwie wojny światowe, Korea, a teraz ta monumentalna wpadka, Wietnam... w każdej z tych wojen odgrywał coraz ważniejszą rolę, znał wielu przywódców, znajdował się na scenie wielu historycznych wydarzeń tego wieku.

Wspomnienia z długiego życia zaczynały się zacierać, mieszając się w postarzałym umyśle jak składniki esencjonalnego gulaszu zwanego Czasem.

Jednak na dnie rondla tkwiło jedno wspomnienie silniejsze niż wszystkie pozostałe: ów zimny, listopadowy poranek na przełomie wieku, kiedy matka zabrała go do ponurej posiadłości w Pensylwanii, do tego mrocznego domu, który krył tajemnicę jego istnienia.

To wspomnienie nigdy się nie zatrze.

Wstatnie dziesięć metrów zabójca przepłynął pod wodą, a potem bezgłośnie wychynął pod rufą *Seaspraya*. Przeklął swego pecha; chmury odsłoniły półksiężyc, którego blady blask teraz go oświetlał. Ale wokół panowała cisza, a nawis rufy krył zabójcę przed niepożądanym wzrokiem.

Z pakunku za pasem wyjął cztery przyssawki, z których dwie przymocował do kolan, a dwie do rak, po czym przylgnął do białej rufy jachtu. Zaczął się wspinać powoli, bezszelestnie jak mucha. Kiedy jego głowa znalazła się na poziomie głównego pokładu, wychylił się przez tekowe obramowanie i rozejrzał po jachcie.

Jeden z uzbrojonych greckich strażników stał przy basenie, paląc papierosa.

Zabójca chwycił się lewą ręką podpory pokładowej i wyjął dwudziestkę dwójkę z wodoszczelnej torby. Wycelował w lewe oko strażnika. Tłumik wydał cichy odgłos i strażnik padł na wznak.

Wspiąwszy się na pokład, zabójca zdjął płetwy, po czym ruszył dalej boso. Z obserwowania pani Fleming wywnioskował, że luksusowa kabina znajduje się dalej z przodu na głównym pokładzie. Otworzył drzwi i wślizgnął się w przejście biegnące w poprzek jachtu, oświetlone słabymi lampkami. Przejście wychodziło na główną mesę.

Zabójca powoli przekreślił klamkę.

Otwarte. Wszedł do ciemnego gabinetu Nicka. Przeszedł dalej, kierując się do siołalni. Lewa ręka cicho otworzyła drzwi, w Drawei



trzymając dwudziestkę dwójkę. W kabinie panował mrok, ale przez iluminatory wpadało dość blasku księżyca, by dostrzec leżącego na łóżku człowieka. Człowieka, który sprawiał wrażenie nieruchomego i kruchego. Dla zabójcy Nick Fleming był tylko kawałkiem mięsa. Podeszedł do łóżka na odległość czterech stóp i powoli uniósł pistolet. Wycelował w głowę śpiącego.

**Część I**  
**WARIACJE ENIGMY**  
**1900-1918**

### ***Rozdział pierwszy***

Piękny dwunastoletni chłopiec miał gęste czarne włosy, duże stalowoniebieskie oczy, ostry nos, wąskie usta i bladą skórę bez skazy, którą różowił jesienny wiatr. Był biedny, w łatanych sztruksowych spodniach, czarnej wełnianej czapce, podartych rękawiczkach i długim czerwonym szaliku robionym na drutach. Był też zmieszany i przestraszony, kiedy matka ciągnęła go po kamiennym chodniku do posiadłości Flemingów.

- Mamo, dlaczego tam idziemy? - spytał Nicholas Thompson po rosyjsku, bo właśnie w tym języku zwracał się do swej rosyjsko-żydowskiej matki, Anny Nielidoff Thompson.

- Zobaczysz - ucieła trzydziestosześcioletnia kobieta, która wyemigrowała z Kijowa piętnaście lat wcześniej, w 1885 roku. Lata małżeństwa z górnikiem walijskiego pochodzenia, a także całe życie spędzone w nędzy zniszczyły niegdyś promienną urodę Anny Thompson. Czarne włosy przedwcześnie posiwiały, a cera - kiedyś równie nieskazitelna jak syna - zaczynała przypominać krepę. Mimo to nawet w zniszczonym płaszczu i słomkowym kapeluszu była kobietą, za którą oglądali się mężczyźni. Teraz, kiedy ciągnęła syna po kamiennych schodach, a w jej oczach płonął gniew i determinacja, mężczyzna, który by się za nią obejrzał, pewnie by uciekł.

- Mamo, boję się!

- Nie ma się czego bać - odparła, stając przed podwójnymi drzwiami z ołowianego szkła, prowadzącymi do największego domu we Flemington w stanie Pensylwania. Pociągnęła za dzwonek. Po niebie koloru ostryg pędziły chmury, a północny wiatr zawodził wokół wieżyczek ceglanej posiadłości, którą zaprojektowano w rozkwicie wiktoriańskiej szpetoty. W ten zimny poranek w listopadzie

roku 1900 wysokie ceglane mury, olbrzymie witrażowe okna na lewo od bramy wjazdowej i mansardowe dachy zwieńczone kutym żelazem symbolizowały w oczach chłopca całą złowrogą potęgę i bogactwo Flemingów, rodziny, od której Flemington wzięło nazwę.

Drzwi otworzyły się, a w progu stanął gniewny, czarny lokaj, który zmierzył matkę Nicka złym spojrzeniem.

- Chcesz urwać ten dzwonek? - warknął. - Nie wiesz, że na górze jest chory człowiek? Czego chcesz?

- Zobaczyć się z chorym człowiekiem - oznajmiła Anna po angielsku z rosyjskim akcentem.

Lokaj spojrzał pogardliwie na ubogo odzianą parę.

- Takie śmiecie mają przeszkadzać kapitanowi Flemingowi? O, nie! Wynocha!

Zaczął zamykać drzwi, ale ku zdumieniu Murzyna Anna przepchnęła się obok niego do dużego hallu.

- Hola, co robisz? Nie możesz tam wejść! Zaczekaj no!

Ale Anna, ciągnąc syna za sobą, była już w połowie bogato rzeźbionych drewnianych schodów. Zdumiony lokaj zamknął drzwi i ruszył za nią.

- Wezwę policję! - zagroził. - Przysięgam!

Anna dotarła na półpiętro, gdzie wisiał oprawiony w złotą ramę portret kapitana Vincenta Carlisle'a Fleminga w wymiarach jeden do jednego. Obraz, namalowany przed dziesięcioma laty, kiedy pan domu i dyrektor Spółki Węglowej Fleminga miał pięćdziesiąt lat, przedstawiał wysokiego, bardzo przystojnego mężczyznę o kasztanowych włosach i gęstej brodzie, odzianego w stylowy szary surdut i lśniące buty. Lewą pięść oparł władczym gestem na biodrze. Nick Thompson spojrzał na portret, a matka ciągnęła go dalej.

- Kto to jest? - wysapał.

- Twój ojciec - brzmiała ponura odpowiedź. Nick zastanawiał się, czy matka nie zwariowała.

Kiedy dotarli na szczyt schodów, Anna bez wahania skręciła w lewo i ruszyła ciemnym, wyłożonym boazerią korytarzem ku ciężkim drzwiom na końcu. Nick, którego dziecięcy umysł pracował gorączkowo, obejrzał się na spieszącego za nimi sapiącego lokaja.

On nas zabije! - pomyślał po angielsku. Ten czarny nas zabije! O Boże, co tu się dzieje? Mój ojciec? Moim ojciec był Craig Thompson...

Nagle znaleźli się w dużej sypialni i wszystko jakby znieruchomia-

ło. Nick rozejrzał się po pomieszczeniu szeroko otwartymi oczami. Był to pokój z wysokim sufitem i ścianami pełnymi obrazów przedstawiających pasące się krowy i rycin ze scenami historycznymi. Okna zakrywały zasłony z ciemnozielonego atłasu; lampy naftowe rzucały chorobliwy blask na orientalne dywany i ściany obite ciemnowiśniowym jedwabiem. Pod przeciwległą ścianą stało bogato zdobione mosiężne łóżko, w którym, wsparty na dużych puchowych poduszkach, leżał mężczyzna w koszuli nocnej. Nick poznał w nim człowieka z portretu. Jednak cielesna wersja obrazu podzieliła los Doriana Graya. Brązowa broda posiwiiała, twarz zapadła, nabierając trupiego wyglądu, a siła, tak ewidentna na portrecie, ulotniła się z powodu starości i choroby. W sypialni unosił się zapach lekarstw. Starzec patrzył apatycznie na intruzów.

- Mówią, że umierasz - powiedziała Anna napiętym głosem. -Mówią, że twoje serce chore. Cieszę się, że umierasz, ty suczy synu! Mój mąż zginął w twojej śmierdzącej kopalni... mam nadzieję, że skręcasz się z bólu! Ale zanim umrzesz, zobacz swojego syna!

Puściła rękę Nicka i pchnęła go do przodu.

- Podejź do łóżka - rozkazała synowi po rosyjsku. - Niech cię zobaczy.

Nick zawahał się. Uświadomił sobie obecność trzech innych osób w pokoju śmierci: tęgiej pielęgniarki stojącej u wezglowia łóżka, która była zszokowana ich wtargnięciem, starszego mężczyzny w czarnym surducie, wyglądającego na lekarza, oraz wysokiej, eleganckiej kobiety, która stała w nogach łóżka, przyglądając się chłopcu z uwagą.

- Próbowałem ich powstrzymać, pani Fleming! - powiedział lokaj od drzwi.

- W porządku, Charles - odparła kobieta, nie spuszczać szarych oczu z Nicka. Jasne włosy związała w kok. Miała na sobie czarną krepdeszynową bluzkę i czarną spódnicę; bluzkę zdobiła owalna kamea otoczona diamencikami.

Kobieta miała ładną twarz, choć lekko pulchnawą. Na Nicku zrobiły wrażenie jej postawa i głos, cichy, ale władczy i autorytatywny.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Nicholas Thompson. Spojrzała na Annę.

- To twoja matka?

- A to jego ojciec - Dopowiedziała Anna, wskazując na mężczyznę

w łóżku. - Pracowałam tu w kuchni! Ten sukinsyn mnie uwiódł. Teraz umiera, a jest coś winien synowi!

Cisza. Nick i leżący mężczyzna mierzyli się wzrokiem. W końcu umierający wezwał słabym gestem pielęgniarkę, która nachyliła się, zbliżając ucho do jego ust. Nick usłyszał ochryply szept. Pielęgniarka się wyprostowała.

- Kapitan Fleming twierdzi, że to są kłamstwa wysane z palca -oznajmiła.

- To prawda! - krzyknęła Anna. Odepchnęła syna na bok i podeszła do łóżka.

- Obyś szczeł w piekle! - krzyknęła do kapitana Vincenta Fleminga.

A potem plunęła mu w twarz.

Pielęgniarka krzyknęła zaskoczona, a Anna odwróciła się, chwyciła syna za rękę i pociągnęła go do drzwi. W progu zatrzymała się, posyłając zgromadzonym spojrzenie najwyższej pogardy.

- Niczego się od was nie spodziewałam, krwiopijcy, ale usłyszycie jeszcze o Annie Thompson! Wynajmę adwokata!

Ten stary sukinsyn da coś mojemu Nickowi!

Następnie wypchnęła syna z sypialni.

Ostatnie wspomnienie Nicka to szare oczy pani Fleming, wciąż w niego wpatrzone.

Flemington leżało trzydzieści mil na południe od Pittsburgha, w Appalachach. W roku 1804 pradziadek Vincenta Fleminga kupił dwieście akrów pośród wzgórz, a dwa lata później odkrył, że pod jego ziemią znajdują się bogate złoża węgla. Przez blisko wiek Spółka Węglowa Fleminga eksploatowała te złoża, wzbogacając Flemingów.

Początkowo górnicy rekrutowali się wyłącznie z miejscowej ludności, potomków szkocko-irlandzkich osadników, którzy przybyli w góry w osiemnastym wieku. Jednak po wojnie secesyjnej emigracja z Europy nasyciła te tereny jeszcze tańszą siłą roboczą. Walijszyków takich jak Craig Thompson, którzy w Walii wydobywali węgiel w morderczych warunkach, najmowano za stawki dość niskie jak na Amerykę, jednak sporo przewyższające pensje, które dostawali w Walii. Większość górników mieszkała pod Flemington w prymitywnych, krytych blachą barakach stanowiących własność spółki Flemineton, zamieszkane przez pięć tysięcy ludzi było sennym mias-

teczkiem żyjącym ze spółki, która je zdominowała. Na rynku stał wiktoriański budynek sądu z posągami Sprawiedliwości, pobielonym gołębiami odchodami. Przed sądem weterani wojny secesyjnej grali w warcaby i plotkowali. Ulica Shermana była jedynym brukowanym traktem, przy którym stały miłe białe domy; większość z nich miała kryte werandy. Flemington sennie wkraczało w dwudziesty wiek, nie wykazując wielkiego zainteresowania resztą świata. W ostatnich wyborach miasteczko głosowało na McKinleya, kierując się przede wszystkim republikańskim nawykiem. Niewielu mieszkańców pamiętało nazwisko wiceprezydenta, Theodora Roosevelta.

Kiedy Craig Thompson zginął w 1896 roku na skutek wybuchu w kopalni, wdowę po nim wraz z ośmioletnim synem usunięto z baraku. Anna nie miała zresztą nic przeciw temu. Nienawidziła dwupokojowej nory, w której marzło się zimą i smażyło latem. Był to jednak jakiś dom. Teraz nie miała dokąd pójść, a jej cały kapitał stanowiło pięćset dolarów z ubezpieczenia.

Była kobietą zaradną. Dwie przecznice od sądu znalazła kawiarnię, której właściciel miał gruźlicę i przeniósł się do Arizony. Anna odnajęła zniszczony lokal, odmalowała go pieczołowicie w środku i na zewnątrz, dokładnie wyczyściła zapuszczoną kuchnię, zatrudniła grubą kelnerkę imieniem Clara, po czym otworzyła kawiarnię, nazywając ją po prostu Cafe u Anny. Wraz z kawiarnią wynajęła dwa pokoje na piętrze, gdzie wprowadziła się razem z synem. Znow więc mieszkali w dwóch pokojach, jednak teraz mieli bieżącą wodę i łazienkę z epoki kamiennej, która była dużym krokiem naprzód od wygodki za barakiem. Nick poznał nowy luksus - papier toaletowy.

Miasteczko miało jeszcze jedną restaurację, Sądową, dokładnie naprzeciwko sądu; Anna zjadła tam kilka posiłków, by ocenić konkurencję. Jak można się było spodziewać po małym miasteczku w Pensylwanii na przełomie wieków, gotowano tam prosto i bez wyobraźni, jednak restauracja cieszyła się dużym powodzeniem u miejscowych notabli. Anna postanowiła zwabić klientów do siebie. Była znakomitą kucharką; ułożyła menu obejmujące także kilka rosyjskich potraw z jej dzieciństwa.

Interes się nie rozkręcił. Anna nie doceniła prowincjonalności biznesmenów z Flemington, którzy lubili potrawy bez wyobraźni i przyzwyczaili się do restauracji Sądowej. Ponadto nie ufali Żydom, a Anna była jedyną Żydówką w miasteczku. Omijali jej lokal, toteż dwa miesiące po otwarciu fundusze Anny praktycznie były na wyczerpaniu.

Byli też mężczyźni. W środowisku górników Anna bynajmniej nie miała opinii świętej - za Craiga Thompsona wychodziła w ciąży, pośród uporczywych plotek, że Craig nie jest ojcem. Wkrótce po tym, jak otworzyła kawiarnię, mężczyźni zaczęli ją nocami odwiedzać na piętrze. Nicka zawsze odsyłano do małej sypialni, którą dzielił z matką, ale ściany były cienkie; podsłuchiwał szeptane rozmowy, po których następowały ciche jęki. Większość nastolatków w małych amerykańskich miasteczkach tego okresu nie miała pojęcia o tajemnicach życia. Nick, przedwcześnie dojrzały w sprawach szkolnej nauki, teraz dojrzał przedwcześnie w dziedzinie seksu. Ubóstwiał matkę i mówił sobie, że ona nie może robić nic złego. Kiedy niektórzy z kolegów szkolnych zaczęli podrwiwać sobie z Anny, chociaż najwyraźniej nie wiedzieli, z czego drwią, Nick rzucał się na nich. Był chudy, ale sprężysty i silny. Mógł w uczciwej walce pokonać każdego w klasie, ale tym razem nie było mowy o uczciwości - skoczyli na niego we trzech. Kiedy wieczorem wrócił do domu pokaleczony, posiniaczony, z kiwającym się zębem, zaniepokojona Anna zapytała:

- Co się stało?

- Spadłem ze schodów. - Nick nie miał zamiaru mówić prawdy. Anna wiedziała, że syn kłamie, i domyślała się prawdy, ale nie

przestała spotykać się z mężczyznami. Potrzebowała pieniędzy.

Przyszli wieczorem tego dnia, gdy zabrała syna do posiadłości Flemingów.

W kawiarni siedziało czterech klientów, kiedy wszedł szeryf z dwoma zastępcami.

- Pani Thompson?

Anna musiała zwolnić Clarę i teraz sama obsługiwała klientów. Podniosła wzrok, patrząc podejrzliwie na barczystego szeryfa.

- Tak?

- Jest pani aresztowana.

- Za co?

- Za prostytutkę.

Krzyczała i wyrywała się. Dopiero po nałożeniu jej kajdanków zdołali zawlec Annę do drzwi. Nick, który zmywał w kuchni naczynia, usłyszał hałas i wbiegł do kawiarni.



- Mamo!

- Nick, załatw mi adwokata! - krzyknęła, kiedy szeryf wypychał ją przez drzwi. Chłopiec przebiegł przez salę i wypadł na dwór; zastępcy szeryfa zamykali właśnie drzwi karetki więziennej. Podbiegł do szeryfa.

- Co jej robicie?

Szeryf spojrział na chłopca.

- Przykro mi, mały, ale twoja mama jest kurwą.

Lodowata dobitność takiej uwagi mogła zniszczyć życie wielu dwunastolatków i niemal zniszczyła Nicka.

Odprawdzając wzrokiem karetkę więzienną, poczuł mdłości. Schylił się i zwymiotował na piach. Potem uklęknął obok wymiocin, zakrył głowę rękami i zaczął łkać. Najgorsze było to, że wiedział, że szeryf mówił prawdę.

Miejsce bólu i wstydu zajął gniew. Wiedział, że nie przypadkiem aresztowano matkę tego samego dnia, kiedy zabrała go do domu Fleminga. Tamten umierający człowiek - jego ojciec! - musiał zatelefonować do szeryfa i rozkazać mu „zabrać” Annę. Jak mógł być tak okrutny? A może naprawdę bał się, że Anna wystąpi na drogę sądową? Jego ojciec... Kapitan Fleming... Jestem krwią z jego krwi, kością z jego kości! Do diabła z nim!

Wciąż płacząc pobiegł w stronę ulicy Shermana, na której końcu, na największym placu miasteczka, wznosiła się posiadłość Flemingów. Zabiję go! Zabiję starego bękarta... Nie, to ja jestem bękartem... To nic, i tak go zabiję! Zabiję go!

Wiele lat później przyznawał się nielicznym bliskim mu osobom, którym opowiedział tę historię, że prawdopodobnie nie zabiłby starego Fleminga, że ta myśl zrodziła się z szoku wywołanego aresztowaniem matki, połączonego z chłopięcym gniewem i brawurą. W głębi serca wiedział jednak, że to kłamstwo - pamiętał swoją wściekłość i wiedział, że bez trudu mógłby zabić ojca. Kiedy zadyszany dobiegł do drzwi wielkiego domu i zaczął się do nich dobijać, lokaj oznajmił mu, że jego ojciec zmarł przed dwiema godzinami.

Nick patrzył na Murzyna.

- Chcę zobaczyć jego zwłoki! - powiedział.

- Wynoś się stad! Już dość kłopotów narobiliście dziś rano. ty i ta

wywłoka. To pewnie przez was serce kapitana przestało bić. Jazda! Wynocha! - Zatrzasnął drzwi. Nick wracał powoli do kawiarni. Gniew stopniowo wypierała świadomość, że nie ma dokąd pójść. Miał dwanaście lat i był sam. Pograżył się we wstydzie i uzalaniu się nad swym losem. Uwielbiał matkę, ale myślał, że jest prostytutką - że wszyscy o tym wiedzą - przyprawiała go o dreszcze. Wstyd za matkę połączony z szokującym odkryciem, że jest bękartem, pozostawił w jego umyśle głęboką bliznę. Kiedy był dorosły, wielu przeciwników zarzucało mu kolosalną hipokryzję - sypiał z pięknymi kobietami, a jednocześnie narzucał rodzinie surowe, niemal wiktoriańskie reguły. Klucz leżał w tamtym upiornym listopadowym dniu. Rodzina stała się dla Nicka nadrzędną wartością, ponieważ sam został jej pozbawiony.

## ***Rozdział drugi***

Zapowiedziana przez Annę groźba wszczęcia procesu przeciwko kapitanowi Flemingowi była fantazją. Nie miała pieniędzy na prawników. Sędzia, przyjaciel kapitana Fleminga, skazał Annę na dwa lata w więzieniu okręgowym. Była to najwyższa kara za prostytutkę, a ponieważ Anna nigdy dotąd nie była karana, Nick nie miał wątpliwości, że sędzia spełniał rozkaz kapitana Fleminga.

Jego wściekłość na niesprawiedliwość, jaka spotkała matkę, mogła się równać tylko z gniewem na własną bezsilność. Brak litości i chciwość, które zarzucano mu wiele lat później, zrodziły się właśnie z owego uczucia potwornej bezsilności, jakiej doświadczył w sądzie. Prawo stworzono dla bogatych i potężnych, nie dla maluczkich i ubogich. Sprawiedliwość okazała się równie zbrukana gołębimi gównami, jak posąg wieńczący gmach sądu.

16 listopada 1900 roku sąd wysłał Nicka do sierocińca dla chłopców, gdzie przebywały nie tylko sieroty, ale także „osoby znajdujące się pod kuratelą państwa”, jak sędzia określił Nicka. Sierociniec był dwupiętrowym ceglany budynkiem, postawionym w roku 1856. Stał na liczącej pięćdziesiąt akrów farmie, na której chłopcy pracowali latem, uprawiając warzywa dla siebie i państwowych więzień. Nicka zawiózł tam zastępca szeryfa, który wprowadził go frontowymi drzwiami do wysokiego hallu kończącego się drewnianymi schodami.

- Zaczekaj tutaj - powiedział, wskazując chłopcu ławkę. Nick usiadł, przyciskając do siebie tobołek z ubraniami, a zastępca szeryfa wszedł do biura. Nick rozejrzał się po ponurym wnętrzu. Popękane gipsowe ściany domagały się odmalowania. Nad jedynym w pomieszczeniu, staroświeckim erzeinikiem ścianę okrywała warstwa brudu.

na którym ktoś namazał palcem literę X. Na ścianie wisiała duża, oprawiona w drewnianą ramkę fotografia prezydenta McKinleya, a w rogu stała flaga amerykańska, którą posilały się mole.

- Możesz wejść - powiedział zastępca szeryfa.

Nick wstał i wszedł do biura. Był to duży pokój z wysokimi oknami wychodzącymi na brązowy trawnik. Wzdłuż ścian stały wysokie przeszklone półki na książki, pełne opasłych tomów; niemal jęczały od ciężaru i nudy takich tytułów, jak „Oficjalna historia hrabstwa Van Buren”, „Słownik chorób dziecięcych” czy „Kodeks karny stanu Pensylwania”. Za utrzymanym schludnie biurkiem siedział mężczyzna, którego wiek Nick ocenił na czterdzieści lat. Szczupły, starannie odziany, o włosach barwy piasku, miał miłą twarz. Spojrzał na Nicka z uśmiechem.

- Witaj w sierocińcu - powiedział wesoło, nieświadom ironii tego powitania. - Jestem doktor Hilton Truesdale, dyrektor tej instytucji. Usiądź, proszę.

Nick usiadł na drewnianym krześle przed biurkiem. Doktor Truesdale otworzył akta i przez chwilę studiował ich zawartość. Potem spojrzał na Nicka i przemówił cichym, precyzyjnym głosem.

- Twoja matka została skazana za prostytucję. Czy wiesz, co to znaczy?

Nick poruszył się z zakłopotaniem.

- Tak.

- Tak, sir.

- Tak, sir.

- Czy zdawałeś sobie sprawę z profesji, którą uprawiała twoja matka?

- Wiedziałem... że odwiedzali ją mężczyźni.

- Czy wiedziałeś, że płacili jej za niemoralne, odrażające praktyki? Nick zeszywniał.

- Odpowiedz mi, proszę, Thompson.

- Wydaje mi się, że wiedziałem.

- „Wydaje ci się”? Wiedziałeś czy nie?

- Tak, wiedziałem.

- Tak, sir, wiedziałem.

- Tak, sir, wiedziałem. Ale to nie było niemoralne! Moja matka jest dobrą kobietą!

Na cienkich wargach doktora Truesdale'a pojawił się zimny uśmiech.

- Jestem pewien, że ty tak myślisz, Thompson. Niestety, społeczeństwo myśli inaczej. Musisz zrozumieć, że odpowiadam tu za osiemdziesięciu czterech chłopców. Mógłbym dodać, osiemdziesięciu czterech niewinnych chłopców. Moim obowiązkiem jest chronić te nieszczęsne sieroty, zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Dlatego właśnie muszę zadawać ci te nieprzyjemne pytania. Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się być świadkiem tego, co twoja matka robiła ze swoimi... nazwijmy ich klientami?

Nick oblał się rumieńcem.

- Nie.

- Nie, sir. Ale wiesz, co robiła? Rozumiesz, dlaczego jej płacono?

- Tak, sir.

- A zatem rozumiesz sprawy życiowe? To, co przyzwoici ludzie uważają za niższą, zwierzęcą stronę ludzkiej natury?

- Tak, sir.

- Czy matka kiedykolwiek cię pieściła? Nick wpatrywał się w twarz doktora.

- Całowała mnie.

- Tak, ale czy kiedykolwiek posuwała się dalej niż całowanie?

- Ja... nie wiem, o czym pan mówi.

- To bardzo proste, Thompson. Twoja matka jest prostytutką. Te zdeprawowane kobiety często uciekają się do perwersji, by nasycić własną żądzę. Znane mi są przypadki kobiet, które kochały się z młodymi chłopcami, nawet popełniały kazirodztwo.

Nick niemal stracił zdolność mowy.

- Matka nigdy by tego nie zrobiła - wyszeptał. Doktor Truesdale wstał od biurka.

- A jednak istnieje prawdopodobieństwo, że twoja matka zaraziła się społeczną chorobą. Ponieważ żyliście razem, istnieje możliwość, że zaraziła także ciebie. Ze względu na bezpieczeństwo innych chłopców muszę cię zbadać. - Podeszedł do okna za biurkiem i zaciągnął czarną storę. - Zdejmij ubranie, Thompson.

- Ubranie?

- Tak. Całe. Rozbierz się do naga.

Zapalił lampę na biurku, a potem podeszedł do pozostałych okien i zaciągnął story. Nick wyczuł, że dzieje się coś dziwnego, jednak nie widział innego wyjścia, jak usłuchać. Wstał i zaczął się rozbierać.

- Buty też? - spytał czując, że zlewa się potem.

- Proszę.

Kiedy rozebrał się do naga, doktor Truesdale stanął przed nim i omiół wzrokiem ciało chłopca.

- Hm. Widzę, że jesteś niezwykle dojrzały. Penis sprawia wrażenie dużego jak na twój wiek. Masturbujesz się? Pot płynął Nickowi po żebrach.

- Czy co robię?

- Czy zabawiasz się ze sobą? Czy walisz konia, jak mówią wulgarnie?

- Nie...

- Nie, sir. Nie jesteś też przekonującym kłamcą. W całym sierocińcu nie ma ani jednego chłopca, który nie uprawiałby tego nieszczęsnego procederu. Muszę sprawdzić, czy na twoich narządach nie występują zmiany syfilityczne. To nie będzie bolało.

Nick spał się, kiedy doktor Truesdale uklęknął i dotknął penisa i jąder. Ścisnął je delikatnie, a chłopiec wstrzymał oddech. W końcu doktor wstał.

- No, cóż, wyglądasz na czystego, ale infekcja może oczywiście przez lata znajdować się w stanie uśpienia. Będę musiał cię badać co pewien czas, dla bezpieczeństwa zarówno twojego, jak i pozostałych chłopców. - Uśmiechnął się i położył dłonie na ramionach Nicka. - Nie bój się. Chcę, żebyś myślał o mnie jako o przyjacielu. - Popatrzył w przerażone oczy Nicka i dodał cicho: - Jesteś bardzo przystojnym młodzieńcem, Thompson. - Wrócił do biurka. - Możesz się ubrać.

Naciągając ubranie, Nick uświadomił sobie w panice, że jeśli zostanie na dłużej w sierocińcu, wydarzy się coś potwornego. Nie wiedział dokładnie co, ale wiedział, że doktor Truesdale nie jest przyjacielem.

- To nie jest więzienie - powiedział doktor siadając za biurkiem. - Z drugiej strony, trudno nazwać to miejsce szkołą prywatną dla bogaczy. Tutejsi chłopcy ciężko pracują, a ich zabawy są surowe. Jeśli zachowują się pogodnie i współpracują w duchu chrześcijańskim, są nagradzani, jeśli nie współpracują, są karani. Chłopcy, którzy współpracują ze mną osobiście, otrzymują pewne... przywileje. - Uśmiechnął się do Nicka. - Mam nadzieję, że będziesz ze mną współpracował, Thompson!

Zapinając koszulę, Nick poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. Ten nowy koszmar, nałożony na wstrząsy ostatnich dni, był nie do zniesienia. Pomijając niejasną groźbę ze strony doktora Truesdale'a.

zarzut seksualnego współżycia z matką zwałił się na chłopca jak grom z jasnego nieba. Słowo „kazirodztwo” miało zawsze napawać Nicka Fleminga obrzydzeniem.

Lunch jest o wpół do pierwszej, a kolacja o szóstej - oznajmił główny opiekun Sykes, prowadząc Nicka po drewnianych schodach na pierwsze piętro. - Nauka od siódmej do dziewiątej, światła gasimy o wpół do dziesiątej. Pobudka o szóstej piętnaście, śniadanie o siódmej, lekcje i zajęcia zaczynają się o ósmej. Sobotnie popołudnia są wolne, podobnie jak niedziele, z wyjątkiem nabożeństwa. - Wypuście mnie stąd! - myślał Nick. Wypuście mnie!...

- Jakies pytania?

- Nie, sir.

- Nie jest tu tak źle, jak by się mogło wydawać. Przyzwyczaisz się. Dotarli do s"zczytu schodów, na piętro przepołowione długim korytarzem.

- Na tym piętrze mamy cztery sale mieszkalne: A, B, C i D, po dwudziestu chłopców w każdej. Przydzielono cię do sali D. Trzy lata temu do sal doprowadzono bieżącą wodę. Jesteśmy całkiem zadowoleni z pryszniców, chociaż na gorącą wodę nie zawsze można liczyć. Doktor Truesdale zainstalował najnowocześniejszy sprzęt. Wszyscy chłopcy muszą codziennie zmieniać ubranie.

Barczysty opiekun gadał dalej bez związku, aż dotarł do końca korytarza i otworzył drzwi oznaczone literą D. Wpuścił Nicka do dużej, ponurej sali mieszczącej dwadzieścia żelaznych prycz. Przed każdą stała drewniana półka. Nagie żarówki zwisały z sufitu na długich przewodach. Na ścianach nie było żadnych obrazów, na podłodze żadnych dywanów - nic. Sierociniec nie był może więzieniem, ale dobrze je naśladował.

- To twoja prycza, numer cztery. Masz ją ścielić codziennie przed śniadaniem, Haines pokaże ci jak, to twój szef sali. Nawiasem mówiąc, radzę ci żyć z nim w zgodzie. Tu, w nogach łóżka, masz swoją szafkę na rzeczy osobiste. Wyjął złoty zegarek i sprawdził godzinę.

- Za dwadzieścia minut mamy lunch. Jadalnia jest na dole, z tyłu. Spotkajmy się tam, to przydzielę ci kółko na serwetki i stolik. Jesteś głodny?

- Tak, sir - odparł Nick zgodnie z prawdą.

- Przekonasz się, że tutejsze jedzenie jest pożywne - powiedział dość smutno pan Sykes, po czym dodał przyciszonym głosem: -Niestety, nie jest zbyt smaczne.

Marszcząc ponuro puciołowatą twarz wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi. Nick został sam.

Muszę się stąd wydostać, myślał siedząc na krawędzi pryczy. Ale dokąd mogę pójść? Przez chwilę był gotów poddać się rozpacz i łzom, ale później pomyślał: Nie, do diabła! Łzy jeszcze nigdy nie nikomu nie dały. Muszę się zastanowić, jak się stąd wydostać.

Właśnie wtedy dostrzegł w końcu sali napis „Wyjście przeciwpożarowe”. Wstał, podniósł tobołek, podszedł do drzwi i wyjrzał. Schody przeciwpożarowe prowadziły na trawnik. Wystarczyło otworzyć drzwi, zejść i ruszyć ku wolności.

Do diabła z praniem, „pożywnym” jedzeniem i tym dziwnym doktorem Truesdale'em, pomyślał, otwierając drzwi. Schodząc po schodach uświadomił sobie nagle, że wie, dokąd pójdzie.

Edith Philips Fleming była córką dyrektora Centralnych Kolei Ohio, małej linii na Środkowym Zachodzie, która przez lata kupowała węgiel od Spółki Węglowej Fleminga. Ojciec Edith, Tom Philips, i kapitan Vincent Fleming byli przyjaciółmi, jeśli nie kumplami, a kiedy w roku 1892 niedawno owdowiały kapitan Fleming poprosił Edith o rękę, dwudziestotrzyletnia dziewczyna zgodziła się bez dłuższego wahania. Vincent Fleming mógłby być jej ojcem, a w dodatku miał troje dzieci z poprzedniego małżeństwa. Jednak był przystojny, bogaty i obdarzony jedną z tych silnych osobowości, które zmiatają z drogi wszelkie przeszkody. Edith była w nim bardziej niż na pół zakochana, jej ojciec serdecznie aprobował małżeństwo, a ślub odbył się z wielką pompą w Youngstown w stanie Ohio. Vincent zabrał młodą żonę na miodowy miesiąc do Londynu i Paryża, a kiedy po trzymiesięcznym pobycie za granicą wrócili do Flemington, Edith czuła, że takie szczęście w ogóle nie jest możliwe.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Najstarszy syn Vincenta, dwudziestoosmioletni Barry Fleming, który na ślubie zachowywał się całkiem przyjaźnie, zaczął odnosić się do macochy z wrogością. Barry, żonaty, ojciec dwóch chłopców



był drugą co do ważności osobą w spółce, toteż Edith podejrzewała, że młody, przystojny Fleming zaczyna się obawiać o swoją przyszłość. Jego ojciec, najwyraźniej oczarowany nową żoną, był w dodatku w pełni sił i bez wątpienia mógł dać Edith syna. Edith, która nie miała zamiaru wystawiać na niebezpieczeństwo kariery pasierba, robiła wszystko, by odnosić się do Barry'ego przyjaźnie, jednak jej wysiłki były bezskuteczne. Podczas obiadów rodzinnych traktował ją zaledwie poprawnie, a po dwóch latach sytuacja stała się tak napięta i nieprzyjemna, że Edith zaczęła się zastanawiać, czy wychodząc za Vincenta nie popełniła błędu.

Właśnie wtedy kapitan Fleming przeżył pierwszy z szeregu zawałów, które, spowodowały trwałe inwalidztwo. Kiedy stary człowiek został przykuty do łóżka i nie mógł już dłużej sprawować władzy nad dziećmi, wrogość Barry'ego ulotniła się, a Edith spostrzegła z radością, że dawny wróg zmienił się w przyjaciela. Wraz z upływem lat, kiedy brzydka posiadłość coraz bardziej przypominała szpital, Edith zaczęła czekać na odwiedziny, które składał jej Barry - początkowo z żoną, później, coraz częściej, sam. Edith wmawiała sobie, że cieszy ją towarzystwo pasierba, ponieważ wie, że tak samotne życie w otoczeniu pielęgniarek i lekarzy. Jednak w miarę upływu czasu zaczęła przyznawać, że chodzi o coś więcej niż jedynie jego towarzystwo. Obecność Barry'ego podniecała ją fizycznie. Co gorsza, stawało się coraz bardziej oczywiste, że jej obecność podnieca Barry'ego.

Osiem miesięcy przed śmiercią Vincenta Barry usiłował zaciągnąć macochę do łóżka. Ku własnej irytacji, Edith o mały włos mu nie uległa.

Trzy dni po pogrzebie Vincenta jego najstarszy syn stał w salonie wdowy.

- Rozwiędę się z Barbarą - mówił.

Edith, siedząca na obitej końskiej sierścią sofie przed rzeźbionym marmurowym kominkiem, pięknie wyglądała w żałobnej sukni.

- Nie mów takich rzeczy, Barry! - krzyknęła. - Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Skandal... - Zrobiła bezradny gest. - Miasto nigdy by nam nie wybaczyło.

- Do diabła z miastem! - wybuchnął, siadając przy Edith i ujmując jej dłoń. - Zresztą jest nasze, co mogliby nam zrobić? Kochanie, nie masz pojęcia, co to było za piekło, być blisko ciebie przez tyle lat, pragnąć cie i nie móc cie dotykać... a teraz...

Wziął ją w ramiona i okrył gorącymi pocałunkami. Przez pewien czas nie wzbraniała się. Pociągali się nawzajem, a Edith nie kochała się z nikim od sześciu lat. Znowu o mały włos nie poszła z nim do łóżka. I teraz też pohamowała ją myśl o konsekwencjach. Odepchnęła Barry'ego.

- Nie - wyszeptała. - To niewłaściwe, całkowicie niewłaściwe.

- Nie rozumiem cię! Przecież się kochamy!

- Co ma do tego miłość? - spytała wstając z sofy. - Czy ludzie by uwierzyli, że kierowaliśmy się miłością? Wiesz, co by powiedzieli - że syn Vincenta Fleminga był kochankiem jego żony przez wszystkie te lata, kiedy ojciec leżał przykuty do łóżka. A co z twoimi dziećmi? Co by o mnie pomyślały, albo o tobie, skoro już o tym mowa? Nie, to wszystko jest niewłaściwe, i musimy położyć temu kres, zanim będzie za późno.

- Chodzi o pieniądze, prawda? - spytał cicho.

- Jakie pieniądze? - Wyglądała na zdziwioną.

- Odziedziczyłaś połowę majątku ojca, dwa miliony dolarów. Myślisz, że chodzi mi o pieniądze, że jeśli za mnie wyjdiesz, to pozostaną w rodzinie.

- To absurd.

- Jestem gotów zawrzeć umowę przedmałżeńską. Możesz zachować całe pieniądze na swoje nazwisko.

- Barry, przestań! - Niemal krzyknęła. - Nie chcę o tym więcej słyszeć! To pewnie moja wina... Pewnie cię zachęcałam, a w każdym razie nie powstrzymałam cię wtedy, kiedy powinnam. Ale powstrzymuję cię teraz.

Wstał z sofy i podszedł do Edith stojącej przed kominkiem.

- Unikanie prawdy na nic się nie zda - powiedział. - Kochamy się. Bez względu na to, co postanowisz, rano spotykam się ze swoim adwokatem i występuję o rozwód.

- Barry, nie wolno ci tego robić! To nieuczciwe wobec Barbary!

- Nie bądź taka cholernie szlachetna. Nie jesteś w stanie mnie powstrzymać.

Przeszedł przez duży pokój do rozsuwanych podwójnych drzwi. Edith jęknęła.

- Idiota! - powiedziała głośno.

Edith Fleming była przyzwoitą osobą, ale w tym momencie, po raz pierwszy w życiu czuła się zbrukana.

Czterdzieści minut później siedziała w przestronnej, wyłożonej orzechową boazerią jadalni z oknem wykuszowym, przed którym stały palmy. Właśnie zaczęła popijać bulion, kiedy w drzwiach pojawił się lokaj Charles.

- Przepraszam, pani Fleming, ale pod drzwiami stoi chłopiec, który mówi, że nie odejdzie, dopóki pani nie zobaczy.

- Jaki chłopiec?

- Pamięta pani dzień, w którym umarł kapitan Fleming, kiedy wdarła się tu ta wywłoka, Thompson, z synem? To właśnie ten chłopiec. Teraz nakrzyczałem na niego i zagroziłem, że wezwę policję, ale on stanął na chodniku i mówi, że się nie ruszy, dopóki go pani nie przyjmie. Chce pani, żebym wezwał szeryfa?

Edith otarła usta, przypominając sobie przestraszonego chłopca.

- Nie, Charles. Przyrowadź go. Lokaj był zaskoczony.

- Tutaj? Wątpię, czy ten chłopiec kąpał się chociaż raz w ostatnim miesiącu.

- Tutaj, Charles.

- Tak jest, proszę pani. Cokolwiek pani rozkaże.

Wyszedł z jadalni, kręcąc głową. Po kilku minutach wszedł Nick, mnąc w dłoniach czapkę. Spojrzał na elegancką kobietę siedzącą u końca długiego, wypolerowanego stołu. Wiedział, że to jeden z najważniejszych momentów jego życia.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - spytała Edith.

- Tak, proszę pani. Czy to prawda, że kapitan Fleming był moim ojcem?

Edith odłożyła łyżkę.

- Nie wiem. Usiądź, proszę.

Wskazała mu krzesło po swojej lewej ręce. Nick podszedł do stołu i usiadł.

- Wyglądasz na głodnego - stwierdziła. - Masz ochotę na lunch? Nie odpowiedział, ale to nie było potrzebne.

Potrząsnęła srebrnym

dzwonkiem. Pojawił się Charles, który na widok Nicka siedzącego przy stole wybałuszył oczy.

- Przynieś lunch panu Thompsonowi - poleciła Edith. - Może to, co zostało po jagnięciu z wczorajszej kolacji.

- Tak, proszę pani. - Charles wyszedł z jadalni, znowu kręcąc głową.

- Mówię, że nie wiem - ciągnęła Edith - ale z pewnością nie

mam zamiaru zaprzeczać, że mój zmarły mąż miał reputację kobieciarza. To na pewno możliwe, że był twoim ojcem.

- Przez chwilę przyglądała się twarzy Nicka. - Tak... twoje oczy... Wykrojem oczu bardzo przypominasz Vincenta. Powiedziała, że nie wie, ale była niemal pewna, że chłopiec ma rację.

- Czy pani wie, co zrobili z moją matką? Edith zmarszczyła nieco brwi.

- Wiem.

- Czy to prawda, że aresztowano ją na rozkaz kapitana Fleminga? A więc odgadł prawdę! Edith poczuła przypływ winy.

- Nie mogę zaprzeczyć - powiedziała. - Próbowałam go od tego odwieść, ale nalegał, a jak można odmówić umierającemu? Czuję się okropnie z powodu tego, co się stało, naprawdę okropnie. Czy kiedykolwiek nam wybaczysz?

- Ja nie obwiniam pani, pani Fleming - powiedział szczerze, wyczuwając, że kobieta czuje się winna.

- A co z tobą? - spytała. - Gdzie... - Zrobiła niezgrabny gest, zbyt zażenowana, by spytać wprost, gdzie mieszka.

- Umieścili mnie w sierocińcu, ale uciekłem. Jestem sprytny, pani Fleming. Wiem, że jeśli będę miał szansę, potrafię do czegoś dojść. Ale muszę wydostać się z tego miasta. Potrzebne mi wykształcenie. -Zawahał się, przełykając nerwowo ślinę. W końcu wziął głęboki oddech. - Jeżeli naprawdę jestem synem kapitana Fleminga, to jego rodzina jest mi coś winna. Nie próbuję wyciągać pieniędzy od pani czy od jego dzieci. Ale może pożyczylibyście mi na naukę? Obiecuję, że później oddam, nawet z procentem. Pracowałbym ciężko i wszyscy bylibyście ze mnie dumni. Wiem, że mogę zostać kimś, ale potrzebuję pomocy!

Patrzyła na chłopca. Może to jest odpowiedź, myślała. Może to jest sposób na powstrzymanie Barry'ego... Ale czy ja chcę go powstrzymać? Tak, muszę. To niemożliwe. Tutaj czekają mnie same kłopoty. Poza tym, Bóg wie, że jesteśmy coś winni temu biednemu chłopcu. Może on jest odpowiedzią dla nas obojga?

- Czy chciałbyś pojechać ze mną do Nowego Jorku? - spytała cicho.

- Do Nowego Jorku? Dlaczego?

- Żeby znaleźć dla ciebie dobrą szkołę. Wiesz, najlepsze szkoły są na Wschodzie. Nowy Jork to fascynujące miasto. Zakochasz się w nim.

- Chce pani powiedzieć... że jedzie pani do Nowego Jorku?

- Tak, przeprowadzam się. Wystawię ten dom na sprzedaż. To zresztą ponure miejsce, pełne przykrych wspomnień. Nowy Jork jest właśnie tym, czego mi potrzeba.

Przyglądał się Edith z niedowierzaniem.

- Kiedy to pani postanowiła?

- Teraz - odparła ze śmiechem. - Zawsze wierzyłam, że najlepsze decyzje podejmuje się na gorąco. A więc, co ty na to? Tak czy nie?

Nie trzeba go było namawiać do chwycenia szansy na nowe życie.

- Tak! - wykrztusił. - Tak!

- Myślę, że to ekscytujące, a ty? Zupełnie nowe życie dla nas obojga!

Nick uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że jeśli tu przyjdę, spotka mnie coś dobrego! Wiedziałem, że pani okaże się uczciwa!

- Coś dobrego dla nas obojga.

Żegnaj, Barry, pomyślała. Mam w życiu coś nowego. Syna.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom jak bardzo się postarzała. W ciągu niecałego roku jego matka zmieniła się w starą kobietę. Teraz, leżąc na łóżku w więziennym szpitalu, Anna wiedziała, że umiera; przeziębienie, jakiego się nabawiła w nie dogrzanym więzieniu, szybko przerodziło się w zapalenie płuc. Kiedy jednak podniosła wzrok na syna, który urósł o cal od ich ostatniego spotkania, nakazała sobie nie okazywać lęku.

- Więc pani Fleming jest dla ciebie dobra? - szepnęła.

- Cudowna! - wykrzyknął. - Mamo, ona kupiła taki piękny dom w Nowym Jorku... mam tam własny pokój na drugim piętrze, z łazienką!

- Łazienką - powtórzyła Anna, próbując zatrzymać opuszczające ją siły. - To miłe. I umieściła cię w prywatnej szkole?

- Tak, Świętego Mikołaja.

- To pachnie katolicyzmem. - Zaczęła kaszleć.

- Nie, chodzą tam głównie dzieci ludzi z Kościoła episkopalnego i prezbiterian.

- Bogate dzieci?

- Większość chyba tak.

- Zadzierają nosa?

- Nie wobec mnie! - Nick uśmiechnął się z dumą. - Mnie się boją, bo ich biję.

Zamknęła oczy.

- Nie wolno ci terroryzować słabszych - szepnęła. - Ale to dobrze, kiedy ludzie się ciebie boją. Życie jest... - Zaczęła mówić „ciężkie”, ale wypowiedziała zaledwie połowę słowa.

Nagle znieruchomiała.

- Mamo? Mamo, nie zasypiaj, póki nie każą mi wyjść... Mamo? Dotknął jej dłoni i nagle zrozumiał.

- Siostro! - krzyknął. Powoli wstał ze stołka, patrząc na martwą twarz matki. Anna wreszcie wyglądała na spokojną. Kiedy pielęgniarka pospieszyła do łóżka zmarłej, postrach szkoły Św. Mikołaja cicho płakał. Nieważne, że Anna była skazaną przez sąd prostytutką, o której Edith Fleming wolała nie wspominać - Nick kochał ją całą swoją żarliwą rosyjską duszą. Edith Fleming i nauczyciele od Św. Mikołaja robili wszystko, by tę duszę zanglicyzować.

Piłka poszybowała w rześkim jesiennym powietrzu. Złapał ją napastnik z Princeton, który zdołał przebiec piętnaście jardów, zanim zatrzymał go obrońca z Yale. Ponad tysięczny tłum elegancko ubranych studentów Princeton i Yale, ich rodziców, krewnych i sympatii wiwatował z wylewnością utrzymaną w ryzach dobrego wychowania; strona Princeton oklaskiwała udany atak, a kibice z Yale nagradzali obronę. W drugiej połowie meczu Yale-Princeton w roku 1908 utrzymywał się wynik zero do zera, ale wyglądało na to, że gracze z Princeton, znajdujący się teraz na połowie przeciwnika na linii dwunastu jardów, po raz pierwszy umieszczą piłkę między słupkami. Edith Fleming, prezentująca się stylowo i po królewsku w kapeluszu z szerokim rondem i futrze z norek, z uwagą śledziła grę z trybun Princeton. Edith została kibicem piłki nożnej, kiedy Nick wszedł w skład drużyny uniwersyteckiej na drugim roku studiów. W tym meczu Nick jeszcze nie wystąpił, ale kiedy koledzy napastnika z Princeton pomagali mu wstać, a na boisko pospieszył lekarz w meloniku, Edith zrozumiała, że gracz skręcił nogę w kostce. Patrzyła z podnieceniem, jak na boisko wbiega Nick, mający zastąpić lewego napastnika. Zaczęła bić brawo.

Nagle orzestała.

Zdała sobie sprawę, że jest jedyną osobą na trybunach Princeton, która oklaskuje Nicka. Co gorsza, rozległy się gwizdy.

Ale ja tego nie rozumiem! - mówiła tego wieczoru, kiedy siedzieli z Nickiem w małej restauracji w pobliżu Nassau Hall. -Dlaczego cię wygwizdywali?

W wieku dwudziestu lat Nick wyrósł na wysokiego, uderzająco przystojnego młodzieńca o kruczoczarnych włosach. Teraz wzruszył ramionami, nakładając na widelec ziemniaczane purée.

- Nie zwracaj na nich uwagi, mamo. - W miarę upływu lat zaczął nazywać Edith „mama”, kierując się bardziej uczuciem, niż innymi względami.

- Ale jak mogę nie zwracać uwagi? To takie... takie nieuczciwe wobec ciebie! W końcu przecież dobiegłeś do bramki.

- I dostałem za to trochę oklasków.

- Unikasz odpowiedzi. Najwyraźniej coś się stało... Powiedz, co to takiego.

Nick odłożył widelec. Chciał ominąć ten temat, nie tylko dlatego, że był dla niego żałośnie żenujący, ale nie chciał też martwić Edith. Teraz zmuszała go do odpowiedzi.

- Pamiętasz Arnolda Fleminga? - spytał.

- Oczywiście. Najstarszy syn Barry'ego. Jest na pierwszym roku w Princeton.

- Tak, i opowiedział wszystkim o mnie, a raczej o mojej matce... i o tym, kim była. Na uczelni jest wielu snobów, którzy nie lubili mnie od początku, ponieważ nie mówiłem z właściwym akcentem nowojorskim ani nie miałem właściwych znajomości. Cóż, wtedy mnie to specjalnie nie obchodziło, ale teraz... - Znowu wzruszył ramionami, starając się ukryć zażenowanie pod maską nonszalancji. - Teraz wielu ludzi w miasteczku uniwersyteckim uważa, że Princeton nie powinno być reprezentowane przez syna kobiety skazanej za prostytutkę.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie wierzę, że ktokolwiek może rozumować tak prymitywnie -powiedziała w końcu cicho.

- A jednak tak jest. Nie martw się, w dzieciństwie biłem się o matkę, ale już tego nie robie. Po prostu ich ignoruje.

Zdażyła go poznać na tyle, by rozumieć, że musi kryć swą wrażliwą naturę pod maską szorstkiego chłodu; niemal czuła zapach jego krzywdy. Edith była z natury orędowniczką ludzi upośledzonych i cecha ta, w połączeniu z poczuciem winy związanej z prześladowaniem Nicka przez rodzinę Flemingów, sprawiła, że podjęła decyzję, którą rozważała już od pewnego czasu. Wiedziała, że namiętność Barry'ego Fleminga obróciła się w urażoną antypatię, kiedy dała mu kosza wyjeżdżając z Nickiem z Flemington. Jeśli Barry odgrywał się na niej prześladowując Nicka, musiała położyć temu kres.

- Niezależnie od tego, co robiła twoja matka, próbowała tylko przeżyć i opiekować się tobą. Nie aprobuję tego, co robiła, ale potrafię zrozumieć, dlaczego została do tego zmuszona. A już na pewno Barry Fleming, czy którykolwiek z Flemingów, nie ma prawa rujnować ci życia z powodu czegoś, co miało miejsce tak dawno. -Przerwała. - Nigdy nie żałowałam, że zabrałam cię do Nowego Jorku, Nick. Stałeś mi się bardzo drogi. Jesteś dla mnie synem, którego nigdy nie miałam. Chcę zrobić wszystko, żeby ci pomóc. Chcę ci dać poczucie bezpieczeństwa, poczucie przynależności. Jeśli ci głupi, snobistyczni nastolatkwie sądzą, że nie jesteś ich wart... cóż, pokażemy im, że się mylą.

Nick patrzył na Edith zmieszany.

- Co masz na myśli?

- Dam ci tyle pieniędzy, żebyś mógł im dorównać. Będziesz miał najlepsze ubrania... wszystko najlepsze! A ponieważ jesteś przystojniejszy, niż na to zezwala prawo, nie widzę powodu, czemu nie mógłbyś wybierać spośród posażnych panien w Nowym Jorku. Pokażemy im, kochany Nicku. Nie pozwolę, żeby jakieś pryszczate snoby zadzierały nosa przed moim synem. - Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę nad stołem i uścisnęła jego dłoń. - I tym właśnie zostaniesz: moim synem. Chcę cię oficjalnie adoptować, Nick. Myślałam o tym już od pewnego czasu, a teraz nadszedł właściwy moment. Zamkniemy gęby Flemingom. Nie powiedzą nic przeciwko tobie, kiedy sam będziesz Flemingiem. Ale chcę cię adoptować niezależnie od tego. Stałeś się moim synem, Nick. Teraz chcę ci dać moje nazwisko.

Dawny sierota patrzył na kobietę, którą darzył uwielbieniem. Pojął z oszołomieniem, że podaje mu świat na srebrnej tacy.

- No więc? - spytała z uśmiechem. - Pozwolisz mi zostać twoją matka?



- Naturalnie - wykrztusił. - I tak nią jesteś. To znaczy, zawsze tak o tobie myślałem... ale... dziękuję. Wygląda na to, że stale ci dziękuję, ale mówię to szczerze.

- Stawiam tylko jeden warunek - powiedziała. - Mam być z ciebie zawsze dumna.

Ze łzami radości i wdzięczności w oczach powiedział:

- Wolałbym się zabić niż zrobić coś, z czego nie byłabyś dumna. Edith Fleming nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa.

### ***Rozdział trzeci***

Pewnego wietrznego, śnieżnego dnia w marcu 1912 roku limuzyna Pierce Arrow zaparkowała przed okazałym kamiennym domem w stylu Belle Epoque przy Sześćdziesiątej Czwartej Wschodniej ulicy na Manhattanie, a szofer w żółtej liberii i lśniących butach wysiadł pospiesznie, by otworzyć drzwiczki. Podtrzymując ozdobiony piórami kapelusz, by nie porwał go silny wiatr, Edith Fleming wysiadła z limuzyny, weszła na schody swego domu i nacisnęła dzwonek. Chwilę później angielski lokaj, Gladwyn, otworzył okrato-wane drzwi i Edith weszła szybko do marmurowego hallu w asyście tumanu śnieżnych płatków.

- Czy mój syn jest w domu? - spytała, kiedy Gladwyn brał od niej sobolowe futro.

- Tak, proszę pani. Jest na górze u siebie.

- Powiedz mu, żeby natychmiast przyszedł do biblioteki.

- Doskonale, proszę pani.

Gladwyn zdawał sobie sprawę, że pani Fleming jest w burzowym nastroju.

Edith kupiła trzypiętrowy dom w 1901 roku, wkrótce po przeprowadzce do Nowego Jorku, płacąc dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów za jeden z najbardziej eleganckich budynków na Upper East Side. Teraz weszła do biblioteki, zamykając za sobą drzwi. Miała na sobie świetnie skrojony szary żakiet z wąską spódnicą i białą jedwabną bluzkę. Podeszła do biurka i wzięła tureckiego papierosa z malachitowego pudełka. Edith nadal nie paliła w miejscach publicznych, ale w chwilach gniewu paliła w miejscach prywatnych. A Edith Fleming była zła.

Wszedł Nick.

- Chciałaś mnie widzieć, mamó? - Miał na sobie szyty na miarę, granatowy garnitur. Dwudziestoczteroletni Nick nie tylko należał do najprzystojniejszych młodych ludzi w Nowym Jorku, ale także do najlepiej ubranych.

- Właśnie widziałam się z Maxem Fleetwoodem, moim adwokatem - powiedziała. - Czy znasz kobietę nazwiskiem Myra Stilson?

Kłopoty, pomyślał Nick.

- Tak. Poznałem ją na przyjęciu kilka miesięcy temu.

- Wobec tego sądzę, że powinienes zacząć chodzić na lepsze przyjęcia. Panna Stilson, która, jak rozumiem, ma dość luźny związek z przemysłem filmowym, oznajmiła mojemu adwokatowi, że jest z tobą w ciąży. Twierdzi, że obiecałaś się z nią ożenić.

- To kłamstwo!

- Być może. Jednak ta panienska oświadczyła, że jeśli nie zapłacę jej pięciu tysięcy dolarów, wytoczy proces o złamanie obietnicy. Czy mówi prawdę?

- Kochałem się z nią, ale robiło to także wielu innych. Wątpię, czy potrafiłaby udowodnić, że to ja jestem ojcem. Edith zdusiła papierosa w malachitowej popielniczce.

- Czy sądzisz, że zainwestowałam sporą sumę pieniędzy w twoje wykształcenie po to, żebyś mógł sypiać z tanimi aktoreczkami? Wydaje mi się, że pamiętam, jak pewien młody człowiek zapewniał mnie, że będzie ciężko pracował i będę z niego dumna, jeśli tylko dam mu szansę. No więc miałeś swoją szansę, Nick, o tak! Dałam ci wszystko co najlepsze, a co ty zrobiłeś? Zostałeś przeciętnym maklerem giełdowym na Wall Street, który wpada w długi, spłacane przeze mnie, przestaje z największymi szumowinami Nowego Jorku, wobec kobiet postępuje absolutnie niemoralnie, a do tego wszystkiego zapładnia jakąś biedną dziewczynę, która okazała się pewnie na tyle głupia, że dała się nabrać na jego pochopne obietnice! Czy mam być z tego dumna, Nick?

- Nie - odparł.

Edith westchnęła i usiadła.

- Cóż, jestem chyba zbyt surowa. Wiem, że cię rozpieściłam. Dawałam ci za dużo pieniędzy, zachęcałam, żebyś je wydawał i stał się „czarujący”, żeby twoi znajomi nie zadzierali przed tobą nosa. To wszystko oczywiście uderzyło ci do głowy. Stałeś się zbyt czarujący! Och, jestem wściekła na ciebie, ale także na siebie.

Nick podszedł do niej, objął ją i pocałował w policzek.

- Nie bądź na siebie wściekła - powiedział. - Ty tylko próbowałaś mi pomóc, i to jest wspaniale. Wiem, że cię zawiodłem. Jeśli o to chodzi, zawiodłem także samego siebie, ale mam też dobre nowiny...

- Nie zmieniaj tematu! - przerwała mu Edith. - Wróćmy do tej Stilson. Zapłacę jej pięć tysięcy dolarów, bo nie chcę, żeby twoje i moje nazwisko znalazło się w gazetach w związku z jakimś brudnym procesem. Ale wyciągam cię po raz ostatni. Od tej chwili sam finansowo za siebie odpowiadasz. Dotychczas dawałam ci za dużo pieniędzy i rozpieściłam cię. Teraz sam będziesz się musiał utrzymywać, co może trochę wyrobi ci charakter. Naturalnie, możesz nadal mieszkać w tym domu, ale musisz płacić za swoje ubrania i wszystko inne. I koniec z aktorkami! Wstał, wsunął ręce do kieszeni i podszedł do jednego z dwóch okien wychodzących na Sześćdziesiątą Czwartą ulicę. Wiedział, że wszystko zawdzięcza Edith.

- Masz rację - powiedział. - Od tej pory będę się sam utrzymywał. Jak sądzisz, ile pieniędzy wydałem w ciągu tych ostatnich dwunastu lat?

- Nie o to chodzi.

- Między innymi właśnie o to. - Odwrócił się i spojrzał na Edith. - Poprosiłem cię o pożyczkę i powiedziałem, że spłacę wszystko z procentem. Byłaś dla mnie hojna, nawet rozrzutna, a ja tylko brałem i brałem... Przypuszczam, że w zabawie próbowałem zapomnieć, kim jestem. A bawiłem się nieźle, może nawet za dobrze.

- Nie żałuję ci tego, Nick. Chcę, żebyś się cieszył życiem! Ale chcę być z ciebie dumna i myślę, że mam do tego prawo.

- Oczywiście, że masz. W każdym razie spłacę ci wszystko w ciągu trzech lat.

- Och, Nick, nie bądź taki dziecinny! - wykrzyknęła z irytacją. - Po pierwsze, nie chcę tych pieniędzy, a po drugie, nie powinieneś składać takich deklaracji! Nie chcę, żebyś robił coś głupiego na Wall Street, żebyś się mieszał do jakiegoś szalonego hazardu, żeby tylko zarobić dużą sumę.

- Odchodzę z Wall Street.

- Co?

- Słyszałaś o Spółce Zbrojeniowej Ramschilda?

- Oczywiście. To gdzieś w Connecticut.

- Alfred Ramschild jest klientem mojej firmy, a ja udzieliłem mu

kilku porad giełdowych, które mu wyszły na dobre, nie jestem takim całkowitym zerem. Ramschild zaproponował mi u siebie posadę sprzedawcy, dobrą posadę. Pięć tysięcy rocznie plus dodatki. To znacznie więcej niż moja pensja na Wall Street.

- Ale ty zupełnie się nie znasz na broni!

- Mogę się nauczyć. Poza tym, wreszcie się wydostanę z Nowego Jorku. - Uśmiechnął się. - Masz rację mówiąc, że brak mi charakteru. Nowy Jork to ostatnie miejsce na kształtowanie charakteru.

- Ale musisz to przemyśleć... to poważny krok. Nick zaśmiał się i podszedł do Edith.

- Wydaje mi się, że przypominam sobie, jak pewna urocza dama powiedziała mi dawno temu, że najlepsze decyzje podejmuje się na gorąco. - Objął ją i delikatnie pocałował w policzek. - Czy nie zdziwiłabyś się, gdyby mi się mimo wszystko udało?

Spojrzała na niego, przygryzając wargę.

- Do diabła z tobą - powiedziała, wyjmując z kieszeni bluzki koronkową chusteczkę.

- Dlaczego? Co się stało? Edith otarła oczy z uśmiechem.

- Będę za tobą tęsknić jak za samym diabłem, a nie powinnam. Powinnam się cieszyć, że się ciebie pozbywam.

- Och, jeszcze o mnie usłyszysz. Wrócę jak przysłowiowy zły szeląg. - Znowu ją pocałował. - Ja też będę za tobą tęsknić. Nic lepszego niż ty nie mogło mi się w życiu przytrafić.

Edith Fleming wiedziała, że mówił prawdę. Mimo że uroczy syn ją irytował, jego otwarta miłość wynagradzała z nawiązką wszystkie rozczarowania.

- Wiesz - powiedziała w przyпіywie charakterystycznej dla siebie pogody ducha - to może być dobry pomysł.

- Oczywiście, że to dobry pomysł! Ale skoro mam być sprzedawcą, potrzebny mi samochód.

- Och, Nick. - Westchnęła. - A ja myślałam przez jedną szaloną chwilę, że się poprawiłeś!

- Nie musi to być elegancki samochód, wystarczy Model T. Spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem, kręcąc głową.

- Mój Boże, jak ja za tobą szaleję! Czy kiedykolwiek zmądrzeję? Dobrze, kupię ci samochód. Spłacisz dług, kiedy zostaniesz potentatem zbrojeniowym.

- Czy nie zdziwiłabyś się, gdyby faktycznie tak się stało?

Nick nie miał o tym pojęcia, ale nie mógł wybrać lepszego momentu na wejście do interesu zbrojeniowego. Zaledwie dwa lata po tym, jak zaczął pracować dla Alfreda Ramschilda, arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego morgantyczna małżonka zostali zamordowani w Sarajewie, a Europa pogrążyła się w pierwszej z dwóch wielkich wojen, które miały zmienić oblicze świata. Nie oznacza to że przedsiębiorstwo Alfreda Ramschilda nie prosperowało świetnie podczas długich lat wiktoriańskiego pokoju. Wojny kolonialne nigdy nie ustawały, a w roku 1901 zarobiło miliony na sprzedaży karabinu Ramschild A-16 armii sułtana Turcji. Istniało też stałe zapotrzebowanie na strzelby myśliwskie. Spółka, założona przez ojca Alfreda podczas wojny domowej, była maszynką przynoszącą stały dochód ale wojna światowa uczyniła Alfreda Ramschilda multimilionerem.'

Był dziwnym człowiekiem jak na potentata zbrojeniowego Nienawidził polowań i zabraniał ich w swej zalesionej, liczącej osiemdziesiąt akrów posiadłości pod Fairmount w stanie Connecticut mimo że na tych terenach roiło się od zwierzyny. Uważał wojny za ohydę i uspokajał własne sumienie mówiąc, że produkuje broń tylko dlatego, że gdyby tego nie robił, robiłby to ktoś inny, czemu więc wyrzekać się uczciwego zysku? Miał dwie życiowe pasje: malarstwo i muzykę kameralną; był złym malarzem-amatorem, za to dobrym piaiustą-amatorem. W jego trzydziestopokojowym domu imitującym styl Tudorów były nie tylko dwa fortepiany Steinwaya, ale także klawikord, organy oraz kolekcja instrumentów strunowych, w skład której wchodziły skrzypce Amati i Stardivariusa. Idealny wieczór przedstawiał się według Alfreda następująco: najpierw wydawał wystawny obiad, a następnie prowadził gości do niskiej sali muzycznej, gdzie wraz ze skrzypkiem i wiolonczelistą grali przez dwie godziny Beethovena. Nawet gdy goście kiwali głowami i podsypiali, Alfred był szczęśliwy, pogrążony w muzyce zacierającej obrazę skąpanych we krwi pól bitewnych, ran, amputowanych kończyn, gangreny i śmierci, spowodowanej kulami i pociskami, które wytwarzano w milionach egzemplarzy w jego fabryce.

Nick ciężko pracował u Ramschilda. Był urodzonym sprzedawcą, wygadany i obdarzony nieograniczonym wdziękiem, a ponadto po haniebnym epizodzie na Wall Street z całego serca pragnął odnieść sukces. Po ciasnym biurze firmy brokerskiej na Wall Street podróżowanie po kraju Modelem T i sprzedawanie karabinów i strzelb myśliwskich stanowiło przyjemną odmianę. W ciągu jednego miesia-

ca - kwietnia 1916 - zarobił na zamówieniach dwa tysiące dolarów, co spotkało się z wielką aprobatą Alfreda Ramschilda. Pracodawca bardzo lubił Nicka, a ten robił wszystko, by mu się przypodobać. Świadom zamiłowania Alfreda do muzyki kameralnej, Nick rozważał nawet możliwość pobierania lekcji gry na skrzypcach, w nadziei na to, że zostanie zaproszony do Graystone, posiadłości Ramschilda, by przyłączyć się do trio czy kwartetu. Doszedł jednak do wniosku, że byłoby to szyte zbyt grubymi nićmi - zresztą miał bardzo marny słuch - ale najbardziej zdumiewał go i frustrował fakt, że pomimo przyjacielskiego nastawienia Alfreda utęsknione zaproszenie nie nadchodziło. Innych pracowników zapraszano często. Nicka wcale.

W końcu, w czerwcu 1916 roku, Alfred wezwał Nicka do swego gabinetu i oznajmił:

- Nick, jutro wieczorem moja żona i ja wydajemy kolację. Chcielibyśmy, żebyś nas odwiedził. Możesz przyjść?

Patrząc na potężnego, brodatego mężczyznę, Nick tłumił ochotę, by krzyknąć z radości.

- Tak, sir, z przyjemnością.

- Dobrze. Bądź o siódmej. Aha, i Nick... - Zawahał się, a Nick odniósł wrażenie, że Ramschild jest zakłopotany. - Moja żona potrafi być nieco... oficjalna. Nie zraż się tym, że początkowo może ci się wydać trochę chłodna. Jestem pewien, że polubi cię przy bliższym poznaniu.

Była to dziwna uwaga. Nick wiedział z plotek, że pani Ramschild jest snobką. Zdażył jednak zdobyć dość oglądy i pewności siebie, by sądzić, że da sobie z nią radę. Alfred Ramschild nie należał do ludzi, którzy mówią coś zbytecznie.

- A tak przy okazji - dodał - będzie moja córka. Właśnie ukończyła Vassar. Bardzo bym chciał, żeby poznała naszego nowego asa sprzedaży.

Nick wynajął dwa pokoje w pensjonacie w Fairmount, ponieważ miasteczko nie miało do zaoferowania nic lepszego, a następnego wieczoru włożył smoking, przygładził włosy, spojrzął w lustro i uśmiechnął się z pewnością siebie ludzi młodych i pięknych. Oczaruję starą Ramschildową tak, że zapomni, jak się nazywa, pomyślał. A skoro tata wyduje się zainteresowany tym, żebym poznał jego córkę, cóż... kto wie?

Droga do Graystone prowadziła obok brzydkiej, ceglanej fabryki Ramschilda, która usadowiła się na zachodnim brzegu rzeki Connecticut, trzy mile od miejsca, gdzie wpadała do cieśniny Long Island. Nick wiedział, że fabryka wylewa do rzeki tony odpadów, a wysoki komin zanieczyszcza powietrze, i choć nic na to nie mógł poradzić, nie aprobował tego faktu. Kiedy jednak minął fabrykę, znalazł się pośród pięknego wiejskiego krajobrazu Connecticut, gdzie śliczne domy w stylu kolonialnym, czerwone stodoły i krowy rasy Holstein cofały zegar do ery przedindustrialnej. Dwadzieścia mil od Fairmount ciężka brama z kamienia i kutego żelaza z przylegającą do niej kamienną stróżówką witały gościa w domu, który dziennikarz pacyfistyczno-liberalnej gazety „Masy” określił jako „dom zbudowany przez śmierć”. Alfred Ramschild bezskutecznie usiłował doprowadzić do tego, by autor tego komentarza znalazł się na bruku.

Nick jechał krętą drogą pół mili przez las, który tego czerwcowego wieczoru kipiał życiem, roił się od komarów, muszek, saren, wiewiórek i rozbrzmiewał kumkaniem żab. W końcu droga weszła w ostatni zakręt, las ustąpił miejsca trawnikom i klombom, a Graystone ukazało się w całej swojej pseudotudorowskiej krasie. Alfred wzniósł dom w 1897 roku, polecając architektowi, by zaprojektował coś, co „spodobałoby się Henrykowi VIII”. W rezultacie powstał dom najeżony misternymi ceglanymi kominami w stylu elżbietańskim, z drewniano-gipsową fasadą, ceglanymi skrzydłami i ogromnymi oknami w ołowianych ramach. Nie wiadomo, czy dom przypadłby do gustu Henrykowi VIII, ale Alfred Ramschild był nim zachwycony.

Podobnie jak Nick.

Zaparkowawszy Model T pośród innych, bardziej okazałych pojazdów, podszedł do rzeźbionych drewnianych drzwi, którymi lokaj wpuścił go do środka. Minąwszy stojącą w sieni zbroję Nick wszedł do głównego wysokiego salonu z ogromnym kamiennym kominkiem. Alfred powitał go cały w uśmiechach, ale kiedy przedstawiono go Arabelli Ramschild, Nick pomyślał, że „oficjalna” i „chłodna” to eufemizmy na określenie góry lodowej, jaką okazała się ta kobieta. Wysoka, godna, elegancko ubrana i przystojna pani Ramschild uściśnęła dłoń Nicka i zdobyła się na pogardliwe „Dobry wieczór”, w którym pobrzmiwał entuzjazm, z jakim przywitałaby tredowatego.



Co ja jej, u diabła, zrobiłem, zastanawiał się Nick, kiedy Alfred pospiesznie odciągnął go od żony, by przedstawić tuzinowi innych gości.

- A to moja córka, Diana - powiedział w końcu.

Była łagodniejszą wersją matki, a także skończoną pięknnością. Nick miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a Diana była zaledwie dziesięć centymetrów niższa - równie wysoka jak matka. Miała miodowe włosy uczesane w modnym, greckim stylu, olśniewające zielone oczy i doskonały nos. Była ubrana w białą sukienkę z różową jedwabną szarfą. Patrzę nie tylko na nieziemski majątek, pomyślał Nick, ale także na nieziemską kobietę!

A więc wreszcie poznałam sławnego Nicka Fleminga - powiedziała Diana po obiedzie, kiedy wyszli na jeden z tarasów.

- Nie wiedziałem, że jestem sławny.

- O, mój ojciec mnóstwo o tobie mówi. Uważa, że jesteś inteligentny, ambitny i pewnego dnia zostaniesz kimś.

- Myślę, że już jestem kimś.

- Ach tak? Skromności, na imię ci Fleming.

- Twoja matka ma mnie za kogoś odrażającego. Widziałem, jak mnie mierzyła wzrokiem podczas kolacji. Gdyby jej wzrok mógł zabijać, grabarz miałby teraz pełne ręce roboty.

Diana przystanąła przed dużym kamiennym wazonem, pełnym różowych kwiatów geranium.

- Przepraszam za matkę - powiedziała cicho. - Jest naprawdę bardzo miła, z wyjątkiem jednej sprawy, w której traci cały rozsądek.

- Mianowicie? Diana zawahała się.

- Matka jest okropną antysemitką. Kiedy ojciec powiedział jej, że jesteś pół-Żydem, czego nie powinien robić, oświadczyła, że nie chce cię tu zapraszać. Ojciec walczył z nią przez kilka miesięcy, aż w końcu uległa. Wiedziałam, że będzie się do ciebie okropnie odnosić, i fatalnie się czuję z tego powodu. Czy przyjmiesz moje przeprosiny za nią?

- Przyjmę twoje przeprosiny - powiedział po chwili. - Ale kiedyś zmuszę ją, by mnie sama przeprosiła.

- Mam nadzieję, że ci się uda, ale nie liczyłabym na to.

- Chcesz się założyć? Stawiam dziesięć dolarów na to, że jeszcze przed końcem wieczoru polubi mnie, a przynajmniej będzie ze mną rozmawiać. Jestem najbardziej uroczym pół-Żydem, jaki się kiedykolwiek urodził. Diana wybuchnęła śmiechem.

- Jakiś ty skromny! Zgoda, zakład stoi. Mam nadzieję, że to ja przegram.

Ujęła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem do domu. „Sławny” Nick Fleming spodobał się Dianie Ramschild, a jego szerokie ramiona i przystojna śniada twarz ekscytowały ją bardziej, niż się przed sobą przyznawała.

Goście zajmowali miejsca w sali muzycznej, gdzie Alfred siedział przy fortepianie, a pozostali muzykanci stroili instrumenty. Nick podszedł do sofy, na której królowała pani Ramschild. Usiadł obok gospodyni, która zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. On się uśmiechnął, ona zmarszczyła brwi.

- Chciałem pogratulować pani deseru, pani Ramschild. To był najlepszy *crème renversée*, jaki zdarzyło mi się jeść, może z wyjątkiem tego, który podano u pani Vanderbilt.

Jej lodowate oczy otworzyły się nieco szerzej.

- Której pani Vanderbilt? - spytała oschle.

- Matki Reggiego - odparł niedbale. - Grywam z Reggie w pokera u Canfielda, to znaczy, grywaliśmy, zanim się tu przeprowadziłem. Ale to była wspaniała kolacja.

- Dziękuję.

- Pan Ramschild powiedział mi, że mają dziś grać Mozarta. Bardzo lubię Mozarta. Mój kolega z pokoju z czasu studiów, Bayard Phipps, często grywał Mozarta. Naturalnie nie był zbyt dobry, ale jednak...

Znowu to samo spojrzenie.

- Mieszkałeś z Bayardem Phippsem?

- Tak, w Princeton. - Rozejrzył się po pokoju. - Pani dom bardzo mi się podoba. Jest taki wygodny, ma ludzkie wymiary, nie tak jak The Breakers, ogromne i na pokaz.

- Chodziłeś do The Breakers?

- Tak. z Reggie. Ale nie podobało mi się. Jest za duże, podobnie

jak wszystkie domy w Newport. Ten dom jest idealny, a pani gust, jeśli chodzi o meble, cudowny.

Nick znowu się uśmiechnął i spostrzegł z rozbawieniem, że pani Ramschild odwzajemnia uśmiech.

Jak to zrobiłeś? - spytała Diana na tarasie, wręczając mu dziesięć dolarów. - Obserwowałam ciebie i matkę... Myślę, że ona cię nawet lubi!

- Wtrącałem do rozmowy mnóstwo nazwisk osób z towarzystwa, których nigdy nie spotkałem - odparł z szerokim uśmiechem. - Poza tym podlizywałem się jej beczelnie, a to zawsze działa.

- Jakie to okropne! - Zachichotała.

- Doprowadzę do tego, że pod koniec lata będzie mówiła w jidysz.

- Myślę, że to ci się może udać.

- Zjesz ze mną jutro kolację?

- Widzę, że nie marnujesz czasu.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Przyjrzała mu się w blasku księżyca. Jest zbyt gładki, pomyślała. Ale jest też zabawny i czarujący. I przystojny jak diabli.

- Zgoda. Ale proszę się nie posuwać zbyt szybko, panie Fleming. Nie lubię zbyt szybkich mężczyzn.

- Och, jestem bardzo powolny - odparł niewinnie. - Bezpieczny, powolny Fleming. Przyjaciele mówią do mnie Nick.

- Dobrze... Nick. - Uśmiechnęła się.

Coś jej mówiło, że ten pewny siebie młody człowiek jest siłą, z którą należy się liczyć.

Na libertyńskim Manhattanie Nick prowadził bujne życie miłosne, ocierając się niekiedy o procesy sądowe, jednak przeprowadzka do Connecticut poważnie je ukróciła, zmuszając go do „kształtowania własnego charakteru”, czy mu się to podobało, czy nie. Pomimo dowcipów o podróżujących sprzedawcach, małe miasteczka amerykańskie były zaprzeczeniem siedlisk rozpusty, a Nick mógł zliczyć swoje podboje na palcach jednej ręki: pokojówka hotelowa tu, kelnerka tam. Jego popęd seksualny dorównywał siłą ambicji - Nick był stale napalony - i choć nie sądził, by Diana Ramschild należała do kobiet, które można uwieść, nie gasła w nim nadzieja.

Pojechał po nią do Graystone, a kiedy oddalili się od domu, zapytał:

- Powiedziałaś matce, że spotykasz się ze mną?

- Tak.

- Czy to ją zmartwiło?

- Cóż... trochę.

- Mhm. - Wyjął z kieszeni banknot dziesięciodolarowy i wręczył go Dianie.

- Zwracam ci dziesięć dolarów. Wczoraj jednak przegrałem zakład. Dużo myślałem o twojej matce. Jest zbyt sprytna, by dać się nabrać na moje pochlebstwa. Trochę złagodniała, ale nadal mnie nie lubi.

- Musisz dać jej szansę.

- Jasne, że dam jej szansę i zrobię wszystko, żeby być dla niej miły. Po prostu czuję w kościach, że to się nie uda.

Diana postanowiła, że im mniej będą rozmawiać o matce, tym lepiej.

Pojechali ku rzece Connecticut, do stojącej nad cieśniną dobrej restauracji z morskimi potrawami. Zaprowadzono ich do stolika na krytej werandzie; zamówili homara gotowanego na parze i butelkę Muscadet. Czerwcowe słońce miało zajść dopiero za godzinę, a pełna żaglówek cieśnina przypominała morski pejzaż Boudina.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił, patrząc w jej zdumiewająco zielone oczy. - Masz adoratorów?

- Och, mnóstwo. Ale jak na razie żadnego poważnego.

- A więc jest nadzieja.

- O, o, nie za szybko.

- Mam całe lato.

Całe lato - Dianie wydało się nagle, że to dwa najpiękniejsze słowa w języku angielskim. Zamierzała mu powiedzieć, że na czerwiec i lipiec ma pojechać z matką na Martha's Vineyard, ale zmieniła zdanie, nie wiedząc dokładnie dlaczego.

- Zazdroszczę mężczyznom - powiedziała, przerywając milczenie, które stało się nieco kłopotliwe.

- Dlaczego?

- Och, jest tyle rzeczy, którymi możecie się zajmować. Na przykład biznes. Myślę, że cudownie byłoby robić to, co ty albo ojciec. Strasznie chciałabym kierować przedsiębiorstwem takim jak Ramschild.

Był tak oczarowany Diana, że ledwo zwracał uwagę na to, co

dziewczyna mówi. Wyobrażał sobie, że się z nią kocha. Przebywając w towarzystwie kobiet, robił to zawsze, ale teraz czuł coś innego.

- Naprawdę? Sprzedawanie broni jest chyba rzeczywiście ciekawsze niż sprzedawanie ubezpieczeń, ale frajda tkwi w samej sprzedaży. Wiem, że uważasz mnie za zbyt szybkiego, ale czy lubisz mnie choć trochę?

- Chyba tak. Dlaczego pytasz? - Diana sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Ponieważ chcę zrobić wszystko, żebyś mnie bardzo polubiła.

- Dlaczego?

- Wiem, że moje słowa wydadzą ci się tanie i melodramatyczne, ale myślę, że się w tobie zakochuję.

Była zdumiona, w jakie podniecenie wprawiło ją to wyznanie.

- Ależ niemożliwe, żebyś był zakochany! Dopiero się poznaliśmy.

- Tak to się właśnie dzieje.

- W powieściach i sztukach.

- Nie, w życiu! Ludzie poznają się i zakochują w sobie. Nie uważasz, że miłość jest w życiu najważniejsza?

Czuła się wstrząśnięta jego intensywnością, intensywnością jego oczu. Nigdy jeszcze nie poznała podobnego człowieka.

- Myślę... myślę, że może tak być, kiedy człowiek czuje wielką miłość... kiedy ktoś jest na tyle szczęśliwy, żeby to odczuć. Ale myślę, że niewielu ludzi poznaje taką miłość. Wydaje mi się, że większość ludzi po prostu... - Zawahała się, czując się nagle niezręcznie - bierze ślub.

- Gdybym w to wierzył, wołałbym umrzeć.

- Teraz naprawdę mówisz głupstwa.

- Powiedzenie, że młodym jest się tylko raz, brzmi głupio, ale tak się składa, że to prawda. Jestem młody i chcę doświadczyć wszystkiego, co tylko mogę, a zwłaszcza miłości. I właśnie to mi się przydarzyło. - Obdarzył ją najcudowniejszym uśmiechem, jaki w życiu widziała. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem świata!

Diana także poczuła się nagle szczęśliwa.

Mamo, chyba nie chcę jechać w tym roku na Martha's Vineyard.

Arabella Ramschild odstawiła sok pomarańczowy i spojrzała na córkę. Siedziały w skąpanym słońcem pokoju śniadaniowym w Gravstone.

- Dokąd w takim razie chcesz jechać?
- Donikąd. To znaczy, chcę zostać tutaj i popracować nad francuskim.
- Możesz to robić na Vineyard.
- Nie, tam za bardzo się rozleniwiam.

Arabella spojrzała na męża. Alfred wzruszył ramionami, toteż ponownie popatrzyła na córkę.

- Chodzi o tego Fleminga, prawda? Mam nadzieję, Diano, że nie zaczniesz o nim myśleć poważnie.
- Powiedziałam ci, że chcę pracować nad francuskim.
- Jeszcze nikt w całej historii ludzkości nie zrezygnował z wakacji na Martha's Vineyard, żeby pracować nad francuskim. Nie obrażaj mojej inteligencji.
- Dobrze, a jeśli rzeczywiście chodzi o Nicka?

W jej głosie zabrzmiał nagle taki bunt, że matka nakazała sobie ostrożność. Arabella wiedziała, że Diana ma duszę wojownika.

- Czy mogę zapytać, co się dzieje?
- Nic się nie dzieje, ale, mamo, on naprawdę jest kimś niezwykłym. Sama przyznałaś, że jest czarujący.
- W gładki, sztuczny sposób. Nie wierzę w połowę z tego, co mi powiedział, i mam nadzieję, że ty też.
- Ale on przeżywa wszystko tak intensywnie. Jeszcze nigdy chyba nie spotkałam człowieka tak pełnego życia.
- Powiedziałabym raczej, że jest pełen... fałszywych pochlebstw. Nie powiem ci, co możesz, a czego nie możesz robić. Jeśli tego lata chcesz zostać w domu, to twoja sprawa. Ale pamiętaj: Nick Fleming jest Żydem, a jeśli kiedykolwiek widziałam młodego człowieka, który pnie się do góry za wszelką cenę, to właśnie jego. Nie bądź aż tak ślepa, by sądzić, że nie zależy mu na twoich pieniądzech.

Diana odrzuciła serwetkę i wstała od stołu.

- Mamo, kiedy cię słucham, czasami chce mi się rzygać! Odwróciła się i wybiegła z jadalni.
- To nie było uczciwe, Arabello - zauważył Alfred. - Nick jest jednym z najlepszych młodych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem.
- Czy chciałbyś, żeby został twoim zięciem? - odpaliła.
- Tak - odparł chłodno.

Arabella z niedowierzaniem potrzaskała głową.

Nick przeżywał miłość z całą ognistą żarliwością swej półrosyjskiej duszy, żarliwością, która została niemal ugaszona przez lata dyscypliny narzucanej mu przez anglofilskich nauczycieli i wychowawców w szeregu snobistycznych szkół, do których posyłała go Edith Fleming. Kształcili go i uczyli manier, by jak najbardziej uwydatnić jego naturalny wdzięk. Teraz jednak był zakochany, a wszystko inne wydawało mu się trywialne. Diana Ramschild pochłaniała go, a kiedy nie był z nią, życie stawało się banalne. Stracił nawet zainteresowanie robieniem pieniędzy, a dla tak ambitnego młodego człowieka jak Nick był to poważny znak. Zaczęli się spotykać co wieczór. Początkowo Diana umawiała się z nim między innymi po to, by zrobić na złość matce. Jednak pod koniec pierwszego tygodnia spostrzegła, bliska omdlenia, że matka nic jej nie obchodzi - była zakochana w Nicku nie mniej niż on w niej.

W swoim podboju Nick uważał, by nie posuwać się zbyt szybko w sferze seksu; domyślał się, że Diana jest niewinna. Kiedy jednak na trzeciej randce pocałował ją po raz pierwszy, zaskoczyła go namiętnością odpowiedzi - pod chłodną maską greckiej bogini Diana Ramschild płonęła równie gorąco jak Nick.

Pierwsze wspólne sobotnie popołudnie spędzili spacerując bosy po opuszczonej plaży nad cieśniną.

- Matka wybiera się jutro na Vineyard, ale ja zostaję w domu.

- Gdybyś pojechała, ruszyłbym za tobą.

- Tak, myślę, że byś to zrobił.

- Twoja matka jest pewnie na mnie wściekła.

- Sądzi, że chodzi ci o moje pieniądze. - Uważaj, powiedziała sobie. - Ma rację?

- Zanim cię poznałem, myślałem, że miło byłoby złapać córkę szefa. Każdy mężczyzna myślałby tak samo, a gdyby zaprzeczał, kłamałby. Teraz, kiedy cię znam, nie obchodziłoby mnie, gdybyś nie miała grosza.

Diana przystanęła, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

- Miałam nadzieję, że to powiesz! Och, Nick, miałeś rację: miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie! To ty mnie tego nauczyłeś i kocham cię za to.

Po raz pierwszy użyła słowa „miłość”, które zabrzmiało słodko.

- Kocham cię - wyszeptał. - Została nam dana jedna z tych wielkich miłości, jaka spotyka tylko nielicznych szczęściarzy.

Pocałował ją zachłannie, a Diana pojęła w końcu sens słowa „ekstaza”.

- Jesteśmy szczęściarzami - szepnęła między pocałunkami. - Nielicznymi szczęściarzami... Och, Nick, pragnę cię bardziej niż samego życia.

Instykt podpowiedział mu, że nadszedł odpowiedni moment.

- Chodź! - powiedział, biorąc dziewczynę za rękę i puszczając się biegiem plażą.

- Dokąd biegniemy? - wydyszała.

- Zobaczysz. To niespodzianka.

DJa Nicka to nie była niespodzianka. Znał to miejsce i pamiętał

o nim, na wypadek gdyby nadarzyła się okazja. Był to duży, kryty gontem dom nad cieśniną, który wystawiono na sprzedaż przed sześcioma miesiącami. Kiedy dotarli do zadaszonej frontowej werandy, Diana przyglądała dłonią złote włosy.

- Czyj to dom? - spytała.

- Starego pana Gersona, który zmarł zeszłej zimy. Próbują go sprzedać, ale bez powodzenia. Oglądałem go parę tygodni temu.

Podszedł do jednego z dużych okien salonu, sięgnął pod okiennicę i wyciągnął klucz.

- Agent od nieruchomości nie był za sprytny.

Patrzyła, jak Nick otwiera drzwi. Potem schował klucz do kieszeni i wyciągnął do niej dłoń.

- Chodź - szepnął.

Wiedziała, co się dzieje. Ujęła prawą dłoń Nicka i weszli do środka. Nie było tam żadnych mebli, tylko duże, puste pokoje i słaby, wilgotny zapach domu, który czeka, aż się go obdarzy miłością. Nick zaprowadził Dianę do salonu, którego brudne okna wychodziły na cieśninę. Wziął ją w ramiona i zaczął delikatnie całować.

7 Kocham cię, Dianio - powtarzał.

Ściągnął z niej wełniany sweter.

- Kocham cię, Nick - odpowiedziała szeptem, kiedy zaczął rozpinąć jej białą bluzkę. Był to jej pierwszy raz i zdumiewała się faktem, że ani trochę nie próbuje udawać skromności. Pragnęła go z intensywnością, która napełniała ją niemal przerażeniem i która drwiła sobie z cnotliwego zachowania, jakie wpajano jej przez całe życie.

Diana, wychowywana w tradycji Kościoła episkopalnego, czuła się teraz czystą poganką.

Kiedy stali nadzy, Nick sporządził na podłodze zaimprovizowane



posłanie ze swoich ubrań, uklęknął i spojrzał na Dianę. Jej ciało było pełne jak dojrzała brzoskwinia, duże, miękkie sutki wieńczyły silne piersi. Znowu wyciągnął do niej rękę.

- Jesteśmy szczęściarzami - powtórzył. - Jesteśmy wyjątkowymi kochankami. Nasza miłość będzie trwała całą wieczność.

- Wieczność - szepnęła, biorąc jego rękę i klękając na posłaniu. Zadrżała lekko, czując dotyk jego ciepłego, silnego ciała. Głaskał jej plecy, namiętnie pieścił ciało, całując usta, policzki, szyję, ramiona, piersi. Jęknęła, kiedy wziął w usta sutki. Serce waliło jej mocno, kiedy silne dłonie Nicka wędrowały wokół talii.

- Nick, Nick - mruzczała. - Moja miłości... moja wieczna miłości...

Położył ją na podłodze. Ubranie Nicka zamieniło się już w skotłowany kłęb i Diana dotykała plecami chłodnego, zakurzonego drewna podłogi, ale nie dbała o to - bez trudu mogła sobie wyobrazić, że leży na łące pachnącej koniczyzny. W pokoju panował mrok, ale czuła pot na gładkim ciele Nicka, kiedy zaczął się z nią kochać. Twardy członek wdierał się w nią; niemal krzyknęła, kiedy przebił błonę dziewiczą.

- O Boże, o Boże - dyszała, a Nick powoli wchodził w nią i wychodził. Dianie przemknęło przez głowę, że musiał się już kochać z wieloma kobietami, ale to także jej nie obchodziło; liczyła się tylko słodka ekstaza miłości, która rozpląmniała jej ciało, wypełniając umysł doznaniem, o których nawet jej się nie śniło. Nie dbała nawet o to, czy zajdzie w ciążę - wiedziała, że Nick postąpi właściwie. Ich miłość miała trwać zawsze, całą wieczność.

Jęczała i dyszała jak zwierzę. Paznokcie Nicka wbiły się w jej ciało.

- Zaraz będzie po wszystkim - wydyszał, a ona nie zrozumiała, póki nie poczuła w sobie powodzi ciepła. Wydała okrzyk rozkoszy, osiągając pierwszy w życiu orgazm.

Później leżeli objęci, patrząc przez brudne okna na zachodzące słońce.

- To było takie piękne - szepnęła całując go w policzek. - Niech cię Bóg błogosławi za to, że to było takie piękne.

Nick pogładził ją czule po twarzy. Potem usiadł.

- Potrzebny nam sekretny znak - powiedział z uśmiechem.

- Jak to?

- Twoja matka tak mnie nie cierpi, że potrzebny nam jakiś sygnał, którym będziemy mogli się porozumieć, kiedy ta stara wiedźma będzie w pobliżu.

- Nick!

- Dobrze, potrzebny nam znak, który nam przypomni, że się kochamy i że nie musimy się jej słuchać. O tak.  
Podniósł prawą dłoń, krzyżując palce.

- Zrób to samo.

Podniosła prawą dłoń, krzyżując palce.

- W ten sposób?

- Właśnie. Kiedy skrzyżujemy palce, nikt poza nami nie zrozumie, co to znaczy. A oznacza to naszą miłość. Na zawsze.

Diana pomyślała, że pomysł, podobnie jak wnioskodawca, jest wspaniały.

### ***Rozdział czwarty***

Dianę zdumiewała intensywność własnego szczęścia; myślała o tym, jak puste było jej życie bez Nicka. Była tak szczęśliwa, że nie mogła się powstrzymać przed droczeniem się z matką, antysemitką, mówiąc jej, że rozważa przejście na judaizm. Nie było to mądre, ponieważ Arabella wykazywała w tej materii słabe poczucie humoru i szczerze ją przerażało, że córka jest tak bardzo zakochana w człowieku, do którego ona zaczynała żywić nienawiść. Kiedy byli razem, Nick i Diana z trudem powstrzymywali się od dotykania się; ich związek nabrał intensywnie fizycznego charakteru. Na dziesiątej randce poszli obejrzeć Thedę Bara w *Carmen* - która weszła na ekrany w tym samym czasie, co *Carmen* Geraldine Farrar - i bezwstydnie całowali się przez cały film. Po wyjściu z kina poszli do samochodu Nicka trzymając się za ręce.

- Jak stoją moje akcje u twojej matki? - spytał Nick. Diana zawahała się.

- Och, wydaje mi się, że zaczyna cię lubić - skłamała. Nick wybuchnął śmiechem.

- Co znaczy, że gdyby miała okazję mnie udusić, zrobiłaby to raczej szybko niż wolno. Nie, uważam, że musimy zachować zimną krew i przyprawić ją o prawdziwą apopleksję.

- W jaki sposób?

- Biorąc ślub.

Stali przy Modelu T. Diana odwróciła się do Nicka.

- Nawet nie zamierzam udawać, że chcę to przemyśleć. Tak, tak, tak!

Znowu się całowali. Nick wyjął z kieszeni blezera czarne pudełeczko, które wcisnął Dianie w dłoń.

- To mniej więcej wyczyściło moje konto w banku - powiedział.

Otworzyła pudełeczko, w którym znajdował się mały pierścionek z diamentów i szafirów.

- Och, Nick!

- Pozwól, że ci go założę. - Wsunął jej pierścionek na palec.

- Diano, tym pierścionkiem ślubuję ci moją wieczną miłość -szepnął.

- A ja ślubuję tobie. Pocałowali się.

INastępnego upalnego ranka Nick właśnie zbierał się na odwagę, by pójść do gabinetu Alfreda Ramschilda i powiadomić go o zaręczynach, kiedy, ku jego zdziwieniu, został tam wezwany.

Okna gabinetu Alfreda wychodziły na rzekę Connecticut. Na wyłożonych boazerią ścianach wisiały fotografie rozmaitych produktów Ramschilda, a w przeszklonej szafce wystawiono strzelby i karabiny produkowane przez spółkę od 1862 roku. Oprawiony w misterne złote ramy założyciel firmy, ojciec Alfreda, wpatrywał się znad kominka w wieczność, a dwa wentylatory elektryczne z szumem mieszały wilgotne powietrze.

- Czy śledziłeś ostatnie wydarzenia w Rosji? - spytał Alfred, opadając spoconym ciałem na fotel obrotowy.

- Czytam gazety - odparł Nick. - Odnoszę wrażenie, że całym krajem rządzi ten szalony mnich, Rasputin.

- To częściowo prawda, chociaż to nie jest mnich. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że car znajduje się pod całkowitym wpływem carycy, a ta z kolei pod wpływem Rasputina. Nie wiem, czy jest jego kochanką, czy nie. Krążą pogłoski, że młody carewicz jest chory na rzadką chorobę, z której tylko Rasputin może go wyleczyć. Tak czy inaczej, rząd się wali, armia dostała lanie od Austriaków, a teraz od Niemców - słyszałem, że straty Rosjan idą w miliony. Pojawiły się spekulacje, że w bliskiej przyszłości może nastąpić zamach stanu. - Przerwał na moment. - Cztery miesiące temu pewien carski agent złożył u nas zamówienie na sto tysięcy karabinów R-15 oraz dziesięć milionów sztuk amunicji. Po miesiącu zamówił tysiąc karabinów maszynowych i dwa miliony sztuk amunicji. W sumie wartość zamówienia wyniosła osiemnaście

milionów dolarów, z czego połowę car zapłacił z góry, dokonując transferu złota ze swego prywatnego konta w Banku Angielskim do naszego banku w Londynie, Saxmundham Brothers. Zrealizowaliśmy zamówienie i broń czeka w San Francisco na transport do Władywos-toku. Jednak carski agent oświadczył nam, że pozostałe dziewięć milionów dolarów będziemy musieli przyjąć w rosyjskich banknotach rządowych, ponieważ car wyczerpał rezerwy złota - nawiasem mówiąc, nikt nie przyjmie rosyjskiej gotówki, ponieważ wszyscy wiedzą, że drukują ruble tak szybko, jak tylko mogą, aby finansować wojnę, a inflacja szaleje. Alfred oparł się na biurku.

- Nick, nie chcę dziewięciu milionów w rosyjskich banknotach, kiedy wszyscy mówią, że rosyjski rząd nie utrzyma się przez sześć miesięcy. Te pieniądze nie będą warte tyle co papier toaletowy i nikt nie zechce ich tknąć, więc chcąc je wymienić, musiałbym stracić co najmniej pięćdziesiąt procent. Z drugiej strony, zawarłem umowę z Rosjanami i nie chcę ich wystawić do wiatru, ta broń jest im na gwałt potrzebna. Tak więc stoję przed dylematem wartym dziewięć milionów dolarów, a ty jesteś rozwiązaniem.

Nick ze zdumieniem spojrzął na pracodawcę.

- Ja? Dlaczego?

- Chcę, żeby ktoś udał się do Piotrogradu i porozmawiał z ministrem wojny. Chcę, żeby ktoś przywiózł mi dziewięć milionów dolarów w czymkolwiek - w złotych monetach, dziełach sztuki, może nawet w biżuterii - a wtedy wyślę broń. W Rosji jest mnóstwo pieniędzy, car uchodzi za jednego z najbogatszych ludzi na świecie, jeśli nie za najbogatszego, więc jeśli zależy im na broni, coś wymyślą. Chcę, żebyś tam pojechał, Nick. Ufam twojemu rozsądkowi, a na dodatek mówisz po rosyjsku, co powinno się okazać bardzo pomocne. Nie ukrywam, że podróż może być niebezpieczna. Sama droga do Rosji musi się wiązać z niewygodami, a Bóg jeden wie, co cię spotka, kiedy już tam dotrzesz. Nie mogę ci powiedzieć, jak wywieźć z Rosji dziewięć milionów w monetach, biżuterii, czy co tam to będzie, musisz polegać na własnym sprycie. Ale jeśli to zrobisz, Nick, zapłacę ci pięć procent od osiemnastu milionów dolarów, dzięki czemu zostaniesz bogatym człowiekiem. Awansuję cię też na zastępcę dyrektora sprzedaży. - Oparł się na fotelu. - Przemyśl to dokładnie, ale chce dostać odpowiedź dziś po południu.

Nickowi kręciło się w głowie. Pięć procent, dziewięćset tysięcy dolarów. Zastępca dyrektora...

- Oczywiście, że pojadę, panie Ramschild. Z radością! Ale najpierw chcę się ożenić z Dianą.

- A więc to już zaszło tak daleko? - Alfred nie sprawiał wrażenia zdziwionego.

- Tak, sir. Szalejemy za sobą.

- Zauważyłem. Cóż, Nick, nie mógłbym być bardziej szczęśliwy. Dzięki podróży do Rosji osiągniesz niezależność finansową, a to uspokoi też nieco moją żonę. Szczerze mówiąc, zaproponowałem ci tę pracę między innymi dlatego, że spodziewałem się, że ty i Diana zechcecie się pobrać. Jednak przed wyjazdem nie będzie czasu na ślub. Arabella zechce oficjalnej uroczystości, a to wymaga długiego planowania. Możemy zorganizować ślub we wrześniu, do tego czasu powinieneś wrócić.

Do września było daleko, ale Nick zrozumiał, że Alfred ma rację. Poza tym należało ugłaskać Arabelle.

- Zgoda, sir. Wolałbym się ożenić teraz, ale poczekam.

- Dobrze. Przypuszczałem, że uda mi się ciebie nakłonić, więc już ci zorganizowałem podróż.

Otworzył szufladę biurka, z której wyjął kopertę z grubego papieru.

- To bilet na pierwszą klasę na argentyńskim parowcu, *Santa Teresa*, który wypływa z San Francisco do Władywostoku za tydzień od jutra. Z Władywostoku pojedziesz do Piotrogradu koleją transsyberyjską. Masz tu trzy tysiące dolarów na wydatki i akredytywę na dalsze dziesięć tysięcy, na wypadek gdybyś musiał kogoś przekupić, a istnieje taka ewentualność. - Rzucił kopertę na biurko. - Teraz idź lepiej do domu i zacznij się pakować. Rano musisz być w Nowym Jorku, żeby złapać pociąg do San Francisco. I Nick...

- Tak, sir?

- Nie daj się zabić. Brakowałoby cię nam.

- Brakowałoby mnie samemu sobie. Czy mogę im grozić? To znaczy, czy mogę powiedzieć, że jeżeli nie zapłacą, jesteśmy gotowi sprzedać tę broń komu innemu?

- Oczywiście. Choćby jutro mógłbym ją sprzedać Anglikom albo Francuzom za dwadzieścia milionów więcej.

Powiedz im, że to zrobię. Ale posłuż się też swoim wdziękiem. Będiesz rozmawiał z wielkim księciem Kiryłem. kuzynem cara, a nie powinno się za

bardzo szantażować wielkiego księcia. Tu masz list polecający do naszego nowego ambasadora, Dicka Francisa, który był wcześniej gubernatorem Missouri. Słyszałem, że jest bogatym wieśniakiem i że wielcy książęta nim gardzą. Gdybyś był bogatym wieśniakiem, nie posyłałbym cię tam. Jeszcze jedno: przyszło mi na myśl, że we wszystkich depeszach mógłbyś posługiwać się szyfrem, żeby pomieszać Ruskim szyki. Wymyśliłem imiona dla cara, carycy, wielkiego księcia Kiryła, Rasputina i kilku innych czołowych polityków. Są na tej kartce, powinieneś się ich nauczyć na pamięć. Wczoraj w nocy słuchałem wariacji *Enigmy* Elgara i postanowiłem, że będziesz się nazywać Enigma.

- Enigma - powtórzył Nick w zamyśleniu. - Podoba mi się to. Wstał, kiedy Alfred obszedł biurko, by uścisnąć mu rękę.

- Powodzenia - powiedział. - Będzie ci potrzebne.

Po śmierci kapitana Fleminga wdowa rozważała możliwość ponownego wyjścia za mąż, a po przeprowadzce do Nowego Jorku zaczęła przyjmować kilku adoratorów, jak to określała. Edith wciąż była młoda i atrakcyjna; dzięki niemal fanatycznej diecie utrzymywała zgrabną figurę. Prowadziła dosyć aktywne życie towarzyskie, ale mimo to miłość kazała na siebie czekać prawie dziesięć lat. Kiedy jednak przyszła, Edith powiedziała sobie, że Van Nuys de Courcy Clairmont był wart czekania.

Miał czterdzieści siedem lat, wysoki, chudy, nerwowy, był takim krótkowidzem, że musiał nosić okulary grubości pół centymetra. Miał kręcone włosy koloru marchewki i posiadał Clairmont, sieć dwudziestu dziewięciu gazet od Portsmouth w stanie New Hampshire po Miami. Trzy tygodnie po przyjęciu tego dżentelmena roznamiętniona Edith została kochanką Vana. Wdowa po Flemingu i liberalny magnat prasowy szaleli za sobą, ale istniał jeden problem. Van był praktykującym katolikiem, a jego żona cieszyła się świetnym zdrowiem. Edith pojęła, że w ciągu najbliższych lat nie może liczyć na jawne życie z ukochanym mężczyzną, ale, kierując się charakterystycznym dla siebie pragmatyzmem, zaakceptowała tę sytuację. Przekonała się, że w Nowym Jorku nietrudno utrzymywać sekretne romans. Zaczęła nawet uważać, że tajemnica dodaje pieprzyka romansowi, który mógłby być mniej namiętny, gdyby się pobrali.

Edith powiedziała Nickowi o Vanie. Wiedziała, że romans może wystawić na szwank jej macierzyński autorytet, ale na dłuższą metę nie sposób było utrzymać istnienia Vana w tajemnicy, a ponadto chciała, by dwaj najważniejsi mężczyźni w jej życiu się polubili.

Niestety, tak się nie stało.

Van, który czasami pisywał do swoich gazet płomienne artykuły redakcyjne, był człowiekiem niezwykle zasadniczym - wrogowie uważali go za nieznośnego, hipokrytycznego kołtuna - a charakter Nicka nie przypadł mu do gustu; zarzucał Edith, że rozpieszcza adoptowanego syna, czemu nie mogła zaprzeczyć.

Nick, zrozumiałwszy, że nawet jego wdzięk nie pozwoli mu zdobyć sympatii kochanka matki, rozsądnie postanowił go unikać. Przeprowadzka do Connecticut poprawiła nieco sytuację. Van przyznał ukochanej naburmuszonym tonem, że Nick może się poprawia. Mimo to Edith wiedziała, że mężczyzna, którego kocha, nie przepada za synem, którego również kocha.

Zona Vana, Winifred, mieszkała z ich córką w dużym mieszkaniu przy Park Avenue. Od lat nie rozmawiała z mężem, ale wszystkie rachunki posyłała skrzętnie do położonego o dwie przecznice od Urzędu Miejskiego Clairmont Building, brzydkiego, sześciopiętrowego gmaszyska, będącego centralą całej sieci, a także redakcją nowojorskiej gazety Vana, „Graphic”. Van płacił rachunki i dzięki tej kuglarskiej sztuczce nie myślał o własnej winie z powodu porzucenia Winifred, oszczędzając sobie nudnych wyrzutów sumienia. Zajmował olbrzymie mieszkanie przy Riverside Drive, skąd rozciągał się wspaniały widok na rzekę Hudson. Posiadał też przestronny dom w Sands Point nad cieśniną Long Island, gdzie upalnego lipcowego dnia 1916 roku właśnie przepłynął basen po raz piąty, kiedy Edith przeszła szybkim krokiem przez trawnik. - Nick jedzie do Rosji! - krzyknęła.

Van wyszedł z basenu. Rzucił piłką w drużynie baseballowej na Harvard, rocznik 1886, i szczycił się tym, że od tamtej pory nie przytył nawet o gram. Utrzymywał formę dzięki codziennym ćwiczeniom - był to zazwyczaj squash, tenis lub pływanie. Był fanatycznym wrogiem palenia i nigdy nie pił alkoholu, z wyjątkiem kieliszka wina do obiadu. Jego pracownicy uważali, że nie jest w pełni ludzki, ale Edith wiedziała, że w łóżku jest bardzo ludzki, a dzięki doskonałemu zdrowiu był także wspaniałym kochankiem. Teraz macał na oślepek, szukając okularów, które zostawił na desce do skoków.



- Dlaczego on jedzie do Rosji?
- Właśnie dzwonił. Ma to jakiś związek ze sprzedażą broni... Sądziysz, że będzie tam bezpieczny?
- Bezpieczny tak, ale głodny. Mój korespondent w Piotrogradzie, Bud Turner, mówił mi, że obecnie nawet klasy wyższe mają kłopoty ze zdobywaniem żywności. - Znalazł okulary, założył je, po czym zaczął się wycierać.
- Myślisz, że nie powinnam się o niego martwić? - nalegała Edith.
- Zadepeszuję do Buda, żeby miał na niego oko. Edith uśmiechnęła się i pocałowała go.
- Jesteś dobrym człowiekiem, Van - szepnęła. - Nic dziwnego, że za tobą szaleję. - Jej twarz znowu zmarkotniała. - Wiesz, Nick też jest dobry.
- Tak? - Ton Vana Nuysa de Courcy Clairmonta nie pozostawiał wątpliwości co do jego prawdziwej opinii na temat Nicka Fleminga.
- Ale my chcemy się pobrać teraz! - krzyknęła Diana gniewnie do rodziców. Siedzieli w salonie w Graystone.
- Diano, Nick wyjeżdża rano - powiedział cierpliwie Alfred. - To całkowicie niepraktyczne.
- To sztuczka! - przerwała mu, odwracając się do matki. - Wymyśliliście tę podróż do Rosji, żeby usunąć Nicka z mojego życia!
- Nie pleć głupstw - odparła Arabella. - I uspokój się. Zachowujesz się jak trzeciorzędna śpiewaczka operowa.
- Ale Nick może zostać w Rosji ranny! Mogą go nawet zabić! - Odwróciła się do stojącego obok Nicka. - Kochanie, nie jedź. Proszę.
- Objął ją uspokajająco.
- Diano, nie mogę się już wycofać. Ten wyjazd jest ważny dla twego ojca i dla nas. Wrócę za kilka miesięcy i nic mi nie będzie. Naprawdę.
- Drżała z gniewu i irytacji. Objęła Nicka impulsywnie, tuląc go mocno do siebie.
- Jeśli kiedykolwiek cię stracę... - szepnęła zaciskając pięści za jego szyją. Wypuściła go z objęć i gniewnie odwróciła się do rodziców. - Jeżeli cokolwiek mu się stanie w Rosji, to będzie wasza wina! - krzyknęła. - A ja dopilnuję, żeby żadne z was o tym nie zapomniało.

- Doprawdy, Diano - zauważyła Arabella - trudno powiedzieć, że zachowujesz się jak dama.

Diana uściśnęła dłoń Nicka.

- Jeśli chodzi o Nicka, nie jestem damą - odparła cicho. Nie uległo wątpliwości, że mówi prawdę.

Nick pociągnął ją lekko za rękę. Spojrzała w dół i zobaczyła jego skrzyżowane palce.

Z westchnieniem skrzyżowała i swoje. Ich tajemny znak. Ich miłość. Na zawsze.

Przeżyje nawet Rosję.

*Santa Teresa* okazała się statkiem- handlowym z miejscami dla dwudziestu pasażerów, a kiedy Nick wchodząc po trapie rzucił okiem na zardzewiały kadłub, zrozumiał, że dziewięćdziesięciodniowa podróż do Władywostoku będzie daleka od luksusu. Argentyński steward w brudnym białym smokingu zaprowadził go na lewą burtę, do przydzielonej mu kabiny numer dziewięć z żaluzją w drzwiach, dwoma iluminatorami oraz karaluchem wielkości hotelu Ritz, którego steward niedbale rozgniół obcasem.

- Kapitan Rodriguez zaprasza pana na kolacja dziś przy jego stolik - oznajmił steward z uśmiechem, usuwając karaluzę zewłok kawałkiem papieru toaletowego. Nick nie tęsknił za kolacją. W istocie przyszło mu na myśl, że ten zarobaczywiony statek może stanowić dobry pretekst do diety.

Poza tym rozpaczliwie tęsknił za Dianą. Podróż do Rosji, niezależnie od niebezpieczeństw, była podniecająca, a Nick z radością witał okazję zobaczenia świata. Prześladowała go jednak zielonooka bogini, w której rozniecił taką namiętność i która tak bardzo jego rozpaliła. Leżał na koi wspominając ich miłość, czując ku własnemu zażenowaniu, że rozsądza go podniecenie. Aż do bólu pragnął ją trzymać w ramionach, wdychać słodki zapach jej skóry. To prawda, zaledwie za kilka miesięcy znowu będą razem, a jeśli wszystko się powiedzie, on zostanie bogatym człowiekiem, co także go podniecało.

Kiedy jednak *Santa Teresa* wypłynęła z Zatoki San Francisco, nie myślał o pieniądzach, broni ani o wielkich księżętach.

Myślał o Dianie.

Lista pasażerów *Santa Teresy* zafascynowałyby W. Somerseta

Maughama. Była tam pulchna, ładna kobietka, niejaka *senora* Gonzaga, podróżująca z domniemanym „wujkiem”, *señorem* Albą, smagłym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który podawał się za hodowcę bydła, jednak bardziej przypominał handlarza niewolników. Pewna onieśmielająco sztywna angielska dama płynęła do Tokio, gdzie miała objąć posadę guwernantki przy rodzinie cesarskiej. Gruby Rosjanin o zdecydowanie dekadencckim wyglądzie, który tytułował się hrabią Razumowskim, miał kosmyk siwizny w czarnych włosach, w oku nosił monokl, a na grubych ustach permanentny uśmiech. Para młodych amerykańskich nowożeńców płynęła do Manili, gdzie mąż dostał pracę w armii Stanów Zjednoczonych. Listę pasażerów uzupełniało dwóch japońskich biznesmenów, peruwiański handlarz winem, dwa meksykańskie małżeństwa oraz płynąca do Honolulu amerykańska rozwódka w średnim wieku. Rozwódka zamówiła koktajl z dżinem i kiedy szła slalomem do kapitańskiego stolika na kolację, była już pijana.

- Ten statek to przerdzewiała balia! - wymamrotała siadając po prawej ręce kapitana. - W mojej kabinie są robaki! Kapitan Rodriguez, który wyglądał jak pirat przebrany za oficera marynarki, zignorował ją z wyraźnym znudzeniem.

- Nazywam się hrabia Razumowski - przedstawił się Rosjanin siadając obok Nicka.

- A ja Nick Fleming. - Przypomniał sobie, że u Alfreda Ram-schilda słyszał kiedyś jeden ze skomponowanych przez Beethovena kwartetów Razumowskiego, więc zapytał: - Czy należy pan do tej samej rodziny, która pomogła Beethovenowi?

Na twarzy hrabiego odmalowało się zadowolenie.

- Jestem pełen podziwu! Owszem, jeden z moich przodków był rosyjskim ambasadorem w Wiedniu i patronował Beethovenowi. Lubimy uważać Ludwika za członka rodziny, choć nieco gburowa-tego. Pan jest Amerykaninem?

- Tak.

- A dokąd się pan wybiera?

- Do Piotrogradu.

- O, w takim razie musimy zostać przyjaciółmi! Ja również jadę do Piotrogradu. Obawiam się, że czeka nas długa podróż. Dziewięćdziesiąt dni na tym statku *soi-disant*, a potem dwa tygodnie w ekspresie transsyberyjskim. Ale co sprowadza Amerykanina do Piotrogradu w tak trudnych czasach?

Nick już zawczasu przygotował sobie zmyśloną historię.

- Pracuję dla Spółki Maszyn do Szycia Singera.

- Wobec tego jest pan sprzedawcą?

- Zgadza się.

Hrabia wyjął z oka monokl, by oczyścić go serwetką.

- Dam panu moją wizytówkę. Znam wszystkich w Piotrogradzie, wszystkich! Mam doskonałe znajomości na dworze. Jewgienij Nikołajewicz Razumowski pomoże panu sprzedać setki maszyn do szycia.

- To bardzo uprzejme z pana strony, hrabio.

- Ta zupa jest tłusta - obwieściła pijana amerykańska rozwódka. Kapitan Rodriguez wzruszył ramionami.

Hrabia Razumowski na powrót włożył monokl. Miał na sobie dobrze skrojony smoking, podobnie jak wszyscy mężczyźni z wyjątkiem kapitana, który był ubrany w krótką białą marynarkę od munduru.

- Mógł pan słyszeć, że caryca Aleksandra Fiodorowna jest niemieckim szpiegiem - ciągnął hrabia. - To nonsens.

Naturalnie, urodziła się w Niemczech i ma tam mnóstwo krewnych, włącznie z bratem w niemieckiej armii, jednak nie wierzę, że szpieguje na rzecz kaisera. Za to... - dramatycznym gestem uniósł wypiełgnowany palec i uśmiechnął się - jest kochanką Rasputina. Tego jestem pewien. W pałacu odbywają się orgie, a Rasputin porozumiewa się ze zmarłymi!

Nickowi przyszło na myśl, że wybiera się do ciekawego kraju.

Świadom potencjalnych niebezpieczeństw podróży, Nick zabrał ze sobą mały automatyczny pistolet Ramschilda kaliber dwadzieścia dwa, który nosił w skórzanej kaburze pod pachą. Drugiego dnia rejsu miał okazję go użyć.

Wracając do kabiny z półgodzinnej przechadzki po pokładzie, którą odbył w celu zabicia nudy i rozprostowania kości, usłyszał w środku hałas. W napięciu wyjął pistolet z kabury i cicho otworzył drzwi.

Hrabia Razumowski przeszukiwał szuflady jego biurka.

- Chciał pan pożyczyć sobie moją szczoteczkę do zębów? - spytał Nick, zamykając za sobą drzwi. Chwalił się w myślach za przezorne noszenie dokumentów przy sobie.

Pulchny hrabia, który prezentował się schludnie w białym garniturze i białym kapeluszu, odwrócił się i wyprostował z przymilnym uśmiechem w pogotowiu.

- Mój drogi Fleming, przyłapał mnie pan *in flagranti*. Przepraszam *mille fois*. Mam nadzieję, że to nie zniszczy naszej rodzącej się przyjaźni?

- Cholernie mało jej to pomoże. Czego pan szukał?

- Jestem niepoprawnym szperaczem, ale tak się składa, że to moje *métier*, mój zawód. Widzi pan, jestem członkiem Ochrony, carskiej tajnej policji.

Sięgnął ręką do marynarki.

- Niech pan trzyma ręce przy sobie - rozkazał Nick, robiąc lekki ruch pistoletem. Odbezpieczył zamek, który wydał głośny trzask.

Hrabia zrobił zdziwioną minę.

- Mój drogi przyjacielu, sięgałem tylko po portfel, żeby udowodnić ci moje słowa.

- Wierzę panu, tak jakby. Ale czemu rząd cara jest tak zainteresowany amerykańskim sprzedawcą na zardzewiałej argentyńskiej łąbie? Musi chyba rozpaczliwie potrzebować informacji.

- Fleming, bez względu na to, jaką grę prowadzisz, jesteś amatorem. Spółka Maszyn do Szycia Singera zamknęła swoje biuro w Piotrogradzie w 1915 roku. W tej sytuacji rząd cara jest tobą bardzo zainteresowany. Dlaczego mnie okłamałeś?

Nick się zawahał.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym panu powiedzieć choćby jedno słowo.

- To prawda - przyznał hrabia. - Ale nie może mnie pan powstrzymać przed tym, żeby się dowiedział. Tymczasem mam wrażenie, że nadeszła już pora lunchu. Czy wypije pan ze mną przy barze brandy z wodą sodową, oczywiście na mój rachunek, w charakterze rekompensaty za to potworne naruszenie pańskiej prywatności? Nie ma powodu, żebyśmy nie cieszyli się swoim towarzystwem, nawet jeśli całkowicie sobie nie ufamy. W Rosji wszystkie przyjaźnie opierają się na braku zaufania.

Nick powoli schował pistolet do kabury. Jeszcze nigdy nie spotkał osobnika bardziej *louche* niż hrabia Razumowski. Jednak Rosjanin go fascynował, a w dodatku Nick się nudził.

Wieczny uśmiezek hrabiego poszerzył się, kiedy pistolet Nicka zniknął pod marynarka.

- Gra pan w pokera? - spytał tonem swobodnej pogawędki, wychodząc przed Nickiem z kabiny. - Nauczyłem się go podczas pobytu w Stanach. Może udałoby się nam zorganizować partyjkę? Na tym przeklętym statku można tylko pić.

- I szperać w kabinach innych.

- O! - Hrabia poprawił z uśmiechem monokl. - Ale to już zrobiłem.

W ciągu następnych dwóch tygodni, kiedy *Santa Teresa* brnęła przez gorący Ocean Spokojny, Nick grał w pokera z hrabią, *señorem* Albą, argentyńskim hodowcą bydła, porucznikiem Perkinsem, nowożeńcem płynącym do Manili i innymi pasażerami, którzy wyrażali na to ochotę. Okazało się, że hrabia Razumowski źle gra w pokera, ale za to jest zabawnym towarzyszem. Był kopalnią dowcipów i plotek, a ponadto miał chyba obsesję na punkcie Rasputina, o którym znał dziesiątki mrożących krew w żyłach anegdot. Twierdził, że osobiście poznał *starca* (co po rosyjsku oznacza mniej więcej „świętego”), ponieważ kiedyś należał do wydziału Ochrony odpowiedzialnego za strzeżenie - i donoszenie na - faworyta carycy. Niechlujne mieszkanie Rasputina przy Gorochowej 63-64, naprzeciwko komendy policji, odwiedzali Rosjanie wszystkich warstw społecznych, by zanosić prośby do człowieka, który ma tak wielki wpływ na carycę i jej męża. Według hrabiego, który znajdował wyraźną przyjemność w snuciu tych opowieści, damy z towarzystwa błagają Rasputina o przysługi seksualne.

- To najwspanialszy kochanek na świecie! - szeptał Razumowski, zacierając dłonie z uciechy. - Wiele kobiet mówiło mi, że on przenosi je w astralny wymiar ekstazy, że to coś więcej niż seks, to doświadczenie religijne! Mówią, że ma największy członek w Rosji, z czarodziejską brodawką na końcu, która przedłuża orgazm na wiele minut!

Gracze w pokera śmiali się z tego, ale Razumowski upierał się, że to prawda. Nick uważał, że hrabia prawdopodobnie podaje plotki jako fakty i w najlepszym razie w opowieściach grubego Rosjanina kryje się za ledwie ziarno prawdy. Razumowski pił przez cały dzień i choć nigdy nie sprawiał wrażenia pijanego, wódka i brandy dodatkowo przyczyniały się do obniżenia jego wiarygodności. Sadzać

po nonszalanckim tonie, jakim hrabia przyznawał się do przynależności do Ochrony, Nick zaczął wątpić nawet w to. A jednak, choć łatwo go było nazwać przechwalającym się, zapijaczonym kłamcą, Nick sądził, że hrabia Razumowski nie pokazuje ludziom swej prawdziwej twarzy. W tym pozornie jowialnym człowieku kryło się coś złowrogiego. Nick upominał siebie, by nie ulegać wyobraźni - oprócz przeszukania jego kabiny Razumowski nigdy nie zrobił nic podejrzanego. Przegrał nawet w pokera ponad tysiąc dolarów, nie zdradzając najmniejszych oznak niezadowolenia.

Mimo to Nick nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że Razumowski jest niebezpieczny.

### ***Rozdział piaty***

Kiedy *Santa Teresa* wpłynęła w końcu do liczącej cztery mile powierzchni zatoki Władywostoku, gdzie stały zakotwiczone dwa rosyjskie krążowniki, Nick zszedł na ląd z dziwnym uczuciem, że wraca do ojczyzny matki. Pomimo płynnej znajomości rosyjskiego uważał się za stuprocentowego Amerykanina i wiedział o Rosji równie mało, jak większość Amerykanów w jego wieku. A jednak pamiętał ludowe piosenki, które śpiewała mu matka, a także zapach rosyjskiego jedzenia, blinów i pierogów, które czasem gotowała; wszystkie te wspomnienia powróciły, składając się na dziwne uczucie, które określił jako nieoczekiwany „powrót do domu”.

Formalności paszportowych dokonano zadziwiająco niedbale, zważywszy, że trwała wojna - być może odzwierciedlało to niewydolność carskiego systemu - jednak Nick nie miał wiele czasu na zwiedzanie Władywostoku; ekspres transsyberyjski wyruszał za godzinę w liczącą sześć tysięcy mil podróż do Moskwy. Nick podróżował pierwszą klasą. Przedział, który miał cały dla siebie, okazał się wygodny, z mahoniową boazerią, złotym brązem, pluszową tapicerką i zasłonami z czerwonego aksamitu. Punktualnie o piątej po południu opalana drewnem lokomotywa ciągnąca osiem wagonów ruszyła ze stacji, a Nick patrzył, jak wyjeżdżają z posępnych przedmieść kierując się na północny zachód, do Mandżurii. O szóstej trzydzieści ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść.

W progu stanął uśmiechnięty hrabia Razumowski.

- Fleming, drogi przyjacielu, zjesz ze mną obiad? Nick miał już dość hrabiego.

- Nie. dziękuję.



- O, ale w przedziale obok mojego podróżuje pewna *madame* Wieruszka, wdowa po bogatym kupcu z Władywostoku. Je ze mną obiad. Jestem pewien, że jej towarzystwo przypadłoby panu do gustu. - Zniżył głos. - Ona jest *disponible*, jak mówią Francuzi. Mogłaby nam obu umilić podróż. - Mrugnął lubieżnie.

- Dzięki, ale nie.

Nick był o krok od otwartego grubiaństwa, ale hrabia nie obrażał się łatwo.

- Cóż, drogi przyjacielu, gdybyś zmienił zdanie... Starczy jej dla nas obu.

Zamknął za sobą drzwi, ale jego uśmiech, niczym uśmiech kota z Cheshire, jakby został w przedziale.

Pojedynczy tor był wyboisty, toteż pociąg trząsał się i kołysał gwałtownie, mimo iż jechał z prędkością zaledwie dwudziestu pięciu mil na godzinę. Na dodatek co dwie godziny stawał, żeby wypuścić podróżujących na drewnianych ławkach pasażerów drugiej klasy, którzy nie mieli toalet. Były jednak także pewne wygody. Sędziwy konduktor podróżujący w wagonie Nicka stale gotował wodę w miedzianym samowarze z cebulastą kopułą, dlatego w każdej chwili można było dostać herbatę.

Przedział restauracyjny przypominał pałac: czerwone skórzane fotele z guzikami, lustra, a na każdym stoliku mosiężna lampa z czerwonym jedwabnym abażurem z frędzlami. Obsługa była wyśmienita; potrawy podawano na srebrnych zastawach i w kryształach, na czystych obrusach z białego lnu. Pomimo niedostatków jedzenia w Piotrogradzie, wagon restauracyjny sprawiał wrażenie rogu obfitości, z którego lał się mocno przyprawiony barszcz, gulasze, świeże jesiotry, pieczona wołowina, kawior i placek z żurawiną. Karta win była zadziwiająco obfita.

Popijając krymskie Pinot Gris i obserwując przez okno rozległe stepy Mandżurii, Nick doznawał nie tylko przyjemności, ale prawdziwego olśnienia. Pracując jako podróżny sprzedawca zwiedził znaczną część wschodnich Stanów Zjednoczonych, ale Mandżuria jawiła mu się zdumiewająco rozległą i piękną - tajemniczy, zupełnie inny świat.

Drugiego wieczoru po wyjeździe z Harbinu, stolicy Mandżurii, do restauracji wszedł hrabia Razumowski w towarzystwie cudownie pięknej kobiety. Dorównywała mu wzrostem, a w eleganckim

atłasowym toczku na czarnych włosach wyglądała nawet na wyższą. Miała na sobie jasnoniebieską sukienkę, która podkreślała jej oszalamiającą figurę i kończyła się haftowanym rąbkiem śmiało piętnaście centymetrów nad pantoflami. Szyję nieznanym zdobily dwa sznury pereł, różowych jak jej cera. Hrabia, odziany w smoking, podszedł do Nicka.

- Oto i on - powiedział po rosyjsku. - Nasz zabójczy Amerykanin. - Przeszedł na angielski. - Fleming, chciałbym cię przedstawić Nadieżdzie Iwanownej Wieruszce, najpiękniejszej wdowie Władywos-toku! Nadieżdo Iwanowna, to Nick Fleming.

Nick wstał i pocałował ją w rękę. Spodziewał się, że wdowa Wieruszka jest w średnim wieku, ale ze zdumieniem stwierdził, że nie może mieć więcej niż trzydzieści lat.'

- Bardzo się cieszę, że panią poznałem - powiedział po angielsku. - Czy pani i hrabia zechcecie się przysiąść?

- Niestety, mam lekki *crise de foie* - odparł hrabia. - Obawiam się, że wypilem za dużo wódki. Nie będę jadł obiadu, ale Nadieżda Iwanowna z przyjemnością się do pana przyłączy. Zostawiam panią w doskonałym towarzystwie - powiedział do *madame* Wieruszki, a potem dodał po rosyjsku: - Dowiedz się, co on zamierza robić w Piotrogradzie. Nick cieszył się, że nigdy się nie przyznał hrabiemu do znajomości rosyjskiego.

Od dawna zna pani hrabiego? - spytał Nick, kiedy kelner przyniósł pierwsze danie.

- Ach, nie. Poznałam go wczoraj wieczorem w pociągu. Kłamstwo, pomyślał Nick. Jednak jej doskonały angielski zrobił

na nim wrażenie.

- Wydaje mi się bardzo interesujący - ciągnęła. - Ma o panu wysokie mniemanie.

- To mnie dziwi. Na statku wygrałem od niego trzysta dolarów w pokera.

- Ależ pieniądze nic dla niego nie znaczą. Nie wie pan, że jest niezmiernie bogaty?

- Nie, nie wiedziałem. A skąd pani to wie, skoro poznała go pani dopiero wczoraj?

Miała niewinna mine.

- Razumowscy są w Rosji potężną rodziną. Są właścicielami rozległych posiadłości. - Kelner ponownie nalał wina. Upiła łyżeczk. -To ciekawe, że Amerykanin podróżuje do Piotrogradu. Jedzie pan w interesach?

- Cóż, to sprawa rządowa.

- Ach, tak?

- Wiozę list dla cara od prezydenta Wilsona.

O mały włos się nie roześmiał, widząc, jak Rosjanka usilnie stara się ukryć podniecenie.

- Naprawdę? Jakież to fascynujące. Wobec tego musi pan być kimś ważnym.

- Usiłuję zachować skromność. Sądzę jednak, że wiadomość jest ważna.

Wyrzała przez okno, starając się nadać twarzy wyraz znudzenia. Jednak na tle metalicznego łośkotu kół Nick słyszał, jak pracuje jej mózg.

O jedenastej w nocy zapukała do drzwi jego przedziału. Kiedy otworzywszy zobaczył, że stoi w korytarzu w płaszczu narzuconym na białą atłasową koszulę nocną, nie był zdziwiony.

- Ma pan może papierosa? Skończyły mi się.

- Przykro mi - odparł Nick. - Nie palę.

Zamknął drzwi przed nosem zaskoczonej damy, a potem usiadł z szerokim uśmiechem.

*Madame* Wieruszka szła tak grubymi nićmi, że aż go śmieszyła. Wdowa z Władywostoku nie była pozbawiona powabów, ale nie miał zamiaru zdradzać swojej zielonookiej bogini. Nick był tak zakochany w Dianie Ramschild, że po raz pierwszy w życiu dochowywał wierności.

Niezależnie od tego, na czym polegała ich gra, resztę długiej podróży hrabia Razumowski i *madame* Wieruszka spędzali w swoim towarzystwie. Kiedy Nickowi zdarzało się ich spotykać w wagonie restauracyjnym, zachowywała się z chłodną uprzejmością, jak gdyby nic się nie wydarzyło, a hrabia odnosił się do Amerykanina jak zwykle po przyjacielsku i przymilnie. Nick sądził, że jeśli hrabia istotnie pracuje dla Ochrony, w końcu i tak się dowie o jego misji ze źródeł rządowych. Jeśli nie, im mniej będzie wiedział o transakcji Ramschilda, tym lepiej. Tymczasem Nick rozkoszował się widokami

Syberii, rozległymi polami zbóż, świerkowymi lasami, rzadkimi wioseczkami, Bajkałem, przypominającym morze. W Irkucku przesiedli się do szybszego pociągu, który przewiózł ich przez Ural do europejskiej części Rosji i wreszcie do Moskwy. Tam przesiadł się na ekspres pietrogradzki, który dowiózł go do stolicy w dwanaście godzin. Była ciepła sierpniowa noc. Nick bardzo chciał obejrzeć osławione miasto, pojechał jednak taksówką prosto do hotelu, postanawiając, że zwiedzi je rano.

Hotel Europejski na Newskim Prospekcie był dużym, brzydkim budynkiem wzniesionym w ubiegłym stuleciu. Nick wynajął dwu-pokojowy apartament na drugim piętrze, szczycący się meblami rzeźbionymi w kiście winogron i zwierzęta, między innymi dwa niedźwiedzie, które kucając podtrzymywały ciężkie biurko. Nick rzucił się na podwójne łóżko i zasnął w ciągu kilku minut.

Tuż przed zaśnięciem myślał, jak, na Boga, uda mu się wywieźć z Rosji towar wartości dziewięciu milionów dolarów i przetransportować go przez pół świata.

Obudził go telefon.

- Dzień dobry - powiedział ochrypły głos. - Nazywam się Bud Turner, jestem rosyjskim korespondentem gazet sieci Clairmont. Van Clairmont zadepeszczał do mnie z prośbą, żebym na ciebie uważał. Jestem na dole, w hallu. Co powiesz na śniadanie? W tym lokalu mają dobre bliny.

- Zejdę za dziesięć minut.

Bud Turner miał czterdzieści lat. Był to chudy elegant, na tyle próżny, by nosić perukę. Teraz zapalił szóstego papierosa tego ranka i zapytał:

- Co chcesz wiedzieć o Rosji?

- W jaki sposób mam się umówić z ministrem wojny? - spytał Nick, jedząc smacznego blina nadziewanego dżemem truskawkowym.

- Z wielkim księciem Kiryłem? Najlepiej umów się z nim przez ambasadę. Mogę ci to załatwić. Pan Clairmont mówił, że pracujesz dla Spółki Ramschilda. Rozumiem, że przybyłeś tu, żeby sprzedawać broń?

- Coś w tym rodzaju. A tak przy okazji, czy znasz hrabiego Razumowskieeoo?

- Słyszałem o nim. To tutaj gruba ryba, jeden z najbogatszych ludzi w Rosji. Wczorajszej nocy wydał duże przyjęcie w swoim pałacu na Fontance. Byli wszyscy.

- Ależ to niemożliwe!

- Dlaczego?

- On jechał ze mną pociągiem.

- To musiał być inny hrabia Razumowski.

- A jak wygląda ten hrabia?

- Ma około siedemdziesiątki, siwą brodę. Nick wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Bud.

- Dałem się nabrać najsprytniejszemu nie-hrabiemu w Rosji. Ale w takim razie o co mu, do diabła, chodziło?

Wielki książę Kirył zgodził się przyjąć przedstawiciela Spółki Ramschilda nazajutrz o dziesiątej, więc resztę dnia Nick poświęcił na zwiedzanie miasta, które Piotr Wielki założył w 1703 roku. Bud Turner okazał się dobrym przewodnikiem. Rubaszny nowojorczyk dobrze znał miasto i jego historię.

Piotr wybudował miasto nazwane St. Petersburgiem na bagnach, zmuszając poddanych do przenoszenia milionów ton granitu na podmokłe tereny wokół Newy, by stworzyć podwaliny stolicy. Dwieście tysięcy pracowników poniosło śmierć podczas budowy, ale miasto powoli rosło, rozprzestrzeniając się na dziewięćdziesiąt wysp i stając się Wenecją Północy. W ciągu kolejnych dwustu lat wzniesiono tu wspaniałe barokowe pałace i budynki rządowe, zaprojektowane przez włoskich architektów - Nick podziwiał jasno-błękitne, żółte, zielone i białe, przepyszenie zdobione ściany. Zwiedzili gmach Admiralicji i gigantyczny zielony Pałac Zimowy na południowym brzegu Newy; posępną brązową Twierdzę Piotra i Pawła na brzegu północnym, gdzie mieściło się carskie więzienie; uroczy Ogród Letni, olbrzymią katedrę Matki Boskiej Kazańskiej, malownicze kanały i szerokie bulwary. Chociaż według Nicka miasto wyglądało na spokojne, Bud przestrzegł go:

- Piotrogród to beczka prochu, która może wybuchnąć w każdej chwili.

### ***Rozdział szósty***

Wielki książę Kirył Władimirowicz był olbrzymem, co najmniej dziesięć centymetrów wyższym od Nicka, i jednym z najbardziej imponujących ludzi, jakich młodemu Amerykaninowi dane było poznać. Nienagannie odziany, szczupły, poruszał się z wojskową sztywnością, miał starannie przystrzyżoną siwą brodę, przystojną, pomarszczoną twarz, nosił się władczo i elegancko. Podobnie jak większość rosyjskiej szlachty, doskonale mówił po angielsku. Z uwagą słuchał, jak Nick wyjaśnia charakter swojej misji; zmarszczył się nieco, słysząc o dziewięciu milionach dolarów. Niezależnie od tego, jaką opinię miał w tej sprawie, wielki książę starannie ją ukrywał.

- Dziś po południu spotykam się z Jego Wysokością - powiedział. - Omówię z nim tę kwestię. Proszę przyjść jutro rano... -Zawahał się. - Nie, jeszcze lepiej. Czy ma pan dziś wolny wieczór?

- Tak, sir?

- Moja żona urządza małe przyjęcie dla naszej córki. Czy chciałby pan przyjść? Będzie pan miał okazję poznać trochę życie Piotrogradu, a ja przekażę panu odpowiedź Jego Wysokości. Nie ukrywam, że zależy nam na tej dostawie. Chcemy, żeby wysłano ją jak najszybciej.

Nick wstał.

- Tak, sir, przyjdę z radością. Gdzie pan mieszka?

Wielki książę zrobił zdziwioną minę, jak gdyby każdy wiedział, gdzie mieszka.

- Nad kanałem Mojka. Proszę spytać każdego taksówkarza. Nie sądzę, żeby miał pan kłopoty z trafieniem.

Rzeczywiście trudno było przeoczyć pałac wielkiego księcia Kiryła. Stał nad malowniczym kanałem Mojka obok pałacu Jusupowa, a jego jasnożółta fasada ozdobiona majestatycznym rzędem kolumn była

znacznie mniej przeładowana niż wiele innych barokowych i rokokowych budynków, które Nick dotąd widział. Wsiadłszy z taksówki, chłonał splendor czteropiętrowej budowli oświetlonej łagodnym blaskiem zachodzącego letniego słońca, myśląc, że w porównaniu z nią posiadłość Alfreda Ramschilda wygląda jak szopa. Podszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. Otworzył mu lokaj w peruce i jedwabnych pończochach, który wyglądał tak, jakby przybył tu z osiemnastego wieku. Kiedy prowadzono go po gigantycznych marmurowych schodach, kopii wersalskich *Escalier de la Reine*, Nickowi przyszło na myśl, że znalazł się w osiemnastym wieku. Pałac, wzniesiony w 1790 roku, miał robić wrażenie, jeśli nie porażać; ściany wznosiły się na wysokość około dwudziestu metrów do wspianego fresku na suficie, na którym bogowie i boginie roili się na błękitach w mitologicznej obfitości, a pod nimi zwieszał się największy kryształowy żyrandol, jaki Nick w życiu widział. U szczytu schodów poprowadzono go do czerwonego salonu z sufitem ozdobionym złotymi płatkami w delikatne neopompejańskie wzory; na środku lśniącej podłogi znajdował się ogromny, misterny wzór z intarsji. Wysokie framugi drzwi były wykonane z marmuru rzeźbionego w posagi z kolumnami i frontonami, a na ścianach obitych czerwonym jedwabiem wisiały włoskie obrazy z siedemnastego wieku. Nick otworzył szerzej oczy, kiedy lokaj poprowadził go przez trzy dalsze salony, coraz większe i bardziej luksusowe, pełne mebli i dzieł sztuki, za które każdy kustosz dopuściłby się morderstwa. Wszędzie na intarsjowanych drewnianych stolikach i florenckich stołach *pietra dura* stały bibeloty z onyksu, jadeitu, malachitu i chryzoprazu, wysadzone klejnotami tabakiery, pudełeczka Faberge i ramy do obrazów - Nick dostrzegł nawet półmisek z kości słoniowej pełen nie oszlifowanych diamentów i rubinów. Przepych był oszałamiający, a w obliczu panującej w Piotrogradzie sytuacji, wręcz arogancki. Kiedy mijali dużą rotundę, na środku której stała uroczą naga Diana dłuta Canovy, Nick usłyszał muzykę z fonografu, bez wątpienia pochodzącą z dwudziestego wieku: jazz-band grał *Alexander's Ragtime Band*. Znajdując się po przeciwnej stronie kuli ziemskiej niż Nowy Jork, Nick niemal krzyknął z radości, słysząc znajomą melodię. Lokaj prowadził go długim korytarzem pośród posągów, a muzyka stawała się coraz głośniejsza. Kiedy minęli kolejne drzwi, Nick stanął i spytał lokaja po rosyjsku:

- Co to jest?

- Teatr, sir.

Za drzwiami znajdował się cały teatr ze złożonymi balkonami uginającymi się pod ciężarem cherubinów, z naturalnej wielkości sceną otoczoną złożonym proscenium i obitymi jedwabiem krzesłami dla orkiestry, liczącej sto pięćdziesiąt osób. Teatr, kaprys jednego z przodków wielkiego księcia z początku dziewiętnastego wieku, był tak ekstrawagancki, że Nickowi odebrało mowę.

- Przed wojną - powiedział rzeczowo lokaj - odbywało się tu w sezonie kilka przedstawień tygodniowo.

Nick skinął tępo głową. Szli dalej korytarzem.

*Alexander's Ragtime Band* zastąpiło inne nagranie, powolny, dość melancholijny walc, którego Nick nie znał.

Dotarłszy do końca korytarza, lokaj otworzył podwójne biało-złote drzwi i wpuścił gościa do przestronnej sali balowej. Na tym etapie wędrówki określenia w rodzaju „wspaniałe”, „cudowne” czy „ekstrawaganckie” zaczynały tracić znaczenie, jednak kiedy ujrzał salę balową, opuściło go całe znużenie. Łagodnie łukowaty, zdobiony złotem sufit szybował nad chyba trzydziestometrowej długości pokojem, oświetlonym czterema złotymi żyrandolami w stylu rosyjskim. Wzdłuż ścian stały biało-złote doryckie kolumny, a między nimi złote i kryształowe lichtarze. Ponad pilastrami, a pod fasetą sufitu biegło belkowanie ozdobione frezem złotej pszenicy i rosyjskich kwiatów. Na polerowanym parkiecie w takt smutnej, powolnej muzyki tańczyło walca około tuzina młodych mężczyzn i kobiet; na biało-złotym stole w stylu Ludwika XVI stała nakręcana Victrola.

Wielki książę Kirył, odziany w smoking, siedział w końcu sali wraz z grupą innych starszych osób. Na widok Nicka szybko podszedł i uściśnął mu rękę.

- Panie Fleming! Tak się cieszę, że zdołał pan przyjść. Prowadząc gościa przez salę, powiedział cicho:

- Dziś po południu rozmawiałem z Jego Wysokością. Nasza ambasada w Paryżu wystąpiła do rządu francuskiego o pożyczkę wysokości ośmiuset milionów rubli albo stu milionów dolarów amerykańskich. Jego Wysokość polecił mi przekazać panu, że zaległe dziewięć milionów dolarów zostanie wpłacone do banku Saxmundham w Londynie przed końcem tego tygodnia, w dolarach. Czy to zadowalające?



Nick, któremu ciśnienie skoczyło o dziesięć procent, uzmysłowił sobie, że właśnie stał się bogaty.

- Tak, sir, bardzo zadowolające! Rano wyślę depeszę do pana Ramschilda.

- Czy dla zaoszczędzenia czasu ładunek mógłby zostać wysłany z San Francisco jak najszybciej? Zdaję sobie sprawę, że do końca tygodnia zostały jeszcze cztery dni, ale gdyby nastąpiło jakiegokolwiek opóźnienie w płatności, czego nie przewiduję, ładunek mógłby zostać zatrzymany na Hawajach.

Nick zrozumiał, że nie ma jeszcze tych pieniędzy w kieszeni.

- Poproszę o to w depeszy. Możliwe, że pan Ramschild przystanie na takie rozwiązanie. .

- Proszę napisać wyraźnie, że dla naszego rządu liczy się każdy dzień. Nie jesteśmy głupcami, panie Fleming.

Zdajemy sobie sprawę, że społeczność międzynarodowa wykazuje, powiedzmy, podejrzliwość wobec naszej sytuacji finansowej. Szczerze mówiąc, mieliśmy trudności z zakupem broni od innych spółek. Nasi sprzymierzeńcy niechętnie słyszeli prośby o dalsze pożyczki, najwyraźniej Francja i Wielka Brytania znalazły się również w trudnym położeniu finansowym. Jednak udało nam się przekonać władze francuskie, że muszą nam pomóc. Wojna kosztuje Rosję miliony istnień ludzkich. Gdybyśmy nie walczyli z Niemcami na wschodzie, Niemcy i Austriacy mogliby się skoncentrować na Francji i, według mnie, w ciągu kilku tygodni zetrzeć ją z mapy. Dlatego też Francja zgodziła się w końcu nadal udzielać nam wsparcia. Przykro mi, że musiał pan odbyć tę długą podróż, ale może ważne jest, by jakiś Amerykanin zobaczył na własne oczy tutejszą sytuację. A oto moja żona. Kochanie, to ten młody Amerykanin, o którym ci mówiłem.

Nick został przedstawiony wielkiej księżnej Kseni, która me wyglądała ani zbyt majestatycznie, ani po książęcemu; była raczej niską, pulchną kobietą o prostej twarzy i kręconych włosach. Miała na sobie mało gustowną suknię, a Nick zastanawiał się, na jakie to ukryte wdzięki złowiła tak przystojnego, arystokratycznego męża. Tak czy inaczej, wielka księżna była inteligentną kobietą. Żywo interesowała się Ameryką; spytała Nicka, co Amerykanie sądzą o Rosjanach.

- Cóż, szczerze mówiąc, *madame*, nie patrzą zbyt przychylnym okiem na autokratyczne rzady cara.

- Proszę! - wykrzyknęła księżna odwracając się do pozostałych. - Przecież to właśnie mówię od kilku miesięcy! Mikuś powinien abdykować. Popełnił zbyt wiele błędów, a wszyscy wiemy, że Anglicy nas nie lubią. Potrzebne nam światowe poparcie, a z tą średniowieczną formą rządów nigdy go nie uzyskamy.

Nick był zdziwiony spokojem, z jaką pozostali przyjęli tę uwagę, która, wypowiedziana przez żonę ministra wojny i członka rodziny carskiej, mogła uchodzić tylko za heretycką, jeśli nie wręcz rewolucyjną. Jednak zebrani w sali balowej goście, a nawet wielki książę, zgadzali się z księżną. Nick pomyślał, że Piotrogród musi faktycznie być beczką prochu, skoro arystokracja skupiona wokół dworu jest gotowa zrezygnować z cara.

Wielki książę przedstawił Nicka innym gościom. Po sali balowej rozeszła się wiadomość, że nieznajomy jest Amerykaninem, i wkrótce Nicka otoczyli także młodzi ludzie. Tych nie interesowała jednak polityka.

- Czy umie pan „niedźwiedzia grizzly”? - spytała słodka, drobna dziewczyna w białej sukience, której Nick dawał około osiemnastu lat.

- Jasne - odparł, ciesząc się ze swej nieoczekiwanej popularności. - Ale ten taniec to w Nowym Jorku już zamierzchła przeszłość.

- A co jest modne? - zakrzyknęło z pół tuzina głosów, a Nick uświadomił sobie z pewnym współczuciem, jak bardzo ci młodzi ludzie są odcięci od świata.

- Nazywa się lambeth-walk i jest odmianą popularnego gawota. Chcecie to zobaczyć?

Powszechnie „tak!” zabrzmiało niemal jak ryk.

- Pokażę wam - powiedział, ujmując dłoń drobnej dziewczyny w bieli. - Będiesz moją partnerką?

- Z rozkoszą - wykrzyknęła. - Tato, przedstaw nas. Wielki książę Kirył powiedział:

- Panie Fleming, to moja córka, wielka księżna Tatiana.

Teraz dostrzegł podobieństwo do pospolitej matki. Na szczęście córka odziedziczyła też nieco szlachetniejszych rysów po ojcu, choć nie jego wzrost; ale nigdy nie będzie piękną. Jednak kręcone jasne włosy i wesołe niebieskie oczy czyniły ją atrakcyjną w sposób, który Nickowi wydawał się bardziej amerykański niż rosyjski.

- Nastawcie „Alexander's Ragtime Band” - polecił, prowadząc dziewczynę na parkiet. Kiedy z fonografu popłynęła muzyka, zaczął pokazywać jej pierwszy szaleńczy krok.

- Najpierw pochylamy się w przód, ty na prawej, ja na lewej stopie - mówił, rozkładając jej ręce. - Potem odchylamy się w tył na drugiej stopie. Potem odwracamy się od siebie i okręcamy... a potem zbliżamy się do siebie i robimy szybki krok fokstrota...

Tatiana złapała to szybko. Po dziesięciu minutach wszyscy młodzi ludzie próbowali nowy taniec.

- To świetna zabawa! - powiedziała wielka księżna. - Naprawdę! Tak się cieszę, że przyjechał pan do Piotrogradu, panie Fleming.

- Ja też! Za nic w świecie nie chciałbym przepuścić okazji uczenia wielkiej księżnej lambeth-walka.

## ***Rozdział siódmy***

Taniec sprawiał mu taką frajdę, że został do północy. W końcu, podziękowawszy gospodarzowi, wyszedł z pałacu i, ponieważ noc była pogodna, postanowił wrócić do hotelu na piechotę. Radość go rozpierała. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyglądało na to, że pomyślnie wykona misję i już niemal czuł w kieszeni dziewięćset tysięcy dolarów. Spojrzał w górę na rozgwieżdżone niebo nad Piotrogradem, przypominając sobie bezradną wściekłość z powodu aresztowania i śmierci matki, gorycz, jaką czuł w obliczu tego szyderstwa sprawiedliwości. Już nigdy nie będę bezradny, pomyślał. Nigdy! Jestem bogaty, a stanę się jeszcze bogatszy. Świat usłyszy o Nicku Flemingu!

Był tak pogrążony w myślach, że nie słyszał czarnego, czterodrzwiowego samochodu, który powoli jechał za nim ulicą. Kiedy znalazł się w odległości paru metrów od Nicka, tylne drzwiczki otworzyły się i wyskoczyło z niego dwóch mężczyzn. Nick usłyszał za sobą tupot kroków; zaczął się odwracać, żeby zobaczyć, co się dzieje, kiedy otrzymał silne uderzenie w głowę. Gwiazdy rozbłysły i zapulsowały mu w oczach. Potem świat pogrążył się w mroku.

Jwiedy Nick odzyskał przytomność, siedział przywiązany do drewnianego krzesła na środku słabo oświetlonego pokoju; przeguby miał związane sznurkiem za oparciem, kostki przywiązane do nóg krzesła, a w ustach tkwił cuchnący łachman. W głowie pulsował mu ból. Zaczął wpadać w panikę. Pokój był mały, z popękаныmi, gipsowymi ścianami. Poza krzesłem w pokoju był tylko niski stół, a na nim tania lampa z zielonym kloszem. Jeśli nałac nad kanałem

Mojka był osiemnastowieczną fantazją, teraz miał do czynienia z dwudziestowiecznym koszmarem. Zrozumiał, robiąc sobie w duchu wymówkę, że pomimo chępienia się, że już nigdy nie będzie bezradny, znalazł się oto całkowicie na łasce porywaczy. Ale kim oni byli, na litość boską? I czego, do diabła, chcieli?

Ponieważ w pokoju znajdowało się tylko jedno okno zasłonięte żaluzją, nie miał pojęcia, która mogła być godzina. Minuty rozciągały się w godziny, a w każdym razie tak mu się wydawało. Powtarzał sobie, żeby zachować zimną krew, że zostawili go samego, by go zmiękczyć psychologicznie, ale mimo to bał się. W miarę upływu czasu ciasno zawiązany sznurek zaczął odcinać dopływ krwi, tak że ręce zaczęły mu nakłuwać tysiące igiełek bólu.

Wreszcie usłyszał głosy. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł fałszywy hrabia Razumowski, a za nim zwalisty młodzieniec w ro-bociarskim ubraniu i szmacianej czapce. Hrabia zaniechał jowialnej pozy; zniknął zarówno monokl, jak i eleganckie ubranie. Teraz nosił okulary bez oprawek i tani garnitur, w którym wyglądał jak drobny urzędnik. Młody człowiek zamknął drzwi, a hrabia stanął przed Nickiem.

- Wyjmij mu knebel - polecił po rosyjsku, a młodzieniec stanął za krzesłem. - Pozwól, że przedstawię ci mego kolegę - ciągnął hrabia. - Rodion Grigoriewicz Seliwanow, choć naturalnie nie jest to jego prawdziwe nazwisko.

Przypuszczam, że się już domyśliłeś, że ja także nie jestem hrabią Razumowskim. Możesz mnie nazywać Radix, ponieważ właśnie pod tym *nom de plume* wydaję podziemną gazetę, „Prawdę”. Radix oznacza po łacinie „korzeń”, stąd też pochodzi angielskie słowo „radykalny”. Jestem bardzo radykalny, Fleming.

- Czy możesz mi rozluźnić sznur na przegubach? - spytał Nick, kiedy Rodion Grigoriewicz wyjął mu knebel z ust. - Krew przestała mi płynąć.

Radix uśmiechnął się, zapalając papierosa.

- A więc mówisz po rosyjsku, Fleming? Powinienem był zachować większą ostrożność... No cóż, nikt nie jest doskonały... Będę się streszczał, przyjacielu. Wiemy, dlaczego jesteś w Piotrogradzie i wiemy, że car zgodził się zapłacić Ramschildowi dziewięć milionów dolarów za dostawę broni.

- Skąd wiecie?

- Powiedzmy, że mamy swoje dojścia w pałacu. Uprawdziliśmy cię, żeby zapobiec tej dostawie broni.
- Dlaczego?
- Jesteśmy rewolucjonistami. Poświęciliśmy życie obaleniu reżimu. Uważamy, że wojna to nasz największy sojusznik. Car przegrywa, a naród rosyjski zaczyna go za to nienawidzić. W całej Rosji nie ma wsi, która nie straciła swoich synów. Utrącanie wojennych wysiłków cara sprzyja naszej sprawie, dlatego nie chcemy dopuścić do transakcji z Ramschildem.
- Ale dlaczego uważacie, że porywając mnie, wstrzymacie dostawę?
- To bardzo proste. Przekazaliśmy już przez ambasadę amerykańską wiadomość dla Alfreda Ramschilda. Jeśli Ramschild wyśle broń, zabijemy cię. - Przerwał dla większego efektu. - Bardzo się cieszę, Fleming, że zaoszczędziłeś sobie tej wyświechtanej uwagi: „nie ujdzie wam to na sucho”, bo oczywiście ujdzie. Zdaję sobie sprawę, że Ramschildowi może bardziej zależeć na dostawie niż na twoim życiu; w takiej sytuacji przegramy obaj. Nie sądzę jednak, żeby tak się stało. Zwłaszcza że amerykański magnat prasowy, Van Nuys Clairmont na tyle troszczy się o twoje dobro, że przysłał do ciebie swego korespondenta.
- A o tym skąd wiecie? Dojścia w hotelu?
- Właśnie. Nie wydaje mi się, żeby Ramschild chciał, by gazety pisały o tym, jak poświęcił życie swego uroczego młodego sprzedawcy na rzecz dostawy broni dla niezwykle niepopularnego cara rosyjskiego. Dlatego też sądzę, że nasz mały plan się powiedzie. - Znów przerwał na chwilę. - Ty oczywiście pełnisz w tym wszystkim rolę niewinnej ofiary. Okazałeś się użyteczny jako broń, toteż się tobą posłużyłem. Nie mam zamiaru wyrządzać ci krzywdy, jeśli tylko zdołamy tego uniknąć. Współpracuj z nami, a nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś znaleźć w więzieniu pewnej przyjemności. Twoim głównym strażnikiem będzie Rodion. Dziś w nocy zostaniesz przewieziony na wieś, kilkaset wiorst od Piotro-grodu, gdzie mamy zamiar cię trzymać. Nawet gdyby udało ci się uciec, co jest naturalnie bardzo mało prawdopodobne, nigdy nie znalazłbyś powrotnej drogi do cywilizacji. Dlatego radzę, żebyś pogodził się z tym, co cię spotkało, i najbliższe tygodnie czy miesiące poświęcił na filozoficzne rozmyślania. Jeśli okażesz się mądry, zrozumiesz, że pomagasz w jednym z najdonioślejszych

wydarzeń w historii - zniszczeniu carskiej autokracji. Miejmy nadzieję, że będzie to pierwszy krok w ogólnoswiatowej rewolucji! Masz jakieś pytania?

- Mnóstwo. Co robiłeś w Ameryce?

- Zbierałem fundusze. Zdziwiłbyś się, jak wielu mamy zwolenników w waszym kapitalistycznym kraju.

- A kim jest *madame* Wieruszka?

- Powiedzmy, że towarzyszką. A teraz, przyjacielu, muszę się z tobą pożegnać. I, Fleming... - Znowu ten bezczelny uśmiech. - Mam nadzieję, że nie żywisz urazy!

Wyszedł z pokoju.

Nawet gdyby Edith Fleming nie wpadła w histerię usłyszawszy o Nicku, Van Clairmont i tak zamieściłby wiadomość o porwaniu na pierwszych stronach, ponieważ miał dziennikarskie wyczucie sensacji. Jego dwadzieścia dziewięć gazet jako pierwsze zamieściło nagłówki: *Młody Amerykanin porwany przez wrogów cara!*

Ponieważ wiadomość dostarczona do ambasady w Piotrogradzie została podpisana przez „Komitet Sześciu”, nikt nie wiedział, kim są porywacze, chociaż Van sugerował w artykule redakcyjnym, że niewątpliwie należą do „radykałnego podziemia”, przypuszczalnie nihilistów lub bolszewików. Te słowa budziły grozę nawet takiego liberała jak Van. Dziennikarze obiegli dom Edith, ale ponieważ lekarz zapakował ją do łóżka, podawszy silne środki uspokajające, lokaj odprawił ich z kwitkiem. Następnego dnia po ukazaniu się w gazetach wiadomości, uspokoiła się na tyle, by odebrać telefon z Białego Domu. Nastrój Edith poprawił się nieco, kiedy prezydent Wilson powiadomił ją, że rosyjski ambasador zapewnił go, że zostaną podjęte „wszelkie środki”, by odnaleźć Nicka.

Mimo to prześladował ją lęk, że gdzieś na drugim końcu świata jej syn może w każdej chwili zostać zabity. Jeszcze większym przerażeniem napelniała ją myśl, że już może nie żyć.

O ile Edith potrzebowała środków uspokajających, Diana Ramschild wpadła w szal.

- Wiedziałam! - krzyknęła do ojca. - Wiedziałam, że jeśli pojedzie do Rosji, to go stracę!

- Diano, wyciągasz zbyt pochopne wnioski! Nie wiemy jeszcze...

- Został porwany przez terrorystów, co tu więcej wiedzieć? Opadła z płaczem na sofę. Ojciec stał przed nią, zakłopotany

i nękany poczuciem winy. Wiedział, że córce kradzie serce, i musiał przyznać, że to jego wina.

- Przepraszam, Diano... - wymamrotał, ponieważ przeprosiny nigdy nie były jego mocną stroną. Położył jej rękę na ramieniu, ale odepchnęła ją gniewnie, wstała, pobiegła na górę, zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni i rzuciła się na łóżko. Spojrzała na pierścionek zaręczynowy, przypomniała sobie dotyk Nicka, jego twarz, i powtarzała sobie, że to niemożliwe, by już nigdy nie miała go zobaczyć ani dotknąć.

Kuliła się na łóżku, szalejąc ze strachu i pożądania. Nie martwiła się wyłącznie o Nicka. Trzy dni wcześniej poszła do lekarza i przekonała się o słuszności swoich podejrzeń - była w ciąży.

Z/arównu w złoconych salonach arystokracji pietrogradzkiej, jak i domach klasy średniej uprowadzenie .Amerykanina", jak szybko ochrzczono Nicka, stało się kolejnym argumentem przeciwko coraz bardziej niepopularnej rodzinie carskiej i jej nieudolnym rządcom.

- Dlaczego nie przydzieliłeś mu ochrony? - spytała wielkiego księcia Kiryła młoda księżna Tatiana.

Minister wojny musiał przyznać, że nie uważał tego za konieczne. Porwanie Fleminga budziło niepokój nawet w najszlachetniejszym pomieszczeniu w Rosji, buduarze carycy w stupokojowym Pałacu Jekatierinowskim w Carskim Siole.

- Ochrana nie ma pojęcia, gdzie on jest! - mówił car chodząc po pokoju, w którym wszystko, nawet meble Hepplewhite'a, była fiołkoworóżowe. Mikołaj II był człowiekiem delikatnej urody, zawsze zwracającym się do żony po angielsku. Teraz przerwał na moment, by zgasić papierosa, po czym dokończył: - Zielonego pojęcia! A najbardziej irytujące jest to, że rozpaczliwie potrzebujemy tej broni.

- Rozmawiałam z naszym przyjacielem - odparła caryca, jasnowłosa wnuczka królowej Wiktorii. Leżała na szezlongu pod portretem jednej z jej ulubionych postaci historycznych. Marii Antoniny. ..Nasz



przyjaciel" oznaczał w ustach Aleksandry Fiodorownej Rasputina. -Nasz przyjaciel mówi, że nie powinniśmy się martwić.

- Do diabła z Rasputinem! - warknął car. Mimo że *stariiec* najwyraźniej zdołał powstrzymać śmiertelny krwotok jego chorego na hemofilię syna, czasami Mikołaj żałował, że w ogóle spotkał tego cuchnącego chłopca, która tak omamił jego żonę.

- Miki, nie wolno nam mówić w ten sposób o Grigoriju! -upomniała męża caryca. - To Boży człowiek!

Car niecierpliwie zapalił papierosa. Szczerze wierzył w Boga, ale ostatnio Bóg nie wierzył chyba zbyt mocno w cara Wszechrosji.

Szach i mat.

Rodion uśmiechnął się szeroko. Przesunął białego gońca o trzy pola i król Nicka został osaczony. Nick nie miał wielkiej nadziei na pokonanie strażnika, który okazał się równie inteligentny, jak i silny. Grali w szachy już od czterech miesięcy, a Rodion wygrał osiemdziesiąt procent wszystkich partii.

- Cholera - zaklął Nick.

- Jeszcze partyjkę?

- Czemu nie chcesz, żebym cię nauczył pokera? Szachy mi zbrzydły i do reszty obrzydło mi przegrywanie.

- O, przyjacielu, poker to gra kapitalistyczna, która mnie nie interesuje. Za to szachy! Szachy są jak piękna muzyka. Są nie tylko dobre na rozum, ale i na duszę!

Nick wstał od stołu z surowych desek i przeciągnął się podchodząc do okna, by wyrzucić na śnieg. Cztery miesiące w tej chacie, gdzieś na wschód od słońca i na zachód od księżyca. Cztery miesiące! Strażnicy odnosili się do niego z zadziwiającą uprzejmością. Zdołał nawet polubić Rodiona, który był pogodnym niedźwiedziem, pod warunkiem że mu się nie sprzeciwiano.

Oddech Nicka oszronił szybę, kiedy wyglądał na śnieżne płatki opadające niemrawo, jakby wyczerpało je czterdzieści osiem godzin nieprzerwanych opadów. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wydostanie się z tej znienawidzonej, zapomnianej przez Boga okolicy. Strażnicy zachowywali się przyjaźnie, ale chata był więzieniem. Najgorsze było to, że nie wiedział, co się dzieje na zewnątrz.

a strażnicy celowo utrzymywali więźnia w ignorancji. Nick nie próbował już zadawać pytań. W ciągu czterech miesięcy dowiedział się tylko tyle, że Rodion pochodzi z Moskwy, posiada dyplom uniwersytecki z metalurgii i potrafi do znudzenia cytować Marksa.

Nick chyba już milion razy rozważał możliwość ucieczki. Jednak Radion miał rację: chata stała w środku niezmiernego lasu. Strażnicy zabierali go na długie spacerunki i miał okazję się przekonać, że nawet gdyby zdołał uciec, zabłądziłby, a teraz, po nadejściu zimy, mógł do tego zamarznąć.

- Chodź, Nikusza - powiedział Rodion, używając rosyjskiego zdrobinienia, jakby Nick został członkiem rodziny, co praktycznie się stało. - Ustawilem figury do nowej gry.

- Powiedziałem ci, że szachy mi zbrzydły.

- Masz coś lepszego do roboty?

Nick westchnął i wrócił do szachownicy. Jego namiętność do Diany wrzała w tym klasztorzym zamknięciu jak w szybkożarze. W ciągu długich zimowych tygodni myślał też jednak o Spółce Ramschilda i przemyśle zbrojeniowym. Powiedział Dianie, że sprzedawanie broni jest tym samym co sprzedawanie ubezpieczeń, ale to oczywiście nie była prawda. Przemysł zbrojeniowy stanowi podstawę siły każdego narodu. Nick wiedział, że obecna wojna -oraz agresywna polityka zagraniczna Niemiec w ostatnich latach -wiążą się bezpośrednio z gigantyczną firmą zbrojeniową Kruppa. To Alfred Krupp, „król armat”, umożliwił dziewiętnastowiecznym kaiserom przemianę małego, sielskiego i niezbyt zamożnego państewka pruskiego w wielkie przemysłowe Cesarstwo Niemieckie. On, Nick, został uwięziony w tej chacie z powodu broni. Każdy, kto' kontroluje przedsiębiorstwo zbrojeniowe, automatycznie skupia w swoich rękach władzę - władzę umożliwiającą prowadzenie interesów z możliwymi tego świata.

Była to ponętna myśl.

Edith Fleming stała przy oknie w swojej bibliotece patrząc na płatki śniegu opadające na Manhattan. Po raz setny powtarzała sobie, że jej adoptowany syn żyje, choć serce mówiło jej, że jest inaczej! Czuła się tak od czasu, kiedy Alfred Ramschild powiadomił ją, że broń przeznaczona dla Rosji sprzedaje Anelikom. Pzekonał ją, że to

najlepszy sposób na uwolnienie Nicka, bo jeśli porywacze uprowadzili go, by nie dopuścić do sprzedaży broni carowi, to dowiedziawszy się, że broń popłynęła do Anglii, nie mają już powodu go więzić. Edith zgodziła się nerwowo z jego argumentami i transakcję zawarto.

To się stało w listopadzie. Teraz był luty. Nie tylko nie uwolniono Nicka, ale nie nadeszła żadna wiadomość od porywaczy. Edith miała pewność, że go zabili, być może z zemsty, ale najprawdopodobniej po to, by nie wyjawiał rządowi carskiemu tożsamości Komitetu Sześciu.

Wspominała pięknego chłopca, przed którym otworzyła serce tyle lat temu we Flemington, chłopca, którego zaadoptowała i kochała -ze wszystkimi jego wadami - jak rodzzonego syna.

Na odgłos otwieranych drzwi odwróciła się od okna. Do biblioteki wszedł Van Clairmont. Miał na sobie elegancki granatowy garnitur, a grube okulary zaparowały po spacerze w śnieżycy.

- Van? - powiedziała, zdziwiona jego pojawieniem się po południu.

Zdjął okulary i idąc ku Edith zaczął je wycierać chustką.

- Winifred nie żyje - powiedział cicho. - Umarła przed godziną. Lekarz powiedział, że nawet gdyby przeżyła wylew, przypuszczalnie pozostałaby sparaliżowana przez resztę życia. Chyba więc lepiej, że tak się stało.

- Mimo to, przykro mi - powiedziała Edith.

Z powrotem włożył okulary, wepchnął chustkę do kieszeni na piersi i oparł jej dłonie na ramionach.

- Wiesz, co to oznacza. Jestem wolny.

Nie odpowiedziała, kiedy wziął ją w ramiona i pocałował.

- Odczekamy tydzień po pogrzebie - szepnął. - Potem pojedziemy do Hot Springs i pobierzemy się. Ubóstwiam cię, Edith. Byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że żałuję śmierci Winifred.

Gdyby tylko był tutaj Nick!

- Wyjdiesz za mnie? - spytał. Edith z uśmiechem podniosła wzrok.

- Będę zaszczycona.

Van uśmiechnął się szeroko, szczęśliwy jak mały chłopiec.

- Co byś chciała dostać w prezencie ślubnym?

- Mojego syna.

Mimo że Nick nigdy nie był jego faworytem, Van rozumiał, jak głęboko Edith przeżywa śmierć adoptowanego syna.  
- Chciałbym móc ci go przywrócić - odparł tylko.

Mała sypialnia, gdzie Nick spędził tyle długich, nudnych i zimnych nocy, miała jedno okno, które zostało zabite deskami przed przywiezieniem Nicka do chaty. Wielokrotnie próbował poluzować deski, ale były to w istocie poćwiartowane bale, przymocowane do ścian dziesięciocalowymi gwoździami; bez młotka nie sposób ich było ruszyć.

Nick powtarzał sobie, że nie ma nadziei na ucieczkę, ale mimo to nie przestawał o niej marzyć. Skierował uwagę na deski podłogowe. Zaczął je wypróbowywać jedną po drugiej, ponieważ podczas spacerów zauważył, że pod chatą bez fundamentów znajduje się wolna przestrzeń, gdzie mógłby się przeczołgać. Drugiej nocy znalazł pod łóżkiem luźną deskę.

Odepchnął łóżko i zaczął ją podważać. W nie dogrzanym pokoju panował już chłód, ale teraz poczuł prawdziwy mróz zalegający pod domem. Pracował w ciemności, ponieważ nie dawali mu lampy. Zaczął zdejmować pozostałe deski.

Kiedy usunął dwie dalsze, pojawił się wystarczająco duży otwór, by się przecisnąć. Ale czy chciał to zrobić? Miał kurtkę z niedźwiedziej skóry, rękawice i mocne buty, ale jak długo zdołałby wytrzymać w tak niskiej temperaturze? Było prawdopodobne, że błędziłby przez wiele godzin, a potem zamarłby na śmierć.

A jednak musiał spróbować! W więzieniu zaczynał odchodzić od zmysłów. Włożył kurtkę i rękawice, po czym prześlizgnął się przez otwór zeskakując na zamrożoną ziemię. Podczołgał się do skraju chaty i wstał.

Była mroźna noc, a sierp księżyca świecił dość jasno - równie dobry moment, jak każdy inny. Otuliwszy głowę szalikiem, by chronić uszy przed mrozem, ruszył przez śnieg.

Wtedy ujrzał ślady sań i serce mu podskoczyło. Naturalnie! Dwa razy w tygodniu do chaty dostarczano jedzenie na saniach ciągnionych przez konia; sanie musiały skądś przyjeżdżać, przypuszczalnie z najbliższego miasteczka. Musi tylko iść po śladach, a w końcu tam trafi.

Puścił się biegiem, miał ochotę krzyczeć z ulgi - był wolny!

Biegł przez pięć minut, potem zwolnił. Płuca łykały lodowate powietrze, a mróz szczypał w gardło i nozdrza. Nick brnął przez bezkresny las, a blask księżyca migotał przez uginające się pod śniegiem gałęzie wysokich jodeł. Jaka cisza! Las był cichy i zimny, nabrzmiały śmiertelnym pięknem.

Usłyszał dalekie wycie wilka, i chłód wkradł mu się do krwi. Przypomnił sobie zasłyszane w dzieciństwie opowieści o pionierach na dzikim zachodzie, ściganych przez wilki, Indian i niedźwiedzie. On znajdował się na dzikim wschodzie, gdzie nie było Indian, ale wilki, niestety, i owszem. Wciąż nie było za późno, żeby zawrócić, ale szedł dalej. Przesunął szalik tak, by oprócz uszu zakrywał mu także usta i nos, i szedł dalej.

Następnego ranka znaleźli go w śniegu, nieprzytomego, bliskiego zamarznięcia. Odszedł trzy mile od chaty. Zanieśli go z powrotem, a Rodion przywrócił Nicka do życia, karmiąc gorącą zupą.

- Postąpiłeś głupio, Nikusza - beształ więźnia potężny Rosjanin. - Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później spróbujesz uciec, ale to naprawdę nie ma sensu. Rozumiesz? Żadnego sensu.

Nick skinął głową apatycznie. Poznał to dobitnie na własnej skórze. Ale przynajmniej spróbował!

Wiedział, że coś jest nie tak, kiedy pojawili się nowi strażnicy.

Siedział zamknięty w swoim małym pokoju, na prostym, wiejskim łóżku ze słomianym materacem i sznurami zamiast sprężyn, łóżku, na którym spał od ponad pół roku. Przysłuchiwał się głosom dochodzącym z frontowego pokoju i zastanawiał się, co się stało. W końcu drzwi się otworzyły i do środka wszedł Rodion.

- Wyjeżdżamy, Nikusza - powiedział podchodząc do łóżka. - Przyszedłem się pożegnać.

Wyciągnął rękę, a Nick wstał i ją uścisnął.

- Co się stało? Dokąd jedziesz?

- Mam nadzieję, że się zgodzisz, że, jak na panujące warunki, traktowaliśmy cię dobrze?

- Traktowaliście mnie w porządku, ale co się, do diabła, dzieje? Ku zdziwieniu Nicka zwalisty niedźwiedź go uścisnął.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Nikusza. Cokolwiek by się stało, jesteśmy przyjaciółmi, tak?

- Co to znaczy: „cokolwiek by się stało”?

Rodion wypuścił go z objęć, uśmiechnął się lekko i podszedł do drzwi.

- Nie bój się - powiedział.

- Czego mam się nie bać? - zawołał Nick.

Rodion otworzył drzwi i wyszedł, a Nick pobiegł za nim.

- Rany boskie, Rodion, powiedz, co się dzieje?

Drzwi się zamknęły, a drewniany skobel wrócił na miejsce. Nick zaczął walić w drzwi wrzeszcząc:

- Niech mi ktoś powie, co się dzieje, do cholery! Powiedzcie mi! Krzyczał i łomotał blisko minutę. W końcu przestał.

To

bez sensu. Wrócił do łóżka i usiadł wpatrując się w drewnianą podłogę.

Zastanawiał się, czy go zabiją, a jeśli tak, to w jaki sposób. Modlił się, żeby to było szybko.

Minęło pół godziny ciszy. Usłyszał rzenie konia. Wstał, podszedł do drzwi, przyciskając do nich ucho.

Ktoś wszedł do chaty. Kroki zbliżały się do jego drzwi. Zdjęto skobel.

Nick cofnął się i stanął twarzą do drzwi.

Na rany Chrystusa, nie daj po sobie poznać, że jesteś przerażony! Umieraj jak mężczyzna. W przeciwnym razie te sukinsyny będą się śmiać nad twoim trupem.

Drzwi otworzyły się na oścież, a Nick zdążył pomyśleć, czy strzał w serce jest bolesny.

W progu stanął siwobrody starzec w futrzanej czapie.

- Czy to ciebie mam zabrać do Piotrogradu? - wysapał z silnym wiejskim akcentem.

- Co? - spytał zdumiony Nick.

- Zapłacono mi pięćdziesiąt rubli za zawieszenie jakiegoś Amerykanina do Piotrogradu. Jesteś Amerykaninem?

- Tak, ale... kto ci zapłacił?

Stary wieśniak wzruszył ramionami.

- Powiedział tylko, że jest twoim partnerem od szachów i że znajdę cię w pokoju na tyłach domu.

Nick wybuchnął śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że jestem wolny?

- Przecież słyszałeś. Już mi zapłacono. Jesteś gotowy? Moje sanie stoja przed domem.

Nick podbiegł do starca z okrzykiem radości i uściskał go serdecznie.

- Wszyscy powariowali - mruknął chłop. - Odkąd car ustąpił, wszyscy zwariowali.

- Co się stało carowi?

- Nie słyszałeś?

- Nie słyszałem o niczym! Co się stało?

- W zeszłym tygodniu w Piotrogradzie wybuchło powstanie. Ojczulek abdykował. Mówią, że Rosja jest republiką.

Nick patrzył na niego bez słowa.

## ***Rozdział ósmy***

W pewien burzowy dzień w końcu marca 1917 roku Nick zadzwonił do drzwi pałacu eks-wielkiego księcia Kiryła nad kanałem Mojka, zastanawiając się, dlaczego były minister wojny chce się z nim widzieć. Przez dwa dni od powrotu Nicka do Piotrogradu prasa poświęcała mu pewną uwagę, jednak od abdykacji cara w stolicy panował nastrój niemal histerycznie antymonarchistyczny. W gazetach było niewiele miejsca na cokolwiek innego poza ostrymi atakami na byłą carycę i jej męża; oboje zostali uwięzieni w pałacu w Carskim Siole. Rysunki przedstawiające carycę w wannie pełnej krwi rewolucjonistów zamieszczano obok relacji z dzikich orgii, jakie odbywały się w pałacu przed rewolucją.

Rasputina, który został brutalnie zamordowany w grudniu, przedstawiano obecnie jako seksualnego potwora, który był nie tylko kochankiem carycy, ale także „zdefiorował” jej cztery córki. Prasa, której zdjęto kańczug, zamieniła się we wściekłego psa, a miasto dyszało nienawiścią. Nick widział grupy strażników rewolucyjnych z czerwonymi kokardami na czapkach, którzy przechadzali się ulicami, otwarcie sprzeciwiając się policji i oddziałom rządu tymczasowego. Po trzech wiekach autokratycznych rządów Romanowowie zbierali gorzkie żniwo. Skąpany w strugach deszczu pałac byłego wielkiego księcia Kiryła sprawił na Nicku wrażenie skazanego na śmierć.

Drzwi otworzył młody człowiek w prostym ubraniu, w rozpiętej, brudnej koszuli pod wyświechtaną marynarką; zniknęły osiemnastowieczne peruki i jedwabne pończochy, które Nick widział tu przed zaledwie siedmioma miesiącami.

- To ty jesteś tym Amerykaninem? - spytał tonem jeśli nie otwarcie gburowatym, to na pewno nie wyrażającym szacunku.



- Tak - odparł Nick. - Wielki księżę Kirył telefonował do mnie do hotelu.

- Nie ma już wielkich książąt. Człowiek, który tu na razie mieszka, to obywatel Romanow. Wejdziesz, obywatelu. I wytrzymaj buty.

Nick wszedł do marmurowego foyer, zdejmując mokry płaszcz deszczowy, który pożyczył mu Bud Turner, i wyciągając go w stronę służącego, czy kimkolwiek on był. Mężczyzna wskazał ręką na kąt hallu.

- Połóż go tam na podłodze razem z parasolem.

- Rozumiem - powiedział Nick, spełniając polecenie - że jedną z rzeczy, których pozbyto się podczas rewolucji, były dobre maniery?

- W nowej Rosji nie będzie już służących. Każdy obsługuje sam siebie. Rodzina jest na górze w czerwonym pokoju.

- Nie kłopotz się z pokazywaniem mi drogi. Trafię.

- Nie miałem zamiaru pokazywać ci drogi.

- Wiem.

Nick wszedł na monumentalne schody. Zrozumiał, że dawny reżim - nieudolny i anachroniczny - musiał odejść. Jeśli jednak tak właśnie miał smakować nowy, wspaniały świat, to Nick nie był zbyt nim zachwycony. Bud Turner powiedział mu, że sowieci, którzy zdobywają w mieście coraz większą władzę, domagają się rządu komunistycznego i dyktatury proletariatu. To zdecydowanie nie było w stylu Nicka Fleminga.

U szczytu schodów skręcił do czerwonego salonu, gdzie znalazł wielkiego księcia Kiryła z żoną i córką. Kirył, który stał obok siedzącej żony, wyglądał imponująco, ale była wielka księżna i jej córka, Tatiana, wydały się Nickowi jakoś skurczone, jakby destrukcja ich świata wepchnęła je do skorupy lęku i konfuzji. Jeśli nie byli już wielkimi książętami, wspieranymi przez wieki tradycji i przywilejów, to kim byli? Nick rozumiał wściekłość tłumu, ale czuł też litość do Tatiany, która w tej chwili wyglądała po prostu jak przestraszona nastolatka. Może historia usuwała ją na wysypisko śmieci, ale nie można twierdzić, że ta dziewczyna ponosi winę za zbrodnie rosyjskiej autokracji.

Nick przeszedł przez pokój, by ucisnąć dłoń eks-wielkiego księcia, który pogratulował mu uwolnienia. Ksenia nalala mu filiżankę herbaty, a Nick usiadł, by opowiedzieć o swoim siedmiomiesięcznym uwięzieniu. Radix - który faktycznie nazywał się Walerian Iwanowicz Sazanow - objawił się podczas rewolucji jako jeden z przywódców

bolszewików, bliski towarzysz Lenina i jeden z najbardziej elokwentnych intelektualistów partyjnych. Tego wszystkiego Nick dowiedział się od Buda Turnera po powrocie do Piotrogradu. Teraz Kirył nakreślił mu szczegółowo przeszłość Sazanowa.

- Jego ojciec był zamożnym kupcem w Niżnym Nowgorodzie. Sazanow był błyskotliwym studentem i chciał zostać aktorem i dramaturgiem. Studiował w Moskwie u Stanisławskiego, a chociaż jego sztuki nigdy nie odniosły sukcesu, Sazanow zaczął zdobywać popularność jako aktor, specjalizujący się, o ironio, w rolach „podłych arystokratów” w komediach salonowych.

- Może dlatego na statku udawał hrabiego Razumowskiego -zauważył Nick. - Miałem wrażenie, że trochę gra.

- Niewątpliwie - odparł Kirył. - Zawsze był marnym aktorem. Jednak w Moskwie się zradyzalizował, zaczął pisywać rewolucyjne artykuły do podziemnych gazet, wreszcie aresztowała go Ochrana. O ile dobrze pamiętam, to było pięć lat temu. Udało mu się uciec z więzienia, dwa lata spędził w Szwajcarii z Leninem, potem wrócił i został redaktorem „Prawdy”. Fakt, że Ochrana nigdy go nie znalazła, wystawia jej należyta opinię. Wątpię jednak, czy mógłby go pan oskarżyć o porwanie. Rząd tymczasowy zbyt boi się bolszewików, by próbować sądzić jednego z ich głównych przywódców.

- Wiem o tym i nie interesuje mnie oskarżanie kogokolwiek -odparł Nick. - Chcę tylko jak najszybciej opuścić Rosję.

- Rozumiem, że jutro wyrusza pan do Szwecji?

- Tak jest. Potem płynę szwedzkim statkiem do Londynu.

Do tej pory żona i córka zachowywały milczenie, tylko niekiedy przerywając opowiadanie Nicka pytaniami. Teraz, jak gdyby zostało to z góry umówione, wielka księżna Ksenia wstała i powiedziała:

- Proszę wybaczyć, panie Fleming, ale córka i ja musimy dopilnować prania. Jedną z podniecających stron nowego reżimu jest to, że Tatiana i ja nauczyłyśmy się prać. Może nawet wkrótce otworzymy pralnię.

Mówiła beznamiętnym tonem, ale Nick wyczuwał, że ta kobieta podejmuje najwyższy wysiłek, żeby przystosować się do nowej sytuacji. Pocałował ją w rękę, a potem uściśnął dłoń Tatiany. Dziewczyna uśmiechnęła się dość nieśmiało i powiedziała:

- Nigdy nie zapomnę tańca z panem, panie Fleming.

To wszystko. Kiedy jednak Nick patrzył, jak wychodzą z pokoju,

przyszło mu na myśl, że uwaga Tatiany była jedną z najmiłszych, a w istniejącej sytuacji najbardziej poruszającą, jaką słyszał.

Po wyjściu kobiet wielki książę usiadł obok Nicka i powiedział ściszym głosem:

- Czy mogę być z panem szczerzy, panie Fleming?

- Naturalnie.

- Będę chyba realistą twierdząc, że bezpieczeństwo moje, żony i córki jako członków carskiej rodziny jest, mówiąc najłagodniej, problematyczne. Bolszewicy trąbią o tym, co nazywają sprawiedliwością ludu, a co oznacza eksterminację całej klasy. Jak dotąd Kierońskiemu udaje się ich trzymać w ryzach, ale mój instynkt nakazuje mi nie pokładać w nim wielkiej wiary. Tylko głupiec nie dostrzegłby paraleli między tym, co się tu dzieje, a tym, co się zdarzyło we Francji. Dzisiaj przy władzy są ludzie o umiarkowanych poglądach. Ale jak daleko za horyzontem czai się terror? Dlatego postanowiłem działać teraz, kiedy mam jeszcze trochę swobody. - Przerwał na chwilę. - Może zauważył pan, że służba opuściła nas, z wyjątkiem Miszy, który był jednym z naszych stajennych, ale teraz sam siebie awansował na majordomusa. Misza jest bolszewikiem i nie mam wątpliwości, że umieszczono go tu, by śledził nasze ruchy. Ogarnia mnie frustracja na myśl, że nic na to nie mogę poradzić. W sensie prawnym ta posiadłość należy do mnie, ale co dziś znaczy w Rosji prawo? Nic.

Przerwał, by łyknąć herbaty, po czym mówił dalej:

- Czuje, że mogę panu zaufać, panie Fleming, ponieważ jest pan Amerykaninem, a jako że był pan więźniem Sazanowa, jestem pewien, że nie sprzyja pan bolszewikom. Wyznaję panu w tajemnicy, że podejmuję kroki mające na celu wydostanie mojej rodziny z Rosji. W tym tygodniu wyruszymy na Krym, a jeśli to się okaże zbyt ryzykowne, spróbujemy przejechać przez Syberię do Chin. Niestety, cały mój majątek znajduje się tutaj, w Rosji, a teraz, podczas wojny, nie ma sposobu na przesłanie z kraju żadnych dóbr, nawet gdyby Kiereński mi na to zezwolił, czego by zresztą nie zrobił. Naturalnie, zarówno moja wiejska posiadłość, jak i ten dom i wszystko, co się w nim znajduje... - Przerwał na moment rozglądając się po pokoju, a Nick zauważył, że oczy tego niezwykle opanowanego człowieka zachodzą mgiełką. - Wszystko to jest niemożliwe do przeniesienia. Bóg jeden wie, co się z tym stanie.

Ponownie spojrzął na Nicka.

- Moja żona posiada dużą kolekcję biżuterii, której możliwie największą część zaszywamy pod podszewkami naszych ubrań. Nie wiadomo, czy uda nam się wywieźć te klejnoty. Możliwe, że będziemy musieli nimi opłacić własne życie.

Powiedział to bez emocji, ale ta uwaga przyprawiła Nicka o ciarki na plecach.

- Poszukiwałem sposobu zabezpieczenia się, żeby tak rzec, i teraz podejmuję ryzyko, ufając, że nam pan pomoże.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, sir. Wielki ksiązę najwyraźniej się uspokoił.

- Dobrze - powiedział. - Doceniam to. Proszę chwilę poczekać. Wstał i wyszedł z pokoju. Po dwóch minutach wrócił, z kieszeni

marynarki wyjął mały giemzowy woreczek; który wręczył Nickowi.

- W tym woreczku znajdują się drogie kamienie, głównie diamenty, chociaż jest jeden rubin birmański, ofiarowany memu pradziadkowi przez cara Aleksandra I podczas wojny napoleońskiej. Ten rubin jest znany w kręgach jubilerskich jako rubin Krwawego Księżyca. W osiemnastym wieku pewien angielski żołnierz zabrał go z indyjskiej świątyni, a potem odprzedał carskiemu agentowi. Waży osiemnaście karatów i podobno należy do najwspanialszych na świecie. W chwili takiej jak ta trudno ustalić cenę klejnotów, ale jestem pewien, że w Nowym Jorku sam ten rubin byłby wart sto tysięcy dolarów amerykańskich. Proszę rzucić okiem.

Nick otworzył woreczek i spojrzał na klejnoty. Wyjął duży, okrągło szlifowany brylant i uniósł go w górę. Ponieważ zapadał zmrok, wielki ksiązę zapalił lampę elektryczną. Brylant błysnął biało-niebieskim płomieniem.

- Panie Fleming, proponuję panu rubin Krwawego Księżyca w zamian za to, że jutro weźmie pan ze sobą ten woreczek klejnotów i zdeponuje go w Banku Anglii. Kiedy, i jeżeli, moja rodzina i ja wydostaniemy się z Rosji, poproszę pana o zwrot kamieni. Krwawy Księżyc będzie, nazwijmy to, pańskim honorarium. W ten sposób, nawet jeśli stracimy klejnoty, które wywozimy ze sobą, będziemy mieli coś, co pozwoli nam zacząć nowe życie, gdziekolwiek to będzie. Czy robi pan to dla mnie?

Nick wrzucił z powrotem brylant, odszukał duży rubin i podniósł go do światła. Miał barwę czystej gołębiej krwi.

- Zrobiłbym to bez rubinu - powiedział, a potem uśmiechnął się szeroko do wielkiego księcia. - Ale wole to zrobić z rubinem.

Wielki książę uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Przypuszczałem, że młody amerykański biznesmen nie zlekceważy oferty handlowej - powiedział wstając. - A zatem, umowa stoi?

- Tak. Ale czy nie powinienem zdeponować tych kamieni na pańskie nazwisko?

- Nie. Anglicy mogliby je skonfiskować. Niech pan je zdeponuje na siebie. Ufam panu bardziej niż rządowi angielskiemu.

- To mi pochlebia, sir.

- Myślę, że powinien pan już iść. Nie muszę mówić, że nie należy tego woreczka pokazywać Miszy. Chyba nie będzie panu robił żadnych kłopotów, ale nigdy nie wiadomo.

Nick schował woreczek do prawej kieszeni spodni. Pojawiło się małe wybrzuszenie, ale sądził, że uda mu się je ukryć pod płaszczem deszczowym.

- Życzę szczęścia panu i pańskiej rodzinie, sir. Wielki książę znowu rozejrzał się po pokoju.

- Żyłem w pięknym świecie. Może nie ma już miejsca na piękno. - Wzruszył ramionami, a potem dodał: - Tak czy inaczej, nie jest to dobry moment na bycie rosyjskim wielkim księciem.

Zmusił się do uśmiechu. Nick podziwiał tego człowieka.

Zszedł po schodach zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś zobaczy ten zaczarowany pałac. Kiedy dotarł do foyer, z cienia pod marmurowymi schodami wyłonił się Misza z karabinem w dłoni.

- Obywatel Romanow ma mnie za głupca - szepnął. - Ale wiem, po co prosił pana do siebie. Dał panu coś, co ma pan zabrać do Ameryki, prawda?

Nick wepchnął ręce do kieszeni, przybierając wygląd chłodnej obojętności.

- Nie - odparł. Poszedł do kąta, gdzie na mokrej podłodze wciąż leżał parasol i płaszcz.

- Wszystko, **Co** znajduje się w tym pałacu, należy do narodu rosyjskiego - powiedział Misza podnosząc głos. - Domagam się, żeby się pan poddał rewizji!

Nick odwrócił się. Wyjął dłonie z kieszeni i rozłożył ręce szeroko, trzymając giemzowy woreczek w prawej pięści.

- Dobrze, przeszukaj mnie.

Zbity z tropu taktyką Amerykanina, Misza zbliżył się, wciąż trzymając karabin, który jednak trząsał się, co wskazywało na to, że młody rewolucjonista nieco się denerwuje.

- Obywatel Romanow jest wrogiem ludu! - powiedział z uporem. - Tak jak wszyscy Romanowowie!
- Tak, wiem. Czy mógłbyś się pospieszyć? Muszę wracać do hotelu.
- Co masz w tym woreczku, który trzymasz w ręce?
- Kulki do gry.

Misza stał dokładnie na wprost Nicka, pół metra od niego, celując karabinem w jego brzuch.

- Daj mi ten woreczek! - rozkazał, wyciągając lewą rękę. Nick zamachnął się prawą ręką i z całej siły trzasnął woreczkiem

z klejnotami w szczękę Nicka. Jednocześnie lewą ręką uderzył w karabin, który poleciał przez foyer i upadł na marmurową podłogę pod ścianą.

Misza zawył z bólu i zakołysał się do tyłu. Posługując się woreczkiem jak kastetem Nick trzasnął Miszę w nos. Usłyszał chrupnięcie pękającej przegrody. Chłopak osunął się z jękiem na kolana, przyciskając obie dłonie do twarzy. Między palcami ciekła mu krew. Nick przebiegł przez foyer, podniósł karabin, a potem chwycił płaszcz deszczowy i parasol. Misza obserwował go ze łzami w oczach, osłaniając dłońmi zakrwawiony nos. Nick wycelował w jego głowę. Mam go zabić? - przeleciało mu przez myśl. Jeśli tego nie zrobię, wielki książę znajdzie się w niemałych tarapatach. Ale, Jezu, to tylko dzieciak... Nie mogę zabić dzieciaka, nawet jeśli jest skurwysyńskim bolszewikiem... Wielki książę musi sobie jakoś radzić... I tak robię wszystko co mogę, żeby mu pomóc.

Wycofał się do drzwi, wciąż mierząc w Miszę, w którego oczach malowało się przerażenie. Nick otworzył drzwi, mrugnął do Miszy i powiedział:

- Wesolej rewolucji.

Wybiegł na deszcz w radosnym nastroju.

Poprzedniego wieczoru otrzymał od Alfreda Ramschilda depezę następującej treści: *Ulga i zachwyt na wieść, że nic ci nie grozi. Zawiadomiłem twoją matkę. Dostawa broni sprzedana Anglikom, ale wynagrodzenie nadal twoje, za dzielną służbę firmie. Jedź do Londynu przez Sztokholm. Spotkamy się w hotelu Savoy w niedzielę piętnastego.* Siedem długich miesięcy, które spędził jako więzień w chacie, opłaciło się sowicie. Nie tylko miał w banku dziewięćset tysięcy dolarów, miał też rubin wart sto tysięcy. Biegnac w deszczu wzdłuż

kanalu Mojka pomyślał, że kiedy wałą się imperia, sprytni szczęściarze zawsze mają okazję zrobić na gruzach fortunę.

Martwiło go tylko, że w depeszy nie padło ani jedno słowo o Dianie.

Czy coś się stało z Dianą? - spytał, kiedy tylko usiedli przy stoliku w Savoy Grill w Londynie. Alfred Ramschild sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego.

- Dlaczego przyszło ci to do głowy?

- Cóż, nie pisał pan o niej w depeszy. Wszystko w porządku? Alfred łyknął wody.

- Nie - powiedział. - Nie, Nick, ale lekarze mówią, że będzie w porządku.

- Lekarze? To znaczy, że jest chora?

- Nie fizycznie. - Zniżył głos, rozglądając się po zatłoczonej restauracji, jakby się spodziewał, że wszyscy zechcą podsłuchiwać. - Arabella i ja nie mieliśmy pojęcia, że wy... - Zawahał się, jakby wyznanie prawdy sprawiało mu najwyższy ból. - Że wyście się kochali. Według Diany nawet kilka razy, i to bez zachowania środków ostrożności. To było głupie, Nick. Po tym, co przeszedłeś, nie mam zamiaru prawić ci morałów...

- Urodziła dziecko? - wykrzyknął, zachwycony perspektywą zostania ojcem.

- Cśś! Nie tak głośno.

- Panie Ramschild, nikt nie słucha. Poza tym, i tak ożenię się z Dianą, więc dziecko będzie ślubne. Nikt nie może nas winić...

- Nie ma żadnego dziecka. - Przerwał mu Alfred. - Arabella zmusiła Dianę do wyjazdu na Kubę i dokonania aborcji. Nick skrzywił się.

- Aborcji? Dobry Boże, dlaczego?

- Nie bronię żony. Ja także uważam, że postąpiła niewłaściwie, ale Arabella nie mogła znieść myśli, że Diana urodzi nieślubne dziecko. Pamiętaj: nie wiedzieliśmy, czy żyjesz, czy nie.

- Ale zabiliście moje dziecko, do cholery! Nie mieliście do tego prawa!

Alfred podniósł rękę w uspokajającym geście.

- To już się stało, Nick. Słuszne, czy nie, ale stało się. Musimy ponieść konsekwencje.

- Jakie konsekwencje?

- Diana jest bardzo wrażliwą kobietą. Po twoim zniknięciu była zrozpaczona, a potem aborcja... Cóż, nie mam zamiaru owijać w bawełnę. Przeszła raczej ciężkie załamanie nerwowe. Od pięciu miesięcy przebywa w sanatorium w Hartford.

Nick wpatrywał się w twarz Alfreda.

- Chcesz powiedzieć, że zwariowała? - spytał cicho.

- Nie, nie, jest tylko poważnie załamana. Czuje się już znacznie lepiej. Doktor Sidney twierdzi, że może wrócić do domu za parę tygodni, może za miesiąc. Chcemy jednak postępować z nią bardzo ostrożnie. Każdy nagły wstrząs emocjonalny może spowodować nawrót. Dlatego lekarz nie chce jeszcze mówić Dianie o tobie, w każdym razie póki nie będzie miał pewności, w jaki sposób zareaguje na taką nowinę.

- Ale... jak ciężki był jej stan?

- Miała halucynacje, a potem popadła w ciężką depresję. Ale, jak mówiłem, to już minęło. Mamy wszelkie powody, by być dobrej myśli, pod warunkiem że zachowamy ostrożność. Czy mi zaufasz?

- Proszę mi wybaczyć ostre słowa, ale pańskie dotychczasowe działania były ohydne.

Alfred skinął głową.

- Chyba zasługuję na taką ocenę, ale nie uszczęśliwia mnie to, co się stało. W rzeczywistości czuję się winny. Chcę ci to wynagrodzić, Nick, a dziewięćset tysięcy dolarów to tylko część rekompensaty. Zgodnie z tym, co mówiłem, chcę cię mianować zastępcą dyrektora działu sprzedaży.

Nick milczał. Myślał o swojej zielonookiej bogini, która teraz przebywała w sanatorium! Myślał o swoim nie żyjącym dziecku.

- Jakiej płci było to dziecko? - spytał.

- Chłopiec.

Syn. Syn jego i Diany. Przypomniawszy sobie ten upiorny listopadowy dzień szesnaście lat temu, kiedy dowiedział się, że jest nieślubnym dzieckiem, a matkę zaaresztowano za prostytutkę. Co by się stało, gdyby zrobiła sobie aborcję? Jego życie zostałoby zdmuchnięte, zanim miałby szansę je przeżyć, a teraz to właśnie spotkało jego syna. Z trudem panował nad wściekłością i goryczą.

- Powinienem powiedzieć, żeby wsadził pan sobie w dupę swoją posadę, ale to chyba nie pańska wina. Niech pan tylko nie oczekuje, że będę uprzejmy wobec pana żony. Jeśli o mnie chodzi, zamordowała



mojego syna tylko po to, by ukreślić łeb plotkom. Poza tym posłała Dianę do sanatorium. Pańska żona nigdy mnie nie lubiła, panie Ramschild, ale, na Boga, teraz to uczucie jest odwzajemnione.

- Rozumiem, jak się czujesz, Nick. Podjąłem się próby mediacji między nami wszystkimi. Zamówmy teraz lunch, a kiedy się uspokoisz, powiem ci, czego od ciebie oczekuję.

- Jezus Maria, niech mi pan powie teraz! Mam nadzieję, że nie wysyła mnie pan znowu na Syberię!

- Nie, chcę, żebyś został tu, w Londynie, przynajmniej przez pewien czas. Czy wiesz, że Ameryka przystąpiła do wojny?

- Tak.

. - Fabryka pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo mamy zamówienia na wiele milionów dolarów. Teraz zaopatrujemy nie tylko Francuzów i Anglików, ale także Departament Wojny w Waszyngtonie. Przydałbyś mi się tu, w Londynie, przez jakiś miesiąc. Mamy tu wiele interesów, a dzięki tobie mógłbym wrócić do firmy. Zrobisz to, Nick? Wiem, że nie powinienem cię prosić o żadną przysługę, ale to by mi bardzo pomogło. Zarezerwowałem dla ciebie apartament tu, w Savoyu. Firma pokryje oczywiście wszystkie wydatki. Nick skrzywił się z niesmakiem.

- Panie Ramschild, po co, do cholery, mnie pan pyta? Już pan zarezerwował apartament.

- Tak... hm... Pomówmy teraz o wynagrodzeniu, Nick. A, tak przy okazji, mów mi Alfred.

- Pańskiego wnuka mogłem nazwać Alfredem. Zanim zaczniemy cokolwiek omawiać, chcę pojechać do domu i zobaczyć Dianę.

- Nie możesz! Mówiem ci, że jest w sanatorium.

- Może jest tam, ponieważ myśli, że nie żyję! Alfredzie, ona mnie potrzebuje! Chcę tego! Chcę zobaczyć Dianę. Siedziałem w Rosji przez kilka miesięcy, a teraz chcę zobaczyć kobietę, którą kocham!

- Nick, nie możesz pojechać teraz do Nowego Jorku. Uwierz mi, proszę, lekarz nie pozwoli ci się zobaczyć z Dianą dla jej własnego dobra! Czy nie rozumiesz, że ostatnia rzecz, jaka jest jej teraz potrzebna, to silny wstrząs emocjonalny?

Nick zmarszczył brwi i niecierpliwie zabębnił palcami po stole.

- Myślę, że się mylisz...

- Nie, nie myślę się. Kiedy tylko Diana będzie gotowa cię zobaczyć i dowiedzieć się prawdy, wtedy możesz przyjechać do

domu. To się stanie już niedługo, może w przyszłym miesiącu. Tymczasem zostań tutaj i pomóż mi. Umówiłem cię na spotkanie z lordem Saxmundham. On mi pomaga w skontaktowaniu cię z pewnym młodym człowiekiem, który, jak sądzę, może cię zafascynować.

- Kto to taki? - spytał tępo Nick, wciąż myśląc o Dianie i nie żyjącym synu.

- Winston Churchill.

W oczach Nicka powoli zapalał się błysk zaciekawienia.

### ***Rozdział dziewiąty***

Była wnuczką księcia w czasach, kiedy angielskich książąt otaczano niemal bojaźliwą czcią. Jej dziadkiem po kądzieli był dziewiąty książę Dorset, którego przodek zdobył tytuł książęcy dzięki temu, że był nieślubnym dzieckiem Karola II. Dziewiąty książę posiadał osiemdziesiąt siedem tysięcy akrów oraz zamek Dorset, posępną, pseudogotycką twierdzę wznoszącą się nad Kanałem Angielskim na wyspie Purbeck. Jej matka, lady Letycja, jedna z największych piękności dziewiętnastego wieku, należała do grupy wysoko urodzonych pseudointelektualistów, nazywających siebie „dusze”. Ojciec, drugi wicehrabia Saxmundham, należał do najbogatszych i najbardziej wpływowych bankierów w Anglii. Miała dwadzieścia jeden lat, była piękna i zaręczona z lordem Rocksavage, jedną z najlepszych partii w kraju, obecnie walczącym we Francji. Trudno byłoby zaprzeczyć, że szlachetnie urodzona Edwina Thrax-Farquhar dostała wszystko, co tylko można sobie zamarzyć. Wielu nazywało ją dziką i upartą. Inni mieli ją za wariatkę.

Lord Saxmundham posiadał, oprócz innych dóbr, imponujący dom w Belgravii, szesnastowieczny zamek w Szkocji oraz prawdziwy klejnot, osiemnastowieczny dom w Chiltern Hills o nazwie Thrax Hall. Thrax Hall miał ciekawą historię. Pierwotnie było to opactwo, które zostało spalone i splądrowane przez Henryka VIII i ofiarowane przez króla jednemu z jego najbardziej lojalnych dowódców, pułkownikowi Sir Merivale Thraxowi, wraz z ośmiuset akrami ziemi. Sir Merivale był doskonałym żołnierzem, który jednak zaraził się syfilisem - według jednej z legend, podczas stosunku z owcą, choć rodzina stanowczo temu zaprzecza - i dokonał zywota jako kompletny

szaleniec. Posiadłość odziedziczył jego siostrzeniec, ale ani on, ani żaden z jego potomków nie interesował się ruiną przez ponad dwieście lat.

W latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku generał Sir Adrian Thrax, który zbił kolosalny majątek w Indiach, zdecydował, że nadszedł czas, by olśnić świat swoim bogactwem. Pełen podziwu dla stylu francuskiego, wynajął paryskiego architekta, który na fundamentach opactwa zaprojektował okazały osiemdziesięciopokojowy dom.

Kamienne mury i wdzięczne frontony nowej budowli wyglądały naturalnie o wiele bardziej francusko niż angielsko, ale piękno pałacu, którego fasada odbijała się w czterdziestometrowym basenie z fontanną tryskającą na dwadzieścia metrów, uciszyło krytykujących dzieło frankofobów.

Sir Adrian miał jedną córkę, Ariel, która wyszła za Roberta Farąuhara, przedsiębiorczego młodego myśliwego.

Farąuhar założył świetnie prosperujący bank Saxmundham, nazwany na cześć jego rodzinnego miasta w Suffolk. Sir Adrian zmarł na podagrę, a Robert, zręcznie zmieniający nazwisko na Thrax-Farquhar, odziedziczył majątek. Ariel zmarła przy porodzie - mówiono, że jej duch nawiedza zachodnie skrzydło - a posiadłość, dziedziczona przez cztery pokolenia, stała się w końcu własnością Maurice'a, drugiego wicehrabiego Saxmundham, ojca Edwiny. Kiedy podczas przyjęcia zaręczynowego w czerwcu 1917 roku Edwina wypłała za dużo szampana i kąpała się nago w basenie, szybko rozeszła się plotka, że odziedziczyła „obłąd” Thraxów. Odnosiło się to nie tylko do szaleństwa Sir Merivale Thraxa, ale także szeregu innych szurniętych przodków, takich jak lady Letycja Thrax, która w roku 1832, przekonana, że jest ptakiem, rzuciła się z dachu Thrax Hall. Edwina, która uwielbiała historię swej rodziny, uważała, że dotycząca jej osoby plotka jest „pyszna”.

Miała miękkie, kasztanowe włosy, doskonałą angielską cerę, duże niebieskie oczy i profil, który jeden z rapsodycznych konkurentów nazwał greckim, mimo że był typowo anglosaski. Przebywając na wsi, każdego ranka jeździła konno. O dziewiątej rano pewnej soboty 1917 roku zeszła z konia przed Thrax Hall, podała cugle stajennemu, wbiegła po kamiennych schodach, weszła do hallu i spojrzała z aprobatą na młodego mężczyznę w ciemnym garniturze z Savile Row. - Halo – powiedziała, zamykając masywne drzwi. - Kim jesteś?

- Nazywam się Nick Fleming.

Zauważyła, że gość nosi zegarek, jeden z nielicznych nie śmiertelnych wynalazków, jakie miała przynieść Wielka Wojna.

- Ach, tak, ojciec mówił o tobie. Obawiam się, że nie będziesz mi się podobał.

- Czemu?

- Ojciec mówi, że robisz majątek na sprzedaży broni rządowi, a każdy, kto zarabia pieniądze na tej ohydnej wojnie, powinien zostać zastrzelony, najlepiej z broni własnej produkcji.

- Twój ojciec zarabia pieniądze na tej ohydnej wojnie.

- Tego, co robi ojciec, także specjalnie nie pochwalam. Bankowość to również obmierzły interes. Te wszystkie nudne stopy procentowe i pożyczki... Przyjechałeś na weekend?

- Tak.

- W takim razie proszę nie oczekiwać, że będę uprzejma. Poza wszystkim innym, nie lubię Amerykanów. Wszyscy macie potworny akcent i świra na punkcie pieniędzy. Ale poza tym, nie wątpię, że jesteś czarujący.

- To ty jesteś tą córką, o której mówią, że jest wariatką?

- O tak, toczę pianę z ust. Rozumiesz, to dziedziczne. Nasze drzewo genealogiczne wprost ugina się od wariatów.

- Ja nie uważam, żebyś była szalona. Według mnie jesteś grubiańska i kierujesz się głupimi opiniami.

- Masz zupełną rację - odparła z uśmiechem. - Jestem grubiańska i wyznaję ohydne opinie. Jeździsz konno?

- Nie. Nienawidzę koni.

- Dobry Boże. Co w takim razie robisz?

- Trochę grywam w tenisa.

- Za stajnią jest kort. Spotkajmy się tam za pół godziny. Jerome da ci raketę, to służący.

Weszła na schody.

- Za dziesięć minut mam spotkanie z twoim ojcem.

- Pieprz ojca. O, przepraszam, zapomniałam. Jesteś Amerykaninem. Interesy przede wszystkim.

Spodobał jej się sposób, w jaki zacisnął szczęki.

- Będę na korcie za pół godziny - powiedział krótko. Rozpoznała gniew w jego głosie. Dobrze, pomyślała.

Nienawidzi

mnie.

Uśmiechając się do siebie wbiegła na schody.

Edwina nie знаła znaczenia słowa „pieprzyć”, wiedziała jedynie, że szokuje ludzi. Uwielbiała szokować, toteż używała go ile weszło albo w formie czasownikowej - „pieprz ojca” - albo przymiotnikowej - „co za pieprzony głupek”. Gdyby usłyszała, że chodzi o kopulację, poprosiłaby o wyjaśnienie tego słowa. Była znacznie mniej obyta, niż sądziła, ale w roku 1917 „obycie” oznaczało szminkowanie ust, co Edwina zaczęła robić, mimo protestów matki, lady Letycji.

Spotkała się z Nickiem na korcie tenisowym, celowo kazawszy mu czekać dziesięć minut, po czym wygrała pierwszy serw.

- Uważasz pewnie, że mężczyźni są automatycznie lepszymi sportowcami niż kobiety? - spytała.

- W niektórych dyscyplinach. Na przykład w baseballu.

- To taka głupia i nudna gra.

Nick wzruszył tylko ramionami i zajął pozycję, by odebrać jej serw.

Posłała asa. Ostatecznie wygrała pierwszego seta sześć do jednego. Nick nic na to nie powiedział.

- Masz dość? - spytała podchodząc do siatki.

- Zagram jeszcze seta.

- Muszę przyznać, że potrafisz przegrywać w pięknym stylu.

- Dziękuję.

- Nie chcę jątrzyć rany, ale przecież jesteś dopiero początkujący, to nieuczciwe wobec ciebie. To wcale nie znaczy, że ja jestem taka dobra, ale gram już od lat. Martwię się o twoją męską dumę.

- Słyszałem, że najlepszym sposobem robienia postępów jest granie z lepszymi od siebie.

- O, to prawda.

- A zatem, jeśli ci się zbytnio nie naprzykrzam, naprawdę chciałbym zagrać jeszcze seta.

- No...

- Może dla silniejszej motywacji założymy się? Powiedzmy o dwadzieścia funtów.

Edwina się zawahała.

- To chyba nie jest uczciwe...

- Wiem, że myślisz, że szanse są niejówne, ale jako żądny pieniędzy Amerykanin naprawdę potrzebuję motywacji. -

Uśmiechnął się. - Jeśli wygram, przeznaczę te pieniądze na Królewski Fundusz Pomocy Wojennej.

- W takim razie zakład stoi. Ograł ją sześć do zera. Edwina była wściekła.

- Ty oszuście! - wrzeszczała. - Ty świnię, ty bydlaku... Ty pieprzony draniu! Jesteś całkiem dobry!

Chciała w niego rzucić rakieta, bo śmiał się z niej w żywe oczy.

Przełożywszy spotkanie z lordem Saxmundham na późniejszą godzinę, Nick przespacerował się po posiadłości. Uznał, że Thrax Hall mu się podoba, natomiast Edwina nie; uważał ją za rozpieszczonego bachora. Miał jednak wiele spraw na głowie. Minęło już kilka miesięcy, odkąd Alfred Ramschild wrócił z Londynu do Nowego Jorku na pokładzie statku neutralnej Grecji, a Nick wciąż nie miał żadnych wiadomości od Diany. Z rosnącą irytacją bombardował Alfreda nagłącymi depeszami, ale odpowiedź brzmiała zawsze tak samo - stan Diany „poprawia się”, ale lekarz zaleca „ostrożność”. Wszystko to było tak frustrujące, że Nick zaczął podejrzewać, czy przypadkiem nie ma do czynienia z kolejnym spiskiem Arabelli Ramschild, która w ten sposób chce utrzymywać córkę z dala od niego. Powtarzał sobie, że zwariował, że żadna matka nie byłaby tak mściwa, ale potem przypominał sobie o aborcji i myślał, że może wcale nie jest tak szalony.

Zabójstwo jego syna wciąż sprawiało Nickowi ból; zżerała go nienawiść do matki Diany i pogarda do jej ojca. Kiedy tak rozmyślał, zrodziły się w nim też gorzkie uczucia do Diany. W końcu usłuchała matki. Zgoda, presja wywierana przez społeczeństwo na niezamężne matki jest olbrzymia, ale Diana nie opierała się zbyt mocno Nickowi, kiedy kochał się z nią w domku na plaży, toteż trudno ją nazwać typem konwencjonalnym, w każdym razie w kwestiach zabawy. Kiedy w grę wchodziła odpowiedzialność macierzyńska, najwyraźniej stawała się znacznie bardziej konwencjonalna. Jeżeli stawiała opór matce, to trzeba przyznać, że nie okazał się skuteczny. Idąc wzdłuż pięknego basenu przed Thrax Hall, Nick zastanawiał się, jaka naprawdę jest Diana.

Oczywiście, kochał ją - co do tego nie mogło być wątpliwości - a kochać znaczy przebaczać. Było mu naprawdę żal Diany i mówił sobie, że może nieco przesadza z powodu aborcji. A jednak, jednak... mimowolnie widział teraz swą zielonooką boginię w nieco innym, mniej pochlebnym świetle niż dotychczas.

Właśnie wtedy zobaczył wychodzącą z domu Edwinę. Zatrzymała się na kamiennych schodach, a lekki wietrzyk zafalował jej tweedową spódnicę.

Może była rozpieszczonym bachorem, ale przyglądając się tej dziewczynie, Nick podziwiał jej niezwykłą urodę. Lord Maurice Saxmundham, drugi wicehrabia i dyrektor banku Saxmundham, nie odziedziczył ani trochę rodzinnego „szaleństwa”. Przystojny, z siwymi wąsami i gęstymi, siwymi włosami, miał tylko jedną pasję - zbieranie pierwszych wydań książkowych; jego kolekcja należała do najwspanialszych w Anglii. Miał cenne pierwsze wydanie *Pameli* Richardsona, kompletny zbiór powieści Waverley z autografem Scotta, klejnoty Balzaca, Stendhala, Trollope'a i Dickensa, rozpadające się pierwsze wydanie *La Princesse de Clèves* oraz będący kiedyś własnością Poe'a *Upadek domu Usherów*. Zbiór przechowywał w eleganckiej bibliotece Thrax Hall, gdzie, na półkach chronionych przez misterne kratki z brązu, tomy spały przez dziesięciolecia, rzadko, jeśli kiedykolwiek, czytane przez dumnego właściciela. Lord Saxmundham - tak zwracali się do niego wszyscy z wyjątkiem rodziny i garstki bliższych przyjaciół - kupował po to, by posiadać, a nie czytać. Był niczym namiętny zbieracz wina, który nigdy go nie pija.

Absolwent Eton i Oxfordu, Saxmundham był żarliwym imperialistą i zagorzałym torysem, którego poglądy polityczne zgadzały się idealnie z poglądami arcykonserwatywnego premiera sprzed dwudziestu lat, markiza Salisbury - choć jego ulubionym premierem był lord Melbourne. Liberalny kurs, jaki angielska polityka przyjęła przed wojną, napełniał go oburzeniem, a wprowadzenie podatku dochodowego uważał za zbrodnię przeciwko naturze. Fakt, że taki wiktoriański torys czystej wody mógł dochować się córki w rodzaju Edwiny, która wręcz sympatyzowała z sufrażystkami, przekraczał zdolności pojmowania lorda Saxmundham. Jednak - o dziwo! - ze swoich dzieci najbardziej lubił właśnie Edwinę; kiedy w godzinę po meczu tenisowym z Nickiem wpadła do biblioteki bez pukania, ojciec podniósł wzrok znad „Timesa” i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział głosem, który wielu porównywało do małmazji. - Pan Fleming mówił, że grał z tobą w tenisa.



Edwina miała na sobie tweedową spódnicę i gruby sweter robiony na drutach, ale ta dziewczyna wyglądałaby korzystnie nawet w zbroi. Podeszła do ojcowskiego fotela i przycupnęła na poręczy. Blade listopadowe słońce wpadające przez okna rozświetliło jej kasztanowe włosy.

- Pan Fleming wyłudził ode mnie dwadzieścia funtów - odparła chłodno. - To nie jest dżentelmen. Myślę, że powinieneś kazać mu się spakować.

Ojciec odłożył gazetę.

- Wyłudził? Jak?

- Udał, że nie umie dobrze grać w tenisa, a potem mnie ograł. Uważam, że jest odrażający i przeraża mnie, że masz z nim cokolwiek wspólnego.

- Nie znam się na etyce tenisowej, ale pan Fleming doskonale współpracował z rządem, o czym chyba powinnaś pamiętać. Jego firma ma w moim banku ponad pół miliona funtów. Ale poza wszystkim, ten młody człowiek raczej mi przypadł do gustu. Jest inteligentny, agresywny i pełen energii.

- Namolny Amerykanin - prychnęła.

- Być może. Jednak jest moim gościem i oczekuję, że będziesz dla niego miła.

- Och, naturalnie - zapewniła wstając. - Będę odrażająco słodka. - Ruszyła do drzwi.

Ojciec przyglądał się jej podejrzliwie.

- Żadnych twoich sztuczek, Edwino, proszę.

- Och, nawet by mi się to nie śniło - odparła niewinnie. Lord Saxmundham miał zatroskaną minę.

Możliwe, że Amerykanin, jak o nim myślała, zrobił na niej początkowo niekorzystne wrażenie, ale tego wieczoru dowiedziała się o nim dwóch rzeczy, które jej imponowały. Po pierwsze, miał władzę.

Edwina wprawdzie nonszalancko krytykowała zawód ojca, ale skrycie cieszył ją fakt, że skupia w rękach władzę; podobało jej się, że na weekendy zaprasza do Thrax Hall wpływowe osobistości królestwa. Wiedziała, że jednym z gości zaproszonych na ten weekend jest, a raczej był, jeden z najbardziej wpływowych polityków w Anglii, który nawet teraz, dwa lata po fatalnej klęsce kampanii dardanejskiej, należał do najbardziej interesujących, nawet jeśli kontrowersyjnych członków rządu liberalnego. Oprócz poglądów Winstona Churchilla łączyły

z Edwiną także inne względy. On również był wnukiem księcia, siódmego księcia Marlborough, i urodził się w pałacu Blenheim, zajmującym oszalałymi powierzchnię siedmiu akrów. Podobnie jak Sir Merivale Thrax, lord Randolph Churchill, ojciec Winstona, zmarł na syfilis, choć nie zaraził się nim podczas stosunku z owcą. Podczas studiów w Oxfordzie padł niewinną ofiarą jednego z najokrutniejszych studenckich żartów w historii. Na przyjęciu w Merton College lord Randolph, pijąc strzemienne, wychylił kieliszek szampana, do którego koledzy dosypali narkotyków. Młodzieniec obudził się w ramionach bezzębnej prostytutki, co zdaniem kolegów stanowiło wyśmiany żart. Przerażony lord Randolph pospieszył do lekarza, ale było za późno - krętki dostały się już do krwi. Wiktoriańska medycyna nie знаła lekarstwa na syfilis, toteż dwadzieścia lat później bezlitosne krętki zniszczyły jego zdrowie fizyczne i umysłowe, krótką acz błyskotliwą karierę polityczną, a wreszcie życie. Jego syn Winston złożył jedyny ślub, jaki był możliwy w tej sytuacji, że ukuje równie błyskotliwą karierę polityczną jak kariera ojca. Aby to osiągnąć, Winston korzystał z każdej okazji, by zwrócić na siebie uwagę opinii publicznej. Jego matka, piękna Amerykanka, Jennie Jerome, miała wpływowych kochanków, między innymi księcia Walii, który w roku 1901 został królem Edwardem VII; Winston nakłaniał matkę, by pociągała za wszystkie możliwe sznurki mogące wzmocnić jego karierę. Śmiała ucieczka z więzienia burskiego, którą opisał w angielskich gazetach, uczyniła go bohaterem. Posłużył się tą popularnością, by się dostać do parlamentu, gdzie dzięki błyskotliwości i energii wciąż znajdował się w centrum uwagi opinii publicznej. Został jednym z najmłodszych ministrów spraw wewnętrznych w historii Anglii, a w 1911 roku jednym z najmłodszych Pierwszych Lordów Admiralicji. W chwili wybuchu wojny, w roku 1914, dowodził flotą brytyjską, podstawą obrony Imperium. Ta kariera komety była krótkotrwała. W roku 1915, w odpowiedzi na krwawy pat we francuskich okopach, Winston przypuścił atak morski na Dardanele. Turcja przystąpiła do wojny po stronie Niemiec; gdyby zdołano otworzyć cieśniny, tak wielce potrzebną broń można by było dostarczyć przez Morze Czarne sojusznikowi Anglii, Rosji, a wielce potrzebne rosyjskie zboże można by było przewieźć do Anglii. Turcja mogłaby zostać wykluczona z wojny, a przed wojskami sprzymierzonymi otworzyłyby się na Dunaju tylne drzwi do Au-

stro-Węgier i Niemiec. Plan był błyskotliwy, wykonanie spartaczono. Atak sił brytyjskich i australijskich na półwysep Gallipoli został powstrzymany przez Turków dzięki młodemu geniuszowi, pułkownikowi Mustafie Kemalowi. Nastąpiła jatka sił sprzymierzonych, a winą za klęskę obarczono Pierwszego Lorda, Winstona Churchilla. Zmuszono go do opuszczenia Admiralicji, dotychczasowa popularność ustąpiła miejsca pogardzie i powszechnie sądzono, że jego kariera polityczna jest skończona.

Jednak nierozsądnie było stawiać krzyżyk na Churchillu. Po krótkiej służbie wojskowej w Belgii i Francji, gdzie wykazał się typową dla siebie energią i odwagą, został wezwany z powrotem do Londynu i objął tu stanowisko ministra uzbrojenia w pierwszym rządzie Lloyda George'a. Ze swego biura w eleganckim hotelu Métropole przy Northumberland Avenue, na tyłach Trafalgar Square, Churchill kierował dwunastoma tysiącami urzędników państwowych działających w pięćdziesięciu departamentach; podlegały mu broń, amunicja, koleje, samoloty i czołgi - nad tym ostatnim wynalazkiem sprawował pieczę osobiście. Fakt, że tak istotne ministerstwo podupadało w czasie, kiedy setki tysięcy angielskich żołnierzy ginęło we Francji, mówił niemało o skuteczności brytyjskiego naczelnego dowództwa.

Wiedząc o tym wszystkim, Edwina podejrzewała, że nie przypadkiem ojciec zaprosił do Thrax Hall Churchilla z jego uroczą szkocką żoną, Clementine, w tym samym czasie co młodego amerykańskiego sprzedawcę broni. Coś niewątpliwie wisiało w powietrzu. Kiedy jednak zasiedli wieczorem w pałacowej jadalni, zdumiała ją, że Churchill, który zazwyczaj dominował w rozmowie, teraz niemal całą uwagę poświęcał Nickowi Flemingowi - można by sądzić, że uwodził młodego Amerykanina.

- To oczywiście zupełnie inna wojna, odkąd ci cholerni czerwoni przejęli władzę w Rosji - powiedział przy zupie. Jego głos dudnił jak basowy ton organów katedralnych. - Rosja wycofuje się z wojny, co oznacza, że Hindenburg może przerzucić armię ze wschodu na front zachodni, a to jest klęska, klęska! - Potrząsnął z rozpaczą głową. - Naszą jedyną nadzieją, Fleming, jesteście wy, Amerykanie. Naszą jedyną nadzieją. Ale przecież ty znasz bolszewików, prawda? Czy nie wzięli cię jakiś czas temu? Zdaję sobie sprawę, że prezydent Wilson powitał upadek cara z zadowoleniem, ale chyba nawet on musi dokonywać nowej oceny sytuacji teraz, kiedy Lenin doszedł do

władzy. Nie należy im ufać! Czuję to w kościach, ten Lenin to zagrożenie. Zapamiętajcie moje słowa - nadejdzie dzień, kiedy Mikołaj II, ze wszystkimi swoimi wadami, w retrospekcji wyda się całkiem dobry.

Nick, wspominając niepokój zawsze niewzruszonego wielkiego księcia Kiryła i cichą rozpacz jego żony i córki, mógł się tylko z tym zgodzić. Zastanawiał się, czy zdołali uciec, a jeśli nie, to co się z nimi stało. Jak dotąd nikt nie zgłosił się po drogie kamienie, które zdeponował w Banku Anglii.

Churchill kontynuował monolog, biadając nad sytuacją wojenną i pochłaniając pokaźne ilości Chateau Latour rocznik 1907 lorda Saxmundham. Kiedy wreszcie nastąpiła chwila przerwy w rozmowie, Nick poruszył temat, który był powodem jego udziału tej kolacji.

- Moim zdaniem największym błędem angielskiego naczelnego dowództwa jest niedocenianie karabinu maszynowego - oświadczył.

- Jak najbardziej! - zagrział Churchill. - Uważali, że to zabawka. Ci cholerni głupcy uważali, że mój czołg to zabawka, ale we Francji pokazałem im, że się mylą.

- Słyszałem, że osiemdziesiąt procent strat ponoszonych przez siły sprzymierzone powodują karabiny maszynowe - ciągnął Nick.

- To prawda.

- Słyszałem, że trzech Niemców z jednym karabinem maszynowym jest w stanie zatrzymać batalion Anglików i Francuzów.

- Wierzę w to.

- Ale, panie Churchill — ciągnął Nick, podnosząc nieco głos, a Edwina pomyślała, że także Amerykaninowi nieobca jest żyłka dramatyczna w stylu Churchilla. - Co by się stało, gdyby istniał przenośny karabin maszynowy?

Wystarczająco lekki, by mógł go nosić jeden żołnierz? - Zamilkł, aby nadać słowom większe znaczenie.

Churchill zmarszczył brwi.

- Czy taka broń jest możliwa? - spytał cicho. Nick wiedział, że igra z rozmówcą.

- W chwili obecnej - ciągnął, uchylając się na razie od bezpośredniej odpowiedzi - każdy żołnierz nosi blisko trzydzieści kilo sprzętu, co uniemożliwia mu szybkie poruszanie się. Jest wyposażony w bagnet, który w tej wojnie jest praktycznie bezużyteczny, ponieważ żołnierzowi nigdy nie udaje się zbliżyć do wroga na tyle, by go użyć. Jego broń nie może się mierzyć z karabinem maszynowym. W chwili gdy wychodzi z okopów, zostaje skoszony. Ale gdyby miał karabin

maszynowy? Taki, który waży niespełna trzy kilo i jest w stanie wystrzelić tysiąc pięćset pocisków na minutę? Wtedy żołnierz byłby mobilny, a jego broń dorównywałaby skutecznością broni nieprzyjaciela. Co by się stało, gdyby tysiące pańskich ludzi miało taką broń? Niemcy nie mieliby szans.

Znowu przerwał. Clementine Churchill, lady Letycja, Edwina i Winston - wszyscy wpatrywali się w Amerykanina. Lord Sax-mundham pogładził wąsy.

- Powtarzam, czy taka broń jest możliwa? - spytał Churchill. Nick uśmiechnął się nieznacznie.

- Szef naszego wydziału badawczego opracował taki model. Mam jeden na górze. Moglibyśmy zacząć produkcję za sześć miesięcy. Sądzę, że cena nie powinna przekroczyć stu funtów.

Churchill walnął pięścią w stół.

- Ty draniu! - ryknął. - Dlaczego mi nie powiedziałeś? Pokaż mi go! Czemuś mi nie powiedział?

Nick zaśmiał się wstając.

- Dramatyzm jest równie ważny w sprzedaży, jak w polityce, panie Churchill - oświadczył i, ku zdumieniu Edwiny, wychodząc z pokoju mrugnął do niej łobuzersko. Lord Saxmundham uśmiechnął się, toteż Edwina zrozumiała, że ojciec brał udział w całym spisku.

W jadalni pojawiło się dwóch służących, którzy przeszli na koniec pokoju i powoli odsunęli zasłony z granatowego brokatu, za którymi znajdowały się oszklone drzwi prowadzące na taras. Włączono reflektory, a Edwinie przyszło na myśl, że zainstalowano je tam specjalnie dla celów przedstawienia — i rzeczywiście zaczynało się przedstawienie.

Na trawniku stało sześciu niemieckich żołnierzy z karabinami wycelowanymi w oszklone drzwi i zaskoczonych gości. Lady Letycja krzyknęła i już miała się ukryć pod stołem, kiedy jej mąż powiedział:

- Są wycięci z tektury, kochanie.

Na tarasie pojawił się Nick. W dłoniach trzymał dziwnie wyglądającą broń z kolistym bębniem na górze. Wycelował w tekturowe sylwetki i otworzył ogień. Ciszę angielskiej wiejskiej posiadłości rozdarł jazgoczący, śmiercionośny terkot pierwszego w świecie pistoletu automatycznego. Edwina patrzyła zafascynowana, jak śmierć dziurawi, żuje i rozgryza tekturowych Niemców. W niespełną minutę zostały po nich tylko drewniane podporki.

Nie wypuszczając broni z rąk, Nick odwrócił się wolno i dramatycznie ku jadalni i wycelował w Churchilla, który wstał od stołu. Nick, szczupły i przystojny w smokingu, niesamowicie oświetlony reflektorami, z tą przerażającą nową bronią w rękach, wyglądał przez chwilę jak sam diabeł. Edwina zastanawiała się, czy rzeczywiście nie wystrzeli.

Podczas meczu tenisowego dowiedziała się, że jest podstępny. Po uwadze, jaką poświęcał mu Churchill, poznała, że musi posiadać dużą władzę.

Teraz, rumieniąc się, zdała sobie sprawę, że ją ekscytuje.

### ***Rozdział dziesiąty***

Edwina zakładała, że Anglia to najlepszy kraj na świecie, a ona, wnuczka angielskiego księcia, należy do grupy wybrańców. Wielbiła przeszłość, w szczególności osiemnasty wiek. Została wychowana przez nianię, panią Philpotts, którą ubóstwiała i która była jej pod wieloma względami bliższa niż „mamusia”, lady Letycja. Życie wiejskie było dla Edwiny ucieleśnieniem wszystkiego co dobre, a psy i konie odgrywały w jej życiu ważną rolę. Nieźle strzelała - na szesnaste urodziny dostała od ojca Purdey - uwielbiała śniadania na polowaniach i eleganckie bale. Kochała Beatrix Potter, Piotrusia Pana, Buldoga Drummonda i Scarlet Pimpernel. W wieku dwudziestu jeden lat nadal sypiała z pluszowym misiem.

Typowa dla jej klasy, Edwina była jednak na tyle zbuntowana, by zainteresować się kimś tak innym, jak Nick Fleming. Na pierwszy rzut oka uosabiał wszystko, czego nie lubiła. Był Amerykaninem, a co gorsza, zajmował się handlem, i to handlem bronią. Mimo to leżąc tej nocy w swej pełnej lalek sypialni na drugim piętrze Thrax Hall, tuląc pluszowego misia, zaczęła myśleć racjonalnie. Ktoś w końcu musi dostarczać broń, którą można by pokonać Niemców; ci sprawiali ostatnio wrażenie niepokonanych. Edwina miała tuziny krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy zginęli w młodym wieku: jej dalecy kuzyni, lord Elcho i jego brat, Yvo Charteris; ich szwagier, Raymond Asquith, syn byłego premiera; Rupert Brooke, którego Edwina nigdy nie poznała, ale którego wiersze ubóstwiała... Boscyci młodzieńcy, kwiat pokolenia, zamordowani - i po co? Nikt już chyba nie wiedział; bezsensowna wojna ciągnęła się, tragiczny koszmar, który wprawił całą Anglię w odrętwienie. Jeżeli dziwna broń Nicka mogłaby skrócić wojnę, niewątpliwie należy mu się podziw. Jego

wagnerowski pokaz wywarł na panu Churchillowi nie mniejsze wrażenie niż na niej. Poza tym Nick jest Amerykaninem, a Amerykanie kochają interesy. Zresztą coś fascynującego wiązało się z całym tym tajemniczym światem międzynarodowych handlarzy bronią, biorąc na przykład tego bizantyjskiego Basila Zaharowa - który naprawdę przyszedł na świat w konstantynopolskiej dzielnicy nędzy i w dzieciństwie stręczył dla tureckich burdeli. Edwina słyszała, że to Zaharow faktycznie prowadzi tę wojnę, i było w tym coś godnego uwagi.

Zastanawiała się, jak potężny jest w istocie Nick Fleming.

Kiedy w końcu zasnęła, przyśnił jej się szczupły, przystojny człowiek, trzymający długi, dymiący karabin.

JSiedy Diana Ramschild wysiadła z samochodu ojca i spojrzała na mury Graystone w pseudotudorowskim stylu, rozplakała się, ponieważ zrozumiała, że w końcu wróciła do domu. Potem spostrzegła, że rodzice przyglądają się jej z niepokojem, i nakazała sobie przerwać płacz. Ból tkwił w przeszłości; teraz musi być silna. Silna, bo w przeciwnym razie odeślą ją z powrotem... silna, albo pomyślą, że wciąż jest niezrównowazona.

- Witaj w domu, kochanie - powiedziała z uśmiechem matka, ujmując ją pod ramię. - Odnowiłam twój pokój podczas twojej nieobecności. Myślę, że nowa tapeta ci się spodoba.

Tapeta? - myślała Diana wchodząc schodami do frontowych drzwi. Kiedy moja miłość zginęła? Kiedy zniszczono mojego syna?

W sanatorium straciła osiem kilo, ale apetyt powracał. Służący podał do pieczenia Beaujolais, a pierwszy alkohol od kilku miesięcy rozluźnił Dianę. Po deserze Alfred i Arabella wymienili spojrzenia. Arabella skinęła głową, a Alfred powiedział:

- Diano, mamy dla ciebie dobre wiadomości. Doktor Sidney uznał, że możemy ci powiedzieć.

- Dobre wiadomości? - spytała oschle. - Co za odmiana. Co takiego?

- Nick jest w Londynie. Spojrzała na ojca.

- Nick? - spytała tylko.



- Tak. Uwolniono go kilka miesięcy temu. Jest w dobrej formie i z niecierpliwością czeka na spotkanie z tobą. Chcieliśmy, żeby to był prezent z okazji twojego powrotu do domu.

Nick żyje!

Spojrzała na pierścionek zaręczynowy, którego nigdy nie zdjęła. Nie płacz, pomyślała. Nie rób sceny. Zachowaj spokój.

- Kiedy możecie go tu sprowadzić? - spytała.

- Jeszcze nie teraz - odparła matka. - Doktor Sidney nie chce cię narażać na ciężką próbę emocjonalną.

- Próbę emocjonalną?! - wykrzyknęła Diana. - Czy on nie rozumie, że kocham Nicka i rozłąka z nim jest dla mnie ciężką próbą emocjonalną?!

- Diano, musisz nad sobą panować, bo inaczej będziemy musieli odesłać cię do sanatorium.

- Czy to groźba?

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby ci grozić. Twoje zdrowie musi być jednak dla nas ważniejsze niż wszystko inne, nawet twoje pragnienia. Czas już, żeby twój stosunek do Nicka Fleminga dojrzał. Za moją namową twój ojciec wynajął prywatnego detektywa, który zbadał przeszłość Nicka. Okazuje się, że on nie jest całkiem tym, za kogo się podaje.

- Co chcesz powiedzieć? - spytała cicho Diana.

- Czy mówił ci, że jego matką jest Edith Fleming Clairmont?

- Tak...

- To tylko częściowo prawda. Pani Clairmont go adoptowała. Jego prawdziwą matką była niejaka Anna Thompson, rosyjska Żydówka, która zmarła w więzieniu.

- W więzieniu?

- Tak. Skazano ją za prostytutkę. - Przerwała dla większego efektu. - Czy w tym świetle, a także wobec faktu, że Nick nigdy nie zdobył się na dość odwagi i szczerości, by wyznać ci te dość istotne szczegóły, nie sądzisz, że powinnaś ponownie rozważyć zaręczyny? Wiem, że jego koledzy w Princeton go nie lubili, nie uważali go za dżentelmena.

Ledwo dostał się do klubu! Nie jest to człowiek, którego chciałabym widzieć jako męża mojej córki, choć przyznaję, że twój ojciec jest innego zdania.

- Nic mnie nie obchodzi, kim była jego matka...

- Była dziwką - przerwała jej z mocą Arabella. - Zwyczajną dziwka.

Diana sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale trwało to zaledwie chwilę.

- I tak mnie to nie obchodzi. Kocham Nicka całym sercem. Doskonale, pomyślała Arabella. Spróbujemy innej sztuczki.

Tak się cieszę, że pani do mnie zadzwoniła - powiedziała Edith, nalewając herbatę w salonie swego nowojorskiego domu, do którego Van wprowadził się po ślubie. - Nick pisał mi o Dianie, która wydaje mi się tak czarująca, że nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

- To na razie niemożliwe - oświadczyła Arabella, ubrana w elegancki perłowoszary kostium. - Lekarz Diany nalegał, by zapewnić jej teraz całkowity spokój.

- Oczywiście - zgodziła się Edith, dość zdziwiona chłodnym tonem gościa. Z uśmiechem podała Arabelli filiżankę z herbatą. - W takim razie poznam jej matkę. Powinnyśmy się były spotkać już wcześniej.

- Pani Clairmont, nie chciałabym udawać. Nie przepadam za pani adoptowanym synem. W istocie, przyszłam dziś do pani głównie po to, by prosić o pomoc w zerwaniu zaręczyn, które kosztowały już Dianę tyle udręki.

Edith patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Cóż, trzeba przyznać, że nie owija pani w bawełnę. Ale czemu któraś z nas miałaby próbować zrywać ich zaręczyny?

- Pani syn jest znacznie bardziej obyty niż Diana. Nie twierdzę, że ona nie ponosi żadnej winy za to, co się stało, ale bardziej doświadczona dziewczyna okazałaby się odporniejsza na uwodzicielskie, nowojorskie metody pani syna.

Jestem pewna, że Nick byłby szczęśliwszy z dziewczyną bardziej... doświadczoną niż Diana.

Edith przestała cokolwiek rozumieć.

- Wydaje mi się, że Diana była na tyle doświadczona, by pozwolić się uwieść - powiedziała zgryźliwie. - Nie mam zamiaru mieszać się do zaręczyn mojego syna. Z jego listów odnoszę wrażenie, że bardzo się kochają.

- Miłość to jedno określenie. Inne to żądza.

- Te dwie rzeczy zazwyczaj idą w parze. Arabella postawiła filiżankę na stoliku i wstała.

- Widzę, że nie ma sensu kontynuowanie tej rozmowy - oświadczyła. - Jest oczywiste, że podziela pani dość wątpliwa moralność

swego syna, co mnie akurat nie dziwi. Doskonale wiem o pani związku z Vanem Nuyssem Clairmontem, zanim jeszcze została pani jego żoną. Teraz jestem bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, by powstrzymać moją córkę od wejścia do tej odrażającej rodziny. Edith wstała z kamienną twarzą.

- Ty wstrętna kobieto - powiedziała cicho. - Lokaj odprowadzi panią do wyjścia.

Wychodząc z domu Arabella uśmiechnęła się do siebie. Jeśli to nie doprowadzi do zerwania zaręczyn, to już nic nie pomoże, myślała. Edith Fleming Clairmont poruszy niebo i ziemię, żeby powstrzymać syna od wżenienia się w moją wstrętą rodzinę!

Kiedy Nick otrzymał list od Edith, wpadł w taką wściekłość, że gdyby Arabella Ramschild była akurat w jego apartamencie hotelowym, przypuszczalnie by ją uderzył. Obrażać jego matkę, kobietę, która dała mu wszystko, której nieskończona dobroć i hojność tak dramatycznie odmieniła jego życie! Arabella wypowiedziała otwartą wojnę aktem chyba jeszcze bardziej oburzającym niż aborcja. Chodząc po salonie, którego okna wychodziły na Tamizę, Nick szukał w myślach sposobu na koegzystowanie z tą kobietą. Bez skutku. Nienawidził jej równie mocno, jak ona najwyraźniej nienawidziła jego.

Gdyby ożenił się z Dianą, rozumiałoby się samo przez się, że musiałyby trzymać matkę z dala od niego. Arabella nie była teściową z dowcipów; była teściową z koszmarów.

### ***Rozdział jedenasty***

Nick siedział w wannie w łazience apartamentu w Savoyu i czytał „Timesa”, kiedy zadzwonił telefon. Wyszedł z wanny, narzucił aksamitny szlafrok i, chlapiąc wodą, ruszył do salonu, by podnieść słuchawkę.

- Tak?

- W hallu czeka pewna młoda dama, która chce się z panem zobaczyć, panie Fleming - powiedział recepcjonista. - Szlachetnie urodzona Edwina Thrax. Czy mam ją posłać na górę?

- Proszę dać mi dziesięć minut na ubranie się - powiedział Nick, odkładając słuchawkę i zastanawiając się, czego mogła chcieć szlachetnie urodzona Edwina Rozpieszczony Bachor.

Minęły cztery dni od weekendu w Thrax Hall. Winston Churchill przekonywał rząd o potrzebie zamówienia pistoletów maszynowych, ale, ku irytacji Nicka, napotykał silny opór. Wyglądało na to, że ani Lloyd George, ani naczelne dowództwo nie są zainteresowani nową cudowną bronią Churchilla, mimo sukcesu czołgu we Francji. Dla Nicka był to kolejny dowód miernoty ludzi, którzy prowadzili wojnę. Jak dotąd poznał po stronie sprzymierzonych tylko jednego człowieka wybitnej inteligencji; niestety, Churchill, jeśli nawet nie stracił całkowicie władzy, to na pewno wypadł z łask. Płynęła z tego smutna lekcja, że światem kierują miernoty.

Jednak ubierając się Nick myślał raczej o Edwinie niż o pistoletach maszynowych. Jej nagłe pojawienie się w Savoyu intrygowało go. Nie lubił tej aroganckiej dziewczyny, podobnie jak i ona najwyraźniej go nie lubiła. Z drugiej jednak strony zauważył, że podczas kolacji wywarł na niej wrażenie i zachwycił brawurowym występem z pistoletem maszynowym.

Kiedy wpuścił Edwinę do środka, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Zastanawiał się, czy to dlatego, że przyszła bez przyzwyczajenia.

- Chciałam cię przeprosić - zaczęła bez powitania.

- Za co?

- Podczas weekendu odnosiłam się do ciebie niegrzecznie - powiedziała, zdejmując pelerynę. - Zachowywałam się jak rozpieszczony dzieciak, a nie powinnam. Doszłam do wniosku, że nie jesteś nawet w połowie taki zły, jak sądziłam. Stwierdziłam, że jesteś nawet szczególnym bohaterem.

- Ja? Bohaterem? - Wybuchnął śmiechem. - Nie ma mowy. Jestem zbyt skąpy. Właśnie miałem zamawiać śniadanie. Przyłączysz się?

- Z przyjemnością napiję się herbaty. Podoba mi się twój pokój. Musi kosztować majątek.

- To prawda - przyznał, dzwoniąc na służbę. - Ale dlaczego jestem bohaterem?

Stała przy oknie wyglądając na Tamizę.

- Ponieważ możesz skrócić tę potworną wojnę. Czy raczej twój pistolet maszynowy może ją skrócić.

- Pod warunkiem że Winston zdoła nakłonić ministerstwo wojny do zakupienia go, co nie wydaje się prawdopodobne.

Odwróciła się do Nicka.

- To znaczy, że oni go nie chcą? - spytała ze strachem w głosie. - Nie mogę uwierzyć, że są tacy głupi! - Ku jego zdumieniu, w oczach Edwiny zabłyśły łzy. Osunęła się na fotel i zaczęła łkać. Nick, który sądził, że ta arogancka młoda dama ma sopel zamiast serca, był zdumiony.

- Co się stało? - spytał podchodząc. Potrząsnęła głową.

- Czy mogę coś ci przynieść?

Znowu potrząsnęła głową. Rozległo się pukanie do drzwi i Nick pospiesznie wpuścił kelnera, czując ulgę z powodu obecności trzeciej osoby. Tajemnicze łzy Edwiny wprawiły go w niemalże zakłopotanie.

- Dzień dobry, sir - powiedział kelner, zerkając ciekawie na łkającą dziewczynę. - Śniadanie?

- Tak. Dwa jajka na miękko, boczek, grzanka, kawa. I herbata dla tej damy.

- Doskonale, sir.

Nick zamknął drzwi za kelnerem, po czym wrócił do Edwiny, która ocierała oczy.

- George zginął we Francji - powiedziała. - Dowiedzieliśmy się zeszłej nocy.
  - Przykro mi, ale kto to był George?
  - Mój narzeczony, lord Rocksavage. Był młody, przystojny, chyba niezbyt inteligentny, ale... - Westchnęła. - Nie żyje. Co za strata. Co za głupia, okropna strata. - Spojrzała na Nicka. - Byłam w nim bardzo zakochana, tak mi się przynajmniej zdawało. A teraz nie żyje. Po prostu nie mogę się pogodzić z myślą, że zginął, że już nigdy go nie zobaczę. Zastrzelili go z karabinu maszynowego. Dlatego pomyślałam o tobie. Może gdyby miał jeden z twoich pistoletów, miałby szansę.
  - Może.
  - Dlatego przyszedłam cię przeprosić. - Zawahała się. - Nie, to kłamstwo. Chciałam cię znowu zobaczyć.
  - Dlaczego?
  - Naprawdę nie wiem. Ale pierwszą osobą, o której pomyślałam, kiedy się dowiedziałam o George'u, byłeś ty. Czy to nie dziwne?
- Popatrzył na Edwinę, po raz pierwszy widząc w niej człowieka.
- To mi pochwala - powiedział cicho. Mówił szczerze.
  - Co teraz zrobisz? - spytał, smarując grzanekę masłem. Edwina siedziała po przeciwnej stronie pięknie zastawionego stołu, pijąc herbatę w ponurym milczeniu.
  - Nie wiem - odparła. - Ale chcę coś zrobić. Myślałam o włączeniu się do służby kobiecej, może jako pielęgniarzka. Tylko że nie wiem, czy zniosłabym widok rannych. Może sprawiaam wrażenie silnej osoby, ale naprawdę nie znoszę widoku krwi. Ale chcę coś zrobić.
- Odstawiła filiżankę i odrzuciła głowę w tył w buntowniczym geście.
- Nie, to kłamstwo - stwierdziła, wyzywając go wzrokiem, by coś powiedział. - Przyszedłam tu, bo czułam się potwornie samotna i chciałam ci się rzucić w ramiona. Proszę... oto prawda, i nie dbam o to, co sobie o mnie myślisz. Nadal żułam grzanekę, przyglądając się swojemu gościowi z nowym zainteresowaniem.
  - Pewnie uważasz mnie za jakiegoś wampa? - ciągnęła. - Za angielską Thedę Bara?
  - Cóż, nie wiem. Co właściwie miałaś na myśli?

- Oczywiście kochanie się. Mam nadzieję, że nie myślisz, że jestem dziewicą! - Słowo to zabrzmiało w jej ustach jak „trędowata”. - George i ja byliśmy jak psy w rui, zanim pojechał do Francji. Szczerze mówiąc, cholernie mi tego brakuje. Coś mi mówi, że byłbyś wspaniałym kochankiem. - Przerwała, przyglądając się Nickowi. -No, więc? Chcesz, żebym wyszła? Czy może powinnam pójść do sypialni i rozebrać się do naga?

Nalał kawę do filiżanki.

- Zanim podejmę tę wiekopomną decyzję, powinnaś chyba wiedzieć, że jestem zaręczony.

- Och. - Wyglądała na zdziwioną, a potem całkowicie zrozpaczoną. - Kochasz jakąś dziewczynę?

- Tak. - Ale czy na pewno? Ta myśl zawirowała mu w mózgu, kiedy patrzył na tę niezaprzeczalnie ponętą dziewczynę.

- O Boże, naprawdę zrobiłam z siebie idiotkę, co? I wszystko na nic. Nie powiesz ojcu?

- Słowo honoru. Mówiłaś serio? Faktycznie chciałaś iść ze mną do łóżka?

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo i nagle spostrzegł, że jest całkowicie bezbronna.

- Tak, mówiłam serio - powiedziała po prostu. - Może to sprawa wojny. Życie wydaje się takie tanie. Kto wie, kto będzie jutro żył? Tamtego wieczoru wydałeś mi się taki ekscytujący, że pomyślałam: Tak, chcę, żeby został moim kochankiem, choćby tylko na krótką chwilę. To chyba oznacza, że jestem bardzo zepsuta, prawda? -Spojrzała nerwowo na Nicka, który pożerał ją wzrokiem.

- Wiesz co? Myślę, że jesteś dziewicą.

Wyglądała na zszokowaną. Potem wstydliwie skinęła twierdząco głową.

Stłumił śmiech. Była na swój sposób zabawna, ale także poruszająca. Ku własnemu zdumieniu spostrzegł, że mu się podoba; nie mógł oderwać od niej oczu. Przez chwilę czuł wstyd, ponieważ zdradzał Dianę w myślach. Potem jednak przypomniał sobie, że Diana zdradziła jego, zabijając ich syna, przypomniał sobie wściekły antysemityzm Arabelli i jej atak na jego matkę. Czy rzeczywiście Diana jest osobą, której pragnie? Owszem, zakochał się w niej, ale to było dawno, pierwsza miłość. Czy można ufać pierwszej miłości? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak miłość wieczna?

- Pewnie uważasz, że jestem głupia - powiedziała wstając. -

Przepraszam, nie zajmę ci już więcej czasu. - Patrzyła na niego przez chwilę, po czym ruszyła do drzwi.

- Nie - powiedział. - Nie odchodź. Znieruchomiała, a potem odwróciła się bardzo wolno. Wstał od stołu i podszedł do niej.

- Pewnie oboje popełniamy błąd - powiedział cicho. - Ale mam dziwne przeczucie, że nie będziemy go żałować. Wziął ją w ramiona i pocałował. Podobnie jak wtedy z Dianą, poczuł w silnym ciele tej dziewczyny intensywne pożądanie.

- Och, mój Boże, nie mogę! - wykrztusiła. - Cholera, brak mi odwagi!

Podbiegła do drzwi i wypadła z pokoju tak szybko, że wybuchnęła śmiechem.

Kiedy jednak przestał się śmiać, zrozumiał, że pożąda szlachetnie urodzonej Edwiny Thrax każdym nerwem swego ciała.

Ale dlaczego? - krzyknęła Diana Ramschild i był to krzyk zranionego zwierzęcia. - Dlaczego musi czekać jeszcze dwa tygodnie?

- Diano, on wyjaśnia to w depeszy! - wykrzyknął ojciec. - Rząd nie podjął jeszcze decyzji w sprawie pistoletu maszynowego. To kontrakt wart wiele milionów...

- Nie obchodzą mnie pistolety maszynowe ani kontrakty! Chcę Nicka!

Wybuchnęła tak gwałtownym płaczem, że Alfred i Arabella wymienili zatroskane spojrzenia. Depesza, która nadeszła przed kilkoma minutami, uderzyła jak grom z jasnego nieba.

- To tylko dwa tygodnie, Diano - uspokajał ją ojciec. - Musisz być dojrzała. Ta wojna pochłania miliony istnień, a jeśli ten kontrakt może ją skrócić choćby o jeden dzień, jest wart wszystkich wysiłków Nicka.

Wyprostowała się, ocierając serwetką załzawioną twarz. Nagle uspokoiła się; była śmiertelnie spokojna.

- Nie chodzi o wojnę - powiedziała cicho. - Coś się stało. Od dwóch tygodni nie miałam od niego listu. On kogoś poznał.

W sercu Arabelli zapłonęła nadzieja.

- Chcesz powiedzieć, że jest jakaś inna kobieta? - spytała udając troskę.

- Nie widziałam go już rok. Tracę go. Czuje to. - Spojrzała na



Alfreda. - Ojczy, w przyszłym tygodniu pływiesz do Londynu. Popływę z tobą.

- Ależ to absurd! - zaprotestowała matka. - Doktor Sidney nigdy by ci na to nie pozwolił. Poza tym to niebezpieczne! Są torpedy...

- To statek neutralnego państwa, mamó, i ani ty, ani doktor Sidney nie zdołacie mnie powstrzymać. Pływę do Londynu, żeby ocalić moją miłość.

Odłożyła serwetkę, wstała od stołu i wyszła z pokoju. Oby tylko miała rację, myślała Arabella. Oby tylko był ktoś inny!

Czas robił dla Arabelli to, czego nie zdołały dokonać jej wszystkie spiski i modlitwy.

Depesza informująca o przyjeździe Diany wprawiła Nicka w stan kompletnego pomieszania emocjonalnego. Znał już prawdę - namiętną miłość, jaką kiedyś obdarzał Dianę, teraz czuł do Edwiny. Jego miłość do Diany zabiła seria wydarzeń - długa rozłąka, aborcja, wredność Arabelli - a może tylko po prostu Edwina zawróciła mu w głowie.

Mimo wszystko nie chciał ranić Diany.

- Co, na Boga, mam jej powiedzieć? - spytał Edwinę, kiedy spacerowali po nabrzeżu Tamizy w listopadowej mżawce.

- Chyba musisz jej powiedzieć prawdę, że już jej nie kochasz. Nick jęknął, kiedy z ronda kapelusza, kapnęły krople deszczu.

- Tak, wydaje się to proste. Ale coś mi mówi, że ona nie potraktuje tego tak prosto.

- Przecież stale się słyszy o zrywanych zaręczynach.

- I o złamanych sercach. To zrani Dianę, a ja nie chcę jej ranić, tylko że nie wiem, co innego mógłbym zrobić.

Edwina wzięła go za rękę.

- Naprawdę nie chcesz jej zranić? - spytała czule. - Myślę, że to miłe. Tylu mężczyzn powiedziałoby po prostu: pa, pa, i rozwiałoby się jak dym. Ale ty naprawdę chcesz ją chronić.

- Tak, chronić przed sobą. To ja stanowię problem.

- Nie, to ja - powiedziała Edwina, ściskając jego rękę.

W ciągu minionych kilku tygodni spotkali się z tuzin razy; Nick zabierał ją do najlepszych londyńskich restauracji. Całowali się i pieścili; ich związek stawał się coraz bardziej fizyczny. Nick, postępując we własnym przekonaniu rozsądnie, nie próbował posunąć się dalej, pamiętając jej występ w apartamencie hotelowym. Jednak

szaleli za sobą. Stwierdził, że dziewczyna, którą początkowo uważał za rozpieszczonego bachora, jest zabawna, świeża i ekscytująca. Oboje znajdowali frajdę w czytaniu o sobie notatek w londyńskich kronikach towarzyskich, które nazywały go „młodym amerykańskim sprzedawcą broni”, a ją „jedną z największych piękności pokolenia”, z czym Nick w pełni się zgadzał. Co do Edwiny, to Nick zajmował jej myśli w dzień i w noc.

- Gdybyś mnie nie spotkał, wciąż byś kochał Dianę, więc pozwól jej mnie nienawidzić - mówiła. - Nie czuję się ani trochę winna z tego powodu, że cię jej odebrałam. Sądząc po sposobie, w jaki ci się narzuciłam, muszę być bezczelna i bezwstydna.

Nick uśmiechnął się do niej.

- Lubię, kiedy jesteś bezczelna i bezwstydna.

- Zresztą, kochanie, spróbuj się nie zamartwiać z powodu Diany. Wiem, przez co musisz przechodzić, ale życie to dżungla, a ja byłam lepszym myśliwym. To ja złapałam tygrysa!

Znowu uściśnęła jego dłoń. Nad nimi zadzwonił Big Ben. Tak, życie to dżungla, pomyślał. Wciąż jednak truchlał na myśl o spotkaniu z Dianą.

Spotkał się z Alfredem i Dianą, kiedy zeszli ze statku w Southampton. Zachowywał się grzecznie i żaden postronny obserwator nie domyśliłby się, że w tej scenie było coś niewłaściwego, ale Diana wiedziała, że wszystko było nie tak. Zrozumiała to, kiedy ją pocałował - tak nie całowali kochankowie, w tym pocałunku nie było krzty namiętności.

Podczas podróży pociągami do Londynu Nick i Alfred rozmawiali o interesach, a Diana siedziała obok ojca, walcząc z niepokojem.

Kiedy wreszcie znaleźli się sami w apartamencie hotelowym Nicka, wzięła go za rękę.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - spytała.

- Oczywiście. - Wciąż unikał jej wzroku.

- Co się stało, Nick? Widzę, że coś się wydarzyło. Popatrz na mnie.

W końcu spojrzął jej w oczy.

- Powinienem był ci wysłać depeszę, ale taka sprawa nie brzmi dobrze w depeszy. Właściwie nie brzmi też dobrze, kiedy się ją mówi, ale trzeba powiedzieć. Poznałem kogoś. Dianę.

Zamknęła mocno oczy.

- Kogo? - spytała szeptem.

- Angielkę. Ma na imię Edwina.

- Córka lorda Saxmundham?

- Tak. Zakochałem się w niej. Bardzo. Otworzyła oczy.

- Mam wrażenie, że byłeś zakochany we mnie.

- Wiem. Przykro mi, Diano, naprawdę przykro. Wiem, że nic, co powiem, nie...

- Czy to z powodu aborcji? - przerwała mu. - Nick, ja nie miałam wyjścia! Zmusili mnie, ojciec i matka, oni mnie przerazili! Powiedzieli, że gdybyś zginął, nigdy nie znalazłabym męża! Och, kochanie, wybacz mi, proszę!

Przeszłam przez piekło! Nick, kocham cię z całego serca! Pragnę cię, potrzebuję! Och, Boże, kochanie, nie obwiniaj mnie za aborcję. Nie mów, że mnie nie kochasz.

Wyglądała żałośnie, a Nicka bolało serce.

- Nie obwiniam cię o aborcję - powiedział. - Poczulem gniew, kiedy się dowiedziałem, ale pewnie zrobiłaś to, co było konieczne. Po prostu... - Zrobił bezradny gest. - Zakochałem się w kim innym.

W oczach Diany zapaliły się dzikie błyski.

- Może zapomniałeś, ale jesteśmy zaręczeni.

- Nie zapomniałem. Muszę cię prosić, żebyś zwróciła mi wolność.

- Mój Boże, matka jednak miała rację co do ciebie! Co się stało z naszą miłością, która miała trwać wiecznie? Naszą wieczną miłością? „Och, Diano, jesteśmy szczęśliwymi wybranymi”, pamiętam, jak to mówiłeś, a ja byłam na tyle głupia, że słuchałam. Na tyle głupia, że wierzyłam! Ale pojawia się pierwsza ładna twarz, i biedna stara Diana ląduje na śmietniku! Czy nie tak się stało, Nick?

- Słuchaj; nie udaję, że pachnę w tym wszystkim jak róża...

- Róża? Śmierdzisz jak kupa śmieci! Jak zgnilizna, śmierdzisz jak syn kurwy! - Zesztywniał. - Nigdy nie raczyłeś mi o tym powiedzieć, co? Nigdy nie powiedziałeś mi prawdy! - krzyczała. - Syn kurwy! Tak właśnie się zachowujesz!

Nienawidzę cię, nienawidzę! - Zaczęła łkać. - Zapłacę ci za to. Nigdy mnie nie zapomnisz! Będziesz żałował, że spotkałeś Dianę Ramschild! Oddałam ci siebie, oddałam ci swoją miłość. Zaufałam ci... ty śmieciu! Ty synu kurwy!

- Diano...

- Nie mów! - wrzasnęła. - Nie waż się do mnie więcej odzywać! Już nigdy nie chce słyszeć twojego kłamliwego głosu! Ale nigdy

o mnie nie zapomnisz. Obiecuję ci, Nicku Flemingu, będę cię prześladować aż do twojego przeklętego grobu! Przeszła płakać. Stała się nagle lodowato spokojna, wszystkie emocje zamarzły w czystą nienawiść. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Potem odwróciła się, by spojrzeć na niego po raz ostatni.

- Zachowuję w pamięci twoją twarz. Jak bardzo ją kiedyś kochałam! Myślałam, że to najpiękniejsza twarz na świecie. Teraz napęłnia mnie obrzydzeniem.

Zdjęła pierścionek zaręczynowy i cisnęła go na podłogę. Potem wyszła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

Nick podszedł, podniósł pierścionek i przyjrzał mu się. Słowa „syn kurwy” wciąż dzwoniły mu w uszach.

Zranił ją, ale i jej udało się go zranić.

Jak mogłeś jej to zrobić? - krzyknął Alfred Ramschild wpadając dziesięć minut później do apartamentu Nicka z tęgą twarzą czerwoną z gniewu. - Wiedziałeś, że była w sanatorium... Wróciła do pokoju w hysterii! Musiałem wezwać lekarza hotelowego, żeby ją uspokoił. Do diabła z tobą!

- Alfredzie, próbowałem przemówić jej do rozsądku...

- Przypominam ci o twoich zobowiązaniach, Fleming! Jesteś zaręczony z moją córką, teraz się nie wycofasz.

- Idź do diabła! - wrzasnął Nick, któremu w końcu puściły nerwy.

- Jeśli się wycofasz, wyleję cię z pracy!

- Nic mi nie możesz zrobić, Alfredzie. Odchodzę!

- Dzięki mnie jesteś bogatym człowiekiem...

- Chwileczkę. To ja nastawiałem karku w Rosji, żeby ocalić twój tłusty tyłek! Co powiesz o tych siedmiu miesiącach w więzieniu? Mogłem zginąć... - pstryknął palcami - o tak. Dlatego nie życzę sobie więcej żadnych scen, Alfredzie. Lubiłem cię, a kiedyś kochałem twoją córkę. Żal mi Diany. Wiem, że ją zraniłem, i ponoszę pełną odpowiedzialność za moje podłe zachowanie. Jestem, jak to kilkakrotnie podkreśliła, synem kurwy. Nie jestem dżentelmenem, nie wiem, kim jestem. Ale to koniec. Mam inne plany.

- Jakie?

- To nie twój cholerny interes.

Twarz tęgiego mężczyzny była coraz bardziej czerwona. Nagle odrzucił głowę w tył i zaczął się dusić, przyciskając dłoń do skroni.

- Alfredzie...

Nick podbiegł, żeby go podtrzymać, bo Alfred zaczął się chwiać.

- Moja głowa - wykrztusił. - Coś... w mojej głowie...

- Usiądź tutaj. Wezwę lekarza.

Posadził go na krześle. Twarz Alfreda bladła.

- Lekarz u Diany... - szepnął.

- Zaraz wrócę.

Kiedy Nick wrócił z lekarzem, Alfred Ramschild leżał rozciągnięty na podłodze. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu.

Nick czuł się okropnie w związku ze śmiercią Alfreda; nie opuszczało go nawet pewne poczucie winy, ponieważ gniew, który spowodował śmiertelny wylew, był skierowany przeciwko niemu. Chciał porozmawiać z Dianą, spróbować ją pocieszyć; nie chciał, by ich znajomość zakończyła się na wrzaskach. Jednak Diana nie odbierała telefonów. Bagażowy z hallu powiedział Nickowi, że podaje się jej silne środki uspokajające i że czyni się przygotowania do przewiezienia ciała Alfreda do Ameryki.

Następne pięć dni spędził głównie w samotności, chodząc na długie spacerunki po Londynie i rozmyślając w swoim życiu. Początkowo czuł się przygnębiony, przybity winą i żałobą z powodu Diany i całego swego związku z rodziną Ramschildów. Jednak w miarę upływu czasu powróciła jego naturalna pogoda ducha. Może to wszystko wyszło na dobre, przynajmniej jemu. Był wolny, wolny, by zrobić coś nowego ze swym życiem. Wciąż jeszcze był młody, a w dodatku bogaty. Poza tym był zakochany. Przeszłość minęła, przyszłość rysowała się w różowych barwach.

Dzień po tym, jak Diana wymeldowała się z hotelu Savoy, by powrócić do Ameryki, Nick pojechał do Thrax Hall, gdzie umówił się na spotkanie z lordem Saxmundham. Parkując samochód przed osiemnastowieczną posiadłością, ujrzał wychodzącą z domu Edwinę. Pobiegnęła przez zwirowany podjazd, żeby go objąć.

- Tęskniłam za tobą. Ojciec powiedział mi o panu Ramschildzie. Przykro mi, ale jak ci poszło z Dianą?

- Najgorzej, jak tylko mogło. Ona mnie nienawidzi. Chyba ma powód... nie wiem.

- Po co chcesz się widzieć z moim ojcem?

- W sprawie interesów. Potem chce porozmawiać z tobą.

- Będę w Czerwonym Pokoju.

Czerwony Pokój, nazwany tak od wspaniałego czerwonego dywanu Savonnerie jeden z czterech głównych salonów w Thrax Hall, był znany jako jeden z najpiękniejszych pokoi w Anglii. Kiedy Nick wszedł tam po czterdziestu pięciu minutach, zastał Edwinę zwinętą w fotelu i przeglądającą numer „Country Life”. Nickowi przyszło na myśl, że ma w sobie coś dziecięcego, i to go właśnie tak w niej pociąga.

Podszedł do fotela, ujął twarz Edwiny w dłonie i pocałował.

- Mmm - zamruczała. - To mi się podoba. Cóż to za tajemniczą ofertę złożyłeś ojcu?

Przysunął sobie stół i usiadł obok niej.

- Postanowiłem zostać prywatnym inwestorem w Nowym Jorku, obracać własnymi pieniędzmi i niekiedy wchodzić w spółki z partnerami. Myślałem, że twego ojca to zainteresuje, i miałem rację.

- Jakiego rodzaju inwestycje masz na myśli?

- Nieruchomości. Akcje. Nowy Jork to dziś świetne miejsce dla inwestorów.

- To brzmi ekscytująco.

- Cóż, może okaże się to mniej ekscytujące niż handel bronią, ale może także mniej krwawe. Rozmawiałem z nim też o tobie.

Wyglądała na zszokowaną.

- Naprawdę?

- Mhm. Powiedziałem mu, że mam ci się zaimponować. Powiedziałem mu o sobie wszystko, bez upiększeń, żebym, gdyby stał się cud i ty byś mnie przyjęła, nie musiał z nim walczyć. Ku mojemu zdumieniu, raczej mnie polubił.

- Czemu miałyby być inaczej?

- Z wielu powodów. Tak czy owak, oto jestem. Co ty na to?

- Och, nigdy nie słyszałam oświadczeń, w których byłoby mniej polotu! Masz to robić na kolanach, masz mi mówić mnóstwo romantycznych rzeczy, o tym, jak bardzo mnie kochasz i że nie możesz bez mnie żyć, a jeśli dam ci kosza, rzucisz się do Tamizy.

- Zgoda. - Ukłęknął przed nią, przyciskając dłonie do serca. - Nadobna Edwino, jedna z wielkich piękności pokolenia, córko starodawnej, czcigodnej rodziny, która pozyskała moje serce i miłość, czy wyjdiesz za tego nędznego amerykańskiego wieśniaka? Zachichotała.

- Powstań, nadobny Nicku, któryś jest stanowczo zbyt pewny

siebie. Mimo że jesteś Amerykaninem i pomimo że się ze mnie śmiejesz, wyjdę za ciebie, ponieważ za tobą szaleję. Nick wstał, wziął ją w ramiona i pocałował.

- A ja szaleję za tobą - szepnęła, całkiem szczerze. W myślach mignął mu obraz Diany, po czym zniknął. Jego pierwsza miłość się skończyła.

Ślub odbył się trzy tygodnie później u Św. Małgorzaty w Westminsterze, w parafialnej kaplicy Izby Gmin. Przybyło czterystu gości, z których większość stanowili przyjaciele i krewni rodziny Edwiny. Edith przybyła z Nowego Jorku i była zachwycona synową, która w prezencie ślubnym dostała od pana młodego diamentowy naszyjnik z rubinem Krwawego Księżyca w środku. Wśród gości byli Winston i Clementine Churchillowie, ważne osobistości finansjery, trzech książąt, czternaście markiz, dwudziestu hrabiów, a także wiceksiężęta i baronowie. Wśród druhen Edwiny była jej młodsza siostra Louise oraz pięć córek szalecheckich rodzin. Widok panny młodej zapierał dech w piersiach - miała suknię z białego atlasu, a w dłoniach bukiet kwiatów pomarańczy. Przyjęcie weselne odbyło się w domu lorda i lady Saxmundham na Wilton Crescent, a zmęczeni wojną goście wypili pięćdziesiąt skrzynek Louis Roederer Cristal. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że był to ślub roku.

W podróż poślubną popłynęli z Southampton do Nowego Jorku, na pokładzie szwedzkiego statku *Gustams Adolphus*. O dziesiątej wieczorem wpłynęli w silny sztorm, a kiedy Nick i Edwina byli gotowi do kochania się, statkiem miało i trzęsło.

- W moją noc poślubną czeka mnie choroba morska - oznajmiła stanowczo Edwina, idąc do łazienki, żeby się przebrać.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Nick siadając na łóżku i zdejmując buty. Potem rozebrał się i położył nago w dużym łóżku, obserwując drzwi łazienki i fantazjując na temat tego, co miało się stać.

Wyszła z łazienki w białym peniuarze.

- Zdejmij ten cholerny peniuar - powiedział. - Chcę cię zobaczyć.

- Jesteś równie romantyczny jak meduza. Matka dała mi go na dzisiejszą noc. Powiedziała, że mężczyźni lubią, kiedy się ich kusi.

- Już zostałem skuszony. Teraz to zdejmij.

Podeszła do łóżka i rozpięła guziki peniuaru. Powoli osunął się z jej jedwabistego ciała. Nick patrzył z łóżka, jak się zbliża.

Podziwiał jej długie nogi, szczupłe, chłopiące biodra, długi tors i prześliczne piersi. Skóra Edwiny miała barwę śmietany z Devonshire.

- Jesteś urocza - szepnął.

Weszła do łóżka, wpatrując się w nie owłosioną klatkę piersiową Nicka. Tuż poniżej pępka zaczynała się linia czarnych włosów, a pod nią coś, czego nie widziała nigdy w życiu.

- A więc to tak wygląda? - wyszeptała zdumiona. - Jaki wielki! I dość brzydki... Mogę go dotknąć?

Nick, który miał pulsującą erekcję, skinął twierdząco głową. Edwina wyciągnęła rękę i zaczęła go ostrożnie pieścić.

- Aaa... - westchnął, biorąc ją w ramiona i pokrywając namiętymi pocałunkami. Rozkoszowała się ciepłem jego silnego ciała, szerokimi ramionami, umięśnionymi rękami i plecami.

Poczuła, jak w nią wchodzi. Było to dziwne uczucie, nie miała pewności, czy je polubi; jednak cieszyły ją gorące pocałunki Nicka, jego zapach. Miał w sobie coś ze zwierzęcia, co rozbudzało w Edwinie jej własne zwierzęce instynkty. George, lord Rocksavage, też był zwierzęciem, wspaniałym zwierzęciem przynajmniej z wyglądu, ale był stanowczo zbyt cywilizowany, by wzbudzić w niej ten wspaniały szal zmysłów. W pewnej chwili przestała słyszeć wycie wiatru na zewnątrz, łomotanie kadłuba o fale. Nagle była świadoma tylko jego, męża, kochanka, który swym pożądaniem rozbudza w niej miliony nerwów.

Całował jej piersi, ssał sutki, które pod pieszczotami jego języka wyprężyły z pożądania. Potem całował ją coraz wyżej, ku szyi, wolno przyciskając swój twardy brzuch do jej miękkiego, w rytmicznej intesywności wolnego tańca.

- Cudownie - jęknęła. - Och, Nick, to cudowne... Przycisnął usta do jej ust, wtargnął językiem, odkrywał ją. Chciała polizać każdy centymetr jego ciała.

W końcu myśl całkowicie ustąpiła pożądaniu; Edwina miała wrażenie, że namiętność przenicowuje ją na wylot, i nie liczyło się nic, póki nie osiągnęła tego słodkiego spełnienia, do którego dążyło jej ciało. Wbiła paznokcie w jego pośladki i krzyknęła z rozkoszy.

- O, mój Boże - wykrztusiła, kiedy z niej wyszedł. - To jest lepsze niż bita śmietana!

Po czym oboje wybuchnęli śmiechem, jak szczęśliwe, pierwotne, nagie dzieci. Fantazja stała się rzeczywistością.



Pewnego dnia mu odpłacę - powiedziała Diana Ramschild. Obie kobiety miały czarne woalki. Wracaly z Graystone, gdzie pochowały Alfreda w rodzinnym mauzoleum. - Najpierw mnie wykiwał, a potem zabił ojca.

Mówiła cicho, ale dłonie w czarnych rękawiczkach zaciskała w pięści.

- Odpłacę mu, choćbym miała poświęcić na to resztę życia.

- Żydzi - powiedziała tylko jej matka.

**Część II**  
**KINO, SZALEŃSTWO**  
**I CHAOS**  
**1922**

### ***Rozdział dwunasty***

Ślub Edwiny, córki jednej z najbogatszych i najlepiej sytuowanych rodzin angielskich, z młodym Amerykaninem, nie wyróżniającym się niczym szczególnym, spowodował, że wiele utytułowanych brwi unosiło się w górę ze zdziwienia. Było przyjęte, że angielscy parowie żenili się z bogatymi Amerykankami (matka Churchilla była Amerykanką), ale przypadek odwrotny stanowił nowość. Mimo to lord Saxmundham nie tylko lubił i podziwiał zięcia, ale także widział w nim potencjalnego nowojorskiego przedstawiciela banku Saxmundham, który to pomysł podsunął mu sam Nick. W roku 1917 każdy angielski bankier, który nie był krótkowzroczny ani nie cierpiał na nacjonalizm, pojmował, że w miejsce Londynu światową stolicą finansową stał się Nowy Jork. Plan opracowany przez Nicka i jego teścia polegał na tym, że Nick miał działać w małym nowojorskim biurze, poszukując atrakcyjnych amerykańskich inwestycji, które finansowałyby z pieniędzy własnych oraz banku Saxmundham. Tak się też działo przez kolejne pięć lat.

O ile prawdą jest, że mając pieniądze można je łatwo zarabiać, prawdą jest także, że łatwo zbankrutować. Dzięki rozwadze Nick zarobił miliony dla banku teścia, inwestując w nieruchomości, hotele i akcje radiowe, jednocześnie czterokrotnie powiększając własny majątek.

W tym samym czasie on i Edwina stali się jednym z najpopularniejszych młodych małżeństw w Nowym Jorku. Nick wynajął duże mieszkanie przy Park Avenue, gdzie wraz z Edwiną urządzali przyjęcia, które miło upływały i gdzie dużo się piło. Uroda Edwiny oraz jej akcent z Mayfair otwierały na oścież drzwi anglofilskiej socjety Nowego Jorku, a reputacja Nicka jako przedsiębiorczego

inwestora, a także jego dostęp do milionów prestiżowego banku Saxmundham przyciągały głodne tłumy z Wall Street. Edwina, która żywiła wcześniej taką pogardę do „oszałałych na punkcie pieniędzy” Amerykanów, teraz straciła głowę dla jazzującego zgiełku powojennego Nowego Jorku, podobnie jak wcześniej straciła głowę dla męża. Pierwsze cztery lata ich małżeństwa upływały jak jedno długie przyjęcie, przerywane trzema ciążami. W roku 1919 przyszło na świat pierwsze dziecko, któremu dali imię Charles. W 1920 roku, wraz z prohibicją i prawem do głosowania dla kobiet, urodziła się córka, Sylwia, a w 1921, z niemal zegarową dokładnością, drugi syn, Edward. Edwina wraz z resztą świata oszalała na punkcie kina. Rozważała nawet możliwość wystąpienia w filmie; Nick śmiał się z niej, mimo że traktowała ten pomysł coraz poważniej. Kiedy w 1922 roku Nick spytał ją niedbale, czy zechciałaby mu towarzyszyć w podróży do Kalifornii, Edwina zareagowała entuzjastycznie. Wybierał się do Doliny Napa, ponieważ rozważał możliwość kupienia tam winnicy, ale miał też odwiedzić Los Angeles i obiecał żonie, że pokaże jej studio filmowe. Edwina wpadła w ekstazę.

Tydzień później, po luksusowej podróży do San Francisco, wsiedli do wynajętej limuzyny i pojechali na północ, do Doliny Napa, gdzie umówili się ze starym Włochem, Salvatore Gaspartelli, który czekał na nich obok swego sfatygowanego Forda model T. Zarówno Nick, jak i Edwina byli zachwyceni pięknem rozciągającej się u podnóża gór doliny, która dzięki niezwykle deszczowej zimie pokryła się soczystą zielenią.

- W czerwcu będzie już brązowa - powiedział Gaspartelli. - Od kwietnia do października ani kropli deszczu. Ale to dobrze dla winogron, będą dorodne.

Nick z roztargnieniem skinął głową. Miał na sobie garnitur w kratę i wspaniałą kapelusz Panama *fino fino*, którym szczyił się nie bez podstaw. Edwina, która porzuciła wiejskie tweedy, by stać się jedną z najelegantszych kobiet świata, miała na sobie kostium Chanel i czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

- Ile akrów? - spytał Nick.

- Siedemdziesiąt pięć - odparł Gaspartelli. Miał sześćdziesiąt trzy lata i przybył do Kalifornii w 1880 roku, by sadzić swe ukochane winogrona. Jego winnica przestała prosperować przed trzema laty, kiedy wraz z Aktem Yolsteada wprowadzono prohibicję. Teraz

Gaspartelli, podobnie jak wielu kalifornijskich właścicieli upraw winogron, był zrujnowany; musiał sprzedawać ukochaną ziemię za marne grosze. Dla Salvatore'a był to jeden z najgorszych dni w życiu.

- Najlepsze szczepy rosną na wzgórzach - ciągnął, zmuszony podbijać cenę. - Krzewy w dolinie nie muszą pracować, więc się lenią i rodzą leniwe winogrona. Tam, na górze, roślinom trudno przetrwać. Pracują ciężko, rosną mocne i dają najlepsze owoce.

- Ludzie w dolinie mówią coś dokładnie przeciwnego - zauważyła Edwina.

- Co oni wiedzą? - warknął Salvatore. - Ja znam winogrona. Mówię wam, najlepsze rosną tutaj.

Nick spojrział na pędy, wszystkie schludnie przycięte, wspinające się na wzgórze aż po niskie niebo. Przeczytał już dostatecznie dużo

o uprawie winorośli, by wiedzieć, że Włoch przypuszczalnie ma rację. Wiedział też, że ziemia w winnicy

Gaspartellego należała do najlepszych w okolicy; z tutejszych winogron Cabernet Sauvignon

1 Chardonnay wytwarzano najlepsze wina w Kalifornii, a Salvatore Gaspartelli był winien bankowi w San Francisco sześć tysięcy dolarów i nie miał nadziei na ich spłacenie. Za siedemdziesiąt pięć akrów żądał trzydzieści tysięcy dolarów, co było ceną wręcz śmieszną. Nick wiedział, że mógłby kupić tę ziemię jeszcze taniej. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, że prohibicja nie potrwa wiecznie. Pewnego dnia ta winnica ruszy znowu, a ziemia będzie warta majątek. Nick myślał długofalowo.

Przez kolejną godzinę obchodził ziemię z Salvatorem, a Edwina siedziała w Rollsie czytając „Świat Filmu”. W końcu Nick wrócił i polecił szoferowi jechać do San Francisco. Uścisnął dłoń Salvatore, po czym zajął miejsce w Rollsie obok żony. Kiedy duży, ciężki samochód potoczył się piaszczystą drogą, wzbijając tuman kurzu, Edwina spytała:

- No i? Kupiłeś?

- Jeszcze się zastanawiam.

- Nie mam pojęcia, po co chcesz kupować winnicę, kiedy produkowanie wina jest nielegalne.

- To jest właśnie moment na kupowanie.

- Zresztą kto w Kalifornii pije wino? Czemu nie kupisz jakiegoś *chateau* we Francji?

- Może kiedyś to zrobię. Teraz interesuje mnie Kalifornia.

Edwina, której nie ciekawiły winnice, wróciła do lektury czasopisma filmowego. Nigdy nie poświęcała wiele uwagi sprawom Nicka, biznes był dla niej czarną magią. Interesowała się dziećmi, zakupami, przyjęciami, kinem i seksem. Ktoś mógłby ją oskarżyć o beznadziejną płytkość, ale była młoda, więc czemu nie? Życie jawiło się Edwinie jako nie kończąca się przygoda. Podobnie jak mąż, chciała zakosztować w życiu wszystkiego, i między innymi dlatego właśnie tak bardzo ją kochał.

Znajdowali się w połowie drogi do San Francisco, kiedy rzucił od niechcienia:

- Co byś powiedziała, gdybym ci oznajmił, że twój ojciec i ja postanowiliśmy zapłacić dwieście tysięcy dolarów za studio filmowe Metropolitan Pictures?

Odłożyła czasopismo i spojrzała na męża. Po czterech latach małżeństwa i trzech ciążach nadal bardzo ją pociągał, choć ich małżeństwo, podobnie jak większość, nie było pozbawione konfliktów. Odkryła, że Nick jest człowiekiem intensywnie - niemal chorobliwie - zazdrosnym. Chociaż cecha ta miała w sobie coś pociągającego, ograniczała nieco wolność Edwiny i stanowiła przyczynę licznych kłótni. Jednak w tej chwili wyglądał fantastycznie.

- Och, Nick, kochany! - wykrzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję i całując. - Ty wariacie! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- To niespodzianka na twoje urodziny. Wszystkiego najlepszego.

- Jaki cudowny prezent! Jestem w siódmym niebie! Pozwolisz mi zagrać w filmie?

- Trudno byłoby mi odmówić żonie właściciela wytwórni. Edwina była oszołomiona.

- Gwiazda filmowa! - szepnęła. - Czy to nie byłoby cudowne, gdybym została gwiazdą? Nick, ja wiem, że jestem dobra! Po prostu czuję, że byłabym wspaniałą aktorką. Poza tym, i tak wszyscy mnie znają. To znaczy, już teraz piszą o nas bez przerwy, a ile wnuczek książąt zostaje aktorkami? Och, Nick, to będzie taka frajda! Uwielbiam cię!

- W takim razie chyba kupię tę winnicę.

- Och, naturalnie, cóż to ma teraz za znaczenie? Kino! - Zatrzepotała rękami i przybrała pozę królowej ekranu, Nazimowej. -Wszyscy mężczyźni się we mnie zakochają, to będzie tanie, wulgarne i zabawne!

- I drogie, jeśli twoje filmy splajtuja.

Pokazała mu język, a Nick wybuchnął śmiechem. Każdy bezstronny obserwator musiałby przyznać, że Flemingowie są w sobie do szaleństwa zakochani.

Byłoby nienaturalne, gdyby ambitny, chciwy, lubiący przygody człowiek posiadający majątek i powiązania Nicka Fleminga nie zainteresował się Hollywood, ponieważ w roku 1922 Hollywood **było** niewątpliwie filmową stolicą świata, a filmy stanowiły świetny interes. Jeszcze kilka lat wcześniej sytuacja przedstawiała się inaczej. Przed wojną światową Hollywood stanowiło tylko jeden z wielu ośrodków filmowych, konkurujący z Nowym Jorkiem, New Jersey, Berlinem, Londynem, Paryżem, Rzymem i Sztokholmem. Pokusy życia w blasku słońca i unikania praw autorskich położyły kres filmowemu przemysłowi na Wschodnim Wybrzeżu, a wojna położyła kres europejskiemu przemysłowi filmowemu. Po zawieszeniu broni okazało się nagle, że Hollywood nie ma praktycznie konkurencji; widzowie na całym świecie szukali ucieczki w jego niemych produkcjach, które bez trudu rozumiano i podziwiano w Szanghaju, New Delhi i Moskwie. Pickford, Chaplin i Fairbanks byli bogami, którzy zarabiali miliony i wiedli prawdziwie królewskie życie. Nawet autentyczna arystokratka, jak Edwina, była zdumiona przyjęciem zgotowanym w Anglii w czerwcu 1922 roku nowożeńcom Mary i Dougowi Fairbanksom. Tradycyjnie powściągliwi Anglicy oszaleli; na przyjęciu w ogrodzie w Chelsea o mały włos nie zdarli z Małej Mary ubrania, zmuszając policję do pospieszenia jej z pomocą. To nie było szacowne schlebianie angielskim monarchom, ale coś nowego, szalonego, dzikiego i ekscytującego!

To Edwina zaczęła nagabywać Nicka, by pomógł się jej dostać do filmu. Początkowo odmawiał, mówiąc jej, zgodnie z prawdą, że nie ma pojęcia o aktorstwie. Potem jednak ten pomysł zaczął mu się podobać. Nick rozglądał się za nowymi podbojami finansowymi. Dowiedziawszy się, że przemysł filmowy przynosi półtora miliarda dolarów zysku rocznie, zaczął podzielać marzenia Edwiny. Jak lepiej mógłby wyrazić miłość dla swej pięknej żony niż czyniąc ją królową Hollywood? A poza tym, jaka to wspaniała nowa przygoda, i okazja zarobienia kolejnych milionów!

Kiedy Nick usłyszał, że Metropolitan Pictures wystawiono na sprzedaż za ćwierć miliona dolarów, zadeponował do teścia w Lon-

dynie proponując studia za dwieście tysięcy dolarów, z czego pięćdziesiąt on wyłożyłby w gotówce, a resztę sfinansowałby bank Saxmundham. Od zakończenia wojny Nick powiększył swój majątek czterokrotnie, ale mimo to pięćdziesiąt tysięcy dolarów było w roku 1922 pokaźną sumą. Lord Saxmundham zrozumiał, że zięć traktuje sprawę kina poważnie. Z drugiej strony, nie wiedział wiele o przemyśle filmowym. „Goldwyn i Mayer też nie wiedzieli”, odparł zgodnie z prawdą Nick. Przypomniawszy sobie występ zięcia z pistoletem maszynowym, lord Saxmundham uznał, że Nickowi nie brakuje żyłki dramatycznej, i przystał na propozycję.

Ironicznie przecząc swej nazwie, Metropolitan Pictures specjalizowało się w westernach, produkując też seriale przygodowe i horrory. Skąpy właściciel studia, Węgier z pochodzenia, był handlarz futrami o nazwisku Alexander Potofi, zrobił majątek, a trzy miesiące później zmarł na zawał serca. Nieśmiała wdowa, która mało wiedziała o interesach, wystawiła położone przy Santa Monica Boulevard studio na sprzedaż. Zajmowało powierzchnię ośmiu akrów, miało dwie kryte hale, ale cena zdawała się wygórowana, a moment nieodpowiedni. Niedawny skandal Fatty'ego Arbuckle wyrządził krzywdę przemysłowi filmowemu w całym kraju, akcje Paramountu spadły z dziewięćdziesięciu do czterdziestu i nikt nie był zainteresowany kupnem drugorzędного studia filmowego. Nikt poza Nickiem. Jego oferta była pierwsza, a pani Potofi, szczęśliwa, że może się pozbyć kłopotu, przyjęła ją. Nick wszedł do przemysłu filmowego.

Na wiadomość o sprzedaży studia potentaci filmowi zareagowali w najlepszym razie obojętnością, a w najgorszym pogardą.

- Fleming to dyletant i frajer - powiedział jeden z szefów studia, który słowa „dyletant” nauczył się od któregoś ze swych scenarzystów. - Nie przetrwa sześciu miesięcy. - Słodkie fale *Schadenfreunde* rozeszły się w światku filmowym, gdzie po to, by osiągnąć prawdziwe szczęście, nie wystarczyło odnieść sukcesu; inni musieli ponieść klęskę. Nick nie miał wątpliwości, co o nim mówiono, ale kiedy minął bramę z kutego żelaza w hiszpańskim stylu i spojrzął na podniszczony stiukowany budynek Metropolitan Pictures, który właśnie kupił, mało się tym przejmował. Nick Fleming wiedział, co robi i, jak zwykle, trzymał w rękawie asa.



### ***Rozdział trzynasty***

Minąwszy bramę białego marmurowego pałacu Dolmabahce, którego taras ciągnął się przez pół mili wzdłuż brzegów pięknego Bosforu po europejskiej stronie Konstantynopola, Diana Ramschild myślała o pieniądzach, władzy, korupcji i, przede wszystkim, o zemście na Nicku Flemingu. Lata, które nastąpiły po śmierci Alfreda, okazały się trudne dla Diany, a niemal katastrofalne dla spółki Ramschilda. Alfred przygotowywał Nicka do objęcia po nim schedy, toteż jego dezercja po śmierci Alfreda stała się podwójnym ciosem dla spółki, której zarząd znalazł się w stanie chaosu. Majątek podzielono między wdowę i córkę, a obie razem posiadały pięćdziesiąt siedem procent udziałów spółki. Arabella zakładała, że podczas wyborów nowego dyrektora Diana odda głos na wicedyrektora, Arnolda Hastingsa. Ku zdziwieniu Arabelli córka głosowała przeciwko niemu. Arnold miał sześćdziesiąt trzy lata, zbliżał się do emerytury

i był właściwie tylko cenionym księgowym. Spółka potrzebowała kogoś młodego i dynamicznego.

- Kogoś takiego jak ja - oznajmiła.

- Ty? - spytała matka. - Diano, nie czas teraz na żarty.

Ale Diana nie żartowała. Podwójny szok spowodowany tym, co uważała za zdradę Nicka, oraz śmiercią ojca, pobudził ją do życia. Kontynuowanie dzieła ojca uznała za swoją misję. Przecież w końcu ukończyła Vassar. Dlaczego kobieta nie mogła kierować przedsiębiorstwem zbrojeniowym? Dlaczego nie mogła przynajmniej spróbować?

Ostatecznie wymogła na matce kompromis. Diana miała zostać wicedyrektorką spółki i uczyć się zasad jej funkcjonowania. Po dwóch latach, w chwili odejścia Arnolda Hastingsa na emeryturę.

gdyby nadal zależało jej na posadzie dyrektora, a zarząd uznał, że na nią zasługuje, dostałaby ją. Diana przyjęła te warunki i zaczęła wypełniać obowiązki z tak entuzjastyczną determinacją, że nawet Hastings, który początkowo odnosił się do projektu bardzo nieufnie, został jej najzagorzalszym zwolennikiem i mentorem. Diana miała styl, prezencję i inteligencję, o tym wszyscy wiedzieli. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że odziedziczyła zdecydowanie ojca i dziadka. Wkrótce znano ją w fabryce jako Żelazną Damę, choć nikt nie zwracał się tak do niej wprost. Kiedy Arnold przeszedł na emeryturę w roku 1920, zarząd jednogłośnie wybrał Dianę na jego następczynię. Przeciwnicy prychnęli, że zarząd nie miał wiele do gadania, ponieważ Diana i jej matka posiadają większość udziałów, jednak zarząd naprawdę odnosił się do nowej dyrektorki z entuzjazmem. Dowiodła, że jest urodzoną bizneswoman i znakomitą administratorką. Ponadto, interesy znajdowały się w opłakanym stanie. Zawieszenie broni przyniosło pokój zniszczonemu wojną światu, ale odbiło się fatalnie na przemyśle zbrojeniowym. Akcje Ramschilda spadły ze stu dwudziestu sześciu w roku 1917 do trzydziestu w 1920. Zamówienia spadły do jednej piętnastej w stosunku do stanu z czasów rozkwitu. Diana ograniczyła zarząd, obniżyła pensje, włącznie ze swoją, zwolniła jedną trzecią siły roboczej. Uznała też siebie za potencjalnie najlepszego przedstawiciela spółki i zaczęła się rozglądać po światowych ogniskach zapalnych w poszukiwaniu klientów. Dlatego właśnie znalazła się w Turcji.

Olbrzymi pałac Dolmabahce, do którego wchodziła Diana, zbudował w roku 1840 sułtan Abdul Mejid, który na skutek ekscesów seksualnych w haremie został impotentem, a w wyniku tego pijakiem. Abdul Mejid chciał mieć „największy pałac na świecie” i dostał go. W czasie gdy jedyną rzeczą produkowaną w Turcji, zwanej chorą Europą, były dywany, sułtan zużył czternaście ton złota na ozdobienie swego rokokowo-szalonego pałacu.

Nieudolni władcy stanowili przekleństwo Turcji od wielu stuleci. Ostatnich dwudziestu pięciu wszechwładnych sułtanów osmańskiego imperium osiągnęło głębie deprawacji, jakich świat nie widział od czasów najbardziej zepsutych cesarzy rzymskich. Niechlujstwo, pijaństwo, masowe morderstwa, wszelkiego rodzaju perwersje, ludobójstwo, tortury, bratobójstwo, żonobójstwo, dzieciobójstwo, obżarstwo - nic nie było obce sułtanom-kalifom, zwanym Cieniami Boga na Ziemi. Jednocześnie liczące trzynaście milionów mieszkańców rozległe imperium stop-

niowo się kurczyło, nadgryzane kęs po kęsie przez głodne mocarstwa europejskie.

W roku 1908 trzeszczące w szwach imperium przeżyło rewolucję: grupa Młodych Turków obaliła ostatniego wszechwładnego sułtana, Abdula Hamida (Przekłętego) i mianowała jego brata monarchą konstytucyjnym. Nowy sułtan, Mahomet V, był praktycznie idiotą, który najbardziej szczylił się faktem, że od dwudziestu lat nie przeczytał gazety. Niestety, Młodzi Turcy, kierowani przez zabójcę o twarzy dziecka, Enwera Paszę, popełnili błąd i przystąpili do pierwszej wojny światowej po stronie Niemców. W roku 1915, kiedy błyskotliwy młody pułkownik nazwiskiem Mustafa Kemal trzymał w szachu siły brytyjskie pod Gallipoli, Enwer Pasza i jego ludzie przeprowadzili ludobójczą kampanię przeciwko Ormianom, mordując ich około sześciuset tysięcy, roztrzaskując główki dzieci o ściany. Później mieli tyle czelności, by zwracać się o ormiańskie odszkodowania do brytyjskich firm ubezpieczeniowych! Enwer Pasza tkwił po uszy w korupcji; pod koniec fatalnej wojny zbiegł z kraju wraz z oddziałami, pozostawiając trzydziestego szóstego sułtana, Mehmeda VI, praktycznie w niewoli Anglików i Francuzów (idiotę Mehmeda V obalono w 1915). Wtedy właśnie brytyjski premier, Lloyd George, nakłaniany przez sekretarza spraw zagranicznych, lorda Curzona, popełnił jedno z największych głupstw w historii Anglii.

Aby przeciwną Greków na stronę sił sprzymierzonych - grecki król, Konstantyn, ożeniony z siostrą kaisera, popierał Niemców -greckiemu premierowi, Eleutheriosowi Venizelosowi obiecano miasto Smyrnę na tureckim wybrzeżu Morza Śródziemnego. W 1919 roku Venizelos, który zastosował się do prośby sprzymierzonych, upomniał się o miasto. Zarówno Lloyd George, jak i Curzon gardzili Turkami, a ponadto mieli romantyczne wyobrażenie o homeryckiej Grecji jako kolebce demokracji. Poparli Venizelosa. Sułtan stał się pionkiem w Konstantynopolu, żaden wiarygodny rząd nie istniał, toteż Turcja była bezradna. Venizelos wysłał grecką armię i zajął Smyrnę, która, choć posiadała dużą społeczność grecką, była bezsprzecznie turecka od roku 1453, kiedy sułtan Mehmed II zajął Konstantynopol. Tureccy mieszkańcy Smyrny zostali ograbieni, zgwałceni, a w wielu przypadkach wymordowani przez Greków.

Właśnie wtedy Diana doszła do wniosku, że sułtan turecki może wyrazić chęć zakupienia broni Ramschilda. Na spotkanie z Cieniem

Boga włożyła elegancką zieloną suknię Charmeuse - zieleń była kolorem flagi islamu - płaszcz podbity futrem, białe rękawiczki i biały kapeluszek z woalką. Kupiła ten strój w Paryżu, w drodze do Konstantynopola. (Diana lubiła stroje: w Orient Expressie miała ze sobą sześć walizek Vuittona.) Zatrzymała się w luksusowym hotelu Pera Palace w europejskiej części miasta. Audyencję u sułtana zorganizowała sobie dzięki łapówce wysokości tysiąca dolarów, którą wręczyła ministrowi wojny. Ani brytyjskie, ani francuskie władze jej nie niepokoiły. Diana sądziła, że nie wiedzą, kim jest, ale myliła się. Wiedzieli. Wiedzieli też, że Diana Ramshild traci czas.

Majordomus w stambulskim kaftanie i fezie prowadził ją przez gigantyczne salony liczącego trzysta pokoi pałacu. Była pod wrażeniem, choć krzykliwość sal pełnych bogato złożonych francuskich mebli i wysokich okien wychodzących na Bosfor oscylowała raczej w stronę wulgarności niż majestatu. Chociaż kiedyś koszt utrzymania tego pałacu, z setkami eunuchów, służących i odalisek, wynosił dwa miliony funtów rocznie, teraz budowla sprawiała wrażenie opustoszałej. Gdzie się wszyscy podziali? - myślała Diana.

Wreszcie wprowadzono ją do wysokiego pomieszczenia, gdzie przy oknie stał bardzo niski mężczyzna w surducie. Majordomus zapowiedział ją po francusku. Diana nie знаła tureckiego, ale mówiła płynnie po francusku i wiedziała, że większość wykształconych Turków także. Niski mężczyzna zbliżył się do niej, a majordomus wyszedł.

- *Soyez le bienvenu, mademoiselle Ramschild* - powitał ją człowieczek z wąsikami Charlie Chaplina. Pocałował ją w rękę i uśmiechnął się. - Jestem Babur Pasza, asystent Jego Eksceleńcji ministra wojny.

- Miło mi pana poznać - odparła Diana po francusku.

- Niestety, Jego Wysokość jest dzisiaj niedysponowany. Poleciał mi jednak poinformować panią, że jego rząd nie jest obecnie zainteresowany zakupem jakiegokolwiek broni.

Diana była zdumiona.

- Ależ minister dał mi do zrozumienia, że Jego Wysokości bardzo zależy na przedyskutowaniu warunków zakupu.

Uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy człowieczka.

- Niestety, budżet nie pozwala obecnie na podobne zakupy. W Dianie zakipiał gniew.

- Rozumiem. A minister wiedział o tym wczoraj, kiedy przyjął łapówkę.

- Łapówka to mocne słowo, *mademoiselle*. Gdyby jednak zechciała pani wesprzeć fundusz charytatywny, który ja reprezentuję, fundusz ofiar wojennych w Scutari, być może udałoby się jednak nakłonić Jego Wysokość, żeby panią przyjął.

- Jak duże miałyby być to „wsparcie”?

- Powiedzmy... tysiąc dolarów amerykańskich? Spojrzała w małe, ciemne oczka błyszczące chciwością.

- Idź do diabła! - rzuciła. Odwróciła się i wyszła, stukając gniewnie obcasami po parkiecie. Była wściekła, głównie na samą siebie, że dała się nabrać skorumpowanym biurokratom.

Doskonale, pomyślała, jeśli ten cholerny, obleśny sułtan jest bankrutem, zwrócę się do drugiej strony.

Nie miała na myśli Greków, którzy dokonywali dużych zakupów u Włochów. Myślała o bohaterze spod Gallipoli, który storpedował karierę Churchilla, a obecnie dowodził armią rewolucyjną w górach Anatolii, jednocząc Turków do obrony ojczyzny przed greckim najeźdźcą. Myślała o Mustafie Kemal, Ghazim, Pogromcy Chrześcijan.

Sułtan nie mógł zapłacić nawet swoim służącym, ale słyszała, że Kemal Pasza ma pieniądze i potrzebuje każdej ilości broni, jaką można zdobyć, by wyrzucić Greków z ziemi tureckiej. Ponadto Kemal zaczynał jawić się jako zwycięzca, a Diana lubiła zwycięzców.

Problem polegał teraz na dotarciu do Mustafy Kemala.

### *Rozdział czternasty*

Asem, którego Nick trzymał w zanadrzu wchodząc do przemysłu filmowego, był jego ojczym, Van Nuys de Courcy Clairmont, który zapalał niemal młodzieńczą namiętnością do filmów i którego gazety zamieszczały poważne recenzje od czasu *Narodzin narodu* w roku 1915. Po wojnie Van zaczął sprzedawać mniej lukratywne gazety na wschodzie i przesuwać swe imperium na środkowy zachód, wykupując dzienniki w St. Louis, Omaha, Kansas City, Tulsa i Des Moines, wkraczając nawet na daleki zachód dwiema gazetami w Kalifornii. Przedwojenny żarliwy liberał przeszedł nieco na prawo; na jego poglądy polityczne wpłynęła rosyjska rewolucja oraz to, co nazywał bolszewickim zagrożeniem.

Van, którego, instynkt handlowy nigdy nie zasypiał, wyczuł wartość tematyki popularnej; miejsce artykułów o walce robotników zastąpiły porady dotyczące mody, dekoracji wnętrz oraz etykiety, „Ogrodnictwo dla Każdego” i „Poradnik Kuchenny” Rhondy Reeves. Jednak prawdziwie genialnym posunięciem Vana było zatrudnienie byłej aktorki i sfrustrowanej autorki powieści ro-matycznych z Glen Ridge w New Jersey, nazwiskiem Harriet Sparrow. Harriet była pulchną, ładną dwudziestosiedmiolatką, która barwiła włosy na płomiennorudy kolor, nosiła krzykliwe sukienki w drukowane wzory i przeładowane kwietne kapelusze, miała nienasycony apetyt na plotki i całym sercem wierzyła w miłość przez duże „M”. Zaczęła pracować dla Vana w roku 1918, pisząc felietony o Broadwayu. Ludzie o bardziej wyszukany smaku naśmiewali się z jej wylewnego stylu, ale i tak ją czytali, ponieważ Harriet znała plotki o słynnych oostaciach. Od 1920

roku pisała także o filmach, a Van zamieszczał jej felietony w gazetach o zasięgu ogólnokrajowym. W roku 1922, kiedy wydrukowano następujący felieton, Van ocenił, że Harriet Sparrow czytało ponad dwadzieścia milionów Amerykanów.

SPARROW ŚPIEWA (Harriet Sparrow)

*Kochani, oto znowu jestem w Hollywood, czarownej stolicy świata, a wiadomością numer jeden w słonecznej Kalifornii jest studio Metropolitan Pictures, jego dynamiczny, miody właściciel, Nick Fleming, i jego piękna nowa gwiazda, która tylko przypadkiem jest jego żoną, olśniewająca Edwina Fleming. Ci dwoje są w Hollywood dopiero od dwóch miesięcy, a już znajdują się na ustach wszystkich! Oczywiście znalazłam ich w Nowym Jorku i pisałam o nich dość często, toteż obserwuję z podnieceniem, jak poważnie traktują kręcenie filmów, jednocześnie wydając szalone przyjęcia, od których cała kolonia filmowa aż huczy!*

*Przeprowadziłam wywiad z Nickiem w jego studiu przy Santa Monica Boulevard - przez środek studia biegną tory kolejowe! -/ stwierdziłam, że nadal jest tym samym zabójczym przystojniakiem co w Nowym Jorku, z tą tylko różnicą, że się opalił, z czym mu niezwykle do twarzy! Gabinet Nicka został urządzonej w stylu Tudorów, ze stropami i wielkim angielskim biurkiem. Nick powiedział mi, że Edwina, która jest wnuczką księcia Dorset i która ma najbardziej błękitną krew w starej dobrej Anglii, sama urządziła gabinet, „by wnieść tu, do Kalifornii, odrobinę ojczyzny” - jakież to urocze!*

*Nick powiedział mi, że Metropolitan ma w planie pięć filmów, ale tym najważniejszym jest film, o którym mówi całe miasto, Młodość i ogień. W zeszłym roku wszyscy czytaliśmy powieść, a ja niemal zemdlałam podczas lektury tych szalonych scen miłosnych, od których o mały włos nie spłonęły kartki! Ten żar jest teraz przenoszony na srebrny ekran, i coś mi mówi, że sale kinowe w całej Ameryce staną w ogniu! Czy umieracie z ciekawości, kto zagra rolę Bucka Randolpha, bohatera piłki nożnej, którego życie miłosne o mały włos nie rozsądziło tego miasteczka w Nowej Anglii, Shandy? Weźcie się w garść dziewczęta... Tak. zgadłyście. ROD NORMAN, amerykański*

*mężczyzna marzeń. Och, wprost nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę przystojniaka Roda w tych scenach miłosnych! A kto wcieli się w rolę Laury Hardy, słodkiej uczennicy szkoły koedukacyjnej, której reputacja została niemal zrujnowana przez Bucka Randolpha? To rola, dla której każda aktorka mogłaby popełnić morderstwo. Cóż, nie będę was trzymać w napięciu: Nick daje tę rolę żonie! Tak, debiut filmowy Edwiny Fleming może ją wynieść na sam szczyt Hollywood!*

*Spytałam Nicka, czy nie denerwuje się troszkę faktem, że Rod Norman będzie się kochał z jego żoną, nawet jeśli to tylko filmowe udawanie? Posiał mi ten swój uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć, i powiedział: „Ufam Edwinie”. Och, gdybyście mogli zobaczyć tych dwoje razem! Są tak zakochani, że aż miło popatrzeć!*

*A ja widziałam ich razem właśnie tamtej nocy, ponieważ Nick jest taki miły i hojny, że zaprosił mnie na niezwykle eleganckie przyjęcie wydane w Casa Encantada. Casa Encantada to olbrzymia posiadłość, którą Nick kupił w Hollywood Hills. Zbudował ją dziesięć lat temu król soku pomarańczowego, Walter Fitzhugh. Jest otoczona najcudowniejszymi ogrodami i palmami, ma dwa korty tenisowe, ogromny basen z wodospadem i canoe! Czyż to nie frajda?*

*Casa Encantada oznacza po hiszpańsku Zaczarowany Dom, a czary te czujesz natychmiast, kiedy mijasz duże podwójne drzwi! Och, jakież to szczęśliwy dom. Miłość kryje się w każdym centymetrze kwadratowym stiukowanych ścian - dom jest naturalnie w stylu hiszpańskim. Czuje się miłość do trojga dzieci Nicka i Edwiny - małego trzyletniego słodkiego Charlesa, jego siostrzyczki, Sylwii, która jest jak marzenie, i maleńkiego Edwarda. Ich angielska niania, pani Drummond, powiedziała mi, że jedyną rzeczą, której nie lubi w Kalifornii, są te „obrzydliwe robaki” - fu! Jest też, oczywiście, wzajemna miłość Nicka i Edwiny - oni wciąż trzymali się za ręce! Czyż to nie cudowne?*

*Byli tam wszyscy. Doug i Mary, Charlie Chaplin, Sam Goldwyn, Clara Kimball Young, King i Florence Vidor, Lillian Gish, Gloria Swanson, Rod Norman i jego urocza, utalentowana żona, Norma Norman - gwiazdy lśniły! A do tego utytułowani Europejczycy! Lord i lady Tremaine, urocza księżna San Stefano, księżę Carl z Rumunii i elegancko przystojny markiz de la Tour d Auberge. Wasza reporterka, która jest zwykła dziewczyna z małego miasteczka, była tak*



*oślepiąca, że niemal musiała włożyć ciemne okulary! Tak, Nick i Edwina to w mieście temat numer jeden. Ale jeśli moja kryształowa kula się nie myli, Młodość i ogień stanie się tematem numer jeden w Ameryce!*

Nick i Edwina zżymali się oczywiście czytając ten felieton, jednak Nick wiedział, że rozcmokana Harriet Sparrow właśnie sprzedała mnóstwo biletów.

Rod Norman wdarł się do westernów po wojnie, twierdząc, że jest prawdziwym kowbojem, który wychował się na farmie ojca w Wyoming. W istocie Rod tak bardzo bał się koni, że dopiero po kilku kolejkach burbona mógł się zdobyć na odwagę i dosiąść jednego z nich. Nic więc dziwnego, że popadł w alkoholizm, z którego prohibicja bynajmniej go nie wyleczyła. Rod kupował gorzałę od bootlegera nazwiskiem Marty Siegle, który zaopatrywał gwiazdy. Rod stał się prawdziwą gwiazdą w roku 1921, kiedy porzucił westerny, by zagrać szeregowego Dirka Deana w filmie wojennym *Na froncie*. Amerykańskie kobiety, które rzadko chodziły na westerny, spojrzały raz na jego grubo ciosaną twarz i szerokie bary, po czym popadły w zbiorowe omdlenie. Kluby fanów Roda Normana wyrastały w całym kraju, a wkrótce ten syn sędziego z Wyoming otrzymywał piętnaście tysięcy listów tygodniowo. Kruche ego Roda nie zniosło tej nagłej, zawrotnej sławy. Stał się potworem. Przekonany, że każda kobieta w Ameryce pożąda jego muskularnego ciała (golił klatkę piersiową, ponieważ uważano, że włosy na ciele odstręczają widzów), Rod uznał, że ma obowiązek uwieść każdą napotkaną atrakcyjną kobietę. Ponieważ Edwina była nie tylko najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał, ale także żoną producenta *Młodości i ognia*, otumaniony alkoholem Rod uznał, że nie sposób oprzeć się takiemu wyzwaniu. Kiedy na dodatek scenariusz *Młodości i ognia* okazał się pełen intymnych scen miłosnych między Buckiem Randolphem a Laurą Hardy, pomyślał, że gdyby nawet wyglądał jak dzwonnik z Notre Dame, powinien odnieść sukces.

Pierwszego dnia zdjęć w Hali Pierwszej Rod poruszył temat z charakterystyczną dla siebie subtelnością.

- Lubisz seks? - spytał Edwinę, kiedy czekali na przygotowanie pierwszego ujęcia.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Tak, myślę, że jest uroczy - odparła. - Mój mąż jest w tym świetny. Jest też chorobliwie zazdrosny. Gdybyś próbował się do mnie dobierać, nie zdziwiłabym się, gdyby rozwalił ci łeb. Stale nosi ze sobą broń, wiesz? Ten zwyczaj pozostał mu z wojny. Doskonale strzela. - Posłała mu śliczny uśmiech.

Rod Norman przełknął ślinę, myśląc, że może powinien zweryfikować swą listę priorytetów.

*Nilodość i ogień* reżyserował były as wojenny, pilot akrobatyczny o nazwisku Rex Simpson. Rex i Rod pijali razem, a tej nocy siedzieli w piwnicy Rexa pijąc burbon z przemytu.

- Ten film nie wypali - stwierdził kwaśno Rod.

- Dlaczego? - spytał Rex.

- Ponieważ cały jest o seksie, a Edwina Fleming jest mniej więcej tak seksowna jak awokado.

Rex, który nosił wąsik, zrobił zdziwioną minę.

- Według mnie ona jest seksy! - powiedział. - Zawsze, kiedy na nią spojrzę, to mi staje! Ma świetne cycki.

- Tak, ale nie jest seksowna w środku. Może to kwestia tego angielskiego akcentu, nie wiem. W tym filmie mam być przecież kochankiem rozpalonym do czerwoności, to będzie największa rola w mojej karierze. Czy Fleming nosi broń?

- Słyszałem, że tak. O mało go nie zabili w Rosji w 1917 roku. Wtedy mu chyba trochę odbiło.

- I jest zazdrosny?

- Tak mówią.

- No, w każdym razie o mnie nie będzie miał powodu być zazdrosny - stwierdził kwaśno amerykański mężczyzna marzeń głosem przesiąkniętym burbonem. - Dzisiaj naprawdę mnie zmroziła. Chociaż pewnie nie powinienem mówić tego, co powiedziałem:

- Co takiego?

- Zapytałem, czy lubi seks. Rex Simpson jęknął.

- Ty kretynie! Nie pyta się o takie rzeczy wnuczki jakiegoś cholernego księcia!

- No, chyba nie.

Rex Simpson stawał się coraz bardziej znanym reżyserem, ale *Miłość i ogień* był jego pierwszym dużym filmem i nie mógł sobie pozwolić na klapę.

Uznał, że powinien porozmawiać z Nickiem Flemingiem.

W roku 1921 „The New York Times” poinformował o brutalnym zamordowaniu w Rosji byłego ministra wojny ostatniego cara, wielkiego księcia Kiryła, jego żony i córki, wielkiej księżnej Tatiany. Miało to miejsce latem 1918 roku, tydzień po rozstrzelaniu rodziny carskiej w Jekatierinburgu, kiedy w całej Rosji prawie wszystkich krewnych Romanowów likwidowano z barbarzyńską brutalnością. Dowiedziawszy się o tym Nick przypomniał sobie słodką nastolatkę, którą poznał w Piotrogradzie, i zamyślił się smutno nad jej losem. Teraz musiał jednak podjąć decyzję w sprawie diamentów, które dostał od wielkiego księcia, a które wciąż znajdowały się w sejfie Banku Anglii, zdeponowane na nazwisko Nicka. Skonsultował się z sir Desmondem Thorneycroftem, adwokatem teścia. Sir Desmond stwierdził, że ponieważ rewolucja rosyjska zniosła carski system prawny, włącznie z testamentami, oraz wyparła się długów zagranicznych, nie ma wątpliwości, że diamenty należą do Nicka. Co więcej, każda próba odszukania jakichkolwiek ocalałych krewnych wielkiego księcia spowodowałaby niewątpliwie pojawienie się tłumu samozwańców i doprowadziła do licznych procesów; zresztą nawet gdyby znalazł się prawdziwy krewny, nie miałby większego prawa do diamentów niż Nick.

Interpretując dwuznaczną mowę prawnika, Nick zdał sobie sprawę, że gdyby odnaleziono ocalałego spadkobiercę wielkiego księcia, on lub ona miałby przynajmniej moralne prawo do spadku. Wielu członków rodziny Romanowów uciekło przed rewolucją, a obecnie targowało się o majątek, który car zdeponował jakoby w Banku Anglii. Gdyby więc dowiedzieli się o istnieniu klejnotów, Nick miałby ich na głowie. Mógł albo rozdzielić drogie kamienie pomiędzy tuziny kuzynów w drugiej i trzeciej linii, którzy prawdopodobnie przepuściliby pieniądze na południu Francji, albo potraktować kamienie jako łupy wojenne i uznać je za swoją własność. Kazał je wycenić firmie Garrard i Spółka, która oszacowała ich wartość na sześćset tysięcy funtów albo trzy miliony dolarów.

Zwlekał z podjęciem decyzji aż do chwili, gdy zakupił Metropolitan Pictures. Wtedy olbrzymie koszty produkcji filmów, a także wystawny tryb życia, podjęły decyzję za niego. Sprzedał diamenty firmie Garrard i Spółka, zdeponował trzy miliony w Bank of America w Los Angeles i zdążył zapłacić czterdzieści tysięcy dolarów za prawa filmowe do bestselleru *Młodość i ogień*. Harriet Sparrow myliła się: Nick nie kupił Casa Encantada, ale wynajmował go za zawrotną wówczas sumę trzech tysięcy dolarów miesięcznie. Utrzymywanie ośmiu służących i ogrodników, pokrywanie wysokich rachunków za ubrania Edwiny, wydawanie kilku przyjęć tygodniowo, by olśnić światek filmowy - wszystko to składało się na ogromne wydatki. Ponieważ Nick wypłacał sobie, jako szefowi studia, tylko tysiąc dolarów, czerpał hojnie z zasobów, zdeponowanych w banku, by jego przedsięwzięcia filmowe odniosły sukces. Nikt lepiej niż Nick nie wiedział, jak ważne było, by *Młodość i ogień* stał się przebojem.

Dlatego też, kiedy Rex Simpson zadzwonił, by powiadomić go, że Rod Norman czuje się odrzucony przez Edwinę, co groziło fiaskiem scen miłosnych, Nick zareagował bezzwłocznie. Odłożywszy słuchawkę, ruszył w górę schodami do wejściowego hallu, uświadamiając sobie, że znalazł się w nietypowej sytuacji człowieka, który musi przekonać żonę, by obdarzała wdziękami innego mężczyznę.

Posiadłość Casa Encantada była hiszpańska aż do przesady. Wzdłuż schodów biegła kunsztowna poręcz z kutego żelaza, a z sufitu zwieszał się ciężki lampion z żelaza i szkła, kupiony od handlarza antykami w Mexico City, który zapewniał, że zdołał on kiedyś pałac wicekróla w Zocalo. Wspiąwszy się na schody Nick minął długi, posępny korytarz, ozdobiony rycinami przedstawiającymi dziewiętnastowieczny Madryt oraz wielkim i okropnym obrazem olejnym ukazującym walki byków. Na końcu korytarza ciężko rzeźbione drewniane drzwi w stylu meksykańskim wiodły do głównej sypialni z kratami z kutego żelaza w podwójnych oknach, jakby budowniczy chciał uchronić żonę przed Zorro wspinającym się po winorośli. Edwina w czarnych trykotach wykonywała serię ćwiczeń baletowych, których nauczyła ją instruktorka, Wilhelmina van Dyke, eks-aktorka holenderska, która kiedyś występowała z Sarą Bernhardt, a u schyłku kariery przybyła do Hollywood, by wydobyć tyle złota, ile tylko się da od filmowych neofitów w rodzaju Edwiny.

- Dzwonił Rex - powiedział Nick. - Mówił, że Rod się zalewa, ponieważ go odrzuciłaś. Co zrobiłaś?

Przerwała ćwiczenia.

- Zrobił wulgarną uwagę, a ja powiedziałam mu, że jeśli zacznie się do mnie dobierać, rozwalisz mu łeb. Zrobiłbyś to, prawda?

- Słuchaj, to jest Hollywood, nie zamek w Windsorze.

- Owszem, zauważyłam.

- Ci aktorzy czują się niepewnie! Muszą zagrażać kobietom. Edwina zaśmiała się.

- On? Zagrożenie? Och, kochanie, daruj, wiem, że marzą o nim wszystkie kobiety w Ameryce, ale to po prostu przerośnięty dzieciak. Dla mnie nie jest żadnym zagrożeniem. Naprawdę nie wiem, co widzą w nim te miliony śliniących się kobiet.

Nick odczuł mieszaninę ulgi i irytacji.

- Czy to znaczy, że według ciebie on nie jest przystojny?

- Och, jest przystojny. W sumie bardzo przypomina ciebie, a wiesz, że uważam cię za najprzystojniejszego mężczyznę na świecie. Ale na jego widok nie dyszę z pożądania, tak jak na twój.

- Musisz jednak udawać, że dyszysz z pożądania.

- Wiem o tym, głuptasku. Na tym polega aktorstwo. W scenach miłosnych wypadnę świetnie. - Zaczęła biec w miejscu.

- Staniesz wreszcie! - Niemal krzyknął. Zatrzymała się i spojrzała na męża.

- Kochanie, ty się złościś! Co się stało?

- Oboje mnóstwo ryzykujemy tym filmem. To poważna sprawa.

- Wiem.

- Mężczyzna nie może się kochać z kobietą, jeśli nie czuje, że ona chce się kochać z nim. Wiem, że to jest film, ale John Barrymore nie zagrałby przekonującej sceny miłosnej z górą lodową, a Rod Norman na pewno nie jest Johnem Barrymore. - Co chcesz przez to powiedzieć? Nick machnął ręką z zakłopotaniem.

- Próbuję ci powiedzieć, żebyś go trochę ośmieliła! Nie bardzo, trochę. Bądź dla niego miła. Nawet flirtuj z nim!

Podbuduj jego pewność siebie.

Edwina wzruszyła ramionami.

- No, dobra, jeśli uważasz, że to ważne. Ale to takie nudne. - Zastanowiła się chwilę i uśmiech rozjaśnił jej twarz. -

Wiem! Będę udawać, że jest toba!

- Właśnie. Udawaj, że to ja. - Wziął ją w ramiona i pocałował. - W ten sposób nakręcimy najostrzejszą scenę miłosną w historii kina.

- Zadufana małpa. - Przytuliła się do Nicka i ssąc jego ucho szepnęła: - Ale masz rację.

ocena, która miała być kręcona następnego dnia, rozgrywała się w sali gimnastycznej liceum w Shandy w Connecticut, gdzie bohater, Buck Randolph, po raz pierwszy spotyka bohaterkę, Laure Hardy. Rex Simpson stał na głowie, by jak najbardziej uwspółcześić film; scenografia przypominała prawdziwą salę gimnastyczną. Należy co prawda wątpić, czy mała szkoła w Nowej Anglii mogła sobie pozwolić na wynajęcie dwunastoosobowej orkiestry prowadzonej przez młodzieńca w szykownym smokingu. Wszyscy uczniowie ostatnich klas także mieli na sobie smokingi, co jeszcze bardziej narażało na szwank wiarygodność sceny, ale za to nadawało jej klasę, czego życzył sobie Nick. Wiarygodność prysnęła jednak jak bańka mydlana, kiedy Edwina wyłoniła się z garderoby w białej sukni podbitej lisami, na zakup której miasteczko Shandy w Connecticut musiałyby przeznaczyć cały swój budżet. Nicka nie interesowała jednak rzeczywistość, ale zaprezentowanie żony w sposób możliwie najbardziej olśniewający, toteż wynajął najdroższego projektanta kostiumów w Hollywood, by ubrał Edwinę na tip top.

Przed pojawieniem się związków zawodowych filmy w Hollywood kręciło się szybko, ale mimo to ustawienie sceny z pięćdziesięcioma statystami zajęło nieco czasu, toteż Edwina miała do zabicia pół godziny przed wejściem na plan. Nick podszedł do niej i uściskał rękę, nie mogąc pocałować żony ze względu na gruby makijaż.

- Wyglądasz bajecznie - powiedział. - Zwalisz go z nóg.

- Wątpię, czy jakaś uczennica nosiła takie suknie, ale jest rewelacyjna, prawda? Wiesz, nie denerwuję się tak, jak się tego spodziewałam. To chyba zły znak.

- Wcale nie.

- Jest Rod. Mam do niego pójść i być słodka?

- Grzeczna dziewczynka.

Przecisnęła się przez tłum statystów, stolarzy i techników, prze-

stępując przez wijące się wszędzie grube kable elektryczne, docierając wreszcie do płóciennego krzesła Roda. Pił czarną kawę.

- Dzień dobry - powiedziała wesoło, siadając obok niego na swoim krześle z wypisanym nazwiskiem. - Jak się dziś miewasz?

- Kac - jęknął, a Edwina zauważyła jego zaczerwienione oczy. - Dzięki Bogu nie będzie dziś żadnych zbliżeń. Mam opuchniętą twarz?

- Wcale nie. Wyglądasz bardzo przystojnie.

- Dziękuję... - odparł zdziwiony. - Jeśli wolno mi powiedzieć, ty wyglądasz olśniewająco. Nie dobieram się do ciebie! - dodał pośpiesznie.

Edwina uśmiechnęła się.

- Wczoraj zachowywałam się trochę szorstko. Chciałam cię przeprosić. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe.

- Och... wcale nie.

- Tak się cieszę, że będę z tobą pracować. Masz o tyle większe doświadczenie niż ja, więc mam nadzieję, że zwrócisz mi uwagę, jeśli będę grała jak noga.

Pomimo kaca Rod Norman się rozpromienił.

- Prawdę mówiąc, sam gram jak noga - powiedział i oboje wybuchnęli śmiechem.

Edwina zareagowała wzdrygnięciem na jego okropny oddech.

Nick spędził dzień zdjęciowy kursując między swoim gabinetem w angielskim stylu a planem. Chociaż Wilhelmina van Dyke zapewniała, że jego żona ma wrodzony talent aktorski, i choć Edwina wypadła świetnie na zdjęciach próbnych, Nick był ze zrozumiałych powodów zdenerwowany - tak wiele zależało od całkowitej niewiadomej.

Jednak po południu, po nakręceniu pierwszych zbliżeń Bucka i Laury, dla wszystkich stało się jasne, że dzieją się jakieś czary. Zgodnie ze scenariuszem Buck miał tańczyć blisko Laury, następnie pocałować ją na parkiecie - co w tamtych czasach równało się gwałtowi - po czym Laura miała go spolicz-kować.

Pierwsze dwa ujęcia się nie udały, i to nie z powodu nieświeżego oddechu Roda, który zapobiegliwie przepłukał usta.

Jednak w trzecim ujęciu para pocałowała się tak namiętnie, że Nick poczuł fajerwerki zazdrości, chociaż tłumaczył sobie, że Edwina

tylko udaje. Potem Laura odepchnęła Bucka i uderzyła go w twarz. Zarówno z pocałunku, jak i z policzka sypnęły się iskry. Rex krzyknął przez megafon: - Bez powtórki! - Na co cała ekipa nagrodziła aktorów brawami.

Nick bił brawo razem z innymi, ale myślał: Czy to tylko gra?

Gra czy nie, stwierdził, że nienawidzi Roda Normana. Ten sukinsyn kocha się z moją żoną, a ja mu za to płacę!

Najbardziej zdumioną osobą na planie była jednak Edwina. Namiętny pocałunek Roda Normana zelektryzował ją.



## ***Rozdział piętnasty***

Zdając sobie sprawę z własnej naiwności co do stopnia korupcji tureckiego rządu oraz z tego, że została błędnie poinformowana o stanie finansów sułtana, Diana Ramschild postanowiła dowiedzieć się wszystkiego o Mustafie Kemal przed spotkaniem z nim. Przekonała się jednak, że mimo iż stawał się najślawniejszym człowiekiem w Turcji, publicznie nie mówiło się o nim wiele - niewątpliwie dlatego, że rządowi zależało na umniejszaniu w prasie jego dokonań. Urodził się w Salonikach przed czterdziestu jeden laty jako syn Alego Rize, celnika, któremu nigdy się nie wiodło, i Macedonki imieniem Zubeida, analfabetki, ale kobiety o żelaznej woli. Kiedy Mustafa miał dziesięć lat, jego ojciec zmarł podczas epidemii tyfusu, a matka przeniosła chłopca na farmę wuja. Zubeida chciała, by został hodzą, duchownym, ale chłopiec, pod wpływem opowieści o podbojach przodków, walecznych Turków osmańskich, postanowił zostać żołnierzem. Uczył się doskonale, miał wybitne zdolności matematyczne, toteż został przyjęty do tureckiej szkoły kadetów, gdzie zadziwił nauczycieli energią i nienasyconym głodem wiedzy. Pożerał książki z dziedziny strategii wojskowej, zaczytywał się w Clausewitzu, Moltkem i biografiami Napoleona. Pomimo że w czternastym roku życia zaczął pić, palić i odwiedzać domy publiczne, jego przełożeni nadali mu nowe imię: Kemal, co po turecku znaczy doskonałość. Po ukończeniu szkoły kadetów odznaczył się w kilku kampaniach armii tureckiej i flirtował z różnymi nurtami radykalnej polityki, skutkiem czego spędził trzy miesiące w osławionym konstantynopolskim Czerwonym Więzieniu. Po obaleniu przez Młodych Turków Abdula Hamida Przeklętego, Mustafa został wysłany do Sofii jako attache wojskowy. Nauczył się tam francuskiego, flirtował z socjety,

uprawiał hazard, stał się dandysem, nabawił się choroby nerek, pił duże ilości rakii i słodkiej rumuńskiej wódki zwanej cujka, a także -podobno - sypiał czasami z chłopcami. Przez cały ten czas tęsknił za chwałą i ciskał gromy na zacofanie swej ukochanej ojczyzny.

Wojna przyniosła pod Gallipoli chwałę jemu, ale Turcji haniebną klęskę. Kiedy armia grecka zajęła Smyrnę, a Francuzi i Anglicy Konstantynopol, na pozostałych terenach Turcji wybuchły zamieszki. Sułtan, nerwowy na swym chwiejącym się tronie, postanowił wysłać kogoś, kto stłumi zamieszki i podbuduje jego autorytet. Jego wybór padł na Kemala. W ostatniej chwili doradcy sułtana przekonali go, że wybrał zdrajcę, ale było już za późno: Kemal płynął po wzburzonym Morzu Czarnym, kierując się na wschód do tureckiego portu Samsun, gdzie wylądował 19 maja 1919 roku.

Niezwłocznie zaczął formować niezależną armię i tworzyć nowy, demokratyczny rząd w Angorze. Pokonawszy potworne trudności, dokonał obu tych rzeczy, wypowiadając tym samym lojalność wobec sułtana. Sułtan zorganizował ekspedycję karną zwaną armią kalifa, która miała stłumić powstanie kemalistów; do koszmaru obcej okupacji doszła groza wojny domowej. W mieście Konya awangarda „armii kalifa” schwytła grupę oficerów Kemala. Oficerów ukamienowano i pobito do nieprzytomności, po czym ocucono wodą. Wyrwano im paznokcie i oślepieno rozżarzonymi do czerwoności mieczami. W odwecie oficerów sułtana, którzy wpadli w ręce kemalistów, chłostano na śmierć, a następnie wleczono za końmi. Kemaliści posługiwali się chłostą, by wydobywać informacje, po czym mordowali przesłuchiwanym. Ludzie sułtana torturowali więźniów przy użyciu bastinada, wieszali ich, oślepiali, a nawet krzyżowali. Najokrutniejsze psy wojny zostały spuszczone z uwięzi.

Główna przewaga sułtana leżała w duchowieństwie; we wszystkich meczetach nakłaniano wiernych do wsparcia sułtana-kalifa, głowy islamu. Przewaga Kemala polegała na tym, że był geniuszem wojskowym miary Napoleona, miał żelazną wolę i potrafił błyskotliwymi mowami przeciągać Turków na swoją stronę. Powoli zmusił „armię kalifa” do odwrotu. Armię grecką pokonał w dwóch wielkich bitwach, czym zaskarbił sobie podziw świata. Jednak Grecy wciąż okupowali Smyrnę.

Takiemu więc człowiekowi Diana Ramschild postanowiła sprzedać broń. Najpierw jednak musiała się do niego dostać, a kwatery Kemala leżała w głębi Turcji. w willi Chankaya pod Angora. Dianę

dzieliła od tego miejsca grecka armia, bandyci oraz dwieście mil dzikich gór Anatolii.

Diana była jednak nieodrodnym dziecięciem swego wieku. Trzy dni po wizycie w pałacu Dolmabahce znalazła młodego tureckiego przewodnika imieniem Kadri, który miał włoski samolot dwupłatowy z demobilu i za czterysta dolarów amerykańskich gotów był przewieźć ją ponad armią grecką do Angory. Spakowawszy tylko jedną walizkę, za to pełną najlepszych ubrań (wiedziała o podziwie, jakim Kemal darzył modne kobiety) spotkała się o ósmej rano z Kadrim na otwartej przestrzeni, pięć kilometrów od Konstantynopola. Obrzuciwszy niespokojnym spojrzeniem sfatygowany dwupłatowiec, włożyła pilotkę z goglami i wsiadła do tylnej odkrytej kabiny.

Pięć minut później samolot rozpedził się, wzbił w powietrze, na pełną przerażenia sekundę opadł, po czym powoli wzleciał w błękitne tureckie niebo i ruszył ku odległym górą na wschodzie.

Na dowód popularności, jaką cieszą się u generałów handlarze broni, dwie godziny po wylądowaniu pod Angorą Diana otrzymała zaproszenie na lunch do Chankaya. Do willi zawiózł ją odkrytym czteroletnim Benzem najbliższy przyjaciel Kemala, pułkownik Arif, z którym rozmowa była jednak bardzo ograniczona, jako że nie mówił ani po angielsku, ani po francusku. Podczas podróży Diana podziwiała krajobraz. Mimo iż był lipiec, a w Konstantynopolu panowała spiekota, tu, na płaskowyżu Anatolii, tysiąc trzysta metrów nad poziomem morza, powietrze było przyjemnie ciepłe, czyste i przejrzyste. Pierzaste chmury szybowwały wokół odległych gór koloru umbry; kilka kilometrów dalej z łagodnych wzgórz opadały w dół czerwone dachy Angory, małego miasta, które Kemal ogłosił nową stolicą Turcji i już rozważał zmianę nazwy na Ankarę. Chankaya znajdowała się dwadzieścia pięć minut drogi od stolicy, a kiedy Benz zaparkował przed willą, Diana zachwyciła się jej usytuowaniem i otaczającym ją śliwkowym sadem, choć widok samego domu nie zrobił na niej wrażenia. Piętrowa willa zbudowana z miejscowego kamienia przez lewantyńskiego kupca miała brzydka, ciężko rzeźbioną werandę zwieńczoną małym balkonem, a wszystko pomalowane na dziwny kolor byczej krwi. Dach był spadzisty i stożkowy, ale nieprzyjemne wrażenie zacierał wspaniały widok w dół wzgórz z rozległym stawem w oddali.

Pułkownik Arif, przystojny młody człowiek, zaprowadził ją na werandę, gdzie przy drzwiach stali dwaj elitarni ochroniarze Kemala. Byli to Oguzi, potężni, dzicy górale z południowego wybrzeża Morza Czarnego, ubrani w swe narodowe stroje z czarnej wełny, długie rozcięte płaszcze i wysokie buty. Kiedy zaszalutowali Arifowi, Diana zauważyła, że mają niemieckie karabiny.

Arif zaprowadził ją przez hall z ornamentowaną fontanną i sofą z czerwonej skóry, gdzie odwiedzający czekali na audiencję u Ghaziego. Serce Diany łomotało z podniecenia, ciekawości i niemałego niepokoju; człowiek, z którym się miała spotkać, cieszył się sławą morderczego okrutnika. Kazał wieszać dostawców dla wojska za zgarnianie nieuczciwych zysków, a osobiście zastrzelił dwóch swoich oficerów za chomikowanie papierosów. Tu, na wyżynie anatolijskiej, tysiące kilometrów od bezpiecznego, wygodnego Connecticut, to Mustafa Kemal Pasza stanowił prawo, był wszechwładnym wodzem naczelnym. Diane przemknęła przez głowę przykra myśl, że może właśnie ryzykuje życie.

Pułkownik Arif wprowadził ją do gabinetu, średniej wielkości pomieszczenia z lwimi skórami na ścianach, małym pianinem i stołem na środku, gdzie, jak głosiła wieść, Kemal pijał nocami. Ghazi stał za stołem i studiował mapę. Kiedy weszli, podniósł wzrok. Pierwszą rzeczą, którą zauważyła Diana, były oczy. W wielu powieściach czytała o świdrujących oczach, ale ten epitet był naprawdę nieunikniony - stalowoniebieskie oczy Kemala świdrowały Dianę, napełniając ją lekkim strachem. Odniosła wrażenie, że nie tylko patrzy na jej wygląd, ale usiłuje też odczytać jej myśli. W końcu wyprostował się i uśmiechnął. Średniego wzrostu, szczupły i żyłasty, z włosami i wąsami, które były, o dziwo, niemal jasne. Nie był przystojny w konwencjonalny sposób, ale mimo to miał niezwykle pociągającą twarz o wysokich kościach policzkowych i cienkich ustach. Dianę zdziwiło, że, choć jest generałem, ma na sobie dobrze skrojony szary garnitur.

- Jest pani bez wątpienia najbardziej pociągającym handlarzem broni, jakiego kiedykolwiek spotkałem - powiedział po francusku, obchodząc stół, by pocałować ją w rękę. - Byłoby niemal przyjemnością, zostać zastrzelonym z jednego z pani karabinów.

- Mam nadzieję, ekscelencjo, że żadne z nas nie doświadczy tej przyjemności.

Pułkownik Arif stał przy drzwiach. W progu zjawiała się nagle

bardzo ładna, młoda kobieta w czarnej sukni i spojrzała na Dianę z zaciekawieniem.

- A, Fikriye! - powiedział Kemal. - To jest *mademoiselle* Ramschild z Ameryki. Fikriye jest moją kuzynką. - I kochanką, pomyślała Diana, która słyszała o tej kobiecie. Ghazi mówił przez chwilę do Fikriye po turecku, a potem zwrócił się do Diany: - Powiedziałem jej, żeby przyjrzała się pani strojowi, ponieważ widzę, że jest pani kobietą niepośledniego smaku. Ta suknia jest dziełem słynnej Chanel, prawda?

- Owszem, ekscelencjo, jestem pełna podziwu.

- Kobięce stroje interesują mnie prawie w równym stopniu co kobiety. Mój kraj jest zacofany, *mademoiselle*. Dwa lata temu Fikriye wciąż zasłaniała twarz. Chcę, żeby mój kraj jak najszybciej przeskoczył z wieku siedemnastego do dwudziestego, nawet w tak powierzchownej dziedzinie jak moda. - Znowu odezwał się do Fikriye, która zniknęła wraz z Arifem. - Fikriye przyniesie nam kawę, a wtedy porozmawiamy o karabinach. Zawsze twierdziłem, że cechą, którą cenię w kobietach najbardziej, jest przystępność, ale pani ma coś, co podoba mi się nawet bardziej: broń. A przy okazji, w Angorze jest hotel odpowiedni dla kobiet pani statusu. Mam nadzieję, że dzisiejszej nocy zostanie pani moim gościem honorowym?

- To ja czuję się uhonorowana, ekscelencjo.

- Dobrze, w takim razie to ustalone. Usiądźmy. Rozumiem, że kilka dni temu odwiedziła pani pałac, próbując sprzedać karabiny sułtanowi.

Diana usiadła w skórzanym fotelu, a Kemal na podobnym po drugiej stronie małego, ośmiokątnego stołu.

- Skąd pan o tym wie?

- Moja droga *mademoiselle* Ramschild, w Konstantynopolu dzieje się niewiele istotnych spraw, o których mi nie donoszą. Pani wizyta w pałacu musiała panią kosztować немало łapówek.

- Tysiąc dolarów. Babur Pasza żądał kolejnego tysiąca. Być może powinnam mu była zapłacić, ale coś mi mówiło, że to byłby dopiero początek. Nie mam nic przeciwko pewnej dozie korupcji, w interesach jest to chyba nie do uniknięcia. Istnieją jednak granice.

Kemal uśmiechnął się.

- Dobrze. To mi się podoba. Dwór jest niewiarygodnie skorumpowany, cały system jest skorumpowany. Sułtan wydał na mnie

wyrok śmierci... to tak, jakby więzień skazał strażnika. Negocjując ze mną, *mademoiselle*, nie musi się pani uciekać do łapówek. Nie mam też zamiaru pani okłamywać. Potrzebuję broni i znam podejście pani kraju. Możemy dojść do porozumienia. Myślę, że uzna pani tę podróż za opłacalną. A, nawiasem mówiąc, nigdy nie leciałem samolotem. Bała się pani?

- Potwornie. - Uśmiechnęła się. - To było boskie. Kemal otworzył szerzej oczy.

- Pani mi się podoba, *mademoiselle* - powiedział cicho. - Jest pani odważna, inteligentna, a wszystko w takim atrakcyjnym opakowaniu. Cieszę się, że przybyła pani do Chankaya.

Fikriye wróciła z emaliowaną tacą, na której stały dwie kunsztownie zdobione filiżanki do kawy, filigranowy dzbanuszek, słoiczek miodu różanego i talerz słodkich bułeczek. W milczeniu postawiła tacę na stole, spojrzała przelotnie na Dianę i wyszła.

Fikriye wiedziała, co się wydarzy.

Nie wyszła pani za męża, *mademoiselle* - powiedział tego wieczoru, kiedy jedli we dwoje kolację w jego gabinecie. Pokój oświetlały lampy naftowe, a przez otwarte okna wpadały łagodne podmuchy wiatru. Obsługiwała ich Fikriye. Kemal wypił zdumiewającą ilość ognistej rakii, ale jak dotąd alkohol nie działał na jego umysł. - Czy nigdy nie była pani zakochana?

- Raz - odparła krótko Diana, krojąc rewelacyjnie przyrządzone jagnię. - W człowieku, którego teraz nienawidzę.

- Pani mnie fascynuje. Ja także potrafię nienawidzić. Nienawiść, podobnie jak miłość, może być piękna. Ale proszę mi powiedzieć, czemu pani nienawidzi tego człowieka?

- Ponieważ doprowadził do tego, że się w nim zakochałam, oświadczył mi się, a następnie poślubił inną kobietę.

- To dobry powód do nienawiści.

- Poza tym jest winny śmierci mego ojca.

- To jeszcze lepszy powód. Zamordował go?

- Do tego się to sprowadza. Tak go rozgniewał, że ojciec dostał śmiertelnego wylewu. Ślubowałam, że mu odpłacę, i kiedyś to zrobię.

- Ale po co czekać? Ten człowiek zasłużył na śmierć. Każdy dzień jego życia jest obrazą dla pamięci twego ojca, *mademoiselle*.

Spojrzała na Kemala. Obierał brzoskwinie.

- Nie myślałam o tym, żeby go zabić.

- A jaka jest inna sprawiedliwa kara? Życie za życie. Zabiłem wielu ludzi. Czasami nie jest to przyjemne, ale konieczne. Gdyby pani знаła wojnę tak jak ja, *mademoiselle*, wiedziałaby pani, jak tanie jest życie.

- Tak, ale... poza wszystkim innym, w Ameryce nie wchodzi się tak po prostu i nie zabija się człowieka. Mamy coś, co się nazywa krzesłem elektrycznym, na którym nie mam zamiaru siadać.

- Droga *mademoiselle*, mówi pani jak amatorka - powiedział cierpliwie, jakby tłumaczył coś dziecku. - Wynajmuje pani zawodowego zabójcę, który wykona zadanie za panią. W Konstantynopolu, tym sprzedajnym mieście, są tuziny najemnych zabójców, mogę pani dać ich adresy. Jeśli opłaci im pani podróż do Ameryki, za rozsądną cenę z przyjemnością zabiją tego człowieka... Jak on się nazywa?

- Fleming - odparła Diana z namysłem. - Nick Fleming. Teraz mieszka w Hollywood. Kupił studio filmowe.

- Hollywood! - Kemal zaśmiał się. - Za podróż do Hollywood zabiliby za darmo!

Napełnił kieliszek rakiją, wychylił jednym haustem i wstał.

- Zaczynam być pijany - stwierdził konkretnym tonem. - Muszę się położyć. Proszę pomyśleć o tym, co pani mówiłem. Wielka prawda o życiu jest taka, że albo pani panuje nad nim, albo ono nad panią. - Obszedł stół, stanął przy jej krześle i spojrzał na Dianę. - Dzisiaj kupiłem od pani dużo broni, *mademoiselle*. Byłem dobrym klientem. Jeszcze nigdy nie kochałem się z Amerykanką. Czułbym się zaszczycony, gdyby dziś w nocy przyszła pani do mojego pokoju. Jest na gorze, w końcu korytarza.

Uniósł dłoń Diany do ust i pocałował, przyglądając się jej badawczo niebieskimi oczami. Potem puścił ją i wyszedł. Po chwili weszła Fikriya i w milczeniu zaczęła sprzątać ze stołu. Diana poczuła się nieswojo, dostrzegając jej spojrzenie.

Diana zastanawiała się, co myślała ta kobieta w czerni.

Mustafa Kemal Pasza, jeden z najpotężniejszych ludzi w Turcji, siedział nagi na brzegu łóżka zastanawiając się, czy Amerykanka przyjdzie do jego pokoju. Ameryka stanowiła dla niego mit i tajemnicę - nienawidził Woodrowa Wilsona, który był wrogiem Turcji podczas paryskiej konferencji po wojnie, ale podobały mu się komedie Charlie

Chaplina. Podobała mu się też Diana Ramschild. Była nie tylko w chłodny sposób piękna i elegancka, ale także potrafiła nienawidzić. Coś mu mówiło, że umie też kochać. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- *Entrez* - powiedział.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Diana. Miała na sobie biały szlafroczek z muslinu, przez który w łagodnym blasku lampy widział jej ciało. Zamknęła drzwi i spojrzała na jego nagość. Wyciągnął rękę, a Diana podeszła do łóżka rozpinając peniuar i rzucając go na krzesło. Pokój był prosty, ze spartańskimi drewnianymi meblami i staromodnym mosiężnym łóżkiem, nad którym wisiała fotografia groźnie wyglądającej matki, siedzącej sztywno w chłopskim stroju, wpatrzonej w fotografa. Przeszkłone drzwi prowadziły na balkon nad frontową werandą, gdzie stali strażnicy.

Kemal otoczył rękami biodra Diany, wtulił twarz w brzuch, całując miękkie ciało i ugniatając pośladki silnymi palcami. Pocałowała go w czubek głowy, rozkoszując się siłą jego rąk. Delikatnie pociągnął ją na łóżko.

- *Janum* - powiedział, pieszcząc jej piersi. - To znaczy, że jesteś moją duszą, moją miłością. Powiedz, *janum*.

- *Janum* - szepnęła, a to czarowne słowo, pachnące jak jaśmin, streściło nagle wszystkie myśli Diany. Mustafa Kemal Pasza był jednym z najbardziej intrygujących ludzi, jakich poznała. Jedyńm, który ją pociągał od czasów Nicka. Podniecała ją jego władza, cynizm, bezwzględność. Naprawdę byli do siebie podobni. Mógł być jej duszą.

Kiedy skończyli się kochać, szepnęła:

- Chcę, żebyś dał mi adres najlepszego zawodowego zabójcy, jakiego znasz.

Kemal zaśmiał się i pocałował ją w policzek.

- Wiedziałem, że poprosisz. Nie byłem pewien, czy przyjdiesz do mojego pokoju, ale wiedziałem, że poprosisz o adres zabójcy. Ponieważ, tak jak ja, jesteś zabójczynią.

Powinna się poczuć obrażona, ale te słowa przyprawiły ją o przyjemny dreszcz.

W ciągu kolejnych kilku dni jej rozkosz stopniowo się nasilała. Diana nigdy do końca nie uporała się z namiętnością do Nicka sprzed



sześciu lat. Często marzyła, że znajduje się w tym pustym domu na plaży w Connecticut, gdzie kochał się z nią po raz pierwszy. Teraz, jak zauważył Kemal, jej miłość obróciła się w równie żarliwą nienawiść, w żądę zemsty. Kemal przekonał Dianę, że jedyną logiczną zemstą za zbrodnie Nicka przeciwko rodzinie Ramschildów jest śmierć.

Po zakończeniu negocjacji z Kemalem poleciała z powrotem do Konstantynopola, by dopilnować dostawy broni, obiecując nowemu kochankowi, że wróci, kiedy broń zostanie wysłana. Zameldowała się w hotelu Pera Pałace i tego samego popołudnia pojechała taksówką do jednej z najstarszych dzielnic miasta. Kemal dał jej adres człowieka zwanego Łysy Ali.

- Jego ojciec i dziad torturowali dla sułtana - powiedział Kemal. - Członkowie tej rodziny byli najemnymi zabójcami od pokoleń. Dla nich jest to wyłącznie interes. Płacisz im, a oni gwarantują rezultat. Wynajmujesz ich, a twój wróg ginie.

Ulica była wąska i stara, pełna wózków zaprzężonych w osły, przechodniów, sprzedawców i dzieci. Diana kazała kierowcy czekać i podeszła do drewnianych drzwi starego domu, który z zewnątrz niczym szczególnym się nie wyróżniał. Otworzyła jej starucha z zasłoniętą twarzą, z wyglądu równie stara jak dom. Spojrzała podejrzliwie na elegancko ubraną Amerykankę. Diana wręczyła jej list, który dostała od Kemala. Starucha wymamrotała coś po turecku, po czym zatrzasnęła drzwi. Po pięciu minutach otworzyła i gestem zaprosiła Dianę do środka.

Weszła do pokoju urządzonego w dawnym stylu tureckim, z przepięknym uszackim dywanem, mnóstwem otoman i poduszek. Chociaż dom znajdował się w niemodnej dzielnicy miasta, zawód płatnego zabójcy najwyraźniej przynosił zyski. Diana ruszyła za starą kobietą przez dwa kolejne pokoje, w pobliżu kuchni wdychając z przyjemnością zapach pieczonego jagnięcia. Wreszcie, w czwartym pokoju, starucha zostawiła ją samą.

Na kanapie siedział niesłychanie gruby mężczyzna z całkowicie łysą głową. Miał na sobie szlafrok przepasany szarfą, kapcie z czerwonego aksamitu i palił papierosa w długiej czarnej fifce z laki. Przez chwilę przyglądał się Dianie małymi świńskimi oczkami, wreszcie wyjął firkę z ust i nie wstając powiedział po francusku:

- Jestem Łysy Ali. Witam w moim domu. Czy ma pani zdjęcie tego człowieka, Fleminga?

Przez lata Diana wycinała z prasy wszystkie wzmianki o Nicku. Teraz wyjęła z torebki wycinek z „The New York Timesa” i wręczyła grubasowi.

Łysy Ali przyjrzał się fotografii, pociągając z fiki. Potem podniósł wzrok.

- Mustafa Kemal zaproponował w liście cenę, ale jest za niska. To będzie kosztować tysiąc funtów szterlingów plus wydatki. Cena nie podlega negocjacji.

- Jaką mam gwarancję?

- Moje słowo, *madame*, oraz reputację mojej rodziny. Diana zawahała się.

- Jak... Jak to zostanie zrobione?

- Nie ma potrzeby, by pani to wiedziała. Chodzi tylko o to, że ten człowiek zginie. Czy doszliśmy do porozumienia?

Diana przypomniała sobie miłosny zachwyty, ekstazę pocałunków Nicka, agonię w sanatorium, wściekłość i nienawiść. Przypomniała sobie, jak starała się zachować w pamięci jego twarz, kiedy go widziała ostatni raz w Savoyu, w dniu śmierci ojca.

- Doszliśmy do porozumienia - powiedziała.

## ***Rozdział szesnasty***

SPARROW ŚPIEWA (Harriet Sparrow)

*Cale Hollywood plotkuje o gorących scenach miłosnych, które kreci się w Metropolitan Pictures na planie Młodości i ognia. Mówi się, że przy Rodzie Normanie i Edwinie Fleming, żonie producenta Nicka Fleminga, obiektywy kamer zaparowują. Małżonkowie gwiazd, Nick Fleming i Norma Norman śmieją się na sugestie, że może to być coś więcej niż gra, ale kiedy jest tyle pary, czyż nie może być też i troszkę ognia?*

Edith Clairmont odrzuciła gazetę i spytała męża:

- Van, jak możesz drukować takie śmieci?

Van odstawił filiżankę z kawą. Siedzieli w pokoju śniadaniowym w domu w Sands Point.

- Jakie śmieci? - zapytał.

- Felieton Harriet Sparrow. Praktycznie napisała, że Edwina ma romans z Rodem Normanem. A ty to wydrukowałeś! Pomyśl o uczuciach Nicka, nie mówiąc o Edwinie.

- To wszystko reklama, Edith. Nick pewnie tańczy z radości. Za każdym razem, kiedy Harriet Sparrow wspomina o tym filmie, sprzedaje kolejne bilety.

Edith, teraz pięćdziesięcioletnia kobieta z początkami siwizny, nie wyglądała na przekonaną.

- To bardzo cyniczne, Van.

- Przemysł filmowy jest cyniczny, a twój syn także nie jest skautem.
  - Ale ta reklama jest tak niegodna! - ciągnęła Edith. W końcu westchnęła. - Chyba jestem staroświecka. Zawsze mnie uczono, że należy unikać zamieszczania w gazetach swego nazwiska.
  - Na szczęście dla wysokości moich nakładów, ta zasada już nie obowiązuje.
- Edith zawahała się, a potem spytała ściszym głosem:
- Van, myślisz, że to prawda? Jej mąż wzruszył ramionami.
  - Mnie o to nie pytaj.

Cała Ameryka zadawała sobie to samo pytanie.

Douglas Fairbanks i Mary Pickford zarabiali po dwadzieścia tysięcy dolarów tygodniowo. Gloria Swanson zarabiała siedem tysięcy dolarów tygodniowo. Rod Norman, który jeszcze nie doszedł do ich ligi, kosztował Nicka pięć tysięcy dolarów tygodniowo, a ponieważ podatki były niewielkie, Rod czuł się naprawdę bogaty, jak przechwalał się po pijaku przed przyjaciółmi. Rok wcześniej kupił dom w stylu francuskiego *château* zaledwie kilometr od Casa Encantada. *Château* miał trzydzieści pokoi, między innymi po jednym okrągłym pokoju na szczycie obu wież, które służyły Normanom za sypialnie. Obok domu znajdował się kort tenisowy i basen, a w piwnicy Rod urządził pomieszczenie do ćwiczeń, by utrzymywać się w formie - wiedział, że od tego zależy cała jego kariera. Miał turystyczną Hispano-Suizę z wiklinowymi obiciami, niebieskie sportowe Bugatti, Isottę-Fraschini koloru kości słoniowej, dwadzieścia siedem garniturów szytych na zamówienie, pięćdziesiąt dwie pary butów, a koszule oddawał po jednym noszeniu organizacjom charytatywnym (żartował, że w ten sposób oszczędza na pralni). Wszystko to relacjonowano skrzętnie w czasopiśmie filmowych, które były wyrocznią na prowincji, a wielbiciele połykali podobne trywialne szczegóły niczym mannę z nieba. Rod otrzymał list z klubu fanów w Tucson, podpisany przez pięćdziesiąt sześć dziewcząt, które prosiły go o kilka włosów łonowych.

Norma Norman, sześć lat starsza od słynnego męża, wzięta projektantka kostiumów w Paramount nie marnowała słów.

- Pieprzysz ją, czy nie? - spytała schodząc do pokoju ćwiczeń w piwnicy, gdzie „marzenie Ameryki” podciągało się na drążku.

- Kogo?

- Edwinę Fleming, a kogóż by innego? Przeczytaj dzisiejszy felieton Harriet Sparrow. Jako twoja żona jestem tym przelotnie zainteresowana. Jeżeli jakiś głąb w Paramount jeszcze raz zapyta mnie o ciebie i Edwinę, to zwymiotuję. Norma, której ojciec był bankierem w Kansas City, przyjechała do Hollywood w 1915 roku, by rozpocząć karierę aktorki filmowej. Miała twarz i figurę gwiazdy - posągowe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, kredowobiałą skórę i kruczoczarne włosy -jednak zabrakło jej talentu aktorskiego. Poznała Roda, kiedy oboje grali epizody w westernach. Pobrali się, ona zostawiła aktorstwo, by zająć się projektowaniem strojów, co bardziej przypadło jej do gustu; utrzymywała go, kiedy borykał się z angażami do filmów. Rod odwdzięczał się jej notoryczną niewiernością. Miłość Normy przeszła od goryczy do pogardy. Pozostawała z nim tylko dlatego, że status żony Roda Normana wiązał się z pewnymi korzyściami społecznymi, ale amerykański „mężczyzna marzeń” bał się żony. Byli ze sobą mniej więcej tak blisko, jak ich oddzielne sypialnie na szczytach dwóch wież *chateau*.

Rod zeskoczył z drążka i otarł twarz ręcznikiem.

- No? - ponagliła go Norma. - Odpowiesz, czy nie? Chcę wiedzieć, żeby być na bieżąco z twoimi osiągnięciami. Miała na sobie koszulę w kwiaty, która nadawała jej artystyczny wygląd. Na czarne włosy założyła różową atłasową opaskę. Rod wytarł ogoloną klatkę piersiową i powiedział:

- Oczywiście, że nie robię nic z Edwiną.

- Już ci wierzę.

- Ona jest damą, kimś, o kim ty nie słyszałaś. Na przykład nigdy nie powiedziałaby „pieprzyć”. Czasami myślę, że ożeniłem się z robotnikiem portowym.

- O cholera! Cóż, będę szczęśliwa, kiedy skończą kręcić ten durny film. Rola biednej, głupiej, zdradzanej żony zaczyna być trochę żenująca. - Weszła na schody, posyłając mu pogardliwe spojrzenie. - Wiesz, bez tej swojej urody zostałbyś pewnie śmieciarzem.

- Dzięki.

- Drobiazg... kochanie. Dalej szła no schodach.

Rok wcześniej wydanie *Młodości i ognia* wywołało sensację w całym kraju; sprzedano milion egzemplarzy powieści, będącej słabo zamaskowaną pornografią. Jednak namiętność Laury Hardy do Bucka Randolpha, który bynajmniej nie traktował jej po dżentelmsku, poruszyła struny w wyzwolonych kobietach tego okresu. Laura posepnie trwała przy swej cnocie, ale balansowała na samym jej skraju, a właśnie na tym polegała epoka jazzu, wielkie dni podfruwajek. Kulminacyjna scena powieści rozgrywa się w domu publicznym pod Hartford, dokąd Buck udaje się, by rozładować napięcie seksualne. Laura dowiaduje się o tym i, aby ocalić go od losu gorszego niż śmierć, ta nieustraszona dziewica udaje się do burdelu, by wyciągnąć Bucka. Buck, pijany i rozebrany do koszuli, ugania się po lokalu bawiąc się doskonale z dziewczętami i nie jest w nastroju na kazania Laury. Brutalnie ją poniża, a następnie próbuje zgwałcić. Cnota Laury zostaje ocalona tylko dzięki interwencji jednej z dziwki o złotym sercu. W roku 1922 to była duża rzecz, a ekranizacja sceny burdelowej, jak ją określano, stanowiła główny punkt filmu. Zazwyczaj Rod cieszyłby się perspektywą podobnej sceny, która dawała mu okazję do maksymalnego obnażenia się, a z tysięcy listów od wielbicielek wiedział, że tego właśnie pragną kobiety. Kiedy jednak o szóstej rano przyjechał do studia swoją olbrzymią Hispano-Suizą, był spięty i niespokojny.

Prawda była taka, że pomimo wszystkich plotek zachowywał się na planie jak prawdziwy dżentelmen, a Edwina jak prawdziwa dama. Mimo to podczas pocałunków czuł podniecenie partnerki, które nie było grą. Rod był krótkowidzem, chociaż zbyt próżnym, by nosić okulary, a ostre reflektory Kliega używane w tych czasach, praktycznie oślepiały go na planie. Jedną z nielicznych rzeczy widzanych przezeń dość dokładnie, były kobiety, które całował w zbliżeniach, a wytrzeszczone oczy krótkowidza stanowiły jeden z powodów jego wielkiego powodzenia. Co prawda niedawno powstały Kodeks Haysa ograniczył sceny pocałunków do trzech metrów filmu, ale te trzy metry zawsze sypały iskrami. Napięcie seksualne między Rodem a Edwiną rosło z każdym dniem zdjęć, a lodowate spojrzenia, jakie posyłał mu Nick, sprawiały, że Rod już zawczasu oblewał się potem. Nie sądził, by Nick zrobił coś tak szalonego jak zastrzelenie go, ale nie ulegało wątpliwości, że były handlarz bronią znał się na niej doskonale, toteż Rod nie ryzykował — postanowił być dżentelmenem do samego końca.

Mimo zdenerwowania Normana scenę burdelową nakręcono bez kłopotów. Po zakończeniu zdjęć Edwina powiedziała:

- A, przy okazji, Nick chce, żebyś do nas wpadł.
- Jasne. Kiedy?
- Kiedy chcesz. W drodze powrotnej do domu.
- Czy chodzi o film?

- Nie mam pojęcia - odparła ze ślicznym uśmiechem i poszła do garderoby.

Rod pomyślał nerwowo o broni, ale powiedział sobie, że nie ma powodu do zmartwień. Postępował jak doskonały dżentelmen.

Kiedy jednak zaparkował samochód przed dużym hiszpańskim domem, jego zdenerwowanie się nasiliło. Coś było nie w porządku. Mówiąc sobie, że to wszystko tylko gra wyobraźni, wysiadł z Hispano-Suizy, podszedł do drzwi i zadzwonił.

Otworzyła Edwina w niebieskiej atlasowej piżamie.

- Służący ma dziś wolny wieczór - powiedziała z uśmiechem. - Wejdz.

Rod wszedł do dużego hallu, nad którym zwisała ciężka lampa.

- Gdzie Nick? - zapytał. Edwina zamknęła drzwi.

- W Santa Barbara. Z samego rana ma sfinalizować kupno winnicy.

- Co ty kombinujesz? - spytał Rod przyglądając się jej podejrzliwie.

- Pani Drummond zabrała dzieci na przyjęcie urodzinowe, a ja dałam służącym wolne. Cały dom mamy dla siebie.

Rod zaczął się pocić.

- Słuchaj, Edwino, to chyba nie jest dobry pomysł... Podeszła i zakryła mu usta dłonią.

- Kocham mojego męża i nigdy go nie oszukiwałam, ale występowanie razem z tobą w tych scenach miłosnych doprowadza mnie do szaleństwa. Chcę to zrobić raz, tylko raz, żeby wyrzucić cię z organizmu. Nikt się nigdy nie dowie.

- Nikt nie robi tego raz...

- Ja zrobię. Zaufaj mi. Proszę, nie każ mi błagać. Znowu pomyślał o broni. Potem westchnął.

- Cholera, chciałem to zrobić od kilku tygodni - powiedział, wziął Edwinę w ramiona i pocałował.

- Na górze - szepnęła. - W pokoju gościnnym. Ruszyli po wielkich schodach na piętro.

Zdjęcia do filmu *Młodość i ogień* ukończono 3 sierpnia 1922 roku, a Rex Simpson niezwłocznie podjął się mozolnego montażu, by film mógł sprostać wymogom Urzędu Haysa (choć wersję przed montażem dopuszczano do rozpowszechniania w Europie i Ameryce Południowej; należało chronić cnotę jedynie amerykańskich widzów). Rod zrobił sobie tygodniowe wakacje nad jeziorem Tahoe przed zgłoszeniem się do Foxa w celu rozpoczęcia zdjęć do nowego filmu, *Kłopoty na Samoa*. Nie miał żadnych wiadomości od Edwiny i zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście mogła to zrobić tylko raz. Kochanie się z nią okazało się tak ekscytujące, jak przewidywał, a kiedy przypomniał sobie, że początkowo zrobiła na nim wrażenie zimnej ryby, wybuchnął śmiechem. Mimo to nie zamierzał proponować drugiego spotkania - czuł zbyt wielki respekt dla pistoletu Nicka. Zastanawiał się jednak, co zrobi, kiedy ona się do niego zwróci.

Zrobiła to jednak dopiero tydzień po Dniu Pracy. Odebrał telefon w swojej garderobie.

- Rod, tu Edwina. Serce zabiło mu żywiej.

- Cześć. - Amerykański „mężczyzna marzeń” nie zdobył się na nic więcej.

- Musisz przyjechać dziś wieczorem. Stało się coś strasznego.

- Co?

- Nie mogę ci powiedzieć przez telefon.

- Gdzie jest Nick?

- Zostaje na noc w studiu. Ma oglądać z Rexem ostateczną wersję. Bądź tu o ósmej. Odesłałam służbę.

Odłożyła słuchawkę.

Wiatr z Santa Ana zamienił Los Angeles w piekło. Drzewa pieprzowe rosnące wzdłuż ulic i niszczące samochody, zrzucając owoce na dachy, słały się z upału, a proste bungalowy jakby się kurczyły. Jednak w Hollywood Hills, gdzie zaczynały się wille ludzi filmu, Rod odniósł wrażenie, że nieco się ochłodziło - a może to tylko jego niepokój? Przez głowę przemknęły mu dziesiątki scenariuszy, jednak najgorszym była konfrontacja z wściekłym Nickiem, który celuje w niego pistoletem i... Oczywiście takie rzeczy się nie zdarzają, uspokojał się Norman.

Wiedział jednak, że się zdarzają. Pół roku wcześniej reżyser



filmowy William Desmond Taylor został zastrzelony w gabinecie swego domu przy ulicy Alvarado w Westland, spokojnej dzielnicy Los Angeles. Morderstwo, które nigdy nie zostało wykryte, zniszczyło kariery zamieszanych w nie gwiazd, Mabel Norman i Mary Miles Minter. Wybuchł skandal na tle narkotyków i nadużyć seksualnych; jeden z sąsiadów zeznał, że po usłyszeniu strzałów widział, jak z mieszkania wychodził mężczyzna, który „szedł jak kobieta”.

Rzeczywistość Hollywood potrafiła być bardziej sensacyjna niż filmowane tam historie.

Kiedy Rod Norman zatrzymał się przed Casa Encantada, słońce właśnie zachodziło, a długie cienie palm kładły się na trawnikach sięgając ogromnego basenu. Podszedł do drzwi frontowych, które otworzyła Edwina. Angielska piękność sprawiała wrażenie opanowanej.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała, kiedy wpuściła go i zamknęła drzwi. - Chodźmy do biblioteki.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał idąc za nią po niebieskich płytkach terakoty, którą był wyłożony hall.

- Mów ciszej. Pani Drummond jest na górze z dziećmi. Nie chcę, żeby wiedziała, że tu jesteś.

Otworzyła drzwi biblioteki i weszła. Był to mały, wygodny pokój, z okrągłym, stiukowanym meksykańskim kominkiem w kącie. Dwoje wysokich przeszklonych drzwi prowadziło na taras; Edwina podeszła do nich i zasunęła ciężkie zasłony z czerwonego aksamitu. Potem zapaliła światło.

- Przepraszam, że zachowuję się tak melodramatycznie, ale pomyślałam, że musisz wiedzieć. Jestem w ciąży. Z tobą. Rod osunął się na skórzaną sofę.

- Ze mną? Po jednym razie? Daj spokój.

- Kochanie, to musisz być ty. Nie spałam z nikim poza Nickiem, a on używa kondomów od urodzin Edwarda, bo na razie nie chcemy więcej dzieci. Więc to musisz być ty.

- Ale... Boże, muszę się napić.

- Naturalnie. Zaraz ci coś przyniosę. Whisky?

- Burbon, ze zwykłą wodą. Czy Nick o tym wie?

W bibliotece stała duża szafa z książkami. Edwina nacisnęła guzik, szafa obróciła się, odsłaniając bar z lustrami.

Przyrządziła Rodowi sporego drinka.

- Tak, powiedziałam mu wczoraj wieczorem. Wpadł w szal, mogę ci zapewnić, że to mna porządnie wstrząsnęło.

- Powiedziałaś mu, że to ja?  
- Och, domyślił się. A mi raczej trudno zaprzeczać, nie sądzisz? Rod jęknął.  
- Dzięki. Teraz mnie zastrzeli.  
- Nie bądź niemądry, kochanie.  
- Niemądry? Sama mówiłaś, że jeśli zacznę cię zaczepiać, rozwali mi łeb!  
- Och, przesadzałam. Masz, wypij to. Wziął szklankę i wychylił do dna.  
- Później trochę się uspokoił - ciągnęła Edwina. - W interesie nas wszystkich leży utrzymanie tego w tajemnicy. Przecież po tych plotkach o scenach miłosnych, gdyby wyszło na jaw, że naprawdę się kochaliśmy, Urząd Haysa dostałby szału.  
- Co w takim razie zrobisz? Aborcję? Edwina zeszywniała.  
- Wykluczone. Nigdy nie zabiłabym własnego dziecka! Nie, Nick i ja postanowiliśmy mieć to dziecko, a on bardzo wspomniał mi się zgodził się wychować je jak własne. Ale nalegałam, żeby ci powiedzieć. To chyba uczciwe. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł czoło.  
- Czy można by tu wpuścić trochę powietrza? - zapytał.  
- Przepraszam. Jest okropnie, prawda?  
Odsunęła zasłony, a potem otworzyła drzwi, wpuszczając do biblioteki lekki wietrzyk.  
- Cóż, cieszę się, że mi powiedziałaś. Chyba się cieszę. Myślę, że to najlepsze wyjście, ale...  
Ktoś zapukał do drzwi.  
- Cholera - mruknęła Edwina. Podeszła do drzwi i uchyliła nieco.  
- Tak?  
Rod usłyszał wysoki angielski głos należący, jak się domyślił, do niańki.  
- Charles znowu kaszle - mówiła. - Zmierzyłam mu temperaturę, ma lekką gorączkę. Czy mam wezwać doktora Traversa?  
- Pójdę go zobaczyć.  
Zamknęła drzwi i szepnęła do Roda.  
- Poczekaj tu. Zaraz wrócę.  
Wyszła z biblioteki. Rod zapalił papierosa, nalał sobie burbona, a potem podszedł do drzwi, by wyrzucić na niebo, na które słońce rzuciło wspaniałą paletę czerwonych i pomarańczowych barw.

Edwina i pani Drummond znajdowały się u szczytu schodów, kiedy usłyszały trzy szybkie strzały. Potem cisza.

- O, mój Boże - krzyknęła Edwina. - Proszę tu zostać - rozkazała niańce, zbiegła ze schodów, minęła hall i otworzyła drzwi biblioteki.

Rod leżał na boku w otwartych drzwiach, tyłem do Edwiny. Podbiegła i uklękła bojąc się go dotknąć.

- Rod...

Nic. Wstała i przeszła przez niego. Teraz widziała krew rozlewającą mu się na koszulę i wypływającą z dziury w głowie.

- Nie żyje - szepnęła do siebie, jakby nie potrafiła pojąć tego faktu. Potem zrozumiała, że morderca mógł stać za nią.

Zesztywniała ze

strachu odwróciła się i wyjrzała na taras. W ostatnim świetle dnia zobaczyła, że jest pusty. Wtedy do głowy przyszła jej potworna myśl: Czy to był Nick?

SPARROW ŚPIEWA (Harriet Sparrow)

*Hollywood, które przeżyło rok szokujących skandali, wstrząsnął kolejny, mogący zaćmić morderstwo reżysera Williama Desmonda Taylora i domniemane zabójstwo połączone z gwałtem dokonany na gwiazdeczce Virginii Rappe przez komika Fatty Arbuckle'a. Amerykański mężczyzna marzeń, Rod Norman, został wczorajszej nocy zastrzelony w domu producenta, Nicka Fleminga, szefa Metropolitan Pictures. Wasza reporterka, zawiadomiona przez zaprzyjaźnioną osobę w policji Los Angeles, przybyła na miejsce zbrodni tuż po wpół do dziesiątej. Casa Encantada, olbrzymia hiszpańska posiadłość Fleminga, roiała się od policjantów i dziennikarzy. Edwina Fleming, piękna angielska żona Nicka, partnerka Roda w głośnym filmie Młodość i ogień znajdowała się na górze w swojej sypialni i nikogo do niej nie dopuszczano. Najwyraźniej Edwina, z niewiadomych przyczyn, poprosiła Roda o spotkanie w Casa Encantada. Znajdowali się na dole w bibliotece, kiedy niańka dzieci wezwała Edwinę na górę. Wtedy właśnie usłyszały trzy strzały. Edwina pospieszyła z powrotem do biblioteki, gdzie znalazła Roda martwego na podłodze. Zabójca musiał czekać na zewnątrz, na tarasie albo w ogrodzie. Jednak jak dotąd nie są znane żadne przesłanki dotyczące jego tożsamości ani motywów tego brutalnego zabójstwa. Nick, który przebywał w studiu z reżyserem Rexem SimDsonem, powiedział mi, że*

*jest całkowicie zaszokowany morderstwem, które wydaje mu się „całkowicie bezsensowne”. Wdowa po Rodzie, uroczą Norma Norman, odmówiła wszelkich komentarzy.*

Ale dlaczego go tu zaprosiłaś? - krzyknął Nick po raz dziesiąty. Policjanci wreszcie się wynieśli, ciało zabrano, fotografowie kryminalni zrobili ostatnie zdjęcia, a Casa Encantada po raz pierwszy od kilku godzin znowu stała się domem, zamiast sceną występów estradowych towarzyszących głównemu przedstawieniu.

Nick i Edwina byli w sypialni - Edwina, zalana łzami, leżała na wielkim łóżku z jedwabną pościelą, a Nick w czerwonym atłasowym szlafroku chodził tam i z powrotem w nogach łóżka. Od pół godziny wymyślał rozhisteryzowanej żonie. Teraz odpowiedziała krzykiem.

- Dlaczego go zabiłeś?

Nick zatrzymał się, wpatrzony w Edwinę.

- Ja? Myślisz, że ja go zabiłem? Byłem o milę stąd w studiu z Rexem Simpsonem!

- Możesz kłamać!

- Zapytaj Rexa! Czemu, do cholery, miałbym zabijać Roda Normana?

- Bo byłeś zazdrosny! - krzyknęła, znowu zalewając się łzami. Edwina, zazwyczaj opanowana i nieskazitelna, znajdowała się w opłakanym stanie: jej twarz gwiazdy filmowej była mokra od łez i opuchnięta, jedno z ramiączek białej atłasowej koszuli nocnej zsunęło się z ramienia; kulila się na środku łóżka jak zaszczute zwierzę.

Nick obszedł łóżko i chwycił żonę za nadgarstek.

- Czy on był twoim kochankiem? - wyszeptał. - Czy miałem powody do zazdrości?

Nie odpowiedziała. Usiadł obok i potrząsnął Edwiną gwałtownie.

- Czy był twoim kochankiem? Cisza.

- Co on tu robił dziś w nocy? - krzyczał nie przestając nią potrząsać.

- Dobrze, powiem ci prawdę.

Odepchnęła go i buntowniczym gestem otarła oczy.

- Poprosiłam go, żeby tu przyszedł, bo chciałam mu powiedzieć, że jestem z nim ciąży.

- O Boże - jęknął Nick. - A więc to prawda...

- Tylko raz! Nick, poszłam z nim do łóżka tylko raz! Przysięgam! Ta namiętność zrodziła się podczas zdjęć. Naprawdę mnie to dziwiło, ale doprowadzał mnie do szału. Cztery czy pięć tygodni temu, kiedy pojechałeś do Santa Barbara, poprosiłam, żeby tu przyszedł. Bał się, że możesz go zastrzelić, ale... on też zapalał do mnie namiętnością. Zrobiliśmy to, i przyznaję, że miałam frajdę, bo był bardzo podobny do ciebie, kochanie, ale nie tak dobry.

- Serdeczne dzięki.

- Naprawdę, Nick. Przynajmniej wyrzuciłam go z siebie.

- Cudzołóstwo brzmi w twoich ustach jak lewatywa.

- Może tak właśnie jest. Ale straszne jest to, że po tym jednym razie zaszłam w ciążę!

- Spodziewasz się, że ci uwierzę?

- To prawda! On mi uwierzył dziś wieczorem, kiedy mu powiedziałam. - Potarła dłońmi skronie. - O Boże, zrobiłam potworną rzecz. Okłamałam ciebie, okłamałam jego...

- Wydawało mi się, że powiedziałaś mu prawdę.

- Pół prawdy. Ale powiedziałam mu, że wiesz, że pozwolisz mi urodzić to dziecko i wychowasz je jak swoje własne.

- Zdumiewasz mnie, Edwino! Dlaczego mu to, do diabła, powiedziałaś?

- Byłam w rozpacz! Bałam się wyznać ci prawdę i chciałam ją najpierw wypróbować na Rodzie... Och, Nick, przebac mi. Wiem, że postąpiłam ohydnie, ale podczas kręcenia filmu znajdowałam się w takim napięciu, tak bardzo chciałam odnieść sukces, bo wiedziałam, że tyle poświęciłeś dla filmu i dla mnie... ale przebac mi, proszę.

- Rozładowałaś napięcie idąc do łóżka z odtwórcą głównej roli?

- Popełniłam błąd! Przyznaję! Nigdy nie twierdziłam, że jestem doskonała. Ale pamiętaj, że praktycznie mnie do tego nakłoniłeś. Wybaczyłbyś mi, gdybyś mnie kochał.

Spojrzał na żonę, a niesmak i gniew walczyły w nim z autentyczną miłością. Dawniej przekonywał siebie, by jej ufać. Teraz zawiodła to zaufanie, zadając mu ból. Hollywood stawało się miastem, gdzie cudzołóstwo wchodziło do kanonu życia, ale Nick miał staromodny stosunek do małżeństwa - jego żona musi być inna, jego żona musi mówić prawdę. Wiedział, że jej przebaczy; praktycznie rzecz biorąc, nie miał wielkiego wyboru. Gdyby powstała przepaść między nim

a Edwiną, prasa i wszyscy inni uznaliby, że była kochanką Roda. Ale już nigdy nie mógł do niej czuć tego co dawniej.

- Dobrze, przebaczam ci - powiedział.

- Och, Nick, kochanie.

Poczołgała się po pościeli, padła mu w ramiona i zaczęła go całować. Odsunął ją na długość ręki.

- Co z dzieckiem? - zapytał.

- Możemy je mieć, prawda? Teraz, kiedy Rod nie żyje, nikt się nie dowie...

- Chyba tak. To szaleństwo, ale nie widzę innego wyjścia. -Przypomniął sobie swego pierwszego syna, którego Diana się pozbyła, gorycz i gniew, jakie wtedy czuł. Nigdy by się nie zgodził na kolejną aborcję, nawet jeśli dziecko nie było jego. Edwina je urodzi, a on wychowa jak własne.

- Nikt nie może wiedzieć, że dziecko nie jest nasze - powiedział. -To ja będę ojcem, nie Rod. Zgoda?

- Ale co z dzieckiem? Kiedyś będziemy musieli mu czy jej powiedzieć, prawda?

- Nie - odparł, zacisnął usta, a mięśnie podbródka zagrały pod skórą. Przypomniął sobie matkę, swoje przerażenie i wstyd, kiedy dowiedział się, że jest bękartem. Jeśli mieli prowadzić tę grę, był zdecydowany nigdy nie narazić dziecka na to, przez co sam przeszedł. Rodzina Flemingów musi sprawiać dla reszty świata wrażenie pogodnie zjednoczonej, wolnej od choćby cienia skandalu. W dzieciństwie Nick nigdy nie zaznał rodzinnego bezpieczeństwa. Teraz wymusi je na swojej rodzinie, jeśli okaże się to konieczne, przy użyciu siły woli.

Edwina nie mogła się targować.

- Zgoda - powiedziała niemal potulnie i znowu go pocałowała.

- Ale... - Chciał coś powiedzieć, jednak zamilkł.

- Ale co?

- Kto w takim razie zabił Roda Normana? I dlaczego? Wysunęła się z jego ramion i poprawiła.

- Myślisz, że to Norma? - spytała.

SPARROW ŚPIEWA (Harriet Sparrow)

*Cale Hollywood oplakiwało dzisiaj Roda Normana. Tysiące wielbicieli wyległo na Hollywood Boulevard, by pożegnać wielkiego*

*amanta filmowego; wiele osób nie kryło łez, co stanowi chyba największy dowód uznania dla zmarłego gwiazdora. Wielkie osobistości świata filmu przybyły do kościoła Dell, by złożyć hołd Rodowi, którego zabójstwo dokonane trzy dni temu wciąż stanowi zagadkę dla policji. Przyszedł Charlie Chaplin, Doug i Mary, Gloria Swanson, Anna Q. Nibson, Rudi Valentino, Constance Talmadge, Rod La Rocque, Nazimova, Pola Negri - wszyscy smutni, przygnębieni śmiercią która uderzyła nagle w jedną z największych sław filmowej stolicy. Wdowa po Rodzie, urocza i utalentowana projektantka, Norma Norman, wysiadła z limuzyny, skrywając potworny żal pod czarną woalką wszyscy byli pełni podziwu dla jej wspaniałego opanowania. Przybyli Nick i Edwina Flemingowie, poważni i smutni. Och, ileż bym dała za możliwość czytania w ich myślach! Młodość i ogień przejdzie do historii jako ostatni film Roda. Nick i urocza arystokratka, Edwina, muszą się teraz zastanawiać także nad tym, w jaki sposób widzowie zareagują na film, na którym położył się cień rzeczywistej tragedii.*

*Cudny mały kościółek Dell wypełnił się kwiatami - ostatni hołd dla człowieka, który uosabiał tyle romantycznych marzeń. A tam, przed ołtarzem, w gustownej białej trumnie spoczywał sam „mężczyzna marzeń”. Spojrzałam po raz ostatni na Roda. Jak przystojnie wyglądał w pięknie skrojonym granatowym garniturze! Pogodzony ze śmiercią, złożył ręce na małej Biblii. Jego przystojna, męska twarz (otwór po kuli został umiejętnie zamaskowany przez ludzi z zakładu pogrzebowego) pogrążona w wiecznym śnie wyglądała pięknie. Przypominając sobie te cudowne godziny, które dał nam w filmach, nie mogłam powstrzymać łez.*

*Słońce świeciło ciepło na lazurowym niebie, jak gdyby Bóg przyjmował na swój firmament nową gwiazdę...*

### ***Rozdział siedemnasty***

Runęli ze wzgórz Anatolii jak grom. W sierpniu 1922 roku nastąpił wreszcie długo oczekiwany atak kemalistów na armię grecką. Podobnie jak Kutuzow, błyskotliwy rosyjski dowódca podczas wojen napoleońskich, Mustafa Kemal Pasza wiedział, że jednym z największych sprzymierzeńców jest czas. Czekał, aż żołnierze greccy znudzą się i stracą ducha walki. Kemalowi niemało pomógł dowódca Greków, pulchny, szykowny generał Hadżanesti. Podczas gdy jego ludzie cierpieli w Uszak z zimna, upału, kurzu, niskich racji żywności i stęchłej wody, generał przesiadywał w kafejkach Smyrny upijając się do nieprzytomności. Pewnego razu, przekonany, że jest ze szkła, położył się do łóżka na dwadzieścia cztery godziny, pewien, że jeśli wstanie, stłuką mu się nogi. Nic więc dziwnego, że przy takim nieudolnym dowództwie armia grecka znajdowała się w stanie postępującej demoralizacji. Kiedy ujrzeli schodzących z gór Turków, rozpierchli się, zostawiając broń i amunicję.

Kemal nie dał im szansy na przegrupowanie się. Osobiście prowadząc swe oddziały, galopował tam i z powrotem przed szeregami krzycząc:

- Do Morza Śródziemnego! - Aż ochrypł. Metoda poskutkowała. W zmęczonych Turków wstąpił nowy duch. W ciągu dziesięciu dni odwrót Greków zmienił się w pogrom. Z Uszak, gdzie znajdowali się Grecy, do Smyrny i morza jest dwieście pięćdziesiąt kilometrów, ale już po ośmiu dniach uciekający Grecy dotarli do śródziemnomorskiego portu. Zostawiali za sobą szlak śmierci, ponieważ greccy żołnierze mścili się mordując wszystkich napotkanych tureckich wieśniaków. Turcy nie pozostawiali dłużni. Kemal widział na własne oczy greckiego żołnierza ukrzyżowanego na drewnianych drzwiach



chaty; dłonie przebito mu żelaznymi ćwiekami, w brzuchu tkwił bagnet, a twarz pocięto tak, że była nie do rozpoznania. Był to odrażający widok, ale Kemal powiedział do pułkownika Arifa:

- Dobrze. Martwy wróg zawsze pachnie słodko.

Spiął konia ostrogami i kontynuował galop ku morzu.

Za armią turecką w starym odkrytym Benzú Kemala, prowadzonym przez pewnego sierżanta, jechały dwie kobiety Ghaziego, jak je nazywali żołnierze: piękna, ciemnowłosa Fikriye w nieodłącznej czerni i Diana Ramschild o włosach koloru miodu, która występowała na wojnie w butach od Hermesa, bryczesach od Millera, białej, rozpiętej pod szyją bluzce od Saksa i białym hełmie tropikalnym kupionym u Henry Heatha na Oxford Street w Londynie. Diana bawiła się jak nigdy w życiu. Z więcej niż jednego powodu uważała tę wojnę za swoją - po pierwsze dlatego, że Turcy używali dziesięciu tysięcy karabinów Ramschilda, które sprzedała Kemalowi; dostarczono je do Bejrutu, a następnie przemycono do południowej Turcji na kutrach rybackich. Tylko ta jedna transakcja podniosła kurs akcji Ramschilda o pięć punktów.

Jednak drugim, dla Diany ważniejszym powodem, była jej miłość do Kemala, jej *janum*, jej duszy. Zwycięstwa Turka były jej zwycięstwami. Pomimo skwaru i kurzu, przerażającego smrodu palonych i gnijących ciał, upiornych widoków okaleczonych trupów, generał Kemal elektryzował Dianę w nie mniejszym stopniu niż swoje oddziały. Obudził w niej zdolność do podziwiania bohatera wojennego, o którą się nie podejrzewała. Mimo iż wojna w naturalny sposób ograniczała czas, jaki mógł poświęcać swoim kobietom (ślubował też nie dotykać alkoholu do czasu odzyskania Smyrny, co dla człowieka zaglądnącego do kieliszka tak często jak Kemal było nie małym wyczynem), Diana z zadowoleniem przyjęła los fanki, jak siebie nazywała. Myślała z rozbawieniem, że niewiele absolwentek Vassar prowadzi równie awanturnicze życie jak ona. To było coś zgoła innego niż los gospodyni domowej w Connecticut czy nawet dyrektorki Ramschilda; uwielbiała każdą chwilę tego życia. Bezwzględny cynizm Kemala, sposób, w jaki redukował złożoności życia do dominacji silniejszych nad słabszymi, drastycznie odmieniły moralność Diany. Zgodnie z tym, co powiedział Kemal, oboje byli zabójcami.

Jej zdziwienie budziła Fikriye. Początkowo sądziła, że kobieta mówi tylko po turecku. Okazało się jednak, że Fikriye zna trochę francuski, a jej dotychczasowe milczenie wynikało raczej z nie-

śmiałości niż trudności językowych. Po drugie, Diana zakładała, że Turczynka ma wszelkie powody ku temu, by czuć do niej żal, jeśli nie nienawiść, za dzielenie łoża z Kemalem. Kiedy jednak Diana wróciła do willi na dwa dni przed rozpoczęciem kampanii, Fikriye po raz pierwszy zwróciła się do niej po francusku i okazało się, że ta milcząca tajemnicza kobieta jest pomocną przyjaciółką. Początkowo zdumiewało to Dianę, ponieważ wyczuła, że Fikriye pała do Kemala nie mniejszą namiętnością niż ona. Z czasem zaczęła rozumieć. Fikriye akceptowała romanse Kemala. Kemal zdejmował zasłony z twarzy tureckich kobiet i próbował poprawić ich położenie, ale instytucja haremu nadal była dla wielu Turków oczywistością. Diana pomyślała z rozbawieniem, że Fikriye uważa siebie i ją za członkinie haremu Kemala.

Mieszkali w drodze. Co noc pułkownik Arif zajmował dom wiejski lub willę dla Ghaziego i jego świty. Diana sypiała na siennikach, a pewnej nocy dzieliła oborę z dwiema krowami i nietoperzem. Zazwyczaj nie było bieżącej wody; największym luksusem, na jaki mogła liczyć, była studnia. Mimo prymitywnych warunków nie narzekała. Przebywanie z Ghazim z nawiązką kompensowało niewygody.

Prowadził wyczerpujący tryb życia, ale jakieś ukryte zapasy energii psychicznej pozwalały mu funkcjonować. Można by sądzić, że wiedział, że są to najwspanialsze dni jego życia. W pierwszym tygodniu kampanii prawie nie rozmawiał z Dianą ani Fikriye, podczas kolacji skupiając się w rozmowie na kwestiach natury wojskowej. Jednak ósmego wieczoru, kiedy zbliżali się do Smyrny, po kolacji odesłał od stołu wszystkich z wyjątkiem Diany. Zatrzymali się na noc w willi sprzedawcy dywanów pod Sardis. Przyjemny chłodny dom miał odkrytą werandę i największy luksus: starą cynkową wannę. Fikriye i Diana wykapały się po kolei szorując sobie nawzajem plecy. Chichotały przy tym i żartowały; kąpiel działała na nie jak szampan. Diana założyła czystą sukienkę i starannie umalowała twarz, jakby przewidując, że Ghazi może zechcieć spędzić z nią noc. Nie wiedziała, ani też nie dbała o to, czy jej intuicja okazała się słuszna, czy też cuda działała sukienka, która po raz pierwszy od tygodnia zajęła miejsce bryczesów. Wreszcie znalazła się sama ze swoim *janum*.

- Pięknie dziś wyglądasz, *Hanim Effendi* - powiedział, używając tureckiego zwrotu, jakim się czasem posługiwał.

- Fikriye i ja znalazłyśmy wannę - odparła z uśmiechem. - Pierwsza kąpiel od tygodni! To było rozkoszne.

- Wiem, że było ci ciężko. To musi być szczególnie trudne dla Amerykanki przyzwyczajonej do luksusu. Ale nie jesteś nieszczęśliwa?

- Wprost przeciwnie, nigdy nie czułam się szczęśliwsza. Myślę, że gdybym się urodziła mężczyzną, zostałabym żołnierzem, jak ty. A jeśli się nie mylę, ty chyba też nigdy nie byłeś szczęśliwszy.

Uśmiechnął się, a Diana syciła oczy jego jasnowłosą urodą.

- Jesteś mądrą kobietą, moja Diano. Chodź, muszę ci pokazać coś pięknego.

Wstał i obszedł drewniany stół, by odsunąć jej krzesło. Kiedy wstała, Kemal objął ją i pocałował.

- Kochany - szepnęła. - Tak za tobą tęskniłam.

- Dziś w nocy będziemy się kochać. Ale najpierw musisz zobaczyć część tego, o co walczę.

Wyprowadził ją z niskiej jadalni, przeszli przez salon pełen tanich i odpychająco brzydkich wiktoriańskich mebli na werandę, gdzie Fikriye, Arif i pół tuzina najwyższych oficerów Kemala odpoczywali i palili. Kemal zaprowadził ją do rdzewiejącego Benza i otworzył drzwiczki.

- To niedaleko stąd - powiedział, kiedy wsiadła. Kemal usiadł za kierownicą. Kluczyki tkwiły w stacyjce - żaden normalny Turek nie odważyłby się ukraść samochodu Ghaziego - zapalił i ruszył. Był chłodny wieczór, księżyc prawie w pełni, a gwiazdy lśniły jasno w przejrzystym powietrzu Anatolii.

- Spójrz na Drogę Mleczną. - Wskazała na niebo. - Czyż nie jest piękna?

- Jak twoja skóra, moja Diano - odparł z uśmiechem. Niewielu mężczyznom mógł ujść na sucho tak wyświechtany komplement. W ustach Mustafy Kemala Paszy, który wypowiedział go swoim cichym, niskim głosem, zabrzmiał czarownie.

Dwadzieścia minut później zatrzymał Benza przed ruinami greckiej świątyni Artemidy w Sardis. Potrzaskane marmurowe kolumny lśniły w blasku księżyca szczególnie tajemniczo.

- Oto dlaczego Grecy uważają, że ta część Anatolii należy do nich - oświadczył wysiadając z samochodu i przechodząc na stronę Diany. - Kiedy w trzecim wieku przed naszą erą wzniesli tę świątynię dla Artemidy, ta ziemia stanowiła część imperium grec-

kiego. Ale to równie śmieszne, jak pan Mussolini, który twierdzi, że Anatolia należy do Włoch, bo należała do imperium rzymskiego, albo że Anglia należy do Włoch, bo należała do imperium rzymskiego. Nie, Grecy może i zbudowali tę świątynię, ale dzisiaj stanowi ona część dziedzictwa tureckiego. Chciałem, żebyś ją zobaczyła. Pomógł jej wysiąść z samochodu i przez następne pół godziny oprowadzał po rozświetlonych księżycem ruinach, zdumiewając Dianę swoją wiedzą na temat historii starożytnej i greckiej architektury. Kiedy stanął, by zapalić papierosa, powiedziała:

- Zaskakujesz mnie coraz bardziej z każdą minutą, którą z tobą spędzam.

- Dlaczego? - spytał, wydmuchując dym. - Ponieważ mogę zabijać ludzi z zimną krwią, a jednocześnie doceniać piękno?

- Tak, coś w tym rodzaju.

- W każdym człowieku znajduje się wielu ludzi, przynajmniej w każdym interesującym człowieku. We mnie jest nawet trochę z kobiety. Czasami czuję się bardziej kobietą niż mężczyzną. Kochałem się z chłopcami. Czy to cię odpycha?

- To mnie fascynuje.

- Ale kiedy jestem z tobą, *janum*, jestem w pełni mężczyzną. Upuścił papierosa na mozaikową posadzkę, przydeptał butem, objął Dianę i pocałował.

### ***Rozdział osiemnasty***

Następny ranek przyniósł nowiny, na które Kemal czekał. Walka była skończona. Generał Hadżanesti z grupą najbliższych oficerów dał drapaka do Aten, bezlitośnie pozostawiając swych żołnierzy na łasce wroga. W starodawnej dzielnicy greckiej Turcy zaczęli mordować i łupić. Nadszedł czas dla Kemala by wejść triumfalnie do Smyrny, zdobywając poklask rodaków i świata.

Rozsadzała go radość. Pobiegł na piętro willi i wpadł do sypialni Diany. Siedziała w łóżku czytając londyńskiego „Timesa” sprzed trzech dni, którego kurier dostarczył ze Smyrny.

- Stało się! - wykrzyknął Kemal podchodząc do łóżka i siadając. W podnieceni nie zdjął nawet z głowy kołpaka z ciemnoszarej wełny. - Już po Grekach! Jutro rano jadę do Smyrny.

Jeszcze kilka minut wcześniej ta wiadomość wprawiłaby Dianę w zachwyt. Teraz czuła się tak oziębiała z szoku, że musiała się zmusić do okazania entuzjazmu.

- To cudownie, kochanie...

Kemal był zbyt podekscytowany, by cokolwiek zauważyć.

- Ty i Fikriye zostaniecie tutaj, póki nie założę tam kwatery. Przez kilka dni w Smyrnie będzie niebezpiecznie, już się zaczęło plądrowanie, dlatego będę spokojniejszy, kiedy zostaniesz tu, w bezpiecznym miejscu. Ale kiedy miasto znajdzie się pod kontrolą, zawiozę cię tam i urządzimy największe święto w historii Turcji! I przyrzekam ci uroczyście: upiję się jak angielski lord! - zapewnił z szerokim uśmiechem i uścisnął Dianę. - Moja piękna Amerykanka zostanie królową Smyrny!

- Kemal - szepnęła mu na ucho. - Właśnie przeczytałam coś w „Timesie”, co sprawiło, że umieram z niepokoju.

Wypuścił Dianę z objęć i spojrzał na nią uważnie.

- Co takiego?

- Cztery dni temu w Hollywood zamordowano amerykańskiego aktora filmowego, Roda Normana.

- No więc?

- Został zastrzelony w bibliotece Nicka Fleminga. On był podobny do Nicka.

- No więc? - Kemal marszczył czoło.

- Mam okropne przeczucie, że Łysy Ali zamordował niewłaściwego człowieka.

Kemal patrzył na nią przez chwilę, potem odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem bijąc się po udach.

- To nie jest śmieszne! - krzyknęła.

- Ależ jest! To najzabawniejsza rzecz, jaką słyszałem! Łysy Ali, ten tłusty drań, kazał zabić nie tego człowieka, co trzeba! To wspaniałe! Nie martw się, zabije Fleminga, bez względu na to, ile czasu mu to zajmie. Musi. Stawką jest jego reputacja zawodowa.

Diana poczuła do niego obrzydzenie.

- Zabiłam niewinnego człowieka! - krzyknęła gniewnie. - Nie sądzisz, że mam to na sumieniu? To twoja wina! To ty mnie namówiłeś!

Natychmiast zrozumiała, że popełniła fatalny błąd. Uśmiech zniknął z jego twarzy, a w oczach zapłonął najstraszniejszy gniew, jaki widziała w życiu. Wymierzył jej tak silny policzek, że upadła na poduszki.

- Dziwka! - wrzasnął. - Nie obwiniaj mnie za swoją zbrodnię! - Uderzył ją znowu. - Mustafa Kemal nie ma sumienia, a ci, których obdarza swoimi łaskami, mają mu sprawiać przyjemność, a nie oskarżać! Jak śmiesz, ty arogancka wywłoko?! Mam ochotę wyprowadzić cię przed dom i zastrzelić! Potem powiem ambasadzie amerykańskiej i światu, że Mustafa Kemal wymierzył sprawiedliwość ludu dziwce, która handlowała bronią i wynajęła zabójcę, żeby zamordować tego aktora, jak mu tam było!

Wstał oddychając ciężko, wciąż piorunując Dianę wzrokiem.

- Dziwka - powtórzył z pogardą, odwrócił się i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Potykaç się wstała z łóżka, podeszła do małego drewnianego stołu i zwymiotowała do porcelanowej miski.

Smyrna należała do najszcześniejszych miast Azji Mniejszej. Cieszyła się balsamicznym klimatem i cudowną zatoką w kształcie półksiężyca, nad którą wznosiły się rzędy imponujących piętrowych domów; za miastem znajdowało się żyzne zaplecze pełne drzew uginających się od owoców, przepojone aromatem migdałowców, mimozy i oleandrów. Miasto zamieszkiwali w odrębnych dzielnicach bogaci Turcy, Żydzi, Grecy, Ormianie i pozostali Europejczycy, odziani w swe narodowe stroje mieszały się na ulicach, sprawiając wrażenie nie kończącego się korowodu przebierańców. Port, którego obroty handlowe przekraczały obroty Konstantynopola, słynął z hazardu, pięknych kobiet, domów na łodziach, złota, wyścigów, klubów i restauracji. Większość mieszkańców Smyrny władała płynnie trzema lub czterema językami.

Jednak w niedzielny poranek 10 września 1922 roku na miasto padł blady strach. Od wielu dni wśród Greków i Ormian mówiło się, że Turcy nadchodzą. Teraz Turcy przyszli, a ich osławione okrucieństwo sprawiło, że mieszkańcy dzielnic greckiej i ormiańskiej pakowali dobytek. Piękna zatoka zarojła się od statków: towarowych, pasażerskich, wiosłowych łódek i dwudziestu dwóch okrętów wojennych. Dwa brytyjskie okręty wojenne, trzy amerykańskie niszczyciele, trzy francuskie ścigacze oraz włoski ścigacz i niszczyciel mieszały się z innymi pomniejszych jednostkami wojennymi. Ta armada czterech mocarstw miała za zadanie strzec bezpieczeństwa swoich obywateli. Na tym jednak kończyły się jej obowiązki; uzgodniono, że obce kraje nie będą interweniować w konflikcie, który uznano za wewnętrzny problem Turcji. Nie ulegało jednak wątpliwości, że tego poranka uwaga świata była zwrócona na Smyrnę.

Mustafa Kemal wjechał do miasta odkrytym francuskim samochodem i został powitany jak bohater przez rozwrzeszczanych Turków. Ghazi rozsyłał uśmiechy, machał ręką i, folgując zamiłowaniom dramatycznym, zdezorientował wszystkich, nie przypinając do munduru żadnych insygniów. Pierwszego dnia nie robił nic. Wieczorem poszedł do najlepszego hotelu, by wypić swoją pierwszą rakiję od rozpoczęcia kampanii przed dwoma tygodniami. Ku rozbawieniu wszystkich główny kelner, który go nie poznał, powiedział mu, że nie ma wolnych miejsc. Kemal zwrócił się do stolika nerwowych Greków, którzy go poznali.

- Czy król Konstantyn przyszedł tu kiedykolwiek na kieliszek rakiji?

Odpowiedzieli, że nie.

- Po co w takim razie zawracał sobie głowę zajmowaniem Smyrny? - zapytał, a wszyscy się roześmiali.

W mieście rozeszły się pogłoski, że Mustafa Kemal Pasza może nie jest takim potworem, jak się obawiano.

Diana Ramschild oparła się na balustradzie werandy willi pod Sardis i apatycznie spojrzała na podłogę. Była w prostej białej sukience i biało-brązowych butach. Nie miała kapelusza, a miodowe włosy prosiły się o uczesanie.

- On potrafi się tak zachowywać - powiedziała Fikriye siedząca w pobliżu na drewnianym krześle. Był wtorkowy wieczór, a willa prawie opustoszała; obie kobiety czekały na wiadomość od Kema-la. - Potrafi być czuły i kochający, a zaraz potem potwornie okrutny. W jednej chwili miłość może do niego przyjść i go opuścić.

- Postąpiłam głupio - stwierdziła cicho Diana. - Chyba zasłużyłam na to, co mi powiedział. Gdybym miała trochę rozsądku, wróciłabym do domu.

- Ale nie masz rozsądku, bo go kochasz.

- Tak, kocham go. - Westchnęła. - Zaczynam przypuszczać, że nie jestem zbyt dobra w miłości.

- Ja też go kocham - powiedziała cicho Fikriye.

Diana popatrzyła na Turczynkę i poczuła ukłucie winy. Nigdy nie myślała o uczuciach Fikriye. Szczerze mówiąc, nie sądziła, że Turczynki mają uczucia, które można zranić.

- Żal mi i siebie, i ciebie - powiedziała.

Na podjeździe pojawił się samochód, który zaparkował przed willą. Wysiadł pułkownik Arif i szybkim krokiem wszedł na schody. Skinąwszy głową Dianie, zwrócił się do Fikriye po turecku.

Fikriye wstała z uśmiechem.

- Przysłał po nas - powiedziała. - Arif zawiezie nas do Smyrny. Trzy godziny później stanęli przed piękną białą willą w zamożnej

części miasta na wzgórzach. Diana i Fikriye wysiadły z samochodu, a Arif dał znak jednemu z licznych strażników. by wyładował ich



bagażę. Mimo że zbliżała się północ, cała willa była rozświetlona. Diana weszła za Fikriye na werandę, zatrzymując się, by poprawić makijaż w lusterku złotej puderniczki.

- Może już za późno, ale przynajmniej mogę wyglądać dobrze podczas egzekucji - powiedziała z goryczą do Fikriye. Fikriye najwyraźniej nie zrozumiała dowcipu.

Weszły do willi pełnej francuskich antyków. W dużym salonie z pięknym widokiem na zatokę Kemal siedział przy biurku czytając telegram i pałac. Rozpięty mundur odsłaniał gładką, nagą pierś. Podniósł wzrok na kobiety i po turecku warknął rozkaz do Fikriye. Kiedy wyszła, spojrzał na Dianę z kamienną twarzą. Mimo że dotąd robił wszystko, by odnosić się do niej z najwyższą kurtuazją, teraz spostrzegła, że nie wstał.

- Myślę o ożenku - powiedział. - Czy to cię dziwi?

- Zależy, z kim się chcesz ożenić.

- Ma na imię Latifeh. Jest córką właściciela tej willi, bogatego armatora, który przebywa z żoną w Biarritz. Latifeh jest piękna, jest patriotką wykształconą w Europie. Byłaby dla mnie odpowiednią żoną.

- Gratuluję - powiedziała Diana nakazując sobie nie okazywać emocji. Wiedziała, że Kemal robi wszystko, żeby ją zranić.

Podniósł garść depeesz.

- Otrzymałem depeesze z gratulacjami z całego świata, więc raczej mogę się obejść bez twoich. Prezydent Francji, kanclerz Niemiec, Alfonso król Hiszpanii, Mussolini, nawet twój prezydent Harding. Wiedzą, że Turcja powstała z popiołów klęski. Wiedzą, że jestem człowiekiem, z którym trzeba się liczyć, wielkim człowiekiem.

- Czy sam też wysłałeś telegram do siebie?

Z lekkim uśmiechem odłożył depeesze na biurko.

- Bronisz się humorem, rozumiem, że to cecha jankeska. Ponieważ jest późno, możesz tu zostać na noc. Od jutra zarezerwowałem ci pokój w Cercle d'Orient, najbardziej ekskluzywnym klubie w mieście. W czwartek francuski statek pasażerski *Ville de Paris* płynie do Marsylii, zarezerwowałem ci kabinę. Będziesz gościem nowego rządu tureckiego, który pokrył wszystkie koszty. Miło mi było panią poznać, *mademoiselle*. Dobranoc.

Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce.

- To wszystko? - spytała.

- Co można jeszcze powiedzieć?

- Byłeś moim *janum* - powiedziała cicho.

Milczał przez chwilę przyglądając się Dianie tymi niezwykłymi niebieskimi oczami.

- Obawiam się, że nie jestem zdolny do wierności czy miłości romantycznej, takiej, o której się czyta w powieściach.

- Co w takim razie we mnie widziałeś? Zapalił kolejnego papierosa i wypuścił dym.

- Nigdy wcześniej nie kochałem się z Amerykanką. To było ciekawe doświadczenie, za które ci dziękuję.

- Ty zimny sukinsynu - wycedziła. - Zal mi Turcji. Patrzył, jak wychodzi z pokoju.

Diana była wściekła. Po raz drugi w życiu zakochała się w mężczyźnie, którą ją zdradził i poniżył. W hallu przed salonem jej wzrok padł na wiszący na ścianie stary turecki miecz. Sięgnęła po niego z zamiarem powrotu i zabicia Kemala. Czemu nie? Czy nie uczył jej, że życie jest tanie? Czy nie namówił jej do wynajęcia Łysego Alego, by zabił Nicka? Wtedy jednak spostrzegła jednego ze strażników, który przyglądał się jej z końca hallu; zrozumiała, że nawet gdyby udało jej się zabić Kemala, Oguzi nigdy nie wypuściliby jej z willi żywej.

Nie, zapanuj nad uczuciami, bo inaczej one zawładną tobą, mówiła sobie idąc na górę po schodach. Mimo to większą część nocy spędziła na wypłakiwaniu swego *janum* z serca.

rvano zawieziono ją do Cercle d'Orient otoczonego białym stiukowanym murem dwumetrowej wysokości. Klub znajdował się w dzielnicy europejskiej, niedaleko konsulatu francuskiego, i stanowił oazę luksusu i wyśmienitego jedzenia; był tam basen, kort tenisowy i kasyno. Właściciel, elegancki Francuz, M. Duval, przywitał Dianę z niemal przesadną grzecznością.

- Jest pani gościem Mustafy Kemala - mówił prowadząc ją do apartamentu na piętrze. - Jesteśmy zaszczytzeni, *mademoiselle*.

Diana nie odpowiedziała; jej opinia na temat Mustafy Kemala różniła się radykalnie od opinii M. Duvala.

Apartament był przestronny i elegancki, z białymi wiklinowymi meblami. Dwa wentylatory szumiały leniwie na suficie, a z balkonu rozciągał się widok

na basen. Kiedy bagażowi przynieśli dwie walizki Diany, M. Duval powiedział:

- Gorąco radzę nie opuszczać dziś terenu klubu, *mademoiselle*. Tu jesteśmy bezpieczni. Mamy mur i własnych strażników. Na ulicach jest jednak niebezpiecznie. Z żalem muszę powiedzieć, że Turcy zachowują się okropnie. Mustafa Kemal zarządził karę śmierci dla każdego tureckiego żołnierza, który skrzywdzi Greka czy Ormianina, ale dziś rano tuż po drugiej stronie ulicy widziałem, jak dwaj oficerowie napadli na jakiegoś kupca. Najwyraźniej Turcy nic sobie nie robią z rozkazów Ghaziego.

- Ghazi, *monsieur* Duval, jest człowiekiem zasługującym na najwyższą pogardę.

Francuz wyglądał na zaskoczonego.

- W każdym razie, *mademoiselle*, słyszy się wiele przykrych opowieści. Nie chcę pani straszyć, ale proszę nie opuszczać klubu.

- Dziękuję, *monsieur* - odparła Diana. - Nie zamierzam wybierać się nigdzie indziej niż do domu.

**Dzielnica turecka** znajdowała się w najdalej na południe wysuniętej części Smyrny, w pobliżu góry Pagus. Dalej, posuwając się na północ, znajdowały się dzielnice żydowska, ormiańska, grecka i wreszcie europejska. Wszyscy w Smyrnie wiedzieli, że codziennie między południem a godziną drugą zrywa się lokalny wiatr zwany imbat, wiejący z południowego zachodu na północny wschód. Niedługo po południu, w środę 13 września 1922 roku, na południowych obrzeżach dzielnicy ormiańskiej wybuchły jednocześnie cztery pożary. Imbat dostarczył płomieniom tlenu, pędząc ogień na północ ku dzielnicy greckiej, z dala od tureckiej. Dalsze pożary wybuchały szybko, wszystkie na północ od dzielnicy tureckiej. O drugiej po południu dzielnica ormiańska zamieniła się w piekło.

Diana, która jadła lunch przy basenie, pół mili na północ od pożarów, zauważyła w oddali wznoszący się w niebo dym i spytała kelnera, co to takiego.

- Mówią, że w dzielnicy ormiańskiej wybuchły pożary, *mademoiselle* - odparł, dolewając jej do kieliszka wysmienitego tureckiego różowego wina. - Mówią, że to Turcy podłożyli ogień, żeby pozabijać wszystkich Ormian i Greków. Wcale bym się nie dziwił.

- Czy nikt ich nie powstrzyma? - spytała Diana z przerażeniem. -Gdzie jest straż pożarna?

- Straż pożarna jest turecka, *mademoiselle* - odparł z uśmiechem kelner wzruszając ramionami. Odłożył butelkę do kubelka z lodem i podszedł do następnego stolika, przy którym konsul francuski z żoną pili Vichy.

Zaniepokojona Diana ponownie skupiła uwagę na lunchu. Teren wokół basenu był niemal wypełniony elegancko ubranymi Europejczykami. Scena nie mogła wyglądać normalniej.

Jednak piętnaście minut później, kiedy Diana piła kawę po turecku, pojawił się M. Duval. Wyglądał na zdenerwowanego. Podszedł do konsula francuskiego i szepnął mu coś na ucho. Konsul z niespokojnym wyrazem twarzy poprosił kelnera o rachunek.

drugiej trzydziści, przygotowując się do mycia włosów w łazience, Diana poczuła dym. Wybiegła na balkon i ujrzała dym unoszący się nad basenem. Stiukowany mur nie był w stanie go zatrzymać.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wróciła do łazienki, założyła szlafrok i otworzyła. W progu stał zaniepokojony M. Duval.

- Niestety musimy prosić wszystkich o opuszczenie klubu, *mademoiselle*. Wiatr przesuwają pożar w naszą stronę.

- Ale dokąd mam iść?

- Mustafa Kemal przysłał po panią samochód. Czeka na dziedzińcu. Czy mam przysłać bagażowych, powiedzmy za dziesięć minut?

- Tak, dziesięć minut...

M. Duval skłonił się i odszedł pośpiesznie.

Lażki, czarny francuski samochód ozdabiały dwie małe tureckie flagi na przednich zderzakach. Należał do miejscowego tureckiego gubernatora, ale został przejęty przez Kemala. Kiedy bagażowi umocowali dwie walizki Diany na tylnym bagażniku, podziękowała Duvalowi, który nerwowo pocałował ją w rękę, po czym zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

W środku czekała na nią Fikrive: jej piękna twarz była posepna.

a duże brązowe oczy, zazwyczaj łagodne, teraz patrzyły z dziwną surowością. Dianę zdumiał jej widok.

- Kemal Pasza poprosił mnie, żebym odwiozła cię do doków - powiedziała, kiedy szofer-żołnierz ruszył, okrążając podjazd, do bramy z kutego żelaza. - Powiedział, że na statku będziesz bezpieczniejsza. Łódź motorowa czeka, żeby cię zawieźć na *Ville de Paris*.

- Fikriye, dlaczego on nie ugasi pożaru? Całe miasto może spłonąć!

- Kemal Pasza mówi, że ten pożar to oczyszczenie. Oczyszczi Smyrnę z zagranicznych świni.

Diana była zaszokowana. Dotąd sądziła, że Fikriye jest całkowicie apolityczna.

- Ale zginą ludzie! Podczas lunchu słyszałam, że tureccy żołnierze grabią... Bez względu na swoje wady, a ja o nich dobrze wiem, Kemal nie zechce przecież zaczynać sprawowania władzy od masakry!

Fikriye spiorunowała Dianę wzrokiem.

- Co ty wiesz o Turcji? Jak śmiesz nam mówić, jak mamy rządzić swoim krajem? Przyjechałeś tu, żeby zarobić na sprzedaży karabinów mojemu Paszy, potem kochałeś się z moim Paszą, a teraz śmiesz go krytykować! Wracaj do Ameryki i zostaw nas w spokoju.

Ten gniewny wybuch odebrał Dianie zdolność mowy. Czy po raz pierwszy widziała prawdziwą Fikriye, kobietę, która mimo że udawała przyjaźń, przez cały czas nią gardziła? To gadanie o „moim Paszy” dawało wiele do myślenia.

Samochód minął żelazną bramę Cercle d'Orient, a Diana zaczęła dostrzegać, co się dzieje na zewnątrz oazy luksusu. Sklep naprzeciwko bramy został nie tylko splądrowany, ale i zdemolowany. Był to sklep z towarami żelaznymi, ale szyba ze zbrojonego szkła została rozbita, a młotki i śrubokręty powyrzucano na ulicę. Ulica była pusta, z wyjątkiem obdartego chłopca, który sikał na ceglana ścianę. Kiedy ujrzął samochód wyjeżdżający z Cercle d'Orienté, prawdopodobnie przerażony widokiem tureckich flag na zderzakach, puścił się pędem chodnikiem i zniknął za rogiem. Diana widziała jednak przez przednią szybę, że przecznica prowadząca do doków i zatoki jest pełna ludzi. Kiedy samochód dotarł do skrzyżowania, szofer zaczął trąbić, skręcił w prawo i wóz zaczął się przeciskać przez morze przerażonych ludzi.

Niektórzy mieli na sobie europejskie ubrania, ale większość.

odziana w stroje greckie i ormiańskie, niosła tobołki na rękach, głowach, albo na jednym i drugim. Ludzi było dosłownie tysiące. Diana widziała przedziwne sceny: pewien starzec niósł pękaty żelazny piec, a inny dźwigał przywiązane do pleców dwie drewniane trumny, przypuszczalnie puste.

- Dziś rano rozkopali na cmentarzu amerykański grób - powiedziała Fikriye, która siedziała spokojnie w kącie i obserwowała mijane sceny. - Wyciągnęli trupa i rozerwali go na kawałki.

Diana oderwała wzrok od przedniej szyby, by spojrzeć na Turczynkę, jak zwykle całą w czerni; dziś dodatkowo przykryła włosy czarną siateczką. Diana zauważyła, że po raz pierwszy Fikriye ma europejską torebkę z czarnej skóry, którą ścisła w obu dłoniach na kolanach.

Diana zamierzała zapytać, czemu ludzie sprofanowali amerykański grób, ale sama się domyśliła. Podczas wojny Turcja i Ameryka były sobie wrogie, a teraz ksenofobia rozprzestrzeniła się po mieście razem z pożarem. Diana milcząc patrzyła przez okno na mijane tłumy.

Droga do doków zabrała im godzinę. Ogień rozniósł się z dzielnicy ormiańskiej na sąsiednią grecką, wyganiając wszystkich mieszkańców nad zatokę. Ernest Hemingway, reporter gazety „Star” z Toronto, obserwował wydarzenia przez lornetkę z mostka zakotwiczonego w zatoce brytyjskiego okrętu wojennego *Iron Duke*.

- Pali się całe to cholerne miasto! - powiedział do stojącego w pobliżu jednego z angielskich oficerów. - Niech pan popatrzy na ten dym! Wzbija się na co najmniej trzydzieści metrów w powietrze! W dokach jest tłum... Nie powie mi pan chyba, że nie zabierzecie przynajmniej części z tych ludzi!

- Tylko obywatele brytyjskich - odparł oficer. - Otrzymaaliśmy z Admiralicji ścisłe rozkazy, żeby nie interweniować.

- Ale skąd pan wie, że niektórzy z tych ludzi nie są obywatelami brytyjskimi?

Oficer nie odpowiedział.

Samochód dotarł do punktu, skąd nie miał odwrotu. Doki wzdłuż półkolistej zatoki były pełne ludzi - żaden pojazd nie zdołałby się przecisnąć. Fikriye powiedziała coś po turecku do szofera, a potem zwróciła się do Diany:

- Musisz tu wysiąść. Nie możemy dalej jechać.

- Tutaj? Ale gdzie jest łódź?

- Znajdź ją sama.

Diana wyjrzała przez boczne okno, potem przez tylne. Samochód otaczały tłumy; wielu ludzi krzychało w panice. Odwróciła się do Fikriye.

- To śmieszne, nie mogę tu wysiąść! Nie przecisnęłabym się przez ten tłum. Jeśli nie możesz mnie zawieźć na łódź, to odwieź mnie do konsulatu amerykańskiego.

Fikriye otworzyła czarną skórzaną torebkę, wyjęła mały pistolet i wycelowała go w Dianę.

- *Vous descendez ici* - powiedziała. - Tutaj!

Diana patrzyła na lufę pojmując, że oto widzi prawdziwą Fikriye.

- Ale mogę zginąć... - wykrztusiła.

- *Tant pis* - odparła Fikriye z uśmiechem i wzruszyła ramionami. Szofer wysiadł z samochodu i zaczął odpychać tłum od drzwiczek

po stronie Diany. Wreszcie je otworzył, chwycił ją za przegub i zaczął wyciągać z samochodu. Diana krzyknęła i chwyciła skórzany uchwyt na oparciu przedniego siedzenia. Żołnierz zaklął na nią po turecku, a Fikriye uderzyła ją po palcach kolbą pistoletu. Diana zawyla z bólu i wyleciała z samochodu padając na plecy pod stopniem. Żołnierz zatrzasnął drzwiczki, wszedł i zaczął wycofywać samochód. Ponownie zaśpiewał klakson.

Łkając ze strachu Diana wturlała się pod samochód, nie tylko dlatego, by nie dostać się pod ciężkie opony, ale ponieważ nie było gdzie się ukryć. Nie mogła uwierzyć, że ten koszmar dzieje się naprawdę, że nienawiść Fikriye może być tak zapiekła. A może to nie tylko Fikriye? Czy Kemal rozkazał jej tak postąpić z Amerykanką, która mu się sprzeciwiła i obraziła go? Kemal, który przyznawał się do tego, że jest zabójcą? Kemal szcycący się brakiem sumienia? Kemal, który pewnie rozkazał wzniecić pożary, a następnie posłał ją do Cercle d'Orient, wiedząc, że znajdzie się na drodze płomieni?

Samochód cofał się powoli ponad głową Diany. Zrozumiała, że największą - może jedyną - szansą jest pozostać pod spodem. Zaczęła się czołgać w tył po brudnym, rozgrzanym bruku, z twarzą o kilka centymetrów od chodnika. Było to bolesne, ale najwyraźniej skuteczne, ponieważ samochód nie mógł posuwać się przez rozwrzeszczany tłum szybciej, niż Diana mogła się czołgać. Trwało to dwadzieścia minut. Potem, właśnie wtedy, gdy obudziła się w niej nadzieja, samochód stanął. Krzyki spanikowanego tłumu nasilały się

w miarę jak ogień powoli sunął w stronę doków. W powietrzu unosił się smród dymu, a ludzie wyli ze strachu, kaszląc, wyrzucając gryzący zaduch z płuc. Mimo hałasu Diana usłyszała krzyk szofera. Potem rozległy się strzały. Paniczne wrzaski. Usiłowała dostrzec, co się dzieje, ale widziała tylko stopy i kostki, morze butów.

Wtedy ujrzała oficerki. Ktoś chwycił ją za kostki i zaczął wyciągać spod samochodu. Krzyczała i kopała, ale trzymające ją ręce były zbyt mocne. Zrozumiała, że szofer albo Fikriye domyślili się jej wybiegu i wezwali pomoc. Znalazła się z tyłu samochodu. Dwaj tureccy oficerowie złapali ją pod ramiona i siłą postawili na nogi. Ujrzała, że wraz z samochodem dotarła aż do eleganckich willi nad zatoką. Nie przestawała krzyczeć, kiedy zawlekli ją do najbliższej z nich. Obejrzała się i zobaczyła, jak samochód przebija się wreszcie przez tłum i skręca w boczną ulicę. Jeszcze parę metrów i byłaby bezpieczna.

Złapało ją czterech Turków. Jeden otworzył kopnięciem drzwi i wciągnęli Dianę do środka. Dom, urządzony bogato i w złym stylu, był najwyraźniej pusty; mieszkańcy uciekli. Wepchnięto ją do salonu! gdzie na ścianie nad fortepianem ujrzała portret dobrotliwej królowej Wiktorii. Czterej oficerowie, śmiejąc się i rozmawiając po turecku z podnieceniem, zaczęli zdzierać z Diany ubranie. Okładała ich pięściami, ale oni tylko się śmiali. Najpierw podarli na strzępy sukienkę od Chanel, potem zerwali koronkowe majtki i stanik. Diana była w takiej hysterii, że prawie nie docierało do niej, co się dzieje.

Najmłodszy z oficerów rozpinał mundur. Trzej pozostali chwycili ją i rozciągnęli na fortepianie; klawisze z kości słoniowej wpijały się w jej nagie pośladki. Oficer rzucił kurtkę munduru na fotel w pokrowcu, potem rozpiął i opuścił spodnie. Pierś i ramiona porastały mu czarne, kręcone włosy.

- Nie, nie, proszę, nie! - krzyczała, kiedy przypadł do niej, zrzucając majtki na uszacki dywan. Zgwałcił ją zachęcany przez trzech towarzyszy. Kiedy skończył, przysła kolej na tamtych; jeden zaciągnął ją dla odmiany na sofę, a ostatni na podłogę. Kiedy wszyscy skończyli, Diana leżała półprzytomna na środku pokoju. Jak przez mgłę docierały do niej śmiechy i gawędzenie. Potem usłyszała, jak coś rozlewa się po pokoju. Poczula zapach benzyny. Potem ona została oblana. Zimny płyn i silny zapach ją ocuciły. Zmusiła się do tego, by usiąść. Ujrzała czterech oficerów wychodzących z salonu do hallu. Jeden z nich nioś dwulitrowa bańkę.



Zniknęli.

Wstała, rozpryskując benzynę na przemoczony dywan. Kaszląc od duszących oparów powlokła się do drzwi. Wtedy coś wpadło przez okno, rozbijając szybę, a pokój stanął w płomieniach. Diana Ramschild, klasa Vassar rocznik 1916, dyrektorka Spółki Zbrojeniowej Ramschilda w Fairmount w Connecticut, zamieniła się w słup ognia. Kiedy trzy dni później pożar Smyrny w końcu sam się wypalił, oceniano, że sto tysięcy osób utonęło, spłonęło lub zostało stratowanych na śmierć. Były to narodziny współczesnej Turcji.

### ***Rozdział dziewiętnasty***

Światowa premiera *Młodości i ognia* odbyła się w Egyptian Theater Graumana 26 października 1922 roku, a Nick Fleming poruszył niebo i ziemię, by nadać temu wydarzeniu możliwie jak największy przepych. Reflektory omiały niebo nad Los Angeles, a pięćdziesięciu policjantów powstrzymywało tysiące fanów wiwatujących na widok swoich ulubionych gwiazd wysiadających z limuzyn pod markizą kina. Nick obawiał się, że zabójstwo Roda Normana zrazi ludzi do filmu, ale oczywiście stało się dokładnie na odwrót. Ponura otoczka tylko zaostrzyła apetyt publiczności na obejrzenie ostatniego filmu Roda. Pokazy przedpremierowe w Pasadenie i Santa Barbara utwierdziły Nicka w przekonaniu, że ma w rękach przebój. Widzowie uwielbiali film, a w branży mówiło się, że sceny miłosne, chociaż znacznie pocięte, by nie obrazić Urzędu Haysa, są tak gorące, jak przewidywała Harriet Sparrow.

Na wieczór premierowy Nick kupił Edwinie wspaniały płaszcz gronostajowy podbity białymi lisami, który okrywał jej ciało od czarnych pantofli z kryształowymi sprzączkami aż po szyję, gdzie tworzył wysoką stójkę. Kiedy Edwina wysiadła z Dusenburga, nowej limuzyny Flemingów, która już sama w sobie stanowiła okazały widok, wśród tłumu rozległy się ochy i achy, mimo że większość ludzi za kordonami policji nie wiedziała, kim jest Edwina. Jeszcze nie.

- Po dzisiejszym wieczorze będą cię znali - powiedział Nick prowadząc żonę po czerwonym dywanie ku podwójnym brązowym drzwiom kina.

- Gwiazda filmowa! - powiedziała z uśmiechem. - Poprosiłam cię o to, a ty mnie nią uczyniłeś. Czy to dziwne, że za tobą szaleję?

*Młodość i ogień* stał się absolutnym przebojem. Film, który

kosztował sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów przyniósł w ciągu trzech tygodni astronomiczny zysk wysokości czterech milionów. Nick i Edwina Flemingowie, przynajmniej na razie, byli królem i królową Hollywood.

Trzy tygodnie później sekretarka Nicka, panna Rawlins, wprowadziła do jego gabinetu detektywa Arlana Marshalla z departamentu policji Los Angeles. Detektyw Marshall, niski mężczyzna, który ukrywał łysinę pod melonikiem, prowadził sprawę zabójstwa Roda Normana. Uścisknąwszy dłoń Nicka usiadł przed dużym, antycznym biurkiem.

- Panie Fleming, czy zna pan niejaką Dianę Ramschild?

- Oczywiście. Kilka lat temu byłem z nią nawet zaręczony.

- Czy wiadomo panu, że została zabita we wrześniu w Turcji, kiedy spalili Smyrnę?

- Zabita?

Nick był jeszcze na tyle młody, że wieści o śmierci ludzi jego pokolenia przyprawiały go o szok. Jednak wiadomość o śmierci tej konkretnej osoby odebrał jak cios w brzuch. Podczas gdy detektyw monotonnym głosem relacjonował szczegóły związku Diany z Ke-malem, Nick cofnął się w myślach o sześć lat do ich namiętnego romansu, tej pierwszej, wielkiej miłości jego życia, która skończyła się tak gorzko. Przypomniał sobie swoją zielonooką boginię, tak chłodno piękną, a tak gorącą, kiedy kochali się w domu na plaży. Teraz nie żyła, podobnie jak ich syn. Czy popełnił błąd? Czy postąpił wobec niej nieuczciwie? Diana nie żyje? Nie mógł w to uwierzyć...

Ponownie skupił uwagę na detektywie, który tymczasem zapalił cygaro.

- Wczoraj przydarzyło mi się coś dziwnego - mówił, wydmuchując cuchnący obłok. - Zadzwonił do mnie tutejszy konsul turecki, prosząc, żebym zjadł z nim lunch w hotelu Ambasador. Nie miałem pojęcia, czego mógłby chcieć ode mnie Turek, ale nie miałem zamiaru przepuszczać darmowego lunchu, więc poszedłem. Mówił bardzo mętnie. Przez kwadrans nie miałem pojęcia, o co mu, do cholery, chodzi. Powiedział, że wysoko postawione w tureckim rządzie źródła, których nie chciał nazwać, poleciły mu skontaktować się ze mną w sprawie zabójstwa Roda Normana. - Przerwał i zaciągnął się cygarem. - Kiedy usłyszałem nazwisko Roda Normana, na-

stawilem uszu. Konsul sugerował, że w Konstantynopolu, pomyśl pan tylko, wynajęto zawodowego zabójcę, który miał pana zastrzelić, ale przez pomyłkę sprzątnął Roda Normana.

- Mnie? Czemu, do diabła, jakiś Turek miałby mnie zabijać?

- Konsul dał mi do zrozumienia, że ten zabójca został wynajęty przez Dianę Ramschild.

Nick przyglądał mu się przez chwilę, potem wstał i podszedł do dużego okna wychodzącego na teren studia. Czy to możliwe? - myślał. Czyżby tak bardzo mnie nienawidziła?

- Myśli pan, że jest w tym coś z prawdy? - spytał detektyw przyglądając mu się z uwagą.

Nick odwrócił się z uśmiechem.

- Według mnie to najbardziej nieprawdopodobna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - powiedział. - Diana Ramschild była absolwentką Vassar i damą. Na rany Chrystusa, absolwentki Vassar nie wynajmują zabójców. Detektyw podrapał się w podbródek.

- Mnie też wydało się to dość niewiarygodne, ale z drugiej strony czemu przedstawiciel rządu tureckiego miałby mnie okłamywać? Ta Diana Ramschild faktycznie była w Turcji.

- Niech pan mnie o to nie pyta - powiedział Nick, wzruszając ramionami. - Nie jestem detektywem, tylko producentem filmowym. - Zaśmiał się. - Gdyby się nad tym zastanowić, to kapitalny materiał na film.

Tak, to jest niesamowita historia, ale Nick czuł, że jest prawdziwa; okłamywał detektywa, żeby ocalić pośmiertnie dobre imię Diany. Jak mocno musiała go dawniej kochać, skoro potrafiła go tak nienawidzić, że próbowała go zabić! Myślał z fascynacją o tej pierwotnej sile jej uczuć, a jednocześnie oblewał się potem na myśl, że tylko podobieństwo do Roda Normana uchroniło go od kuli zabójcy. Nick nie wierzył w siły nadprzyrodzone, ale w tej chwili niemal czuł siłę miłości i nienawiści Diany, sięgającą po niego spoza grobu.

Diana, Diana... Te wspaniałe zielone oczy, teraz zamknięte na zawsze. Był jej winien przynajmniej pomnik pośmiertny. Ale jaki?

Przypomniał sobie jej dawne słowa: „Zazdroszczę mężczyznom... Tak bym chciała kierować przedsiębiorstwem takim jak Ramschild”.

Cóż, kierowała Ramschildem, co przypłaciła życiem. Chyba jednak sprawiało jej to przyjemność. Puścił ją kantem dla Edwiny, a teraz był jej coś winien. Może tym czymś było kupienie Spółki Ramschilda i postawienie jej na nogi dla uczczenia pamięci Diany, a także starego Alfreda? Przemysł zbrojeniowy znajdował się w opłakanym stanie, a kupno zakładów wiązało się z ryzykiem. Jednak znając naturę ludzką Nick poważnie wątpił, czy ostatnia wojna położyła kres wszystkim wojnom. Niemcy zostały rozbite i znajdowały się w stanie bliskim anarchii, ale nigdy nie lekceważy Niemców...  
Tak, kupi przedsiębiorstwo starego Alfreda i zamieni je w pomnik ku czci Diany. Przynajmniej to mógł dla niej zrobić.  
A przy okazji mógłby nawet zarobić trochę pieniędzy.

**Część III**  
**SENNY KOSZMAR**  
**1927**

## ***Rozdział dwudziesty***

W niemieckim lesie wznosił się zamek, którego wały i wieże rysowały się w świetle błyskawic tak gwałtownych, że nawet baron Frankenstein byłby usatysfakcjonowany. Porywisty wiatr jesiennej burzy zginał drzewa i miotał gałęziami, wzbijając w powietrze tumany uschniętych liści i gnając po niebie gęste chmury zasłaniające księżyc w nowiu. Deszcz uderzał o starodawne kamienne mury Schloss Winterfeldt, położonego sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Monachium, w pobliżu miasta Bad Reichenhall, przy granicy z Austrią. Chociaż na zewnątrz szalała wagnerowska burza, w środku, w liczącej dwadzieścia metrów wysokości *Ritter-saall*, Sali Rycerskiej, panował całkowity spokój. Właściciel zamku, hrabia Alexander Georg Joseph von Winterfeldt podejmował dziesięcioro gości wystawną kolacją.

Nick Fleming siedzący po prawej ręce hrabiny Sophii von Winterfeldt z uprzejmym znudzeniem słuchał wygłaszanych jednostajnym głosem opowieści o Adolfie Hitlerze, monachijskim polityku wzbudzającym entuzjazm wśród pospólstwa. Wyglądało na to, że tęga, siwowłosa hrabina nie żywi do Hitlera dużego szacunku; nazywała go drobnomieszczańskim gangsterem, który obgryza paznokcie i fatalnie się ubiera.

Nick czytał już o Hitlerze i wiedział, że jego partia liczy około pięćdziesięciu tysięcy członków, z których większość przyciągnął wściekły antysemityzm przywódcy - dość groźne zjawisko. Jednak w chwili obecnej Nick był bardziej zainteresowany osobą pięknej Włoszki siedzącej po przeciwnej stronie długiego stołu. Hrabina Paola Algarotti, o kruczoczarnych włosach, białej cerze, z długim, cienkim nosem nadającym jej wygląd eleganckiego jastrzębia, rzucała

Nickowi leniwe, acz zaciekawione spojrzenia, które nie umykały uwagi Edwiny siedzącej po prawej ręce gospodarza. Jeśli Edwina nie przywykła jeszcze do coraz gorzej skrywanych zdrad Nicka, to na pewno przyzwyczała się do jego flirtów i miała sposoby, by sobie z nimi radzić. Poświęcała więcej niż uprzejmą uwagę niezwykle przystojnemu młodzieńcowi siedzącemu po prawej, synowi gospodarza, hrabiemu Rudolfowi von Winterfeldt. Rudi, absolwent Oxfordu, był modelowym Aryjczykiem, miał włosy tak jasne, że niemal białe, olśniewająco niebieskie oczy i regularne rysy wodza Wikingów. Dwudziestotrzyletni Rudi nigdy jeszcze nie siedział obok gwiazdy filmowej. Mimo iż jego drzewo genealogiczne liczyło sobie siedem stuleci i był spokrewniony zarówno z byłą bawarską rodziną królewską, Wittelsbachami, jak i z austriackimi Habsburgami, ten zazwyczaj opanowany młodzieniec był wrażliwie odurzony uwagą, jaką poświęcała mu jedna z panujących królowych miłości Hollywood.

- Naprawdę nie wiem dużo o filmach - mówił doskonałym angielskim - chociaż podobał mi się ten, w którym pani występowała. Widziałem go kilka lat temu w Londynie, miał chyba tytuł *Płonąca młodość*.

Edwina, która włożyła na ten wieczór trzy grube brylantowe bransolety w stylu Art Deco, nachyliła się do Rudiego tak, że w dużym dekolcie srebrnej sukni wieczorowej mógł ujrzeć piękne piersi nie uwiecznione w staniku.

- *Młodość i ogień* - poprawiła go. - Ale to było całe wieki temu! Pięć lat. Jestem niepokieszona, że nie widziałeś moich późniejszych filmów. - Zatrzepotała umalowanymi rzesami. - Musisz przyjechać do Berlina na premierę mojego nowego filmu, *Miłości pustyni*. Ale jestem pewna, że twój ojciec cię zaprosił. To będzie największe wydarzenie filmowe w Niemczech w 1927 roku!

Hrabia Alex, minister kultury w rządzie weimarskim, zorganizował galową premierę w berlińskim Gloriapalast Theater, by promować wymianę filmów niemieckich i amerykańskich. Edwina uśmiechnęła się do Rudiego najbardziej kuszącym ze swych uśmiechów, a zaraz potem posłała mężowi spojrzenie ostre jak sztylet. Ku jej zdziwieniu Nick nie wpatrywał się we włoską hrabinę, ale w jednego z czterech lokajów, którzy roznosili ciężkie srebrne tace z pieczoną sarną i dzikiem. Grzmot wstrząsnął zamkiem, a deszcz wciąż siekł o wysokie okno *Rittersaal*, ozdobione dwunastoma witrażami przed-



stawiającymi herby rodu Winterfeldtów. Wszyscy goście zostawali na noc w Schloss Winterfeldt, co, biorąc pod uwagę pogodę, należało uznać za szczęśliwą okoliczność. Mimo to Edwina pomyślała, że rano z radością opuści ponury zamek. To przekłete miejsce przypominało jej do złudzenia filmowy horror.

- Tak, zostałem zaproszony - powiedział Rudi z zakłopotaniem. - Ale nie mogę pojechać do Berlina. Pracuję nad rozprawą doktorską.

- Ach tak? - spytała Edwina, którą nudził każdy temat nie dotyczący jej osoby. - A o czym jest twoja praca?

- Nauki polityczne. Widzi pani, odkąd przegraliśmy wojnę, Niemcy znajdują się w stanie poważnego zamętu politycznego...

- Ale chyba walki uliczne należą już do przeszłości. Z tego, co czytamy w Stanach, w Niemczech panuje spokój i dostatek.

- To prawda, że w ciągu dwóch ostatnich lat sytuacja znacznie się poprawiła. Jednak Niemcy nie zaznają spokoju, póki traktat wersalski nie zostanie zrewidowany.

Edwina stłumiła ziewnięcie.

- Mój drogi hrabio, jesteś o wiele za poważny, jak na kogoś tak młodego. Mogę też dodać, przystojnego. Powinieneś myśleć o miłości i romansach! Musisz mieć ukochaną. Opowiedz mi o niej.

- Nie, w tej chwili nie ma nikogo... - powiedział Rudi z jeszcze większym zakłopotaniem.

On się mnie boi, pomyślała. Jakie to dziwne.

Właśnie w tym momencie zauważyła, jak jej mąż rzuca się na lokaja. Rozległ się grzmot i krzyki. Z tym że nie był to piorun - to lokaj wystrzelił w powietrze. Goście zrywali się z krzesel, podczas gdy Nick przyduszał lokaja do kamiennej posadzki. Hrabia von Winterfeldt krzyczał po niemiecku do pozostałych lokajów. Rozległ się kolejny wystrzał i dalsze krzyki. Służba pomogła Nickowi obezwładnić napastnika i wszystko zakończyło się niemal równie szybko, jak się zaczęło.

- *Ein Arzt!* - krzyknął jeden z gości. - *Schnell, ein Arzt!* Edwina patrzyła, jak mąż wstaje. Po czole płynęła mu krew.

- Nick! - krzyknęła biegnąc wzdłuż stołu.

Patrząc, jak flirtuje, była na niego wściekła; teraz, gdy został postrzelony, cała dawna miłość wezbrała powodzią przebaczenia.

- On jest ranny! - Wpadała w histerię. - Nick, kochanie! Przyłożył do czoła chusteczkę.

- To tylko płytka rana - wymamrotał. - Nic mi nie będzie.

Po czym runął twarzą na długi stół, tłukąc dwa kieliszki.

Zanieśli go do sąsiadującej z jadalnią biblioteki - ciemnego, wyłożonego boazerią pomieszczenia, najeżonego pod sufitem rogami jeleni. Położyli go na skórzanej sofie. Hrabina von Winterfeldt, która w czasie wojny pracowała jako pielęgniarka, objęła dowodzenie. Ze spokojem, który zaimponował Edwinie, kazała przynieść gorące ręczniki, którymi obmyła krew z rany.

- Pani mąż ma szczęście, *madame* ~ powiedziała. - Kula przeszła tuż nad czaszką. Jest trochę poparzeń od prochu i może zostać mała blizna, ale nic mu nie będzie. Przynies trochę koniaku, Rudi - poleciła synowi.

Edwina, wciąż drżąca, osunęła się na brzydki renesansowy fotel ze skóry, który zaskrzypiał pod jej ciężarem.

- Ale co się stało? - spytała. - Kogo ten lokaj chciał zastrzelić?

- Sądzę, że próbował zastrzelić mnie - odparł cicho hrabia Alex.

Ma na imię Misza - powiedział Nick czterdzieści minut później, kiedy lekarz zabandażował mu głowę. - Był bolszewikiem, którego spotkałem w Piotrogradzie w 1917 roku, kiedy pilnował pałacu wielkiego księcia Kiryła. Rozpoznałem go w jadalni, kiedy podawał do stołu. Potem on poznał mnie i chyba skojarzył, kim jestem. W każdym razie, kiedy zobaczyłem, że sięga pod żakiet, postanowiłem nie ryzykować i skoczyłem na niego. Kiedy złapałem go za przegub, właśnie wyciągał pistolet.

- Bogu dzięki, że tak pan postąpił - powiedział hrabia. Siedzieli w bibliotece przy kawie i likierach. - Bez wątplenia ocalił mi pan życie, za co jestem wdzięczny, *Herr Fleming*. Jestem pewien, że ten Misza zostanie zdemaskowany jako agent Kominternu.

Hrabina Sophia miała posepną minę.

- Ci potworni ateistyczni bolszewicy - powiedziała. - Są odpowiedzialni za tyle zamachów politycznych w całej Europie. Chcą roznieść tę swoją ohydłą rewolucję po całym świecie. Ale... -Zawahała się. - To dziwne, że chcieli zamordować mojego męża. Alex jest w końcu tylko ministrem kultury. W rządzie jest tylu innych ludzi, na których im chyba bardziej zależy...

Urwała patrząc na męża, jakby próbowała zrozumieć. Nick wstał.

- Czuję się trochę zmęczony. Jeśli państwo wybaczą, pójdę się chyba położyć.

- Ależ oczywiście, mój drogi panie Fleming! - wykrzyknął gospodarz także wstając i podchodząc do Nicka. - Proszę pozwolić, że jeszcze raz podziękuję za pańską odwagę. Nigdy tego nie zapomnę, nigdy. - Położył mu dłoń na ramieniu.

- Cóż, jest coś, o czym chciałbym z panem rano porozmawiać - powiedział cicho Nick. - Może przed śniadaniem? - Wymienił spojrzenia z Winterfeldtem.

Hrabia próbował czytać w jego myślach.

- Będę do pańskiej dyspozycji - powiedział w końcu. - Powiedzmy o ósmej, tu, w bibliotece?

Edwina zastanawiała się, do czego mąż zmierza. W ciągu dziesięciu lat przekonała się, że na szachownicy życia Nick planuje co najmniej trzy ruchy naprzód. Nie przestawał jej fascynować z powodu swej cholernej inteligencji. Chcąc go zrozumieć, mogła tylko obserwować to, co robi, a raczej rezultaty jego działań. Później, w retrospekcji, można było pojąć sposób funkcjonowania złożonego umysłu Nicka.

Teraz, idąc schodami zamku na piętro, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem w małej scenie, której właśnie była świadkiem, nie kryło się coś więcej.

Oypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Na wysokich kamiennych ścianach wisiały bogate gobeliny, w wielkim kominku płonął miły ogień, a w oknach oddzielonych słupkami wisiały ponadgryzane przez mole karmazynowe draperie. Gruby *duvet* przykrywał olbrzymie łóżko, nad którym wznosił się czerwony pluszowy baldachim z wyhaftowanym przed wiekiem herbem rodowym Winterfeldtów. Edwina zaczęła się rozbierać przed toaletką imitującą styl Ludwika XVI.

- Dlaczego mam dziwne uczucie, że coś przede mną ukrywasz? - spytała.

Nick siedział na krześle z wysokim oparciem i zdejmował lakierki.

- Co masz na myśli?

- Nie udawaj niewiniątka. Nie musieliśmy jechać na tę premierę do Berlina. Wiem, że zrobiłeś wszystko, żebyśmy tylko mogli zostać na noc w tym okropnym, zapomnianym przez Boga miejscu. Ty coś knujesz, prawda?

Nick wstał, zdjął smoking, podszedł do Edwiny, by pomogła mu zdjąć spinki do mankietów ze złota i lapis-lazuli.

- Mogę ci zaufać? - spytał.

- Naturalnie. Jestem twoją żoną.

Nick przyglądał się jej, kiedy odpinała spinki. Rzeczywiście jej ufał. Pomimo historii z Rodem Normanem przed pięcioma laty, pomimo jej flirtów, jak ten z młodym hrabią Rudim - co Nick, zgodnie z intencją Edwiny, zauważył - wiedział, że wciąż za nim szaleje i jest mu wierna. To był dziwny układ: Edwina lubiła wprawdzie sprawiać wrażenie niewiernej, ale przypuszczał, że stanowi to część gry.

Wiedział, że Edwina pozostaje mu wierna także dlatego, że w ciągu ostatnich pięciu lat prawie stale była w ciąży. Na świat przyszła kolejna trójka małych Flemingów, oprócz Fiony, córki Roda Normana, którą Nick, ku własnemu zdziwieniu, kochał równie mocno jak własne dzieci. Kolejne ciąży odbiły się negatywnie na filmowej karierze Edwiny, powodując pełne wrzasków kłótnie małżeńskie, jednak rodziła dzieci ze stoickim spokojem; w miarę jak pokój dziecięcy wypełniał się po brzegi, Edwina cieszyła się potomstwem, jednocześnie przeklinając męża za jego powiększanie. Nick płodził tyle dzieci między innymi w efekcie szoku spowodowanego aborcją Diany. Psychiczne blizny dzieciństwa i młodości jeszcze się nie zagoiły.

Edwina fascynowała Nicka w nie mniejszym stopniu niż on ją. Poza tym ufał jej.

- Dobrze - powiedział. - Dzisiejszy zabójca ma na imię Misza i jest Rosjaninem. Nie jest jednak tym Miszą, którego widziałem w Piotrogradzie dziesięć lat temu, ani nie jest bolszewikiem. Uciekł z Rosji w 1919 roku, ponieważ nienawidzi bolszewików równie mocno jak ja.

- W takim razie kto to jest? - spytała.

- Nazywa się Misza Broński i jest bezrobotnym hollywoodzkim aktorem.

- Nie wierzę! - krzyknęła zdumiona Edwina. - Aktor? Co wobec tego tu robi? Dlaczego chciał zabić hrabiego von Winterfeldt?

- Nie chciał. Winterfeldt tylko przypuszczał, że chciał go zabić, zwłaszcza kiedy mu powiedziałem, że Misza jest czerwonym. To było przedstawienie. Misza i ja wypróbowaliśmy tę scenę w Hollywood dwa miesiące temu, chociaż muszę przyznać, że scenariusz nie przewidywał rany głowy. Dodała chyba jednak autentyczności.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko ukartowałeś?

- Zgadza się - odparł Nick z szerokim uśmiechem. - Zapłaciłem

za to Miszy dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i obiecałem mu rolę w filmie. Edwina wybuchnęła śmiechem.

- Powinam się była domyślić! O Boże, nie słyszałam nic śmieszniejszego! Masz nie po kolei w głowie! Ale... -  
Przestała się śmiać. - Ten Misza pójdzie do więzienia, tak?

Nick rozwiązywał muszkę.

- Na jakieś sześć miesięcy. Republika Weimarska wrzeszczy o spisku bolszewików i Kominternu, którego celem jest światowa rewolucja, ale w rzeczywistości nie chcą drażnić Stalina i rosyjskiego rządu. Oczywiście, gdyby Misza faktycznie zabił hrabiego von Winterfeldt, sprawa przedstawiałaby się inaczej. Ponieważ jednak go nie zaatakował, co zaświadcza, nie będzie wielkiej sprawy. Zapuszczają go na kilka miesięcy za usiłowanie morderstwa czy posiadanie broni, a potem wydalą z kraju. W scenariuszu *Podwójnego agenta*, nad którym pracuje Bill Pardee, jest ładna rola dla Miszy. Powinien wrócić do Hollywood mniej więcej w tym czasie, kiedy zacznę produkcję.

Wręczył jej trzy spinki od kołnierzyka, a Edwina schowała je razem ze spinkami od mankietów do pudełeczka na biżuterię marki Louis Vuitton.

- To wszystko jest oczywiście bez sensu - powiedziała. - Po pierwsze, dlaczego rząd niemiecki nie chciałby drażnić Stalina?

- Ponieważ, droga żono, nie wiesz o tym ani ty, ani większość świata, ale ja wiem, że ci cholerni Rosjanie potajemnie uzbrajają Niemców, co, jak sądzę, że wiesz, jest zabronione przez traktat wersalski. Niemcom zależy na karabinach i czołgach, a Rosjanom, mimo ich niesłabnącej wiary w komunizm, zależy na niemieckich pieniądzach. To wspólny interes dla obu stron.

Znowu przyglądała się Nickowi, próbując pojąć wagę jego słów.

- Zgoda, jeśli twierdzisz, że tak właśnie się dzieje, wierzę ci. Nadal jednak nie rozumiem sensu twojej dzisiejszej przedziwnej sztuczki!

- To proste - odparł z uśmiechem. - Chcę, żeby bardzo wpływowy członek niemieckiego rządu sądził, że zawdzięcza mi życie. - Pochylił się i pocałował Edwinę. - To łóżko wygląda tak, jakby nie używano go od czasów Bismarcka.

Wypróbujemy je?

- Kochanie, jesteś prawdziwym węzem bizantyjskim - powiedziała całując go w czubek nosa. - Swoimi szalonymi planami praw-

dopodobnie doprowadzisz do tego, że zastrzelą nas oboje. Powinnam była cię opuścić wiele lat temu. Wiesz, dlaczego tego nie zrobiłam?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Ubóstwiasz mnie.

- Do diabła z tobą, masz rację. Chodźmy do łóżka.

Wstała, a Nick znowu ją pocałował, tym razem namiętniej. Nagle Edwina go odepchnęła.

- Poczekaj chwilę - szepnęła. - Chyba nie zamierzasz sprzedawać broni Niemcom? Czy o to ci chodzi?

- Oczywiście, że nie - odparł obojętnie.

- Och, Nick, ty cholerny kłamco! Naturalnie, że o to ci chodzi! Po cóż innego wydawałbyś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na to przedstawienie? Powiedz prawdę, chcesz im sprzedać broń?

Nie odpowiedział, odwracając wzrok.

- O Boże, nie możesz tego zrobić! Zapomniałeś już o tej drobnej wojnie, którą rozpętali trzynaście lat temu?

Kochanie... A poza wszystkim innym, to nielegalne, prawda? Amerykańskim przedsiębiorstwom nie wolno nic sprzedawać Niemcom, prawda?

- Tak.

- Ale ty i tak to zrobisz?

Znowu nie odpowiedział. Patrzyła na niego, a niesmak zajmował miejsce miłości, którą czuła jeszcze przed chwilą. Podeszła do łóżka.

- Nie mam nastroju na seks - powiedziała opryskliwie, kładąc się do łóżka. - Zresztą od tych cholernych piorunów boli mnie głowa.

Zgasła lampę myśląc o Raymondzie Asquicie, lordzie Rocksava-ge'u, Yvo Charterisie i milionach innych, którzy zginęli od niemieckich kul. Kiedy Nick rozpoczął podchody, by kupić Spółkę Ramschilda, napotkał zdecydowany opór Arabelli Ramschild, której nienawiść do tego Żyda, jak pogardliwie nazywała Nicka w rozmowach, po śmierci męża, a potem córki przerodziła się w obsesję. Mimo iż inni udziałowcy chętnie zgodziliby się sprzedać swoje udziały za proponowaną przez Nicka cenę, o piętnaście dolarów wyższą niż rynkowa - zwłaszcza że przedsiębiorstwo ponosiło dotkliwe straty - Arabella nie ustąpiła, uparczywie oświadczając publicznie, że nigdy nie sprzeda Spółki panu Flemingowi. Później jednak Arabella umarła, a jej spadkobiercy z radością przystali na warunki Nicka. Pod koniec roku 1923 Nick oraz bank Saxmundham, ponieważ ojciec Edwiny sfinansował przejęcie, sprawowali kontrolę nad firmą zbrojeniową z Connecticut.

Edwina usłyszała, jak kładzie się obok niej do skrzypiącego łóżka, potem poczuła na udzie jego dłoń. Odepchnęła ja.

- Odwał się - warknęła.

- Nie jesteś uczciwa, kochanie. Nie mogę ci zdradzić moich planów...

Edwina usiadła.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Nick. Wiesz, że nie chciałam, żebyś kupował z ojcem tę przeklętą firmę zbrojeniową. Pomyśleć tylko, że kiedy wszyscy na świecie mają dość wojny i zabijania, mój mąż kupuje fabrykę karabinów! Czy ty nie czytasz gazet? Czy nie wiesz, jak się mówi o ludziach twojego pokroju? Handlarze śmierci. Och, oczywiście, wiem, to zwykła dziennikarska hiperbola. Mimo to nie powinieneś być tego robić. Nienawidzę Ramschilda.

- Daję ci słowo, że nie sprzedaję broni Niemcom.

Spojrzała na niego. Po blisko dziesięciu latach małżeństwa widok Nicka wciąż sprawiał jej przyjemność.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Nie mówisz tego tylko po to, żebym się zamknęła?

- Na miłość boską, Edwino, przyjmij, że jest we mnie trochę przyzwoitości. Nie chcę zaczynać wojny, a twój ojciec i ja nie kupiliśmy Ramschilda po to, by zostać handlarzami śmierci. Kupiliśmy tę spółkę, bo to była dobra inwestycja, w każdym razie na to wyszło, a wiem z własnego doświadczenia, że trzymanie się z daleka od przemysłu zbrojeniowego nie powstrzyma wojny. Posiadanie Ramschilda pozwoli nam przynajmniej mieć świetne rozeznanie w światowych wydarzeniach, a jeśli chcesz znać prawdę, właśnie dlatego jestem w Niemczech.

Patrzyła na Nicka skołowana, ale pełna podziwu dla jego słów.

- Nie wiem, co knujesz, ale cofam to, co powiedziałam o sprzedawaniu broni Niemcom.

Położył dłoń na jej udzie.

- No więc jak?

Gniew Edwiny ulotnił się. Wybuchnęła śmiechem.

- Och, Nick, nigdy z tobą nie wygram. Zawsze stawiasz na swoim, pewnie dlatego cię kocham. Nie mogę cię pokonać, więc równie dobrze... - Wzruszyła ramionami. - Mogę cię kochać.

Przesunął dłoń po jej brzuchu.

- Nasze małżeństwo nie jest takie złe, co?

- Jest urocze, i dobrze o tym wiesz. Nawet kłótnie.

- Niczego nie żałujesz?

- Nie obraziłabym się, gdybyś był trochę wierniejszy. Widziałam dziś, jak pożerałeś wzrokiem tę włoską hrabinę, jak jej tam było.

- A ja widziałem, jak zabierałaś się za syna hrabiego.

- Po prostu staram się nie wyjść z sprawy. Jeśli chodzi o wierność, mam mniej na sumieniu niż ty. Jeżeli chociaż połowa plotek krążących po Hollywood jest prawdziwa, musisz się świetnie bawić na tej skórzanej sofie w biurze, którą kupiłam ci dość nieopatrnie.

- Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Mówią to o każdym szefie studia.

Spojrzała na niego z czułością.

- Och, Nick, ty nie rozumiesz. Nie oczekuję, że będziesz w stu procentach wierny, głównie dlatego, że nie jestem tak zaborcza w stosunku do ciebie, jak ty do mnie. Wiem, że spotykasz dziesiątki pięknych dziewczyn i musisz odczuwać pokusę. Boże, znudziłbyś mi się, gdyby tak nie było. Nie mam nawet nic przeciw temu, że czasem sobie pofolgujesz. Irytuje mnie chyba to, że mnie nie traktujesz w ten sam sposób.

- Jesteś żoną i matką... - powiedział Nick, marszcząc brwi.

- Och, tak! Z siedmiorgiem dzieci, nie musisz mi przypominać. Ale jestem też kobietą i człowiekiem. Nie rozglądam się za kochankiem, ale gdybym jakiegoś znalazła, ty nie poradziłbyś sobie z tą sytuacją, prawda? Nie potrafiłbyś powiedzieć mi tak, jak ja tobie: „Proszę, zafunduj sobie skok w bok”.

Nick myślał nie dłużej niż sekundę.

- Nie.

- Widzisz. To są właśnie te cholerne podwójne amerykańskie zasady.

- Przypuszczam, że w Anglii jest inaczej.

- Wiesz dobrze, że tak, przynajmniej wśród klas wyższych. Wszyscy figlują jak koty w marcu i nikomu to nie przeszkadza, dopóki nie mówi się o tym publicznie. To znacznie bardziej cywilizowany sposób.

- Pozwoliłem ci na jednego kochanka, Roda Normana.

- I kilka lat zajęło ci pogodzenie się z tym. Zresztą, jeśli chcesz znać prawdę, nie sądzę, żebyś mi wybaczył. Mówię tylko, że powinniśmy mieć równe prawa.

Nick prychnął z irytacją.

- Ale ja cie kocham! Jesteś moja!



- I ja cię kocham. Jesteś mój. Mierzyli się wzrokiem.
- Dobrze - powiedział wreszcie. - Jeśli spotkasz mężczyznę, z którym naprawdę zechcesz pójść do łóżka, powiedz mi o tym, a ja się zastanowię.
- Ha! Akurat ci wierzę!
- Nie, poważnie. Masz poniekąd rację. Nie podoba mi się to, ale masz rację. Tylko nie romansuj za moimi plecami.
- A ty za moimi. Cisza.
- Będziemy się kochać czy sprzeczać? Edwina pocałowała go.
- Będziemy się kochać - powiedziała. - Ale pomyśl o tym, co mówiłam.

Kochali się.

Burza zaczęła słabnąć o piątej nad ranem, a o siódmej trzydzieści, kiedy Nick zszedł po schodach, ustała zupełnie. Zamek spowija gęsta mgła, nadając Schloss Winterfeldt tajemniczy wygląd, przywodzący Nickowi na myśl starodawne germańskie legendy o Zygfydzie, smokach i trollach czających się w lasach Harzu, zanim jeszcze Niemcy stały się przyczółkiem imperium rzymskiego. W hallu wisiał oprawiony w złotą ramę naturalnej wielkości portret kaisera Wilhelma II w białym mundurze i hełmie z piórami. Nick przyglądał się przez chwilę byłemu niemieckiemu przywódcy, obecnie żyjącemu na wygnaniu w Holandii. Obecność portretu pozostawiała niewiele wątpliwości co do politycznych sympatii hrabiego. Podobnie jak większość szlachty był *kaisertreu*, lojalny wobec starej dynastii, a junkrzy wciąż cieszyli się w Niemczech znacznymi wpływami. Restauracja dynastii Hohenzollernów nie była wykluczona. Niemcy, przywykli przez tyle lat do monarchii autorytarnej, wciąż nie czuli się wygodnie w systemie demokratycznym; wielu ludzi tęskniło za *Führerem*.

Nick ruszył po kamiennej posadzce do biblioteki, gdzie powitał go hrabia von Winterfeldt ubrany w dwurzędowy szary garnitur. Hrabia był wysokim, szczupłym mężczyzną zachowującym się po wojskowemu, o nienagannych manierach, które przypominały Nickowi wielkiego księcia Kiryła. Przedwojenną klasę oficerów, pomimo licznych wad, łączyły wspólne cechy, które mogły budzić tylko

podziw. W porównaniu ze wzniecającymi burdy uliczne faszystami, o których czytał Nick, hrabia bez wątpienia korzystnie się wyróżniał.

- *Herr Fleming* - powitał go podchodząc i ściskając rękę Nicka. -Dzień dobry. Jak pańska głowa?

- Jeszcze trochę piecze, ale jest lepiej, niż przypuszczałem.

- Świetnie. Proszę usiąść. Rozmawiałem z *Herr Halbachem*, szefem miejscowej policji. Powiedział, że nasz waleczny lokaj nazywa się Misza Broński. Ku naszemu zdziwieniu legitymuje się amerykańskim paszportem. Nick usiadł na tej samej skórzanej sofie, na której opatrywano go zeszłego wieczoru.

- Naprawdę? Czytałem, że Komintern ma wielu agentów w Stanach.

- Być może, choć wydaje się dziwne, by wysyłali kogoś z Ameryki, skoro znacznie łatwiej mogli przysłać człowieka z Rosji. Ale kto zgłębi umysł bolszewika, prawda? A tak przy okazji, Halbach pyta, czy zgodzi się pan zeznawać jako świadek?

- Naturalnie.

- Dobrze. - Hrabia usiadł obok Nicka na sofie. Za dużym oknem nad ciężkim dębowym biurkiem mgła obejmowała zamek w wilgotnym uścisku.

- Prosił mnie pan o rozmowę, sir. Mam nadzieję, że poprosi mnie pan o przysługę. Jestem panu winien tak wiele, własne życie, że z radością pomogę panu we wszystkim.

Dokładnie o to mi chodziło, pomyślał Nick.

- Chcę sprzedać Niemcom broń - powiedział. - Czy może mnie pan skontaktować z właściwymi ludźmi?

Patrzcie, jak mu się zaświeciły oczy! Wchodzi prosto w zastawione sidła. Cudownie!

- Będę zaszczycony pomagając panu, *Herr Fleming* - powiedział cicho hrabia. - Musimy jednak zachować dyskrecję. Wielką dyskrecję. Jestem pewien, że pan to rozumie.

### ***Rozdział dwudziesty pierwszy***

Jeśli krajobraz kształtuje charakter, Rudi von Winterfeldt musiał mieć piękną duszę, ponieważ wychował się w jednej z najpiękniejszych części Europy. Tego popołudnia, jadąc do Monachium białym sportowym Bugatti, mijają podgórze Alp Bawarskich z zapierającym dech w piersiach widokiem na Obersalzberg, urocze zielone pola znaczone wioskami i, gdzieś tam, barokowymi kościołami. Mijał Chiemsee, to piękne jezioro, gdzie na wyspie szalony król Bawarii Ludwik wybudował swą ostatnią, nie dokończoną fantazję, dziewiętnastowieczną wersję Wersalu, za którą zapłacił tronem. Potem mijał bajkowy zamek Neuschwanstein, który przycupnął na porośniętej świerkami górze. Kozy i krowy pasły się pogodnie na soczystej zielonej trawie pól.

Mgła ulotniła się, a niebo zajaśniało błękitem. Było nienaturalnie ciepło, babie lato po burzy w końcu listopada. Rudi pędził odkrytym samochodem, rzeński wiatr rozwiewał mu jasne włosy, a jego dusza jak zwykle reagowała na piękno południowej Bawarii, chociaż znał ten krajobraz na pamięć. To był jego krajobraz, którego bogactwo zawsze go ekscytowało. Rudi był po części artystą i marzycielem. Część jego duszy kochała piękno i gardziła brzydotą.

Dlatego też nie przepadał za Monachium. To prawda, że stolica Bawarii miała swoje piękne pałace i muzea. Blisko wiek wcześniej król Ludwik I wydał majątek na upiększenie miasta, zanim oddał serce Loli Montez, a tron - rewolucji roku 1848. Jednak Monachium było miastem i jak każde miało fabryki i dzielnice nędzy. Rudi zawsze odczuwał lekką depresję wjeżdżając z otwartej przestrzeni w ponure peryferia Monachium. Skierował się na Thierschstrasse, pozbawiona wyrazu ulice w części

miasta zamieszkaną przez niższą klasę średnią. Zaparkował przed zniszczonym budynkiem. W tej biednej dzielnicy drogie sportowe samochody stanowiły jeśli nie prowokację, to na pewno wyzwanie. Podnosząc dach, by zamknąć samochód, Rudi zdawał sobie sprawę z zawistnych spojrzeń obdartych dzieci bawiących się na ulicy. Wiedział jednak, że osoba, którą miał odwiedzić, czerpie perwersyjną przyjemność z tego, że przed biednym domem, gdzie mieszka, parkują drogie samochody.

Rudi wszedł do westybulu i pociągnął za dzwonek. Po chwili przez koronkową firankę wyjrzała pulchna, siwowłosa gospodyni w czarnej sukience z tafty ze staromodną spódnicą, po czym otworzyła drzwi z uśmiechem.

- *Guten Tag, mein Herr* - powiedziała, wpuszczając Rudiego do hallu oklejonego brudną różową tapetą. W domu unosił się zapach gotowanej kapusty. - On wyszedł, ale powinien wkrótce wrócić. Jeśli pan chce, może pan poczekać w jego pokoju.

- Dziękuję, *Frau Reichert* - odparł Rudi odpowiednio protekcyjnym tonem. *Frau Reichert*, podobnie jak większość starszych Niemców, nadal przestrzegała przedwojennych podziałów klasowych - oczekiwała od hrabiego, by zachowywał się jak hrabia.

Rudi wszedł rozpadającymi się drewnianymi schodami oświetlonymi brudnymi lampami gazowymi na piętro, gdzie wąski korytarz dzielił budynek na połowę. Ruszył korytarzem ozdobionym tanimi rysunkami w brudnych, ciemnych ramach z drewna, minął zdezelowane pianino i brzydką półkę pełną przestarzałych sentymentalnych powieści. Na końcu korytarza otworzył drewniane drzwi, które prosiły się o oskrobanie i odmalowanie, po czym wszedł do wąskiego pokoju, szerokiego na nie więcej niż trzy metry. Jedyne okno wychodziło na podwórko na tyłach domu. Pod oknem stało mosiężne łóżko. Było zasłane, ale pognieciona pościel świadczyła o tym, że niedawno ktoś na nim siedział lub leżał. Naprzeciwko łóżka do gipsowych ścian przykręcono półki na książki.

Czekając Rudi omiół wzrokiem grzbiety książek. Na górnych półkach stały tomy dotyczące wielkiej wojny, historii Niemiec, *Vom Kriege Clausewitza*, biografia Wagnera autorstwa Houstona Stewarta Chamberlaina, mity rycerskie i pamiętniki Svena Hedina. Na niższych półkach znajdowały się stare powieści i *Historia sztuki erotycznej*. Podłogę wyłożono tanim żółtym linoleum, które liczyło sobie co

najmniej dwadzieścia lat; w miejscach, gdzie podłoga popękała, linoleum się zawijało.

- Rudi - powiedział ktoś cicho. - Miło cię widzieć.

Rudi odwrócił się i ujrzał stojącego w drzwiach szczupłego młodego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym. Mówił z lekkim akcentem austriackim, niezbyt różniącym się od bawarskiego, ale mimo to zauważalnym dla Rudiego. Wszedł do pokoju, zamykając drzwi. Z oczyma płonącymi podnieceniem podszedł do Rudiego i ujął jego obie dłonie. Wąsik w stylu Charlie Chaplina nadawał mu nieco komiczny wygląd, ale mimo niepozornego stroju, mężczyzna prezentował się okazale.

- Ruderl, *mein Liebchen*, potwornie za tobą tęskniłem. Następnie Adolf Hitler pocałował młodego hrabiego von Winterfeldt w usta.

Hitler utrzymywał swoje życie seksualne w ścisłej tajemnicy; aby nie wzbudzać podejrzeń przychylniej mu *Frau Reichert* - która szczerze lubiła swego lokatora, nazywając go dobrze wychowanym typem artystycznym - Rudi i Dolf, jak nazywał go hrabia, pojechali Bugattim do willi kapitana von Manfredi w Schwabing. Podczas wojny Manfredi był przełożonym Hitlera, później został żarliwym faszystą, pewnym, że jego były kapral jest zbawcą Niemiec. Manfredi także był homoseksualistą, który miał z Dolfem krótki romans w wojennych okopach, tak więc z zapalem udostępniał *Fiihrerowi* wiejski domek w ogrodzie swej otoczonej murem willi na jego sekretne romanse. W istocie szeregi partii faszystowskiej były pełne ludzi, których ostentacyjnie heteroseksualny dyktator włoski, Mussolini, nazywał bandą zбочeńców. Hitler nie obawiał się plotek, ale kabarety i *Bierstuben* Monachium i Berlina aż huczały od opowieści o jego zбочonym libido, a bujna wyobraźnia niemieckich intelektualistów i dowcipnisiów podejrzewała Hitlera o wybryki, które wyczerpałyby energię markiza de Sade czy barona von Sacher-Masocha. Willa otoczona wysokim stiukowanym murem znajdowała się na zadrzewionej ulicy zamieszkannej przez wyższą klasę średnią; większość przestronnych domów pochodziła z przełomu wieku, a dominującym stylem architektonicznym była ciężka, wilhelmińska wersja francuskiej Belle Epoque. Stiukowana, dwumetrowa willa kapitana

von Manfredi miała dach z czerwonej dachówki, a ogród na tyłach był równie zadbane, jak ogrody sąsiadów. Rudi otworzył bramę z kutego żelaza i wjechał na krótki podjazd. Następnie, zamknąwszy bramę, ruszył za Hitlerem na tyły domu, gdzie w rogu ogrodu pod wierzba przycupnęła stiukowana chata z czerwonymi drzwiami, przypominająca dom dla lalek. Matka Manfrediego, Ursula, była w przedwojennych Niemczech autorką bestsellerów dla dzieci; napisała ogromnie popularną serię książek o obrzydliwie słodkim króliczku imieniem Pupi. W roku 1906 zbudowała chatę, która służyła jej za gabinet do pracy. Po śmierci matki w 1920 roku von Manfredi zaczął używać chaty do bardziej zdrotnych celów.

Hitler otworzył drzwi i obaj weszli do środka. W chacie znajdowały się trzy pomieszczenia: duży pokój do pracy, mała sypialnia i równie mała kuchnia na tyłach. Krzesła i sofy obite wyblakłym perkalem uwidoczniły panującą przed wojną anglomanię. Na chropowatych gipsowych ścianach wisiały oprawione w ramy ilustracje do przygód Pupiego w stylu Arthura Rackhama. Rudi zamknął drzwi, a Hitler przyjrzał się ilustracjom, marszcząc brwi.

- Nie cierpię królików - mruknął, a następnie odwrócił się do Zygfyda: - Mój piękny Zygfydzie! Ubóstwiam na ciebie patrzeć.

Rudi miał na sobie garnitur od Harrisa Tweeda. Teraz zaczął go z siebie zdejmować, a Hitler podszedł do szafy, skąd wyjął czarną walizkę. Położywszy ją na dawnym stole Ursuli von Manfredi, gdzie napisała tyle wesołych przygód królika Pupiego, Hitler otworzył walizkę i zaczął wyciągać dziwną kolekcję przedmiotów: skórzaną obrozę dla psa, dwie pary stalowych kajdanków, skórzany bicz i drogi węgierski bat. Hitler zaczął drzeć, czule przesuwając palcami po biczu.

- Minęło już dziesięć dni - powiedział. - Miałem wrażenie, że to cała wieczność. Nie mogę bez ciebie żyć, Ruderl, kochany.

Rudi, całkiem nagi, podszedł do stołu, wyrwał bicz z rąk Hitlera i uderzył go mocno w ramię. Hitler jęknął osuwając się na kolana.

- Kim jestem? - spytał surowo Rudi.

Hitler podniósł wzrok, a w oczach zalśniły mu łzy.

- Jesteś moim panem, księciem Zygfydem, pięknym, jasnowłosym nadczłowiekiem najczystszej krwi aryjskiej.

- A kim ty jesteś?

- Książę Zygfydzie, jestem śmieciem, należę do niższej, ciemnowłosej rasy, być może skażonej i zatrutej obmierzłą krwią żydowska.

Rudi podszedł bliżej, podniósł prawą stopę i postawił ją w odległości kilku centymetrów od twarzy Hitlera.

- Ukorz się, żydowski niewolniku - rozkazał. - Liź moją stopę.

- Tak, panie.

Hitler wysunął język i zaczął lizać podbicie stopy Rudiego. Po pełnej minucie Rudi warknął:

- Wystarczy. Teraz rozbierz się do naga, żydowski niewolniku. Wydając jęki rozkoszy, Hitler pośpiesznie zdjął tani garnitur,

rzucając niedbale części ubrania na obite perkalem krzesła. Nagi, klęknął na czworakach jak pies. Jego chude ciało miało szerokie, kobiece biodra, a członek, choć bardzo mały, sterczał wyprężony. Rudi odłożył bicz na stół i podniósł obrożę.

- Czym jesteś, żydowski niewolniku? - spytał.

- Jestem żydowskim psem.

- Zgadza się.

Rudi pochylił się i zapiął obrożę na szyi Hitlera, najpierw tak ciasno, że Dolf zaczął się dusić, potem ją nieco poluzował.

- Szczekaj, żydowski psie! - rozkazał. Hitler zaszczekał.

Rudi wrócił do stołu po dwie pary kajdanków.

- Wyciągnij ręce, niewolniku! Hitler spełnił rozkaz.

Rudi zatrzaskał mu kajdanki na przegubach.

- Obróć się, żydowski psie!

Hitler obrócił się na bok, a Rudi skuł mu nogi w kostkach. Potem podszedł do stołu i wziął bat. Trzasnął nim groźnie dwa razy, podszedł do skutego Hitlera i uśmiechnął się do niego szeroko.

- Boisz się swojego pięknego, aryjskiego pana, prawda? Drżąc i pocąc się obficie Hitler podniósł wzrok.

- Boję się, panie. Ale także go kocham, bo mój pan jest najwyższy. Moim najskrytszym marzeniem jest to, że kiedyś mój aryjski pan zawładnie światem i oczyści ziemię ze zła.

- A co jest złem?

- Ja, żydowski śmieć.

- Zgadza się, niewolniku. A teraz przygotuj się do otrzymania kary. Hitler z trudem się obrócił do psiej pozycji. Rudi wzniosł bat i trzasnął Hitlera po pośladkach.

- Żyd! - ryknął Rudi, kiedy Hitler krzyknął z bólu. - Parch! –wył, kiedy bat uderzył po raz drugi i trzeci.

- Och! - krzyczał Hitler. - To jest piękne, panie! Jeszcze! Jeszcze! Rudi usłuchał skwapliwie, chłoszcząc bezlitośnie, aż przyszły

kanclerz Niemiec spuścił się, rozpryskując nasienie po drewnianej podłodze.

Zdyszany i spocony od wysiłku Rudi cisnął bat na stół i osunął się na perkalową sofę.

- Teraz moja kolej, Dolf- wysapał, ścierając pot z ud.

Hrabia Rudi von Winterfeldt wychował się może wśród pięknych krajobrazów, ale jego dusza bez wątpienia nie należała do pięknych.

Coś dziwnego zdarzyło się wczoraj w nocy w zamku mojego ojca - powiedział Rudi tego wieczoru, kiedy siedział z Hitlerem w rogu Café Neumaier, staromodnej kafejki u zbiegu Petersplatz i Viktualien Markt w Monachium.

Drewniane ławy wyłożono na szczęście poduszkami; kochankowie mieli obolałe pośladki po bezlitosnym batożeniu

- w ich psychoseksualnych zabawach Hitler równie chętnie odgrywał rolę pana, jak i niewolnika. Tu właśnie, w długiej, wyłożonej boazerią sali kafejki Hitler urzędował w poniedziałki, wypróbowując swe najnowsze koncepcje polityczne na kompanach i zwolennikach. Tego dnia jednak, jako że nie był to poniedziałek, w kafejce siedziała głównie apolityczna klientela, choć wielu Bawarczyków rozpoznawało Hitlera raczącego się zupą z soczewicy, jedną z jego ulubionych potraw.

- Co takiego? - spytał Hitler, który bardzo starannie unikał okazywania sympatii do Rudiego w miejscach publicznych.

- Słyszałeś może o amerykańskiej firmie zbrojeniowej o nazwie Spółka Ramschilda?

- Oczywiście.

- Jej właściciel, niejaki Nick Fleming, był zeszłej nocy gościem mego ojca.

- Słyszałem o Flemingu. Widziałem kilka jego filmów, podobały mi się. To chyba Żyd, tak? Wszyscy ci ludzie filmu z Hollywood to Żydzi. Oni zawsze przechwytyją środki masowego przekazu, na przykład prasę. Kontrolują prasę światową!

- Z tego, co wiem, Fleming jest pół-Żydem - powiedział Rudi, chcąc powstrzymać Hitlera, nim rozpocznie jedną ze swych nie kończących się tyrad przeciwko Żydom. Rudi był zagorzałym antysemitą, ale nawet jego usypiały czasem monologi Dolfa. - W każ-



dym razie siedzieliśmy przy kolacji, kiedy jeden z lokajów najwyraźniej wyciągnął pistolet, albo zaczął wyciągać pistolet. Mówię najwyraźniej, bo nie widziałem tego. Fleming rzucił się na lokaja i odebrał mu broń.

- Ale po co ten lokaj miałby wyciągać pistolet? - spytał Hitler z zaciekawieniem.

- Mój ojciec przypuszcza, że usiłował go zamordować.

- Dlaczego?

- Lokaj jest Rosjaninem, podejrzanym o przynależność do Kominternu. Dziwne jednak, że, jak się okazało, ma amerykański paszport.

Hitler, który próbował ulepszać swe maniery, w miarę jak piał się w górę po szczeblach kariery zawodowej, subtelnie otarł usta serwetką.

- To wszystko nie ma sensu - powiedział. - Po pierwsze, po co Komintern miałby zabijać twojego ojca, który nie pełni w rządzie żadnej ważnej roli. Po drugie, po co posługiwać się agentem amerykańskim? Wreszcie po trzecie, jeśli chcesz kogoś zamordować, po co to robić w jadalni, skoro znacznie łatwiej i skuteczniej można to zrobić, dajmy na to w samochodzie?

- Dokładnie to samo pomyślałem. Cała sprawa wygląda bardzo podejrzanie. Na dodatek dziś rano Fleming spotkał się z moim ojcem, po czym wszyscy pojechali do Berlina. Wydało mi się to bardzo dziwne. Instykt mówi mi, że dzieje się coś, czego nie dostrzegam... Fakt, że Fleming handluje bronią, jest znamieny.

Hitler zastanawiał się przez chwilę, wycierając bułką resztki zupy.

- Czy Fleming zatrzymał się w Adlon? - zapytał.

- Tak.

- Każę go śledzić. Zobaczymy, co knuje.

**Nad** podwójnymi drzwiami prostego ceglanego domu niedaleko Kurfurstendamm nagie żarówki migają jaskrawo, układając się w napis CAFÉ BERLIN. Stolica Niemiec miała do zaoferowania wiele innych atrakcji poza niskimi cenami: luksusowe hotele takie jak Adlon czy Bristol, wspaniałe zbiory dzieł sztuki i przepych muzeum Pergamonu, piękną operę, dość przytłaczającą architekturę okresu cesarstwa, złagodzoną tysiącami drzew lipowych i kasztanowych rosnących wzdłuż szerokich alei, gdzie klekotały tramwaje, a czarne taksówki w złote pasy i wielobarwne autobusy walczyły

0 pierwszeństwo przejazdu, kierowane przez konnych policjantów w perłowszarych mundurach, a także leśny spokój Tiergarten

i Wannsee. Turyści o bardziej wyrafinowanych gustach mogli tu znaleźć tysiące prostytutek, transwestytów przesiadujących w kafejkach na chodnikach, ukazujących pod spódnicami owłosione uda, a w klubie nocnym Femina - lesbijki rozsiewające woń tanich perfum i potu, tańczące przez całą noc w takt gorących rytmów murzyńskiej orkiestry jazzowej. Największą atrakcją turystyczną Berlina była jednak Café Berlin, nie tylko z powodu pracujących tam najpiękniejszych, cieszących się największym wzięciem prostytutek, ale ze względu na swoją gwiazdę piosenki, Magdę Bayreuth.

- To oczywiście nie jest jej prawdziwe nazwisko - powiedział hrabia Alex von Winterfeldt do swoich gości, Nicka i Edwiny Flemingów, kiedy siedzieli przy stoliku z białym obrusem, czekając na rozpoczęcie występu. - Naprawdę nazywa się Ulrika Himmelfahrt, więc rozumiecie, że musiała to zmienić. Jej ojciec był hydraulikiem, a matka podobno prostytutką, jak tamte dwie panie przy sąsiednim stoliku. Nawiasem mówiąc, jak widzicie, każdy stolik zaopatrzone jest w telefon. Jeśli macie jakąś sprawę do innego stolika, kręćcie jego numer i *voilà*

- Zawsze słyszałam, że Niemcy są praktyczni - powiedziała Edwina, na której, mimo germanofobii spowodowanej wojną, Berlin wywarł duże wrażenie.

- Tak czy inaczej, Magda jest bez wątpienia najpiękniejszą kobietą w Niemczech, naturalnie wykluczając tu obecnych. Moja żona nie aprobeuje jej występów, toteż nie przysłała tu z nami, jednak jestem pewien, że będziecie się świetnie bawić.

- Nie mogę się doczekać - powiedział Nick.

- Czy jestem tu jedyną nie-prostytutką? - spytała Edwina rozglądając się po dużej, zadymionej sali.

- Prawdopodobnie - odparł Alex.

Pomimo spelunkowatej atmosfery wszyscy mężczyźni mieli na sobie smokingi, a kobiety eleganckie suknie wieczorowe, chociaż wiele prostytutek było przesadnie umalowanych, a znaczną część ich biżuterii stanowiły tanie imitacje. Wzdłuż ścian ciągnęły się półkoliste skórzane kanapy, porozdzielane przegrodami z misternie grawerowanych szklanych tafli. W końcu sali znajdowała się mała scena z czerwono-złotą kurtyną. Sześciuosobowa orkiestra stroiła instrumenty. Zastali głośny akord i zasłona się rozsunęła. Na scenę wyszła

wysoka blondynka w białym letnim mundurze oficera niemieckiej marynarki wojennej. Dłonie trzymała w kieszeniach spodni, czapkę przekrzywiła zawadiacko, a z cienkich, szkarłatnych ust zwisał papieros. W swojej karierze producenta filmowego Nick widział wiele pięknych kobiet. Jednak- może był to szok wywołany widokiem kobiety w męskim ubraniu, może wyraz zamyślanej wzgardy na jej przepięknej twarzy, a może jedno i drugie - nigdy nie widział kobiety równie podniecająco pięknej jak Magda Bayreuth.

Śpiewała cichym, matowym głosem, który pieścił bębunki, lizał libido i sugerował, sugerował, sugerował. Śpiewała o rozkoszach i smutkach miłości i pożądania. Śpiewała, przez pół godziny prawie nie ruszając się z miejsca, elektryzując całą salę. Kiedy opadła kurtyna, tłum oszalał. Nick zerwał się na nogi wiwatując i bijąc brawo.

- Ona jest bajeczna! - przekrzykiwał hałas. - Fantastyczna!

- Chcesz ją poznać? - krzyknął hrabia Alex.

- Tak!

O Boże, pomyślała Edwina. Znowu się zaczyna.

Garderoba Magdy była skromna jak na gwiazdę - w rogu widać było rury, a stary żelazny grzejnik bardziej huczał, niż grzał. Miała na sobie brudny szlafrok. Alex pocałował ją w rękę i powiedział:

- Chcę, żebyś poznała dwoje moich amerykańskich przyjaciół. Pan Nick Fleming z żoną.

Magda otworzyła szeroko oczy patrząc na Edwinę.

- Ależ ja jestem pani wielką wielbicielek! Widziałam wszystkie pani filmy i z niecierpliwością czekam na obejrzenie *Miłości pustyni* w ten weekend.

- A ja jestem pani wielbicielek - odparła chłodno Edwina. - Pani śpiew ogromnie mi się podobał.

Magda zwróciła się do Nicka:

- Muszę przyznać, że pańska wizyta oszczędziła mi sporo kłopotów.

- Dlaczego? - spytał Nick.

- Cóż, zamierzałam jakoś zorganizować nasze spotkanie. Widzi pan, podobnie jak wielu artystów, dostaję zawrotów głowy, kiedy myślę o Hollywood. Chciałam pana spytać, czy sądzi pan, że niemiecka aktorka miałaby jakąkolwiek szansę w amerykańskim filmie.

- Nie wiedziałem, że oprócz śpiewania pani także gra.
- Wystąpiłam w kilku filmach dla UFY. Obawiam się, że to nic wielkiego, małe rólki, ale chyba nie wypadłam najgorzej. Kocham kino.

Nick spojrział na żonę i zobaczył, jak zwięzła oczy. Uśmiechnął się do Magdy.

- Może zjemy jutro lunch w Adlonie i porozmawiamy o tym?
- Uroczo - zamruczała Magda. - Powiedzmy, o pierwszej?

Uroczo - prychnęła Edwina w taksówce dziesięć minut później. - Powiedzmy, o pierwszej? - Złośliwie przedrzeźniała niemiecki akcent Magdy.

- Ty także jesteś zaproszona - powiedział Nick. Taksówka jechała do hotelu Adlon, Unter den Linden numer jeden.

- Miałabym ci zepsuć zabawę? Nie, dzięki.

- Edwino, ja robię filmy! Szukanie nowych talentów to część mojej pracy. Ta Magda może być nową Garbo.

- Och, Nick, oszczędź mi tych bzdur. Chyba nie mogę cię winić, ona faktycznie jest wspaniała. Myślę po prostu, że w obecności żony mógłbyś zachowywać się dyskretniej.

Nadała się. Nick wziął ją za rękę, ale ona się odsunęła.

- Pamiętaj tylko, że jest tu mnóstwo przystojnych Niemców - powiedziała. - Ostrzegam cię. Może się okazać, że wcześniej, niż przypuszczasz, będziesz miał do czynienia z sytuacją, o której rozmawialiśmy.

Teraz przyszła jego kolej na dąsy.

Następnego ranka o dziewiątej chłopiec hotelowy podszedł do Nicka w wysokim hallu hotelu Adlon i oznajmił:

- Pański satnochód czeka, panie Fleming.

Nick dał chłopcu napiwek i wyszedł przez drzwi obrotowe. Przed hotelem czekał skromny czterodrzwiowy sedan.

Za kierownicą siedział mężczyzna w czarnym meloniku, z monoklem w prawym oku. Nick podszedł i otworzył drzwiczki.

- Generał von Treskow? - spytał.

- Tak. A pan jest Fleming?

- Zgadza się.

- Proszę wsiadać.

Nick zajął miejsce obok kierowcy. Generał, szczupły, niski mężczyzna o piaskowych włosach, miał na sobie granatowy garnitur. Uścisnął rękę Nicka mówiąc:

- Hrabia von Winterfeldt rozplątywał się opowiadając mi o panu. Naturalnie, jesteśmy zachwyceni, mając Amerykanina po swojej stronie, żeby tak rzec.

- Każdy kraj musi mieć armię, żeby się bronić - powiedział Nick. - Jest wielu Amerykanów, takich jak ja, którzy sądzą, że traktat wersalski był błędem.

- Doskonale! - odparł z uśmiechem generał wyjeżdżając na Unter den Linden.

- Jestem starym przyjacielem Alexa von Winterfeldta - ciągnął tonem niezobowiązującej rozmowy. - Nasze rodziny znają się od wielu pokoleń. Dlatego tak mi żal Alexa i jego żony.

- Żal? Czy są chorzy?

- Nie, cieszą się dobrym zdrowiem. Chodzi o ich syna, Rudiego. Pan nie może o tym, rzecz jasna, wiedzieć, ale Rudi jest faszystą, i to zagorzałym. Jego rodzice nienawidzą Hitlera i wszystkiego, co reprezentuje, mogą zresztą dodać, że podobnie rzecz się ma z większością naczelnego dowództwa. Dlatego był to dla nich okropny cios, kiedy ich syn wstąpił do partii, zostając bliskim przyjacielem samego Hitlera. Próbują udawać, że nic się nie stało, ale wszyscy o tym wiedzą. To prawdziwa tragedia, ale obawiam się, że będziemy z nią mieli w Niemczech coraz częściej do czynienia, chyba że ktoś zdoła zamknąć gębę temu szaleńcowi. Osobiście nie rozumiem, na czym polega siła jego oddziaływania.

- Słyszał pan, jak przemawia?

- Tak, raz w Monachium. Chyba wie, jak podburzyć tłum, ale nigdy nie lubiłem krzykaczy. A Hitler krzyczy.

- Tak słyszałem.

- Czy Alex wspominał panu, dokąd pana zabieram?

- Nie, zachowywał wielką dyskrecję. Powiedział tylko, że przyjedzie pan po mnie do hotelu o dziewiątej.

- To dobrze. O tym, co pan zobaczy, wie tylko garstka Niemców i kilku Szwedów.

- Zakłady Boforsa?

- Właśnie.

- Od pewnych ludzi w przemyśle zbrojeniowym słyszałem, że sekretnym właścicielem Boforsa jest *Herr KRUPA*.

Generał von Treskow wziął zakręt.

- Oficjalnie powiedziałbym, że się pan myli - powiedział. - Nieoficjalnie natomiast, że ma pan dobre źródła informacji.

- Czy mogę zadać szczerze pytanie?

- Proszę.

- Dlaczego pan mi ufa?

- Odpowiedź jest prosta, *Herr* Fleming. Potrzebujemy pana. Jesteśmy na miejscu, Potsdamer Platz numer jeden. Zaparkował przed zwyczajnie wyglądającym urzędem.

- Dziesiąte piętro - powiedział generał. - Niestety, nie ma windy. Musimy iść.

Weszli do budynku z przełomu wieku i zaczęli się wspinać po schodach. Kiedy zadyszani dotarli do dziesiątego piętra, generał zaprowadził Nicka do znajdujących się w końcu korytarza drzwi, na których widniała mała mosiężna tabliczka z napisem KOCH UND KEINZLE (E).

- E oznacza *Entwicklung*, rozwój - powiedział generał dzwoniąc do drzwi. Po chwili w judaszu pojawiło się oko. Szczęknął zamek i drzwi otworzył mężczyzna w koszuli, z zielonym daszkiem na głowie.

- Przypomina mi to nielegalną melinę - zauważył Nick wchodząc za generałem do małej poczekalni.

Drzwi zamknięto ponownie, a gości zaprowadzono przez kolejne drzwi do dużego pomieszczenia zastawionego stołami kreślarskimi. Pracowały przy nich co najmniej dwa tuziny kreślarzy; ten, który siedział najbliżej drzwi, wstał ze stołka, podszedł do generała i uścisnął mu rękę.

- To jest Hugo Pfeiffer, który kieruje projektem - przedstawił go generał. - To jest *Herr* Fleming, właściciel amerykańskiej Spółki Zbrojeniowej Ramschilda. Hugo pokaże tu panu trochę rzeczy.

Pulchny Hugo, który przypominał raczej pomocnika Świętego Mikołaja niż projektanta śmiertelnych maszyn, oprowadził Nicka po sali, demonstrując postęp prac. Nick zobaczył szczegółowe projekty zdumiewająco nowoczesnego modelu czołgu, niezbyt starannie zamaskowanego pod postacią *Landwirtschaftlicher Akerbau Trecker*, traktora rolniczego; ten konkretny traktor wyposażono w działko kalibru siedem i pół centymetra. Na innych stołach leżały projekty ośmiu różnych odmian ciężkiej artylerii, haubic, lekkich karabinów

oraz nowego, ruchomego moździerza kalibru dwadzieścia jeden centymetrów. Nick był oszołomiony. Nie miał wątpliwości, że armia wyposażona w taką broń uzyskałaby miażdżącą przewagę nad każdą inną armią świata.

- To jest oddział firmy Kruppa - powiedział generał, kiedy zwiedzanie dobiegło końca. - Wszystkie te projekty są naturalnie autorstwa Kruppa. Jak panu wiadomo, możliwości jego zakładów w produkcji broni są poważnie ograniczone, a te projekty, podobnie jak dziesiątki innych, których pan nie widział, dotyczą przyszłej produkcji.

Jednak, mówiąc szczerze *Herr Fleming*, część tej produkcji odbywa się już potajemnie w Essen, a także w szwedzkich zakładach Boforsa, które nie mają tego typu ograniczeń. Kiedy Alex powiedział mi, że jest pan gotów sprzedawać broń niemieckiej armii, natychmiast zrozumiałem, jak bardzo może się nam pan przydać. Gdyby rozpoczął pan w swoich zakładach w Ameryce produkcję jednego z naszych modeli, byłby to przykład tego, co Amerykanie nazywają świetnym interesem dla obu stron.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - powiedział Nick z namysłem. - Jednak wiąże się to dla mnie z niemałym ryzykiem.

- Jesteśmy gotowi dobrze zapłacić za to ryzyko, *Herr Fleming*. Tak się szczęśliwie składa, że jesteśmy doskonale finansowani.

Nick rozejrzał się po sali kreślarskiej.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział.

- Naturalnie. Tymczasem mam nadzieję, że przyjmie pan zaproszenie na lunch?

- Niestety, czy raczej na szczęście, umówiłem się na lunch z Magdą Bayreuth.

Generał zaśmiał się.

- Słyszałem, że szybki z pana zawodnik, *Herr Fleming*. Najwyraźniej moje źródła informacji nie ustępują pańskim.

Miała na sobie kremowy kostium z krepy, w pełni podkreślający jej oszałamiającą figurę. Kiedy weszła z Nickiem do restauracji hotelu Adlon, wszystkie oczy w zatłoczonej sali zwróciły się na nią ludzie pożerali ją wzrokiem, od eleganckich czarno-białych pantofli od Chanel, w górę wzdłuż rewelacyjnych nóg, aż po czarny kapelusz w kształcie hełmu z białą obwódką. Wpatrywano się w nią z pożądaniem, zawiścią i respektem - wejście Maedy Bavreuth do każdego

pomieszczenia stanowiło wydarzenie. Starszy kelner Oskar pocałował ją w rękę odrobinę zbyt lubieżnie.

- Z każdym dniem wygląda pani śliczniej, *Fraulein* - zalecał się Oskar. - Zarezerwowałem panu stolik przy oknie, *Herr Fleming!* - Chowając do kieszeni sto marek, które Nick wsunął mu dyskretnie, zaprowadził parę do stolika, skąd rozciągał się widok na Unter den Linden.

- Mamy doskonałego irlandzkiego łososia - oznajmił, usadziwszy gości.

- Jestem na diecie - powiedziała Magda z zamglonym uśmiechem. - Nic poza szampanem i kawiozem.

- Droga dieta - zauważył oschle Nick.

- Nie dla mnie. Dla pana. Zaśmiał się.

- Kiedy jem lunch sama, poprzestaję na dwóch tostach i listku sałaty - ciągnęła. - Niecodziennie zaprasza mnie na lunch producent z Hollywood.

Położyła małą czarną torebkę na stole, a potem skrzyżowała nogi tak, by cała sala mogła je widzieć. Fascynujące, pomyślał Nick, każdy ruch musiała ćwiczyć przed lustrem.

- A zatem, panie Fleming - powiedziała, kiedy nalano szampana do wąskich kryształowych kieliszków. - Słyszałam, że *Śpiewak jazzowy* odniósł wielki sukces w Nowym Jorku. Czy to oznacza, że wszystkie filmy zaczną mówić?

- W Hollywood toczy się burzliwa dyskusja na ten temat. Niektórzy twierdzą, że to tylko przelotna moda.

- A co pan uważa?

- Ja przystosowuję studio do filmów dźwiękowych.

- Widzę, że jest pan człowiekiem, który nie boi się decyzji. Podziwiam tę cechę w mężczyznach. - Przerwała na chwilę, przyglądając się Nickowi z wymownym wyrazem twarzy. - Czy to znaczy, że Niemka z akcentem takim jak mój nie ma szansy na sukces w Hollywood?

- Naprawdę nie wiem. Myślę, że kiedy widzowie usłyszą niektóre swe ulubione gwiazdy mówiące ze złym akcentem czy piskliwie, wpłynie to na wiele karier. Z drugiej strony, akcent taki jak pani może zaintrygować wielu Amerykanów. Pani angielski jest poza tym całkiem dobry. Czy zechciałaby pani zrobić dla mnie zdjęcia próbne w studiach UFA w Poczdamie?



- Och, naturalnie.

Do stolika podszedł Oskar.

- Przepraszam, *Herr* Fleming. Dzwoni do pana niejaki pan Arthur Harding.

- Dziękuję - powiedział Nick wstając. - Wybaczy mi pani, *Fraulein*"?

- Proszę mi mówić Magda.

Przez miłą chwilę patrzył na jej nogi, potem pomyślał o Edwinie.

- Zgoda, Magdo.

Oddalił się od stolika. Magda zapaliła papierosa. Już dowiedziała się czegoś interesującego.

**Miał** niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, a ważył czterdzieści pięć kilo. Paraliż dziecięcy spowodował deformację stopy, co wykluczyło go ze służby w wojsku podczas pierwszej wojny światowej. Przeniósłszy się z uniwersytetu w Monachium do Heidelbergu, w roku 1921 zrobił doktorat z literatury. Następne kilka lat spędził na pisaniu romantycznej autobiografii zatytułowanej *Michael*, a także liryków i sztuk, zarabiając na życie nauczaniem i pracą na giełdzie w Kolonii. Joseph Goebbels, który wcześniej był żarliwym marksistą, spotkawszy Adolfa Hitlera wiedział, że spotkał bohatera, którego szukał przez całe życie. „Wielka radość!” - odnotował w swoim dzienniku. „Wita mnie jak starego przyjaciela. Jak ja go kocham! Te duże niebieskie oczy. Sajak gwiazdy. Cieszy się na mój widok. Jestem w niebie.”

Goebbels, błyskotliwy wydawca i propagandysta, trzeciorzędny powieściopisarz, był dokładnie tym, czego Hitler potrzebował, toteż piął się w hierarchii partyjnej z szybkością meteoru. Zaledwie przed rokiem przybył do Berlina, by reprezentować tu interesy Hitlera. Mimo maślanych oczu, jakie robił do *Fiihrera*, Goebbels był człowiekiem o niezwykle silnym popędzie seksualnym, wprost uganiał się za spódniczkami. Od przyjazdu do Berlina uganiał się skutecznie za elegancką spódniczką Magdy Bayreuth. Tego dnia o szóstej wieczorem wszedł kulejąc do windy ozdobnego domu w Grunewald i wjechał na drugie piętro, gdzie Magda wpuściła go do swego mieszkania w stylu Art Deco. Magda, mająca sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, musiała się schylić, żeby Goebbels mógł ją pocałować w usta.

- Magda, kochanie, moja wspaniała *Liebchen!* - wydyszał, ściskając jej pośladki przez spódnicę. - Już mi stoi! - Wynałazca dwudziestowiecznych technik propagandowych wsunął rękę pod jej spódnicę i potarł Magdę w kroczu.

- Joseph, zachowuj się jak cywilizowany człowiek - warknęła, odpychając go. - Wypijmy chociaż koktajl. Poza tym mam dla ciebie nowiny.

- Spotkałeś się na lunchu z Flemingiem?

- Tak. Jest całkiem miły i bardzo przystojny.

Przeszła po dywanie z białego lisa i otworzyła czarno-kryształowy barek.

- Poszłaś z nim do łóżka? - spytał Goebbels płonąć z erotycznej ciekawości.

- Nie. Nawet nie próbował. Oczywiście, może jeszcze spróbować. Ale podczas lunchu wezwano go do telefonu i zgadnij, kto dzwonił?

- Kto?

- Arthur Harding.

- Co? Ale jak... - Zaczął chodzić po pokoju. - Poczekaj chwilę... Tak, oczywiście! To się zaczyna układać! Harding jest berlińskim korespondentem sieci prasowej Clairmont.

- A mówiłeś mi, że Van Nuys Clairmont jest ożeniony z matką Fleminga.

- Dokładnie! O, mój Boże. - Zatrzymał się, a jego twarz przypominająca czaszkę zbladła jak płótno. - Mój człowiek w Adlonie doniósł, że dziś rano po Fleminga przyjechał generał von Treskow i zawiózł go na Potsdamer Platz. Przez chwilę przyglądał się Magdzie, a potem wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak bawi? - spytała, podając mu martini.

- Głupcy! Idioci! Nie widzą, co on knuje, ale ja chyba to widzę!

- Kim są ci oni?

- Naczelne dowództwo, oczywiście. Ależ się wściekną! - Przestał się śmiać i upił łyk koktajlu. - Ten Fleming musi być bardzo sprytnym człowiekiem - zauważył z szacunkiem. - A także niebezpiecznym dla Niemiec. Trzeba go powstrzymać.

- Joseph, przestań być tak okropnie tajemniczy. Jak myślisz, co on zamierza?

- Myślę, że prawdopodobnie przekonał Treskova i innych, że chciałby im sprzedawać broń, ale w istocie chce powiadomić świat

O tym, że Niemcy znowu się zbroją. Nie dbam ani trochę o Treskova i innych z naczelnego dowództwa, moim zdaniem to dupki, ale ta armia będzie kiedyś nasza. Tak, Fleminga trzeba powstrzymać.

Podszedł do srebrnego telefonu Magdy i podniósł słuchawkę.

Kiedy skończyli się kochać w czarnym łóżku Magdy, zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym.

- Joseph, musisz porozmawiać z *Führerem*. Wiesz, że słyszę wszystkie plotki, jakie krążą po Berlinie, naprawdę wszystkie. Wszyscy mówią o Rudim von Winterfeldcie. To zaczyna pachnieć skandalem, który może zrujnować *Führern* i partię.

Goebbels z zatroskaną miną usiadł na łóżku.

- Wiem - powiedział cicho. - *Führer* jest takim wielkim człowiekiem, stoi ponad słabościami, które są naszym udziałem... A mimo to ten jeden młody człowiek... - Potrząsnął głową. - On jest jak demon. - Westchnął. - Porozmawiam z *Führerem*, ale to będzie straszna scena. Coś mi mówi, że nie będzie ze mnie zadowolony.

## ***Rozdział dwudziesty drugi***

To fantastyczny materiał! - krzyknął Van Clairmont do swojej żony Edith w sypialni domu w Sands Point. - Absolutna bomba! Dziś po południu dostałem pierwsze tysiąc słów od Arthura Hardinga. Gwarantuję ci, że kiedy to opublikujemy, ta informacja trafi na pierwsze strony gazet na całym świecie! Nick widział na własne oczy tajne plany Kruppa dla niemieckiej armii, a oni przyznali, że w Essen trwa już produkcja. Na dodatek zakłady Boforsa w Szwecji, które są potajemnie własnością Kruppa, produkują karabiny dla Niemców. To dynamit!

Edith zamruczała z zadowolenia.

- Przyznajesz więc, że Nick nie jest taki zły? Przez lata powtarzałeś, że jest chciwy i podstępny.

- On jest chciwy i podstępny - przerwał jej Van, zakładając smoking, ponieważ wybierali się na przyjęcie. - Ale teraz może być podstępny na moją korzyść. Zapewniam cię też, że to, co robi, wymaga niemało odwagi. Ale nie jestem głupcem, Edith. Ani przez chwilę nie sądzę, że nie wiem, czemu to robi. Ty także wiesz.

Edith przesunęła dłonią po siwych włosach, przeglądając się w lustrze toaletki. Potem wstała i odwróciła się do męża.

- Owszem, wiem, i nie wstydzę się tego przyznać. Jest w końcu moim synem, więc chcę, żeby coś po mnie odziedziczył.

Van skończył wiązać czarny krawat.

- Tym czymś są, jak sądzę, moje gazety?

- Czy to takie złe? Sam przyznałeś, że jest bardzo zdolnym biznesmenem. W Hollywood odniósł sukces, kiedy wszyscy wróżyli mu klęskę. Odkąd przejął Ramschilda, wartość ich akcji prawie się podwoiła. Oczywiście, że Nickowi zależy na twoich gazetach! Komu

by nie zależało? Poza tym oprócz twojej córki nie ma nikogo, kto mógłby je odziedziczyć, a mam nadzieję, że nie powiesz mi, że mogłaby nimi kierować, czy choćby być tym zainteresowana. Ona nie jest dość trzeźwa, żeby przeczytać gazetę, a co dopiero ją wydawać.

Na twarzy Vana pojawił się grymas bólu. Alkoholizm jedyne dziecko przysparzał mu niemało cierpień. Edith podeszła i pocałowała go.

- Przepraszam, kochanie. To, co powiedziałam, było okrutne.

- Nie, masz rację. - Westchnął. - Masz też chyba rację co do Nicka. Odnosiłby pewnie sukcesy jako wydawca. Poza tym jest twoim synem. - Pocałował Edith.

- Pomyślisz więc o tym? Van się zaśmiał.

- Od trzech lat próbujesz mnie nakłonić, żebym umieścił Nicka w swoim testamencie, więc nie sądź, że o tym dużo nie myślałem. Powiem ci, co zrobię. Kiedy Nick wróci z Europy, porozmawiam z nim. Jeśli okaże się poważny, zacznę mu przekazywać sekrety wydawnicze.

- Jesteś najcudowniejszym człowiekiem na świecie - powiedziała Edith obejmując Vana.

Przyglądał się jej przez chwilę spoza grubych szkielek, a potem powiedział:

- Ciekawe, czy kiedykolwiek pokochasz mnie równie mocno jak Nicka.

- Van! Jak możesz mówić coś podobnego?!

- Nie zrozum mnie źle, nie posądzam cię o kazirodztwo. Uważam jednak, że Nick rzucił na ciebie urok w dniu, kiedy przyszedł do ciebie w Pensylwanii jako samotny, potrzebujący opieki chłopiec.

- Może masz rację - powiedziała Edith po chwili zastanowienia. - On zawsze mnie intrygował.

- A także schlebiał ci i oczarowywał.

- I wściekał. Nie jestem ślepa na jego wady, Van, ale zawsze czułam, że w głębi duszy jest wartościowym człowiekiem. Myślę, że udowodnił to tym, co zrobił w Berlinie.

- Cóż, trudno powiedzieć, żeby kierował się altruizmem.

- Wiem. Mimo to jest kimś w rodzaju bohatera, przynajmniej dla mnie.

- W twoich oczach Nickowi nawet morderstwo uszłoby na sucho - zauważył Van z lekkim uśmiechem.

Otto Reineke, chłopiec hotelowy, jeden z ludzi Goebbelsa w Adlonie, przeszedł przez hall i podszedł do Nicka, który siedział w fotelu wertując francuskie czasopismo.

- Pański samochód czeka, *Herr Fleming* - oznajmił, salutując do czerwonej czapki w kształcie pudełka, umocowanej do jego młodzieńczej, jasnowłosej głowy za pomocą gumki pod brodą.

- Dzięki, Otto - powiedział Nick wstając i wręczając mu dziesięciomarkowy napiwek. Przeszedł przez zatłoczony hall, minął drzwi obrotowe, podszedł do samochodu zastanawiając się, czemu generał von Treskow zmienił model. Kiedy odzwierny otworzył przed nim drzwiczki, Nick spostrzegł, że w samochodzie nie siedzi generał von Treskow, ale młody człowiek w brązowym garniturze i kapeluszu. Nos miał do połowy zmiażdżony.

- Generał prosił, żebym po pana przyjechał - powiedział kierowca fatalnym angielskim.

- Gdzie on jest? - spytał Nick.

- Na Potsdamer Platz.

Nick wiedział, że spotkanie między nim a pozostałymi członkami naczelnego dowództwa zorganizowano w „sali projektów” na dziesiątym piętrze pod numerem czwartym, więc wszedł do samochodu. Kierowca wrzucił bieg i samochód wyjechał z rykiem na Unter den Linden.

Po pięciu minutach Nick zorientował się, że jadą w złym kierunku.

- To nie jest droga na Potsdamer Platz - powiedział.

- To jest objazd - wyjaśnił kierowca. - Prowadzą roboty drogowe. - Skręcił w wąską uliczkę. Jechał z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, a opony zapiszczały przy skręcie.

Nick sięgnął do kieszeni, wyciągnął pistolet i wycelował go w głowę kierowcy.

- Zatrzymaj wóz - rozkazał. Tamten nawet na niego nie spojrział.

- Powiedziałem: zatrzymaj wóz! - krzyknął Nick, przyciskając mu pistolet do skroni.

Kierowca zwolnił, skręcił w zaułek i zahamował z piskiem opon. W zaułku, naprzeciwko samochodu stała ciężarówka, a obok niej trzech uzbrojeni mężczyźni w znoszonych garniturach.

Z wyjątkiem warkotu silnika wokół panowała cisza. Było kilka minut po dziewiątej, słoneczny poranek, ale poza trójką mężczyzn w zaułku nie było nikogo, a okiennice domów pozamykano. Nick

zrozumiał, że znalazł się na miejscu egzekucji, że ktoś przejrzał jego grę i zdradził. Oblał się potem. Z całej siły uderzył w brzuch kierowcę, który złożył się w pół z bólu. Szybkim ruchem sięgnął za siebie, otworzył drzwiczki i wypchnął go. Tamci otworzyli ogień, a Nick skulił się na siedzeniu, wrzucił wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu. Samochód zaczął się wycofywać z zaułka, kule roztrzaskiwały przednią szybę, a Nick podniósł pistolet strzelając na oślep. Wyjechał na ulicę. Przy akompaniamencie klaksonów włączył się tyłem do ruchu, nawet nie próbując prowadzić samochodu, po prostu nie zdejmował nogi z gazu. Rozległ się pisk hamulców, coś trzasnęło w tył samochodu, zatrzymując go. Rozległy się gniewne głosy niemieckich kierowców i więcej klaksonów.

Nick wygrzebał się z samochodu, pobiegł na tył, gdzie ujrzał taksówkę, która włączyła mu się w prawy zderzak; na jezdnię gramolił się biały z wściekłości taksówkarz. Nick zobaczył gromadzący się tłum. Zauważył też ciężarówkę wyjeżdżającą z rykiem z zaułka. Przypadł do chodnika, kiedy pistolety plunęły ogniem z okien ciężarówki. Rozległy się krzyki przechodniów, którzy kulili się i pierzchali. W powstałym zamieszaniu Nick podniósł wzrok i zobaczył, jak taksówkarz pada obok niego na chodnik. W miejscu, gdzie jedna z kul utkwiała w mózgu, lewe oko tryskało krwią.

Było po wszystkim.

Uciekł wam? - krzyknął Joseph Goebbels do słuchawki. Stał w salonie Haus Wachenfeld, skromnej willi, którą Hitler kupił w Obersalzberg. W Berlinie wciąż trwało babie lato, ale tu, w Alpach Bawarskich padał drobny śnieg. - Idioci! Jak mógł się wam wymknąć? Było was czterech! - Goebbels słuchał przez chwilę, marszcząc czoło. W końcu powiedział: - To zostanie włączone do waszych akt! - Trzasnął słuchawką o widełki.

Zastanawiał się przez chwilę rozglądając się po przyjemnym, wiejskim pokoju. Weranda ozdobiona bawarskimi piernikami wychodziła na ośnieżony ogród. Goebbels poprosił o audiencję u *Führera* w jego ulubionym górskim odosobnieniu, by poruszyć niezwykle delikatną sprawę Rudiego von Winterfeldta. A teraz kolejne złe wiadomości! Goebbels przeklął nieudolność swoich faszystowskich zabójców. Kiedy powiadomił *Führera* o wzbiegu Nicka, Hitler

w pełni się zgodził, że tego żydowskiego Amerykanina, jak go nazywał, trzeba zabić. Hitler wierzył z zapalem mesjasza, że czas jest po jego stronie i że, pomimo przeszkód, w ciągu pięciu lat zostanie politycznym przywódcą Niemiec. Armia stanowiła kluczowy czynnik w jego marzeniu o podboju Europy wschodniej i, podobnie jak Goebbels, myślał już o armii jako o prywatnej własności partii faszystowskiej. Równie szybko jak Goebbels dostrzegł niebezpieczeństwo wiążące się z ujawnieniem potajemnych zbrojeń i, podobnie jak Goebbels, pomstował na głupotę naczelnego dowództwa, które zaufało Flemingowi.

Teraz Goebbels musiał powiadomić *Führern*, że jego partacze zawiedli.

Biorąc głęboki wdech, Goebbels przeszedł przez niski pokój i zapukał do drewnianych drzwi gabinetu Hitlera.

- Wejdz.

Otworzywszy drzwi Goebbels wszedł do małego pokoju, z którego okien rozciągał się piękny widok na Salzburg. Pod oknem stało małe biurko, przy którym pisał Hitler. Mistrz propagandy minął półkę z powieściami Karola Maya, poczytnego autora książek dla chłopców, którego *Führer*, ku zdziwieniu Goebbelsa, uwielbiał.

Hitler odwrócił się, odkładając pióro.

- *Mein Führer* - zaczął nerwowo Goebbels. - Mam złe wiadomości. Moim ludziom nie udało się zlikwidować Fleminga.

Hitler zmarszczył czoło, ale - o dziwo - nie wpadł w szal. Po chwili milczenia powiedział:

- Cóż, karty są więc w grze. Przynajmniej próbowaliśmy. Niestety, chwilowo nie jesteśmy w stanie ukarać tego żydowskiego Amerykanina, ale może kiedyś... - Przerwał, obgryzając paznokcie. - Może nasze drogi się jeszcze spotkają, a *Herr* Fleming się dowie, że mam bardzo długą pamięć. A teraz, Joseph, o czym chciałeś ze mną mówić? Goebbels odchrząknął. Raz mu się poszczęściło. Może upiecze mu się po raz drugi?

- *Mein Führer*, chodzi o młodego hrabiego von Winterfeldta. Zaskoczony i gniewny wyraz twarzy Hitlera upewnił Josepha

Goebbelsa, że tym razem nie uniknie zmycia głowy.

W wigilię Bożego Narodzenia roku 1927 w Connecticut śnieg pokrywał Nową Anglię grubą warstwą, przyginając gałęzie sosen i kruche białe brzozy, grożąc im złamaniem. Wygłodniałe jelenie



z białymi ogonami krążyły po dziesięcioakrowej posiadłości Nicka w Greenwich w poszukiwaniu skrawków kory; jednak w tym roku spokoju i dostatku poza jeleniami prawie nikt w Ameryce nie cierpiał głodu. Była rześka, zimna noc, dwadzieścia kilka stopni poniżej zera, a ponad kamiennie-ceglanym domem w stylu króla Jakuba, który Nick kupił przed dwoma laty, by służył mu za bazę do operacji na wschodzie, jasne niebo lśniło pełną chwałą zimowych konstelacji. Drobne falki uderzały o kamienistą plażę zatoki Long Island. Siedemnaście metrów wyżej na ośnieżony, lekko spadzisty trawnik padały ciepłe światła okien majestatycznej piętrowej willi, przydając zwiewnego piękna świeżym zaspom śnieżnym na kamiennych balustradach frontowego tarasu. Rosnąca przed domem wysoka sosna została ozdobiona małymi białymi lampkami, a drugi sznur białych żarówek ozdobił pięknie rzeźbione drzwi frontowe. Z czterech kominów domu unosił się dym i gdyby na dachu pojawił się sam Święty Mikołaj, nie mógłby wnieść wiele więcej do tego obrazka świątecznego spokoju, radości i piękna.

W willi liczącej dwadzieścia cztery pokoje rodzina Flemingów ustawiła się do zdjęcia przed siedmiometrową choinką stojącą w rogu piętrowego głównego hallu.

- Uśmiech! - powiedział fotograf, któremu Nick zapłacił dodatkowo sto dolarów za pracę w Wigilię. Jednak Nick nie żałował tych pieniędzy. Znajdował się u szczytu powodzenia, była to najszcześniejsza Gwiazdka w jego życiu, rodzina cieszyła się dobrym zdrowiem i nastrojem, a on chciał zatrzymać tę Wigilię dla potomnych.

Przed choinką uginającą się pod ciężarem bombek i lampek siedział Nick w czarnym krawacie i Edwina w sukni z czerwonymi cekinami i obfitej brylantowej biżuterii. Na kolanach Nicka siedziała najmłodsza, roczna Viktoria, na kolanach Edwiny - dwuletni Hugh. Za Nickiem stała córka Roda Normana, czteroletnia Fiona, oszalamiającej urody dziewczynka o ciemnokasztanowych włosach; obok niej najstarszy z rodzeństwa, ośmioletni Charles, który odziedziczył ciemną urodę ojca. Za Edwiną stała siedmioletnia Sylwia, której jasne włosy zaczynały przechodzić w kasztanowy kolor włosów matki. Dwoma pozostałymi chłopcami z gromadki byli trzyletni Maurycy, który dostał imię po dziadku od strony matki, lordzie Saxmundham, oraz sześćioletni Edward. Po obu stronach tej przystojnej grupki stali Edith i Van Clairmontowie.

Lampa błysnęła, fotograf spakował sprzęt, a dzieci rzuciły się na

stertę prezentów złożonych pod choinką, wyjąc i paplając jak stado szczęśliwych małp.

Po nieudanym zamachu faszystów na życie Nicka ambasada amerykańska w Berlinie radziła wyjechać z kraju, jako że nie mogła mu zagwarantować bezpieczeństwa. Zdając sobie sprawę, że jego misja w Berlinie i tak się skończyła, Nick wymeldował Edwinę z hotelu. W pociągu do Paryża wyznał jej prawdziwy powód swej podróży do Niemiec. Początkowo odnosiła się do tego sceptycznie, ale kiedy w gazetach Vana zaczęły się pojawiać artykuły Arthura Hardinga, wywołując wrzenie zarówno w Lidze Narodów, jak i w większości stolic europejskich, sceptycyzm Edwiny przerodził się w prawdziwe uwielbienie dla męża, w którym widziała bohatera. Nick, równie łasy na pochwały jak każdy mężczyzna, mruzczał z zadowolenia. A kiedy po powrocie do Ameryki Van oznajmił mu, że poważnie rozważa możliwość uczynienia go swoim spadkobiercą, kielich szczęścia Nicka zaczął się przelewać. Po raz pierwszy w swojej karierze Nick jawił się, przynajmniej własnej rodzinie, jako swoisty bohater, mówiąc słowami Edith.

Nick pokazywał Vanowi i Edith dwa najnowsze nabytki, obraz Picassa i Renoira, kiedy usłyszał krzyk.

Odwróciwszy się do choinki ujrzał, jak dwoje najstarszych dzieci, Charles i Sylwia, wyrywa sobie prezent.

- To moje! - wydzierала się Sylwia. - Na kartce jest moje imię!

- Zamieniłaś kartki! - odkrzyknął Charles. - Sprawdzalem dziś po południu! To moje!

- Dzieci! - włączył się Nick, podchodząc szybko do choinki. - Nie bić się. Jest Wigilia.

Ignorując ojca, Charles wymierzył młodszej siostrze tak paskudny policzek, że nagle w pokoju zapadła cisza i oczy wszystkich zwróciły się na chłopca. Sylwia wybuchła płaczem, a Charles spokojnie wyrwał jej prezent i zaczął odwijać z papieru.

- Charles, ty potworze! - krzyknęła Edwina podchodząc do syna i odbierając mu pudełko. - Jak okropnie postąpiłeś wobec Sylwii! Masz ją przeprosić.

Charles spojrział na matkę buntowniczo.

- Nie - oświadczył. - To mój prezent.

- Mimo to nie powinieneś nikogo bić w twarz, zwłaszcza siostry. Przeproś ją!

- Nie.

- W takim razie marsz do pokoju. Ładna twarz Charlesa skamieniała.

- Nie.

Edwina zwróciła się do męża:

- Kochanie, widziałeś, co on zrobił. Zaprowadź go na górę i spraw mu lanie, na jakie zasługuje.

Nick popatrzył na pierworodnego syna, którego uwielbiał. Charles wiedział o tym.

- Mogę zostać, tato? - spytał. - Jest Wigilia. Sylwia wciąż zawodziła pod choinką.

- Możesz zostać, jeśli przeprosisz siostrę - zarządził Nick.

- Ale to mój prezent - zaprotestował Charles. - Próbowała mi go ukraść.

- To nieprawda! - powiedziała Sylwia pociągając nosem. - Charles to terrorysta!

- Tam są łyżwy - warknął Charles zwracając się do siostry. - Widziałem, jak mama je pakuje. Dziewczyny nie dostają łyżew. Są dla mnie!

- Szpiegowałeś mnie, kiedy pakowałam prezenty? - wykrzyknęła zszokowana Edwina.

- Tak.

- Charles, dżentelmeni nie szpiegują ani nie biją ludzi w twarz. Zrobiłeś dość, by zepsuć wszystkim Gwiazdkę!

- Poczekaj chwilę - wtrącił się Nick. - Charles nie wie, że Sylwia też ma dostać łyżwy. Otwórzmy to pudełko i sprawdźmy, czyje tam są łyżwy. Potem odszukamy drugą paczkę.

Edwina patrzyła, jak mąż rozpakowuje prezent.

- Kochanie, nie o to chodzi! - krzyknęła. - Charles postąpił jak zwierzę i musi zostać ukarany.

- Jest Wigilia, Edwino. Nie powinno się karać dzieci w Wigilię. Masz, Charles, sprawdź, czy te łyżwy na ciebie pasują.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, Edwina podeszła do teściowej.

- On ohydnie rozpieszcza tego chłopca - szepnęła do Edith.

- Pamięta własne dzieciństwo - odparła Edith. - Pamięta, że sam nie miał nic. Dlatego pewnie nie może się oprzeć pokusie, żeby go rozpieszczać.

- Mimo to robi z Charlesa potwora.

Odwróciła się z powrotem do choinki. Chłopiec trzymał łyżwy uśmiechając się do matki triumfalnie.

Mężczyzna z twarzą umalowaną na biało i ustami uszminekowanymi na różowo stał na małej scenie berlińskiej Brasserie Sedan, wykonując złą imitację piosenki Freda Astaire'a *Top Hat, White Tie and Tails*, przeboju z *Zabawnej buzi*, tegorocznego hitu na Broadwayu. Kabaret przy Bismarckstrasse był wypełniony głównie mężczyznami, choć znajdowało się tam także kilka kobiet o wątpliwych upodobaniach seksualnych. Pałac, wściekle patrzyły, jak Willie Kleinburg, piosenkarz o równie wątpliwych upodobaniach seksualnych, przechadza się tam i z powrotem po scenie, uchylając cylindra i wybijając rytm laską ze złotą główką.

W drzwiach zadymionego kabaretu stanął mężczyzna w czarnym garniturze. Rozejrzał się uważnie po sali, ignorując występ piosenkarza. Ujrawszy jasnowłosego młodzieńca w smokingu siedzącego w rogu na tyłach, precyzyjnie się przez tłum i podszedł do Rudiego von Winterfeldta.

- *Fiihrer* chce się z tobą widzieć - szepnął nieznajomy. - Teraz. Zdziwiony Rudi wyszedł za mężczyzną z kabaretu.

- *Fiihrer* jest w Berlinie? - spytał Rudi, kiedy dotarli do chodnika.

- Tak. Odbywa się tu spotkanie przemysłowców, na którym ma wygłosić przemówienie. Myślałem, że polecono ci nie chodzić do tego rodzaju miejsc?

- Owszem, w Monachium. Ale w Berlinie nikt mnie nie zna. Chciałem posłuchać, jak śpiewa Willie Kleinburg.

- Wsiadaj.

Mężczyzna w czarnym garniturze otworzył drzwiczki kabrioletu i Rudi wsiadł. Mężczyzna zatrzęsł drzwiczki, usiadł za kierownicą i wyjechał na Bismarckstrasse.

- Gdzie zatrzymał się *Fiihrer*? - spytał Rudi.

- W willi doktora Goebbelsa w Wannsee.

Przez dwadzieścia minut jechali w milczeniu, aż dotarli do Wannsee, dużego, uroczego jeziora położonego na południowym zachodzie od Berlina. Tutaj, podobnie jak w pobliskich Dahlem i Grunewald nowobogacy budowali podmiejskie wille na ocienionych drzewami działkach. Latem Wannsee, a także inne jeziora otaczające miasto przyciągały berlińczyków, którzy urządzali tu pikniki, pływali na łódkach i kapali się.

Samochód dotarł do imponującej bramy i wjechał na długi, ciemny podjazd. Rudi, który znał większość partyjnych plotek, wiedział, że Goebbels prowadzi życie szanowanego ojca rodziny z żoną Maeda

i gromadką dzieci, ale potajemnie romansował z imienniczką żony, Magdą Bayreuth, nie licząc innych kobiet. Pomimo swych sadoma-sochistycznych związków z Hitlerem Rudi obruszał się na hipokryzję Goebbelsa. Ponieważ jednak nigdy wcześniej nie widział jego willi, ciekaw był, jak użytkowano fundusze partyjne. Goebbels i Göring, w odróżnieniu od skromnego Hitlera, słynęli z wystawnego życia.

Jednak samochód nie zatrzymał się przy willi. Kierowca zjechał nad jezioro, gdzie stał mały, ładny domek na przystani.

- *Fiihrer* zatrzymał się w domu nad jeziorem - powiedział mężczyzna wysiadając.

Rudi wszedł za nim na pomost domu, gdzie na najwyższym piętrze znajdowały się dwie sypialnie gościnne.

Mężczyzna otworzył drzwi i Rudi wszedł za nim do chłodnego, przyjemnie umeblowanego salonu, ozdobionego rysunkami żaglówek. Mężczyzna zamknął drzwi, a Rudi odwrócił się do niego.

- *Fiihrer* - powiedział mężczyzna, wyciągając z marynarki pistolet - mówi, że w celu zrealizowania swego marzenia dla Niemiec musi zwalczyć osobiste słabości. Ty jesteś jego ostatnią słabością. - Po czym dwukrotnie strzelił Rudiemu w serce.

Zniósł ciało po schodach i wrzucił do motorówki. Wsiadł, zapalił motor i wypłynął na środek jeziora. Przywiązawszy ciężarki do kostek trupa, wrzucił Rudiego von Winterfeldta w zimne czarne wody Wannsee.

**Część IV**  
**PANI ZASŁON**  
**1930-1934**

### *Rozdział dwudziesty trzeci*

Długa czarna limuzyna Mercedes z kuloodpornymi szybami, karoserią z podwójnej pancernej blachy i dwiema małymi tureckimi flagami na przednich zderzakach jechała przez przedmieścia Stambułu kierując się w stronę Scutari. Zarówno przed jak i za limuzyną jechali policjanci na motocyklach, klaksonami usuwając z drogi pojazdy. Żebracy, sprzedawcy uliczni i przechodnie pierzchali na boki, a potem odwracali się, gapili i machali w kierunku prezydenckiej limuzyny, w której na tylnym siedzeniu spoczywał w samotnej glorii prezydent Turcji, Kemal Atatürk, dawniej Mustafa Kemal Pasza.

W ciągu ośmiu lat, jakie upłynęły od pożaru Smyrny, obecnie Izmiru, Kemal wciągnął i wepchnął Turcję w dwudziesty wiek, zdejmując zasłony z twarzy kobiet, znosząc najpierw sułtanat, a potem, ku przerażeniu duchowieństwa, kalifat, oddzielając tym samym religię od państwa, wprowadzając siłą alfabet łaćniński zamiast arabskiego i instytucje demokratyczne, choć jednocześnie zachował władzę nie mniej autokratyczną niż rządy sułtanów.

Nie obyło się bez ofiar - najbardziej spektakularną był jego niegdysiejszy najbliższy przyjaciel i sojusznik, pułkownik Arif. Kiedy Arif, mając dość dyktatorskich zapędów Kemala, obrócił się przeciwko niemu i zaczął organizować zamach stanu, Kemal aresztował go i bez zmrużenia oka podpisał wyrok śmierci, powstrzymując się tylko na chwilę, by zgasić papierosa w popielniczce. Arif szedł na szubienicę przekonany, że w ostatniej chwili zostanie ułaskawiony, pewien, że zaszła pomyłka, że jego przyjaciel by go nie zdradził. Jednak nawet najsurowsi krytycy Kemala przyznawali, że ten jeden człowiek, bez względu na swoje wady zamienił kraj, który jeszcze

dziesięć lat wcześniej znajdował się na granicy rozpadu, we współczesną silną Turcję.

Po dwudziestu minutach od wyjazdu ze Stambułu kawalkada wjechała na dziedziniec brzydkiego trzypiętrowego budynku, wzniesionego siedemdziesiąt pięć lat wcześniej, podczas wojny krymskiej jako szpital armii tureckiej, ale później przekształconego w państwowy szpital psychiatryczny. Niedawno, wzorem wielu innych tureckich instytucji, nadano mu imię Kemala Atatürka. Łysy mężczyzna w średnim wieku, doktor Mendur Halavi, dyrektor Szpitala Psychiatrycznego imienia Kemala Atatürka, czekał nerwowo przed wejściem. Kiedy limuzyna się zatrzymała, z przodu wyskoczył agent ochrony i otworzył drzwiczki, a prezydent Turcji ukazał się w pełnym blasku upalnego wrześniowego słońca.

- Ekscelencjo! - powitał go doktor Halavi składając niski pokłon. - Jesteśmy zaszczyceni.

Kemal uściśnął dłoń dyrektora, po czym został przedstawiony trzem starszym członkom personelu. Doktor Halavi zaprowadził go do gabinetu na parterze, gdzie podano kawę.

Kiedy dwaj mężczyźni zostali sami, Kemal powiedział:

- Wprost nie mogę uwierzyć w pańską historię. Proszę powtórzyć szczegóły.

- Naturalnie, ekscelencjo. Tę kobietę przywieziono do nas ze Smyrny, pardon, Izmiru, siedem lat temu. Padła ofiarą wielkiego pożaru i duże partie jej ciała i twarzy uległy ciężkim poparzeniom. Szczerze mówiąc, byliśmy zdumieni, że jeszcze żyła, ale najwyraźniej lekarze w Izmirze wykonali świetną pracę, miała też dużo szczęścia. Lekarze potrafili zastosować technikę Ambrine'a, wypracowaną podczas wojny dla ofiar poparzeń, i to prawdopodobnie ocaliło jej życie. Mimo to, jak pan zobaczy, została ciężko okaleczona.

Przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia tchu.

- Ponadto znajdowała się w stanie bliskim katatonii. Nie odzywała się ani słowem i było oczywiste, że koszmar, przez który przeszła, poważnie uszkodził jej umysł. Znajdowała się w stanie takiego szoku, że sądzę, że gdyby nawet mówiła, nie pamiętałaby, kim jest. Ponieważ nie mieliśmy pojęcia o jej tożsamości, nazwaliśmy ją Sophie i umieściliśmy na oddziale trzecim. Przez blisko siedem lat Sophie była niezwykle spokojnym członkiem naszej małej społeczności. Przewdzielaliśmy jej proste prace z zakresu sprzątania. a ponie-



waż nie reagowała na żadną z naszych terapii, sądziliśmy, że tożsamość Sophie na zawsze pozostanie tajemnicą. Ponownie przerwał na moment. Po chwili kontynuował.

- I wtedy, sześć tygodni temu, nagle zaczęła mówić. Byłem zdziwiony, choć medycyna zna przypadki, w których mózg zdołał po długim czasie odwrócić skutki poważnych uszkodzeń psychicznych. Najwyraźniej Sophie należy do takich przypadków. Ze zdumieniem przekonałem się, że nie zna tureckiego, a tylko angielski i francuski! Na szczęście znam francuski, więc zacząłem się z nią codziennie spotykać, próbując pomóc jej kulejącej pamięci. Początkowo mówiła o Ameryce, ponieważ najwyraźniej jest Amerykanką. Mówiła o swoim dzieciństwie w Connecticut i o swej rodzinie, podobno bardzo zamożnej. W miarę jak nabierała sił psychicznych, dochodziła do wielkiej tragedii, która stała się przyczyną traumy, a mianowicie do pożaru Izmiru. Wreszcie, dwa tygodnie temu, ostatnie zasłony zostały zdarte i była w stanie stanąć twarzą w twarz z koszmarem. Mówiąc mi o tym wpadła w histerię, bałem się nawrotu katatonii. To jednak silna kobieta. Jej umysł został tak okrutnie zdewastowany nie tylko przez ból oparzeń, ale także przez fakt, że wcześniej została brutalnie zgwałcona przez czterech tureckich żołnierzy. Kemal zmarszczył brwi, zapalając papierosa.

- Proszę mówić dalej - powiedział, wypuszczając dym.

- Wtedy też podała mi swoje nazwisko: Diana Ramschild. Błagała mnie, żebym się z panem skontaktował. Mówiła, że jej pan pomoże, bo kiedyś był pan jej *janum*, jej duszą. Początkowo myślałem oczywiście, że są to majaczenia zaburzonej osobowości. Jednak błagała mnie o to codziennie, aż w końcu, z czystej litości, wysłałem list do pańskiego sekretarza. Mam nadzieję, ekscelencjo, że nie zrobiłem nic złego?

Kemal siedział zatopiony w myślach.

- Postąpił pan słusznie, doktorze. - Wstał. - Proszę mnie do niej zaprowadzić.

- Mogę kazać ją tu sprowadzić, ekscelencjo.

- Nie, chcę ją zobaczyć tam, gdzie spędziła ostatnie siedem lat. Zgasił papierosa i wyszedł za doktorem Halavim z gabinetu. Cały

personel szpitala wyległ na korytarz, by zerknąć na wielbionego Ojca Turków; patrzyli bojaźliwie, jak Atatürk i doktor Halavi wchodzą po świeżo wyszorowanych schodach na drugie piętro. W oczekiwaniu

na przybycie wielkiego człowieka pobielono ściany; nagie żarówki zwisające z ceglanego, łukowanego sufitu na długich czarnych kablach wytarto z kurzu, przepalone wymieniono, a w powietrzu unosił się mdlący, landrynkowy zapach środka dezynfekującego. Na drugim piętrze doktor Halavi i Atatürk weszli na salę trzeciego oddziału, odprowadzani tępym wzrokiem pacjentek, z których jedna mamrotała coś do siebie bez składu. Łóżka były starannie zasłane, a pacjentki stały przy nich boso w białych szpitalnych koszulach. Wszystkie wysokie okna pootwierano, by wpuścić wietrzyk, ale w sali i tak był zaduch; pomimo panującej tu czystości, rozlegające się niekiedy krzyki brutalnego strażnika na trzecim piętrze nadawały całemu miejscu ponurą, dickensowską atmosferę.

Stała przy łóżku w połowie sali. W miodowych włosach widniały pasma siwizny, a skórę odsłoniętych nóg, ramion i dolnej części twarzy pokrywały blizny. Tylko idealny nos, intrygujące zielone oczy i alabastrowe czoło pozostały nie zmienione; poza tym wygląd Diany Ramschild budził grozę.

Nie mógł się powstrzymać od skrzywienia; nawet Kemal Atatürk poczuł litość patrząc na tę ruinę, która kiedyś była piękną kobietą. Podziwiał jednak sposób, w jaki patrzyła na niego bez zmrużenia oka - płomienie pożaru nie zniszczyły jej dumy i odwagi.

- Przyszedeś - powiedziała cicho. - Dziękuję. Podeszedł i objął ją.

- Gdybym tylko wiedział.

Wtedy jej duma uległa; ciepło jego ramion i ciała wywołało falę wspomnień, które jej struchlały umysł odrzucił na siedem lat. Łkała w jego objęciach, a on głaskał ją po włosach.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś wróciła do życia - szepnął.

Spojrzał na doktora Halavi.

- Panna Ramschild wróci ze mną do Stambułu.

Umieścił ją w pałacu Dolmabahce, tym samym pałacu nad Bosforem, w którym przed ośmioma laty odmówiła łapówki Baburowi Paszy, i rozkazał służbie, by traktowała ją jak żonę sułtana. Sprowadził do pałacu najlepszą projektantkę mody w Stambule, panią Rosę, każąc jej zaprojektować stroje, które zakryłyby blizny Diany.

- Zdjąłem zasłony z twarz kobiet tureckich, ale tobie ja założę

- powiedział Dianie. Zachowywał się wobec niej jak kochanek, toteż plotkarskie miasto zahuczało od pogłosek, że Ataturk ma romans z „potworem”, co dodało pikanterii jego legendarnym podbojom miłosnym.

Rzeczywiście był w niej zakochany. Tak jak kiedyś pociągała go jej świeża amerykańska uroda, teraz - o dziwo - pociągały blizny, choć jednocześnie go odpychały. Ponieważ miłość fizyczna między nimi była wykluczona, stał się kimś w rodzaju dawnego rycerza, który wielbił niedostępną księżniczkę. Ich związek był przepojony romantyzmem, którego brakowało w przygodach Ataturka z łatwo dostępnymi kobietami Stambułu i Ankary, nawet jeśli romantyzm ten wynikał częściowo z poczucia winy i litości. Powiedział jej, zgodnie z prawdą, że nie miał nic wspólnego z tym, co się zdarzyło w dokach Izmiru, że to Fikriye, której szatańska zazdrość zmusiła go w końcu do wysłania jej do zakładu dla umysłowo chorych w Niemczech, musiała rozkazać tamtym żołnierzom, by ją zabili. Diana wierzyła mu. Chciała mu wierzyć, ponieważ ten mężczyzna był teraz wszystkim, co miała, on, którego kochała kiedyś tak namiętnie, a teraz odkryła, że kocha go znowu, może jeszcze żarliwiej niż wtedy.

O tym, jak niewiele jej pozostało, dowiedziała się trzeciej nocy w pałacu, kiedy Ataturk przyszedł zjeść z nią kolację w jej komnatach. Miała na sobie jasnoniebieską szyfonową suknię do ziemi, którą pani Rosa przyniosła tego popołudnia, a ponieważ była to pierwsza suknia, jaką włożyła od ośmiu lat, radość Diany była niemal nieopisana. Włożyła - i miała je nosić w nadchodzących latach - rękawiczki do łokci, które zakrywały blizny na jej rękach i ramionach, oraz woalkę zasłaniającą dolną połowę twarzy. Ataturk posłał po fryzjera z hotelu Pera Pałace, który ułożył miodowosiwe włosy Diany, także po raz pierwszy od lat. Kiedy dawny kochanek wszedł do pokoju, był szczerze olśniony.

- Te woalki - powiedział cicho. - Dzięki tym woalkom znowu stałaś się piękna. - Pocałował jej rękawicznioną dłoń.

- Będę je nosić przez resztę życia - powiedziała. - Zostanę Panią Zasłon, a jeśli to prawda, że piękno jest w połowie złudzeniem, będę naprawdę piękna. Dziękuję ci, mój paszo, za to, co dla mnie zrobiłeś.

Zaprowadził Dianę do jednej z wielkich złoconych sof, gdzie usiadł obok niej, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Intrygowała go świadomość brzydoty kryjącej się pod pięknymi woalkami.

- Mam dla ciebie złe wiadomości - powiedział po chwili. - Dziś

po południu dostałem telegram od mojego ambasadora w Waszyngtonie. Twoja matka umarła siedem lat temu.

Diana milczała przez pewien czas.

- Czułam to w głębi serca - szepnęła w końcu. - Kiedy wróciła mi pamięć i zrozumiałam, jak wiele lat minęło, nie wiem dlaczego, ale wiedziałam, że matka umarła. - Spojrzała na Ataturka zielonymi oczami. - Kto w takim razie odziedziczył firmę?

- Nikt jej nie odziedziczył. A ponieważ w sensie prawnym nie żyjesz, nie miałabyś żadnych szans na odzyskanie udziału.

- Nie rozumiem. Jak to, nikt jej nie odziedziczył? Mam kuzynów, którym matka zapisała swój udział.

- To prawda. Ale oni sprzedali firmę pewnemu przedsiębiorcy, którego może pamiętasz.

- Chyba nie masz na myśli Nicka Fleminga? - spytała, otwierając szeroko oczy.

Ataturk skinął głową.

Wydała okrzyk wściekłości, który zabrzmiał jak grzmot piekielny. Wyjąc zerwała się z sofy, przebiegła przez pokój i zaczęła walić pięściami w zdobną boazerię jednej ze ścian. Potem, równie nagle, znieruchomiała. Odwróciła się powoli i spojrzała na niego płonącymi oczami.

- Teraz mam po co żyć - powiedziała.

- Zemsta? - spytał z lekkim uśmiechem.

- Zniszczę go. Jeśli Bóg istnieje, przyrzekam mu, że zniszczę Nicka Fleminga. Będzie cierpiał tak, jak ja cierpiałam. Będzie pragnął śmierci. I zrobię to sama. Żadnych płatnych morderców!

Ataturk wstał, przeszedł po lśniącym parkiecie i ujął urękawicz-nione dłonie Diany.

- Jesteś wspaniała! - powiedział. - Powiedziałem ci kiedyś, że nienawiść jest równie fascynująca jak miłość, i nadal tak uważam. Jak go zniszczysz?

- Jeszcze nie wiem - odparła cicho. - Ale ten dzień nadejdzie i będzie miał słodki smak.

- Wspaniale - powtórzył całując jej rękawiczki. - Dziwne, ale teraz podniecasz mnie jeszcze bardziej niż dawniej.

### ***Rozdział dwudziesty czwarty***

Kiedy na pokój i dobrobyt ziemi padł cień kryzysu, Nick Fleming, podobnie jak miliony innych Amerykanów, musiał zacisnąć pasa, choć nie można powiedzieć, by został zmuszony do czyszczenia ludziom butów. Był w końcu multimilionerem, i chociaż poniósł straty w wyniku krachu na Wall Street, to ponieważ nigdy nie spekulował zbyt dużymi sumami, straty nie były szczególnie dotkliwe. Przemysł filmowy wciąż prosperował, choć z przerwami, a studia Metropolitan przynosiły zyski. Do ujemnych stron należała kariera filmowa Edwiny, od pewnego czasu wykazująca tendencję zniżkową; jej nazwisko nie przyciągało już widzów tak jak w połowie lat dwudziestych. W roku 1929 nakręciła ostatni film, *Przygoda na Madagaskarze*, który, chociaż według określenia reklam pełen był „gorących scen namiętności”, to skończył haniebną śmiercią w kasach. Edwina, nie zdradzając, że poczuła się dotknięta, równie kapryśnie jak zdecydowała o rozpoczęciu kariery, oświadczyła, że wycofuje się z filmu. Nick, który obserwował, jak filmy żony obniżają lot z przeciętnych do złych, skrycie odetchnął z ulgą. Jednak utrata jej okazałych zarobków dodatkowo napięła budżet rodzinny. Pieniądze dotąd płacone Edwinie popłynęły do innych gwiazd.

Mimo to kamieniem węgielnym imperium Fleminga, jak ku zadowoleniu Nicka prasa zaczęła już określać jego majątek, była Spółka Zbrojeniowa Ramschilda. W latach dwudziestych Nick zdołał tchnąć w nią życie, głównie dzięki sporym sprzedażom broni do Ameryki Środkowej i Południowej, ale na początku lat trzydziestych ogólnoswiatowy kryzys odbijał się niekorzystnie na przemyśle zbrojeniowym. Nick rutynowo wspierał finansowo partię republikańską, ale z nadejściem depresji gospodarczej i rosnącą niepopularnością

Hoovera, Nick, całkowicie amoralny politycznie, zaczął łączyć także na demokratów. Po ich wielkim zwycięstwie w roku 1932 w Waszyngtonie otworzyły się przed Nickiem ważne drzwi, szczególnie drzwi gabinetu nowego demokratycznego senatora z Connecticut, Harrisona Warda. Ward, młody, błyskotliwy zwolennik Nowego Ładu, żywo zainteresowany pełnym zatrudnieniem w Spółce Rams-childa, zaprosił Nicka na spotkanie z grupą wpływowych senatorów w Metropolitan Club w Waszyngtonie, w lutym 1933 roku.

- Od czasu pierwszej wojny światowej polityka Stanów Zjednoczonych polegała na utrzymywaniu tego, co nazywam armią minimalną - mówił Nick z podium. - Rozumowano w sposób następujący: była to ostatnia wielka wojna lądowa; każda przyszła wojna, a w szczególności z imperium japońskim, rozegra się na otwartym morzu. Ale, panowie, od lat dyskutuję z tym poglądem, a najnowsze wydarzenia w Europie każą mi się sprzeciwiać jeszcze usilniej. To prawda, że jestem producentem broni, osobiście zainteresowanym w sprzedaży broni i amunicji armii Stanów Zjednoczonych. Ale, panowie, trzy tygodnie temu Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec. Na własnej skórze doświadczyłem brutalności faszystów i mogę panów zapewnić, że Hitler robi wszystko, co w jego mocy, która obecnie jest niemała, by zwiększyć potencjał wojskowy swego kraju. Jeżeli my, Amerykanie, nie podejmiemy tego wyzwania, a pozwolę sobie przypomnieć panom, że nasza armia zajmuje pod względem siły dopiero dwunaste miejsce na świecie, nadejdzie dzień, kiedy będziemy opłakiwać brak przygotowania.

Senatorowie nagrodzili przemówienie słabymi brawami. Z pół tuzina słuchaczy zasnęło.

W istocie rozwój wypadków nie sprzyjał Nickowi. Pomijając pożar Reichstagu, pierwsze miesiące po dojściu Hitlera do władzy cechował raczej brak wydarzeń, a nowy kanclerz w publicznych wystąpieniach uderzał w łagodniejsze tony. Światowa prasa i rządy nabierały przekonania, że po dojściu do władzy Hitler się ucywilizował.

Nick, który pamiętał faszystowskich zamachowców w berlińskim zaułku, nie dał się na to nabrać.

Dwie tęgie kobiety w niemodnych sukniach wieczorowych, z włosami zaplecionymi w warkocze siedziały naprzeciwko siebie przy dwóch fortepianach Bechsteina, grając *Jazdę Walkirii* w wersji

na dwa fortepiany, podczas gdy międzynarodowe i dyplomatyczne osobistości Stambułu przechadzały się po głównym salonie byłej ambasady cesarstwa niemieckiego - obecnie pełniące funkcję konsulatu niemieckiego, odkąd rząd turecki, ku niezadowoleniu dyplomatów, przeniósł stolicę do nudnej Ankary. Migotały drogie kamienie, jako że bogate Turczynki mają przesadne upodobanie do dużych brylantów i rubinów; mężczyźni założyli białe krawaty oraz ordery, barwne jedwabne wstęgi przepasywały ukośnie ich sztywne białe koszule. Ambasador brytyjski wystąpił w pełnej gali, we fraku suto wyszywanym złotem. Spotkanie zorganizowano na cześć nowego niemieckiego *attache* wojskowego w Turcji, generała Ernsta von Treskowa. Niski generał o włosach koloru piasku, z monoklem w oku został przeniesiony do Turcji, ponieważ należał do sporej grupy członków naczelnego dowództwa, którym Hitler nie ufał. Popijał Louis Roederer Cristal i rozmawiał z ambasadorem niemieckim, baronem Ulrichem von Greimem, kiedy obwieszczono przybycie Atatürka. Baron i baronowa von Greim podeszli przywitać się z prezydentem, a następnie przedstawili mu gościa honorowego.

Dwie godziny później, kiedy Atatürk zrobił się rozmowny dzięki swej ukochanej rakii, wziął generała von Treskowa na bok i powiedział przyciszonym głosem:

- Po przyjęciu zapraszam pana na prywatną kolację. Chcę, żeby poznał pan najbardziej fascynującą kobietę w Turcji. Treskow zrozumiał, że prezydent Turcji znajduje się na dobrej drodze do upicia się, ale pociąg Atatürka do alkoholu nie był tajemnicą w kręgach dyplomatycznych i rządowych.

Poza tym, nie sposób było odmówić Kemalowi Atatürkowi.

Czterdzieści pięć minut później prezydencka limuzyna wioząca Atatürka, barona von Greima i generała von Treskowa zatrzymała się przed piękną willą z tarasem na wschodnim brzegu Bosforu.

- Nazywam to naszym nieoficjalnym państwowym domem dla gości - powiedział Atatürk z szerokim uśmiechem, wysiadając z ogromnego Mercedesa. - Oczywiście Greim zna świetnie to miejsce, co, baronie?

Mrugnął do niemieckiego dyplomaty, który, w wieku sześćdziesięciu lat, przy wadze blisko stu dwudziestu kilogramów, miał dość wdzięku, by wyglądać na zakłopotanego.

Przy pięknie inkrustowanych podwójnych drzwiach czekał na nich czarny lokaj w luźnych białych spodniach i krótkim żakiecie bez rękawów na nagim umięśnionym torsie.

- Witamy w Domu Zasłon - zaintonował składając niski pokłon. Generał von Treskow widywał w Berlinie dziwne rzeczy, ale teraz czuł się tak, jakby wkraczał w arabskie baśnie z tysiąca i jednej nocy.

W ośmiokątnym hallu z białego marmuru stał duży ołowiany posąg nagiej kobiety, z której sutek tryskały dwa strumienie wody. Generał omiółł posąg głodnym wzrokiem, a lokaj wprowadził grupę do atrium ze szklanym dachem, pełnego paproci, drzew owocowych i egzotycznych ptaków, a następnie do dużego salonu pełnego eleganckich francuskich mebli. Na środku stał zdobiony stół z marmurowym blatem, a na nim duża złota misa pełna melonów, gruszek, pomarańczy i soczystych winogron. Przy stole stały dwie najpiękniejsze dziewczyny, jakie generał widział w życiu. Miały na sobie spodnie z tkaniny cienkiej jak pajęczyna i, podobnie jak lokaj, krótkie jedwabne żakiety bez rękawów, przez które widać było kuszące czubki pełnych piersi. Stały bez butów, tylko w złotych skarpetkach, na nagich ramionach miały tuziny cienkich złotych bransolet. Teraz, kiedy w sąsiednim pomieszczeniu zabrzmiała muzyka harfy, dziewczęta skłoniły się i powiedziały chórem:

- Witamy w Domu Zasłon. - A potem, zostawiając lokaja, zaprowadziły gości do następnej sali.

Tutaj' generałowi wypadł z oka monokl.

Znaleźli się w pomieszczeniu przesyconym zapachem kadzideł, ze ścianami pokrytymi złotą folią, dużymi, przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na taras, skąd rozciągał się widok na rozświetlony księżycem Bosfor. Na podłodze z różowego marmuru stało dziesięć złożonych kanap obitych niebieskim jedwabiem, a na każdej leżała piękna, całkiem naga kobieta. Naga kobieta grała w kącie na harfie; cała scena była jakby żywcem wzięta z pomysłów Busby Berkley bez ingerencji cenzury. Na środku pokoju, w długiej jasnozielonej sukni z szyfonu, w długich białych rękawiczkach i woalce zasłaniającej dolną część twarzy stała Diana Ramschild.

Atatürk podszedł i ucałował jej rękawiczkę.

- Dobry wieczór, moja piękna Pani Zasłon - przywitał ją z uśmiechem. - Przyprowadziłem nowego niemieckiego *attache* wojskowego, by mógł się poczęstować twymi tureckimi rozkoszami. Barona von Greima oczywiście znasz.

A to jest generał Ernst von Treskow.

Niemiec ucałował jej rękawiczkę.

- Witam, panowie - powiedziała Diana.



- Ta willa należała do brata sułtana Abdula Hamida - powiedział Ataturk. - Kiedy rodzina królewska uciekła z kraju, skonfiskowaliśmy willę, a ja wynająłem ją mojej drogiej przyjaciółce, Dianie Ramschild, która założyła tu niezwykle dochodowy interes!

- Ramschild? - spytał Treskow. - To rzadkie nazwisko. Czy jest pani przypadkiem spokrewniona z rodziną, która posiadała w Stanach Zjednoczonych Spółkę Zbrojeniową Ramschilda?

- Mój dziadek ją założył.

- W takim razie musi pani znać Nicka Fleminga. Atatiirk chrząknął.

- W obecności Diany nie wymieniamy tego nazwiska.

- W porządku - zapewniła Diana. - Rozumiem, że zna pan pana Fleminga?

- Tak, poznałem go sześć lat temu w Berlinie. Udawał, że jest zainteresowany sprzedażem broni niemieckiej armii, a myśmy nieopatrznie uwierzyli. Okazało się, że w istocie chodziło mu o zdradzenie światowej opinii publicznej naszych tajnych planów. *Fuhrer* nigdy nie wybaczył mi tej pomyłki.

Do pokoju weszło dwóch czarnoskórych mężczyzn ubranych tak jak lokaj, niosąc srebrne tace z szampanem i kawiozem.

- A zatem coś nas łączy - powiedziała Diana do generała. - Nick Fleming oszukał nas oboje. Proszę obficie czerpać z przyjemności, jakie oferuje mój dom, generale. Może potem porozmawiamy jeszcze o panu Flemingu.

Treskow nie mógł oderwać wzroku od nagich hury na kanapach.

- Szkoda, że w Berlinie nie mamy czegoś podobnego - powiedział w zamyśleniu.

- Może utworzę tam oddział. Atatiirk zaśmiał się.

- Jeśli mówi pani poważnie, z przyjemnością skontaktuję panią z właściwymi ludźmi - zapewnił ją generał. -

Marszałek Göring byłby zachwycony, gdyby w Berlinie powstało takie miejsce!

Diana popatrzyła na grubego dyplomatę o czerwonej twarzy.

- Być może mówię poważnie - powiedziała cicho.

### ***Rozdział dwudziesty piaty***

Edwina odczuwała niepokój, znudzenie, a na dodatek przekroczyła już dawno trzydziestkę. W to upalne lato 1934 roku większość kobiet zaprzedałoby duszę, żeby być Edwiną Fleming. Mimo że jej kariera filmowa się zakończyła, była kiedyś gwiazdą; wciąż była piękna, bogata i sławna. Nosiła stroje od Vionneta, Schiaparelli, Molyneux, miała wille w Greenwich i Beverly Hills, dwunastopokojowe mieszkanie przy Park Avenue, sześć samochodów do swej dyspozycji, biżuterię i futra, gromadkę pięknych dzieci i kochającego męża.

Jednak płytkość życia - zakupów, przyjęć i rozrywek - zaczęła się jej przykrzyć. Podziwiała pierwszą damę, Eleonorę Roosevelt, która zaangażowała się całym sercem w problemy biedoty. Chociaż Edwina nie żałowała czasu i pieniędzy na warte tego akcje charytatywne, nie była działaczką społeczną. Chciała poświęcić życie czemuś ważniejszemu niż stroje i futra, ale pomaganie przy wydawaniu darmowych zup wydawało jej się hipokryzją, skoro nie była gotowa zrezygnować z majątku - a nie była. Modelem postaci, który jej odpowiadał, była Nora z *Domu Lalki* Ibsena. Nora odeszła od męża w sztuce sprzed pół wieku, ale jej akt buntu, mimo iż gorąco dyskutowany od tamtego czasu przez widzów teatralnych, nie zmienił w znaczącym stopniu instytucji małżeńskiej. Edwina nie chciała odchodzić od męża i dzieci, jednak pomysł podjęcia jakiegoś aktu buntu wobec Nicka pociągał ją równie mocno, jak chęć wskoczenia nago do basenu w Thrax Hall w roku 1917.

Zbliżając się do trzydziestego ósmego roku życia Edwina pragnęła się zbuntować. Tyle że nie wiedziała dokładnie, jak się do tego zabrać.

Układała menu na przyjęcie przy basenie z okazji Święta Niepodległości, urządzone w przyszłą sobotę, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Po chwili do pokoju willi w Greenwich wszedł jej angielski lokaj, Sherman.

- Przyszedł pan Hill, *madame*. Pan Fleming przysłał go po jakieś dokumenty.

- Kto to jest pan Hill?

- Pracuje dla pani męża.

- Aha.

Wstała od sekretarzyka i poszła do hallu. Młody człowiek w szarym garniturze rozglądał się po imponującym wnętrzu. Kiedy się odwrócił, a Edwina zobaczyła jego twarz, ledwo się powstrzymała od krzyku.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Nie... Bardzo przepraszam, ale... - Przesunęła dłonią po włosach, próbując uciszyć szum w uszach. - Przez moment wzięłam pana za kogoś, kogo znałam. Jest pan tak do niego podobny, że doznałam lekkiego szoku.

- Mam nadzieję, że go pani lubiła - powiedział młodzieniec z uśmiechem.

- Był moim narzeczonym, Anglikiem. Nazywał się lord Rock-savage. Zginął podczas wojny.

Uśmiech zniknął z twarzy pana Hilla.

- Och, przykro mi.

Znowu spojrzała na jego twarz. Podobieństwo było uderzające. Fala wspomnień nagle wezbrała i po chwili opadła.

- Jestem pani Fleming. Pan pracuje dla mojego męża?

- Tak. Jestem Chester Hill, jeden z jego zastępców. Nigdy o mnie nie wspominał?

- Nie, ale ja nie rozmawiam z mężem o interesach, przynajmniej o tym interesie. Nie apróbuję w pełni przemysłu zbrojeniowego.

- Nie apróbuje pani? - Wyglądał na zdumionego. - Ależ to najbardziej ekscytujące zajęcie na świecie!

- Być może dla pana. Jest pan bardzo młody, jak na zastępcę dyrektora.

- Możliwe, ale jestem dobry w tym, co robię.

- A co pan robi?

- Projektuję broń, której pani nie apróbuje. Dlatego właśnie jestem tutaj. Pan Fleming zostawił w domu rysunki, które dałem mu

wczoraj. Są dość ważne, więc mnie po nie przysłał. Są w sejfie. Mówił, że pani zna szyfr.

- Owszem, ale ponieważ nie znam pana, muszę się najpierw porozumieć z mężem. W końcu mógłby pan być szpiegiem z innej firmy.

Zaśmiał się.

- Albo agentem wroga. - Zadzwoił telefon. - To na pewno pan Fleming. Powiedział, że do pani zadzwoni. Sądzi pani, że byłby ze mnie dobry szpieg?

Przyjrzała mu się dokładnie. Miał ponad metr osiemdziesiąt, ciemne włosy i ten typ urody, na który zawsze była podatna.

- Nie znam się na szpiegach, ale z tą urodą mógłby pan znaleźć pracę w filmie, gdyby wszystko inne zawiodło.

- Prawda, pani grała w filmach, tak? Przed dźwiękowymi...

- Och, nakręciłam nawet jeden dźwiękowy.

- Zgadza się, widziałem! *Przygoda na Madagaskarze*. To było fatalne.

- Panie Hill, bez pana ten poranek byłby nieudany - powiedziała, obniżając temperaturę rozmowy o dziesięć stopni.

- O Boże, palnąłem głupstwo, prawda?

- Niewąskie. Tak, Sherman?

- Dzwoni pan Fleming, *madame*.

- Przepraszam, panie Hill.

Wyszła z hallu. Chester Hill podrapał się w policzek myśląc: Ty kretynie! Obrażać żonę szefa - toć to wskazówka, jak nie odnieść sukcesu. To twarda sztuka... i piękna. Ciekawe, czy powinienem ją przeprosić? Nie, coś mi mówi, że filmy to drażliwy temat...

Po pięciu minutach wróciła do hallu z kopertą.

- To chyba to?

Wręczyła mu kopertę. Wyjął rysunki, przyjrzał się im i schował z powrotem.

- Tak. To nowy model karabinu, nad którym pracujemy. Mamy nadzieję na duże zamówienie od armii.

- Panie Hill, miał pan rację co do *Przygody na Madagaskarze*, to był fatalny film. - Spojrzeli na siebie i Edwina się zaśmiała. - Nie jestem przyzwyczajona aż do takiej szczerości w kwestii mojej kariery filmowej. Ale nakręciłam kilka dobrych filmów. Dawno temu. w średniowieczu.

- Czemu pani przestała grać?

- Chyba z dumy. Kiedy ktoś był na szczycie, świadomość, że zsuwa się po śliskim słupie, jest dość przykra, jak by powiedział Disraeli. W każdym razie przepraszam, że byłam niemila.

Patrzyli na siebie w niezręcznym milczeniu.

- Czemu nigdy nie przychodzi pani do fabryki? - spytał wreszcie.

- Po cóż, na Boga, miałabym tam chodzić? Fabryki to z zasady brzydkie miejsca, a jestem pewna, że fabryki broni są odrażające.

- Ależ myli się pani! Może pozwoli mi się pani oprowadzić? Patrzyła na niego. Już miała odmówić, kiedy, ku własnemu

zdziwieniu, zmieniła zdanie.

- Co za uroczy pomysł! - wykrzyknęła z uśmiechem. - Proszę poczekać, pójdę po płaszcz.

Po co ja to, na Boga ojca, robię? - myślała idąc do szafy. Ale wiedziała po co.

Edwino, ty wariatko, czy znowu pakujesz się w jakąś głupią historię?

Fabryka Ramschilda znajdowała się o dwie godziny drogi od domu w Greenwich, toteż gdyby Nick musiał tam spędzać dużo czasu, poważnie by się namordował; na szczęście nie musiał. Nick żył niemal w ciągłym ruchu - cotygodniowe podróże do Nowego Jorku, by pracować z Vanem Clairmontem, ponieważ Van wyznaczył go na swego prawowitego następcę; wyjazdy do Waszyngtonu w celu wspierania działań firmy w kularach Departamentu Wojny; podróże na Zachodnie Wybrzeże, by trzymać rękę na pulsie wytwórni Metropolitan; częste wyjazdy zagraniczne w celu sprzedaży broni. Tym wszystkim sterowała skuteczna sekretarka, Frieda Gottschalk, a Nickowi zostawało niewiele czasu na fabrykę, którą na co dzień kierował jego zastępca, Edgar Flint. Nick nie interesował się zbyt zarządzeniem fabryką, co, zdaniem niektórych krytyków, stanowiło jego największą słabość jako przedsiębiorcy. Nick, urodzony sprzedawca, uwielbiał podniecenie i napięcie transakcji. Ponieważ większość jego klientów stanowiły rządy, wiedział, że to on musi się do nich pofatygować, nie odwrotnie.

Rzadko rozmawiał z żoną o interesach, więc pewnie dlatego nigdy nie przyszło jej do głowy, by zwiedzić fabrykę.

Fascynował ją

entuzjazm, z jakim Chester Hill mówił o swym miejscu pracy. Kiedy jednak zatrzymał Buicka na parkingu, a Edwina spojrzała na ogromne, brzydkie budynki z czerwonej cegły, wyczuła władzę, jaką uosabiały -najwyższą władzę nad życiem i śmiercią.

- Ciekawe, ilu ludzi poniosło śmierć od tutejszych wyrobów? -powiedziała, kiedy wprowadził ją do budynku zarządu.

- Cóż, wyznaje pani liberalne, sentymentalne poglądy na przemysł zbrojeniowy, co nietrudno mi zrozumieć. Proszę wierzyć, że równie chętnie projektowałbym butelki do Coca-Coli czy samochody zamiast haubic, a gdyby wszystkie firmy zbrojeniowe na świecie straciły pracę, powitałbym to z radością. Jednak owo „gdyby” nigdy nie nastąpi, a w każdym razie nieprędko. Krytycy twierdzą, że potentaci zbrojeniowi w rodzaju pana Fleminga z chęci zysku kuszą rządy do prowadzenia wojen, ale według mnie jest w tym mało prawdy. W istocie rządy prowadzą wojny, a gdyby firmy zbrojeniowe nie dostarczały im broni, rządy zbroiłyby się same. Jeśli ludzie chcą położyć kres wojnom, nie powinni mieć pretensji do nas, powinni ulepszyć rządy. Jednak, moim zdaniem, smutna prawda jest taka, że większość ludzi na tej planecie lubi wojny. To oczywiście bez sensu, ale ludzie lubują się w patriotyzmie i nacjonalistycznych sloganach. Lubią robić z igły widły, a potem dają się zgnieść, żeby w ten sposób dowieść swego męstwa...

- Chwileczkę - przerwała mu. - Mówi pan „ludzie”. Niech pan powie „mężczyźni”, a zgodzę się z panem. To mężczyźni muszą sobie udowadniać, że są bohaterami. Kobiety mają więcej rozsądku.

- Zgoda, w tym przyznam pani rację.

- Gdyby mężczyźni przestali rozumować jak mali chłopcy bawiący się żołnierzami, świat stałby się nieskończenie bardziej spokojnym miejscem.

- Tymczasem jednak ktoś musi produkować broń. Oto jesteśmy na miejscu, w królestwie ciemności.

Otworzył drzwi i wprowadził ją do hallu, minęli dwóch strażników, a następnie bocznymi drzwiami weszli do hali produkcyjnej. Z nie skrywaną dumą pokazał Edwinie ogromną prasę o nacisku piętnastu tysięcy ton, liczącą osiem metrów wysokości, a służącą do wyrobu luf armatnich; pokazał jej piece na sprężone powietrze, maszyny do gwintowania, taśmy produkcyjne do amunicji, po których sunęły tysiące skrzynek z kulami i Dociskami: zaprowadził ją do prochowni.

żeby pokazać jej, jak się wytwarza materiały wybuchowe; pokazał jej swoje królestwo, salę projektów, gdzie na tuzinie stołów kreślarskich dokonywano śmiertelnych poprawek już dość śmiertelnej broni. Zwiedzanie trwało ponad godzinę, i po jego zakończeniu Edwina czuła się jednocześnie podniecona i przygnębiona. Miejsce okazało się tak brzydkie, nagrzane i cuchnące, jak się spodziewała

- wszędzie czuło się śmierć. A jednak to, co powiedział Chester Hill, było przynajmniej częściowo prawdą - w świecie nie będącym utopią ktoś musi wytwarzać broń, i Edwinie udzielał się entuzjazm Hilla.

- No i? - spytał, kiedy wrócili do pomieszczeń biurowych. - Co pani o tym myśli?

- Nadal wolałabym, żeby mój mąż wytwarzał rowery, chociaż przyznaję, że w tym miejscu jest coś ekscytującego. Dziękuję za oprowadzenie.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nigdy tu pani nie była. Gdyby Nick Fleming był moim mężem, poprosiłbym go o pracę tutaj.

- Gdyby Nick Fleming był pańskim mężem, chyba nikt by pana nie zatrudnił. - Roześmiała się na widok jego zakłopotanej miny.

- Jest pan zabawnym człowiekiem, panie Hill, ale sądzę, że to urocze, że żywi pan taki entuzjazm do swojej pracy. Teraz proszę mnie zaprowadzić do gabinetu męża. Namówię go, żeby mnie odwiózł do domu.

- Mogę panią odwieźć...

- Nie, to bez sensu. Przecież to kawał drogi. Pan mieszka tu gdzieś blisko?

- Tak, w Old Lyme.

Zaprowadził ją na górę po schodach, nad którymi wisiały oprawione ilustracje z „Harper's Weekly”, przedstawiające sceny z wojny secesyjnej.

- Jest pan żonaty?

- Byłem. Rozwiodłem się z żoną w zeszłym roku.

- Przykro mi to słyszeć.

- Mnie nie.

Powiedział to tonem świadczącym bez wątpienia, że rozwód musiał być gorzki.

Kiedy weszli na górę, poprowadził ją długim korytarzem z wieloma drzwiami z matowego szkła, na których namalowano nazwiska

i tytuły urzędników: „Pan R.M. Welles, zastępca dyrektora sprzedaży”; „Pan Arthur Ten Eck, zastępca dyrektora do spraw personelu”... Wreszcie, na końcu korytarza, zobaczyła nowoczesne drzwi z orzecha włoskiego, na których tkwiła mosiężna tabliczka z napisem drukowanymi literami: „Pan N. Fleming, dyrektor”. Edwina zapragnęła nagle zobaczyć gabinet męża, serce jego rozległego imperium. Przyszło jej na myśl, że popełniła błąd nie przychodząc tu wcześniej. Jeśli Nick pozostawał dla niej człowiekiem do pewnego stopnia tajemniczym, to stało się tak dlatego, że nigdy nie widziała go na jego własnym terytorium; instykt podszeptał Edwinie, że to jest jego dom, może w większym stopniu niż willa w Greenwich, mieszkanie przy Park Avenue czy Casa Encantada. Ostatecznie znaczną część życia Nicka wypełniały interesy. Kiedy Chester Hill otworzył drzwi, Edwina poczuła nawet lekkie ukłucie zazdrości. Przypomniała sobie nagle strofkę z pięknego hymnu Williama Blake'a *Jerozolima*, którego uczyła się w dzieciństwie w Anglii. *Czy zbudowano Jerozolimę wśród tych ciemnych, szatańskich wzgórz?* Oto były ciemne, szatańskie wzgórza. Czy jej mąż wznosił swoją prywatną Jerozolimę na brzegu rzeki Connecticut, w tej fabryce śmierci? Duża poczekalnia w stylu Art Deco, którą Nick kazał całkowicie przemeblować w roku 1928, w niczym nie przypominała napuszonego wystroju z czasów Alfreda Ramschilda. Ściany wyłożono drewnem miodowego koloru, na wysokości pasa biegła linia ciemniejszego drewna, a pod sufitem widniał inkrustowany fryz. Edwina wielokrotnie spotykała Friedę Gottschalk w Greenwich i Nowym Jorku; wiedziała, że tęga Frieda nigdy nie będzie dla niej zagrożeniem czy pokusą dla Nicka. Teraz sekretarka siedząca za biurkiem w kształcie nerki podniosła wzrok i otworzyła szeroko oczy.

- Pani Fleming! - wykrzyknęła. - Co pani tu robi? Czy coś się stało?

- Nic się nie stało, Friedo. Po prostu pan Hill przekonał mnie, że nadszedł czas, bym zwiedziła fabrykę. Czy jest mój mąż?

- Rozmawia przez telefon z Londynem. Powiem mu, że pani przyszła.

Wstała i wybiegła przez podwójne drzwi do sanktuarium Nicka. Edwina podeszła do dużego okna ze szlifowanego szkła i wyjrzała na fabrykę, której dwudziestokilkumetrowe kominy wypuszczały na



rzekę Connecticut dym oczyszczany przez filtry, które Nick zainstalował wkrótce po przejęciu fabryki. Czy istotą tej fabryki jest władza? Nick ma władzę. Edwina, niegdyś gwiazda filmowa, posiadała podówczas pewien efemeryczny rodzaj władzy, ale to się już skończyło. Władza, największy afrodyzjak... Czy to właśnie tego brakowało w jej życiu? Nie, w każdym razie nie takiej władzy, jaką miał Nick. Wcale nie chciała kierować przedsiębiorstwem, to ją nudziło. Jednak władza Nicka ją irytowała. Po zuchwałej niezależności wieku młodzieńczego, po wszystkich szalonych rzeczach, które robiła - a kariera filmowa nie była wśród nich najbardziej błaha - skończyła jako żona i matka, żyjąca w luksusie, lecz odbijająca światło męża. Ona była planetą, on gwiazdą. Wiele kobiet byłoby tym usatysfakcjonowanych, ale czy ona, kiedyś zarabiająca krocie gwiazda, także? Przyszła jej do głowy pewna myśl - czy zmuszony do konfrontacji Nick wybrałby żonę czy interesy? Zdawała sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczny grunt, ale czy nie o to właśnie chodzi? Czy ten niezwykle przystojny Chester Hill nie jest narzędziem, którego potrzebuje? Edwina pojęła nagle, w jaki sposób chce się zbuntować.

Odwróciła się, świadoma tego, że się jej przygląda.

- Panie Hill, mój mąż i ja urządzamy w sobotę piknik z okazji Czwartego Lipca. Będziemy piekli hot-dogi, zorganizujemy pokazy sztucznych ogni i inne atrakcje. Czy zechciałby pan przyjść?

Wyglądał na zdziwionego. Nick rzadko zapraszał do domu swych wysokich urzędników. Choć wystawnie podejmował ludzi, których chciał skusić do zawarcia z nim transakcji, to własnych pracowników trzymał w życiu prywatno-towarzyskim na dystans.

- Cóż...

- Przyjdzie kilku interesujących gości - kusiła Edwina. - Między innymi nasz dawny przyjaciel z Niemiec, minister kultury, hrabia von Winterfeldt. Myślę, że dobrze by się pan bawił. Chyba że ma pan już inne plany?

- Och, nie, nic nie planowałem.

- W takim razie przyjdzie pan? - Uśmiechnęła się ślicznie. Co się dzieje? - myślał. Co się, u licha, dzieje?

- No, jasne. Z przyjemnością. Dziękuję.

- Świetnie. Niech nan będzie w Gravstone w południe. I proszę

wziąć kąpielówki. Zapowiadają upały, więc pewnie zechce pan popływać w basenie.

Nieważne, czy pójde z nim do łóżka, myślała. Ważne jest, jak zareaguje Nick, kiedy mu powiem, że tego chcę.

Co zrobiłaś?! - wykrzyknął Nick godzinę później, wracając z Edwiną do Greenwich na tylnym siedzeniu Cadillaca.

- Zaprosiłam Chestera Hilla na nasz sobotni piknik - odparła niedbale.

- Po co to, do diabła, zrobiłaś? Wiesz, że mam zwyczaj nieutrzymywania stosunków towarzyskich z pracownikami!

- Uspokój się, kochanie. Pamiętasz, jak powiedziałam ci kilka lat temu w Niemczech, że złości mnie podwójna moralność małżeńska? Ze gdybym kiedyś spotkała mężczyznę, z którym chciałabym pójść do łóżka, powiedziałabym ci o tym? No więc, spotkałam kogoś takiego. Chcę iść do łóżka z Chesterem Hillem.

Nick wyglądał tak, jakby miał dostać apopleksji.

- Edwino, bądź poważna! To znaczy, poza wszystkim innym, on dla mnie pracuje! Jest jednym z moich zastępców.

- Wiem o tym. Dlatego to jest jeszcze bardziej podniecające.

- Cholera, nie wiem, jakie wariactwo wbiłaś sobie do głowy, ale możesz o tym zapomnieć. Absolutnie zabraniam ci.

- Ach tak? Wobec tego to było tylko takie gadanie? Kochasz się z aktorkami, które, nawiasem mówiąc, są twoimi pracownicami, ale mnie nie wolno się kochać z jednym z twoich zastępców?

- To jest głupie porównanie.

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie.

- Zresztą, byłem ci wierny.

- Tere-fere.

- Cholera, mówię prawdę! Poza tym, Edwino, niezależnie od twoich poglądów w kwestii małżeństwa, reszta Ameryki uważa, że żona nie powinna się łądaczyć.

- Teraz ty mówisz głupio. Znam mnóstwo kobiet, które się łądaczą, włącznie z naszymi przyjaciółkami. Mam ci podać listę nazwisk? Sally Winston, która sypia ze swoim trenerem od tenisa w Piping Rock. Elwira Nesbitt, która sypia ze swoim adwokatem, pomyśleć tylko! Dorothy Dunlop zaliczyła połowę męskiej populacji Palm Beach.

Agnes de Witt...

- One mnie nie interesują. Interesujesz mnie ty, ja i dzieci.
  - Nie mówię o rozbijaniu rodziny ani nie ma to związku z moją miłością do ciebie. To kwestia zasad. Uważam, że mam prawo wziąć sobie czasem kochankę, a gdybyś choć trochę szanował mnie jako człowieka, a nie tylko jako żonę, przyznałbyś mi to prawo, tak jak ja ci je przyznawałam przez te lata, i to na kopy! Bóg wie, że mogłam to zrobić z tuzin razy za twoimi plecami, ale nie chcę się kryć. Chcę to zrobić z twoją wiedzą i za twoim przyzwoleniem.
  - Jeśli to dowcip, to obrzydliwy!
  - To nie dowcip. Jestem śmiertelnie poważna.
  - Cóż, odpowiedź brzmi: nie. I nie ma odwołania. Ostrzegam cię, Edwino, że jeśli zaczniesz swawolić z Chesterem, wyleję go. Zaszkożysz nie tylko jego karierze, ale także Departamentowi Wojny Stanów Zjednoczonych, ponieważ Chester pracuje nad bardzo skomplikowaną...
  - Ach tak, zaczynamy powiewać flagą? - przerwała mu impulsywnie. - Że też masz czelność?! Co jest ważniejsze, moje prawa jako kobiety czy jakiś cholerny karabin dla armii?
  - Sądzę, że niewątpliwie jakiś cholerny karabin dla armii!
  - Wobec tego wyznajemy różne wartości. Ale wiedziałam, że tak będzie, Nick. Wiedziałam, że kiedy postawię cię przed podobną sytuacją, wykręcisz się w taki czy inny sposób, choć przyznaję, że za powiewanie flagą należy ci się nagroda za oryginalność.
- Wyrzła przez okno na mijany krajobraz.
- No więc? - spytał po chwili. - Co zrobimy?
  - Zobaczymy.
  - Edwino, kocham cię. Jak dotąd nasze małżeństwo było cholernie udane. Nie spieprzmy tego z powodu jakiegoś wariackiego planu, który sobie wymyśliłaś.
  - To nie jest wariactwo. Poza tym, jak ci już powiedziałam, nie ma to nic wspólnego z naszym małżeństwem.
  - Ależ ma.
- Powiedział to łagodnie, a wiedziała z doświadczenia, że najbardziej niebezpieczny jest wtedy, kiedy mówi coś łagodnie. Odwróciła się do niego ze łzami w oczach.
- Niech cię diabli porwą, Nick. Najbardziej irytujące w tobie jest to, że nie chcesz zrozumieć, jakie to dla mnie ważne.
  - Na tyle ważne, żeby zaryzykować moją miłość do ciebie?

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Potem odwróciła głowę i znowu wyjrzała przez okno. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Jak daleko była gotowa posunąć się w swoim buncie? i jżeść tysięcy kilometrów dalej, o drugiej nad ranem, ubrany w skórzaną kurtkę kanclerz Rzeszy Niemieckiej, Adolf Hitler, wsiadł do trzysilnikowego Junkra 52 prowadzonego przez jego ulubionego pilota, Hansa Baura. Baur wystartował z lotniska w Bad Godesberg i poleciał do Monachium, gdzie wylądował w deszczu na wojskowym lotnisku w Oberwiesefeld. Kilku dygnitarzy partyjnych i oficerów wojskowych czekało, by powitać *Fiihrera*. Hitler, w posepnym, wybuchowym nastroju, przywitał ich warknięciem:

- To jest najczarniejszy dzień mojego życia. Pojadę jednak do Bad Wiessee i wydam surowy wyrok. Bad Wiessee to kurort nad pięknym Tegersee, jeziorem u bram Alp, czterdzieści kilometrów na południe od Monachium. Tam właśnie udał się na pobyt zdrowotny Ernst Rohm, jeden z najstarszych sojuszników Hitlera, szef *Sturmabteilung*, czyli SA, brunatnych koszul; towarzyszyło mu kilku najwyższych oficerów SA. Od kilku tygodni po Niemczech krążyły plotki o możliwości rozłamu pomiędzy SA a armią, czy nawet puczu Róhma przeciwko Hitlerowi. Brunatne koszule zostały powołane do życia jako prywatna armia Hitlera, a ich chuligańska taktyka i brutalność wywołała nienawiść nie tylko niemieckich Żydów, ale także wielu Niemców. Oddziały SA uważały się za elitę, awangardę czystego narodowego socjalizmu, którą według nich Hitler zdradzał, by pozyskać armię. Pomimo zawołanych gróźb Hitlera, Hessa, Góringa i Goebbelsa niewzruszony Rohm wciąż przebywał w pensjonacie w Bad Wiessee. Poprzedniego wieczoru grał w taroka, bawarską grę karcianą dla trzech osób, potem lekarz dał mu zastrzyk na newralgię, po czym Rohm poszedł spać. Mimo iż był zdeklarowanym i niestrudzonym homoseksualistą, położył się do łóżka sam.

O szóstej nad ranem od strony jeziora do Bad Wiessee wjechały dwa samochody i stanęły przed pensjonatem Hanselbauer. W pierwszym samochodzie prowadzonym orzez kierowcę Hitlera, Ericha

Kempkę, siedział *Führer*, łącznie w obu samochodach nie było nawet pół tuzina ludzi. Słońce zaczęło przebijać się przez poranną mgłę nad jeziorem, kiedy Hitler wszedł na czele swoich ludzi **do** hotelu. Na parterze nie było żywej duszy z wyjątkiem gospodyni, zdumionej widokiem samego Hitlera w swoim pensjonacie.

- Gdzie jest *Reichsleiter* Röhm? - warknął *Führer*.

- Na górze - wykrztusiła gospodyni. - Pokój numer trzy. Grupa weszła na schody, dudniąc złowrogo butami. Hitler załomotał

**do** drzwi pokoju numer trzy. W rękę trzymał pistolet. Kiedy ziewający Röhm otworzył drzwi, Hitler powiedział:

- Ernst, jesteś aresztowany. Zdradziłeś mnie i Rzeszę. Ubieraj się.

- Ale...

- Ubieraj się! - ryknął Hitler. - Albo każę cię natychmiast zastrzelić!

**Po** czym wszyscy przebywający w hotelu oficerowie SA zostali otoczeni - opowiadał cztery dni później hrabia von Winterfeldt siedząc tego upalnego lipcowego dnia przy basenie Flemingów w Greenwich w stanie Connecticut.

Rozmawiał z Nickiem w cztery oczy przy stoliku pod parasolem, podczas gdy dzieci Flemingów i trzy tuziny gości chlapały się w basenie lub spacerowały po ocienionych drzewami trawnikach uroczej posiadłości. - Wielu oficerów S.A. było w łózkach ze swymi szoferami - ciągnął hrabia ściszej głoś. - To była zdeprawowana banda, wszyscy w Niemczech

**O** tym wiedzieli. Zawieziono ich do więzienia w Monachium

1 rozstrzelano w trybie przyspieszonym, chociaż sędzę, że Hitler dał Rohmowi możliwość popełnienia samobójstwa. Tak czy inaczej, nie żyje. Moi przyjaciele w Monachium i Berlinie donoszą mi przez telefon, że dwieście osób zostało rozstrzelanych bez sądu. To jest kropla przepełniająca miarę, *Herr* Fleming. Hitler przyznał sobie prawo do mordowania. Niemcy są rządzone przez kryminalistów!

Nick pociągnął przez słomkę Cuba libre.

- Z pewnością nie jest to dla pana zaskoczeniem - powiedział. Hrabia potrząsnął głową.

- Nie. Jestem przekonany, że Hitler zamordował mego syna siedem lat temu, choć pewnie nigdy nie dowiem się prawdy. Nie dziwi mnie to, że Hitler jest amoralnym potworem, ale to, że jako

legalnie wybrany kanclerz Niemiec miał czelność popełnić to masowe morderstwo w obliczu opinii światowej! Czy jakikolwiek rząd może teraz rozmawiać z Niemcami?

- Rosja z nimi rozmawia, a Stalin bez wątpienia wymordował więcej ludzi niż Hitler. Jeśli już o tym mowa, Mussolini także mordował. Proszę wybaczyć, że to mówię, ale pański stosunek do tej sprawy wydaje mi się uderzająco naiwny.

Hrabia westchnął.

- Być może. Ale pan nie jest Niemcem, a ja tak. Czuję odrazę na myśl, że mój rząd, którego jestem członkiem, mógł się w ten sposób zachować. Dlatego właśnie chciałem się z panem spotkać.

Nick ujrzał Edwinę zbliżającą się do nich przez trawnik i dał znak hrabiemu, żeby zamikł.

- Porozmawiamy później - powiedział.

- Kochanie, podano lunch - powiedziała Edwina, wyglądająca oszłamiająco w jednoczęściowym zielonym kostiumie kąpielowym. -Możesz mi pomóc wyciągnąć dzieci z basenu?

L^hester Hill był czwartym synem szanowanego, lecz biednego pastora Kościoła episkopalnego, którego rodzina od lat czterdziestych osiemnastego wieku mieszkała w Salibury, uroczym miasteczku w północno-zachodniej części stanu Connecticut. Chester wychował się w dużym osiemnastowiecznym wiejskim domu, gdzie do roku 1921 nie było elektryczności, bieżącej wody ani centralnego ogrzewania. Wciąż dobrze pamiętał, jak przesiadywał w lodowatej wygodce. Chester otrzymał stypendium na pobliskim uniwersytecie Kent, wtedy Yale, koledzy ubrani w płaszcze z futer szopów i szastający pieniędzmi wyostrzyli jego poczucie ubóstwa i głód pieniędzy. Wyrósł w domu, gdzie przed posiłkami odmawiano modlitwę, a ojciec co wieczór przez pół godziny czytał Biblię. Na drugim roku studiów w Yale Chester został ateistą. Doszedł do wniosku, że najkrótszą drogę do bogactwa zapewni mu uroda, toteż zaczął umawiać się na randki z siostrami najbogatszych kolegów. Niestety, zapłodnił córkę swego nauczyciela fizyki, co postawiło go przed wyborem: albo zrobić z niej uczciwą kobietę, albo wylecieć z uczelni, tracąc stypendium. Ożenił się z nią, mając gorzką, dojmującą świadomość, że jest niemal tak biedna, jak on. Pieć lat

małżeństwa przyniosło dwójkę dzieci, nie kończące się kłótnie i kosztowny rozwód.

Teraz, wychodząc z basenu Nicka, by się osuszyć przed lunchem, Chester patrzył na imponującą willę, odległy kort tenisowy, piękny krajobraz i zazdrościł swemu pracodawcy z całego serca. Irracjonalna strona jego natury pragnęła uderzyć jakoś w to bogactwo uwieść żonę Nicka, spalić dom, porwać jedno z dzieci. Racjonalna strona mówiła, że Nick jest dobrym pracodawcą, że Chester lubi swoją pracę, która przynosi mu siedemnaście tysięcy dolarów rocznie, co stanowiło ładną sumę w 1934 roku. Wkładając koszulę polo i udając się na lunch, Chester Hill był emocjonalną beczką prochu.

Piknik nazwano stuprocentowo amerykańskim, ale należałoby dodać, że chodziło o bogatych Amerykanów.

Kucharz w czapie piekł hot-dogi i hamburgery na ceglany ruszcie, a trzech służących w białych żakietach nakładało z długiego bufetu pod gołym niebem sałatki, owoce, pikle, przyprawione na ostro jajka i sorbet truskawkowy domowej roboty. Połowę gości stanowili mali przyjaciele dzieci Flemingów. Dzieci stojące w kostiumach kąpielowych w kolejce do bufetu śmiały się i paplały, w typowy dla siebie sposób ignorując dorosłych. Kiedy jednak Chester zajął miejsce w kolejce, spostrzegł dziewczynkę, która nie rozmawiała z rówieśnikami, ale patrzyła na niego. Była to Sylwia Fleming, najstarsza córka Nicka, która w czternastym roku życia wyrosła na ciemnowłosą piękność. Spojrzenia, jakie posyłała Chesterowi, były tak gorące, tak bezwstydnie dorosłe, że z trudem powstrzymał się od odwrócenia wzroku, by ukryć zakłopotanie.

Właśnie wtedy do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Edwina również zauważyła spojrzenie Sylwii i z zaskoczeniem zrozumiała, że nie tylko ona jest zainteresowana Chesterem Hillem. Już od kilku miesięcy wiedziała, że córka przejawia zainteresowanie płcią przeciwną równie intensywne jak ona w tym młodym wieku. Ponieważ Edwina uważała się za kobietę nowoczesną, całkowicie wyzwoloną z ciasnych poglądów pokolenia jej rodziców, zdziwiła się, jak bardzo zmartwiła ją kokieteria Sylwii, o ile to nieco eufemistyczne określenie mogło w pełni oddać gorące spojrzenia

rzucane przez Sylwię Chesterowi. Edwina odczuła instynktowną ochotę, by zaciągnąć córkę do domu i spuścić jej lanie, powstrzymało ją jednak poczucie winy. Czy sama nie planowała tego samego - uwieść Chestera?

Wtedy właśnie dowiedziała się o sobie okrutnej prawdy. Mimo wszystkich prób szokowania otoczenia, mimo szczylenia się „szaloną” krwią Thraxów, mimo nagabywania Nicka o prawo do kochanka, mimo całej logiki jej argumentów, okrutna prawda była taka, że brakowało jej odwagi, by wcielić plany w życie. Prosta prawda przedstawiała się tak, że uwielbiała męża i rodzinę i nie miała zamiaru narażać małżeństwa na niebezpieczeństwo dla mężczyzny, który po prostu pociągał ją fizycznie.

Mój Boże, pomyślała, niemal wybuchając śmiechem, jestem konwencjonalną kobietą!

JViedy dowiedziałem się o tym, jak nabrał nas pan siedem lat temu, byłem na pana naprawdę wściekły - powiedział do Nicka hrabia Alex von Winterfeldt. - Czy to prawda, że ten tak zwany lokaj był aktorem z Hollywood?

- Tak - odparł Nick ze śmiechem. - Teraz całkiem dobrze mu się powodzi w westernach.

Obaj mężczyźni siedzieli na rufie *Sea Nymph*, dwudziestometrowego jachtu Nicka, który dwuosobowa załoga prowadziła po zatoce Long Island naprzeciwko posiadłości Nicka.

- Kiedy ukazały się te artykuły, rząd i naczelne dowództwo wpadli oczywiście w szal - ciągnął hrabia. - Jednak patrząc z perspektywy czasu, podziwiam to, co pan zrobił. Nie mogliśmy wiedzieć, że armia niemiecka może się stać zabawką w rękach tego szaleńca, Hitlera. Nie mogę panu powiedzieć, jak bardzo zmieniła się sytuacja w Niemczech, *Herr Fleming*. Żeby oddać temu człowiekowi sprawiedliwość, muszę przyznać, że wydobył Niemcy z kryzysu.

Niemcy rozwijają się teraz prężniej niż Stany Zjednoczone, ale zapłaciliśmy za to wolnością jednostki. Na pewno czytał pan o obozach koncentracyjnych, ale teraz całe Niemcy zamieniają się w obóz. Hitlera trzeba powstrzymać.

- Zgadza się - odparł Nick. - Nie wiem tylko, kto go powstrzyma.

- Ja - powiedział hrabia, a Nick popatrzył na niego ze zdziwieniem.



Hrabia spojrział w stronę mostku, gdzie stało dwóch członków załogi.

- Nie usłyszą pana - uspokoił go Nick. - Silniki pracują zbyt głośno.

Hrabia odwrócił się z powrotem do Nicka.

- Nie wiem, co mógł pan słyszeć o moim synu w dwudziestym siódmym.

- Słyszałem, że był faszystą i bliskim przyjacielem Hitlera. Na twarzy szacownego człowieka malował się ból.

- Bliski przyjaciel to ładny eufemizm - powiedział. - Mój syn był kochankiem Hitlera. Rudi był zafascynowany Hitlerem, tak jak dziś całe Niemcy. Nie wiem, kiedy dokładnie zostali kochankami, ani nie chcę wiedzieć. Chodzi o to, że plotki o nich zaczynały szkodzić karierze politycznej Hitlera. Jestem przekonany, że właśnie dlatego kazał zabić Rudiego.

- Czy przeprowadzono dochodzenie?

- Tak, ale nic nie wykryto. Nie wiem nawet, gdzie są zwłoki mojego syna. Musi pan zrozumieć, że już wtedy Hitler miał w Niemczech potężnych przyjaciół. Wtedy uszło mu na sucho morderstwo, tak jak dziś uchodzą mu na sucho masowe morderstwa. Wierzę w zasadę oko za oko, *Herr* Fleming. Dlatego właśnie zamierzam odpłacić Hitlerowi za to, co zrobił memu synowi.

- Proszę mi wybaczyć, hrabio, ale nie pojmuję jednej rzeczy. Skoro jest pan takim zapiekłym wrogiem Hitlera, czemu w zeszłym roku mianował pana ponownie ministrem kultury? Czemu wstąpił pan do partii faszystowskiej?

- Musi pan spróbować zrozumieć psychikę Hitlera. On kochał się w moim synu. Decyzja o zamordowaniu Rudiego musiała wymagać silnej woli i przysporzyć mu prawdziwego bólu. Teraz czuje się winny, więc zaproponował mi stanowisko w rządzie.

- Może także po to, by zamknąć panu usta?

- Tak, to też. A co do kwestii wstąpienia do partii, musiałem to zrobić, chcąc się utrzymać w rządzie. Wielu członków partii w dzisiejszych Niemczech nie wierzy w faszyzm - wstępują, żeby się chronić, żeby funkcjonować.

Członkostwo w partii i rządzie daje pewne możliwości manewru i ochronę. Jednakże nie trzeba mówić, że to, w co się zaangażowałem, wiąże się z wielkim ryzykiem.

- A w co się pan właściwie zaangażował?

- Nie jestem osamotniony w poglądzie, że Hitler jest zgubą Niemiec i że trzeba go powstrzymać. Hitlerowi kibicuje wielu poważnych przemysłowców, na przykład Krupp i Thyssen, ale inni nie. A mówiąc dokładniej, wielu starszych członków dowództwa jest przeciwnych Hitlerowi.

- Dlaczego? - przerwał mu Nick. - Przecież zwiększa wydatki na zbrojenia i wzmacnia siłę armii.

- A czemuż może to służyć, jeśli nie kolejnej wojnie? Och, wiem, że publicznie mówi o pokoju, ale prywatnie o wojnie, a każdy odpowiedzialny Niemiec wie, że kolejna wojna byłaby dla naszego kraju katastrofą. Dlatego też grupa, którą reprezentuję, uważa, że Hitlera trzeba powstrzymać teraz, póki jeszcze żyje prezydent von Hindenburg. Hindenburg stanowi jedyną przeszkodę na drodze Hitlera do władzy absolutnej. Ale prezydent jest starym człowiekiem, jego dni są policzone. Zamach musimy zorganizować teraz, by Hindenburg mógł utrzymać naród w jedności do czasu sformowania nowego rządu.

- A więc planujecie pucz?

- Właśnie. Nasi ludzie w armii schwytają Hitlera i innych wysokich urzędników faszystowskich, żywych lub martwych, a następnie rozpiszą nowe wybory.

Nick gwizdnął.

- To ambitny plan! A jeśli się nie powiedzie?

- Wtedy wszyscy zginiemy, *Herr Fleming*.

- Cóż, podziwiam pańską odwagę, hrabio, i życzę powodzenia. Nie pojmuję jednak, jaka w tym wszystkim jest moja rola.

- Potrzebujemy broni, *Herr Fleming*, broni spoza Niemiec. We wszystkich większych miastach, Berlinie, Hamburgu, Frankfurcie i Monachium mamy kluczowe regimenty, które kontrolujemy i które przeprowadzą pucz. Jednak stanowią one tylko ułamek całej armii. Liczymy na to, że pozostała część armii przyłączy się do nas, kiedy najwyżsi dygnitarze partyjni zostaną usunięci, ale naturalnie nie możemy mieć pewności. Aby wesprzeć nasze jednostki, organizujemy w całym kraju ochotnicze oddziały, które uzbroimy, oczywiście potajemnie. Uznaliśmy, że jedynym sposobem jest zamówienie broni za granicą, a pamiętając pańską pomysłowość, zaleciłem skontaktować się z panem. Oczywiście niemałe znaczenie ma też fakt, że produkuje pan jedne z najlepszych karabinów na świecie. Zamierzamy zamówić broń i amunicję wartości trzech milionów dolarów. Ufam, że jest pan zainteresowany takim zamówieniem.

- Oczywiście, że jestem! Ale jak mógłbym wam dostarczyć broń bez wiedzy faszystów?

- Wyśle ją pan do Danii. Do nas będzie należało przewiezienie jej do Niemiec.

Nick spojrział na gromadzące się na zachodzie ciemne chmury. Była czwarta po południu, a lipcowy upał groził burzą. Wstał i podszedł do mostka.

- Lepiej wracajmy - powiedział do Toma Rydale, swojego trzydziestoletniego szypra.

- Tak jest, panie Fleming.

Nick wrócił do hrabiego von Winterfeldta i usiadł na białej płóciennej poduszce.

- Czy może mi pan wymienić nazwiska kilku oficerów, którzy są wtajemniczeni? - spytał.

- Dlaczego chce pan wiedzieć?

- Zazwyczaj zawieram transakcje z legalnymi rządami, chociaż nie przeczę, że zdarzyło mi się sprzedawać broń pewnym antyrządowym grupom w krajach Ameryki Południowej, których nie wymienię. Jednak przeważająca część mojej działalności jest legalna i chciałbym, żeby tak pozostało. Jeśli mam postąpić wbrew prawu, a taka sprzedaż byłaby z punktu widzenia mojego rządu bezprawna, wolałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia. Nie znaczy to, że nie ufam panu, hrabio, ale teoretycznie mógłby pan mnie nabierać.

Hrabia zeszywniał.

- Mój drogi panie Fleming, jeśli ktoś tu nie jest godzien zaufania, to właśnie pan! - wykrztusił. - Siedem lat temu oszukał pan mnie i naczelne dowództwo! Po co miałbym pana okłamywać? Czy nie i rozumie pan, że gdyby ta rozmowa doszła do uszu Hitlera, w ciągu pół godziny stanąłbym przed plutonem egzekucyjnym?

- Proszę się nie obrażać, hrabio. Po prostu we własnym interesie muszę zachowywać ostrożność. Chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- Nie mogę ujawnić nazwisk tych ludzi bez ich zgody. Gdyby jednak przyjechał pan do Berlina, mógłbym pewnie zorganizować spotkanie z kilkoma z nich.

- Czy nie byłoby to niebezpieczne?

- Nie dla pana, legitymuje się pan przecież amerykańskim paszportem. Naturalnie, będzie do niebezpieczne dla nas, ale jesteśmy

bardzo ostrożni. Może dobrze by było, gdyby tak czy inaczej przyjechał pan do Berlina, ponieważ z Niemiec nie zdołamy się z panem komunikować, nawet szyfr wzbudziłby podejrzenia. Na miejscu możemy omówić szczegóły. W jakim czasie mógłby pan dostarczyć towar?

- Po otrzymaniu zaliczki w wysokości połowy sumy wystarczyłby mi miesiąc.

- Doskonale. Czy zatem umowa stoi? Jacht uderzył lekko o pomost.

- Zastanowię się nad tym - odparł Nick wstając. - Rano dam panu odpowiedź.

- Ale, *Herr* Fleming, jak mógłby nam pan odmówić? W swoim zeszłorocznym przemówieniu w Metropolitan Club w Waszyngtonie oświadczył pan jasno, że Hitler stanowi zagrożenie dla światowego pokoju!

- Zgadza się, hrabio. Jednak pan jest członkiem rządu Hitlera oraz partii faszystowskiej. Nakreślił mi pan plan zamachu stanu, który, moim zdaniem, ma niezbyt duże szanse powodzenia. Dlatego chcę się spotkać z innymi i przemyśleć pańską propozycję. Pójdziemy do domu? Mam nadzieję, że deszcz nie popsuje nam pokazu sztucznych ogni.

Pomógł hrabiemu wysiąść z jachtu. Myślał, choć o tym nie mówił, że pewnie zaufa hrabiemu. W końcu Winterfeldt chce pomścić zabójstwo syna. Nick był zbyt ostrożny, by zaakceptować inne powody do narażania się na ogromne ryzyko. Potrafił jednak zrozumieć zemstę.

### *Rozdział dwudziesty szósty*

Burza mimo wszystko nie nadeszła, a ponad trzydziestostopniowy upał utrzymywał się do zachodu słońca; wszyscy pozostali w strojach kąpielowych i wciąż wskakiwali dla ochłody do basenu. Kiedy słońce schowało się wreszcie za horyzontem, na zewnątrz domu zapalono światła, które przyciągnęły miliony owadów. Co aktywniejsi dorośli, napędzani pitem przez całe popołudnie piwem, winem i mocnymi alkoholami, korzystali z basenu aż do dziewiątej, kiedy Nick ogłosił pokaz sztucznych ogni. Chester Hill uświadomiwszy sobie, że wypił za dużo ponczu na rumie, po raz ostatni zanurkował w basenie, żeby otrzeźwieć, potem wyszedł, wytarł się i poszedł przez trawnik nad wodę, gdzie miał się odbyć pokaz. Większość gości pozajmowała już miejsca na trawie, tłukąc muszki i komary. Chester przysiadł z tyłu grupy.

Po chwili na trawie obok niego usiadła Sylwia Fleming. Sssssss-BANG!

Pierwsza rakietka poszybowała w niebo, gdzie rozprysła się na białe i niebieskie iskry. Dzieci wrzasnęły z podniecenia i zaczęły bić brawo. Sylwia milczała.

- Białe i niebieskie to kolory Yale - powiedział Chester, nie spuszczać oczu z zatoki, choć był dojmująco świadom bliskości dziewczyny. Miała na sobie obcisły biały kostium kąpielowy podkreślający każdą krągłość ciała, niezupełnie jeszcze rozwinięte piersi. Spojrzał ukradkiem na prawo i zobaczył długie, gładkie nogi wyciągnięte obok na trawie. Zaledwie czternaście lat, ale nogi dojrzałej kobiety. Rum pulsował w żyłach Chestera, który stłumił

pragnienie, by wyciągnąć rękę i przesunąć dłonią po jednej z tych wspaniałych nóg.

- Chodziłeś do Yale? - spytała.

- Tak, rocznik maturalny dwudziesty ósmy.

- Byłeś sportowcem? Masz takie... muskularne ciało. Ssssss-BANG!

Kolejna rakietka wystrzeliła w górę, rozpryskując się na czerwone iskry. Znowu piski i brawa. Sylwia milczała.

- Tak, grałem na trzeciej bazie. Poza tym pływałem.

- Grywam w tenisa na trawie u panny Porter. Masz na plecach komara.

Poczuł, jak jej palce suną powoli i delikatnie po prawej łopacie, odganiając komara, którego nie czuł. To szaleństwo!

- pomyślał. Cholera, ona ma dopiero czternaście lat! A jednak kąpielówki zaczęły mu się kłopotliwie napinać.

Fzzzzzzz...

Koło z racami syczało, wirowało i pryskało, rozsiewając wokół fantastyczne iskry. Jeszcze jedna rakietka. Dzieci wrzeszczały i biły brawo.

- Tata prosił mnie, żebym ci powiedziała, żebyś został na noc - powiedziała Sylwia. - Mamy mnóstwo wolnych pokoi, to głupota, żebyś wracał dziś aż do Old Lyme.

- No, nie wziąłem szczoteczki do zębów...

- Mamy szczoteczki do zębów. Po sztucznych ogniach pokażę ci twój pokój.

Zesztywniał, czując, jak palce Sylwii wślizgują się między jego prawe udo a trawę. Przez chwilę delikatnie gładziły jego ciało, a potem się wycofały.

Święty Boże! - pomyślał Chester Hill. Pot łał mu się po żebrach, a kąpielówki groziły rozdarciem.

Ssssss-BANG!

Ależ ona ma dopiero czternaście lat!

Plan, który przyszedł mu do głowy tego popołudnia, był prosty. Sylwia jest piękna, Sylwia najwyraźniej się nim interesuje. Może gdyby właściwie rozgrywał karty, za sześć czy siedem lat mógłby się z nią ożenić i zostać zięciem Nicka Fleminga. Może Sylwia okazałaby się tą spadkobierczynią, która ominęła go w Yale.

Tylko że Sylwia nadawała jego planowi niebezpieczne przyspieszenie.

Mój starszy brat, Charles, to rozpieszczony potwór - stwierdziła rzeczowo Sylwia. Pokaz ogni dobiegł końca, a goście rozjeżdżali się do domów. Prowadziła Chestera schodami na piętro. Oboje wciąż mieli na sobie kostiumy kąpielowe.

- Nieładnie tak mówić o bracie - odparł Charles, napięty od tłumionego podniecenia. Idąc za Sylwią, patrzył na jej jędrne pośladki i powtarzał sobie: Uważaj! Stąpasz po polu minowym.

- Charles nie jest zbyt miłym bratem - powiedziała Sylwia.

- Sprawia miłe wrażenie.

- To tylko poza. Myślę, że kiedy dorośnie, będzie mordować ludzi siekierą.

Zachichotała, a Charles pomyślał, że dziewczyna ma dziwne poczucie humoru.

Mimo erotycznych myśli oderwał wzrok od nastoletnich pośladków Sylwii, by spojrzeć na obrazy wiszące nad schodami i w korytarzu na piętrze. Na tyle znał się na sztuce, by wiedzieć, że podczas gdy większość milionerów wciąż kolekcjonuje dzieła dawnych mistrzów, sprytni bogacze inwestują w sztukę nowoczesną. Nick należał do sprytnych bogaczy. W złożonych ramach widniały najbardziej jaskrawe płótna, jakie kiedykolwiek widział: Kokoschka, De Chirico, Kandinsky, Léger, Dali... Nie miał pojęcia, ile warte są te zdumiewające obrazy, ale zakładał, że z każdym tyknięciem wskazówek zegara, ich cena rośnie. Pewnego dnia mógłbyś się w to wszystko wżenić, myślał, ale nie wtedy, kiedy ta nastoletnia bomba zegarowa wybuchnie przedwcześnie. Ale, mój Boże, co za śliczny tyłeczek!

Na końcu korytarza otworzyła drzwi i wprowadziła go do ładnego pokoju ze ścianami pokrytymi żółtą tapetą w kwiaty. Zapaliła światło, a potem podeszła do okna i zasunęła zasłony.

- Nie rób tego - powiedział. - Sypiam przy otwartych oknach. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Zamknij drzwi - powiedziała.

Znowu zaczął się pocić, ale spełnił polecenie. Podeszła do niego i powiedziała cicho:

- Chyba się w tobie zakochałam.

- Nie bądź śmieszna. Prawie mnie nie znasz...

- To nie ma znaczenia. Miłość musi przyjść szybko, a kiedy zobaczyłam cię dziś rano, wiedziałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Sylwio, usłyszałaś tę kwestię w jakimś złym filmie.

- To był jeden z filmów mamy.

- O tym właśnie mówię.

Stała na wprost niego z zamkniętymi oczami.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Nie miał pojęcia, czy ona prowadzi jakąś dziecinną grę, czy mówi poważnie, może jedno i drugie. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, pociągała go niesamowicie.

- Pocałuj mnie, albo powiem ojcu, że próbowałaś mnie uwieść, i cię wywali.

Chester zlewał się potem, bardziej z niepokoju niż z gorąca. Pole minowe, pole minowe...

Wziął ją w ramiona i ostrożnie pocałował. Namiętnie odwzajemniła pocałunek, przesuwając dłońmi po jego plecach. Instykt mówił mu, że nie jest dziewczyną, ale rzeczywistość go zdumiewała. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy zaczęła mu ściągać kąpielówki.

Odepchnął jej rękę.

- Masz bardzo zaawansowaną technikę jak na czternastolatkę. Posłała mu krnąbrne spojrzenie.

- Kochałam się ponad tuzin razy. Liczyłam.

- Z kim?

- To moja sprawa.

- Myślę, że powinnaś stąd zmykać, zanim oboje wpadniemy w tarapaty - powiedział, ocierając pot z czoła.

- Boisz się mojego ojca.

- Żebyś wiedziała, do cholery.

Uśmiechnęła się, sięgnęła za siebie i zaczęła rozpinąć suwak kostiumu.

- Jeśli nie będziesz się ze mną kochać, zacznę krzyczeć - ostrzegła. - Wszyscy w domu dowiedzą się, co zrobiłaś.

Chester patrzył na dziewczynę. No dalej, mówił sobie, przeleć ją. Czemu nie? Może to najlepszy sposób... Drzwi otworzyły się cicho.

- Sylwio, idź do łóżka - powiedział jej brat Charles.

Na powrót zapięła kostium, wydymając pogardliwie usta. Charles podszedł do siostry i wziął ją za rękę, patrząc na nią lodowatym wzrokiem. Potem pociągnął ją do drzwi.

- Przepraszam, panie Hill - powiedział ze śmiertelną powagą. - Już jej się to zdarzało. Pełnia księżycy i tak dalej.

Dobranoc, sir.



Wypchnął Sylwię z pokoju, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Co za świrnięte dzieciaki! - myślał Chester Hill. Prawdziwe kliniczne przypadki! A jednak żałował, że Charles im przeszkodził.

Po wyjściu gości Nick i Edwina po raz ostatni zanurzyli się w basenie.

- Wiesz, że kazałem Sylwii poprosić Chestera, żeby został na noc? - zapytał Nick, płynąc u boku żony.

- Owszem, ale nie sędzę, że wybór posłańca był najszcześniejszy.

- Dlaczego?

- Nie zwróciłeś uwagi? Sylwia przez cały dzień robiła do niego maślane oczy. To było po prostu nieprzyzwoite.

- Sylwia ma dopiero czternaście lat - wykrztusił.

- Wiem. Kiedy miałam czternaście lat, miewałam najbardziej włochate myśli. Coś mi mówi, że Sylwia idzie w ślady mamusi.

Nick się zawahał.

- Nadal miewasz włochate myśli o mężczyznach? A zwłaszcza o jednym?

Podpłynęła do Nicka i objęła go.

- Tak - powiedziała z uśmiechem. - Miewam włochate myśli na twój temat.

- A co z Chesterem Hillem?

- A, ten? - prychnęła. - Moim zdaniem jest nudny jak flaki z olejem. Nie interesuje go nic poza bronią, to byłoby jak kochanie się z haubicą.

- Kilka dni temu mówiłaś co innego.

- Wiem, ale zmieniłam zdanie. Uznałam, że mam uroczonego męża, i cieszy mnie to, jaka jestem. Czasami rozmawianie o szalonym romansie z innym mężczyzną jest zabawniejsze niż sam romans.

Nick spojrział na żonę z uśmiechem.

- Wiesz co? Masz nie po kolei w głowie.

- Och, sytuacja jest o wiele poważniejsza, kochanie. Potworna prawda jest taka, że jestem do znudzenia normalna. -

Wzruszyła ramionami i westchnęła. - Edwina Fleming, kura domowa, tak beznadziejnie zadurzona we własnym mężu, że nie może go nawet oszukać. Czy to nie okropne?

Pocałował czubek jej mokrego nosa.

- Według mnie to miłe - powiedział cicho i czule. - Chodźmy na górę.

Podpłynęli do brzegu basenu, wyszli i ruszyli do domu, trzymając się za ręce jak para zakochanych nastolatków.

Właśnie skończyłaś się kochać z człowiekiem, który może pomóc obalić Adolfa Hitlera - powiedział godzinę później, kiedy leżeli obok siebie w olbrzymim podwójnym łóżku, nad którym wisiał jeden z obrazów Moneta, przedstawiający lilie wodne w Giverny.

Usiadła, zapaliła światło i spojrzała na Nicka.

- Co to znaczy? Czy po to przyjechał tu Alex von Winterfeldt? Nick skinął głową.

- Powiedział mi, że razem z grupą wysokich niemieckich oficerów planują pucz przeciw Hitlerowi i chcą, żebym ich uzbroił.

- Zrobisz to?

- Mam pewne opory, ale tak, zrobię. Nie jestem wielkim altruistą, ale gdybym zdołał pomóc uwolnić świat od tego wariata-antysemity, czułbym się wyśmienicie.

- Czy to... niebezpieczne? - spytała z wahaniem.

- Cóż, jest w tym pewne ryzyko... W przyszłym tygodniu muszę pojechać do Berlina... ale dam sobie radę.

- Jesteś pewien, kochanie?

- Jestem pewien, nie martw się, wszystko będzie dobrze. Nachyliła się i pocałowała go.

- Wiesz, jestem rozpaczliwie dumna z tego, że jestem twoją żoną. Mówiła prawdę. Bunt Edwiny zdusił się w zarodku.

### ***Rozdział dwudziesty siódmy***

W roku 1934 *Normandie* i *Queen Mary* szykowano dopiero do ich pierwszych rejsów, toteż w skład „wielkiej trójki” transatlantyckich statków pasażerskich wchodziły *Berengaria*, *Aquitania* i *Mauretania*. Autorzy tekstów reklamowych wychwalali w poetyckich słowach piękno i atmosferę każdego z trzech statków, ale panowało ogólne przekonanie, że młodzi woleli *Mauretanię*. *Berengarię* pływali milionerzy z międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, a *Aquitania*? Cóż, według nadętych słów broszury turystycznej, „Lista pasażerów *Aquitanii* ewoluuje w stronę Burke'a i Debretta. Panująca na statku rodzinna atmosfera wiejskiej posiadłości przyciąga ważne osobistości, ludzi utytułowanych... ludzi, których moglibyście spotkać na ważnym przyjęciu, gdzie liczy się zarówno urodzenie, jak i osiągnięcia”.

Edwina, nawet jeśli „z szalonym zapamiętaniem” całowała kilku partnerów w najgorętszych filmach, nigdy nie straciła akcentu z Mayfair ani nie zapomniała, że jest wnuczką księcia. Toteż kiedy ona i Nick wybrali się w następną środę do Southampton, popłynęli na nieskazitelnej pod względem towarzyskim *Aquitanii*. Frieda Gottschalk zarezerwowała dla nich prestiżowy apartament Gainsborough, który szczycił się nie tylko reprodukcją *Błękitnego chłopca*, ale także własną jadalnią. Razem z Flemingami podróżowała cała siódemka dzieci, które miały spędzić wakacje u angielskich dziadków, lorda i lady Saxmundham; dwadzieścia sztuk bagażu od Hermesa; niańka i dwie służące. Cena sześciodniowego rejsu przez ocean wynosiła cztery tysiące dolarów (w dobie kryzysu), ale Nick i Edwina, którzy zawsze podróżowali w luksusowych warunkach, uważali, że cudownie uprzejma angielska załoga eleganckiego statku jest warta każdego centa. Statek oferował najlepsze warunki ze wszystkich

plywających wówczas jednostek. Do dyspozycji pasażerów był pompejański basen, łaźnie tureckie, pełna roślin sala klubowa na drugie śniadanie czy herbatkę, oraz wyłożona boazerią kreolska palarnia, której nastrój, według słów reklamy, wyczuje nawet najmniej bywały pasażer. Mimo iż statek reklamowano jako „świątynię Gustu w ogólności, a sztuki anglosaskiej w szczególności”, wystrój jadalni w pierwszej klasie nawiązywał do Wersalu, „sam pałac jest widoczny w oddali przez kolumnadę ukwieconych kolumn doryckich”.

Tu właśnie pierwszego wieczoru ukazał się Nick z Edwiną i dziećmi, a wyfraczony główny kelner zaprowadził ich do stolika nakrytego porcelaną i srebrem. Nick, równie próżny jak każdy milioner, który sam doszedł do fortuny, napawał się spojrzeniami, jakie elegancki tłum posyłał jego ładnej rodzinie, a Edwina, wyglądająca bajecznie w białej sukni wieczorowej od Vionneta, z kolczykami z brylantów i rubinów oraz czterema szerokimi bransoletami, spostrzegła z zadowoleniem, że wielu pasażerów pamiętają z filmów i szepcze:

- To Edwina Fleming!

Smukły czterokominowy statek sunął przez spokojny w lipcu Atlantyk, czarne niebo było tak upstrzone jasnymi gwiazdami, jak gdyby eksplodowało gigantyczne urządzenie do prażonej kukurydzy, a rodzina Flemingów zasiadła do kolacji złożonej z niedosmażonej wołowiny, sera Stilton i okropnych biszkoptów w winie z kremem, które smakowały tylko Edwinie.

W tak sybaryckich warunkach łatwo było zapomnieć, że dwanaście milionów Amerykanów żyje z zasiłku. I - w każdym razie na pewien czas - Flemingowie zapomnieli.

Jednak Nick nie zapomniał hrabiego Alexa von Winterfeldta, który płynął do Hamburga na pokładzie *Bremen*.

Nie zapomniał też o Adolfie Hitlerze.

Anglia dyszała i piekła się w trzydziestostopniowym skwarze, który Anglikom jawił się jako fala tropikalnych upałów, ale Edwina po latach życia w Kalifornii przywykła do gorąca. Jej ojciec wysłał po nich dwa Rolls-Royce'y, które czekały na rodzinę w porcie Southampton, a teraz, kiedy majestatyczne limuzyny zatrzymały się przed Thrax Hall, Edwina poczuła przypływ nostalgii i podniecenia.

- Och. Nick, czy to nie piękne? - zawołała ściskając męża za reke

i wyglądając przez okno. - Czy Anglia nie jest piękna? Dopiero kiedy wracam do domu, rozumiem, jak bardzo za nią tęsknię.

Lord Saxmundham, prezentujący się niezwykle dostojnie w białym garniturze, nie wzruszony upałem, zszedł kamiennymi schodami na powitanie rodziny. Światowy kryzys niszczył gospodarkę Anglii, w Indiach bosonogi Gandhi rzucał angielskie królestwo na kolana, ale nikt by się tego nie domyślił patrząc na Maurycego wicehrabiego | Saxmundham. Wciąż niezmiernie bogaty, wznoszący się ponad burze dwudziestego wieku, dworny arystokrata, obecnie po sześćdziesiątce, sprawiał wrażenie, jakby królowa Wiktorja nadal siedziała na tronie, a w imperium wszystko było w porządku.

Przywitawszy się z Nickiem, Edwiną i licznymi wnukami, lord Saxmundham wprowadził ich do Thrax Hall, a lokaj przystąpił do wyładunku bagaży z samochodu. Lady Saxmundham leżała na górze, omdlała od upału, ale obiecała, że zejdzie na lunch.

- Chodźmy się przejść - powiedział Charles do siostry, Sylwii. Wyszli z domu, przeszli przez duży trawnik i skierowali się do lasu otaczającego prawie całą posiadłość. - Poszłabyś do łóżka z Ches-terem Hillem, prawda? - zapytał, kiedy weszli do lasu.

- Och, Charles, przestań wreszcie o tym głądzić. - Nadała się. -Od kilku dni o niczym innym nie mówisz. To zresztą nie twoja sprawa.

- Co by się stało, gdyby tata i mama się dowiedzieli? Spraliby cię niemiłosiernie. - Nic nie zrobiłam.

- Ale myślałaś o tym. Wyrastasz na prawdziwą szantrapę.

- Zamkniesz się wreszcie?

- A gdybym powiedział mamie i tacie?

- Nie zrobiłbyś tego.

- Może.

- Mówię ci, że nic nie zrobiłam!

- Ale zrobiłaś coś z Eddiem Clintonem, nie udawaj, że nie. Miałem cię na oku.

- No to miej na oku kogo innego.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Charles, który ubóstwiał Thrax Hall i znał tu każdy zakątek, nie szedł bez celu. Po dziesięciu minutach dotarli nad uroczy staw otoczony gęstymi drzewami.

- Spójrz, sarna! - szepnęła Sylwia wskazując na przeciwległy brzeg, gdzie sarenka piła wodę ze stawu. Usłyszawszy dzieci, skoczyła w las.

- Wykapmy się dla ochłody - zaproponował Charles, rozwiązując krawat.
- Nie mamy kostiumów - zauważyła Sylwia.
- Co z tego? Widzieliśmy się nago tysiące razy.
- Teraz jest trochę inaczej.
- Dobra, nie kap się.

Przez chwilę patrzyła, jak brat się rozbiera, potem sama zaczęła zdejmować ubranie. Kiedy oboje byli nadzy, spojrzeli na swoje szczupłe, młode ciała.

- Jesteś piękna - powiedział cicho Charles.
- Ty też.

Spojrzał na jej piersi, na płaski brzuch, gładką skórę i kępkę włosów łonowych, potem odwrócił się i skoczył do stawu. Sylwia weszła na kamień i skoczyła za bratem, jej ciało wygięło się wdzięcznie w powietrzu, po czym zanurzyło się w chłodnej wodzie. Przez chwilę płynęła pod wodą, rozkoszując się chłodem, a potem wypłynęła obok brata.

- Jak cudownie - powiedziała. Milczał, przyglądając się siostrze.

Przez pewien czas pluskali się w stawie, potem Charles wyszedł i przeciągając się stanął na brzegu. Patrzyła na jego smukłe, niemal bezwłose ciało i przestraszyła się własnych myśli.

- Jak się osuszymy? - zawołała. Nie odpowiedział.

Podpłynęła do brzegu, wyszła z wody i potrząsnęła gęstymi, kasztanowymi włosami. Charles przyglądał się jej z odległości kilku kroków. Zauważyła, że jego długi członek zaczyna się prężyć.

- Jesteś ohydny - szepnęła. - Pewnie pójdziesz teraz do lasu, żeby się ze sobą bawić.
- Nie - odparł podchodząc bliżej. Stali kilka centymetrów od siebie, patrząc sobie w oczy.
- Charlie, nie możemy - wyszeptwała. Położył jej dłonie na ramionach.
- Nikt poza nami się nie dowie - powiedział. - To będzie nasz prywatny, piękny sekret.

Przesunął prawą dłoń po jej piersiach, potem w dół brzucha. Delikatnie pogładził włosy łonowe.

- Od dawna chciałem to zrobić - szepnął.

Objął ją, przyciągnął do siebie zaczynając całować w usta. Potem

delikatnie pociągnął Sylwię na materac z zeschniętych liści. Nie opierała się, zdumiona tym, jak bardzo pragnie nagle swego starszego brata, przerażona implikacjami tego, co robią, ale nie mogła ani nie chciała tego powstrzymać.

Położył się na niej.

- Nikt poza nami się nie dowie - powtórzył.

Sylwia była przerażona, choć musiała przyznać, że w całym swoim krótkim życiu nie czuła większego seksualnego podniecenia. Tabu, tabu, myślała, kiedy Charles ją całował, ale to tabu było ekscytujące.

Wiewiórka siedząca na drzewie patrzyła w dół na dwa białe ciała, zerknęła z zaciekawieniem na wąskie pośladki Charlesa poruszające się wolno w górę i w dół, a potem smyrnęła w las.

Podoba ci się? - spytał Nick Edwinę rankiem dwa dni później, pomagając jej wysiąść z tylnego siedzenia jednego z Rollsów ojca. Edwina spojrzała na przykryty gontowym dachem dom w kształcie litery L. Dłuższe ramię L stanowił dwupiętrowy budynek w stylu Tudorów zbudowany z gipsu i drewnianych belek, a krótsze z niemal różowej cegły. Dom miał mnóstwo okien w ołowianych ramach i pięć misternych, ceglanych kominów. Ogród przed domem jaśniał letnimi kwiatami.

- Och, ubóstwiam go, zawsze ubóstwiałam - odparła Edwina. - To jest Audley Place. Bawiłam się tutaj w dzieciństwie. Matka mówiła mi, że lady Audley zmarła w zeszłym miesiącu.

- Tak. Zgadnij, kto kupił ten dom.

- Nie mam pojęcia.

- My.

Spojrzała na Nicka, kiedy ujął ją pod ramię i poprowadził ceglana ścieżką dzielącą ogród na pół.

- Spytałem twojego ojca, czy są tu w okolicy jakieś nieruchomości, które warto kupić, na co powiedział mi, że ten dom właśnie pojawił się na rynku za śmiesznie niską cenę. Przyjechałem więc wczoraj go obejrzeć i się w nim zakochałem. Stary Alfred Ramschild miał w Connecticut dom w stylu pseudo-Tudorów, ale to jest oryginał.

"Pochodzi z 1565 roku, widziałem dokumenty.

Edwina była zdumiona.

- Nick, my nie potrzebujemy jeszcze jednego domu.

- Oczywiście, że nie. Ale widziałem, jak bardzo cieszyłaś się z powrotu do Anglii, więc uznałem, że powinniśmy mieć tu dom. Oczywiście trzeba w to włożyć mnóstwo pracy - zmiana instalacji elektrycznych, centralnego ogrzewania, nowe łazienki i tak dalej. Ale pomyślałem, że kiedy będę w Berlinie, możesz rozejrzeć się za architektem.

Spojrzała na dom, kiedy zbliżyli się do drzwi frontowych.

- Jest tu nieco poniżej pięćdziesięciu akrów, które możemy nabyć na własność - ciągnął Nick. - Nad rzeką Avon jest sto siedemdziesiąt metrów z prawami do łowienia ryb i osiemnastowieczny młyn, który moglibyśmy przerobić na chatę gościnną. Oczywiście jeśli nie chcesz, jest jeszcze czas, żeby się wycofać. Jeszcze nic nie podpisałem.

- Nie, chcę... po prostu zaskoczyłeś mnie. Ile on kosztuje?

- Dwadzieścia tysięcy funtów.

- No, nie można powiedzieć, że oddają go za darmo.

Dotarli do drewnianych drzwi frontowych. Nick odwrócił się do żony.

- Chciałem, żebyś była gdzieś blisko rodziców, na wypadek, gdyby coś mi się stało - powiedział cicho.

Edwina otworzyła szeroko oczy.

- Nick, mówiłeś, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa - szepnęła.

- Nie chcę, żebyś się martwiła - powiedział biorąc ją za rękę. - Jednak istnieje małe niebezpieczeństwo. Dziś w Niemczech wszystko się może zdarzyć.

Wpatrywała się w męża przestraszonymi oczami.

- W takim razie nie jedź! - krzyknęła. - Na Boga, Nick, nie jedź!

- Muszę.

- Ale dlaczego?

- Wiesz dobrze. Możliwość pozbycia się Hitlera...

Pchnął ciężkie drzwi, które zaskrzypiały na wiekowych zawiasach.

- W 1803 roku popełniono tu morderstwo. Właściciel oszalał, udusił żonę i powiesił się w kuchni. - Mrugnął do Edwiny. - Podobno duch ciągle straszy.

Wprowadził ją do środka.



### ***Rozdział dwudziesty ósmy***

Nick umówił się z hrabią von Winterfeldt, że przyleci do Berlina, zamelduje się w hotelu Adlon, gdzie będzie czekał na człowieka, który poda hasło *Sommerwein*, czyli „letnie wino”, na co Nick odpowie odzewem *Winterwein*.

Wszystko to wydawało się zbyt proste, by zainteresować potencjalnego autora powieści szpiegowskich, ale hrabia zauważył, że najmniej wyrafinowane metody najlepiej zapewniają bezpieczeństwo, a Nick gotów był się z nim zgodzić. Następnego dnia Nick poleciał z podlondyńskiego lotniska Croydon, wylądował na Tempelhof w Berlinie, wynajął luksusowy apartament w hotelu Adlon, a następnie zszedł na lunch. W hallu hotelowym roiło się jak zwykle od gości z całego świata. Było wielu biznesmenów, z których sporo wciąż jeszcze nosiło do garniturów koszule z przypinanymi kołnierzykami, kilku niemieckich oficerów, trochę olśniewających i mniej olśniewających kobiet. Nick wszedł do restauracji, gdzie rozpoznał go szef sali i zaprowadził do stolika w rogu. Nick zamówił solę z grilla i pół butelki Muscadet, a potem oparł się wygodnie omiatając wzrokiem restaurację, ciekaw, czy ktoś podejdzie podczas lunchu i powie *Sommerwein*.

Dwadzieścia minut później do sali weszła Magda Bayreuth. Nick słyszał, że w swojej karierze filmowej Magda dotarła na sam szczyt, nie tylko dzięki oszałamiającej urodzie, ale również dzięki pomocy coraz potężniejszego doktora Goebbelsa. Teraz wykonała niemal klasyczne wejście gwiazdy filmowej. W odróżnieniu od Anglii, w Berlinie było chłodno i wilgotno, a mimo to Magda miała na sobie swą ulubioną kombinację kolorów - biały i czarny; tym razem był to pięknie skrojony biały kostium, długie czarne rękawiczki z koźlecej

skórki i czarny beret z dwoma wystrzelającymi ukośnie białymi piórami. Na nogach, cudach natury, miała białe pantofle z czarnymi sznurowadłami. Do żakietu przypięła wielką broszkę z brylantu i rubinowego kaboszonu. Kiedy szef sali prowadził Magdę do stolika, oczy wszystkich gości zwróciły się na nią. Przechodząc obok Nicka, zauważyła go i zatrzymała się. Posłała mu spojrzenie pełne sennego seksu oraz półdrwiącej aluzji.

- Panie Fleming - powiedziała, kiedy wstał. - Jak pan widzi, mam dobrą pamięć. Czy jest pan sam?

- Tak.

- Mogę się przyłączyć?

- Będę zachwycony.

Szef sali posadził Magdę obok Nicka.

- Aby pokazać pani, jak dobrą mam pamięć - czy nadal jest pani na diecie kawiorowo-szampańskiej? - spytał Nick.

- Tak. Jest pełna witamin.

Uwaga, tak błaha w gruncie rzeczy, dzięki znaczącemu zawieszeniu głosu stała się zarówno zabawna, jak i lubieżna. Nick był oczarowany. Kiedy złożył zamówienie, Magda powiedziała:

- Zasłużył pan na reprimendę. Siedem lat temu w tej sali obiecał mi pan zdjęcia próbne. A potem, fiuu! Zniknął pan z Berlina. Czy w ten sposób postępuje się z damą?

- Wezwano mnie nieoczekiwanie w interesach. Przepraszam. Magda uśmiechnęła się.

- Tajemniczy pan Fleming, potentat zbrojeniowy i multimilioner, który potajemnie współpracuje ze wszystkimi szefami rządów na świecie. Według mnie to fascynujące. Co tym razem sprowadza pana do Berlina?

- Przyjechałem odpocząć.

- Ach tak, spokojony, rozrywkowy Berlin - powiedziała ze śmiechem. - Wymarzone miejsce na odpoczynek. Cóż, skoro ma pan wakacje, może przyjedzie pan odpocząć u mnie? Dziś wieczorem wydaję małe przyjęcie w najciekawszej *boite* w Berlinie, w Willi Hubler w Wannsee. Właścicielka, *Frau* Hubler, to kobieta, którą musi pan poznać. Przyjdzie pan? Większość zaproszonych gości to ludzie z branży filmowej, niektórych może pan nawet znać. Myślę, że dobrze się pan będzie bawić.

Nick, którego nastrój był daleki od rozluźnionego, nie miał nic przeciwko wypoczynkowi u boku tej oszałamiającej kobiety. Poza

tym Magda, która stała się ulubioną gwiazdą filmową Hitlera (oprócz King Konga), może być dobrym pretekstem dla jego pobytu w Berlinie.

- Dzięki - powiedział. - Przyjdę z przyjemnością.

- Brawo! Przyjadę po pana do hotelu o dziewiątej wieczorem. Zjemy lekką kolację, a potem... rozrywki.

Ton, jakim wymówiła ostatnie słowo, sugerował rozpustę w najróżniejszych odmianach.

Namiętnie kochał Edwinę, ale jej argumenty w kwestii podwójnej moralności małżeńskiej nigdy do niego nie przemawiały.

Willa Hubler, usytuowana na środku uroczego dwuakrowego ogrodu, została zbudowana sześć lat wcześniej w obecnie zakazanym stylu Bauhaus - jednym z pierwszych rozporządzeń Hitlera po dojściu do władzy było zdelegalizowanie grupy Bauhaus, założonej po wojnie przez Waltera Gropiusa - toteż biała, stiukowana piętrowa willa wyróżniała się nowoczesnością na tle większości przysadzistych wilhelmińskich budynków w Berlinie. Biały Benz Magdy zatrzymał się przed willą o dziewiątej trzydzieści. Szofer w białym mundurze wysiadł, by otworzyć drzwiczki gwieździe; ukazała się Magda, w obcisłej czarnej sukni wieczorowej i białym boa, a za nią Nick w smokingu.

- *Frau* Hubler uległa kilka lat temu ciężkiemu poparzeniu -powiedziała, kiedy szli do drzwi. - Nosi woalki, które zasłaniają blizny. Jest znana w Berlinie i innych miastach jako Pani Zasłon. Czy mówi pan po francusku?

- Znośnie.

- To dobrze. Ona nie zna angielskiego.

- Co to za rodzaj *boite*?

- Jakież z pana kosmopolita? - powiedziała Magda z uśmiechem. -To oczywiście *maison de passe*, ale bardzo ekskluzywny, najlepszy w całym Berlinie. Marszałek Goring jest tu stałym gościem, chociaż o tym, jak to się mówi, cicho sza.

Drzwi otworzył zwalisty, odziany w obcisły smoking czarnoskóry mężczyzna, który cofnął się, żeby wpuścić gości. Hall był urządony surowo, bez żadnych mebli oprócz stołu ze stali i szkła, na którym stał chiński wazon z mieczkami. Z sufitu aż do podłogi zwieszała **się** lampa, która przypominała kształtem stos ułożonych stożkowo

stalowych czapek kulisów, dająca dyskretne oświetlenie. Magda poprowadziła go przez hall do otwartych lukowatych drzwi, wiodących do dużego salonu z oknami na jezioro. Salon, modnie urządzone białymi meblami z chromowanymi ozdobami, był, na swój zimny metaliczny sposób, atrakcyjny. W otwartych podwójnych drzwiach wychodzących na taras stała tyłem do Magdy i Nicka kobieta w białej szyfonowej sukni, białej woalce i białych rękawiczkach z koźlecej skórki. Oprócz niej w pokoju nie było nikogo.

- *Frau Hubler* - powiedziała Magda. - *C'est mon ami*, Nick Fleming. Kobieta odwróciła się powoli. Chociaż woalka zasłaniała jej całą

twarz, Nick poczuł na sobie wzrok niewidzialnych oczu. Z nieznanego powodu zrobiło mu się zimno.

Pani Zasłon milczała przez chwilę, po czym powiedziała ochryplym głosem:

- *Enchantée*.

Popatrzyła na Nicka jeszcze przez moment, później wyszła na taras i zniknęła.

- Dziwna dama - zauważył oschle Nick odwracając się do Magdy. - Taka ciepła i gościnna. Gdzie są pozostali goście?

Magda z uśmiechem położyła mu dłonie na ramionach.

- Nie ma żadnych pozostałych. Po lunchu zadzwoniłam do *Frau Hubler* i zarezerwowałam całą willę dla ciebie i dla mnie. Jak mówi wasza cudna amerykańska piosenka, „mam ochotę na miłość”.

Machnęła prawą ręką, a światło w pokoju przyciemniło się romantycznie. W drzwiach stanął czarny człowiek w smokingu, niosąc tacę z dwoma wąskimi kieliszkami szampana.

- Napijemy się bąbelków, a potem pójdziemy na górę do Pokoju Zasłon - szepnęła Magda, dodając: - Masz ochotę na miłość?

- Może dałbym się namówić - odparł Nick z uśmiechem. - Właściwie już się dałem.

Sięgnęli po szampana.

Pokój Zasłon był dokładnie tym, co sugerowała nazwa: średniej wielkości wysokim pokojem z zasłonami z białego tiulu. Na jednej ze ścian, gdzie otwarte okna wpuszczały powiew znad jeziora, zasłony falowały sennie, dając niemal surrealistyczny efekt. Duże łóżko także otaczały zasłony. Poza tym w pokoju nie było mebli:

łagodne światło pochodziło z lamp w podłodze za zasłonami. Sufit wyłożono lustrami; na podłodze leżał biały marokański dywan.

- To mój ulubiony pokój - powiedziała Magda, upuszczając boa na podłogę. - Göring też najbardziej go lubi.

- Nie psuj nastroju - odparł Nick.

Uśmiechnęła się, rozsuwając załony, by usiąść na krawędzi łóżka.

- Nie lekceważ Hermanna - powiedziała, krzyżując nogi, żeby zdjąć buty. - Jest sprytny jak lis i dziki jak wilk. To fascynujące zestawienie w mężczyźnie.

Przestał myśleć o Göringu, patrząc, jak Magda zdejmuje czarne szpilki, a potem powoli roluje pończochy. Każdy ruch przeciwiony, ale jakież to wspaniałe przedstawienie! I jakie nogi!

Wreszcie wstała i powoli rozpięła z tyłu suknię, nie spuszczając z Nicka wzroku. Potem, z leniwą wprawą zrzucającego skórę stworzenia, zsunęła w dół ramiączka i wyszła z sukni, która opadła na podłogę. Nick przyglądał jej się pożądliwie, zdejmując smoking, zsuwając szelki i rozpinając rozporek. Magda ściągała białe koronkowe majtki, zsuwając je wolno po udach, potem zrzuciła je i wyszła z nich. Wreszcie odrzuciła koronkowy stanik i odwróciła się do Nicka, uśmiechnięta, naga i promienna jak Wenus Boticellego. Nick miał wrażenie, że za moment eksploduje. Rozchyliła zasłony łóżka i zniknęła w cieniu, a zasłony wróciły z powiewem na miejsce.

Nick niemal wyskoczył z bielizny. Nagi podszedł do łóżka, rozsunał zasłony. Magda leżała z jedną ręką odrzuconą niedbale na poduszkę, z jedną nogą na wpół zgiętą; doskonała blad różowa skóra w nikłym świetle; jej ciało było triumfem diety, ćwiczeń i natury. Nick stęzał z pożądania. W swej karierze zaciągania do łóżek wielu pięknych kobiet, w tym samej śmietanki gwiazdeczek z Hollywood, nigdy nie zetknął się z tak cudownym ucieleśnieniem kobiecej zmysłowości. Klęknął na łóżku, usiadł na niej okrakiem i osunął się w otwarte ramiona Magdy.

- Mój Boże, jaka jesteś piękna - szepnął.

- Mało oryginalne - odparła z uśmiechem. - Ale sądzę, że szczerze. Pocałował ją w usta. Miała słodki oddech, a skóra i włosy pachniały delikatnymi perfumami. Serce Nicka waliło jak oszalałe; od lat nie czuł podobnego pożądania. Zaczął pieścić jej piersi i sutki, a z ust Magdy wydarły się ciche jęki. Powoli lizał jej piersi, potem brzuch, rozkoszując się smakiem i zapachem. Lizał atlasową skórę wewnętrznej strony ud, wdychając bogaty aromat łona.

- Twój język - wyszeptała. - Jest wspaniały.

Drzwi otworzyły się nagle i rozległ się tupot kroków biegnących w stronę łóżka. Nick podniósł wzrok i ujrzał, że *Frau Hubler* rozsunała szarpnięciem zasłony... To *Frau Hubler*, która zdjęła woalkę - dolna część jej twarzy stanowiła masę blizn, a góma wydała mu się znajoma. Zielone oczy jaśniały triumfalnie, kiedy czterech mężczyzn w czarnych mundurach SD chwyciło Nicka za ręce i nogi, a następnie ściągnęło z łóżka na podłogę. Wydzierał się im wyjąc, a wtedy jeden z napastników wbił mu w lewy pośladek igłę strzykawki. Trzymając za kończyny wywlekli go, wrzeszczącego, z pokoju.

Magda Bayreuth wstała i przyglądała włosy.

- Kochanie, mogłaś dać mi jeszcze kilka minut - powiedziała po angielsku do Diany Ramschild. - On jest mimo wszystko doskonałym kochankiem.

Diana zasłoniła woalką dolną część twarzy.

- Czy myślisz, że pozwoliłabym temu skurwysynowi nacieszyć się orgazmem? - spytała.

Podeszła do leżącej na podłodze bielizny Nicka, podniosła ją, a potem brutalnie podarła na strzępy.

- Nie zazdroszczę Nickowi Flemingowi - stwierdziła, rzucając kawałki materiału na podłogę.

Potem wyszła z pokoju.

### ***Rozdział dwudziesty dziewiąty***

Odzyskał przytomność leżąc na brzuchu na niskiej żelaznej pryczy; przeguby i kostki miał przypięte kajdankami do jej ramy. Był nagi, a głowa wciąż pękała mu od narkotyku, który gestapowcy wstrzyknęli przed sześcioma godzinami. W miarę jak umysł wynurzał się na powierzchnię świadomości i wracała pamięć, niosąc wspomnienie o szoku nagłego pojmania przez Gestapo, Nicka zdjął paniczny strach. Z wysiłkiem przekrzywił głowę, żeby zobaczyć, gdzie się znajduje. Była to cela więzienna o wymiarach trzy na półtora metra. Brudne ceglane ściany musiały liczyć wiele lat. W jednym końcu celi były ciężkie stalowe drzwi, w drugim odrażający klozet bez deski. Dwa metry nad klozetem znajdowało się wąskie zakratowane okno ze stłuczoną szybą, przez które wpadał blask słońca. Angielskie upały dotarły do Niemiec i w celi panował nieopisany skwar. Metal pryczy parzył skórę na brzuchu i udach, a pot lał się na kamienną podłogę. Z natury wybredny, Nick zżymał się na własny odór.

Usiłował zrozumieć, co go spotkało. Najwyraźniej Magda Bayreuth zwabiła go w pułapkę do Willi Hubler, ale po co pułapka? Kim była ta ohydna *Frau* Hubler? Jak rząd niemiecki mógł zrobić coś podobnego Amerykaninowi, tak wpływowemu Amerykaninowi jak Nick Fleming? Faszyci byli może gangsterami, ale starali się uchodzić przed światem za ludzi cywilizowanych. To szaleństwo. Po wyjściu Nicka Van Clairmont rozgłosi w prasie o tej brutalności po całej Ameryce...

Wtedy pojął. Oni nie zamierzali go wypuszczać. Kiedy przed osiemnastu laty uwięzili go rosyjscy rewolucyjniści. Byli wówczas

organizacją nielegalną, przynajmniej do czasu abdykacji cara. Teraz Nick stał się więźniem legalnie wybranego rządu. Dopóki znajdował się w ich rękach, był bezbronny. Nick był dzielnym człowiekiem, ale wiedział, że opowieści o nieustraszonych bohaterach to stek bzdur. Był przerażony.

Mijały godziny. Niekiedy za oknem rozlegały się niemieckie okrzyki. Wielki karaluch przebiegł mu po nodze, plecach i twarzy, a Nick z trudem pohamował wymioty. Powtarzał sobie, że nie wolno krzyczeć, bo tego właśnie oczekują, ale w końcu nie wytrzymał.

- Wypuście mnie! Jestem Amerykaninem, do cholery! Wypuście mnie!

Przedrzeźniało go echo.

Przyszli o trzeciej po południu.

Usłyszał tupot oficerów na korytarzu, łomot gumowych pałek o stalowe drzwi cel, a potem dzwonienie kluczy. Odwrócił głowę w stronę drzwi. Otworzył je jasnowłose, pryszczaty młodzieniec w czarnym mundurze z trupią czaszką. Za nim stali jeszcze trzej. Pierwszy uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział:

- *SommerweM* - Na co wszyscy wybuchnęli śmiechem. Weszli do celi i rozpięli mu kajdanki. Nick słabo znał niemiecki,

ale wybuchnął:

- *Ich bin ein Amerikaner, verstehen Sie? Ein Amerikaner!*

- *Du bist ein amerikanischer Jude!* - odparł pryszczaty. Znowu się roześmiali. Brutalnie skuli mu ręce na plecach, dwóch

Niemców ujęło Nicka pod pachy, potem wywlekli go na korytarz, dotarli do okratowanych drzwi na końcu, które otworzył strażnik. Przeszli kolejnym korytarzem, weszli na górę po schodach w następny korytarz i zatrzymali się przed stalowymi drzwiami opatrzonymi złowrogim napisem *Verhörzimmer*. Otworzyli je i wepchnęli go do pomalowanego na biało pokoju o powierzchni około osiemnastu metrów kwadratowych, z dużym, zakratowanym oknem; szyba była z matowego szkła. Na suficie paliły się cztery lampy z zielonymi kloszami. Wzdłuż ścian stały stalowe krzesła, a w rogu znajdował się zlew. Na środku pokoju tkwił stalowy stół operacyjny ze skórzanymi pasami na kostki i przeguby. Pchnęli go na stół. Zdjęty panicznym strachem zaczął się wyrywać, a wtedy jeden z żołnierzy uderzył go w ramiona i pierś. Nick zaprzestał walki, nie miał szans.



Rozkuli mu ręce i przywiązali go do stołu, twarzą do góry. Pryszczaty podszedł do stalowego stołu, otworzył szufladę i wyjął skórzany knebel. Wróciwszy do Nicka, wetknął mu go w usta. Potem uśmiechając się Niemcy wyszli z pokoju, salutując sardonicznie i mówiąc:

- *Auf Wiedersehen! Pa, pa!*

Stalowe drzwi się zatrzasnęły i Nick został sam.

Dwadzieścia minut później strażnik ponownie otworzył drzwi i do pokoju weszła Pani Zasłon. Nick patrzył na nią, gdy strażnik wyszedł zamykając za sobą drzwi. Podeszła do stołu i spojrzała na Nicka tymi zabójczo zimnymi, pięknymi zielonymi oczami. W urekawicznionych dłoniach ścisnęła małą czarną torebkę.

- Nie masz pojęcia, kim jestem, co? - spytała po angielsku. . Pocąc się, pokręcił głową.

- Jestem Diana Ramschild.

W umyśle Nicka wezbrała fala wspomnień. Diana? To niemożliwe! A jednak te zielone oczy... jego zielonooka bogini sprzed tylu lat...

- Wiem, co myślisz - mówiła spokojnym głosem, choć w jej duszy szalał cyklon uczuć. - Uchodzę za zmarłą. Ale nie zginęłam w Smyrnie. Uległam okropnym poparzeniom... jak widzisz, ale lekarze zdołali mnie odratować i teraz...

Urwała, nie mogąc mówić dalej. Ta chwila - utęskniony moment ostatecznej zemsty - na którą czekała tyle lat, wcale nie przebiegała tak, jak planowała. Daleka od napawania się poniżeniem Nicka, zaczynała mu współczuć.

Wtedy podniósł prawą dłoń na tyle, na ile pozwalała mu skórzana pętla, i skrzyżował palce.

Ten drobny gest, tak pozbawiony sensu dla wszystkich innych, wywarł na Dianie taki efekt, jak zamoczona w herbacie magdalenka na Prouście. Ponury *Verhörzimmer* zniknął jej nagle z oczu i Diana znalazła się znowu z Nickiem w tym pustym domku na plaży nad zatoką Long Island, gdzie kochali się tamtego zaczarowanego lata, tak dawno temu. Daleka od nienawiści, zaczęła wspominać miłość, jaką go darzyła, tę pierwszą, żarliwą miłość jej życia. Ciało Nicka, teraz nagie i bezbronne na stole tortur, stanowiło kiedyś przedmiot

najsilniejszego pożądanego, jakie znała. Bez względu na to, jak bardzo zahartowała się w Turcji na fizyczne okrucieństwo, widok Nicka w tym pokoju napawał ją takim samym obrzydzeniem i pogardą, jak brutalny gwałt, którego ofiarą padła w Smyrnie. Wtedy przemoc niemal ją zabiła. Czy naprawdę chciała tego samego dla człowieka, którego kiedyś tak namiętnie kochała?

Nagle pojęła, jak bardzo się myliła. Jak bardzo mylił się Mustafa Kemal. Nienawiść nie jest silniejsza niż miłość. Te skrzyżowane palce - niezależnie od tego, co jej zrobił w przeszłości - symbolizowały najśłodsze dni i noce, jakie znała. Cóż takiego jej uczynił? Porzucił ją dla innej. Co zrobiła w odwecie? Wynajęła płatnego zabójcę, żeby go zamordował, a teraz współuczestniczyła w aresztowaniu go przez Gestapo. Było to monstrualne zaburzenie równowagi.

Czyżby oszalała?

- O, mój Boże, Nick, co ja zrobiłam? - wyszeptała.

Zaczęła wpadać w panikę. Dali jej tylko pięć minut na zobaczenie się z Nickiem, pięć minut, by mogła się nasycić. Później kapitan Schmidt, najbardziej osławiony oprawca w Gestapo „ma randkę” z Nickiem, według jego słów, a Diana wiedziała, co kapitan z nim robi.

- Słuchaj, mamy tylko parę minut... - mówiła nieskładnie i szybko. - Wiedzą wszystko o puczu... Sam Góring mi to powiedział. Postąpiłeś głupio rozmawiając z Winterfeldtem, oni nigdy mu nie ufali... aresztowali go w zeszłym tygodniu, kiedy wylądował w Hamburgu... jest tutaj, w tym więzieniu, czeka na egzekucję... O, mój Boże, nienawidziłam cię, ale nigdy nie powinnam była tego robić... Wyciągnę cię, Nick... Użyję moich wpływów u Ataturka, oni nie śmia wchodzić mu w drogę... O, mój Boże, to wszystko moja wina! Skrzywdziłam cię, ponieważ ty mnie skrzywdziłeś... Zadałeś mi taki ból, Nick...

Pląkała, miotana przez burzę uczuć zranionej miłości, żalu po straconych latach... Jak słabo znała własne serce! Owszem, i tak zamierzali go aresztować, ale ona przekonała Góringa, żeby aresztowali go według jej planu. Posłała Magdę Bayreuth do Adlonu, wiedząc, że Nick nie zdoła się oprzeć jej urodzie; chciała, żeby Gestapo aresztowało go podczas aktu miłosnego... Postępowała jak opętana kobieta, bo była opętana.

Usłyszała, że drzwi się otwierają, odwróciła się i ujrzała dwóch

strażników wchodzących do pokoju. Jeden niósł ciężką czarną walizkę, a drugi przenośny gramofon i stertę płyt, które zaniósł na stolik lekarski.

- Czas minął, *Fraulein* - powiedział grzecznie pierwszy strażnik. Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na Nicka. Był zlany potem i dygotał ze strachu.

- Wyciągnę cię - powiedziała po angielsku. Potem wyszła szybko z pokoju.

Chwilę po wyjściu strażników do pokoju wszedł mężczyzna w czarnym mundurze ozdobinym trupa czaszką i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do stołu operacyjnego, zdejmując czapkę i rzucając ją na krzesło. Potem spojrzął na Nicka. Miał około trzydziestu pięciu lat, rzadkie, jasne włosy i niezwykle długą germańską twarz o wysokich kościach policzkowych i małych, niebieskich, wąsko osadzonych oczach. Przypominał Nickowi charta.

- Jestem kapitan Schmidt - powiedział doskonałym angielskim z brytyjskim akcentem. - Cięży na panu poważne oskarżenie wspomagania buntu przeciwko Rzeszy. - Zaczął zdejmować rękawiczki. Nick zdumiewał się jego zachowaniem profesjonalisty, zupełnie jakby był dentystą, a nie oprawcą. Położył rękawiczki na stole obok gramofonu, potem wrócił do więźnia i wyjął mu knebel z ust. Nick, któremu wciąż kręciło się w głowie po szoku wywołanym spotkaniem z Dianą Ramschild, zdawał sobie sprawę, że mimo jej udziału w jego aresztowaniu, „zielonooka bogini” nadal stanowi największą szansę ucieczki. Ale niezależnie od tej szansy Nick zamierzał się bronić ze wszystkich sił.

- Kapitanie Schmidt - powiedział, starając się nadać głosowi jak najspokojniejsze brzmienie. - Jestem amerykańskim biznesmenem legitymującym się ważnym paszportem. Żądam umożliwienia mi kontaktu z moim ambasadorem. Schmidt spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Twoje położenie nie pozwala ci na żądanie czegokolwiek, przyjacielu. Jesteś więźniem.

- Ale ja nic nie zrobiłem!

Schmidt uderzył go w splot słoneczny tak mocno, że Nick o mały włos nie zwymiotował.

- Nie wolno ci krzyczeć! - wrzasnął Schmidt. - Masz się grzecznie do mnie odnosić, mówić tylko wtedy, kiedy ci każę, rozumiano? Jesteś żydowskim gównem, rozumiesz? - Chwycił go za jądra i ścisnął tak mocno, że Nick zawył z bólu. Potem Schmidt rozluźnił uchwyt i ściszył głos. - Przez cały czas wiedzieliśmy, że hrabia von Winterfeldt to zradziecka gnida, ale daliśmy mu wolną rękę, żeby ustalić zasięg spisku. Wiemy, że odwiedził cię w twoim domu w Ameryce, wiemy, że przyjechałeś do Berlina, żeby omówić szczegóły dostarczenia mu broni. Wybór, przed jakim stoisz, przyjacielu, jest następujący: albo zgodzisz się z nami współpracować i powiesz nam wszystko, co wiesz o tym spisku, a wtedy dostaniesz względnie łagodny wyrok dwudziestu lat więzienia, albo nie zgodzisz się współpracować, a wtedy zostaniesz rozstrzelany. Rozumiesz?

Nick spojrzał na niego tępo.

- Tak.

- Czy będziesz z nami współpracował?

- Wiecie już wszystko, co wiem.

- To nie jest odpowiedź! - wydarł się Schmidt.

- Ależ tak! Przyjechałem do Berlina, żeby dowiedzieć się więcej!

- Którzy generałowie uczestniczą w spisku?

- Nie wiem! Winterfeldt nie chciał mi powiedzieć!

- Dobrze - powiedział cicho Schmidt, marszcząc brwi. - Wybierasz cięższą drogę. - Podeszedł do stolika. - Lubisz Cole Portera?

Pytanie było tak monstrualnie nieadekwatne, że Nick zaczął się zastanawiać, czy któryś z nich, a może obaj, postradali zmysły.

- He?

- Pytałem, czy lubisz Cole Portera? Ja najbardziej lubię *Night and Day*. Możemy poznać swoje upodobania, ponieważ spędzimy razem mnóstwo czasu, przyjacielu. Uwielbiam muzykę amerykańską. Uwielbiam nawet Gershwina i Irvinga Berlina, chociaż to żydowskie śmiecie. Zobaczmy. - Wertował płyty. - A! Noel Coward, cudownie dekadenski, jak wszyscy Anglicy. Czytałem angielską literaturę w Oxfordzie na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, jeździliśmy do Londynu na występy Cowarda. O! *Wściekle psy i Anglicy*, idealne! Nastawił płytę i w pomieszczeniu rozległ się melodyjny głos Noela Cowarda przy akompaniamencie fortepianu:

***W krajach tropikalnych bywają takie chwile, Kiedy wszyscy się rozbierają, pocą i odpoczywają.***

Schmidt wrócił uśmiechnięty do stołu.

- Oto odpowiednia muzyka do tortur - powiedział prawie wesoło. Przekręcił gałkę znajdującą się na krawędzi stołu, który zatoczył łuk, ustawiając Nicka w pozycji pionowej. Schmidt dokręcił gałkę i otworzył czarną walizkę. Z zamierającym sercem Nick przyglądał się ponurej kolekcji knutów i bicz. Schmidt wybrał krótki bicz dla psów, podszedł do zlewu, odkręcił wodę i zamoczył bicz.

***Wściekle psy i Anglicy wychodzą na słońce; Japończykom się nie chce, Chińczycy się boją...***

Schmidt stanął przed Nickiem. Bicz ociekał wodą.

- Mokra skóra bardziej boli. - Uśmiechnął się.

Bicz chlasnął Nicka w twarz jak ciekły ogień. Potem w ramiona, pierś, brzuch, lędźwie - wtedy ból go oślepił - uda, nogi. Schmidt był dziką bestią. Nick wrzeszczał. Ból stawał się nie do zniesienia.

***Hindusi i Argentyńcy śpią od południa do pierwszej, Ale Anglicy gardzą sjeścią.***

- Kim są pozostali? - krzyknął Schmidt. - Nazwiska!

- Nie wiem - jęknął Nick. - Wierz mi, nie wiem.

Bicz znowu przeciął powietrze ze świstem, a mózg Nicka rozsadził przerażający ból. Skóra wgryzła mu się w gardło, oderwała się, a potem zraniła mu pierś, wbijając się jeszcze głębiej niż za pierwszym razem.

***Na bagnach mangrowych, gdzie pyton swawoli Panuje spokój od południa do drugiej. Nawet karibu drzemią smacznie, Bo nie ma nic innego do roboty.***

Znowu brzuch, lędźwie, uda, nogi. Z tuzina ran ciekła krew. Nick, na krawędzi przytomności, zawisł na skórzanych pętlach; ciało miał skąpane we krwi i pocie.

- Chce znać prawdę, Żydzie! - wrzeszczał Schmidt.

*W Hong Kongu uderzają w gongi*

*I strzelają w dwunastą armaty.*

*Ale wściekle psy i Anglicy wychodzą na słońce.*

Nie wiem, nie wiem - dyszał Nick.

- Doskonale, przyjacielu, prosisz się o *Kaschumbo*. Najpierw po udach, a potem obrócimy cię i dostaniesz po nerkach. Przez tysiąc nocy będziesz sikał krwią.

Zaczął okładać Nicka po udach: raz, dwa, trzy razy, cztery... po dziesiątym uderzeniu krew płynęła po nogach. W mózgu eksplodował wulkan bólu. Po raz pierwszy w życiu Nicka pragnął umrzeć. Przez umysł przemknęła mu Edwina i dzieci. Potem osunął się w ciemność.

Jego ostatnim wspomnieniem była staroświecka muzyka i wrzask Schmidta: Żydzie!

### ***Rozdział trzydziesty***

Okazały czarny Rolls-Royce minął prawą okratowaną bramę pałacu Buckingham, okrążył pałac i wjechał na wewnętrzny dziedziniec. Lokaj otworzył drzwiczki i Edwina wysiadła. Miała na sobie czarny kostium i kapelusz; była blada. W ślad za nią wysiadł jej ojciec, lord Saxmundham, w czarnym garniturze i meloniku, z ciasno zwiniętym czarnym parasolem. Koniuszy wprowadził gości do pałacu, potem na górę, po schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Pokolenia brytyjskich monarchów patrzyły na potomnych z ogromnych portretów ozdobionych wstęgami; każdy kamień pałacu ociekał historią. Edwina, która była tu przedtem tylko raz, kiedy została przedstawiona na dworze, zapomniała na moment o swym lęku, a serce rozgrzała jej duma angielskiego dziedzictwa. Koniuszy prowadził ich długimi korytarzami, aż dotarli do gabinetu króla. Kiedy wprowadzono ich do dużego pomieszczenia, król Jerzy V wstał od biurka i podszedł przywitać gości. Edwina dygnęła, myśląc, że król wygląda na znacznie starszego i bardziej zmęczonego niż na portretach.

Przywitawszy się z gośćmi, król wskazał im krzesła, a sam usiadł naprzeciwko.

- Premier przedstawił mi sytuację - zaczął. - Jestem zaszokowany i rozgniewany aresztowaniem pani męża, pani Fleming. Kaiser popełniał wiele głupich rzeczy, póki sprawował władzę, ale nie wierzę, by dopuścił się podobnego złamania obowiązujących zasad.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparła Edwina. - Czy premier zdołał ustalić, gdzie się znajduje mój mąż?

- Tak; Przebywa w obozie koncentracyjnym Fuhlsbüttel, na północnych obrzeżach Hamburga, niedaleko lotniska.

To stare

więzienie, które miało zostać zburzone, ale kiedy faszyci doszli do władzy, potrzebowali wielu więzień, więc przerobili je na obóz koncentracyjny. Mówiono mi, że przebywają tam setki komunistów i Żydów. - Zawahał się. - Wiem, dlaczego pani mąż pojechał do Niemiec, ale czy nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

- Owszem - odparł lord Saxmundham. - Ostrzegałem zięcia, że podejmuje ogromne ryzyko, a on oświadczył, że to rozumie. Czuł jednak, że nadarza się tak wspaniała okazja obalenia Hitlera, że musiał podjąć wszelkie ryzyko, by pomóc puczystom. Prosił mnie, bym nie mówił córce o niebezpieczeństwie, żeby jej nie martwić, ale wiedział, Wasza Wysokość.

- Cóż, podziwiam pana Fleminga - powiedział król. - Podczas ostatniej wojny wyświadczył Anglii wielką przysługę, a gdyby udało mu się obalić Adolfa Hitlera, zrobiłby coś jeszcze większego. Chciałem, żebyście państwo wiedzieli, że królowa i ja współczujemy wam z całego serca, dlatego też prosiłem państwa o przybycie. **Jest** także zrozumiałe, że mój rząd robi wszystko, co w jego mocy, by doprowadzić do uwolnienia pana Fleminga.

- **Jaka** jest szansa? - spytała cicho Edwina.

- Pani mąż jest oczywiście obywatelem amerykańskim i, jak pani wie, ma kontakty z wysokimi osobistościami w Waszyngtonie. Ambasador amerykański poinformował mnie wczoraj, że Waszyngton wystosował do Berlina ostry list protestacyjny. **Jest** jeszcze za wcześnie, by wiedzieć, czy to podziała. Niemcy utrzymują, że pani mąż wspierał wewnętrzne powstanie, a tak się składa, że jest to prawda, toteż mają prawo go sądzić.

- Ale chyba ma adwokata? Czy może my mamy się o niego postarać?

- Niemcy twierdzą, że zapewnią mu adwokata, kiedy dojdzie do procesu.

- Równie dobrze mógłby go bronić Hitler - powiedziała gorzko Edwina. - W takim razie nie ma nadziei?

- Zawsze jest nadzieja - odparł dyplomatycznie król. Był to okrucieństwo, ale Edwina ucieszyła się nawet okrucieństwem.

**Przez** cztery kolejne noce przykuwano go nagiego do pryczy twarzą w dół, a długie, czarne godziny bezruchu były niemal tak straszne, jak częste bicie, któremu noddawał eo kankan Schmidt. Do jedzenia dostawał tylko miskę nieświeżej kartoflanki i kromkę pleśniejącego chleba, toteż głód wzmagał udrękę bólu. Nick był w sile wieku, cieszył się doskonałym zdrowiem, ale zastanawiał się, jak długo jego ciało to wytrzyma. Nie pozwalano mu się myć, nie dostawał papieru toaletowego, więc był umazany własnymi odchodami.

Dotychczas widział tylko swoją cełę, pokój przesłuchań i łączące je korytarze; choć przypuszczał, że więzienie jest pełne, nie widział dotąd żadnych więźniów. Słyszał jednak, jak strażnicy wydzierają się na nich za oknem. Strażnicy wzmagali koszmar więzienia, zabawiając się niekiedy strzelaniem w okna cel, dlatego też nie było w nich szyb.

Wszystko, co Nick czytał o faszystowskich Niemcach, powinno go było przygotować do tego więzienia.



Rzeczywistość przerastała jednak wszelkie wyobrażenie. W funkcjonowaniu obozu nie sposób było dostrzec żadnej reguły; wszystko działo się przypadkowo, nigdy nie wiedział, czego się spodziewać, co stanowiło dodatkowy element zastraszenia. Wyciągano go w środku nocy i bito po tym, jak przez dwadzieścia cztery godziny zostawiono go samego, nie widział nikogo poza strażnikami, którzy przynosili zupe, odkuwali go i przykuwali do pryczy. Najgorszy był jednak brak komunikacji ze światem zewnętrznym. Przeżył to już raz, będąc więźniem w Rosji, ale tam przynajmniej traktowano go po ludzku. Tutaj, w tym przedśionku piekła, czuł się tak, jakby opuścił planetę. Nie miał pojęcia, czy podejmowane są jakiegokolwiek próby uwolnienia go. Był w gorszym położeniu niż trup. Piątego ranka usłyszał tupot strażników i łomot gumowych pałek w drzwi celi. Potem dzwonienie kluczy i szcęk otwieranego zamka. Weszło czterech strażników, rozkuli go. Kiedy usiadł, żałośnie szczęśliwy, że może się ruszać po tylu godzinach, zobaczył stojącego w drzwiach kapitana Schmidta - coś, co się dotąd nie zdarzyło. Trzymał brudne, podarte spodnie.

- Przydzielono cię do kopania grobu - oznajmił, rzucając mu łań. - Masz, załóż to.

Wymaszerował z celi. Strażnicy poderwali Nicka na nogi i zmusili do włożenia spodni, które były o cztery numery za duże i nie miały paska. Chwyciwszy go za ręce, wywlekli z celi. Potykając się, usiłował przytrzymać spodnie. Po raz pierwszy zobaczył innych więźniów, których także wyprowadzano z cel do kopania grobu. Sprawiali wrażenie żywych trupów, wyglądali jeszcze gorzej niż on.

a Nick wiedział, że przedstawia sobą odrażający widok; jego twarz i ciało tworzyło surrealistyczną krzyżówkę ran od bicia i sińców.

Wyprowadzono ich na duży dziedziniec, gdzie Nick po raz pierwszy ujrzał więzienie od zewnątrz - nie miał nawet pojęcia, że jest w Hamburgu. Więzienie było, jak mógł się spodziewać, brzydkie - cztery wielkie ceglane czteropiętrowe budynki, otoczone pustymi dziedzińcami. Wokół dziedzińców biegł wysoki ceglany mur ze strażnicami, a przed murem znajdowało się ogrodzenie z drutu kolczastego, na którym widniały obwieszczenia w czterech językach: *Uwaga! To ogrodzenie znajduje się pod śmiertelnym napięciem!* Jakakolwiek nadzieja Nicka na ucieczkę rozprysła się na drobne kawałki rozpacz. Nisko nad ich głowami przeleciał samolot, schodząc do lądowania na pobliskim lotnisku w Hamburgu. Nick spojrzał na niego, mrużąc oczy. Jak kusząco bliski wydawał się zewnętrzny świat, a jednocześnie, oczywiście, jak deprymująco daleki.

Dziesięciu strażników zgromadziło dwudziestu więźniów, którym rozdano łopaty i kazano wykopać dół głębokości stu osiemdziesięciu centymetrów i takiej samej długości. Pracę tę mogło wykonać równie dobrze dwóch ludzi, ale dwudziestu wpadało na siebie bez przerwy i wchodziło sobie w drogę, a dokładnie o to chodziło strażnikom, ponieważ mieli pretekst, by obsypywać więźniów obelgami, tłuc ich pałkami po plecach i głowach. W przerwach między tymi zabawami, strażnicy śpiewali antysemitki piosenki:

***Wenn 's Judenblut vom Messer spritzt,***

***Dann geht's nochmal so gut,***

***Dann geht's nochmal so gut.***

**(Gdy krew żydowska tryska spod noża,**

**Wszystko jest jak należy,**

**Wszystko jest jak należy.)**

Albo:

***Armer Jude Kohn, kleiner Jude Kohn, > Hast ja keine Heimat mehr... (Biedny Żyd Kohn, mały Żyd Kohn, Nie ma już ojczyzny...)***

Nick stał pośrodku gromady, usiłując kopać jedną ręką, drugą podtrzymując spodnie. Dwóch strażników wcisnęło się między więźniów, wrzeszcząc i uderzając go pałkami w głowę.

- Nie mówię po niemiecku! - krzyknął Nick. - *Ich spreche kein Deutsch!*
- Mówią, żebyś kopał obiema rękami - powiedział stojący obok stary człowiek o smutnych oczach.
- Ale nie mogę. Spodnie mi spadną.

Stary przetłumaczył to strażnikom, na co warknęli po niemiecku.

- Mówią, że cię zbiją, jeśli nie zaczniesz kopać obiema rękami, ale zbiją cię też, jeśli spadną ci spodnie.
- Powiedz im, że ich matki pieprzyły się z knurami - wyrzucił z siebie Nick.
- Nie, przyjacielu, tego im nie powiem, bo wtedy by cię zabili, ale to prawda.

Przyjacielu. Gdy Schmidt go tak nazywał, słowo brzmiało przewrotnie i sardonicznie, ale w ustach tego starego, anonimowego człowieka nabrało wyjątkowego piękna. Wszyscy więźniowie byli jego przyjaciółmi, a on był ich przyjacielem, chociaż nawet nie wiedział, kim są.

Nachylił się komicznie, przytrzymując spodnie łokciami, chwycił łopatę i zaczął kopać, jak gdyby był na plaży i kopał dziecinną łopatką. W ten sposób oszukał strażników, ale pozycja była okropnie niewygodna; żar słońca parzył mu plecy, w twarz nachyloną blisko ziemi wpadał kurz, który go dusił. Jeśli jednak położenie Nicka było opłakane, pozostali więźniowie cierpieli jeszcze bardziej. Większość musiała mieć dobrze powyżej pięćdziesiątki, a niektórzy nawet siedemdziesiątki, jak człowiek, który tłumaczył Nickowi słowa strażników. Dla ludzi w ich wieku praca fizyczna w tak brutalnych warunkach musiała stanowić ciężką próbę.

Wykopanie grobu zajęło blisko godzinę. Nick został wyciągnięty z dołu przez strażników jako ostatni. Kiedy wygrzebał się, wciąż podtrzymując spodnie, usłyszał dudnienie werbla. Strażnicy kazali więźniom stanąć na baczność. Z więzienia wyszło czterech strażników; nieśli na noszach dwa trupy. Dotarli do dołu i zrzucili do niego zwłoki. Nick skrzywił się, ujrawszy jedno z nagich ciał - chudego, brodatego mężczyznę w średnim wieku, o zmiażdżonych genitaliach. Śmierć musiała być potworna; wyraz twarzy zmarłego, z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku mającym trwać całą wieczność, stanowił definicję agonii.

Drugi trup był podziurawiony kulami. Wstrząśnięty Nick rozpoznał w nim hrabiego Alexa von Winterfeldta.

Kapitan Schmidt wyszedł z więzienia szybkim krokiem, minął dwóch doboszów, którzy przestali grać, i stanął przed szeregiem więźniów.

- Ten człowiek - powiedział Schmidt wskazując na trupa ze zmiądzonymi genitaliami - poprawka: ten Żyd! zanieczyścił rasę. Popelnił jedną z najohydniej szych zbrodni możliwych dziś w naszym kraju. Spółkował z dziewczyną najczystszej krwi aryjskiej. Ten Żyd zapłodnił ją, ale na szczęście potwora zniszczono w zarodku. Wczoraj ten Żyd zapłacił za zanieczyszczenie rasy. Jak widzicie, zmiądzono mu genitalia, a Żyd umarł. Powiedział to wszystko po angielsku zwracając się do Nicka, a potem powtórzył po niemiecku do pozostałych. Potem znowu zwrócił się do Nicka, wskazał na ciało hrabiego von Winterfeldta i przeszedł na angielski.

- Myślę, że znasz tego człowieka, przyjacielu. Znasz jego zbrodnię. Zdradził *Führern*. Widzisz, jaka spotkała go kara. Pluton egzekucyjny! Moja cierpliwość do ciebie, przyjacielu, jest na wyczerpaniu. Sugeruję, żebyś zaczął rozważać możliwość współpracy, bo inaczej inni wykopią twój grób. A teraz wrzuć trupa zdrajcy do grobu.

Nick wpatrywał się w zwłoki. Nigdy do końca nie ufał Winter-feldtowi, głównie dlatego, że hrabia był człowiekiem partii faszystowskiej; zaryzykował przyjscie mu z pomocą przede wszystkim dlatego, że wierzył, iż Winterfeldt chce zniszczyć Hitlera, by pomścić śmierć syna. Teraz dowód uczciwości hrabiego leżał przed Nickiem w piekącym słońcu. Oto dobry Niemiec, szlachetny Niemiec, który chciał ocalić Niemcy, z jakich mógł być dumny.

Nick podszedł wolno do trupa i klęknął. Na chwilę położył prawą dłoń na lewym policzku starego arystokraty, łącząc prośbę o wybaczenie podejrzeń z miłosnym *envoie* na drugi świat. Potem pchnął delikatnie zwłoki i patrzył, jak spadają do grobu.

- Niedługo to możesz być ty - oświadczył Schmidt, który bacznie przyglądał się Nickowi. - Zostań nad grobem - rozkazał, po czym krzyknął po niemiecku do pozostałych więźniów. Ku zdziwieniu Nicka zaczęli się gromadzić po przeciwnej stronie grobu. Strażnicy wepchnęli drugiego trupa do dołu. Schmidt podszedł do Nicka z szyderczym uśmiechem na charciej twarzy.

- Powiedziałem więźniom, że otrzymasz karę.

- Za co?

- Za zanieczyszczenie rasy. Twoja kara polega na tym, że opuścisz

te śmieszne spodnie, będziesz się masturbował i zmoczysz te dwa ciała swoim żydowskim nasieniem. Robiąc to, masz powtarzać: „Zanieczyściłem rasę!” Nick wpatrywał się w niego, nie wierząc własnym uszom.

- Widzisz, powiedziałem im, że ty, Żyd, miałeś czelność ożenić się z angielską gojką - ciągnął Schmidt. -

Zanieczyściłeś ją, płodząc siedmioro dzieci. Ta zbrodnia nie została ukarana w Anglii ani w Ameryce, które są słabymi demokracjami, ale tu nie uniknie kary. Mogę też dodać, że albo zrobisz to sam, albo zmuszę do tego wszystkich więźniów. Jak widzisz, wielu z nich to starzy ludzie. Wybór należy do ciebie.

Dwaj ludzie, oprawca i ofiara patrzyli sobie w oczy; oczy Nicka płonęły wściekłością i nienawiścią, a Schmidta triumfem i podnieceniem - był dumny z tego, co wymyślił. Potem się cofnął, zostawiając więźnia samego nad grobem. Nick na moment się zawahał. Wreszcie puścił spodnie, które opadły mu do kostek.

- Powiedz to! - krzyknął Schmidt. - Zanieczyściłem rasę! Nick zamknął mocno oczy.

- Zanieczyściłem rasę.

- Głośniej!

- Zanieczyściłem rasę.

- Teraz lepiej. A teraz masz się onanizować. Dalej! Spuść się na grób!

Powoli sięgnął prawą dłonią do genitaliów.

Możliwe, że historyczni bohaterowie są odpowiedzią na historycznych złoczyńców. Bez Adolfa Hitlera Winston Churchill mógł umrzeć jako polityk, któremu się nie powiodło, jako przypis do historii, miał zostać bohaterem setek biografii. Bez Adolfa Hitlera Franklin Roosevelt mógł skończyć jako prezydent dwóch kadencji, którego osławiony Nowy Ład nie zdołał powstrzymać kryzysu. Bez Adolfa Hitlera Nick Fleming mógł być tylko kolejnym milionerem, który doszedł do majątku własną pracą. Kiedy jednak stał nad grobem, powtarzając w kółko: „Zanieczyściłem rasę”, próbując tchnąć życie w swój sflaczały członek, czując się śmiertelnie upokorzony, w jego przepelnionej nienawiścią duszy pojawiło się coś nowego. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, myślał, zrobię Wszystko co w mojej mocy, by uwolnić świat od tej potworności - a, na Chrystusa, mam władzę... Przysięgam na Boga, że pozabijam tych faszystowskich skurwieli... Pozabiiam ich... Mam gazety, dzięki

którym otworzę oczy świata na to zło, będę sprzedawał broń innym rządóm... Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę, te pierdolone skurwysyny zapłacą za to, co robią... zapłacą za to zło...

Kiedy kilka kropli spermy pociekło w końcu na grób, strażnicy krzyknęli na wiwat i zaczęli bić brawo. Potem dwóch z nich wpełzło Nicka do grobu. Padł na dwa trupy. Potem, ku jego przerażeniu, Schmidt krzyknął rozkaz po niemiecku, a więźniowie zaczęli sypać na niego ziemię. Podniósł się z trudem, a grudy ziemi uderzały go w głowę i pierś. Zachowaj spokój, rozkazał sobie, przywołując całą siłę woli, na jaką mógł się zdobyć. Nie pogrzebią mnie żywcem, chcą mnie tylko nastraszyć... Zachowaj spokój...

Zdołał wyczołgać się z grobu, a fakt, że strażnicy nie wpełzli go z powrotem, potwierdził jego przypuszczenia.

Chcieli tylko wzmóc przerażenie więźnia. Leżał na gorącej ziemi, wyczerpany i poniżony.

Jednak, mimo że słaby, z grobu wyczołgał się całkiem nowy Nick Fleming; ten duchowo nowy Nick był silniejszy niż kiedykolwiek.

### ***Rozdział trzydziesty pierwszy***

Jeśli Adolf Hitler był geniuszem politycznego zła, a Joseph Goebbels geniuszem propagandowego zła, to Hermann Göring był geniuszem zła w czystej postaci. Jego ojciec był sędzią i komisarzem Rzeszy na Afrykę południowo-zachodnią. Hermann, siódme z ośmiorga dzieci, nie wyróżniał się w nauce, ale wraz z wybuchem wojny w 1914 roku miał okazję pokazać, kim jest, a mianowicie człowiekiem czynu. Niezwykle przystojny, został asem lotnictwa i ostatnim dowódcą osławionego Latającego Cyrku Richtofen, za co został udekorowany najwyższym odznaczeniem, Pour le Mérite.

Po wojnie pracował jako pilot dla szwedzkich linii lotniczych i zaręczył się z córką szwedzkiego arystokraty. Jednak pragnienie zmazania hańby traktatu wersalskiego i wstydu klęski kazało mu wrócić do Niemiec, gdzie wstąpił na uniwersytet w Monachium i gdzie w roku 1922 poznał Hitlera na zebraniu partyjnym w Café Neumann.

Wspominając po latach, cytował Hitlera: „Na poparcie waszych gróźb potrzebne są bagnety”. To właśnie pragnął usłyszeć. Hitler chciał stworzyć partię, która uczyniłaby Niemcy silnymi i obaliła traktat wersalski. „To jest partia dla mnie! - powiedział sobie. - Precz z traktatem wersalskim, do diabła z nim! Oto coś dla mnie!”

Dwanaście lat później, a także dodatkowe dwadzieścia parę kilo później, były przystojny as lotnictwa zmienił się w korpulentnego buldoga, drugiego pod względem wpływów człowieka w Niemczech, który zgromadził prywatny majątek i kolekcję dzieł sztuki odebranych prześladowanym przez niego Żydom, człowieka, na którego rękach była krew tysięcy niewinnych ludzi.

Wieczorem, w dniu kiedy Nicka Fleginca wepchnięto do grobu.

marszałek polny Göring, jaśniejący w białym letnim mundurze własnego projektu, wysiadł z Mercedesa i potoczył się do Willi Hubler. W drzwiach powitała go Pani Zastan. Pocałowałwszy jej urękawiczoną rękę, wszedł za nią do głównego salonu willi, gdzie z kanap uśmiechały się do niego piękne nagie kobiety. Göring odwzajemniał uśmiechy, zwracając się do Diany:

- *Führer* ma nadzieję, że nadal zamierza pani przyjść jutro wieczorem do Kancelarii na przyjęcie na cześć pani przyjaciela, Atatürka.

- Naturalnie, *Herr Feldmarschall*. Za nic nie przepuściłabym takiej okazji.

- Dziś mam ochotę na Gudrun - powiedział Göring.

- Będzie zaszczycona.

Dała znak dziewczynie, o której była mowa, a czarny lokaj wręczył im dwa wąskie kieliszki szampana. Göring i Diana unieśli je w toaście.

- Za umocnienie więzów niemiecko-tureckich - powiedział. - *Führer* jest bardzo zadowolony z jutrzejszej wizyty i prosił mnie, żebym pani podziękował za pomoc w jej przygotowaniu.

- Przeceniacie mój wpływ na Kemala.

- O, nie. Ale również nie lekceważymy. Czy wróci z nim pani do Istambułu?

- Tak. Moja praca w Berlinie jest na razie zakończona. Göring zachichotał i upił łyżeczek Pommery.

- Dziś po południu dzwonił do mnie Schmidt z Fuhlsbüttel. Mówił, że zorganizował pani przyjacielowi Flemingowi wiele rozrywek. Dziś rano zmusił go do onanizowania się na grobie Winterfeldta na oczach grupy jego pobratymców, Żydów. Potężny i wspaniały *Herr Fleming* musiał się nieźle bawić.

- Onanizować! - wykrzyknęła Diana z przerażeniem.

- Tak. Stosujemy to w kilku obozach jako nową technikę. Nazywamy ją seksualnym poniżeniem, i według mnie przynosi doskonałe rezultaty. Oczywiście Fleming nie ma pojęcia, o co nam chodzi. Cieszymy się, że tak mało wie o spisku Winterfeldta, ale ta linia przesłuchania okazała się pomocna w zmiękczeniu Fleminga. Musi pani zrozumieć, że tajemnica technik przesłuchania leży w brutalnym zastraszeniu ofiary, aż traci wszelką nadzieję i jest gotowa przystać na wszystko. Myślę, że Fleming osiągnął już ten etap.

- Nie rozumiem, Ekscelencjo. O co wam chodzi, jeśli nie o spiskowców Winterfeldta?



- *Gnädige Fräulein*, jak często można dostać w swoje ręce międzynarodowego producenta broni? W fabryce Fleminga w Connecticut pracuje niezwykle zdolny projektant nazwiskiem Chester Hill. Zaprojektował nowy, zaawansowany model haubicy, który bardzo by się nam przydał, a nasz wywiad poinformował nas również, że Hill pracuje nad radykalnie nowym rodzajem czołgu dla armii Stanów Zjednoczonych. Damy Flemingowi spędzić jeszcze kilka dni w towarzystwie kapitana Schmidta, a potem złożymy mu ofertę, na którą przystanie z radością. Jeśli da nam te projekty, zwrócimy mu wolność.

- A jeśli się nie zgodzi?

Göring wzruszył ramionami i opróżnił kieliszek szampana.

- Wtedy zamknijemy go do roku 1954. Naturalnie to, czy dożyje do tego czasu, jest zupełnie inną kwestią. - Zaśmiał się.

- Zdaje pan sobie sprawę, że prasa amerykańska pisze o was straszne rzeczy? - spytała Diana. Niepokój o Nicka sprawił, że poniechała wszelkich środków ostrożności. - Ojczymem Nicka Fleminga jest Van Clairmont.

Göring zmarszczył brwi.

- Wiemy o tym. Czy myśli pani, że nas obchodzi to, co on mówi? Już i tak nam robi okropną prasę!

- Tak, a dlaczego? Bo robicie okropne rzeczy! W opinii świata jesteście bandą gangsterów! Gdybyście byli sprytni, wypuścilibyście Nicka...

Gruba dłoń marszałka uderzyła ją mocno w twarz.

- Jak pani śmie mówić do mnie w ten sposób?! - wrzasnął. - Jak pani śmie nazywać mnie gangsterem? Myślałem, że to pani chce, żebyśmy torturowali Fleminga!

- Myliłam się - szepnęła, trzymając się za piekący policzek. - Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się myliłam.

Twarz Göringa poczerwieniała, a małe, świńskie oczka gniewnie się w nią wpatrywały.

- *Fräulein*, gdyby nie przyjaźniła się pani z Kemalem Atatürkiem, mogłaby się pani znaleźć w więzieniu razem z przyjacielem. Dobranoc. Jednak nie jestem w nastroju romansowym.

Odwrócił się gwałtownie i wytoczył się z pokoju.

- Ubierajcie się - rozkazała dziewczynom. - Na dzisiaj koniec. Wyszła na taras, oparła się o balustradę i spojrzała na księżyc

odbijający się w wodach pięknego Wannsee.

Podobnie jak większość ludzi, którzy nie byli Niemcami, Diana przymykała dotąd oczy na ohydę faszystowskiego reżimu. Teraz jednak pojęła nagle, że Göring i Hitler bez wątpienia planują wojnę. Bo dlaczego tak bardzo zależało im na tajnych planach amerykańskiej broni? Diana była właścicielką czterech niezwykle dochodowych domów publicznych w Istambule, Rzymie, Budapeszcie i Berlinie, a piąty zamierzała otworzyć w Paryżu. Jej „nocne kluby”, jak je eufemistycznie nazywała, uczyniły ją bogatą kobietą; poza tym lubiła swoją profesję - do jej klienteli należało kilku najpotężniejszych ludzi w Europie. Mimo że była kobietą światową, w głębi serca pozostała Amerykanką. Jaka rolę mogła odgrywać Amerykanka w Europie podczas wojny? Może powinna wrócić do domu? Ale gdzie był jej dom? Na pewno nie w Ameryce. Przeszłość Diany została wymazana. Dziwne, ale został jej tylko Nick Fleming. Zadumała się nad miłością, jaką wciąż go darzyła - tą miłością, która zapłonęła nowym płomieniem w więzieniu Gestapo. To dziwne, a jednak truchlała na myśl o katuszach, jakich teraz doświadczał. Może postąpiła głupio, przeciwstawiając się Göringowi, ale dzięki temu poczuła się lepiej. Wiedziała, jak postępować z Atatürkiem. Kiedy przybędzie z oficjalną wizytą, przekona go, by użył swego wpływu na Hitlera. Tymczasem Nick musi pozostać w więzieniu Fuhlsbüttel.

Stojąc na tarasie i patrząc na księżyc, pomyślała, że jej najgorętszym pragnieniem w tej chwili jest kochanie się z Nickiem. Potem dotknęła blizn palcami w rękawiczkach i cicho załkała.

Powiedział jej kiedyś, że najważniejszą rzeczą w życiu jest miłość, i miał rację. Tragedia polegała na tym, że miłość, mimo iż uczyniła ją milionerką, była jedyną rzeczą, której Diana nie mogła zaznać.

W latach dwudziestych dziewiętnastego wieku jadalnia Thrax Hall została urządzona w modnym wówczas stylu neogotyckim i przez całe stulecie nie wprowadzono żadnych zmian, z wyjątkiem malowania. Sufit wznosił się w katedralnych łukach, a delikatna sztukateria pokrywała niemal każdy centymetr kwadratowy żeber sklepienia wachlarzowego. Rezultat był przepiękny, a jasny błękit ścian i sufitu kontrastował z białą sztukaterią, dając niemal adamaszkowy efekt. Posępne światło wpadało przez wysokie okna do długiej sali. edzie lord i lady Saxmundham oraz Edwina z siedmioreciem dzieci zasiedli do lunchu. Jadalnia w Thrax Hall była może piękna, ale atmosfera dorównywała posępnością deszczowej pogodzie na zewnątrz.

Charles Fleming, zazwyczaj tak pewny siebie, poczuł się nagle rozdarty przez wątpiwości i zagrożenie. Zawsze postrzegał ojca jako człowieka wielkiej władzy i majątku, a świadomość, że ten boski rodzic mógł nagle zniknąć w więzieniu, wstrząsnął poczuciem pewności Charlesa do samych posad. Chłopiec nie miał szczególnie mocno rozwiniętego sumienia, ale zastanawiał się nerwowo, czy aby ta katastrofa nie stanowi dziwnej formy kary boskiej za grzech, którego dopuścili się z siostrą. Nikt z rodziny nie mówił wiele o nieszczęściu Nicka; dziadkowie i matka

zachowywali typowo angielską zimną krew. Jednak wszystkie dzieci słyszały, jak matka płacze w sypialni, widziały jej zaczerwienione, opuchnięte oczy. Fakt, że zazwyczaj opanowana matka znajdowała się w stanie takiej rozpacz, mówił więcej o powadze sytuacji niż słowa, a lęki Edwiny były zaraźliwe. Charles zawsze zakładał, że pewnego dnia odziedziczy imperium ojca. Teraz, łykając zupę ogórkową, zastanawiał się, czy zostanie cokolwiek do dziedziczenia. Odkąd pamiętał, wykorzystywał słabość, jaką miał do niego ojciec, ale to nie znaczyło, że na swój chłodny sposób Nicka nie kochał. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś zobaczy ojca.

Sylwia czuła się jeszcze bardziej winna niż brat. Ona także się zastanawiała, czy Bóg uderzył w ojca z powodu jej grzechu kazirodztwa. O ile Charles kochał Nicka chłodną miłością, miłość Sylwii była gorąca. Czuła się fizycznie chora na myśl, że może ponosić odpowiedzialność za uwięzienie Nicka. Czy to możliwe, myślała w kółko, żeby grzechy dzieci spadały na ojca?

Również Edwina nie była wolna od dręczącego poczucia winy. Wspominając swoje małżeństwo, swoje krytyczne nastawienie do interesów męża, romans z Rodem Normanem, kłótnie i walki z Nickiem, nawet zazdrość o jego władzę, pamiętała też, jak mąż, pomimo zdrad, których się dopuszczał, zawsze ją wspierał, dawał jej wszystko, czego pragnęła, włącznie z karierą filmową, rozpieszczał ją, a przede wszystkim kochał. Jak bardzo krytykowała jego złe cechy, jak ślepa była na dobre! Czyżby była zbyt rozpieszczona, frywolna i egoistyczna, by pokazać mu, jak bardzo go kochała?

Nick cierpiał męki potępionych w Fuhlsbüttel, ale jego rodzina cierpiała inne udreki w uroczej scenerii Thrax Hall.

Dwie najmłodsze córki Flemingów, ośmioletnia Vicky i jedenastoletnia Fiona, były ze sobą bardzo blisko związane, co można było zrozumieć, biorąc pod uwagę przewagę liczebną braci. Obie kochały ojca, a jego zniknięcie nappełniło je nie mniejszą rozpaczą niż resztę rodziny. Fiona dorastając zaczynała przypominać swego zmarłego ojca, Roda Normana, ale ponieważ Rod był podobny do Nicka, Edwina wiedziała, że Fiona może przejść przez życie, nie narażając się na pytania o ojca, a dokładnie tego życzył sobie Nick. Edwina miała jednak inne zdanie. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa uświadomienia tak młodej dziewczynce, że człowiek, którego przez całe życie uważała za ojca, w istocie nim nie jest. Fiona jednak sprawiała wrażenie silnego, dobrze przystosowanego do życia dziecka, a Edwina już od pewnego czasu miała pewność, że dziewczynka ma prawo znać prawdę o ojcu. Teraz, żyjąc w udreće po uwięzieniu Nicka, postanowiła wyznać córce tajemnicę. Chociaż się do tego przed sobą nie przyznawała, to jednak robiąc to, zmazywała też z siebie część winy, jaką czuła w związku z przelotnym romansem z aktorem. Rod Norman stał się teraz na wpół zapomnianą legendą. Ameryka, z entuzjazmem witająca narodziny filmu dźwiękowego, odwróciła się plecami od filmów niemych, które wydawały się równie przestarzałe jak Ford Model T. Edwina pamiętała jednak Roda i, w poczuciu winy, uważała, że ma wobec do niego dług. Dlatego następnego ranka, po całonocnej walce ze sobą, zabrała Fionę na spacer. Deszcz minął, był ni to słoneczny, ni pochmurny, wietrzny dzień. Edwina szła z córką po uroczych, wciąż mokrych trawnikach, szukając najmniej bolesnego dla Fiony sposobu poruszenia tematu.

- Czy słyszałaś o gwiazdorce filmowym nazwiskiem Rod Norman? - spytała w końcu.

- Nie - odparła Fiona. - Kto to był?

- To był bardzo sławny aktor, w czasach filmu niemego. Był bardzo przystojny, a miliony kobiet na całym świecie były w nim zakochane. Nakręciłam z nim kiedyś film pod tytułem *Młodość i ogień*.

- A, tak, jeden z filmów taty. Mogę go kiedyś obejrzeć? Edwina stanęła. Oczywiście! Czy istniał lepszy sposób przedstawienia jej zmarłego ojca niż pokazać go Fionie żywego na ekranie?

- Myślę, że wiem, gdzie mogłabym znaleźć w Londynie kopię. Jeśli mi się uda, czy chcesz go zobaczyć dziś wieczorem?

- Och, tak! Edwina objęła córkę.
- Wiesz, że bardzo cię Kocham. Tata też.
- Wiem. Okropnie tęsknię za tatą.
- Ja też, Kochanie. Ja też.

Zadzwoiła do londyńskiego przedstawiciela Metropolitan Pictures, Sama Barrona, który powiedział Edwinie, że faktycznie mają kopię filmu. Posłaniec dostarczył ją do Thrax Hall i tego wieczoru Edwina wyświetliła go dzieciom. Najstarsi, Charles i Sylwia, widzieli już kiedyś kilka filmów z udziałem matki, ale ponieważ Edwina bynajmniej nie była z nich dumna, nigdy nie zorganizowała prywatnego festiwalu filmów Edwiny Fleming. Teraz, słuchając stłumionych chichotów dzieci na widok przestarzałej gry aktorów, przyrzekła sobie, że nigdy go nie zorganizuje. Film miał zaledwie dwanaście lat, ale zdumiewało ją, jak płytki wydawał się z perspektywy 1934 roku. To, co uchodziło za ostre i śmiałe w 1922 roku, teraz co najwyżej śmieszyło. Mimo to film posiadał taką magię, że dzieci oglądały go w skupieniu do samego końca.

Kiedy poszły na górę do swoich pokoi, Edwina zaprowadziła Fionę do biblioteki i zamknęła drzwi.

- Jak ci się podobał Rod Norman? - spytała siadając obok córki na wielkiej sofie pokrytej czerwonym pluszem.
- Miał taki rozmarzony wygląd - odparła Fiona. - Trudno powiedzieć, czy aktor był dobry w tych śmiesznych, starych filmach. Co się z nim teraz dzieje?
- Nie żyje. Dwanaście lat temu został zastrzelony przez kogoś, kogo nigdy nie znaleziono.
- Został zamordowany? - spytała Fiona, otwierając szeroko oczy.
- Tak.
- Och, biedny. Wyglądał tak miło.
- Był miły. - Wzięła córkę za rękę. - Fiona, powiem ci coś, co może... cię trochę zmartwić, chociaż naprawdę nie powinno. Wiesz, że twój ojciec i ja Kochamy cię tak mocno, jak twoich braci i siostry.
- Och, wiem.
- I że zawsze, zawsze będziesz dla nas równie ważna, jak Vicky, Charles, Sylwia czy Maurice? Wiesz o tym, prawda?

Jedenastoletnia dziewczynka zmrużyła nieco oczy.

- Mamo, co ty mi chcesz powiedzieć? Edwina głęboko zaczerpnęła tchu.
- Twoim prawdziwym ojcem jest Rod Norman. Fiona patrzyła na matkę nic nie pojmując.
- W takim razie... kim jest tata?
- Tata jest twoim tatą, ale nie jest twoim ojcem. Rod Norman i ja.... kochaliśmy się raz, w rezultacie czego przyszedł na świat. Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć. Nikt inny w rodzinie tego nie wie i nie dowie się, chyba że zechcesz im powiedzieć. Ale nie widzę powodu, dla którego miałabyś to robić.

Zapadła długa cisza. Edwina widziała, jak oczy Fiony zachodzą łzami. O Boże, pomyślała, czy popełniłam błąd mówiąc jej o tym?

Fiona rzuciła się z płaczem w ramiona matki. Edwina tuliła ją przez blisko pięć minut, kołysząc ją w przód i w tył, a dziewczynka wypłakiwała swój żal. Potem Fiona wyprostowała się i otarła oczy.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś - powiedziała pociągając nosem. - Czy ty go kochałaś?
- Bardzo go lubiłam, ale nie tak, jak kocham tatę... Nie tak, jak kocham was wszystkich.
- Czy naprawdę był bardzo sławny?
- Bardzo.
- W takim razie dowiem się o nim wszystkiego.
- Przechowuję wycinki z gazet. Dowiemy się razem.
- To będzie fajne. Ale tata jest nadal moim tatą, tak?
- Na zawsze - odparła Edwina, całując córkę.

To znaczy, pomyślała, jeśli kiedykolwiek wyjdzie z Fuhlsbüttel.

otrącił poczucie czasu, ale miał wrażenie, że przebywa w tym piekle od siedmiu czy ośmiu dni. Monotonia, ból biczowania, rozdzierająca pustka długich godzin, które spędzał przykuty do pryczy, smród i głód... wszystko to zaczynało łamać jego opór. Zdradziecka myśl zaczęła mu drażnić świadomość: Daj im to, czego chcą. Okłam ich, zmyśl nazwiska - cokolwiek! Wszystko, byle tylko stąd wyjść! Albo doprowadzić do procesu, by móc się porozumieć ze światem zewnętrznym! Potem mówił sobie, że gdyby wymienił jakieś nazwisko, równałoby się to wydaniem na tego człowieka wyroku śmierci. To prawda, mógł to być sposób dziesiątkowania szeregów niemieckich oficerów, ale Nick wiedział, że hrabia von

Winterfeldt mówił mu prawdę: wielu wysokich generałów niemieckich było przeciwnych Hitlerowi, a gdyby zostali usunięci, zastąpiliby ich wściekli faszyci. Miał więc dylemat.

Powtarzał sobie jednak, że jest to próba sił pomiędzy nim a Schmidtem. Nick nie był męczennikiem; gdyby miał możliwość wydostania się z obozu dzięki kłamstwu czy podstępowi, bez narażania niewinnego człowieka, zrobiłby to. Ponieważ jednak nie miał takiej możliwości, gotów był walczyć aż do śmierci. Nie wątpił, że będzie to jego śmierć, ale przynajmniej zginie walcząc, jak mężczyzna.

Poteih mówił sobie, że to tylko wzniosłe bzdury. Ciało ludzkie może znieść określoną dawkę bólu, a Nick znalazł się już niemal na skraju. Schmidt wiedział o tym, a był na tyle profesjonalistą w swym ponurym fachu, że potrafił wyciągnąć z Nicka wszystko, czego chciał, pod warunkiem że dysponował wystarczającym czasem. Dlatego ta myśl o kurtynie w bohaterskim trzecim akcie była zwykłym, teatralnym okłamywaniem samego siebie.

Jaką miał zatem alternatywę? Jeśli nie mógł im powiedzieć tego, czego chcieli, ani nie mógł już dłużej znosić tortur, co zostawało?

Gdy słuchał w nocy bębnienia deszczu o ściany więzienia, odpowiedź stanęła przed nim w całej swej lodowatej jasności: śmierć. On, Nick Fleming, umrze w kwiecie wieku.

Choć nakazywał sobie, żeby nie płakać, nie potrafił powstrzymać łez.

Ironia polegała na tym, że pomimo rodziny i przyjaciół, pomimo majątku, władzy, domów, samochodów, fabryk i studia filmowego, on, podobnie jak każdy człowiek na tej samotnej planecie, miał umrzeć sam.

Strażnicy, którzy przyszli rano, ku jego zdziwieniu odnosili się do niego niemal grzecznie.

- *Guten Morgen* - powiedzieli rozkuwając go. Usiadł, poruszając zeszywniałymi rękami. - Weź prysznic, *Bad* - powiedział jeden ze strażników łamaną angielszczyzną. - Zgól brodę, masz być ładny.

Nick spojrzał na niego jak na wariata, ale rzeczywiście zaprowadzili go do czystej łazienki, wręczyli mydło, ręcznik, przybory do golenia, położyli na stołku czyste ubranie więzienne i skórzane sandały, po czym zamknęli drzwi na klucz, zostawiając Nicka samego. Nie miał

pojęcia, na czym polega ten nowy pomysł... Może chcieli, żeby popełnił tą brzytwą samobójstwo... Jeśli tak, to trafili pod zły adres -Nick miał cholerną pewnością, że nie da Schmidtowi tej satysfakcji.

W serce Nicka wstąpiła otucha. Ogolił się, a potem, po raz pierwszy od ponad tygodnia, rozkoszował się prysznicem. Pachnący i czysty włożył ubranie, które leżało nie najgorzej, potem zastukał w drzwi. Otworzył mu uśmiechnięty faszysta.

- Ładnie - powiedział z uśmiechem. - Nie śmierdzi. Nie ma brody. Ładnie. Ślicznie.

- Przykro mi, nie ma pan szans, mój karnet balowy już jest pełen.

- *Bitte?*

- Nieważne.

Zamiast do *Verhörzimmer* zaprowadzili go do gabinetu Schmidta. Kapitan, który stał za biurkiem przy oknach wychodzących na więzienny dziedziniec, niemal się uśmiechał.

- Dzień dobry, Fleming - powiedział radośnie. - Wyglądasz znacznie lepiej. Masz ochotę na śniadanie?

Nick najeżył się podejrzliwie.

- Tak.

- Ale nie tę gorzką zupę, którą cię karmiliśmy, co?

- Chodzi panu o zupę, która wygrała na konkursie kucharskim w 1920 roku?

Schmidt się zaśmiał.

- Masz poczucie humoru! Bardzo zabawne. Masz rację, ta zupa jest okropna. Nie dałbym jej mojemu psu, jedynie moim więźniom. Ale dzisiaj mamy coś smaczniejszego.

Nacisnął guzik. W bocznej ścianie biura rozsunęły się drzwi, a strażnik wtoczył stół nakryty białym obrusem, zastawiony srebrem i porcelaną.

- Służba hotelowa - zaszczębiotał wesoło Schmidt. - Zupełnie jak w Adlonie. Usiądź, przyjacielu. Zjedz śniadanie, a potem porozmawiamy.

- O czym?

- Och, o wielu sprawach. O statkach, butach, wosku do pieczęci. Już wcześniej strażnik wyjął spod stołu podgrzewacz. Teraz

otworzył go i wyłożył na stół obfite angielskie śniadanie złożone z jajek sadzonych, kielbasek, szynki, pieczonych grzybów i pomidorów. Dodał do tego srebrną tackę pełną grzanek, masło śmietankowe i trzy rodzaje konfitur. Nick pożerał jedzenie wzrokiem, a strażnik nalał kawę z mlekiem i odsunął krzesło.



- Usiądź, proszę - powiedział Schmidt wskazując na krzesło. Nick usiadł. Jedzenie pachniało wręcz erotycznie. Nie dbając o to,

czy zostało zatrute czy nie, zaczął je pożerać. Kiedy najadł się do syta, Schmidt powiedział:

- Dobrze. Reżim narodowo-socjalistyczny ma stronę okrutną, ale ma też i stronę przyjemną. Doświadczyłeś tej pierwszej. Nie widzimy powodu, dla którego od tej pory nie mógłbyś cieszyć się miłą stroną, o ile zgodzisz się współpracować.

Zaczyna się, pomyślał Nick.

- A na czym miałyby polegać ta współpraca?

- *Fuhrerowi zależy* na dobrych stosunkach z Ameryką. Na dobrych stosunkach z całym światem, ale szczególnie z Ameryką. Jak dotąd narodowy socjalizm nie cieszył się tam dobrą prasą. Cieszył się natomiast szczególnie złą prasą w gazetach należących do twojego ojczyma, Vana Nuysa Clairmonta. W interesie stosunków niemiecko-amerykańskich *Fiihrer* jest gotów zwolnić cię z wszystkich zarzutów i zwrócić ci wolność, jeśli przystaniesz na kilka warunków. Jeden z nich zobowiązuje cię do użycia wszelkich wpływów na ojczyma, by zmienił swoją politykę redakcyjną wobec narodowo--socjalistycznych Niemiec.

Z tego łatwo będzie się wykręcić, pomyślał Nick. Zgódź się.

- Nie mogę gwarantować, że zdołam zmienić nastawienie Vana -powiedział. - Ale zgadzam się spróbować.

- Tak, rozumiemy. Zadowolili nas twoja intencja. Drugim warunkiem jest wpłacenie przez ciebie miliona dolarów na Fundusz Niemiecko-Amerykański. Zanim zwrócimy ci wolność, wpłacisz tę kwotę do niemieckiego banku. Będzie to anonimowa darowizna; nie chcielibyśmy, żebyś się stał obiektem krytyki swoich pobratymców, amerykańskich Żydów.

Szantaż, pomyślał Nick. Powinienem był się domyślić. Co tam, do diabła, zgódź się. To tylko pieniądze. Zgódź się i wyдостаń się stąd.

- Jakie są pozostałe warunki?

- Wpłacisz dalsze sto tysięcy dolarów na Fundację Hermanna Göringa.

- Co to takiego?

- Fundacja dobroczynna założona przez marszałka.

- Dlaczego mam wrażenie, że osobą, która czerpie z fundacji największe zyski, jest sam marszałek?

Na przyjaznej twarzy Schmidta pojawił się na chwilę morderczy wyraz, tak dobrze znany Nickowi.

- Przyjacielu, nie chcę być zmuszony do udzielenia ci kolejnej lekcji dobrych manier... - powiedział.

- Zgoda - odparł Nick. - Mogę przystać na wszystkie te warunki. Są skandaliczne, ale zgadzam się.

- Doskonale - powiedział Schmidt, wyciągając z kieszeni munduru kartkę. - Ostatnio tak dobrze cię poznałem, że wiedziałem, że postąpisz rozsądnie. Oto ostatni warunek. Mam tu sporządzoną przez naszych agentów w Waszyngtonie listę jedenastu projektów broni, nad którymi pracuje się w pańskich zakładach na zamówienie armii amerykańskiej.

Podszedł do stołu i wręczył Nickowi kartkę. Lista została spisana na urzędowym papierze Abwehry. Nick był zdziwiony, że agenci Abwehry zdołali przeniknąć do departamentu wojny. Zdziwił się jeszcze bardziej, spojrzawszy na listę. Jedenaście rodzajów broni stanowiło ściśle tajne projekty zakładów Ramschilda dla armii, marynarki wojennej i lotnictwa.

- Chodzi nam o kopie planów - wyjaśnił Schmidt. - Kiedy zostaną dostarczone do Berlina i zweryfikowane przez naszych inżynierów, zostaniesz zwolniony.

Nick spojrzał na kapitana.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że gdybym to zrobił, to, oprócz dopuszczenia się zdrady, pozbawiłbym się możliwości pracy w moim zawodzie?

- Niekoniecznie. Amerykańskie dowództwo nie musi o tym wiedzieć.

- Będą wiedzieli, kiedy się zorientują, że wasza armia dysponuje tą bronią.

- Zrzuć winę na naszą doskonałą Abwehrę - odparł Schmidt, wzruszając ramionami. - To są twoje problemy, nie nasze. Masz dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Jeśli odmówisz, staniesz przed sądem, a to, czy zostaniesz skazany na śmierć czy na dwadzieścia lat więzienia, będzie zależało wyłącznie od widzimisię sędziego.

Nie ma oczywiście wątpliwości co do uznania twojej winy. Przemyśl to sobie, przyjacielu. Ponieważ nawet cię polubiłem, mam szczerą nadzieję, że podejmiesz dojrzałą i inteligentną decyzję.

- Nie potrzebuję dwudziestu czterech godzin - odparł Nick. - Już teraz się zgadzam.

Twarz Schmidta się rozjaśniła.

- Wyśmienicie! - skrzeczał. - Dobra robota, stary druhu! Nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę, że podjąłeś właściwą decyzję.

- Niech pan da spokój, kapitanie, wie pan równie dobrze jak ja, że nie mam żadnego wyboru. Dwadzieścia lat w faszystowskim więzieniu nie jest tym, co nazywam wyborem.

- Oczywiście, że nie, ale myślałem, że w kwestii planów broni okaże się pan nieznośnym patriotą.

- Jestem biznesmenem, a nie patriotą. Zgodnie z pańską sugestią, całą winę zrzucę na niemieckich szpiegów. Co mam teraz robić?

Schmidt, promieniejąc jak uczeń, zakręcił się koło biurka.

- Na wypadek, gdybyś się zgodził, kazałem napisać list do Chestera Hilla, twojego zastępcy odpowiedzialnego za projekty...

- Nie, nie, list to zbyt powolna droga. Ja chcę stąd wyjść, kapitanie! Poza tym list mógłby przysporzyć nam obu kłopotów z rządem amerykańskim. Niech mi pan pozwoli do niego zadzwonić. Powiem mu przez telefon, co ma robić.

- A! - Oczywiście myśl o telefonie najwyraźniej nie przyszła Schmidtowi do głowy. Spojrzał na zegarek. - Ale w Connecticut będzie trzecia nad ranem.

- Co z tego? - odparł Nick wstając od stołu i podchodząc do biurka. - W takim razie go obudzę, ostatecznie jestem szefem. Chcę ruszyć tę sprawę z miejsca i się stąd wydostać. Napiszę panu numer.

- Tak, oczywiście... Tu jest bloczek i ołówek. Tak chyba będzie lepiej. Nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę, że z nami współpracujesz. W zaufaniu, Fleming, powiem ci, że to oznacza dla mnie awans!

Schmidt promieniał. Nick napisał numer na bloczku, oddał kartkę i wręczył ją kapitanowi.

Schmidt odwrócił się i podszedł do telefonu. Na biurku leżał okrągły przycisk do papierów. Nick podniósł go i trzasnął Niemca w tył głowy. Oprawca stęknął i runął twarzą na biurko.

Nick wyjął rewolwer Schmidta z czarnej skórzanej kabury. Szybko obszedł biurko, podszedł do szafy i otworzył.

Dzięki Bogu, pomyślał. W środku wisiał kompletny mundur SS, ze lśniącymi oficerkami i elegancką, choć złowrogą czarną czapką. Nick pospiesznie zrzucił skórzane sandały i uniform więzienny, po czym wepchnął je do szafy.

Włożył zdjęty z wieszaka mundur, a potem buty. Mundur był za duży - Nick w ciągu tygodnia spędzonego w Fuhlsbüttel schudł iakieś pięć kilo - ale dał się nosić.

Kiedy zakładał czapkę, Schmidt zaczął jęczeć. Nick podbiegł do biurka, chwycił kapitana za ramię i szarpnął go w górę, przykładając mu rewolwer do czoła. Kiedy Schmidt otworzył wąsko osadzone oczy, na widok lufy rewolweru na jego twarzy odmalowało się niemal komiczne przerażenie.

- A teraz, przyjacielu - powiedział cicho Nick, napawając się tym słowem - wsadź se w dupę te twoje zasrane warunki. Wyciągniesz mnie z tej gnojówki albo zdechniesz. Jeśli nie sądzisz, że z najwyższą rozkoszą rozmażę twój mózg po ścianie, jesteś jeszcze bardziej tępym gestapowskim debilem, niż przypuszczałem. Gdzie jesteście?

Schmidt dygotał i zlewał się potem.

- W obozie koncentracyjnym Fuhlsbuttel.

- Gdzie to jest?

- W Hamburgu.

Hamburg? - pomyślał Nick. Jezu Chryste, myślałem, że jestem w Berlinie!

- Jakie jest najbliższe lotnisko? Lotnisko w Hamburgu?

- Tak.

- Przyjmuje samoloty wojskowe?

- Tak.

Nick puścił go i cofnął się, wciąż mierząc w głowę.

- Dobrze, przyjacielu, zadzwonisz po samochód służbowy. Kiedy tu przyjedzie, ty i ja wyjdziemy stąd i do niego wsiądziemy. Jeśli zechcesz próbować jakichś sztuczek, zastrzelę cię. Nie obchodzi mnie, że mnie zabijają, bo i tak nie mam tu przyszłości, dlatego skoncentruj się na swoim życiu. Rozumiesz?

- Tak.

- Rozkażesz także, żeby podstawiono dla nas wojskowy samolot, którym polecimy do Kopenhagi. Pojedziemy samochodem na lotnisko, wsiądziemy do samolotu i polecimy do Kopenhagi. Jeśli ktokolwiek o mnie zapyta, wyjaśnisz, że jestem twoim nowym asystentem z Berlina, mam zapalenie gardła i nie mogę mówić. To rozwiąże sprawę mojego fatalnego niemieckiego. Złapałeś?

- Tak. - Schmidt zlewał się potem.

- Dobra, do telefonu. Pamiętaj, żadnych numerów. Trzęsąc się, Schmidt podniósł słuchawkę.

- Mów normalnym głosem - szepnął Nick.

Schmidt skinął głową i po chwili zaczął wyszcze kiwać rozkazy po niemiecku. Skończywszy, odłożył słuchawkę i spojrzął na Nicka.

- Samochód służbowy będzie tu za pięć minut.

- Wobec tego idziemy. Jestem tuż za tobą. Rewolwer trzymam w kieszeni. Pamiętaj tylko, twoje życie. Ruszaj. Schmidt obszedł biurko.

- Otrzyj pot z czoła - rozkazał Nick. - Masz normalnie wyglądać! Schmidt spełnił rozkaz, zerkając bojaźliwie na niedawnego więźnia.

Kiedy dotarł do drzwi, zawahał się i obejrzał na Nicka.

- Schmidt, pamiętaj o jednym. Jestem amerykańskim Żydem, który zanieczyścił rasę i z ochotą dokona morderstwa. Teraz otwórz drzwi i idziemy.

Niemiec zeszywniał nieco, potem otworzył drzwi.

Po wyjściu z więzienia Nick zmrużył oczy od słońca, ale dostrzegł czekający na nich samochód. Jak na razie, wszystko gra, pomyślał. Schmidt ujrzał majora wchodzącego na schody i zsalutował. Idący nieco za swym zakładnikiem Nick zrobił to samo. Major zatrzymał się, powiedział coś po niemiecku do Schmidta, ten zerknął na Nicka i odpowiedział. Major skinął krótko głową i pospieszył w górę schodami. Szofer w stopniu sierżanta otworzył drzwiczki samochodu, a Schmidt i Nick wsiedli do tyłu. Szofer zatrzasnął drzwiczki i szybkim krokiem obszedł samochód.

- Co powiedziałeś majorowi? - szepnął Nick.

- Spytał, czy skończyłem pisać raport, a ja odpowiedziałem, że wręcę mu go jutro rano.

- Bardzo mądrze.

Szofer usiadł za kierownicą i ruszył. Nick pocił się z napięcia, ale zrozumiał, że niemiecki szacunek dla munduru działa na jego korzyść; w mundurze Gestapo był dla Niemców jak niewidzialny. Gdy tylko ruszyli, z więzienia wybiegł inny kapitan krzycząc coś do szofera.

- Co się dzieje? - spytał Nick, wbijając lufę rewolweru w bok Schmidta.

- Nie wiem.

Kapitan rozmawiał z szoferem.

- Chce, żeby go podrzucić na lotnisko - szepnął Schmidt.

- Odmów mu.

Było jednak za późno. Kapitan, mocno zbudowany mężczyzna, zajął miejsce obok kierowcy. Szofer ponownie uruchomił silnik, a nowy pasażer odwrócił się i zaczął rozmawiać ze Schmidtem. Samochód zbliżał się do bramy więzienia, a dwaj oficerowie

kontynuowali rozmowę. Nick patrzył to na jednego, to na drugiego, usiłując dostrzec jakiś tajny znak, który Schmidt daje grubemu kapitanowi. Czuł się koszmarnie, nie rozumiejąc, có mówią. Schmidt mógł mówić wszystko. W pewnym momencie gruby Niemiec zwrócił się do Nicka. Ten wskazał na gardło, szepnął ochryple: *Bitte*, po czym zakaszła. Gruby zmieszał się, a potem kontynuował rozmowę ze Schmidtem. Kiedy dotarli do bramy i minęli ją bez przeszkód, Nick rozluźnił się nieco. Samochód pomknął w stronę pobliskiego lotniska. Dwaj oficerowie nie odzywali się więcej do siebie, toteż Nick uznał, że Schmidt za bardzo się boi, by zdradzić coś kapitanowi. Szofer wypuścił grubego kapitana przed lotniskiem. Wsiadając, powiedział: *Danke*, zerknął przelotnie na Nicka, a następnie ruszył do niskiego, głównego budynku.

- Do samolotu, szybko - szepnął Nick.

Schmidt warknął rozkaz do szofera, samochód okrążył budynek i wyjechał na trawiaste pole, gdzie czekał Sztukas z rozgrzanymi oboma silnikami. Samochód zatrzymał się przy samolocie, a Schmidt i Nick wysiedli.

- Co się stanie ze mną? - spytał Schmidt.

- Lecisz ze mną. Wsiadaj do samolotu.

Kapitan zawahał się, zerkając w stronę zabudowań lotniska. Właśnie wtedy Nick ujrzał opancerzony samochód wyjeżdżający z jednego z baraków. Pędził w ich stronę.

Nick skierował rewolwer na Schmidta.

- Nie powiedziałem mu! - wrzasnął Niemiec. - On się domyślił... Nick dwukrotnie wystrzelił, trafiając w pierś.

Schmidt padł na

trawę, a Nick podbiegł do samolotu i wsiadł. W ośmioosobowej kabinie siedział tylko pilot.

- Ruszaj! - krzyknął Nick, zatrzaskując drzwi. - *Los, schnell!* Ku jego zdziwieniu pilot usłuchał. Zwiększył obroty i ruszyli

przez pole. W tej samej chwili Nick usłyszał grzechot karabinów maszynowych. Przypadł do pokładu, a kule szarpały prawy bok samolotu. Sztukas wzbił się w powietrze. Nick podpełzł do okna i wyjrzał. Opancerzony samochód zostawał w dali, samolot nabierał wysokości. Żołnierze wciąż strzelali, ale Nick wiedział, że nic mu nie grozi.

- Schmidt powiedział Dolfussowi, kim pan jest - zawołał pilot przekrzykując hałas silników. - W drodze na lotnisko. Rozkazali mi przez radio, żebym nie startował.

Nick wgramolił się do kokpitu, zdziwiony, że pilot mówi tak dobrze po angielsku.

- W takim razie, dlaczego pan to zrobił?

- Wszyscy słyszeliśmy o puczu Winterfeldta, czy raczej niedoszłym puczu. Faszyści próbowali go trzymać w tajemnicy, ale pogłoski wydostały się z więzienia. Wielu z nas uważa, że Winterfeldt miał rację. Wiemy, co się dzieje w Fuhlsbüttel, wiemy o torturach i potwornościach, jakim poddawani są biedni Żydzi. Kiedy powiedzieli mi z wieży, że pan jest Nickiem Flemingiem, uznałem, że nadszedł stosowny moment, żeby się przenieść do Londynu.

Nick usiadł w fotelu drugiego pilota.

- Opuszcza pan Niemcy na dobre?

- Wróć, kiedy pozbędą się faszystów. A, tak przy okazji, jestem Arndt Siemens.

Wyciągnął prawą dłoń, a Nick ją uścisnął.

- Bardzo miło cię poznać, Arndt - powiedział z ulgą. - Uda nam się dolecieć do Londynu?

- Lecę do granicy holenderskiej. Powiedziałeś Schmidtowi, że chcesz się dostać do Kopenhagi, więc będą nas szukać na północy. Myślę, że nam się uda. Podróż może być nieco wyboista, na zachodzie jest nie najlepsza pogoda, ale chmury nas ukryją. Zabiłeś Schmidta?

- Tak.

- To dobrze. Należało się skurwielowi. Trzymaj się, pierwsze wyboje.

Mały samolot zanurkował w dużą chmurę.

Atatürk zamówił dla siebie w firmie Linke-Hofmann-Busch prezydencki pociąg, którego główną atrakcją była marmurowa łazienka normalnych wymiarów, z ogromną marmurową wanną. Tego samego dnia, kiedy Nick uciekł z więzienia Fuhlsbüttel, pociąg tureckiego dyktatora wjechał na berliński Schlesische Bahnhof, gdzie powitał go sam *Führer* w asyście najwyższych oficerów, gwardia honorowa oraz orkiestra, która zagrała hymn turecki i pieśń Horsta Wessela. Potem kawalkada samochodów przejechała przez Berlin do Kancelarii Rzeszy na Wilhelms Platz, gdzie z balkonu na pierwszym piętrze, który Hitler kazał dobudować wkrótce po dojściu do władzy, obaj dyktatorzy pozdrawiali szczerze rozentuzjzmowany tłum zgro-

madzony w dole. Wielu Niemców było wstrząśniętych czystką ludzi Röhma, która miała miejsce tego lata, jednak nie ulegało wątpliwości, że przeważająca większość nadal wielbi Adolfa Hitlera.

Podczas wieczornego przyjęcia w Kancelarii, na który zaproszono korpus dyplomatyczny i *tout-Berlin*, Diana rozmawiała z francuskim *attache* prasowym, czekając na okazję, by na osobności pomówić z Atatürkiem o Nicku. Okazja nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewała. O dziewiątej turecki dyktator, jaśniejący w białym mundurze, przecisnął się przez udekorowany medalami i klejnotami tłum do kobiety, z którą nadal łączyły go dziwne, romantyczne więzy, choć w ostatnim czasie Diana była dla niego w dużej mierze współniczką w interesach.

- Mam dla ciebie nowinę - powiedział ujmując ją za ramię. - Tu, na tarasie, będziemy mieli trochę prywatności, a ja sobie zapalę.

Wyprowadził ją przez oszklone drzwi na taras. Hitler był fanatycznym wrogiem palenia, toteż goście, którzy palili, robili to na własne ryzyko; pomieszczenia Kancelarii były wolne od dymu tytoniowego. Chłodne wieczorne powietrze, niosące obietnicę deszczu, działało orzeźwiająco.

- Obawiam się, że ta wiadomość nie sprawi ci przyjemności - mówił Kemal, zapalając tureckiego papierosa i wypuszczając z ulgą dym. - Hitler i Göring są wściekli. Nick Fleming uciekł dziś z Fuhlsbüttel.

- Uciekł! - powiedziała cicho.

- Tak. Wygląda na to, że nie masz szczęścia z tym człowiekiem albo że on ma diabelskie szczęście. Najemny zabójca Łysego Alego sprzątnął nie tego, kogo trzeba, a teraz Fleming wymknął się nawet z rak Gestapo. Przykro mi.

Diana wybuchnęła śmiechem, a Atatürk patrzył na nią zdumiony. - To cię śmieszy? - spytał.

- Nie, śmieję się z ulgi! Zamierzałam cię poprosić, byś nakłonił Hitlera do uwolnienia go, ale Nick uciekł sam. Dzięki Bogu! - Czasami trudno cię zrozumieć, Diano. Sądziłem, że nienawidzisz Nicka Fleminga?

- Ja też tak sądziłam, ale to nieprawda. - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Okazuje się, że nadal go kocham. Chyba nigdy nie przestałam. Kemal ujął jej dłoń w rękawiczce i ucałował.

- Kobiety - powiedział. - Nigdy nie przestana mnie fascynować.

Chociaż muszę przyznać, że jestem trochę zazdrosny o tego Fleminga. Musi być nadzwyczajnym człowiekiem, skoro zaskarbił sobie twoją miłość na tyle lat.

- Tak - odparła patrząc nad księżyc nad lipami. - Jest nadzwyczajny. W każdym razie dla mnie.

W głowie Diany kształtował się pewien pomysł. Czy możliwe było ponowne rozniecenie miłości, która płonęła kiedyś dla niej w sercu Nicka?



**CZESC V**

**SWIAT W WOJNIE**

## ***Rozdział trzydziesty drugi***

W maju 1939 roku kroniki towarzyskie poświęcały dużo miejsca zbliżającemu się przyjęciu debiutującej Sylwii Fleming.

Zdjęcia Sylwii ukazywały się wszędzie; jej zapierającą dech, smukłą, kasztanowowłosą urodę uwydatniały bajeczne suknie wieczorowe, ubrania sportowe i kostiumy kąpielowe. Fotografowano ją w Stork Club w asyście kawalerów, w teatrze, na wyścigach, na meczach polo na Long Island, na żaglówce w Zatoce, na koniu w Connecticut.

Wyglądało na to, że zmęczonym kryzysem czytelnikom wciąż nie było dość historii o tej piękności z towarzystwa, a szczegóły dotyczące jej debiutu sprawiły, że autorzy kronik towarzyskich ślinili się jak psy do kości. Piętnastego maja kronika w „Herald Tribune” oznajmiła:

*Tym prawdziwym debiutem bieżącego roku będzie debiut Sylwii Fleming, który odbędzie się za trzy tygodnie w St. Regis Roof. Boska Sylwia jest prawniczką księcia Dorset, córką królowej filmu niemego, Edwiny Fleming, i magnata zbrojeniowego, Nicka Fleminga. Ocenia się, że jej ukłon w stronę socjety będzie kosztował jej tatę sześćdziesiąt tysięcy zarobionych na wojnie dolarów. Sylwia jest wielką wielbicielką Glenna Millera, ale ponieważ jego orkiestra wyjechała na tournée, goście będą tańczyć pod batutą maestro Meyera Davisa. Dwieście zaproszeń zostanie rozesłanych do członków creme de la creme, a nieszczęśnikom, którzy nie zostaną zaproszeni, radzimy ukryć się tej nocy w kinach. Sylwii będzie towarzyszyło dziesięciu oficjalnych adoratorów, ale według plotek jej serce należy do zabójczego Chestera Hilla, zastępcy dyrektora Spółki Ramschilda.*

Nick i Edwina, którzy nie byli ani głupi, ani niewrażliwi, kwestionowali sensowność wydawania tak wystawnego przyjęcia w świecie targanym depresją i rosnącą groźbą wojny. Pamiętali debiut Barbary Hutton sprzed ośmiu lat, który z dziedziczki sieci tanich sklepów zrobił ulubiony obiekt napaści prasy. Barbarze Hutton udało się chyba jednak usunąć żądło antypatii opinii publicznej, a Sylwia tak bardzo pragnęła przyjęcia - można powiedzieć, niemal rozpaczliwie - że rodzice zacisnęli kciuki żeby się powiodło, i poddali się.

Kiedy jednak limuzyna Nicka i Edwiny zatrzymała się w galowy wieczór przed hotelem, Nick pojął, że popełnił straszny błąd. Na chodniku tłoczyli się demonstranci z napisami w rodzaju: „Precz z Flemingiem, Tytanem Śmierci!” „Ameryka chce pokoju, ale Fleming chce wojny!” „Ameryka chce pokoju z faszystowskimi Niemcami, nie wojny Fleminga!”

W ciągu pięciu lat od ucieczki z Fuhlsbüttel Nick prowadził ożywioną kampanię w prasie Vana Clairmonta - a także w gabinetach kongresmenów - próbując zwrócić uwagę amerykańskiej opinii publicznej na rosnącą groźbę faszyzmu i skłonić Amerykę do zbrojenia się. Van opublikował napisaną przez niego relację z uwięzienia, w której szczegółowo opisał potworności tortur. Rezultatem była fala obelg i wołanie o cenzurę. Wydawało się, że amerykańskich czytelników bardziej oburzyło wydrukowane słowo „masturbacja” niż brutalność faszystów.

Co zaś dotyczyło kampanii antyfaszystowskiej Nicka, podczas gdy bardziej wykształcona część opinii publicznej chwaliła wysiłki Fleminga i zgadzała się z nim, przeważająca większość, od bogaczy z Palm Beach do biedoty z Bowery, zbywała go jako sensata, który próbuje nastraszyć Amerykę, po to, by kupowała jego broń.

Nick, który w otchłani Fuhlsbüttel poprzysiągł faszystom prywatną wojnę, w wyniku której zyskał tylko obelgi opinii publicznej, był wściekły i sfrustrowany. W roku 1938, zrozumiawszy, że wyrządza więcej szkód niż pożytku, postanowił, że Ameryka sama musi się zwrócić przeciwko międzynarodowemu gangsterstwu faszystów. Jednak wizerunek publiczny Nicka doznał już uszczerbku - Fleming został uznany za tytana przemysłowego zła, który dla osobistych korzyści manipuluje polityką obronną Ameryki. Teraz, siedząc w limuzynie i obserwując pikietujących przed St. Regis, zaciskał pięści z wściekłości.

- Kretyni - mruknął. - Czy Hitler musi zbombardować Times Square. żeby się obudzili?

- Ignoruj ich, kochanie - uspokoiła męża Edwina, ściskając go za ramię. - Pewnego dnia przyznają ci rację. Nick miał co do tego wątpliwości. Wsiadłszy z limuzyny robił co w jego mocy, by ignorować kocią muzykę, która się wzmogła, gdy został rozpoznany.

- Hej, to podżegacz wojenny! - wrzasnął młody rudzielec, a wycie i gwizdy nasiliły się momentalnie.

- Kiedy zaczynasz kolejną wojnę? - krzyknął stary człowiek w czapce Legionu Amerykańskiego.

- Czy za dzisiejszy szampan zapłaciłeś kulami? - zawołał rudzielec. Nick był już prawie przy drzwiach, ale w tym momencie nie wytrzymał. Zanim Edwina zorientowała się, co mąż robi, przecisnął się przez kordon policji i rzucił się na rudego. Dwie kobiety wrzasnęły i zaczęły go okładać tablicami, a Nick i rudy dyskutowali przy pomocy pięści. Rozległy się policyjne gwizdki, a dwaj policjanci rozdzielili walczących. Nickowi krew leciała z nosa, ale nie dbał o to. Przytykając chustkę do lewej dziurki nosa, wszedł do hotelu.

Odczuł nikłą satysfakcją, gdy tłum, choć nie mniej wrogi, przynajmniej zamilkł.

szałaś o zamieszczeniu na dole? - spytał dwie godziny później Chester Hill, tańcząc lindy hop z bohaterką wieczoru, Sylwią.

- Oczywiście, wściekłam się. Faszyści o mały włos nie zabili ojca, a gdy wrócił do domu, ludzie demonstrują przeciwko niemu i obrzucają obelgami. Tych kretynów na dole powinno się rozstrzelać. Tak czy owak, nie pozwolę, żeby mi zepsuli przyjęcie.

- Brawo. To nie byle jakie przyjęcie, a ty nie jesteś byle jaką debiutantką. Zaraz umrę z gorąca.

- Właśnie. Ale dobrze się bawię, więc nie dbam o to. Orkiestra przeszła w wolniejszy, bardziej rozmarzony *And the Angels Sing*, wielki przebój roku, a Chester i Sylwia tańczyli przytuleni policzkami.

Po drugiej stronie sali Charles tańczył z inną debiutantką tego sezonu, Kimberly Radnor.

- Cholera - mruknął.

- Co się stało? - spytała Kimberly, pochodząca z North Shore blondynka o końskiej twarzy, której ojciec był właścicielem Linii Okrętowej Radnora.

- Nic - skłamał Charles. Zobaczył jednak, że Chester i Sylwia tańczą przyklejeni do siebie, jakby się kochali. Dojrzał wyraz zadowolenia na twarzy siostry.

Charles Fleming nienawidził Chestera Hilla.

Kiedy liczne potomstwo wyrosło, Nick był zmuszony do znalezienia większego mieszkania; w roku 1938 przeniósł się do olbrzymiego, trzyczęściowego mieszkania przy Park Avenue 770. Każde z dzieci miało teraz własną sypialnię, choć najmłodsze dzieliły się łazienkami. O czwartej trzydzięci następnego ranka Sylwia, na niemałym rauszu po szampanie wypitym na przyjęciu, opadła w swej sypialni na jeden ze ślicznych perkalowych foteli, zdejmując pantofle, by rozetrzeć stopy.

- Dobrze się bawiłaś, kochanie? - spytała Edwina wchodząc do pokoju. Wyglądała tak świeżo, jakby dopiero się ubrała, a nie jakby przez osiem godzin pełniła obowiązki gospodyni na szalonym przyjęciu.

- Och, mamó, było cudownie. Bawiłam się fantastycznie! Wielkie dzięki!

Edwina podeszła i pocałowała córkę.

- Twój ojciec i ja byliśmy z ciebie dumni. Wyglądałaś tak, że się miało ochotę cię schrupać.

- Biedny tata. Czy bardzo mu przykro?

- Oczywiście poczuł się urażony - odparła Edwina prostując się. - Ale twój ojciec jest silnym człowiekiem. Banda uliczników go nie złamie.

Kiedy po wyjściu matki Sylwia wstała i zaczęła się rozbierać, do pokoju wszedł bez pukania Charles.

- Wolałabym, żebyś pukał - warknęła Sylwia. - Jeśli przyszedłeś tu, żeby rozerwać przyjęcie na strzępy i zepsuć mi wieczór, to nie rób tego. Jestem zmęczona i kładę się spać.

- Przeciwnie, uważam, że przyjęcie było przebojowe. - Zamknął drzwi i oparł się o nie, mierząc siostrę tym nieco aroganckim spojrzeniem, dzięki któremu dziewczęta umawiające się z nim na randki nadały mu przezwisko „Kobra”. - Tylko za dużo tańczyłaś z Chesterem Hillem.

- A dlaczego miałabym tego nie robić? - spytała Sylwia, zdejmując brylantowe kolczyki, które ojciec dał jej na ostatnie urodziny. - Szaleje za nim.

- Wobec tego jesteś głupia. Jemu chodzi tylko o twoje pieniądze.
  - To twoje zdanie i wolałabym, żebyś zachował je dla siebie. Charles podszedł do siostry.
  - Zdejmij mi spinki od mankietów, dobrze? - poprosił.
  - Nie jestem twoją niewolnicą.
  - No, zrób to... bądź miła. - Wyciągnął rękę. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wyjęła z rękawów złote spinki z brylantami.
  - Oczywiście istnieje sposób na sprawdzenie Chestera - powiedział cicho Charles. - To znaczy, sprawdzenie, czy chodzi mu o twoje pieniądze, czy nie.
  - Co się znowu wylęgło w twoim brudnym umyśle?
  - Mógłbym mu powiedzieć o nas.
- Sylwia zmarszczyła brwi. Charles się uśmiechnął.
- Jeśli chodzi mu o twoje pieniądze, to i tak się z tobą ożeni. Ale nie sądzę, żeby wielu mężczyzn chciało się ożenić z dziewczyną, która kochała się z własnym bratem.
- Wymierzyła mu silny policzek.
- Zrobiliśmy to raz, raz! - wyszeptwała. - Postąpiliśmy głupio, ale nie będziesz mi tego wypominał przez resztę życia!
  - Czemu nie? Przecież dobrze się wtedy bawiłaś, podobnie jak ja.
  - To było niewłaściwe, Charlie. Czy wiesz, co oznacza to słowo? Wiem, że jesteś zazdrosny o Chestera...
  - Jestem zazdrosny o każdego, kto na ciebie patrzy - przerwał jej Charles. Chwycił ją i mocno pocałował. Walila w niego pięściami, ale nie puszczał jej, nie przestając całować.
- Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Nick.
- Sylwio, ja...
- Urwał, patrząc na dzieci. Charles szybko puścił siostrę i cofnął się. Wyciągnął z kieszeni chustkę i starł szminkę z warg.
- Cześć, tato. Właśnie demonstrowałem Sylwii moją technikę miłosną. Nie wierzy mi, że jestem pozeraczem niewieścich serc. Nick milczał przyglądając się dzieciom. Nieoczekiwanie Sylwia wybuchnęła płaczem i pobiegła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. - Bąbelki uderzyły jej trochę do głowy - powiedział Charles, wkładając chustkę z powrotem do kieszeni i podchodząc do ojca. - To było świetne przyjęcie, tato. Najlepsze, na jakim byłem. Minął ojca i wyszedł do hallu.
- Nick nie ruszał się przez blisko minutę. W końcu odwrócił się

powoli, opuścił pokój i przeszedł przez pełen obrazów hall do sypialni. Mógł myśleć tylko o dawnym koszmarze w sierocińcu w Pensylwanii, kiedy doktor Truesdale oskarżył go o utrzymywanie stosunków seksualnych z matką. Cała ta scena ożyła w jego pamięci, a myśl o kazirodztwie przyprawiła go o dreszcze. Otworzył drzwi sypialni. Edwina była już w łóżku; siedziała pod wspaniałym Seuratem, który Nick kupił zeszłego roku w Paryżu. Cicho zamknął za sobą drzwi, podszedł do wielkiego łóżka i usiadł obok żony. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie.

- Kochanie, co się stało?

- Czy faszyści mieli rację? - wyszeptał z niedowierzaniem. - Czy rzeczywiście zanieczyściłem rasę?

- O czym ty, na Boga, mówisz? Poblady, spojrzał na żonę.

- Przed chwilą... w pokoju Sylwii... Wszedłem, a Charles ją całował.

- Co masz na myśli? - spytała marszcząc brwi.

- Jak to, co mam na myśli? Całował ją w usta. Teraz Edwina sprawiała wrażenie zaszokowanej.

- Nick, to musiał być jakiś rodzaj zabawy...

- Żadna zabawa! Cholera!

Wstał, wsunął ręce do kieszeni i zaczął chodzić po pokoju, usiłując powstrzymać łzy.

- Mój syn - mówił gorzko. - Czy mój syn mógł to zrobić? Chryste, w głowie mi się nie mieści. Ale widziałem to! Nie, to niemożliwe. Sylwia by mu nie pozwoliła. Ale potem wybuchnęła płaczem... Cholera jasna, coś łączy tych dwoje... Cholera!

Zatrzymał się, usiadł na krześle, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Edwina wstała z łóżka, podbiegła do męża i zaczęła go tulić.

- Kochanie, kochanie - uspokajała go. - To także mój syn. Jeśli zrobili coś złego, nie obwiniaj siebie. To pewnie moja zwariowana krew Tłumów. Bóg wie, że połowa moich przodków miała szmergla, jeśli nie zupełnego fioła...

- Tu nie chodzi o szmergla. Ja mówię o kazirodztwie. Spojrzeli po sobie, wstrząśnięci tym okropnym słowem.

Edwina

wstała.

- Czy myślisz, że oni...

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. - Otarł chustką oczy. - To moja wina - stwierdził ponuro. -

Rozpuściłem

go jak dziadowski bicz. Zawsze to powtarzałaś i miałaś rację. Wychowałem syna i spadkobiercę, który jest arogancki, zboczony... -Wstał i znowu rozpoczął wędrówkę po pokoju.

- Co możemy zrobić? - spytała Edwina.

- Oddalimy go od Sylwii, i to zaraz - mówił szybko Nick. -Wyślemy go do... nie wiem... do Anglii! Wyślemy go do Oxfordu... Miał doskonałe stopnie w Princeton, może się dostać... Wszystko, byle go stąd zabrać! Potem wydamy Sylwię za mąż... szybko. Chester... mój zięć... O, cholera, cholera, cholera! Mój syn! Nie do wiary... mój syn! Zatrzymał się i spojrzał na Edwinę, nagle lodowato opanowany.

- Jeśli się nie poprawi, wydziedziczę tego bękarta - powiedział cicho.

Edwina wiedziała, że Nick nie żartuje.



### ***Rozdział trzydziesty trzeci***

Niespełna dziesięć tygodni później Hitler napadł na Polskę i rozpoczął w Europie wojnę, która, zdaniem większości ludzi, miała być krótka. Kiedy, ku zdumieniu świata, *Blitzkrieg* Hitlera wyłączył Polskę z wojny w ciągu kilku tygodni, większość ludzi uznała, że wojna będzie krótka, a zwycięży Hitler. Nick, który przez lata grzmiał o potwornościach faszyzmu, na co większość pozostawała głucha, uznał teraz, że dowiedzie słuszności swych poglądów i jeśli Amerykanie nie zdeklarują się otwarcie jako sojusznicy Anglii i Francji, to przynajmniej ochoczo poprą je moralnie. Ku jego zdumieniu i goryczy, przeważająca część prasy (sieć gazet Vana Clairmonta stanowiła wyjątek) umocniła się jeszcze bardziej w swej postawie izolacji. Spółka Ramschilda, otrzymawszy mnóstwo zamówień z Anglii, potroiła produkcję, co jednak sprawiło, że Nick stawał się coraz bardziej niepopularny. Wszystko, co robił, było złe. Kiedy ofiarował milion dolarów rządowi brytyjskiemu, prasa amerykańska odebrała to jako kolejny dowód na jego współudział w eskalacji wojny. Kiedy podarował ćwierć miliona dolarów Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi, okrzyczano go hipokrytycznym potworem. Wiosną 1940 roku, kiedy tacy amerykańscy bohaterowie jak Charles Lindbergh wychwalali reżim faszystowski, a Joseph Kennedy, ambasador na dworze króla Jakuba i ojciec przyszłego prezydenta, mówił wszystkim, że Anglia jest skończona, jedna z chicagowskich gazet przeprowadziła ankietę na dziesięciu najbardziej niepopularnych ludzi w kraju. Ku wściekłości Nicka, zajął trzecie miejsce. Kiedy Edwina zwróciła jego uwagę na fakt, że pierwszą pozycję na liście zajmuje prezydent Roosevelt, przygnębienie Nicka jeszcze się pogłębiło.

Osiągnął władzę i majątek przekraczające jego najśmielsze oczekiwania, ale był jedną z najbardziej kontrowersyjnych osób w kraju i nienawidził tej sytuacji z całego serca. Przez krótki czas bawił się nawet w myślach pomysłem wycofania się z interesu zbrojeniowego, który okrywał go taką niesławą - potem jednak przypomniał sobie Fuhlsbüttel, a nienawiść, jaką żywił do faszystów, zdusiła tę myśl w zarodku.

Najsilniejszą bronią przeciwko faszystom była broń produkowana masowo w jego fabrykach.

Jesteś więc trzecim najbardziej zniechęconym człowiekiem w Ameryce? - spytał z promiennym uśmiechem prezydent Roosevelt, uściskawszy dłoń Nicka w Gabinetcie Ovalnym w Białym Domu. -Cóż, ja jestem najbardziej zniechęconym człowiekiem Ameryki i jestem z tego cholernie dumny! - Po tych słowach prezydent Stanów Zjednoczonych zaniósł się zaraźliwym śmiechem. - Usiądź Nick. Kawy?

- Nie, dziękuję, panie prezydencie. Nienawiść, jaką do mnie czują, sprawia, że jestem wystarczająco nerwowy.

- Och, do diabła z nimi. Ci cholerni izolacjoniści nie są w stanie rozpoznać dobrej wojny, a jeśli jakakolwiek wojnę można nazwać dobrą, to właśnie tę. Jeśli Hitler nie jest pierwszej klasy bandytą zasługującym na lanie, to już nie wiem, kto jest. Niestety, większość społeczeństwa nie podziela naszego zdania. Między innymi dlatego zaprosiłem cię tu dzisiaj.

Przerwał, by osadzić papierosa w długiej fifce, po czym zapalił go mosiężną zapalniczką, którą wziął z zagraconego biurka. Chociaż Nick kilkakrotnie spotkał już Roosevelta i wspierał finansowo jego kampanię, miał nieco sceptyczny stosunek do Nowego Ładu. Mimo to lubił tego człowieka i był podatny na jego słynny wdzięk. Schlebiało mu też zaproszenie do Białego Domu. Pomyślał, jak długą drogę przebył z górniczych dzielnic biedoty we Flemington w stanie Pensylwania.

- Dowiedziałem się w dowództwie sił powietrznych, że twój zięć zaprojektował przyrząd celowniczy do bombardowania jeszcze lepszy niż Norden - powiedział prezydent, wydmuchując dym.

- Chester udoskonalił dokładność. Siły powietrzne zamówiły pięćset sztuk.

- Wiem. Po dziesięć tysięcy dolarów za sztukę. Nic dziwnego, że podatnicy cię nienawidzą. - Przerwał znowu, by zaciągnąć się papierosem. - Znasz wielu ważnych ludzi w Anglii, Nick - kontynuował. - Masz znajomości w rządzie, siłach zbrojnych, kołach przemysłowych i finansowych. Jakie szanse ma według ciebie Anglia w tej wojnie?

Nick zawahał się. Odpowiedź nie była prosta.

- Nikt nie podziwia Anglików bardziej niż ja - rzekł w końcu. - Jak panu wiadomo, ożeniłem się z Angielką. Myślę, że Anglicy kiedyś błędnie ocenili Hitlera, ale teraz Hitler błędnie ocenia ich, jeśli sądzi, że nie będą walczyć. Wiele zależy od niemieckiego lotnictwa. Jeśli Luftwaffe jest tak dobra, jak się powszechnie sądzi, Anglię czeka ciężka przeprawa. Jednak nie jestem pewien, czy Niemcy zdołają pokonać Anglię, nawet jeśli Hitler uderzy. Z drugiej strony, nie jestem pewien, czy Anglia jest w stanie pokonać Niemcy bez naszego wsparcia.

- W takim razie, jaka jest twoim zdaniem najgorsza sytuacja, jaka się może wydarzyć? Pat?

- Albo pat, albo negocjowany pokój, który według mnie byłby zwycięstwem Hitlera. Musi pan jednak pamiętać, że moje osobiste doświadczenia z faszystami nie należały do przyjemnych. Przypuszczam, że większość Amerykanów odetchnęłaby z ulgą, gdyby zawarto pokój.

- Och, to nie ulega wątpliwości. Oczywiście nie jest dla ciebie tajemnicą, że stąпам tu, w Białym Domu, po kruchym lodzie. Chcę pomóc Anglikom i Francuzom najbardziej, jak mogę, ale jeśli posunę się za daleko, ten naród zażąda mojej głowy. Dysponuję oczywiście sposobami działania, o których społeczeństwo nie musi się dowiadywać, i tu dochodzimy do ciebie. Wiem, że jesteś zajęтым człowiekiem, ale słyszałem też, że nie spędzasz wiele czasu w zakładach Ramschilda. Czy to prawda?

- Tak, sir.

- Wobec tego, czy mógłbyś wyjechać na pewien czas, bez uszczerbku dla produkcji Ramschilda, która jest teraz niezwykle ważna?

- Owszem, pod warunkiem że w każdej chwili można by się było ze mną porozumieć za pomocą depeszy czy telefonu.

- To dobrze. Chcę ci powierzyć misję, która wymaga udania się do Londynu i przeprowadzenia z Anglikami negocjacji w sprawie

standaryzacji broni angielskiej i amerykańskiej. Jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, że standardowy karabin amerykański ma kaliber trzydzieści setnych cala, podczas gdy jego brytyjski odpowiednik trzydzieści setnych i trzy tysięczne cala. Ta śmieszna różnica trzech tysięcznych cala całkowicie uniemożliwia wymianę, a rezultatem jest ogromna strata czasu i materiału. To zdumiewające! Ten problem wynikł podczas ostatniej wojny, ale do tej pory nic z tym nie zrobiono... Innymi członkami misji są generałowie Laughlin i Billings oraz kontradmirał Howland. Ale ta misja przede wszystkim jest przykrywką, zwłaszcza dla ciebie. Chcę od ciebie informacji, nawet plotek! Chcę usłyszeć twoją opinię, w kwestii tego, co zamierza Anglia. Chcę, żebyś robił wszystko, co w twojej mocy, z wyjątkiem kłamstw, by wesprzeć Anglików, dać im przynajmniej do zrozumienia, że jesteśmy po ich stronie. Nasz ambasador, Joe Kennedy, jest takim skończonym defetystą, że moim zdaniem wyrządza poważną szkodę brytyjskiemu morale. Chciałbym zrobić wszystko, co mogę, z wyjątkiem odwoływania go, by przeciwdziałać jego wpływom. Joe oczywiście nie chce wojny, ponieważ spowodowałaby spadek na giełdzie. Ty natomiast jesteś znany ze swych antyfaszystowskich poglądów i chociaż tu nie cieszysz się popularnością, rozumiem, że w Anglii jesteś kimś w rodzaju bohatera. Dlatego gdybyś przyjął to zadanie, mógłbyś wyświadczyć prawdziwą przysługę mnie i krajowi. Obawiam się, że nie mogę zaoferować ci wiele więcej niż wdzięczność, pokrycie kosztów podróży i piętnaście dolarów dziennie. Słyszałem jednak, że możesz wynająć apartament u Claridge'a za cztery dolary dziennie, więc nie powinno być najgorzej. Poza tym, jak rozumiem, twój interes kwitnie - dodał mrugając. Nick uśmiechnął się.

- Można powiedzieć, że eksploduje, sir. Z radością podejmę się tego zadania i zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Doskonale! Każę Missy zarezerwować ci miejsce w najbliższym samolocie do Lizbony.
- Czy mogłaby zarezerwować dwa, panie prezydencie? Chciałbym zabrać żonę, oczywiście na własny koszt. Edwina bardzo chce zobaczyć rodziców, a potem naszego najstarszego syna, który studiuje w Oxfordzie, a ostatnio wstąpił do RAF-u.
- A to zuch! Naturalnie, Missy się tym zajmie. Missy zajmuje się tu prawie wszystkim. - Posłał Nickowi swój olśniewający uśmiech. -

Cieszę się, że przyłączyłeś się do drużyny, Nick. My, zniechęceni ludzie, musimy się trzymać razem.

Nick wstał i uściskał dłoń prezydenta.

Niepopularność doskwierała mu już trochę mniej.

Nazywała się Lena Pfeiffer, miała czterdzieści osiem lat, dwadzieścia kilo nadwagi, siwiejące jasne włosy i od trzech lat pracowała jako sprzątaczką gabinetów dyrektorskich w fabryce Ramschilda. Ponieważ zakłady pracowały obecnie na dwie ośmiogodzinne zmiany dziennie, by się uporać ze stertą zaległych zamówień, Lena przychodziła do pracy o północy, kiedy wszyscy (z wyjątkiem strażników) już wychodzili. O drugiej nad ranem, dwie noce po wizycie Nicka w Białym Domu, Lena pchnęła swój wózek z przyborami do czyszczenia, przeszła przez korytarz w dyrektorskim budynku i wsiadła do windy dla personelu. Zjechała na parter, wypchnęła wózek na zewnątrz i ruszyła w stronę hali produkcyjnej. Bill Ziegler, jeden ze strażników, wrzucał pięć centów do automatu z Coca-Colą.

- Jak leci, Lena? - spytał, kiedy automat wyrzucił butelkę.

- Nie narzekam.

- Słyszałaś dziś wieczorem Amosa i Andy'ego? Zabawny program.

- Nie. Moje radio wysiadło. Jutro muszę je zanieść do sklepu.

- Nie masz szczęścia do techniki. Mówiłaś mi chyba w zeszłym tygodniu, że zepsuła ci się pralka?

- Tak. Czy myślisz, że gdybym miała szczęście, byłabym cholerną sprzątaczką?

Mrugnęła do niego, pchnęła wózek przez podwójne drzwi, minęła ogromną prasę o mocy piętnastu tysięcy ton i zatrzymała się przed drzwiami do kreślarni. Wyjęła klucze, wybrała właściwy, otworzyła drzwi, wepchnęła wózek do środka, zapaliła światło i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Sięgnęła do wózka i wyjęła mały aparat fotograficzny. Poruszając się niezwykle szybko jak na swą tuszę, podeszła do sejfu, przekreśliła koło w prawo do osiemnastki, w lewo do dwudziestki szóstki, w prawo do czterdziestki, wreszcie do zera. (Poznała szyfr dwa tygodnie wcześniej dzięki elektromagnetycznemu urządzeniu podsłuchowemu, najnowocześniejszemu wynalazkowi Siemens Elektrogeräte Aktien Gesellschaft. Dostała je od doktora Ignatza Theodora Griebela, szefa nowojorskiej komórki Abwehry.) Otworzywszy sejf, wyjęła ostatnie arkusze sporządzonych przez

Hilla projektów urządzenia celowniczego do bombardowań, rozłożyła je na biurku Chestera, oświetliła, przekrzywiając klosz lampy i zaczęła fotografować.

Dziś miała dotrzeć do końca projektów, których fotografowanie zajęło jej dziesięć nocy.

Nienawidzę tego domu! - krzyczała Sylwia Fleming Hill. - Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę go! Jest ciasny, nędzny i śmierdzi!

Rzuciła się na znienawidzoną zieloną sofę w salonie trzysypialnianego domu w stylu Cape Cod, który Chester, od ośmiu miesięcy jej mąż, wynajął na brzegu rzeki Connecticut.

- Daj mu szansę, dobrze? - odkrzyknął Chester z kuchni, gdzie otwierał puszkę piwa. - Chryste, jesteśmy tu od trzech dni, a ty już zrzędzisz! To nasz czwarty dom w ciągu ośmiu miesięcy, a ja mam dość przeprowadzek!

Zatrzasnął drzwi lodówki i wyszedł z kuchni, którą uważał za uroczą, minął jadalnię, którą uważał za śliczną, i wszedł do salonu, który uważał za wesoły. Marszcząc brwi, Sylwia spojrzała na męża z sofy, której nie cierpiała.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała. - Chcesz, żebym cię okłamywała? Chcesz, żebym mówiła: „Och, Chester, skarbie, to najcudniejszy domek na świecie?” Guzik. Mój Boże! Rok temu byłam najbardziej olśniewającą dziewczyną Ameryki, moje zdjęcie ukazało się na okładce „Life'u”. Kim jestem teraz? Kurą domową w tej zabitej dechami dziurze w Connecticut.

- Chciałaś wyjść za mąż!

- To mój ojciec chciał, żebym wyszła za mąż; wiesz o tym równie dobrze jak ja! Praktycznie popchnął nas do ołtarza. No i proszę, mam dziewiętnaście lat i ugrzęzłam.

Odstawił piwo, podszedł do sofy i kładąc ręce na oparciu nachylił się nad Sylwią.

- Nie masz nic przeciwko ugrzęźnięciu w łóżku - powiedział lubieżnym głosem. Nachylił się i pocałował ją w usta.

Po chwili odepchnęła go od siebie.

- Nikt nie lubi seksu bardziej niż ja - powiedziała. - Ale nie można tego robić cały dzień. Kiedy cię nie ma, nie mam nic do roboty. Nic!

- Znajdź sobie jakieś hobby!

- Jakie? Grę w pchełki? Robienie na drutach? Słuchani tych cholernych seriali radiowych, aż mam wrażenie, że zwariuję.

- Jesteś po prostu rozpieszczona.

- Oczywiście, że jestem rozpieszczona! Mój ojciec rozpieścił mnie do granic możliwości. Cieszę się z tego.

Chciałabym, żebyś ty mnie trochę rozpieszczał!

Chester nakazał sobie zachowanie spokoju. Humory i napady gniewu Sywlii stawały się coraz częstsze i coraz trudniejsze do zniesienia, czasami miał ochotę ją udusić. Musiał ją jednak uszczęśliwiać, ponieważ ojciec Sylwii był szefem.

- Czego byś chciała? - westchnął.

- Polecieć w piątek z mamą i tatą do Europy. - Zobaczyć się z Charliem, pomyślała. Przerazało ją to, jak bardzo tęskni za bratem.

- Twój ojciec odmówił. Na co jeszcze miałabyś ochotę?

- Nie wiem. Ale nienawidzę tego domu. Czemu nie zbudujemy sobie domu sami? Tak nowoczesnego, żeby zaszokować wszystkich mieszkańców tej wiochy?

Chester zastanowił się nad tym przez chwilę. Do tej pory przeciwstawiał się jej chęci budowania domu, ponieważ żałował pieniędzy. Nawet jako zięć jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce nadal zarabiał tylko dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie - podwyżka była jednym z prezentów ślubnych od Nicka. Z drugiej strony, budowa domu mogłaby zamknąć gębę Sylwii, a poza tym mógłby naciągnąć jej starego na pożyczkę.

- Zgoda - powiedział. - Zbudujmy dom.

Nadaśana mina Sylwii rozwiała się jak chmury zasłaniające słońce.

- Och, Chester! - wykrzyknęła. - Jednak chcesz mnie rozpieszczać!

Położył się na Sylwii i zaczął się z nią kochać, tłumiąc niepokojące pragnienie, które ostatnio towarzyszyło mu coraz częściej. Pragnienie, żeby ją zamordować.

Stosunek Chestera do teścia stanowił skomplikowany amalgamat zawiści, bojaźni, podziwu i lęku. Po ślubie Nick skłonił zięcia do zwracania się do niego po imieniu, ale bynajmniej nie zostali kumplami. Dlatego kiedy Chester wszedł do gabinetu Nicka, by prosić o pożyczkę, towarzyszyło mu dość silne drżenie rąk.

Gabinet Nicka urządzone w równie gładkim stylu Art Deco, co poczekalnię, ale nie było tu żadnych oznak władzy bogacza. Jediną ozdobę prostego, nie zatłoczonego pomieszczenia stanowiła seria oryginalnych rysunków Audubona przedstawiających ptaki; miała to być aluzja do tego, że Nick jest namiętym wielbicielem sztuki (choć według Chestera ptaki stanowiły psychologiczny wybieg, mający na celu obalenie wizerunku Nicka jako „Tytana Śmierci”). Nick, jak zwykle jowialny w stosunku do zięcia, uściśnął mu dłoń i wskazał na krzesło.

- W ostatniej chwili zważyło mi się na głowę mnóstwo nie przewidzianych spraw - powiedział. - Jak wiesz, wylatujemy o dziewiątej rano, a Bóg wie, kiedy wrócimy, toteż Frieda zarzuciła mnie robotą papierkową. O czym chciałeś ze mną mówić?

Chester wiedział, że w ten oto subtelny sposób Nick dał mu do zrozumienia, że daje mu pięć minut.

- Chodzi o Sylwię - zaczął Chester.

- Kolejne humory?

- Tak. Nie chcę cię zdręzczać moimi problemami, ale jej stan się pogarsza. W pewnym sensie nie mogę jej winić. Przywykła do wszystkiego, atrakcji, przepychu, a teraz, według jej słów, „ugrzęzła” w Old Lyme...

- Czego ona chce? - przerwał mu Nick. Chester poruszył się niezręcznie.

- Męczy mnie, żebym zbudował dom. Odwodziłem ją od tego, bo nie chcę ponosić takich kosztów, ale... cóż, zaczynam się zastanawiać, czy się nie myliłem.

- I chcesz pożyczyć ode mnie pieniądze?

Do diabła z nim, pomyślał Chester, zawsze czyta w moich myślach.

- Cóż, chciałem cię prosić o radę finansową...

- Moja odpowiedź brzmi: nie. Nie pożyczę ci pieniędzy; nie pożyczaj z banku; nie buduj domu. Masz cholernie dobrą pensję, Chester, a opcje giełdowe, które ci dają, powinny przynieść ci za kilka lat majątek. Wtedy zbuduj dom za własne pieniądze. Tymczasem zmusz Sylwię do zakosztowania odmiany, to jej dobrze zrobi. Wierz mi, najgorsze, co może spotkać twoje małżeństwo, nastąpi, gdy Sylwia się dowie, że zwróciłeś się do mnie po pożyczkę, żeby zaspokoić jakiś jej kaprys czy zbudować dom. Wtedy zacznie czuć do ciebie tylko pogardę i co dziesięć minut zacznie cię posyłać do „taty”. Znajac moja córkę, spodziewałem się tego. Szczerze mówiąc.



jestem pełen podziwu, że uległeś jej dopiero po ośmiu miesiącach. Ale nie poddawaj się. Wróć do niej i daj jej kopniaka w tyłek. Kocham Sylwię, ale wiem, jaka jest rozpieszczona. Moim największym rodzicielskim błędem było rozpieszczenie dzieci. Nie chcę, do diabła, żeby mój zięć rozpieszczał żonę.

Chester pomyślał z irytacją, że teść prawdopodobnie ma rację.

To jednak nie mogło mu ułatwić życia z Sylwią.

Ja znam tę kobietę - szepnął Nick do Edwiny, kiedy na lotnisku La Guardia zajęli miejsca w samolocie do Lizbony.

- Przysięgam na Boga, że ją znam.

- Którą kobietę? - spytała Edwina ubrana w wygodny kostium na długi lot przez Atlantyckie (z międzylądowaniem na Bermudach i Azorach).

- Siedzi w drugim rzędzie, dwa fotele za nami. Ma posiwiałe, jasne włosy i biały kapelusz z woalką.

Edwina obejrzała się.

- Tam nie ma żadnej kobiety - powiedziała. - Och, zaraz, ona wysiada z samolotu.

Nick odwrócił się i zobaczył, że kobieta wychodzi tylnymi drzwiami.

- Dziwne - powiedział. - Dlaczego wysiada?

- Może zrezygnowała z podróży do Lizbony?

- Ale otrzymanie miejsc w tym samolocie zabrało nam tydzień, a mieliśmy protekcję rządową... - Oparł się znowu, marszcząc jeszcze bardziej czoło. - Kto to jest, do cholery? - mruknął. Nagle doznał olśnienia. - To moja sprzątaczką!

- wykrztusił.

- Twoja sprzątaczką? - zdumiała się Edwina. - Po co miałyby lecieć do Lizbony?

Nick wstał z fotela.

- Chciałbym to wiedzieć. A także, skąd ona ma na to pieniądze? Puścił się pędem między fotelami. Stewardesa zamykała już drzwi.

- Proszę chwilę poczekać! - krzyknął Nick. - Proszę nie zamykać tych drzwi!

- Zaraz startujemy, sir... - odparła stewardesa z zakłopotaniem.

- Wiem, ale musicie poczekać. To pilne.

Odepchnął ją i otworzył drzwi. Lena Pfeiffer znajdowała się w nołowie drogi do budynku lotniska.

- Lena! - krzyknął. - Zaczekaj, Leno! Zaczęła biec.

- Zatrzymaj tę kobietę! - zawołał do strażnika ochrony lotniska. Tamten zrobił zakłopotaną minę, ale nie ruszył się z miejsca. Schodki odsunięto już od samolotu. Nick wyjął pistolet z kabury pod pachą i wystrzelił ponad głową Leny. Pasażerowie zatłoczonego samolotu podnieśli wrzask. Stewardesa chwyciła Nicka za ramię.

- Panie Fleming, proszę mi oddać ten pistolet!

Nick odepchnął ją i wycelował po raz drugi. Lena dobiegała do drzwi lotniska. Wycelował w jej prawe udo i wystrzelił. Upadła na ziemię, chwytając się za nogę.

Ponownie rozległy się wrzaski. Strażnik wyciągnął pistolet i wymierzył w Nicka.

- Ta kobieta jest szpiegiem! - krzyknął Nick, modląc się, żeby miał rację. Ale po cóż jego sprzątaczką miałyby lecieć do Lizbony, znanego siedliska faszystowskich szpiegów, i czemu wysiadła z samolotu, kiedy tylko go zobaczyła?

- Przeszukaj ją! - krzyknął. - Musi mieć przy sobie tajne dokumenty!

Chryste, jeśli się myślę, przyjdzie mi słono zapłacić... W tym momencie pilot złapał go od tyłu za rękę.

- Odbierzcie mu pistolet! - krzyknął. - Policja jest już w drodze. Nick nie stawiał oporu, oddając pistolet drugiemu pilotowi. Kiedy

pilot go puścił, Nick wyjął saszetkę z paszportem.

- Mam akredytację prezydenta Roosevelta - powiedział, pokazując oficjalny dokument. - Nie winię was za wezwanie policji, ale zapewniam, że tamta kobieta szpieguje dla faszystów.

Pilot miał sceptyczny wyraz twarzy.

„Strzelanina na lotnisku!” - krzyczały nagłówki popołudniówek. „Tytan zbrojeniowy postrzelił starszą kobietę!”

„Ogień z broni Fleminga wznieca panikę w Pan Arnie!”

Fatalna reputacja, jaką cieszył się w prasie Nick, nadziała go na widelec sensacyjnych nagłówków. Dopiero w dalszej części większości artykułów można było przeczytać, że przy „starszej kobiecie” faktycznie znaleziono mikrofilmy tajnych dokumentów. Na nieszczęście dla Nicka nowe urządzenie celownicze opracowane przez Hilla miało tak duże znaczenie, że armia nie zgodziła się ujawnić, co

dokładnie wykradła Lena Pfeiffer. Nawet gazety Vana Clairmonta, które w zasadzie popierały Nicka, zamieściły nagłówek „Magnat zbrojeniowy strzela do faszystowskiego szpiega”, i choć przynajmniej zamieściły dokładną relację z wydarzeń, pisały o „magnacie zbrojeniowym” z pewną drwiną.

Nick i Edwina zostali w Nowym Jorku tak długo, aż zobaczyli, jak FBI aresztuje Lenę Pfeiffer pod zarzutem szpiegostwa. Potem, na rozkaz prezydenta, wojskowy bombowiec zawiózł ich na Bermudy, gdzie dogonili samolot.

- Postąpiłeś słusznie, kochanie - pocieszała Nicka Edwina, kiedy przeglądał nagłówki prasowe. - Jestem z Ciebie dumna.

Nick nie odpowiedział, ale nieprzychylna prasa sprawiła mu przykrość.

### ***Rozdział trzydziesty czwarty***

W kwietniu 1940 roku, kiedy Nick i Edwina wylądowali w Lizbonie, gdzie mieli się przesiąść na samolot do Londynu, *drôle de guerre*, *Sitzkrieg* albo dziwna wojna, która ciągnęła się przez jesień, zimę i wczesną wiosnę, skończyła się nagle i dramatycznie inwazją faszystów na Danię i Norwegię. Dziewiątego kwietnia w południe dziewięć tysięcy żołnierzy Wehrmachtu zajęło pięć głównych norweskich portów: Narwik, Trondheim, Bergen, Stavanger i Kristiansand, a także Oslo; padły tylko sporadyczne strzały. Niemieckie bombowce trzymały w ryzach brytyjską marynarkę wojenną, a Wehrmacht bez trudu opanował wszystkie główne lotniska, włącznie z najważniejszym w Soli pod Stavanger. Była to jedna z najszybszych, najśmielszych i najbardziej bezkrwawych ofensyw wszechczasów, toteż Hitler miał powody do radości, zwracając się ku kolejnym celom: Belgii, Holandii i Luxemburgowi.

Tak więc, gdy Nick i Edwina jechali samochodem do Audley Place, ich wiejskiej posiadłości w stylu Tudorów, którą Edwina kazała całkowicie odnowić po ucieczce Nicka z Fuhlsbüttel w roku 1934, wszelkie nadzieje Anglików co do tego, że Hitler blefuje, w obliczu inwazji na Norwegię legły w gruzach. Niemcy byli nie mniej zaniepokojeni niż Anglicy i Francuzi. Kiedy ich ukochany *Führer* najechał na Polskę, wybuch wojny został powitany w Berlinie ciszą i pustymi ulicami. Błyskotliwy, szybki sukces armii niemieckiej wywołał entuzjazm, ale w kolektywnym sercu narodu czaiło się podejrzenie, że Adolf Hitler, nowy Napoleon, prowadzi ich prostą drogą do zguby. Tego kwietniowego dnia pogoda była jednak tak cudowna, że

nawet ponure wieści z Norwegii nie mogły popsuć humoru Nickowi i Edwinie, kiedy zatrzymali się przed Audley Place.

- Czyż nie jest piękny? - spytała Edwina wysiadając z Rollsa.

- Owszem, i pięknie go odnowiłaś - odparł Nick obejmując ją i całując. - A, tak przy okazji, czy mówiłem ci dzisiaj, że cię kocham?

- Nie, ale z rozkoszą posłucham - powiedziała z uśmiechem. Wziął ją za rękę i ruszyli do drzwi.

- Teraz, kiedy jestem naprawdę w średnim wieku, powinienem zająć się ogrodem, jak przyzwoity angielski posiadacz ziemski. Może umówimy się, że będziemy razem pracować w ogrodzie i spróbujemy zapomnieć o tej cholernej wojnie przynajmniej na kilka godzin w tygodniu?

- Och, Nick, to by było cudowne! Będziemy razem pracować w ogrodzie!

- I zanudzać się nawzajem do obłędu - dodał z uśmiechem. Zaśmiała się i pocałowała go.

- Ty nigdy nie jesteś nudny, kochanie. Irytujący, owszem, ale nigdy nie nudny. Mam też nadzieję, że nie jesteś w tak poważnie średnim wieku, by stracić wszelkie zainteresowanie seksem.

- Powiadają, że życie zaczyna się po czterdziestce, a ja mam pięćdziesiąt dwa lata i jak na starego przyka czuję się mocno napalony.

Otworzył drzwi i weszli do przestronnego hallu z elżbietańskimi drewnianymi schodami. Pani Dabney, pulchna gospodyni i kucharka wybiegła z kuchni na powitanie państwa.

- Witamy w Audley Place! - powiedziała z promiennym uśmiechem. - Czyż to nie piękny dzień?

W kwietniowym powietrzu unosił się jednak zapach wojny.

Ogród zaplanowano i obsadzono, ale Nick nie miał wiele czasu na przebywanie na wsi. Najpierw musiał się zająć obowiązkami w tak zwanej Komisji Standaryzacji, chociaż, zgodnie z zapowiedziami Roosevelta obowiązki te nie należały do ciężkich, zwłaszcza że ani brytyjscy, ani amerykańscy wojskowi nie mieli ochoty niczego standaryzować. Ze względu na koneksje, Nicka zapraszano wszędzie, a on, zgodnie z życzeniem prezydenta, słuchał i sporządzał obfite notatki, które przesyłał do Białego Domu. Wynajął apartament u Claridge'a, o kilka przecznic od ambasady amerykańskiej przy Grosvenor Square, gdzie podejmował przekrój londyńskiej socjety, od lady Cunard i „Chiosa” Cannona, przywódców społecznych

amerykańskiego pochodzenia, do swego starego przyjaciela, Winstona Churchilla, który wrócił do Admiralicji. Nick i Churchill podtrzymywali przez te lata korespondencję, która nasiliła się po dojściu Hitlera do władzy. Podobnie jak Nick przestrzegał Amerykę przed faszystami, Churchill robił to samo w Anglii, z podobnym skutkiem. Brytyjski polityk lubił energicznego Amerykanina, a ich wspólne poglądy polityczne cementowały tę znajomość. Churchill nie zapomniał też o hojnym darze miliona dolarów, jaki Nick złożył na ręce rządu brytyjskiego. Spytał Fleminga, czy zechciałby wystąpić na połączonym zebraniu Admiralicji i Królewskiego Naczelnego Dowództwa i przedstawić, jako producent broni, szacunkowe porównanie sił armii niemieckiej i francuskiej. W ciągu minionych trzech lat Nick sprzedał Francuzom sprzęt wartości wielu milionów dolarów i będąc w samym centrum przemysłu zbrojeniowego, posiadał doskonałe rozeznanie w stanie wszystkich głównych armii świata. Na propozycję Churchilla przystał z ochotą.

Minął kwiecień, nastał najcudowniejszy maj, jaki pamiętano, a świat czekał z napięciem na kolejny ruch władcy Niemiec.

Dziesiątego maja świat się dowiedział. Tego samego dnia, kiedy Winston Churchill zajął miejsce Neville'a Chamberlaine'a na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii, wojska niemieckie najechały na Belgię, Holandię i Luxemburg, posuwając się ku granicy francuskiej.

Dziwna wojna dobiegła końca i zaczęła się wojna prawdziwa, mająca się stać największą jatką w dziejach ludzkości.

I<sup>^</sup>zy myśmy się już gdzieś nie spotkali? - spytał makler giełdowy piękną dziewczynę siedzącą obok niego przy barze.

Miała na głowie przekrzywiony czarny kapelusz i zakiet ze srebrnego lisa na eleganckim czarnym kostiumie.

Piła drugie martini.

- Może.

- Czekaj, byłaś na okładce „Life'u"! Jesteś tą debiutantką, Sylwią Fleming! Zgadza się?

Sylwia posłała ponure spojrzenie młodemu mężczyźnie w szarym garniturze w kratę.

- Bingo.

- Hej... kurczę, to fantastyczne! Jeszcze nigdy nie spotkałem dziewczyny z okładki! Co robisz w takiej norze?
- A co ty robisz w takiej norze? - odparła z uśmiechem.
- Próbuję zapomnieć o żonie.
- Ach tak? Ja próbuję zapomnieć o mężu.
- Chcesz mi o tym opowiedzieć?
- O czym tu mówić? On mnie nudzi, a w dodatku jest skąpy. A jaka jest twoja żona?
- Wiecznie narzeka, wierci mi dziurę w brzuchu. „Charlie, kup mi to”, „Kup mi tamto”...
- Charlie? - przerwała. - Tak masz na imię?
- Tak. Charlie Wells.

Przyglądając się mężczyźnie, piła martini.

- Mam brata imieniem Charlie - powiedziała cicho. - Charlie, mój wstrętny brat. - Uśmiechnęła się pijacko do młodego maklera. -A ja jestem wstrętną siostrą. - Czknęła. - Charlie jest w Anglii, w RAF-ie. To znaczy, Charlie. Mój brat. Mój piękny, wstrętny brat.

Charlie Wells zobaczył łzy w jej oczach i zastanawiał się, czy jest upijającą się na smutno pijaczką. Sprawiała wrażenie tak młodej i niewinnej, że nigdy by się nie spodziewał jej spotkać w prawie pustym tanim barze przy Madison Avenue, gdzie o drugiej po południu zalewała się martini. Zastanawiał się, czy dziewczyna ma ochotę iść do łóżka. Niewątpliwie tak wyglądała.

- Czy mogę ci kupić jeszcze jednego drinka? - spytał.
- Och, jeżeli wypiję jeszcze jedno martini, upiję się i zrobię coś strasznego.
- Na przykład?
- Kto wie? Może pójdę do łóżka z kimś imieniem Charlie? Spojrzała na niego, ale zobaczyła swego nagiego brata, jak

przeciąga się nad leśnym stawem w Thrax Hall. Jej grzech, ich sekret... Sekret? Czy ojciec się domyślił? Czy dlatego ponaglił ją do ślubu z Chesterem? Ta myśl prześladowała ją już niemal od roku, podobnie jak wstyd - i seksualny dreszczyk - tamtego kazirodczego popołudnia prześladowały ją przez lata. Komórki mózgowe Sylwii zatańczyły w takt dzinu, a po gładkich policzkach popłynęły łzy. Okropny ból polegał na tym, że od tamtej pory seks nigdy nie sprawiał jej specjalnej przyjemności. Nawet z Chesterem, który był dobry w łóżku i pociągał ją jak magnes.

Przyprawiało ją to

o szaleństwo, ale znowu pragnęła brata. Wiedziała przy tym, że nigdy nie może go mieć.

Charlie Wells wpatrywał się w nią, nie wierząc własnemu szczęściu.

- Moglibyśmy pójść do Biltmore - szepnął. - To tylko dwie przecznice stąd.

- Charlie - szepnęła z uśmiechem. - Kochaj mnie, Charlie. Uczyń mnie znowu szczęśliwą.

Charlie Wells, zlany potem od oczekiwania, dał barmanowi znak, żeby przyniósł rachunek.

Niczym potężny Dżaganata niemiecka grupa armii A pod dowództwem generała Gerda von Rundstedta wtoczyła się przez Mozę do Belgii i północnej Francji, a czwarta armia dowodzona przez Klugego natarła na północy na Dinant, Hermeton i Givet, podczas gdy na południu dziewiętnasty korpus pancerny Guderiana przystąpił do ataku na francuskie miasto Sedan, gdzie dokładnie siedemdziesiąt lat wcześniej drugie cesarstwo Ludwika Napoleona poniosło klęskę wobec pruskiej armii Moltkego. To, co obecnie wydaje się oczywiste, wtedy stanowiło dla Francuzów ogromne zaskoczenie, a mianowicie, że Niemcy najzwyczajniej w świecie ominęli linię Maginota, w której defensywnie nastawiona armia francuska pokładała największe nadzieje. W ciągu czterech dni bitwa nad Mozą się zakończyła, oddziały francuskie były w odwrocie, a rząd w Paryżu zaczynał zdradzać objawy paniki.

Szesnastego maja, kiedy Churchill przyleciał do Paryża, by ocenić sytuację, urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych palili już dokumenty państwowe na wielkim stosie na dziedzińcu pałacu na Quai d'Orsay. Premier Francji, Paul Reynaud, błagał Churchilla o więcej brytyjskich samolotów, które pomogłyby powstrzymać nawałę niemiecką, podczas gdy jego kochanka, atrakcyjna, żądna władzy hrabina de Portes, uwijała się po ich mieszkaniu przy Place du Palais-Bourbon, pospiesznie pakując walizki. Reynaud, zagorzały antyfaszysta, nie był defetystą, jednak jego kochanka, po latach manewrów mających na celu uzyskanie najwyższej władzy we Francji, teraz, z przeraźliwym brakiem konsekwencji robiła wszystko, co w jej mocy, by skłonić kochanka do kapitulacji przed Niemcami.

*Madame* de Portes paliła się ziemia pod stopami.



W ciągu zaledwie kilku tygodni Edwina zakochała się w Audley Place bardziej niż w którejkolwiek ze swych okazałych amerykańskich posiadłości. Ten prosty dom był dla niej wszystkim (naturalnie, określenie „prosty” miało dla Edwiny charakter względny - w Audley Place było dwadzieścia pokoi). Galeria, jak nazywała salon, była pomieszczeniem dwudziestometrowej długości z niskim, belkowanym sufitem i trzema ceglanyimi kominkami. W szesnastym wieku w galerii mieściła się obora. Teraz przez środek pokoju biegły zawałone książkami i starymi egzemplarzami „Country Life” dwa długie dębowe stoły, oświetlone lampami zrobionymi z dużych dziewiętnastowiecznych chińskich waz. Przy ścianach stały wygodne sofy i krzesła obite kolorowym perkalem, z którego uszyto także zasłony wiszące w oprawionych w ołów oknach. Pozostałe pokoje w domu ustępowały galerii przepychem, ale były nie mniej wygodne - wyłożona boazerią jadalnia na dwanaście osób, wyłożona boazerią biblioteka z podwójnymi drzwiami wychodzącymi na ogród, pokój bilardowy, oranżeria, kredens dla służby, ogromna kuchnia i cztery pokoje dla służby składały się na parter. Na piętrze znajdowała się sypialnia państwa i łazienka oraz cztery dalsze sypialnie z łazienkami. Wszystkie łazienki zainstalowała Edwina podczas remontu w 1935 roku. Jej ulubionym pokojem była własna sypialnia. Kazała ją pomalować na kolor bladego heliotropu, wstawiła subtelne kobiece meble francuskie z okresu Regencji, a na ścianach zawiesiła ładne, stare ryciny. (Zastanawiała się, czy przypadkiem nie uwielbia Audley Place dlatego, że nie ma tu w ogóle sztuki nowoczesnej, którą lubiła znacznie mniej niż mąż). Leżeli objęci w łóżku - właśnie skończyli się kochać - gdy zadzwonił telefon. Edwina pocałowała męża w czoło, usiadła, zapaliła światło i podniosła słuchawkę.

- Tak?

W licznych otwartych oknach sypialni chłodny czerwcowy wietrzyk falował zasłonami, a na zewnątrz, nisko na niebie, lśniła srebrna tarcza księżycy w pełni.

- To do ciebie, kochanie. Dzwoni premier. Jestem pełna podziwu -szepnęła, wręczając Nickowi telefon.

- Halo? - powiedział siadając.

- Nick, tu Winston - zagrzmiął znajomy głos. - Czy możesz jutro polecieć ze mną do Francji? Podejmiemy ostatnią próbę nakłonienia Reynauda, by nie wycofywał się z wojny. Rozmawiałem z prezy-

dentem Rooseveltem, który zgodził się mi ciebie wypożyczyć. Chcę, żebyś powiedział Reynaudowi, że przemysł amerykański może przewyższyć produkcję niemiecką i że jesteś w stanie dostarczyć Francuzom dość broni, by pokonać szkopów - jeśli tylko Francuzi wytrzymają! Okłam ich, nie obchodzi mnie, co im powiesz, ale musimy ich przekonać, żeby się trzymali! Polecisz z nami? Nick nie wahał się ani chwili.

- Oczywiście, sir.

- To dobrze. Bądź na Hendon o dziesiątej trzydzieści rano. Polecimy stamtąd do Tours. Rząd francuski uciekł już z Paryża, zarekwirowali jeden z zamków nad Loarą. Na Boga, mam wrażenie, że to czasy Franciszka I! Mam nadzieję, że się dowiemy, w którym zamku jest Reynaud... Pewnie będzie z nim ta cholerna Helen de Portes... Co za irytująca suka! Cóż, do jutra. Punktualnie o dziesiątej trzydzieści!

Rozłączył się.

- Czego on chciał? - spytała Edwina, okrywając nagość atlasowym prześcieradłem koloru heliotropu.

- Lecę z nim jutro do Paryża. Spróbujemy namówić rząd francuski, żeby nie wycofywał się z wojny.

Edwina przypomniała sobie Fuhlsbüttel i potworny stan, w jakim mąż wrócił do niej przed sześcioma laty.

- To chyba nie jest niebezpieczne, prawda? To znaczy, z Wins-tonem będziesz chyba bezpieczny?

- Mam taką nadzieję. Jeśli szkopy złapią Churchilla, będzie po wojnie. - Obrócił się na bok, układając się do snu. -

Kocham cię -mruknął sennie, napełniając Edwinę zadowoleniem z domieszką niepokoju.

Może leciał z Winstonem, ale wybierali się do Francji, kraju chaosu. Niebezpieczeństwo istniało.

„Irytująca suka”, hrabina de Portes, była córką bogatego magnata okrętowego z Marsylii, o nazwisku Rebuffel.

Bystra, atrakcyjna, energiczna i ambitna, wyszła za mąż za hrabiego Jeana de Portes, syna markiza de Portes i

księżnej de Gadagne. Pan młody szybko zaczął pracować dla teścia, a hrabina, znudzona Marsylią, ruszyła na podbój

Paryża. Tam poznała dwukrotnie starszego od siebie Paula

Reynauda. Kiedy zdała sobie sprawę, że jego polityczna gwiazda wschodzi, nie zwlekając została kochanką Reynauda.

Ironia losu zrządziła, by inna utytułowana kobieta została kochanką Edouarda Daladiera, głównego politycznego rywala Reynauda. Markiza de Crussol, z domu Jeanne Beziere, była córką biznesmena z Nantes, który zrobił majątek na puszkowanych sardynkach. Jeanne wyszła za markiza de Crussola, wnuka księżnej d'Uzes, który kiedyś zalecał się do Heleny de Portes. Paryscy dowcipnisie wkrótce nazywali ją markizę de Crussol *la sardine qui s'est crue sole* (sardynka, która ma się za solę). Kiedy poznała Daladiera, wdowca od dziesięciu lat, polityk mieszkał w ponurym mieszkaniu przy *rue Anatole-de-la-Forge* z siostrą i dwoma synami. Markiza została jego kochanką i wprowadziła go na salony *tout-Paris*.

Dwie utytułowane kobiety zostały rywalkami, w przewrotnym stylu wspierającymi polityczne kariery kochanków. Byłoby to zabawne, gdyby Francja nie staczała się w przepaść. Obie zostały kochankami premierów Francji, sycąc swe ambicje; jeśli jednak miały nadzieję naśladować swoją poprzedniczkę, *madame de Pompadour*, która praktycznie rządziła Francją jako kochanka króla przez dwadzieścia lat, czekało je duże rozczarowanie - w przedwojennej Francji rządy zmieniały się szybko. *Madame de Portes* miała nieszczęście osiągnąć władzę w momencie, gdy jej kochanek premier miał wkrótce zarządzić pogrzeb Republiki Francuskiej.

Nikt nie mógł w to uwierzyć. Francja biła się dzielnie w poprzedniej wojnie. Imperium francuskie pod względem wielkości i znaczenia ustępowało tylko brytyjskiemu. Francja była bogata. Armia francuska miała swoje wady, ale, jak nadmienił Nick brytyjskiemu naczelnemu dowództwu, pod względem uzbrojenia dorównywała armii niemieckiej. A jednak wystarczyło kilka tygodni, by armia francuska pierzchła przed Niemcami. Dziewiątego czerwca, na dzień przed upływem miesiąca od rozpoczęcia ofensywy niemieckiej, do Paryża dotarła wieść, że nic nie jest w stanie powstrzymać napierających Niemców. Tysiące Francuzów z północy, którzy uciekli już przed Niemcami do Paryża, sądząc, że stolica nigdy nie padnie, musiało uciekać dalej na południe. Przyłączyło się do nich ponad cztery miliony paryżan, zrozpaczonych i przerażonych myślą o niemieckiej okupacji. Dziesiątego czerwca osiem milionów Francuzów tłoczyło się na drogach biegnących na południe, grabiac, walcząc, zebrząc o jedzenie i wodę.

Przerażeni Francuzi cierpieli w tym chaotycznym exodusie straszne niewygody, a sytuację pogarszały samoloty Luftwaffe, które ostrzeliwały uciekinierów z broni maszynowej.

Na drogach panował taki tłok, że kiedy o północy dziesiątego czerwca premier Francji w towarzystwie kościstego generała Charlesa de Gaulle'a wyruszył samochodem na południe, by przenieść rząd w dolinę Loary, licząca dwieście pięćdziesiąt kilometrów droga do Orleanu zajęła im sześć godzin.

Był to najważniejszy samochód we Francji.

### ***Rozdział trzydziesty piaty***

Był upalny czerwcowy dzień, a wentylator elektryczny buczał leniwie na stoliku w pokoju 418 w hotelu Biltmore, nawiewając powietrze na dwa nagie spocone ciała, kochające się na łóżku.

- Charlie, Charlie - jęczała Sylwia Fleming Hill z zaciśniętymi mocno powiekami, napierając głową na poduszkę i rozkoszując się owłosionym, muskularnym ciałem Charlie Wellsa. Była druga po południu w środę, czwartą z rzędu środę, którą spędzali w tym hotelu. Temperatura wynosiła trzydzieści cztery stopnie, a pot lał się z ciała Charliego, kiedy wchodził w nią i wychodził.

- Charlie, zaraz będę, zaraz będę...

- Ja też - wydyszał. - O Jezu...

- Charlie, Charlie. Kocham cię. Charlie, Charlie...

- Chryste!

Po eksplozji opadł na łóżko obok Sylwii.

- Jest za gorąco, żeby się pieprzyć - wysapał.

- Lubie, kiedy się pocimy - zamruczała. - To się robi przez to bardziej... nie wiem, zwierzęce. Myślę, że seks powinien być jakby brudny.

- Tak, wiem, o co ci chodzi. Właściwie sam się dziwię, że to mówię, ale im brudniej, tym bardziej podniecająco.

Teraz jednak muszę chyba wziąć prysznic.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Usłyszała dźwięk lejącej się wody, a potem podśpiewywanie Charliego. Lubiała ten niezobowiązujący, niemal anonimowy seks. Niewiele wiedziała o Charliem, tyle tylko, że mieszka gdzieś w New Jersey, ma żonę i dwójkę dzieci, dojeżdża do pracy w jednej z firm brokerskich w centrum. Nic więcej nie chciała widzieć. Był jej maszyną do seksu. Kiedy się kochali,

myślała o swoim bracie Charliem i było to prawie tak przyjemne jak szaleńcza chwila nad stawem w Thrax Hall przed tak wielu laty.

Usłyszała szcęk klucza w zamku i w drzwiach stanął gruby mężczyzna w prążkowanym garniturze, słomkowym kapeluszu, palący cuchnące cygaro. Sylwia rzuciła się, by zakryć nagość prześcieradłem, a w progu stanął jej mąż.

- To twoja żona? - spytał grubas z cygarem.

- Tak - odparł lodowato Chester.

- Widzi pani, to jest porządny hotel. Jestem tu detektywem, i jeśli jeszcze raz pani tu przyjdzie, dopilnuję, żeby nie dostała pani pokoju, jasne?

Chester wsunął mu dziesięciodolarowy banknot.

- Przypilnuję, żeby nie sprawiała już panu kłopotów - powiedział.

- Dzięki, panie Hill. Jestem zobowiązany. Detektyw uklonił się i wyszedł, zamykając drzwi.

- Ubieraj się - powiedział Chester. - Zabieram cię do domu. Nie będzie już więcej bzdur o jeździe w środy do Nowego Jorku na zakupy. - Ruszył w kierunku łazienki. - Domyśliłem się, że kupujesz mężczyzn.

- Idź do diabła! - krzyknęła, rzucając w niego poduszką. Chybiła. Chester wyciągnął z kieszeni Ramschilda kaliber dwadzieścia

dwa, wszedł do łazienki, szarpnął zasłonę od prysznicza i wycelował pistolet w przerażonego Charlie Wellsa.

- Ja... nie zabijaj mnie - wybełkotał makler, który na włosach miał czapę piany.

Chester zakręcił wodę.

- Wynoś się stąd - rozkazał.

- Kim... kim jesteś?

- Jestem jej mężem, który pracuje w fabryce broni.

- Ty... nie... nic nie zrobiłem...

Strach tego biedaka był niemal komiczny. Chester wypchnął go z łazienki do sypialni.

- Ruszaj - ponaglił.

- Tak, tak... idę... pozwól mi się tylko wytrzeć i włożyć coś na siebie... za minutę zniknę... nie miałem żadnych złych zamiarów... Chester pchnął go ponownie.

- Idziesz tak, jak stoisz.

- Nie mogę! Jestem goły!

- To twój problem. Jazda.

Nie przestając mierzyć do niego z pistoletu, Chester otworzył drzwi. Wyglądało na to, że Charlie Wells jest jeszcze bardziej przerażony perspektywą pokazania się nago przypadkowym gapiom.

- Nie mogę!

Chester złapał go za ramię i dosłownie wyrzucił na korytarz. Charlie pomknął w poszukiwaniu kryjówki, a zdradzony mąż zatrzasnął drzwi i odwrócił się do żony, która wybuchnęła śmiechem.

- Ach, więc ciebie to śmieszy? - warknął.

- Nie, ale... - Próbowała zdusić śmiech. - Charlie... cały w pianie na Madison Avenue... O, mój Boże... - Zaczęła wyc w nie kontrolowany sposób. Chester podszedł do łóżka i z całej siły uderzył ją w twarz.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła.

- Ty dziwko. Ubieraj się. Zabieram cię do domu.

- Nie! Nie chcę wracać! Tutaj jestem szczęśliwa!

- Żyjąc jak dziwka?

- Tak, żyjąc jak dziwka!

Uderzył ją znowu. Wybuchnęła płaczem.

- Ubieraj się - powtórzył.

- Chcę do taty - łkała.

- Musisz się zadowolić mną.

- Och, Chester. - Spojrzała na niego załzawionymi oczami. - Chcę być z tobą szczęśliwa, ale tak cholernie się nudzę w Old Lyme... nie możesz tego zrozumieć? Nie możesz spróbować mnie trochę zrozumieć? Tam nic dla mnie nie ma, nic!

- Jestem ja.

- To za mało!

Przyglądał się jej przez chwilę zagniewany, nakazując sobie zachować spokój.

Do diabła, ona ma rację, pomyślał. Muszę dać jej dzieci, to ją uwiąże. I dom. Cholera, żeby tylko jej stary nie był takim przeklętym świętoszkiem i pożyczyl mi trochę pieniędzy.

Gdybym tylko miał trochę pieniędzy...

Istniało wiele powodów, dla których Churchill zaprosił Nicka, by towarzyszył mu w podróży do Francji, a nie najbardziej błahym był fakt, że lubił go i podziwiał. Wiedział też, że Nick, ponosząc znaczne osobiste ryzyko, łamał amerykańskie prawa o neutralności, które

zabraniały amerykańskim producentom sprzedawać broń którejkolwiek ze stron uczestniczących w wojnie europejskiej; wysyłał przez Kanadę do Anglii tysiące ton amunicji, tysiące karabinów i dział przeciwlotniczych, których obłożona wyspa rozpaczliwie potrzebowała. Churchill wiedział, że Roosevelt ma zamiar wkrótce znieść embargo na broń, ale to nie zmniejszało ryzyka, jakie ponosił Nick.

Przed wszystkim jednak, słuchając wystąpienia Ramschilda na zebraniu naczelnego dowództwa, Churchill zrozumiał, że tytan zbrojeniowy posiada szczegółową wiedzę o współczesnych armiach, znacznie przewyższającą wszystko, czego angielski polityk dowiadywał się dotąd od wywiadu. Z ambasady w Waszyngtonie Churchill otrzymywał codziennie raport o ruchach wojsk w Ameryce, ale w nie mniejszym stopniu liczył się ze zdaniem Nicka. Przyszło mu też do głowy, że silna osobowość amerykańskiego przyjaciela mogłaby tchnąć ducha walki w opadających z sił przywódców francuskich.

Tak więc następnego dnia rano o dziesiątej trzydzieści Nick przyłączył się do premiera, sekretarza spraw zagranicznych, lorda Halifaxa, lorda Beaverbrooka i kilku innych wysokich urzędników. Wsiedli do dwóch dwusilnikowych Flamingów, które miały ich zabrać do Francji. Był piękny dzień, choć na późniejsze godziny zapowiadano pogorszenie pogody.

Samolot wylądował w Tours o czternastej; niedawno zbombardowane lotnisko było całkowicie opuszczone. Cała scena przywodziła Nickowi na myśl *Alicję w krainie czarów* - premier Wielkiej Brytanii zmuszony do łapania okazji, by dotrzeć do premiera Francji. Zdawało się zresztą, że cała Francja ma coś z *Alicją*, a już z pewnością jej rząd. Po ucieczce z Paryża, w nocy z dziesiątego na jedenastego czerwca, członkowie rządu posuwali się powoli na południe samochodami i ciężarówkami, przeciskając się przez setki tysięcy uciekinierów, aż dotarli do Orleanu. Tam pozajmowali rozmaite *chateaux* położone na południe od Loary, od Briare na wschodzie po Tours na zachodzie. *Châteaux* były bez wątpienia urocze, ale żałośnie nie przystosowane do pomieszczenia dwudziestowiecznego rządu Francji w momencie kryzysowym. System wodociągowy, o ile w ogóle działał, był odpowiedni dla rodziny, a nie całego ministerstwa. Z komunikacją było jeszcze gorzej. W *châteaux* znajdował się najwyżej jeden telefon, zaś na przedpotopowym systemie telekomunikacji nie można



było polegać nawet w normalnych warunkach. Nikt nie pomyślał -ani nie miał czasu - by zainstalować dodatkowe linie, a miejscowi telefoniści wciąż robili sobie dwugodzinną przerwę na obiad. W rezultacie panował chaos.

Prezydent Francji, zajmujący imponujący Chateau de Cange, znajdował się w izolacji i nie wiedział praktycznie nic o rządzie, którym kierował.

Z powodu tłoku na drogach samochód Churchilla potrzebował aż dwóch godzin na przejazd z lotniska w Tours do Chateau de Chissay położonego nad rzeką Cher niedaleko Tours. W Chateau de Chissay zatrzymał się premier Francji, Paul Reynaud, wraz z asystentami i kochanką. Kiedy samochód Churchilla się zatrzymał, pasażerowie ujrzeli dziwną scenę. Na dziedzińcu tłoczyły się ciężarówki i samochody, które szukały miejsca do parkowania w tym nowo powstałym ośrodku francuskiego rządu. Na frontowym tarasie stała niewysoka, trzydziestokilkuletnia kobieta z kręconymi kasztanowymi włosami i dużymi ustami, umalowanymi jaskrawą szminką. Ubrana w czerwone jedwabne kimono narzucone na białą piżamę, gestykulowała i krzyczała z podnieceniem do kierowców ciężarówek, gdzie mają parkować.

- Oto ona! - prychnął Churchill. - Podpora tronu Francji, *Madame la Comtesse de Portes elle memel*

Był to rzeczywiście przedziwny widok. Gdy brytyjska delegacja wysypała się z samochodu, *madame de Portes* zaczęła się na nich wydzierać, aż poznała Churchilla. Wtedy, z wyrazem zaskoczenia na twarzy, zniknęła w *chateau*.

- Wygląda na to, że nie tylko kieruje rządem, ale ma też koncesję na parking - zauważył Nick.

Churchil się uśmiechnął.

Wewnątrz *chateau* panował całkowity chaos. Oficerowie, dyplomaci, asystenci i sekretarze kręcili się po wysokich salach, usiłując ustalić, gdzie się ulokować i co robić, ale w żadnej z tych kwestii nie uzyskiwali dostatecznych informacji. Inni po prostu stali wyglądając beznamiętnie przez wysokie okna i pałac Galois'a za Galoisem. Nikt nie zwracał uwagi na brytyjską delegację, aż w końcu premier, przypuszczalnie zawiadomiony przez kochankę, wyszedł pospiesznie z głównego salonu, by powitać sojusznika. Po ceremonii prezentacji Churchill, Beaverbrook i Halifax poszli za Reynaudem.

- Poczekaj tutaj - szepnął Churchill do Nicka. - Wezwę cię, kiedy będziesz mi potrzebny. Pamiętaj: kłam, jeśli trzeba, ale musimy odwieść Francję od wycofania się z wojny!

Minęła godzina. Z salonu wyszedł jeden z asystentów, pułkownik Forbes-Taylor, który powiedział do Nicka:

- Stoimy w miejscu. Reynaud powtarza, że nie wycofa się z wojny tylko pod warunkiem, że przyślemy mu więcej samolotów. Premier mówi, żebyś się przespacerował po ogrodzie. Nie będziesz mu potrzebny wcześniej niż za godzinę.

- Dobrze.

Nick wyszedł tylnymi drzwiami, by przejść się po dość prozaicznie wyglądającym ogrodzie, pełnym kałuż po niedawnym deszczu. Początkowo sądził, że jest sam, kiedy jednak skręcił w aleję kasztanowców, ujrzał siedzącego na ławce francuskiego oficera, który palił papierosa. Nick zauważył go już wcześniej w środku. Był kapitanem koło trzydziestki, wysokim, z cienkim czarnym wąsikiem, gęstymi czarnymi włosami pod kepi, bardzo białą cerą i płomiennymi brązowymi oczami. Nick przypomniał sobie, jak pomyślał, że ten człowiek sprawia wrażenie przygnębionego. Teraz, podszedłszy bliżej, spostrzegł, że oficer niemal ukradkiem ociera oczy, jak gdyby chciał ukryć płacz.

- Dzień dobry - pozdrowił go Nick po francusku. - Wygląda na to, że pan i ja jesteśmy tu jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, co robić, czyli nic.

Kapitan podniósł wzrok.

- Pan jest Amerykaninem, tak? - powiedział po angielsku z silnym akcentem. - Król broni, *monsieur* Fleming?

- Zgadza się. Przyjechałem z panem Churchillem, żeby namówić pański rząd do nie wycofywania się z wojny.

Kapitan rzucił papierosa na ziemię.

- Traciecie czas. Ci ludzie... - Gniewnym gestem wskazał na *chdteau*. - To dezerterzy! Nie chcą walczyć, chcą uciec i ocalić skórę! Robi mi się niedobrze. Jak pan myśli, czemu wyszedłem tu i płaczę jak mały chłopiec? Bo widzę, jak sprzedają mój kraj... nie, nawet nie sprzedają. Ta banda *poltrons*, tchórzy, oddaje go za darmo! *Merde, alors. Cóż*, chyba nikogo to nie obchodzi. To tylko Francja, najpiękniejszy, najbardziej cywilizowany kraj w Europie. Nie wiem, może jesteśmy zbyt cywilizowani. Zbyt cywilizowani, żeby walczyć.

Szczery wstyd i gniew kapitana poruszył Nicka.

- Co można zrobić? - spytał.

- Nie wiem - odparł Francuz, wzruszając ramionami. - Ale nie wolno się poddawać i uciekać. Niemcy są dobrymi żołnierzami, ale

nie są nadludźmi. My też jesteśmy dobrymi żołnierzami, ale generałowie i politycy... - Skrzywił się. - Oni wszyscy są, jak to wy mówicie? Gównem.

- Co pan zamierza zrobić?

- Spróbować przedostać się do Londynu. Moi przyjaciele już tam są. Może uda nam się uderzyć stamtąd albo wstąpić do armii brytyjskiej. Coś nam się uda.

Nick wyjął z portfela wizytówkę i wręczył kapitanowi.

- Jeśli uda się panu dotrzeć do Londynu, proszę się ze mną skontaktować. Może potrafię pomóc. Sam mam porachunki z faszystami. Zatrzymałem się u Claridge'a.

Kapitan spojrział na wizytówkę, a potem wstał, żeby uściśnąć dłoń Nicka.

- Nazywam się René Reynaud.

- Reynaud? Jest pan...

- Premier jest moim wujem - powiedział kapitan, kiwając głową w stronę *château*. - To łajdak, który oddaje Francję. Teraz rozumie pan, czemu płaczę?

Zapalił kolejnego papierosa.

Wkrótce po szóstej tego wieczoru Nick miał okazję rozmawiać z francuskimi dygnitarzami. Zwrócił się do nich z żarliwą prośbą, by nie wycofywali się z wojny; cytował imponujące dane statystyczne na dowód, że Ameryka jest w stanie zaopatrzyć armię francuską w wystarczającym stopniu, by mogła kontynuować walkę. I choć wydawało mu się, że mówi dobrze, wszystko poszło na marne.

Resztki nadziei Churchilla na dodanie otuchy francuskim sojusznikom rozwiały się bardzo szybko. Defetyzm przesiąknął francuskich generałów i polityków jak ulewne normandzkie deszcze. Następnego dnia delegacja wróciła do Londynu. Angielscy koledzy Nicka byli w tak posepnych nastrojach, że nie odzywali się ani słowem. Churchill siedział wtulony w fotel, paląc swe nieodłączne cygaro. Nie musiał nic mówić. Wszyscy to rozumieli. Teraz, po wycofaniu się Francji z wojny, Anglia została sama.

Samolot wylądował i delegacja wysiadła. Przed zajęciem miejsca w rządowym samochodzie Churchill odwrócił się do Nicka i uściśnął mu dłoń.

- Chce ci podziękować za to, co dla nas zrobiłeś - powiedział.

- Szkoda, że nie okazałem się bardziej skuteczny.
- Nikt z nas nie miał szansy, ale mówiłeś dobrze i z serca. Doceniam to. Czy chciałbyś zostać generałem?
- Słucham? Premier się uśmiechnął.
- Zamierzam doradzić Franklinowi, by okresowo wcielił cię do armii amerykańskiej i mianował cię londyńskim *attache*. Chcę cię tu mieć, a mężczyzna bez munduru będzie wyglądać w Londynie jak szpieg albo pacyfista. Poza tym w mundurze byłoby ci do twarzy. Czy masz coś przeciw temu, że zarekomenduję twoją kandydaturę?
- Chyba nie... - odparł zaszokowany Nick.
- To dobrze. Spodoba ci się bycie generałem. To znacznie zabawniejsze niż bycie szeregowcem. I bezpieczniejsze. Wsiadł do samochodu, wciąż żując cygaro, a szofer zawiózł go pod numer dziesiąty na Downing Street.

### ***Rozdział trzydziesty szósty***

Roosevelt obawiał się nieuniknionej wrzawy, jaką wywołałoby mianowanie Nicka Fleminga - jednego z najbardziej znienawidzonych ludzi w Ameryce - generałem. Uznał jednak, że bez większych protestów mógłby go mianować pułkownikiem. Roosevelt doceniał wartość raportów, które Nick składał mu niemal codziennie. Dla Anglii wybiła niewątpliwie najczarniejsza godzina. Teraz, gdy Francja wycofała się z wojny, a Włochy brały w niej udział po stronie Niemiec, niewiele spośród neutralnych krajów dawało Anglii szansę oparcia się inwazji niemieckiej, która, zdaniem większości, była nieunikniona. Raporty, które prezydent otrzymywał od swego ambasadora, Joe Kennedy'ego, były coraz bardziej pesymistyczne. Roosevelt pragnął pomóc Anglikom, ale miał praktycznie związane ręce, przynajmniej do nadchodzących listopadowych wyborów. Dlatego też z zadowoleniem czytał kablogramy Nicka, które, w przeciwieństwie do raportów Kennedy'ego, chwaliły Anglików za jedność i determinację, nie lekceważąc przy tym grożącego im niebezpieczeństwa.

Wiedząc, że Churchill liczy na wsparcie ze strony Ameryki, w swych depeuszach Nick ponaglał prezydenta, by pospieszył Anglikom na pomoc. Wskazywał, że jeśli Niemcom uda się przejąć kontrolę nad Anglią poprzez zainstalowanie w Londynie rządu w rodzaju Vichy, wówczas Stany Zjednoczone zostaną same wobec światowej potęgi Adolfa Hitlera. Jeżeli Hitler dostanie w swoje ręce flotę brytyjską- podobnie jak usiłował to zrobić z francuską- Ameryce będzie zagrażać ogromne niebezpieczeństwo. *Gdybyśmy odmówili Anglikom broni i wsparcia, depeuszował, bylibyśmy jak człowiek, który odmawia pożyczenia gaśnicy sąsiadowi, którego dom od nawietrznej stanął w płomieniach.*

Brutalna prawda była taka, że, oprócz serdecznych życzeń i wsparcia moralnego, Ameryka nie zrobiła praktycznie nic, by pomóc Anglii, a wojna trwała już niemal od roku. Wreszcie, w połowie sierpnia, kiedy bombowce Luftwaffe zaczęły atakować Anglię, Roosevelt wydał zgodę na wysłanie do Anglii drogą morską transportu karabinów z pierwszej wojny światowej. Był to przynajmniej początek, a Nick chętnie myślał, że jego depesze przyczyniły się do zmiany stanowiska prezydenta.

Nick nie przesadzał w swoich raportach: jedność Anglików była wspaniała, niemal cudowna, w porównaniu z apatią i pacyfizmem lat przedwojennych, które sprawiły, że Hitler uznał ten naród za bezsilny. Teraz, w tej najczarniejszej godzinie, wyspa przeżywała, według słów Churchilla, swe najświetniejsze chwile, a podniecenie i nastrój buntu były zaraźliwe. Nick nie był Anglikiem, ale odczuwał to. Edwina i jej rodzina nie tylko to odczuwali, ale włączyli się do działania. Lord i lady Saxmundham przekazali okresowo Thrax Hall na użytek rządu. Ponieważ naloty bombowe na Londyn i inne miasta się nasilały, postanowiono zamienić osiemdziesięciopokojową posiadłość na dom dla dzieci osieroconych w czasie nalotów.

Edwina, dawny wamp filmu niemego i dyktatorka mody, zgłosiła się na ochotnika do pracy w Thrax Hall, oddając się do dyspozycji rządu.

Spitfire z napisem „Sylwia” wymalowanym na kadłubie wystartował z lotniska Harwell pod Oxfordem. Z maksymalnie otworzoną przepustnicą przebił się przez dwie warstwy chmur osiągając pułap trzech tysięcy metrów. Porucznik RAF-u Charles Fleming otrzymał rozkaz odszukania niemieckiego bombowca, który krążył nad południowo-wschodnim wybrzeżem Anglii mniej więcej na tym pułapie. W ciągu dwóch miesięcy czynnej służby Charles zdążył zaskarbić sobie opinię asa, który miał na koncie sześć strąceń. Teraz, gdy wyrównał lot i spojrzął w dół na olbrzymi obszar białych chmur pokrywających większą część wschodniej Anglii i Kanału, Charles z podnieceniem wyczekiwał siódmego strącenia.

Jego koledzy z RAF-u, trudno ich było nazwać przyjaciółmi, raczej kumplami, przewali go Charles Zabójca. W równym stopniu podziwiali jego chłodne, bezlitosne opanowanie, co nie lubili

zadufania Charliego; cieszył ich jego gest, ale równie mocno zazdrościli mu bogactwa; śmiali się z fanfaronady, z jaką traktował kobiety, i przeklinali jego miłosne podboje. Żaden z Anglików nie lubił Zabójcy Fleminga, ale wszyscy przyznawali, że jest „cholernym gościem”. Był też sukinsynem, który zadzierał nosa, ale na wojnie nie można wybierać towarzystwa.

Po dziesięciu minutach Charles wypatrzył prześwit w chmurach. Odłączył się od grupy, skierował się w stronę prześwitu i przeleciał. Radio zatrzeszczało.

- Trzymaj się - ostrzegła baza. - Szkop wie, że tam jesteś. Właśnie wtedy Charles dostrzegł punkcik. Wyprostował Spitfire'a

i przyjrzał się dokładnie. Był to Junkers 88, średniej wielkości dwusilnikowy bombowiec, na który pólował.

- Mam go i zbliżam się - powiedział Charles do bazy. Poziom adrenaliny w jego żyłach podniósł się wraz z rozpoczęciem

pościgu. Niebo zamieniło się w pole bitwy, gdzie stawką była śmierć w płomieniach. Jednak Charles nauczył się nie myśleć o swojej śmierci. Myślał wyłącznie o ich śmierci, o zabijaniu. Uwielbiał tę grę.

Kiedy samoloty dzieliło osiemset metrów, Junkers otworzył ogień z karabinów na górnej wieżyczce. Charles nadal się zbliżał. Pierwszą serię puścił z odległości sześciuset metrów. Bombowiec strzelał do niego ze wszystkich działek z wyjątkiem górnej wieżyczki, toteż Charles domyślił się, że pierwszą serią zabił strzelca.

Kolejna seria i prawy silnik bombowca stanął w płomieniach. Szkop wpadł w korkociąg. Charles, znajdując się w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów od bombowca, wciąż strzelał dziurawiąc kadłub kulami. Oba samoloty nurkowały w korkociągu, lecąc niemal w szyku, przebijając się w tańcu śmierci przez drugą warstwę chmur. Charles, pochłonięty strzelaniem do Junkersa, spostrzegł nagle wody Kanału niecałe sto metrów przed sobą. W panice kopnął ster i zaczął się modlić. Wiedział, że przy tej prędkości niewiele brakowało do katastrofy.

Spitfire zadrżał wychodząc z lotu nurkującego. Charles wytrzeszczył oczy na widok bliskiej wody - ocenił odległość na około sześć metrów. Znowu zaczął nabierać wysokości, kierując się na białe skały Dover. Po prawej ujrzał, jak Junkers 88 wpada do morza.

Charles zaliczył siódme strącenie.

RAF uznawał następujące reguły, według których można było zameldować o stratach przeciwnika:

1. Należy zobaczyć wrogiego pilota opuszczającego samolot w powietrzu.
2. Należy zobaczyć, jak wroga maszyna uderza o ziemię lub wodę.
3. Należy zobaczyć, jak wrogi samolot rozpada się w powietrzu na kawałki.

Strącenie Charlesa odpowiadało regule numer dwa. Jednak trzy spośród jego poprzednich strąceń były tylko przypuszczalne. Charles Fleming kłamał.

Charles Fleming kłamał w wielu sprawach, ale jedno nie ulegało kwestii: kochał wojnę, kochał związane z nią podniecenie, niebezpieczeństwo i dreszczyki. Kochał też fakt, że broń Ramschilda - jego broń, jak o niej myślał - odgrywa w tej wojnie tak znaczącą rolę. Nie martwiło go, że wielu kolegów pilotów - Amerykanów i Anglików - dokuczało mu, a czasem atakowało za to, że jest synem Nicka Fleminga, Tytana Śmierci. Nie miał nic przeciwko byciu Synem Tytana, jak go ktoś nazwał. Kiedyś zakłady Ramschilda staną się jego własnością. Kiedyś to on będzie za pan brat z generałami, admirałami i premierami, jak ojciec.

Póki co, Charles - zgodnie z tym, co pisał na kartkach, które słał do siostry w Stanach - bawił się świetnie.

Przez blisko rok Fiona Fleming nie zdradziła żadnemu z rodzeństwa prawdy o swym prawdziwym ojcu, Rodzie Normanie. W tym czasie jednak jego osoba niezwykle ją intrygowała; dziewczynka zgromadziła tak ogromną kolekcję starych artykułów i zdjęć sławnego ojca, że nie mogła się oprzeć chęci podzielenia się tajemnicą z młodszą siostrą i najlepszą przyjaciółką, Vicky. Początkowo Vicky była zdumiona, że jej najlepsza przyjaciółka Fiona jest jej przyrodnią siostrą, a nie pełną, jednak łącząca je więź była tak silna, że nie sprawiło to żadnej różnicy, a Vicky zaczęła wkrótce podzielać obsesję Fiony na punkcie zamordowanego gwiazdora.

Tajemnicza śmierć Roda stanowiła temat nie kończących się spekulacji obu sióstr, podobnie jak niewierność Edwiny w stosunku do Nicka - niewierność, której Fiona nie rozumiała w pełni, kiedy matka się jej zwierzyła, ale którą, wraz ze zdobywaniem wiedzy o życiu, pojęła z szokującą klarownością. O dziwo, żadna z dziewczynek nie miała żalu do matki. Zakazany romans, w wyniku którego



Fiona przyszła na świat, tylko dodał polotu Edwinie, i tak już olśniewającej w oczach jej dzieci.

Jednak zabójstwo Roda musiało mieć jakieś wytłumaczenie, a Vicky przekonała w końcu Fionę, by zapytać o nie ojca. Jeśli ktokolwiek znał rozwiązanie zagadki, to właśnie on. W ten też sposób Nick dowiedział się, że Edwina powiedziała Fionie prawdę.

Początkowo zareagował wściekłością. Gdy jednak spostrzegł, że prawda nie tylko nie stała się dla Fiony źródłem zaburzeń psychicznych, ale że dziewczynka jest szczerze zafascynowana Rodem Normanem, zaakceptował sytuację. W sprawie morderstwa powiedział dziewczynkom tylko tyle, że według niego morderca zamierzał zabić jego, co tylko dodatkowo rozpałiło ich ciekawość.

Głównym rezultatem kultu, jakim Fiona zaczęła otaczać Roda Normana, był fakt, że dziewczynka doszła do wniosku, że żyłkę aktorstwa ma we krwi zarówno ze strony ojca, jak i matki i, najwyraźniej, jej przeznaczeniem jest zostać aktorką. Wygląd bez wątpienia nie stanowił przeszkody. Wszystkie dzieci Flemingów były piękne, ale uroda Fiony miała pewien rys tajemniczy, który mógł stanowić zarodek gwiazdorstwa. Teraz, w wieku siedemnastu lat, uczestniczyła w próbach szkolnego przedstawienia Romea i Julii. Dostała rolę Julii i złamała serca widzów.

Czternastoletnia Vicky również uczyła się w szkole panny Porter. Główną pasją tej ładnej, pogodnej, nieskomplikowanej dziewczynki były konie. W przeciwieństwie do najstarszych dzieci Flemingów, Charlesa i Sylwii, którzy zaczęli przejawiać pewne przykre cechy, dwie młodsze siostry były lubiane przez wszystkich. Nick je ubóstwiał.

### ***Rozdział trzydziesty siódmy***

Churchill miał rację. Nick wyglądałby nie na miejscu w cywilnym ubraniu, ponieważ we wrześniu, wraz z początkiem bombardowań Londynu i innych miast podczas nalotów, które szybko zyskały nazwę *Blitz*, praktycznie wszyscy mężczyźni nosili jakieś mundury, podobnie jak wiele kobiet, toteż Nick czuł się swobodniej w mundurze amerykańskiego pułkownika. Inne zmiany, jakie dostrzegał w Londynie, były następujące:

W klubach pracowały kelnerki zamiast kelnerów.

Większość ludzi nosiła maski gazowe, a wszyscy mieli przy sobie dowody tożsamości i kartki na żywność.

W restauracjach dostawało się jedną kostkę cukru, cienki plasterek masła i niewiele gatunków sera.

Wielkie metalowe bariery i poręcze rozbierano na złom.

Po zmroku należało gasić albo zasłaniać światła pod groźbą wysokiej grzywny lub miesięcznego aresztu.

Nad miastem unosiły się balony zaporowe; w parkach porozciągano druty kolczaste, by uniemożliwić lądowanie wrogim spadochroniarzom; na skrzyżowaniach znajdowały się schrony, a między pasami szos biegły betonowe bariery.

Zakazano posiadania radia w samochodach.

Mimo to życie w mieście płynęło z uporczywą beztróską, która wściekłaby Hitlera, spodziewającego się, że Anglicy będą błagać o pokój za wszelką cenę. W porze lunchu hotele były pełne, a nieliczne teatry grały przy pełnych salach.

Dla Nicka było to niewiarygodne

i pocieszające. Był zakochany w Londynie; podnieceniem napełniało go życie w mieście, w którym go lubiano i podziwiano, w przeciwieństwie do Nowego Jorku, gdzie prasa bez przerwy wieszała na nim psy.

Został „zaadoptowany” przez wielu wysokich oficerów z naczelnego dowództwa i właśnie na koktajlu wydanym przez niejakiego generała Haddington-Smythe'a, w jego mieszkaniu przy Belgrave Square, nie opodal miejskiego domu lorda Saxmundham, poznał Margaret.

Mieszkanie było pełne umundurowanych mężczyzn i kobiet, którzy pili i palili, toteż powietrze niemal się nie nadawało do oddychania. Nagle zawyły syreny. Ze spokojną obojętnością ludzi przywykłych -i znudzonych - prawie conocnymi nalotami, goście wyszli w zdyscyplinowany sposób, zabierając ze sobą drinki, i udali się do najbliższego schronu znajdującego się na stacji metra, gdzie podjęli przerwane rozmowy. Nick zauważył ją już w mieszkaniu: niezwykle pociągająca kobieta w wieku może dwudziestu pięciu lat, w mundurze sierżanta Kobięcych Pomocniczych Oddziałów Lotnictwa. Szczupła, miała kasztanowe włosy, niebieskie oczy, uroczą różową cerę i co najmniej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Gdy w górze dudniły bomby i grzechotały karabiny przeciwlotnicze, Nick przeciskał się do niej przez tłum.

- Czy masz coś przeciw temu, by samotny Amerykanin przeczekał nalot w twoim towarzystwie?

- Bynajmniej. Byłeś na przyjęciu, prawda?

- Owszem. Jestem Nick Fleming. Otworzyła szeroko oczy.

- Chyba nie ten Nick Fleming? Potentat zbrojeniowy?

- Moja sława mnie wyprzedza.

- Ależ to strasznie podniecające. Jeszcze nigdy nie spotkałam amerykańskiego milionera. Czy to nie wspaniale być tak bogatym?

Nick zaśmiał się z jej otwartości.

- Nie w chwili płacenia podatku.

- Och, ale to chyba frajda, w każdym razie przez jeden dzień. Sumienie nie pozwalałoby mi cieszyć się tym dłużej. W ten jeden dzień weszłabym do Harrodsa i kupiła wszystko, co wpadłoby mi w oko. Potem poszłabym do Fortnuma, wykupiła całą czekoladę i jadłabym tak długo, aż by mnie rozsadziło.

- Rozumiem, że lubisz czekoladę?

- Szaleję za nią. To dziwne, że nie jestem gruba jak świnia i obsypana wypryskami. A, tak przy okazji, jestem Margaret Kingsley. Pracuję jako sekretarka generała-majora Farnleya w departamencie wojny.

- Tak, poznałem go. Wygląda sympatycznie.
  - Jest miły, ale za dużo pali. Mówię mu, że to go doprowadzi do grobu, ale on nie lubi tego słuchać.
  - Mogę to sobie wyobrazić. Może po nalocie zechcesz zjeść ze mną kolację u Claridge'a?
- Wyraz twarzy Margaret nieco ochłodził.
- O Boże - westchnęła. - Wy, Amerykanie, jesteście tacy drapieżni. Zupełnie jak wasze filmy. Chyba powinien pan wiedzieć, panie Fleming, że jestem szczęśliwą mężatką, mój mąż jest porucznikiem w marynarce i nie zamierzam go martwić pokazywaniem się w drogich restauracjach z zabójczo przystojnym amerykańskim milionerem. Dlatego dziękuję panu, panie Fleming, ale mam w domu resztę cynaderek w cieście, którymi się w zupełności zadowolę, nawet bez steku.
  - Nie miałem zamiaru być drapieżny. Ja też jestem szczęśliwy w małżeństwie. Ja tylko... - Wzruszył ramionami. - Czuję się samotny.
- Ponad ich głowami rozległ się gigantyczny wybuch. Światła w schronie ściemniły się, a z sufitu opadł kurz. Margaret zbladła i podniosła wzrok.
- Ta o mały włos nie wpadła na schody do metra - mruknęła. - Byłoby głupio, gdyby Niemcy robili się w tej zabawie coraz lepsi.
  - Lubię cynaderki w cieście - nalegał Nick. - Nawet bez steku. Spojrzała na niego z lekką nerwowością.
  - Ale, tak serio, nie próbujesz... czegoś zacząć? - spytała.
  - Może przyjaźń - odparł z uśmiechem. Zawahała się patrząc mu w oczy.
  - Mam bajzel w mieszkaniu - powiedziała. - Nawet kiedy jest czyste, to i tak nic wielkiego. Ostrzegam cię, że nie pozwolę, żebyś zadzierał swego milionerskiego nosa. Mam też nadzieję, że nie masz alergii na koty, bo nie wyrzucę Maybelle dla nikogo, a w szczególności dla potentata zbrojeniowego.
  - Masz mi za złe, że jestem bogaty? Margaret zaśmiała się.
  - Naturalnie, że mam! Jestem cholerną socjalistką. Nick wyglądał na zdziwionego.
  - Ach, tak. Wobec tego może...
  - Nie. nie. nie ma mowy - przerwała mu. - Teraz się nie

wycofasz. Zaciągnę cię do swego ponurego mieszkania klasy pracującej, ugoszczę cię paskudnym posiłkiem klasy pracującej i zanudzę na śmierć opowieściami o potwornościach kapitalizmu.

Dobry Boże, w co ja wdepnąłem? - pomyślał.

Nickowi Flemingowi nigdy nie przyszło na myśl, że socjalistki mogą być seksowne.

Mieszkała na Earl's Court, a jej mieszkanie nie było ani ponure, ani w typie klasy pracującej. Mieściło się na pierwszym piętrze ceglanego domu wzniesionego, jak domyślał się Nick, w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, a na drzwiach wyryto ciężkimi, wiktoriańskimi literami napis „Chatham Mansions”. Zdjąwszy rolety zaciemniające, Margaret zapaliła lampę; w świetle ukazał się wysoki pokój, którym lady Mendl pewnie by wzgardziła, ale który był na swój sposób wesoły i wygodny.

- Oto moja Maybelle! — zaszczębiotała, gdy duży, wrednie wyglądający czarny kot zamiauczał głośno, przebiegł przez pokój i wskoczył w otwarte ramiona swojej pani. - Czyż nie jest piękna? Radzę ci, bądź dla niej miły. Jeśli nie spodobaś się Maybelle, może rzucić na ciebie urok. Maybelle, to jest pan Fleming. Przywitaj się.

Maybelle miauknęła.

Nick rozglądał się po pokoju, pełnym starych mebli w stylu klasy średniej, włącznie z pluszową sofą zawaloną czasopismami i książkami. Ściany były pokryte wesołą, tanią, okropnie poplamioną tapetą w róże. Po jednej stronie pokoju stało sfatygowane pianino, a na nim sterta nut. Stała też tam oprawiona fotografia przystojnego młodego mężczyzny w mundurze marynarki wojennej.

- To mój Johnnie - powiedziała, wypuszczając kota z objęć. - Czy nie jest absolutnie zabójczy? Poznałam go w zeszłym roku w Londyńskiej Szkole Ekonomii na kursie historii związków zawodowych i zakochałam się na zabój. Teraz pływa na niszczycielu, ale nie wolno mi mówić gdzie.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem?

- Od dwóch miesięcy - odparła nonszalancko. - Jak widzisz, jestem beznadziejną gospodynią. Mój ojciec był pastorem w Lincolnshire, do przesady schludnym, podobnie jak matka. Wychowałam się na plebanii, gdzie każda szpilka miała swoje miejsce. Ten potworny, niechlujny bałagan to mój bunt. To i socjalizm. Może sie napijesz?

Mam trochę włoskiego czerwonego wina, które rozpuści ci wnętrzności.

- Brzmi zachęcająco.

Patrzył, jak dziewczyna idzie do maleńkiej kuchni. Jeden drink i spadam stąd, myślał. Jest przepiękna, ale równie szajbnięta jak to mieszkanie.

Wróciła z butelką i dwoma kieliszkami do wina.

- Czy to nie było cudne przyjęcie? - spytała, nalewając wino. - Ale Adolf musiał je oczywiście zepsuć swoimi cholernymi bombowcami. Czy jest ktoś bardziej bezczelny niż faszyci? Na zdrowie. - Uniosła kieliszek, wypła łyk i skrzywiła się. - Boże, co za paskudztwo. Smakuje jak środek dezynfekujący dla owiec.

- Opadła na wytarte, nadmiernie wypchane krzesło. - Gdzie jest twoja żona?

- Na wsi. Jej rodzice wypożyczyli swój dom rządowi, a Edwina pomaga opiekować się dziećmi osieroconymi w czasie nalotów.

- To bardzo ładnie z jej strony. Wszyscy musimy się włączyć.

- Zawahała się. - Obejrzałam tę zapiekankę z nerek. Wygląda na trochę... podstarzałą. Chyba nie dam jej nawet Maybelle. Wybaczysz mi?

Dzięki Bogu, pomyślał.

- Oczywiście. Zjem w hotelu.

- Mogę usmażyć omlet! Naprawdę robię dobre omlety.

- Nie, serio, dopiję wino i wrócę do hotelu. Ze śmiechem wstała z krzesła.

- Mój ty biedaku, ciągnę cię aż do Earl's Court, a tu nie ma kolacji. Usmażę omlet w sekundę... a ponieważ jestem taką fatalną gospodynią, nie powiem ani słowa o kapitalizmie.

- A zatem przed tym wieczorem otwiera się jeszcze jakaś nadzieja.

- Możesz nakryć do stołu. Po prostu zepchnij ten cały chłam na sofę. - Pokazała mu okrągły drewniany stół stojący pod zaciemnionym oknem, po czym zniknęła w kuchni.

Nick pozbiierał ze stołu czasopisma, zauważając, że dotyczą głównie świata muzyki.

- Interesujesz się muzyką? - zawołał, rzucając je na sofę.

- Szaleję na jej punkcie. Jako mała dziewczynka marzyłam o karierze pianistki koncertowej. Chciałam dawać wielkie, sensacyjne koncerty w Albert Hall, otrzymywać gromkie brawa, wszystkie te cudowne, romantyczne bzdury.

- I co się stało?

Stała w drzwiach kuchni z dwoma białymi porcelanowymi talerzami.

- Okazało się, że mam fatalną pamięć. Naprawdę fatalną. Gram dla ludzi i nagle mam pustkę w głowie. A zatem, żegnajcie sale koncertowe. Oto i omlet.

Omlet był doskonały, a podczas kolacji Margaret paplała wesoło i ciekawie, wypytując o Amerykę. Uznał, że dziewczyna ma umysł sroki, zainteresowany różnymi sprawami, i jest prawdziwą cyganką w tym sensie, że kwestie ważne dla większości kobiet, jak małżeństwo, zajmowanie się domem i tym podobne mają dla niej niewielkie znaczenie. Nigdy jeszcze nie poznał kobiety takiej jak ona i stwierdził, że pomimo wcześniejszych obaw, świetnie się bawi.

- Zagraj coś dla mnie - poprosił, kiedy skończyli omlet i wino.

- Lubisz muzykę?

- Nie znam się specjalnie na dobrej muzyce, ale z rozkoszą posłucham, jak grasz.

Zawahała się, potem wstała i podeszła do pianina.

- Muszę zagrać coś cichego. Moja gospodyni, pani Clark, mieszka przede mną i nie lubi muzyki po dziewiątej. Wiem, trzynasty mazurek. To naprawdę jeden z najbardziej romantycznych utworów Szopena, jest równie piękny jak nokturny, które wszyscy grają do znudzenia.

Wzięła z pianina zeszyt z nutami, rozłożyła go na podpórce, po czym usiadła. Przez chwilę rozcierała palce, w końcu zaczęła grać. Ciche, otwierające akordy były niczym promienie księżyca. Potem melodia, tak powściągliwie elegancka, z cudownymi arabeskami przypominającymi pajęczą nić, obmyła magią uszy Nicka. Siedział oczarowany. W połowie krótkiego utworu wstał od stołu i cicho podszedł do pianina. Twarz Margaret uległa przemianie, skupienie na muzyce rozwiało całą wesołą ekscen-triczność jej osobowości, pozostawiając czystą poezję pięknych rysów.

Kiedy skończyła grać mazurek, którego końcowe akordy roztopiły się w ciszy jak maleńkie diamenty tonące w czarnej toni, przez chwilę siedziała bez ruchu. Potem podniosła wzrok na Nicka. Zapragnął unieść ją ze stolka w namiętym uścisku. Co więcej, miał wrażenie, że Margaret pragnie tego samego.

- Lepiej już idź - powiedziała cicho. - Muzyka robi ze mną dziwne rzeczy. Nie chcę zrobić czegoś, czego rano bym żałowała.

Właśnie wtedy zawyły syreny.

- Cholera! - jęknęła. - Dwa naloty w ciągu jednej nocy? Czy ten Hitler zdaje sobie sprawę, że jest skończonym nudziarzem?

Wstawała od pianina, kiedy po drugiej stronie ulicy eksplodowała bomba. Chatham Mansions zatrzęsł się w posadach, a z okien posypało się szkło. Margaret krzyknęła.

- Połóż się! - wrzasnął, łapiąc ją i pociągając na podłogę. Na ulicy wybuchła kolejna bomba. Zgasły światła.

- Trafiają w nas! - krzyknęła. - Zginiemy! O, mój Boże... Przytulił ją do siebie w oczekiwaniu, że mieszkanie wyleci w powietrze. Podmuchał z wałków rolety zaciemniające i Nick widział, że budynek po przeciwnej stronie ulicy płonie jak otchłań piekła - czyste trafienie. Rozległy się syreny wozów strażackich i karettek pogotowia, a wtórowały im wybuchy bomb. Muzyka dwudziestego wieku zagłuszyła mazurek Szopena. Margaret drżała ze strachu, a Nick czuł na policzku jej ciepły oddech. Pocałował ją w usta. Odwzajemniła pocałunek; strach roztopił się w pożądaniu. Przez blisko minutę leżeli objęci na podłodze, całując się gorąco, podczas gdy blask płomieni z drugiej strony ulicy gniewnie lizał tanią tapetę w różę. Wreszcie Margaret odepchnęła go i usiadła, poprawiając włosy.

- To obsceniczne - powiedziała. - Nie możemy się kochać podczas nalotu.

- Dlaczego?

- To chyba nie jest... nie wiem... patriotyczne.

- Zrobimy to dla Anglii. Chodź... gdzie jest sypialnia?

Wstał i wziął ją za rękę. Przez chwilę patrzyła bojaźliwie, po czym wstała.

- Cóż, przecież nie możesz wyjść podczas nalotu, prawda? - powiedziała prowadząc go przez pokój do drzwi obok kuchni, otworzyła je i weszła. Szyba w jedynym oknie sypialni także wyleciała podczas wybuchu, a blask pożaru po przeciwnej stronie ulicy oświetlił pokój tak zawałony ubraniami, że można by sądzić, że i tutaj wpadła bomba. W milczeniu zdjęli mundury, a potem, nadzy, spojrzeli na siebie. Blask płomieni lizał skórę jej wysokiego, szczupłego ciała, oświetlając dwie zadziwiająco duże piersi. Nick



podszedł do niej i wziął w objęcia, głaszcząc plecy Margaret silnymi dłońmi.

- To jak z Wagnera, prawda? - szepnęła. - Bomby, Walhalla płonie... to nawet podniecające.
- Ty jesteś podniecająca - szepnął pociągając ją na nie pościelone łóżko.
- Zapomniałam nakarmić Maybelle.
- Do diabła z Maybelle.
- Rzuci na ciebie urok. Ona potrafi czarować.
- Ty też - szepnął. - Rzuciłaś na mnie urok. Zaczął całować jej piersi.

### ***Rozdział trzydziesty ósmy***

Peter Chadwick miał dziesięć lat. Ojciec Petera pracował jako robotnik portowy w dokach na londyńskim East Endzie. Rodzina zajmowała nędzne, trzypokojowe mieszkanie niedaleko Whitby Pub, gdzie trzy wieki wcześniej Samuel Pepys wypijał Ale, by potem wracać do domu i pisać dziennik. W nocy 20 września 1940 roku matka, ojciec i dwie młodsze siostry Petera zginęli, kiedy dom runął podczas jednego z najcięższych londyńskich nalotów zaplanowanych przez Góringa. Peter przeżył tylko dlatego, że gdy bomba trafiła prosto w dom, znajdował się na zewnątrz w wygodce. Osierocony i bez grosza w wieku dziesięciu lat, został wysłany przez rząd do Thrax Hall, gdzie miał przeczekać wojnę.

Ze wszystkich czterdziestu trzech sierot przebywających w Thrax Hall, Peter Chadwick najbardziej poruszył Edwinę. Naturalnie wszystkie dzieci były smutne, ale blada, anielska twarz Petera w jakiś sposób roztopiła jej serce. Za własne pieniądze kupowała dla dzieci wszystkie zabawki, jakie wpadały jej w ręce; pokój bilardowy przerobiła na pokój zabaw. Gdy odkryła namiętność Petera do balonów, kupiła mu wielki i czerwony. Był tak zachwycony, że po raz pierwszy od przybycia do Thrax Hall Edwina ujrzała, jak twarz rozjaśnia mu się w uśmiechu czystej radości, a doznanie to stanowiło jedną z największych przyjemności jej życia. Dawna królowa filmu niemego wreszcie się odnalazła. Zniknęły niepokój, nuda i pragnienie buntu. Wojna, która wydobywała z wielu najgorsze cechy, z wielu również wydobywała najlepsze, a Edwina należała do tej drugiej kategorii. Czuła się potrzebna i użyteczna; całą energię poświęcała na to, by możliwie jak najbardziej uszczęśliwić swoich czterdzieści troje podopiecznych.

Nie posiadając oficjalnej nominacji, podjęła się kierowania Thrax Hall - po prostu nie było nikogo innego. Wynajęła dietetyka, zamawiała jedzenie, zarządzała rozmieszczaniem dzieci w dziesiątkach pokoi wspaniałej osiemnastowiecznej posiadłości, organizowała dzienny rozkład zajęć, wynajęła miejscowych, głównie emerytowanych nauczycieli, by dawali lekcje, jedną klasę uczyła sama, organizowała zabawy, pikniki, jazdy konno - krótko mówiąc, została mamą czterdziestu trojga dzieci. Było to wyczerpujące, ale Edwina z radością pełniła swe obowiązki. Większość posiłków jadła razem z dziećmi, otulała je do snu, często opowiadała bajki na dobranoc, a potem, o dziesiątej jechała na rowerze pięć kilometrów do domu w Audley Place, gdzie padała na łóżko, nastawiając budzik na szóstą. Jej normalne życie odbywało się w weekendy, kiedy Nick przyjeżdżał z Londynu, ale nawet wtedy spędzała kilka godzin dziennie w Thrax Hall.

Nick nigdy nie omieszkał przywieźć jej z Londynu prezentu - a to kapelusz, a to nową książkę, puszkę kawioru, którą kupił od kierownictwa hotelu Claridge'a - podczas gdy brakowało podstawowych artykułów takich jak masło, cukier czy kawa, w wojennym Londynie była zdumiewająca obfitość wyrobów luksusowych. Przywoził prezenty, ponieważ ją kochał, nie dlatego, że czuł się winny z powodu związku z Margaret Kingsley, który, w charakterystyczny dla siebie wygodny sposób uważał za usprawiedliwioną odskocznnię od stresu związanego z nalotami. Jeśli Edwina coś podejrzewała, wołała tego nie zauważać. Zdążyła pogodzić się z jednostronną moralnością Nicka. Kochała go mimo wszystko; była tak szczęśliwa widząc go podczas weekendów, że nie miała zamiaru psuć szczęścia walką, w której - dobrze o tym wiedziała - i tak by poniosła klęskę.

W trzeci weekend października Nick przywiózł Edwinie inny prezent: syna. Charles dostał trzydniową przepustkę, zjadł z ojcem kolację u Claridge'a, a potem razem pojechali do Audley Place. Nick żywił mieszane uczucia w stosunku do syna i dziedzica. W zrozumiałym sposób był dumny z wojennych wyczynów Charlesa jako asa lotnictwa, jednak wspomnienie tamtej nocy w nowojorskim mieszkaniu wciąż nie dawało mu spokoju. Sto razy od tamtej pory zadawał sobie pytanie, czy jego podejrzenia są słuszne, czy nie. Tak czy inaczej, ojciec przegrywał, ponieważ jeśli Charlesa i Sylwię łączył kazirodczy związek, to przecież jego - jego! - dzieci dopuściły się

czegoś, co uważa za ohydny zbrodnię. Jeśli nic między nimi nie było, to znaczy, że niepotrzebnie rozdzielił rodzeństwo. Podczas gdy Charles najwyraźniej uwielbiał życie w Oxfordzie, małżeństwo Sylwii z Chesterem Hillem było dalekie od ideału, i Nick doskonale o tym wiedział. Problem polegał na tym, że Nick nie ośmielał się dążyć do prawdy w obawie, że mógłby ją odkryć; często zastanawiał się, czy nigdy jej nie pozna.

Charles, zabójczo przystojny w mundurze RAF-u, kipiał od wojennych opowieści. Urodzony gawędziarz, nie przejmujący się wiernością wobec faktów, raczył rodziców opowieściami o eskadrze i o swoich heroicznym pojedynkach powietrznych. Z całą otwartością młodzieńczego wieku paplał podczas koktajlu, praktycznie nie dopuszczając Nicka ani Edwiny do głosu. Później, gdy usiedli do kolacji w jadalni, przeszedł od opowieści wojennych do swych podbojów miłosnych, w której to materii Charles nigdy nie wykazywał skromności. Kiedy pani Dabney podała wyśmienitą zupę z warzyw uprawianych w ogrodzie, Charles rozpoczął historię uwiedzenia barmanki.

- Doprawdy, Charles - powiedziała Edwina, na wpół rozbawiona. - Nie wątpię, że jesteś darem Boga zesłanym kobietom, ale czy nie mógłbyś nam oszczędzić tych szczegółowych opisów?

- Ależ mam, poczekaj, nie usłyszałaś jeszcze najlepszego. - Uśmiechnął się do Nicka. - Ojcu też się to spodoba. Mam w Londynie dziewczynę. Jest sierżantem w Kobięcych Pomocniczych Oddziałach Lotnictwa. Szalona brunetka. Jej mąż służy w marynarce, ale to jej nie przeszkadza dobrze się bawić. Mieszka na Earl's Court. Nick o mały włos nie zakrztusił się zupą.

- Pracuje w departamencie wojny dla generała-majora Farnleya i nazywa się Margaret Kingsley. Spotkałeś ją kiedyś, tato? - Uśmiechnął się.

Nick patrzył na syna. Ten sukinsyn wie! - pomyślał.

- Chyba nie - odparł.

Tato, czy mógłbyś mi pożyczyć tysiąc funtów? - spytał Charles godzinę później wchodząc do biblioteki z cygarem i brandy. - W koszarach idzie ostry poker, a ostatnio szczęście mi nie dopisuje. Mam długi, które chciałbym spłacić.

Nick i Edwina, którzy pili kawę, wymienili spojrzenia.

- Kochanie, czy myślisz, że to dobry pomysł grać o tak wysokie stawki? - spytała Edwina.

- Och, daj spokój, mamó, żyjemy w dużym napięciu. Poker pozwala zapomnieć o wojnie, to naprawdę jest nam potrzebne.

- Wiem, ale tysiąc funtów! To pięć tysięcy dolarów, duża suma jak na przegraną w karty. Jestem pewna, że są chłopcy, którzy nie mogą sobie na coś takiego pozwolić.

- To ich zmartwienie. Ja mogę sobie pozwolić. A w każdym razie ojciec. Wszyscy wiedzą, że Ramschild zbija na tej wojnie majątek, prawda, ojczu? Twoje wpływy muszą przypominać zyski Fort Knox.

Nick spojrzał lodowato na uśmiechniętego syna.

- Owszem, zarabiam pieniądze - powiedział spokojnie.

- No to chyba nie pożałujesz mi tysiąca funtów na karty? Powiedzmy, że to sto pięćdziesiąt funtów za każdy szkopski samolot, który zestrzeliłem. To chyba tanio. - Zaśmiał się, ogrzewając w dłoniach brandy.

- Pozwolę wam się rozmówić po męsku - powiedziała Edwina wstając z sofy. - Jestem wykończona. Dobranoc, kochanie. - Pocałowała syna w policzek. - Jesteśmy z ciebie strasznie dumni, ale naprawdę nie sądzę, że powinieneś posługiwać się swoimi osiągnięciami wojennymi w przetargach z ojcem. To nie wydaje się... właściwe.

- Och, mamó, to tylko gra. - Zaśmiał się Charlie. - Właściwie cała wojna to gra.

- Dla moich dzieci to nie gra - odparła chłodno Edwina i wyszła z pokoju.

- Mama robi wspaniałą rzecz z tymi dziećmi, co? - powiedział Charlie, kiedy wyszła. Usiadł na krześle, kręcąc brandy w kieliszku. - Naprawdę jestem z niej dumny, a ty, tato? Oczywiście ty też robisz wspaniałe rzeczy. To znaczy, w Londynie. Margaret opowiadała mi, że właściwie uratowałaś jej życie, kiedy podczas *Blitzu* bomba trafiła dom naprzeciwko.

- Czy ty próbujesz mnie szantażować? - spytał cicho Nick.

- Och, daj spokój, tato, szantaż to takie brzydkie słowo. - Charles się uśmiechnął. - Jestem twoim synem. Nie szantażowałbym rodzzonego ojca, czemu miałbym to robić? Myślę tylko, że to zabawny zbieg okoliczności, że mamy tę samą dziewczynę. - Zaciągnął się cygarem.

- Dlaczego Margaret mi nie powiedziała? - spytał Nick.

- Nie wiedziała, że jesteśmy spokrewnieni. Opowiadała mi właśnie, jak poznała pewnego romantycznego potentata zbrojeniowego, kiedy powiedziałem: „Hej, to mój stary! Myślałem, że zemdleje. Margaret to miła dziewczyna. Ma chyba słabość do Flemingów. - Zachichotał. - W każdym razie nic się nie martw, potrafię zachować dyskrecję. Podziwiam cię, masz doskonały gust, jeśli idzie o kobiety. Mogę mieć tylko nadzieję, że w twoim wieku będę miał takie wzięcie u kobiet. Naturalnie, matka może nie podzielać tej opinii. -Upił łyk brandy.

Nick przeszedł przez pokój, wyrwał kieliszek z dłoni Charlesa i chlusnął mu alkoholem w twarz.

- Hej! - wrzasnął Charles.

Nick chwycił syna za kłapy marynarki i poderwał go z krzesła.

- Słuchaj - powiedział cicho. - Jesteś moim synem i kocham cię. Ale wcale cię nie lubię, Charles. Jesteś cholernie zepsuty i guzik mnie obchodzi, jakim to jesteś wojennym bohaterem. Pewnie latasz i narażasz się na ryzyko tylko po to, żeby się na mnie odegrać, tak?

- To nieprawda!

- Akurat! W przeciwnym razie nie próbowałbyś na mnie tego szantażu, bo to jest szantaż. Wcale mi się to nie podoba. Dlaczego mnie nienawidzisz?

- To nieprawda! Jesteś moim ojcem, kocham cię! Ja... - Zaczął płakać. - Chcę być taki jak ty... Myślę... tylko że... - Usiłował stłumić łkanie. Nick puścił go i Charles opadł z powrotem na krzesło.

- Tylko że co?

- Tylko że nie wiesz, co to znaczy, być synem człowieka, którego gazety nazywają „handlarzem śmierci”. - Spojrzał na ojca zaczerwienionymi oczami. - Niektórzy ludzie z mojej eskadry nawet nie chcą ze mną rozmawiać, bo uważają, że to ty wywołałeś tę wojnę.

- Wywołałem? Kto, do diabła, próbował przez ostatnie sześć lat obudzić Amerykę, przestrzegając przed groźbą faszyzmu? Ja!

- Ale oni tego nie wiedzą! Wysłuchują tych wszystkich historii od amerykańskich lotników. Muszę być cholernym bohaterem, żeby zneutralizować twoją niesławę!

Nick przyglądał się synowi.

- Jeśli to tak dużo dla ciebie znaczy, sprzedam zakłady.

- Nie! - krzyknął Charles. - Ja je chcę! To znaczy, kiedyś będą moje! Po prostu teraz... trudno jest być synem Nicka Fleminga.

Wyjął chustkę i zaczął ocierać brandy z twarzy.

- Nie jest łatwo być ojcem Charlesa Fleminga - powiedział Nick. - Dobrze, będę z tobą szczery. Mówisz, że chcesz Ramschilda. Zgoda, zatrzymam go dla ciebie. Ale skoro mam to zrobić, muszę coś o tobie wiedzieć. Charles, nigdy nie sądziłem, że odważę się zapytać. Czy kiedykolwiek dotykałeś Sylwii... seksualnie?

Twarz jego syna wykrzywiła się w gniewie.

- A więc tak myślisz! - Niemal krzyknął. - Co za ohydna insynuacja! I kto to mówi? Ty, który pieprzysz Margaret Kingsley za plecami matki! Możesz iść do diabła z tym kłamstwem, bo to jest kłamstwo! Nigdy nie zrobiłem nic z moją siostrą, nigdy! Ale nie myśl, że nie wiem, że właśnie dlatego wysłałeś mnie do Oxfordu. Masz brudne myśli! Dlatego cię nienawidzę! To kłamstwo!

Krzyczał, niemal w szale. Nick zdusił mdłości. Podszedł do masywnego biurka z orzecha włoskiego, usiadł i wyjął książeczkę czekową.

- Zrobię coś lepszego, zamiast ci pożyczyć tysiąc funtów, Charles - powiedział, wyjmując pióro z malachitowej podpórki. - Wypiszę ci czek na dwa miliony dolarów. Potem nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Charles patrzył na niego zdumiony.

- Dlaczego?

- Ponieważ zbyt usilnie zaprzeczasz, a to, co zrobiłeś z Sylwią, przyprawia mnie o mdłości.

Charles wstał z krzesła.

- Ojczy... - szepnął. - Nie rób mi tego... Ale Nick już wypisywał czek.

- Powiem matce o Margaret Kingsley! - krzyknął. - Powiem jej, jaki z ciebie dwulicowy drań!

- Ona już wie - odparł Nick podpisując czek. - Nie kłopotz się mówieniem jej o Margaret Kingsley. Sam jej powiem. Teraz.

Wydarł czek, wstał, przeszedł przez pokój i wręczył go synowi, który stał z czerwoną twarzą.

- Żegnaj Charles - powiedział i wyszedł.

Nick, nie możesz! - krzyknęła Edwina pięć minut później. Nick poszedł na górę do sypialni i opowiedział żonie, co się stało. - Charles jest naszym synem! Niezależnie od tego, jak okropnych rzeczy się dopuścił, daliśmy mu życie, nie możemy tak po prostu wręczyć mu czeku i powiedzieć żegnaj. To nasz syn.

- Edwino, czy myślisz, że chciałem to zrobić? Ale on wyrósł na spiskującego potwora. Próbował mnie szantażować, mnie, własnego ojca!

Edwina, ubrana w różową koszulę nocną, siedziała na krawędzi łóżka.

- Czy poszło o tę kobietę, o której mówił? - spytała cicho. Nick, który dotąd chodził po sypialni, teraz stanął i spojrzał na żonę.

- Tak. Zdradziłem cię, a on się dowiedział.

Odwróciła twarz. Podszeł, usiadł obok Edwiny i otoczył ją ramieniem.

- Przepraszam, kochanie - powiedział cicho. - Zawsze cię kochałem, ale nigdy nie byłem idealnym mężem. Skarzyłaś się zawsze, że wyznaję podwójną moralność, że mogę cię oszukiwać, ale ty nie, i że to niesprawiedliwe. Miałaś rację, przyznaję. Przepraszam cię z całego serca. Byłaś znacznie lepszą żoną niż ja mężem.

Spojrzała na niego i westchnęła.

- Cóż, przynajmniej to przyznałeś, po tylu latach. - Zmusiła się do uśmiechu. - To chyba jakieś moje zwycięstwo. Ale to pyrrusowe zwycięstwo, jeśli mamy stracić syna.

- Edwino...

- Poczekaj. Nie staram się bronić Charlesa. Pewnie wszystko, co o nim mówisz, jest prawdą, co nie przynosi chwały żadnemu z nas. Ale o co, na Boga, toczy się ta potworna wojna, jeśli nie o... rodziny? Och, wiem, że to uproszczenie, że w grę wchodzi wiele spornych kwestii światowych, ale kiedy pracuję z dziećmi w Thrax Hall, ta wojna oznacza dla mnie tylko rodziny, które zostały zniszczone, porozbijane przez głupie bomby, dzieci, które nigdy więcej nie zobaczą rodziców. Nie możemy rozbijać naszej rodziny, prawda? Tylko dlatego, że nasz syn nie jest taki, jak byśmy chcieli? Dotychczas mieliśmy szczęście, nikt z nas nie zginął. Ale co by było, gdyby Charles został zestrzelony w przyszłym tygodniu, a przecież to możliwe? Jak byśmy się czuli?

- Dopuścił się kazirodztwa!

- Skąd wiesz?



- Wiem. Kiedy go oskarżyłem, wychodził ze skóry, żeby zaprzeczyć. Edwino, tak jak wiem, że cię kocham, wiem, że jest winny. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia. Bóg wie, że nie jestem święty, wystarczy, że poczytasz gazety. Ale to, co on zrobił... - Pokręcił głową.

- Nick, jeżeli mnie kochasz...

- Nie ma żadnego „jeżeli”.

- W małżeństwie zawsze jest jakieś „jeżeli”. Oszukałam cię jeden raz, wiele lat temu i wybaczenie mi zabrało ci wiele czasu. Ja przymykałam oczy na twoje zdrady i wybaczam ci je, bo kocham cię bardziej... chyba bardziej niż siebie. Ale teraz stawiam to na ostrzu noża. Jeśli mnie kochasz, daj Charlesowi jeszcze jedną szansę.

- Nie mogę, do cholery!

- To twój syn!

- Gdyby twój syn był mordercą, czy nadal byś go kochała?

- Tak, musiałabym.

Wstał, potrząsając w rozterce głową. Patrzyła, jak podchodzi do okna i wygląda na dwór. Po chwili powiedział:

- Pomyślę o tym, Edwino. Pomyślę o tym.

Przez pewien czas milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Potem Edwina wstała z łóżka, podeszła do męża, wzięła go za rękę i pocałowała w policzek.

- Życie z tobą było cudowne, kochany - szepnęła.

Spojrzał na jej wciąż piękną twarz, otuloną światłością lampy. Mimo że był rozdarty przez gniew i udękę z powodu syna, nigdy nie kochał żony bardziej niż w tej chwili. Objął ją i mocno przytulił.

- A ty dałaś mi najlepsze chwile mego życia - szepnął jej do ucha, całując je.

To cholerne kłamstwo! - krzyknęła żarliwie Margaret dwie noce później. - Nigdy nie kochałam się z twoim synem! Jak on śmie mówić coś takiego?!

- A co się wydarzyło? - spytał Nick. Pili herbatę w mieszkaniu Margaret, w którym wprawiono nowe okna.

- Poznałam go w ministerstwie lotnictwa, gdzie dostarczał jakieś dokumenty swojej eskadry. Potem spotkaliśmy się znowu na lunchu, kiedy spytał, czy może się przvsiaść, a ja się zgodziłam.

To było dwa dni po twojej wizycie tutaj, a ponieważ był Amerykaninem, spytałam, czy cię zna. Naturalnie byłam zdumiona, kiedy powiedział, że jesteś jego ojcem, wcześniej nie dosłyszałam jego nazwiska, ale zapewniam cię, że nie powiedziałam mu, że się kochaliśmy, ani nie kochałam się z nim. Kocham męża, a to, że wygłupiłam się z tobą, nie oznacza, że robiłam cokolwiek z innymi. Mam ochotę udusić tego twojego syna!

- Wobec tego domyślił się - powiedział Nick. - Posłużył się tym domysłem, żeby mnie szantażować.

- Szantażować? Skinął głową.

- Mój syn niezupełnie przypomina Alberta Schweitzera. Wiele w tym mojej winy, w dzieciństwie rozpuściłem Charlesa jak dziadowski bicz. Nie wiem wcale, czy postąpiłem słusznie, wyrzucając go ze swego życia. Moja żona jest zrozpaczona i robi wszystko, żeby nas pogodzić, tylko że on zrobił coś, czego nigdy nie zdołam wybaczyć.

- Co?

- Nie mogę ci powiedzieć. Nigdy nikomu nie powiem. Ale to jest tu, w mojej głowie, i zabiło całą moją miłość do niego. A naprawdę go kochałem.

Zamilkł, a Margaret ujrzała w jego oczach łzy. Podeszła i wzięła go za rękę.

- Przykro mi - powiedziała.

- Nie chciałem zdręzczać cię swoimi kłopotami - powiedział. - Ale musiałem z tobą porozmawiać. Musiałem dowiedzieć się prawdy o Charlesie i tobie.

- Cóż, twój syn jest przystojny, ale nie tak przystojny jak ojciec. - Nachyliła się i pocałowała go w czoło. - Chcesz zostać na noc?

Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Nie. Nie kłamałem mówiąc, że rzuciłaś na mnie czary, ale teraz muszę chyba złamać zaklęcie. Jest twój mąż i jest moja żona. Mnóstwo razy zdradzałem Edwinę i zawsze udawało mi się to jakoś racjonalizować. Teraz jednak nie chcę już jej oszukiwać. To chyba dziwne, co?

- Ani trochę. Myślę, że jesteś w niej zakochany. Nick uśmiechnął się nieznacznie.

- Zawsze byłem w niej zakochany, ale teraz... kiedy straciłem syna... chyba po raz pierwszy jej potrzebuje.

Uścisnęła jego dłoń, a potem puściła.

- Cieszę się, że tak się stało - powiedziała cicho. - Nie mam zamiaru udawać, że sama nie czułam się trochę winna. Na zawsze pozostaniesz cudnym wspomnieniem. - Uśmiechnęła się. - Byłam o krok od złamania swoich socjalistycznych zasad zakochując się w kapitaliście.

Wstał i położył jej dłoń na policzku.

- Ten kapitalista jeszcze nigdy nie spotkał bardziej uroczej socjalistki - powiedział.

### ***Rozdział trzydziesty dziewiąty***

Peter Chadwick gonił swój nowy czerwony balon, kiedy Edwina dostrzegła samolot lecący nisko nad drzewami. Był styczeń 1942 roku. Ameryka włączyła się do wojny i, ku rozpaczy Edwiny, Nick miał wkrótce wrócić do Waszyngtonu, by pomagać w koordynacji uzbrojenia nowo powstałego Pentagonu.

- Elwiro! - krzyknęła do dwudziestoletniej pomocnicy. - Wprowadź dzieci do domu, szybko! To niemiecki samolot. Prosta, rudowłosa dziewczyna zmrużyła oczy.

- Co on tu robi?

- Nie wiem... może pilot zablądził. Szybko! Ja pójdę po Petera. Elwira zaczęła zaganiać dzieci do środka, a Edwina pobięła przez

rozległy trawnik na tyłach domu krzycząc:

- Peter, wracaj!

Jednak Peter, który znajdował się ponad sześćdziesiąt metrów od niej, nie miał zamiaru rozstawać się ze swym ukochanym czerwonym balonem. Gonił go dalej.

- Peter!

Samolot z dużym czarnym krzyżem na kadłubie ryczał nad głową chłopca. Peter usłyszał grzechot karabinu maszynowego. Zatrzymał się i odwrócił. Samolot przemknął ponad Thrax Hall, zdawało się, że zaczepi o kominy, po czym odleciał w stronę Kanału.

Nagle wszystko zamarło.

Zapominając o balonie, Peter pobięł przez wielki trawnik ku pięknej kobiecie, którą pokochał. Nie pojmował, czemu leży na trawie tak nieruchomo.

- Pani Fleming! - zawołał.

Zdyszany podbiegł do niej, uklęknął i wziął za rękę. Wtedy ujrzał czerwoną krew ciekącą z dziur na plecach białej sukienki.

- Pani Fleming. - Zaczął płakać. - Proszę się obudzić. Proszę... się obudzić.

Peter Chadwick stracił drugą matkę.

Po bezsensownej śmierci Edwiny Nick z rozpaczy odchodził od zmysłów. Fakt, że niewinna kobieta, znajdująca się wiele kilometrów od jakiegokolwiek celu o wojskowym znaczeniu, została zabita serią karabinu maszynowego, kiedy biegła przez trawnik, by uratować dziesięcioletniego chłopca, wydał mu się szczytem barbarzyństwa.

Nienawiść i pogarda do faszystowskiego reżimu, które obudziły się w jego duszy sześć lat wcześniej w gestapowskich pokojach przesłuchań, teraz wybuchły ze zdwojoną siłą. Kiedy poszedł do miejscowej kostnicy, by obejrzeć zwłoki, załamał się i płakał jak dziecko. Jej twarz, tak piękna w chwili śmierci, wywołała tysiące wspomnień. Pierwsze spotkanie w Thrax Hall przed tylu laty, podczas pierwszej, brutalnej wojny; ich burzliwy romans; szalone lata w Hollywood; utarczki i radości; kochanie się i kłótnie... spędzili ze sobą blisko ćwierć wieku, a teraz odeszła. Szybko, brutalnie, niepotrzebnie.

Gdy przyciskał jej dłoń do ust, gorące łzy płynęły na zimną skórę Edwiny i Nick miał wrażenie, że pęknie mu serce. Poruszające strofy hymnu Williama Blake'a *Jerozolima* rozbrzmiały dwa dni później w osiemnastowiecznej kamiennej kaplicy, śpiewane przez chór chłopięcy i kongregację. Za zgodą Nicka żonę chowano obok innych członków jej starożytnej rodziny, którzy z rozmaitą pobożnością i oddaniem modlili się w tej wiejskiej kaplicy przez ponad dwieście lat. Przybyli lord i lady Saxmundham, którzy nagle wyglądali naprawdę staro. Rodzinę królewską reprezentowała księżna Kentu. Przybyła osobiście Clementine Churchill, choć jej mąż przesłał wyrazy współczucia. Przyszła lady Blake, siostra Edwiny. Najbardziej poruszająca była chyba obecność Petera Chadwicka, który stał wraz z czterdziestoma dwiema sierotami, które straciły ukochaną panią Fleming.

.Aż zbudujemy Jerozolimę w miłej zielonej Anglii" - śpiewał chór.

Przyszedł Charles. Wślizgnął się do kaplicy tuż po rozpoczęciu uroczystości. Siedział w mundurze RAF-u, słuchając, jak wielebny doktor Cadwallader wychwala kobietę, którą uczył religii, kiedy była małą dziewczynką, w dawnych, bezpiecznych czasach, które zdawały się równie odległe, jak Kraina Oz. Rozbrzmiały ostatnie modlitwy, . ostatni hymn i trumnę Edwiny opuszczono do krypty.

Po wyjściu z kaplicy Charles podszedł do ojca. Nie porozumiewali się od ponad roku.

- Czy mogę z tobą pomówić? - spytał.

Nick spojrzał na niego tępo i skinął głową. Przeszli na bok. Był zimny, nieprzyjemny dzień, z wyjąłym wiatrem i szarym niebem. Charles wyjął z kieszeni kartkę i wręczył ją Nickowi.

- Wiesz, że nigdy nie zrealizowałem tego czeku - powiedział.

- Wiem.

- Chcę znowu być twoim synem. Ja... - Przełknął ślinę. - To, o co mnie oskarżyłeś, to prawda. Wiem, że zrobiłem z Sylwią straszną rzecz. Wstydę się tego. Ale chcę cię prosić, przynajmniej w imię matki, żebyś spróbował mi przebaczyć i dał mi jeszcze jedną szansę. Naprawdę chcę, żebyś był ze mnie dumny. - Zawahał się. - Chciałbym nawet, żebyś mnie trochę lubił.

Nick zamknął oczy i usłyszał w myślach głos Edwiny. „Charles jest naszym synem! Niezależnie od tego, jak potwornych rzeczy się dopuścił, daliśmy mu życie, nie możemy tak po prostu wręczyć mu czeku i powiedzieć żegnaj." Przez ostatni rok swego życia Edwina walczyła z mężem o przyjęcie syna do rodziny. Teraz, patrząc na Charlesa, Nick żałował swego uporu i bólu, jaki sprawił żonie. Rozłożył ramiona. Syn i ojciec objęli się.

- Tak bardzo ją kochałem - powiedział Charles.

- Ja też - odparł Nick. - Bardziej, niż to sobie kiedykolwiek uświadamiałem.

Podarł czek, a wiatr rozwiązał dwa miliony dolarów po ziemi.

- Zaczniemy od nowa - oświadczył Nick, gdy szli do Rolls--Royce'a. Przynajmniej odzyskał syna.

Właśnie miał wsiąść do długiego czarnego samochodu, kiedy podszedł mały Peter Chadwick. Twarz chłopca była anielska, ale po zaczerwienionych oczach Nick poznał, że Peter płakał.

- Panie Fleming - powiedział nieśmiało.

Nick uklęknął i położył dłonie na ramionach chłopca.

- Ty jesteś Peter, prawda? Byłeś z nią...

Chłopiec skinął głową.

- Dała mi piękny czerwony balon - powiedział. - Zawsze będę ją pamiętał za ten balon.

Amerikanin w średnim wieku i młody Anglik patrzyli na siebie, zjednoczeni miłością do tej samej osoby. Potem Peter wyjął coś z kieszeni.

- To spadło z tego samolotu - powiedział. - Widziałem, jak spadało z nieba. Myślałem... że może pan to chce.

Wyciągnął rękę, Nick zrobił to samo, a chłopiec wręczył mu trzy mosiężne łuski. Nick spojrzął na nie. Gdyby je dostał od kogoś innego, Nick uznałby to za upiorny podarunek, ponieważ jednak dał mu je Peter, wydało mu się to właściwe.

- Dziękuję - mruknął patrząc na łuski. Nagle przeszedł go zimny dreszcz.

Ujrzał maleńkie, wygrawerowane inicjały: RAC oraz numer serii 479. Rozpoznał je natychmiast. W głowie Nicka zawyla bezgłośnie furia, kiedy zamykał w dłoni łuski naboju wyprodukowanych w jego własnej fabryce.

RAC oznaczało Spółkę Zbrojeniową Ramschilda.

1 rzy dni później Nick, przeleciawszy przez Atlantyk samolotem transportowym sił powietrznych, stanął przed piętnastoma wysokimi urzędnikami swojej firmy w wyłożonej boazerią sali obrad, której okna wychodziły na rzekę Connecticut.

- Panowie, moją żonę zastrzelił niemiecki pilot - powiedział. - Zginęła jednak od amerykańskich kul. Tych kul. -

Wyjął z kieszeni trzy łuski i cisnął na polerowany stół. - Te kule wyprodukowano właśnie tutaj, w tej fabryce.

Przerwał, by szokujący sens jego słów dotarł do słuchaczy.

- Jeden lub więcej z was musi wiedzieć, w jaki sposób nasza amunicja dostała się w ręce Luftwaffe - ciągnął. - Idę do swego gabinetu. Jeśli w ciągu godziny jeden z was nie przyjdzie i nie przyzna się, wszyscy jesteście zwolnieni, bez odszkodowania i emerytury, a ja każę FBI przesłuchać was wszystkich na okoliczność działalności wywrotowej.

Panowie, jestem wściekły, jestem oburzony i śmiertelnie poważny. Godzina.

Wyszedł z sali pozostawiając piętnastu najbardziej zdumionych ludzi w Ameryce.

Dziesięć minut później ktoś zapukał do drzwi gabinetu Nicka.

- Wejść.

Drzwi otworzyły się i wszedł Chester Hill.

- Cholera, wiedziałem, że to ty - powiedział Nick krzywiąc twarz.

- Nick - powiedział jego zięć, blady jak płótno i dosłownie trzęsący się ze strachu. - Nie miałem pojęcia, że towar idzie do Luftwaffe! Przysięgam na Boga...

- Komu sprzedawałeś? - ryknął Nick.

- Jakiemuś Szwedowi!

- Jak myślałeś, po co była Szwedowi amunicja?

- Mówił, że to dla polskiego podziemia...

- Polskie podziemie nie ma samolotów.

- Rany boskie, to była amunicja do karabinów maszynowych! Nie wiedziałem, że to do samolotów!

- Bzdura! - wrzasnął Nick. - Słuchaj, Chester, nie jesteś głupi. Albo wiedziałeś, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że amunicja idzie do Niemiec, które kupują każdą ilość czarnorynkowej amunicji, jaka im wpadnie w ręce, żeby Luftwaffe mogła funkcjonować, albo wygodnie ci było ignorować ten fakt. Poza tym rząd sporządził listę krajów, do których wolno nam sprzedawać, a Szwecji na niej nie ma. Nie udawaj, że o tym nie wiesz. Ile on ci zapłacił?

Chester opadł na krzesło i zupełnie się załamał.

- Nick, musiałem mieć te pieniądze! - łkał. - Sylwia doprowadza mnie do szału... nie masz pojęcia, jak fatalnie jest między nami... Jeździła do Nowego Jorku, żeby podrywać mężczyzn w barach... Musiałem zdobyć pieniądze, żeby zbudować jej dom... Musiałem...

Ukrył twarz w dłoniach, kiwając się w udęce.

- Sylwia podrywała mężczyzn w barach? - spytał Nick nieco ciszej.

- Tak! Jak prawdziwa dziwka... Przyzwyczaiła się żyć jak jakaś cholerna księżniczka, a ja nie mam dość pieniędzy, żeby ją uszczęśliwić... Chryste, wiem, że popełniłem straszny błąd, ale czy nie możesz mnie choć trochę zrozumieć? Życie z twoją córką to piekło! Sylwia, jego piękna, ukochana Sylwia dziwka? Zawsze zakładał, że w tym kazirodczym związku Charles był napastnikiem, ale teraz na całą sprawę padło inne światło. Czy to możliwe, że Sylwia uwiodła brata? W każdym razie go nie odtrąciła. Jego dzieci! O Boże, jego dzieci - wydawało mu się, że stanowią źródło połowy jego nieszczęść. Czy to on ponosi winę, ponieważ je rozpuścił? Czy



w jakiś pokrętny sposób, to on, a nie chlapiący zięć, ponosi winę za śmierć Edwiny?

- Nick, zrobię wszystko, żeby to naprawić! - wybuchnął Chester.

- W jaki sposób naprawisz śmierć Edwiny? - brzmiała zimna odpowiedź. - Ile zapłacił ci ten Szwed?

- Trzydzieści tysięcy dolarów. Dostyc na rozpoczęcie budowy domu...

- Sprzedałeś mnie, tę firmę i własny kraj za pierwszą ratę za dom? Jezu, Chester, nawet jeśli twoje małżeństwo to piekło, jesteś sukinsynem zasługującym na pogardę.

- To wina Sylwii! - krzyknął Chester.

- Tak, może też i moja, ponieważ ją rozpuściłem, ale Sylwia nie sprzedała amunicji Szwedowi ani ja tego nie zrobiłem. O, nie, Chester, ty to masz na sumieniu. Pytanie brzmi, co, do ciężkiej cholery, mam teraz zrobić? Jeśli powiem o tobie FBI, będziesz miał niemały kłopot. Możesz pójść do więzienia, a przyznaję, że nie chciałbym tego ze względu na Sylwię.

- Nick, proszę - bełkotał Chester. - Czy nie, możemy po prostu nic nie robić?

- A jak mam wytłumaczyć całą sprawę swoim, dyrektorom? Zięciowi Nicka Fleminga wszystko uszło na sucho? Nie, to nie przejdzie. Słodki Jezu, wpakowałeś mnie w niezłą kabałę. Ty głupi, żaloszny sukinsynu. Cholera! Mój zięć sprzedaje im amunicję, z której zabijają moją żonę. Nie, Chester, ja może bym ci darował, ale nie Edwina. **Jej** krew jest na twoich rękach. - Pot płynął po bladej twarzy Nicka.

- Co masz zamiar zrobić? - szepnął Chester.

Nick patrzył na niego przez blisko minutę, szukając w myślach rozwiązania. Nie było żadnego.

- Nie mam wyboru - powiedział wreszcie. - Oddaję cię w ręce FBI.

- Nie! - krzyknął Chester zrywając się z krzesła i zakrywając rękami telefon. - Proszę, daj mi szansę! Pomyśl o Sylwii!

- Pomyślałem o Sylwii. Nic na to nie poradzę. Popełniłeś przestępstwo i musisz ponieść karę.

- Nick, proszę... wyjadę z kraju... pojadę do Ameryki Południowej! Nigdy więcej mnie nie zobaczysz... proszę... wszystko, tylko nie więzienie. Chryste, nie możesz posłać własnego zięcia do więzienia!

- Nie mogę? - spytał Nick, wrywając mu telefon. - Frieda? Połącz mnie z Federalnym Biurem Śledczym.

Chester cofnął się od biurka, trąc w rozpaczy ręce. - Ty zimny skurwysynu - wycedził w końcu. - Kiedyś ci za to zapłacę. Zapłacę ci za to. Nick spojrzał na zięcia i nic nie powiedział. Chester Hill dostał pięć lat w zakładzie karnym w Lewisburgu.

Po raz drugi w życiu Nick Fleming poważnie rozważał możliwość wycofania się z interesu zbrojeniowego. Zamordowanie ukochanej Edwiny kulami jego własnej produkcji było strasznym ciosem. Nie mógł opędzić się od myśli, że może jego krytycy mieli rację, może w przemyśle zbrojeniowym jest coś immanentnie złego - skorumpował Chestera Hilla, może po pewnym czasie musiał skorumpować każdego, kto miał z nim do czynienia. Bóg wie, że Nickowi wielokrotnie składano propozycje sprzedaży broni rządowi o podejrzanym reputacji. Czy śmierć żony była dla niego znakiem, by się wycofać z interesu? Przypomniawszy sobie, co powiedziała Edwina, kiedy się poznali tak dawno temu - że Nick zarabia pieniądze na śmierci. Lata złej prasy ciążyły mu jak głaz; nienawidził być nazywany Tytanem Śmierci.

A jednak jak miał sprzedać firmę teraz, kiedy na świecie szalała wojna? Nie mógł się jeszcze na to zdobyć, ale ziarno, posiane wcześniej w jego umyśle, zaczęło kiełkować.

Naturalnie śmierć Edwiny była ciosem dla jej licznych dzieci. Najmłodsza, Vicky, która wielbiła matkę, była niemal niepokonana. Fiona, która nigdy nie знаła prawdziwego ojca, teraz straciła drugiego prawdziwego rodzica. Ona również była w rozpacz. Jednak strata obojga rodziców jeszcze bardziej umocniła ją w postanowieniu, by zostać wielką aktorką; teraz nie tylko ze względu na pamięć Roda Normana, ale także Edwiny Fleming, jego partnerki w tym starym, niemym filmie.

Edward Fleming, trzecie dziecko Flemingów, ukończył dwadzieścia lat i opuścił uniwersytet w Princeton, żeby wstąpić do wojska. W przeciwieństwie do starszego brata, Charlesa, Edward nie lubił wojny ani przemysłu zbrojeniowego. Śmierć matki stanowiła dla niego wyraźny dowód, że wojna nie jest drogą do chwały, ale raczej wściekłą, bezsensowną jatką. Edward postanowił zostać pisarzem. Może uda mu się napisać wielką amerykańską powieść wojenną, która położy kres wszystkim wojnom i pomści jego ukochaną matkę.

**CZESC VI**

**PIEKNA I RZEZNIK**

**1944-1947**

### ***Rozdział czterdziesty***

Trzeciego stycznia 1944 Nick był znowu w Gabinetcie Ovalnym w Białym domu z mizernie wyglądającym prezydentem Rooseveltem i generałem-majorem Williamem J. Donovanem, szefem Urzędu Służb Strategicznych.

- Dobrze cię znowu widzieć, Nick - powiedział prezydent podając mu rękę. - Chyba znasz Billa Donovana?

Nick spotkał Donovana kilkakrotnie na przyjęciach w stolicy, ponieważ od ataku na Pearl Harbour i przystąpienia Ameryki do wojny spędzał blisko połowę czasu w Waszyngtonie, gdzie współpracował z Pentagonem w wysyłaniu broni do wszystkich części świata. Teraz, gdy klęska Hitlera była już tylko kwestią czasu, Nick cieszył się, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by pomóc w zniszczeniu zniechęconego wroga. Uścisnął dłoń Donovana, po czym obaj usiedli przed biurkiem Roosevelta.

- Nick, Bill otrzymał podziemnymi kanałami dość dziwne informacje od pewnej damy z Paryża nazwiskiem Diana Ramschild -powiedział prezydent. - Sądzę, że ją znasz?

- Bardzo dobrze - odparł Nick. - Dawno temu o mały włos się z nią nie ożeniłem. Ponieważ poślubiłem inną kobietę, Diana wynajęła tureckiego zabójcę, żeby mnie zamordował, a kiedy to się nie udało, doprowadziła do aresztowania mnie przez Gestapo.

Prezydent się roześmiał.

- Nie ma w piekle większej furii niż wzgardzona kobieta, choć wydaje się, że trochę przesadziła.

- Trochę. Myślę jednak, że mi przebaczyła. Kiedy przysłała do więzienia Gestapo, sądziłem, że zechce się napawać zemstą, ale zmieniła zdanie. W każdym razie powiedziała mi, że użyje wpływu,

jaki ma na Ataturka, żeby mnie wyciągnąć. Wydostałem się sam, więc nie wiem, czy zwróciła się do Atatürka, czy nie. A więc teraz jest w Paryżu?

- Tak. Jest tam właścicielką cieszącego się wielkim powodzeniem klubu nocnego o nazwie Semiramis, który oferuje najwyższym oficerom faszystowskim alkohol i „rozrywki”. Rodzaj rozrywek pozostawiam twojej wyobraźni.

- Mam pewne pojęcie.

- Właśnie. Otóż Diana Ramschild poinformowała nas, a paryscy agenci Billa to potwierdzili, że jedna z jej dziewcząt, jasnowłosa piękność nazwiskiem Laura Ducaze, została kochanką generała Friedricha von Stoltza, który jest zastępcą komendanta Paryża i bardzo ważną osobą. Stoltz ma żonę i dwie córki w Baden-Baden, ale najwyraźniej stracił głowę dla Laury i gotów jest jej dać gwiazdkę z nieba; w tym wypadku gwiazdka to pieniądze, futra, szampan i tak dalej. Laura ma nawet do dyspozycji samochód z szoferem i nieograniczoną ilością benzyny, co, jak słyszałem, stanowi w Paryżu największy luksus. Stoltz ma zwyczaj upijać się w trupa i zdradzać Laurze rozmaite sekrety dotyczące wojny. Gdybym był Hitlerem, a dziękuję Bogu, że nie jestem, kazałbym go rozstrzelać, ale najwyraźniej *Führer* jest tak pochłonięty frontem wschodnim, że nie ma czasu na zwracanie uwagi na Paryż, toteż Stoltzowi wszystko uchodzi na sucho, przynajmniej na razie. Wszystko to mało by nas interesowało, gdyby nie dwa słowa, które Stoltz powiedział przy Laurze, ta przekazała je swojej szefowej, a ona z kolei nam. Te słowa to „ciężka woda”. Twarz Nicka nic nie wyrażała.

- Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, ale nie rozumiem. Roosevelt poruszył się na krześle.

- Musimy cię nieco wprowadzić w całą sprawę, Nick, bo w przeciwnym razie nic nie zrozumiesz. Muszę cię jednak ostrzec, że jest to ściśle tajna informacja, która nie może wyjść poza ten pokój.

- Rozumiem.

- Pracujemy obecnie nad rewolucyjnie nowym typem bomby. Jeśli się to uda, co wcale nie jest powiedziane, cała dotychczasowa broń stanie się przestarzała. Będzie to bomba o niewiarygodnej sile niszczenia. Jeśli ci powiem, że jedna tego typu bomba mogłaby zmieść z ziemi miasto wielkości Chicago, pomyślisz pewnie, że zwariowałem, ale tak się składa, że to prawda.

- Jedna bomba mogłaby zniszczyć Chicago? - powtórzył Nick, oszołomiony implikacjami tego, co usłyszał.

Prezydent skinął głową.

- To przerażające. Spoczywała na mnie ogromna odpowiedzialność wyrażenia zgody na prowadzenie tych badań. Nasi czołowi fizycy zapewnili mnie jednak, że taka bomba jest nie tylko możliwa, ale, przy obecnym stanie fizyki, nieunikniona. A także, że jeśli my jej nie skonstruujemy, mogą to zrobić Niemcy. Jak widzisz, nie miałem wielkiego wyboru. W ten sposób dochodzę do ciężkiej wody. - Przerwał na chwilę. - Wyprodukowanie ciężkiej wody jest nieodzownym krokiem przy produkcji bomby. Skoro generał von Stoltz opowiada w Paryżu o ciężkiej wodzie, może to oznaczać tylko jedno: faszyci pracują nad tą samą bombą co my. Hitler przegrał tę wojnę, ale jeśli uda mu się wyprodukować tę bombę przed nami, może dokonać najbardziej dramatycznego zwrotu w historii. Może wygrać. Nie muszę ci mówić, że jesteśmy w związku z tym bardzo zdenerwowani.

- Nie bez powodu.

- W ten sposób dochodzimy do ciebie. Jest oczywiste, że chcemy się dowiedzieć, co Diana Ramschild wie o ciężkiej wodzie, jednak ona nie chce nam powiedzieć. Oświadczyła paryskim agentom Billa, że powie to tylko jednej osobie, a jest nią Nick Fleming.

- Ja? - wykrzyknął, znowu zaskoczony. - Dlaczego ja? Prezydent rozłożył ręce.

- Cóż, Nick, według mnie ta dama wciąż się w tobie kocha. Najwyraźniej jest ciężko chora i nie spodziewa się żyć zbyt długo. Powiedziała naszym agentom, że chce cię zobaczyć przed śmiercią. To dość poruszające.

- Poruszające, jeśli prawdziwe. Biorąc pod uwagę podejmowane przez Dianę próby zamordowania mnie, zastanawiam się, na ile to prawda.

- Mówiłeś, że ci przebaczyła.

- Mówiłem, że myślę, że mi przebaczyła. Nie mam na to dowodu. Niewątpliwie nie wyciągnęła mnie z więzienia. Sam się wydostałem! Jeśli prosicie mnie, żebym pojechał do Paryża i dowiedział się tych informacji od Diany, możliwe, że posyłacie mnie prosto w śmiertelną pułapkę. Diana wie, że faszyci powiesiliby mnie na strunie od fortepianu, gdyby tylko mieli okazję.

Prezydent spojrział na Donovana, a ten powiedział:

- W istocie prosimy cię, żebyś udał się do Paryża. To niezwykle ważne.

Nick poczuł się niezręcznie. Pamięć o torturach w Hamburgu wciąż była żywa. Blizny na jego ciele dawno się zagoiły, ale blizny na duszy wciąż stanowiły źródło nocnych koszmarów. Teraz usiłował skupić pamięć na tym krótkim spotkaniu z Dianą w upiornym *Verhörzimmer*. Pamiętał spojrzenie jej zielonych oczu, tych oczu, które kiedyś kochał. Pamiętał jej słowa: „O, mój Boże, Nick, co ja zrobiłam?”

Wtedy sądził, że jej skrucha jest szczerą, ale czy mógł mieć pewność? Ostatecznie nienawidziła go na tyle mocno, by wynająć płatnego zabójcę, który miał go zamordować. A teraz ma jej powierzyć swoje życie! I w imię czego? W imię dwóch słów, „ciężka woda”, które wciąż nic dla niego nie znaczą. Jednak te skąpe informacje na temat superbomby, które mu zdradzili, pozostawiały niewiele wątpliwości co do wagi misji. Jakież to dziwne, że wszystko koncentrowało się wokół niestabilnych uczuć kobiety, którą uwiódł i porzucił przed ponad ćwierćwieczem! Nie mylił się - przynajmniej w jego życiu miłość stanowiła rzecz najważniejszą.

- Zdajemy sobie sprawę, że nie jest to błaha decyzja - powiedział prezydent. - Przemyśl ją dokładnie. Przynajmniej przez kilka dni.

Edwina. Edwina, która nie żyła już od trzech lat. Edwina, za którą wciąż boleśnie tęsknił. Miłość fizyczna nie stanowiła problemu dla multimilionera, który wciąż cieszył się młodzieńczą urodą, ale miłość jego życia odeszła bezpowrotnie. Wzniósł jej pomnik - ofiarował milion funtów na Dom Edwiny Fleming dla dzieci osieroconych przez wojnę, więc jej imię i pamięć będą żyły dalej. Jednak brutalne zabójstwo żony nadal napełniało Nicka wściekłością. Chester Hill płacił w więzieniu za współudział w jej śmierci, ale faszyci wciąż byli u władzy. Z Europy docierały pogłoski o potwornej kulminacji szaleństwa Hitlera, o obozach śmierci, gdzie dokonywano podobno eksterminacji całej rasy, rasy, której krew płynęła w żyłach Nicka...

- Zrobię to - powiedział cicho. - Zrobię to z wielu powodów, ale przede wszystkim dla mojej zmarłej żony. Nadal jestem to winien faszystom.

Na twarzach Prezydenta i Donovana odmalowała się ulga.

Niemal nagie dziewczęta z Semiramis, cieszącego się ogromnym powodzeniem klubu nocnego Diany przy Place du Tertre na Montmartrze, schodziły schodami sceny, ubrane tylko w wąskie paski tkaniny między pośladkami, w sznurowanych na kostkach szpilkach *à la* Joan Crawford, z piórami we włosach, a Laura Ducaze, oszałamiająca, jasnowłosa gwiazda programu śpiewała do mikrofonu leitmotiv przedstawienia, *Paris bei Nacht*. Stu pięćdziesięciu spoconych, pijanych niemieckich oficerów w niemal komicznym milczeniu pożerało wzrokiem nagie piersi dziewcząt, podczas gdy Laura wyśpiewywała po niemiecku, a potem po francusku, skandaliczny tekst piosenki, który w swobodnym tłumaczeniu brzmiał następująco:

**Czyś samotny?**

**Czyś spragniony?**

**Czy dziewczynę poznać chcesz?**

**Wskocz na rower**

**Albo rykszę**

**Po Paryżu przejedź się!**

**Paryż nocą,**

**Słodki Paryż,**

**Tu za miłość płaci się!**

**Kopnij żydka,**

**Rower mu weź**

**I do Paryża jedź!**

W odróżnieniu od reszty dziewcząt, Laura miała na sobie ubranie -białą, wyszywaną cekinami suknię wieczorową, która migotała w przyćmionym świetle reflektorów. Rozcięcie sukni biegnące aż do uda odsłaniało rewelacyjne nogi, które antysemitki, proniemieckie czasopismo „Je Suis Partout” porównywało z nogami Betty Gracie. Laura podchwyciła aluzję i upięła utlenione loki na czubku głowy na modłę Gracie. W przeciwieństwie do Gracie, miała niezwykle regularne rysy twarzy, a jej morskobłękitne oczy urzeczywistniały aryjskie marzenie. Ta córka burmistrza Poitiers spędziła pięć lat w ultrakonserwatywnej szkole klasztornej Convent des Oiseaux w Paryżu, zanim doszła do wniosku, że życie w klasztorze nie jest dla niej. Po ucieczce, w rok po wkroczeniu Niemców, śpiewała w tanich nocnych klubach. Tam odkryła ją Diana, która natychmiast zatrudniła Laurę i zrobiła z niej gwiazdę. Diana, znana w Paryżu jako *La Dame aux Voiles*, znała się na talentach.



*Paris le soir,  
Ville d'amour et du vin!  
Paris le soir -  
Mais pas pour les youpins!*

Śpiewała Laura.

**Paryż nocą,  
Miasto miłości i wina!**

**Paryż nocą -  
Ale nie dla żydków!**

Publiczność nagrodziła ją owacją na stojąco.

Pułkownik SS Werner Herzer widział to przedstawienie już dziewięć razy i był niemal stałym gościem Semiramis. Przystojny, jasnowłosy, były mistrz gimnastyczny, który brał udział w Olimpiadzie w Berlinie w roku 1936, był dobrze znany kelnerom, dziewczętom do wynajęcia, a nawet samej Dianie. „Wygląda miło”, mówiono o nim często. Wszyscy jednak wiedzieli, że *Sturmführer* Herzer dowodzi plutonem egzekucyjnym w Fort de Vincennes. Podczas gdy inni dowódcy plutonów egzekucyjnych byli często zmieniani w celu uniknięcia szkód psychicznych, Herzer pełnił tę funkcję od roku.

Lubił swoją pracę.

**Funkcję *Militärbefehlshaber in Frankreich***, niemieckiego wojskowego gubernatora Francji pełnił generał Karl Heinrich von Stülpnagel, intelektualista z dobrej rodziny, który nie miał serca do faszyzmu i wierzył, że między Niemcami a Francją nie ma różnic politycznych. Mieszkał w Alei Malakoff w Palais Marbre Rose należącym do pani Florence Gould, spadkobierczyni jednej z największych fortun amerykańskich. (Przez całą okupację pani Gould wydawała słynne obiady czwartkowe, w których uczestniczyła większość niemieckich i francuskich znakomitości świata sztuki.) Generał von Stülpnagel zarekwirował dla swego personelu Hôtel Raphaël w alei Kléber i właśnie tam, w apartamencie na piątym piętrze mieszkał zastępca szefa Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Okupowanej Francji, generał Friedrich von Stoltz. Pasją Stülpnagla była historia Bizancjum. Szczerze nie lubił brutalnych metod

postępowania wobec Francuzów i stale toczył boje z Berlinem

0 konieczność rozstrzelania Żydów i członków ruchu oporu. Ponieważ rzadko wygrywał, Stülpnagel wzdychał z rezygnacją, wracał do Bizancjum, a brudną robotę zlecał Stoltzowi.

Generał von Stoltz był młodszym synem zubożałej rodziny szlacheckiej z Saksonii. Saksończyków nazywano pogardliwie wsiórami Niemiec, a Stoltz w pełni zasługiwał na to określenie. W przeciwieństwie do Stülpnagla, człowieka prawdziwej kultury, „sztuka” oznaczała dla Stoltza upijanie się i słuchanie antysemitycznych piosenek Laury Ducaze. Niski, krępy, niechlujny, z czerwoną twarzą, wielkim nosem i grubymi okularami bez oprawek, w których jego krótkowidzące oczy sprawiały wrażenie dwa razy większych, Stoltz miał wygląd i elegancję rzeźnika. I rzeczywiście, paryżanie, którzy szczupłego, stylowego Stülpnagla przezwali Królem z Dziadka do Orzechów, Stoltza nazwali *Le Boucher*, Rzeźnikiem. Ten pięćdziesięciodwuletni alkoholik, który, podobnie jak Hitler, obgryzał paznokcie, był odpowiedzialny za rozstrzelanie w osławionych dołach Fort de Vincennes ponad pięćuset Francuzów.

Stwierdzenie, że większość paryżan kolaborowała, byłoby równie kłamliwe, jak to, że większość uczestniczyła w ruchu oporu. Przeważająca większość po prostu próbowała żyć jak najlepiej w tych nieprzyjemnych warunkach, żyć z dnia na dzień. Wydawało się, że obowiązywała następująca reguła: im wyżej ktoś stoi w hierarchii społecznej, tym lepsze ma warunki życia i tym bardziej przyjacielskie relacje z Niemcami. Standard życia ludzi bogatych

1 szanowanych praktycznie nie ucierpiał. Picasso przeżył okupację wygodnie, podobnie jak Cocteau, Serge Lifar, gwiazda filmowa Arletty, Chanel, Colette i dziesiątki innych. Sławna hostessa, Louis de Vilmorin, stała się tak bardzo proniemiecka, że przezwano ją Lulu Pomorzanka. Wiele francuskich kobiet - oraz *tapettes* - stwierdziło, że dobrze wychowani niemieccy żołnierze są niezwykle pociągający. Z drugiej strony, w Le Colisée, najpopularniejszej kawiarni na Champs Elysées, paryska młodzież zwana Zazous, nosiła długie, tłuste włosy i niebieskie okulary, demonstrując w ten sposób pogardę dla barbarzyńskich niemieckich żołnierzy.

Można było kupić kawior u Pétroussiana, a luksusowe sklepy w rodzaju Hermesa, Cartiera czy Boucherona były zaopatrzone nie gorzej niż zwykle. Dealerzy antyków przeżywali złoty okres. Czołowy dom aukcyjny Salle Drouot dokonał rekordowej transakcji wysokości

czterdziestu siedmiu milionów franków, sprzedając w roku 1942 kolekcję Viau, w skład której wchodził obraz Cézanne'a *Montaigne Sainte-Geneviève*, kupiony przez pewnego Niemca. Słynne restauracje, takie jak Lapérouse, La Marquise de Sévigné, La Tour d'Argent, Le Grand Vefour, Claridge's, Ciro's, Chez Carrée, Drouant i Maxim, podlegające berlińskiej restauracji Horchera, przeżywały dni świetności. Największa rywalka Diany Ramschild, Fabienne Jamet, właścicielka słynnego domu publicznego przy rue de Provence 122 przyznała, że nigdy wcześniej nie czuła się szczęśliwsza i nie osiągała większych zysków. Diana także czerpała z Semiramis ćwierć miliona dolarów rocznie. Paryż był okiem cyklonu. Dookoła szalały burze wojny, ale w pięknej francuskiej stolicy, pod starannie wypolerowanym butem niemieckiego najeźdźcy, wyjąwszy kilka alianckich nalotów, które zniszczyły podmiejskie fabryki i wyrąbały lej przed katedrą Sacré Coeur, życie biegło względnie spokojnie, względnie normalnie. „Względnie”.

**Łódź** podwodna wynurzyła się cicho z atramentowego morza pod czarnym niebem w odległości ośmiuset metrów od La Rochelle, na zachodnim wybrzeżu Francji. Właz otworzono i na śliski pokład wyszedł kapitan Warren V. Hickman z amerykańskiej marynarki wojennej. W ślad za nim wyszedł bosman i dwóch członków załogi, którzy zaczęli napełniać powietrzem gumową tratwę. Na koniec z wnętrza łodzi podwodnej wyłonił się pułkownik Nick Fleming w czarnym garniturze, czarnym golfie, czarnym płaszczu i czarnej czapce marynarskiej. Nie było wiatru i morze przypominało taflę stalowej blachy. Temperatura wynosiła trzy stopnie poniżej zera. Nick postawił kołnierz płaszcza i czekał na zwodowanie tratwy. Miał przy sobie pistolet oraz tysiąc dolarów we frankach francuskich. Czuł niepokój; według niego prawdopodobieństwo, że Diana Ramschild zwabia go w pułapkę, było większe niż pięćdziesiąt procent. Nick wierzył w siłę miłości, ale jak ta kobieta mogła być w nim wciąż zakochana, po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu minionego ćwierćwiecza?

Mimo to czuł, że musi podjąć ryzyko.

- Powodzenia, Nick - powiedział kapitan, ściskając jego dłoń w rękawicze. Potem Nick zszedł na gumową tratwę, a dwaj marynarze powiosłowali ku ciemnemu brzegowi Francji. Znajdowali

się na południe od La Rochelle. Po kwadransie ujrzeli dwa migające zielone światła i skierowali się w ich stronę. Dziesięć minut później Nick przesiadał się z tratwy na pokład francuskiego kutra rybackiego, gdzie powitał go dwudziestoosmioletni Nicholas Foucade, członek francuskiego podziemia. Gdy tratwa zawróciła do łodzi podwodnej, a kuter popłynął do brzegu, Foucade przedstawił Nicka innemu członkowi podziemia, który wyglądał znajomo.

- Ten człowiek zawiezie cię do Paryża - oświadczył Foucade. -René Reynaud.

Nick z radością uścisnął dłoń młodego kapitana, którego poznał przed czterema laty w ogrodzie Château de Chissay, kiedy upadał francuski rząd.

- Jak pan widzi, panie Fleming, znalazłem coś, co mogę robić dla Francji - powiedział kapitan, który zgolił wąsik.

- Ja również - odparł z uśmiechem Nick. - Cieszę się, że będziemy razem pracować.

- Kiedy usłyszałem o pańskiej misji, zgłosiłem się na ochotnika. Może uda nam się dostać jakąś premię w Semiramis, co? - Reynaud mrugnął wesoło.

### ***Rozdział czterdziesty pierwszy***

W każdym pokoleniu przychodzi na świat pewna liczba kobiet obdarzonych szczególnym talentem omotywania sobie mężczyzn wokół palca, a Laura Ducaze właśnie do takich kobiet należała. Poza wielką urodą posiadała wdzięk i spokojną pewność siebie, które czyniły ją nieodparcie pociągającą. Ponieważ cierpiała na lekką wadę słuchu lewego ucha, zawsze siadała po prawej stronie mężczyzny, na którego zagięła parol; odkryła, że nachylając się do nich blisko, by usłyszeć, co mówią, sprawia wrażenie pochłoniętej ich słowami, co niezwykle łechta męską próżność. Wiedziała, że częścią owijania sobie mężczyzn wokół palca jest podbudowywanie ich dumy. W głębi serca czuła pewną pogardę do płci męskiej, uważając większość jej przedstawicieli za zgłodniałych władzy bufonów, co nie znaczyło, że nie bawiła się dobrze z nimi w łóżku.

W każdym razie, z niektórymi. Pijackie zakusy Stoltza napawały ją obrzydzeniem, jednak jego szalona namiętność do Laury była zbyt cenna, by ją odrzucić. Kiedy więc pchał ją na łóżko, zaciskała zęby, zamykała oczy i wyobrażała sobie, że jest Clarkiem Gable, co wymagało niezwykle bujnej wyobraźni. Mimo iż Laura włączała do swych piosenek antysemickie drwiny, robiła to wyłącznie w celu pozyskania publiczności. Osobiście nie miała nic przeciwko Żydom, a kiedyś jej kochankiem był młody żydowski aktor, który później musiał się ukrywać i wstąpił do podziemia. Nie powiedziała o nim Stoltzowi - dostałby apopleksji - ale ta świadomość bawiła Laurę.

Do oczywistych korzyści wypływających ze statusu kochanki Stoltza należały luksusy, jakimi ją zasypywał. Laura nie wiedziała, ani nie dbała o to, czy płacił za nie z własnej kieszeni czy też je rekwirował. Lubiła dostatnie życie, a podczas gdy większość Paryżan miała trudności z ogrzaniem mieszkań i zapełnieniem spiżarni, ze

względu na surową reglamentację żywności, Laura żyła w cieple, tak dobrze odżywiona jedzeniem zdobywanym przez Stolza na zdominowanym przez Niemców czarnym rynku, że musiała przestrzegać diety, by utrzymać linię. Stolz kupował jej biżuterię u Van Cleefa i Chaumeta, suknie u Niny Ricci i Balenciagi, sprezentował jej rosyjskie futro z soboli i rosyjską czapkę z białego lisa (wykazując wątpliwy patriotyzm, biorąc pod uwagę, że Rosjanie wyrzynie Niemców na wschodzie). Laura uwielbiała to wszystko. Uwielbiała Horcha z szoferem, którego miała do dyspozycji, podczas gdy w Paryżu było zarejestrowanych tylko siedem tysięcy samochodów, gdy - ze względu na niedobory benzyny - wynaleziono samochód na gaz, zwany *voiture à gazogène*, gdy dwa miliony paryżan używało rowerów, a ryksze na pedały - tak zwane *velo-taxi* - konkurowały z konnymi dorożkami z zeszłego wieku w lukratywnym interesie przewozowym. Uwielbiała też opłacane przez Stolza czteropokojowe mieszkanie na Place Vendôme naprzeciwko Ritza, gdzie kryła się Coco Chanel z kochankiem - wysokiej rangi niemieckim oficerem. Laura mówiła sobie, że powodzi jej się nie gorzej niż Chanel, a było to niebagatelne osiągnięcie. Ze statusu kochanki Stolza wynikała jednak jeszcze inna korzyść, na którą przed rokiem zwróciła jej uwagę Diana Ramschild. Laura lubiła i podziwiała swoją chlebodawczynię, która miała własne, luksusowe mieszkanie przy alei Focha. Laura wiedziała, że szefowa jest kuta na cztery nogi. Już wiosną 1943 roku Diana powiedziała jej, że Hitler przegrywa, że wycofanie się Niemców z Paryża jest tylko kwestią czasu i że po powrocie Wolnych Francuzów sytuacja *collabos* w rodzaju Laury czy jej osobiście stanie się niewesoła. Dlatego też Laura powinna pilnie słuchać, co Fritz bełkoce po pijanemu, a następnie przekazywać to szefowej. W ten sposób będą mogły grać na dwa fronty. Diana skontaktowała się już z członkami ruchu oporu, a przekazując im informacje wojskowe obie mogły się zabezpieczyć przed ich powojenną zemstą. Laura, której nie podobało się złowrogie brzmienie słowa „zemsta”, chętnie na to przystała i zaczęła sporządzać pamięciowe notatki. Późną jesienią roku 1943 po raz pierwszy usłyszała o „ciężkiej wodzie”. W śnieżną noc 18 stycznia 1944 miała usłyszeć więcej. Stoltz wypijał co noc dwie butelki burgunda, ale miał tak końskie zdrowie, że rano budził się wolny od kaca. Wieczorem 18 stycznia jak zwykle obeirzał występ Laury w Semiramis, następnie zabrał ja

na kolację do Maxima - gdzie szef sali żenująco płaszczyl się przed Fritzem. O pierwszej Stoltz, już podcięty, zamówił kolejną butelkę La Tâche, a następnie zabrał ją wraz z Laurą do mieszkania przy Place Vendôme. Gdy jechali windą z kutego żelaza, ryczał pieśń Horsta Wessela. Laura zdążyła już przywyknąć do tych występów, toteż je ignorowała, choć wiedziała, że sąsiadom nie jest to obojętne. Wpuściwszy kochankę do środka, zapaliła światło, a Stoltz ruszył zygzakiem do kuchni, żeby odkorkować butelkę. Ostatnio bardzo często tracił przytomność, zanim zdążył się zabrać do seksu, co Laura witała z wielką ulgą. Teraz poszła do sypialni, by przebrać się w nowy prezent, niebieską koszulę nocną z jedwabiu i koronek oraz peniuar, które kupił jej w Galeries Lafayette.

Laura miała dobry gust, jeśli szło o Ubrania, ale wystrój wewnątrz był zgoła czymś innym. Mieszkanie, pełne falbanek, frędzli, różowych kokard na kloszach, nieznośnych współczesnych mebli w stylu Hollywood, lalek i pluszowych zwierzątek na krzesłach i sofach, mogło przyprawić o mdłości każdego, ale nie Stoltza, według którego cały ten kicz był uroczy. Kiedy wróciła do salonu, leżał rozwalony na jednej z sof, już bez butów i munduru, w do połowy rozpiętej koszuli, z dziurą w skarpetce, podrzucając pluszowego misia Laury. Kieliszek z winem stał na podłodze.

- *Poupée* - beknął. Stoltz mówił po francusku, a kochankę przezwał Laleczką. - Chcesz pojechać ze mną do Bretanii w ten weekend?

- Do Bretanii? W styczniu? Czemu nie zabierzesz mnie do Islandii?

- Och, w Bretanii jest ładnie.

- Ładnie i zimno. Jeśli chcesz mnie gdzieś zabrać, czemu nie pojedziemy na południe? Tak bym chciała pojechać do Rzymu albo Neapolu.

- *Poupée*, jest wojna.

- Co z tego? Myślałam, że Włosi są waszymi sojusznikami.

- Są, ale i tak nie mogę pojechać do Rzymu na weekend. Berlinowi wcale by się to nie podobało. Berlinowi nie podobałoby się nawet, gdybym zabrał cię do Bretanii, ale tęskniłbym za moją *poupée*. - Obdarzył Laurę pijackim uśmiechem. - Moglibyśmy jeść ostrygi Belona. Lubisz przecież ostrygi.

Nastawiła płytę Benny Goodmana. Oboje przepadali za amerykańskim swingiem.

- Nie lubię ostryg na tyle, żeby marznąć w Bretanii - powiedziała idąc do kuchni. żeby zanarzyć herbatę kupioną na czarnym rynku.

Stanął w drzwiach, zwałisty i pijany; nabiegłe krwią oczy za grubymi szklami zaczynały nieco zezować, co oznaczało, że wlał w siebie za dużo alkoholu.

- Jest tam pewna twierdza - bełkotał. - Muszę ją odwiedzić. Właśnie tam produkują ciężką wodę, o której ci mówiłem. Tuż obok jest *château*, gdzie możemy się zatrzymać. Bardzo piękny, miły... należy do bogatego bankiera, który podejmie nas doskonale... bardzo romantycznie... Zgódź się, *poupée*. Proszę. Będziemy się świetnie bawić. Zgódź się.

Laura robiła notatki w pamięci.

- No, dobra, jeśli naprawdę chcesz.

Uśmiechnął się uszczęśliwiony, podszedł i wziął ją w objęcia.

- Moja *poupée* - wybełkotał całując ją.

Laura zamknęła oczy i pomyślała o Clarku Gable.

**Kilka** minut po piątej rano 23 stycznia Charles Pepin, rolnik spod Chartres, wjechał konnym wozem do Paryża.

Obowiązująca od północy do piątej godzina policyjna właśnie się skończyła, a Charles od początku okupacji trzy razy w tygodniu dostarczał do Hal wóz pełen drewna na opał; w złaknionym opału Paryżu sprzedawał je za ładną sumkę.

Pomimo ciemności i zimna nieugięte paryskie gospodynie już się ustawiały w kolejkach przed piekarniami i sklepami spożywczymi, które miały być otwarte dopiero za dwie godziny. Kobiety kupowały chleb, namiastkę kawy i rzepeę szwedzką - przed wojną Francuzi dawali ją tylko koniom, ale teraz rzepa stała się podstawowym składnikiem francuskiej kuchni. Kiedy Charles dotarł do Hal, okazałego centralnego bazaru ze szkła i żelaza, zatrzymał wóz przed straganem z opałem; oddechy woźnicy i konia parowały na zimnie. Charles zszedł z wozu, rzucił okiem na stojących w oddali dwóch niemieckich strażników odwróconych w inną stronę, po czym dwukrotnie zastukał pięścią w wóz. Po chwili pod wozem otworzyło się podwójne dno, Nick i René Reynaud wyszli z ciasnej skrytki, w której podróżowali aż z Chartres, po czym szybko się oddalili.

Nick był pod wrażeniem skuteczności ruchu oporu. Na farmie pod La Rochelle otrzymał nowe nazwisko, Jules Granet, oraz wszystkie niezbędne podrobione dokumenty. Potem bez przeszkód pojechali z René pociągiem do Chartres. Tam dostali rowery, na których dotarli na farmę Charlesa Pepina. A teraz Paryż.



Pojechali metrem na południe miasta. Wagon był prawie pusty, ale na drugiej stacji wtoczyło się dwóch niemieckich żołnierzy zalanych winem; zgodnie z nieco dziwnymi przepisami o godzinie policyjnej, można ją było przeczekać w barze. Nick spał się, ale żołnierze usiedli w drugim końcu wagonu i szybko zasnęli.

Nick i René wysiedli w pobliżu Porte de Versailles, przeszli kilka przecznic *rue de Vaugirard*, następnie skręcili w wąską uliczkę i stanęli przed domem oznaczonym numerem 5. Stara konsjerżka okutana w płaszcz i koc, w mitenkach i długiej czapce, spojrzała na René i skinęła głową. Pospieszyli na drugie piętro, gdzie René wyjął klucz i otworzył drzwi. Weszli do czteropokojowego mieszkania, z oknami wychodzącymi na zaułek na tyłach domu.

Pokoje były urządzone w wygodnym, mieszczańskim stylu. Nick sądził, że salon jest pusty, ale kiedy René zamknął drzwi na klucz, zza drzwi zasłoniętych kotarą wyszło dwóch mężczyzn, chowając pistolety do kabur pod pachami.

- Guy i Paul - przedstawił ich René. - To jest Jules Granet, Nick Fleming.

Nick uściśnął im ręce. Guy poszedł do kuchni, skąd przyniósł dzbanek z kawą i cztery kubki.

- To prawdziwa kawa - oznajmił z uśmiechem. - Nie ta szkopska, gówniana namiastka. Ukradliśmy ją z pociągu, który wysadziliśmy w powietrze.

- To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od przybycia do Francji - odparł Nick, który przemarzył na kość.

- Guy jest reżyserem filmowym, a Paul pisarzem - powiedział René.

- Po wojnie chcemy nakręcić film o okupacji - powiedział Paul. - Naszą obecną działalność traktujemy jako dokumentację.

- Nick jest właścicielem studia filmowego w Hollywood - dodał René.

Wiadomość ta wywarła na Guyu i Paulu odpowiednie wrażenie.

- A więc musimy dopilnować, żeby przeżył - stwierdził Guy, a wszyscy się roześmieli.

Kiedy rozgrzali się nieco kawą, René powiedział:

- Diana Ramschild nie wie, czy przyjedziesz do Paryża, czy nie. Ze zrozumiałych względów utrzymywaliśmy to przed nią w tajemnicy. Teraz, kiedy już tu jesteś, skontaktujemy się z nią i umówimy na spotkanie. Nie musisz się obawiać, nie ufamy jej i wiemy, że to może być mitenka. Zanim ja tu przyprowadzimy będzie musiała jeszcze

odwiedzić dwa miejsca. Jeśli stwierdzimy, że Niemcy ją śledzą, odstąpimy od planu. Nick zamieszał kawę.

- Ciekawe dlaczego uparła się, że przekaże tę informację tylko mnie. Wiem, co powiedziała waszemu informatorowi

- że umiera i chce mnie zobaczyć, że wciąż mnie kocha, ale szczerze mówiąc, im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to nieprawdopodobne. Tu coś się kroi.

- Cóż, wkrótce się przekonamy - odparł René. - Spotkanie ma się odbyć o północy. Tymczasem proponuję, żebyśmy spróbowali się przespać. Znam większe atrakcje niż tłuczenie się przez cztery godziny konnym wozem.

- Nie był to Orient Express - przyznał Nick.

- Ta Diana Ramschild, zwana *La Dante aux Voiles* zabiła na tej wojnie majątek - stwierdził Guy. - Bez względu na powody, dla których nam teraz pomaga, nigdy jej nie wybaczę, że zrobiła fortunę na nieszczęściu Francji.

- Guy jest typowym paryżaninem - wyjaśnił René. - Gardzi biednymi, ale nienawidzi bogatych.

- Nienawidzę *collabos* - sprostował cicho Guy. - A ta dziwka, Laura Ducaze, z tym jej tłustym szkopskim wieprzem, z futrami, biżuterią i samochodem... Chętnie wepchnąłbym jej do cipy Żelazny Krzyż.

- Może, ale nie będziesz o tym kłapał dziobem - uciął René. - To nie jest jeden z twoich filmów o dobrych i złych ludziach. Jeśli Laura Ducaze może nam pomóc, przypnę jej Krzyż Loretański, a do cipy wsunę jej swego kutasa.

- Panowie, zaczynamy rozmawiać jak degeneraci - oświadczył Paul z udaną afektacją.

**Był** zdziwiony, jak pięknie wyglądała, kiedy weszła tej nocy do pokoju. Miała na sobie sięgającą ziemi pelerynę z norek, której przepych był drwiną z wojny. Na ufarbowanych na złoto, pięknie zebranych w siateczkę włosach miała zielony atlasowy turban, który, wraz z jasnozieloną woalką zasłaniającą dolną część twarzy, nadawał jej szczególnie pociągający wygląd dziewczyny z haremu. Pod norkami miała suknię wieczorową ze srebrną lamówką, która migotała w blasku świec (o północy wyłączano prąd). W urękawicznionych dłoniach ścisnęła wysadzaną drogimi kamieniami złotą torebkę od Cartiera. a Nick, który kupił kiedyś taka Edwinie, wiedział, że

kosztowała trzy tysiące dolarów. Niemal arogancka w tej demonstracji bogactwa w ubogim, wojennym Paryżu, zachowująca się po królewsku *La Dame aux Voiles* podeszła do Nicka, spojrzała na niego wciąż hipnotyzującymi zielonymi oczami i powiedziała:

- Spotykamy się w nieco odmiennych okolicznościach niż ostatnim razem.

Nick przypomniał sobie *Verhözimmer*.

- Myślę, że twoje słowa można uznać za eufemizm - powiedział łagodnie.

Spojrzała na trzech członków ruchu oporu stojących pod ścianą z pistoletami gotowymi do strzału.

- Działalam w dobrej wierze - powiedziała. - Nie szli za mną żadni Niemcy. Teraz wy musicie zrobić to samo. Chcę rozmawiać z Nickiem sam na sam.

René wyciągnął rękę.

- Musimy przeszukać twoją torebkę.

Niemal pogardliwym gestem Diana rzuciła mu błyskotkę wartą trzy tysiące dolarów.

- Nie zamierzam zastrzelić mego dawnego przyjaciela - powiedziała. - W torebce mam tylko tusz do rzes i drobne.

Szminka i róż nic nie pomogą mojej twarzy. - Odwróciła się z powrotem do Nicka. - Chociaż przyznaję, że kiedyś, dawno temu, kazałam cię zastrzelić. Czy odkryłeś, kto zastrzelił Roda Normana?

- Kula była przeznaczona dla mnie, prawda?

- Tak. Nienawidziłam cię wtedy. Miałam prawo cię nienawidzić za to, co mi zrobiłeś. Przestałam cię nienawidzić, kiedy zobaczyłam cię w tym niemieckim więzieniu. W życiu można nauczyć się jednej rzeczy - nienawiść może się znudzić. Nawiasem mówiąc, napisałam list do najemnego zabójcy z prośbą o zwrot pieniędzy, ponieważ zabito niewłaściwego człowieka. Nie odpisał mi.

- Gdybyś teraz wynajmowała morderców, żeby mnie zabić, marnowałabyś pieniądze. Jest wielu amatorów, którzy chcieliby mnie sprzątnąć. Listę otwiera mój były zięć.

- Cóż, mnie możesz skreślić z tej listy. Teraz leży w moim interesie, żebyś żył.

René oddał jej torebkę.

- Mówiła prawdę, Nick. Tylko tusz do rzes i drobne.

- Zostawicie więc nas samych? - spytała Diana. René podszedł do drzwi.

- Będziemy w kuchni - powiedział i trzech mężczyźni wyszli z pokoju.

Diana usiadła przy okrągłym drewnianym stole nakrytym koronkowym obrusem, na którym stało małe radio podłączone do mosiężnego żyrandola.

- Czy uwierzyłeś w to, co im powiedziałam? - spytała. - Ze umieram i chcę cię zobaczyć?

- A powinienem był? - spytał siadając naprzeciwko niej.

- To zależy od tego, czy nadal jesteś romantykiem. Jesteś, Nick? Kiedyś, dawno temu powiedziałeś mi, że miłość jest najważniejszą rzeczą w życiu. Czy nadal w to wierzysz?

- Tak.

- Mówiłeś też, że twoja miłość będzie trwała wiecznie. Twoja kryształowa kula była wtedy chyba trochę zamglona.

- Przypuszczam, że nie ściągnęłaś mnie aż do Paryża, żeby rozmawiać o naszej miłości?

- Och, być może. To dla mnie bardzo ważne, Nick. Nie masz pojęcia, ile razy ukazywałeś mi się we śnie.

Nawiedzałeś mnie przez lata. Nadal jestem w tobie zakochana, przedziwne, prawda? Ze też człowiek może mieć na innego człowieka tak wielki wpływ. My, ludzie, jesteśmy naprawdę dziwnymi stworzeniami. - Zawahała się. - Czy nadal wywieram na ciebie taki wpływ? - Zaśmiała się. - Nie, nie musisz na to odpowiadać. Dzięki mojej profesji stałam się specjalistką w sferze miłości. Mężczyźni zakochują się i odkochują. Tylko kobieta potrafi kochać wiecznie. To moje przekleństwo, Nick, i moja słabość. Kochałam cię przez te wszystkie lata, nawet kiedy sądziłam, że cię nienawidzę. Chciałam, żebyś przyjechał do Paryża między innymi po to, żebym ci mogła o tym powiedzieć. Myślisz pewnie, że nie było warto?

Mówiła cicho i przekonująco. Zdziwił się, jak bardzo poruszyły go jej słowa.

- Nie - odparł. - Może było warto.

- Byłeś szczęśliwy z Edwiną?

- Bardzo. Możliwe, Diano, że twoja opinia na temat mężczyzn jest nieco cyniczna. Kochałem Edwinę tak, jak ty mówisz, że kochasz mnie. Teraz nie żyje, ale nadal kocham pamięć o niej.

Bawiła się rączką złotej torebki.

- Cóż, wygląda na to, że przez te wszystkie lata przyświecały nam sprzeczne cele - powiedziała. - Ja kochałam cię, a ty kochałeś Edwinę. Chyba jednak to właśnie czyni życie interesującym: sprzeczne cele. W ten sposób dochodzę do innego powodu, dla którego

wezwałam cię do Paryża. Jesteś mi coś winien, Nick, a ja mam zamiar odebrać dług. Nie z goryczy ani zemsty, to wszystko dawno już umarło. Po prostu z poczucia sprawiedliwości.

- Co ci jestem winien?

- Faszyści szkalują cię w swojej prasie - uchyliła się od odpowiedzi.

- Amerykanie szkalują mnie w naszej prasie.

- Doktor Goebbels nazywa cię Tytanem Śmierci. Mówi, że ty i Churchill rozpętaliście wojnę. Twierdzi, że zarabiasz na niej setki milionów. Czy to prawda, Nick?

- Naturalnie, że zarabiam pieniądze. Nie ma przemysłowca, może z wyjątkiem najdrobniejszych płotek, który by nie zarabiał na tej wojnie. Sądząc po tych norkach, które masz na sobie, tobie też chyba nie powodzi się najgorzej.

Nawiasem mówiąc, jestem zdumiony, że nosisz je w miejscach publicznych.

Wzruszyła ramionami.

- Jestem tu uważana za kogoś egzotycznego, kogoś, kto ma swój własny styl. Paryżanie są w stanie wszystko wybaczyć każdemu, pod warunkiem że ma styl.

- Po wojnie może się to zmienić, biorąc pod uwagę źródło twoich dochodów.

- To właśnie jeden z powodów, dla których tu dziś przyszłam. Doiłam z faszystów, ile się dało, ale nigdy ich nie lubiłam. Göring potrafi być uroczy, kiedy ma na to ochotę, ale w głębi duszy to brutal. Poza tym jestem Amerykanką. Możesz mi nie wierzyć, Nick, ale na początku wojny, kiedy wydawało się, że Niemcy są niepokonani, naprawdę się bałam, że zwyciężą, bałam się o Stany. Teraz mogę pomóc dobrej stronie, i to mnie cieszy. Mogę też zabezpieczyć sobie przyszłość, z twoją pomocą.

Bardzo ostrożnie zbliża się do sedna, ale oto i ono, pomyślał.

- Za kilka miesięcy opuszczam Paryż - ciągnęła. - Jadę do Szwajcarii, zabierając tyle gotówki, ile tylko zdołam.

Przeczekałam tam wojnę. Nie obchodzi mnie, co się stanie z moim nocnym klubem - jeśli nie zamkną go Niemcy, bez wątpienia zrobią to Francuzi, kiedy wkroczą do Paryża.

Przerwała, wciąż nie spuszczając z niego oczu.

- Masz mój spadek, Nick. Masz Spółkę Ramschilda, którą założył mój dziadek i która pewnego dnia miała stać się moją własnością. Nie twierdzę, że wszedłeś w jej posiadanie w nieuczciwy sposób, ale ty ja masz, a ja nie. Chcę odzyskać część mojego spadku. Chcę jej,

ponieważ uważam, że mi się należy, i zamierzam dożyć w Szwajcarii spokojnej starości. A, tak przy okazji, kłamałam mówiąc, że umieram. Jestem zdrowa jak koń.

- Ile? - spytał.

- Chcę, żebyś w szwajcarskim banku zdeponował na moje nazwisko akcje Ramschilda wartości pięciu milionów dolarów.

- Nie.

- W takim razie nie dostaniesz informacji o ciężkiej wodzie.

- Nie dam ci akcji. Zdeponuję na twoje nazwisko pięć milionów dolarów, ale nie akcje. Masz rację, Diano, jestem ci coś winien i jestem gotów zapłacić. Ale nie akcjami.

Jej oczy błysnęły zielono i przez chwilę oczekiwał, że wybuchnie. Po chwili jednak wzruszyła ramionami.

- Zgoda, wezmę pieniądze. Umowa stoi?

- Stoi.

Wyciągnęła nad stołem urękawiczoną rękę i podali sobie dłonie.

- Drogi Nicku - szepnęła, nie puszczać jego ręki. - Jakże inaczej mogło się ułożyć nasze życie! - Puściła dłoń Nicka i wstała. - Najlepsze miejsce na spotkanie z Laurą to nocny klub. Ponieważ faszyci sądzą, że Semiramis to siedziba *collabos*, nie zwracają na klub większej uwagi. Poza tym ta dziewczyna ma specjalny immunitet jako kochanka Fritza von Stoltza. Bądź w klubie jutro o dziewiątej rano razem z przyjaciółmi. - Skinęła głową w stronę kuchni. - Laura powie ci wszystko, co wie, a dowiedziała się znacznie więcej podczas ostatniego weekendu z Fritzem w Bretanii.

Nick wstał.

- Będziemy tam. I, Diano... - Tak?

- Dziękuję.

Popatrzyła na niego smutno, a jednak z domieszką buntu, jak gdyby powiedziała mu więcej, niż pozwalała jej duma. Wspaniała kobieta, pomyślał.

- Wciąż jesteś piękną kobietą, Diano. Wyglądała na szczęśliwą. Otworzyła drzwi.

- Jak wrócisz do domu? - spytał. - Jest godzina policyjna.

- Pożyczyłam niemiecki samochód Laury - odparła z łobuzerskim błyskiem w oczach. - Żaden niemiecki żołnierz nie ośmieli się zatrzymać Horcha generała von Stoltza.

Zniknęła w mroku nocy.

## ***Rozdział czterdziesty drugi***

A więc w końcu to miłość sprowadziła go do Paryża, myślał następnego ranka, kiedy wraz z René, Guyem i Paulem jechali na rowerach na północ Paryża w stronę Montmartre'u. Miłość i pieniądze. Pięć milionów dolarów było dużą sumą, ale myślał o niej jak o cenie czystego sumienia. Możliwe, że wiele lat temu postąpił z Dianą zbyt okrutnie, a Bóg wie, że cierpiała. Tak więc ta suma była warta tego, by zapewnić jej szczęśliwe i bezpieczne życie. Poza tym tajemnica ciężkiej wody była warta znacznie więcej niż pięć milionów dolarów. Możliwe, że zależały od niej losy wojny.

Zastanawiał się, czy jego misja dobiegła już końca. Miał taką nadzieję, ponieważ, gdy pedałowali po pięknych paryskich ulicach -teraz dziwnie opustoszałych, z wyjątkiem pojazdów wojskowych, velo-taksówek i rowerów - widział liczne ślady obecności Niemców. Faszystowskie flagi trzepotały na słynnych budowlach i na wieży Eiffla; wszędzie widniały drewniane drogowskazy z niemieckimi napisami. Koniec okupacji mógł się zbliżać, ale najeźdźca wciąż był silny. Nick czuł, że im wcześniej się stąd wydostanie, tym wcześniej swobodnie odetchnie.

Gdy dotarli do Place du Tertre, gdzie niemiecki szeregowiec rozstawił sztalugi i malował akwarelami słynny plac, pojechali na tyły domu, w którym mieścił się klub Semiramis i oparli rowery o ścianę niedaleko wejścia dla aktorów. - Zapnij go - polecił René, wręczając Nickowi kłódkę. - Rower kosztuje tyle, co przed wojną nowy samochód. Czterej mężczyźni podeszli do służbowego wejścia i zapukali. Była godzina dziewiąta. Otworzył im starszy Francuz w dwóch swetrach, berecie, z papierosem przyklejonym do warg.

- *Bonjour* - wymamrotał cofając się do środka. - *Madame vous attend.*

Poprowadził ich przez zagracone pomieszczenie na zapleczu sceny klubu, który składał się uprzednio z trzech mieszkań, zanim Diana powybijała ściany i odnowiła wnętrza w 1938 roku, po śmierci Mustafy Kemala. Dotarłszy do drzwi z małą gwiazdką i tabliczką z napisem „Mile Ducaze”, starszy jegomość zapukał.

- *Entrez.*

Otworzył drzwi i mężczyźni weszli do małej garderoby, gdzie Diana i Laura siedziały w białych wiklinowych fotelach. Diana, mimo wczesnej pory, miała na sobie, jak zwykle, suknię do ziemi. Laura była za to ubrana w najlepszym okupacyjnym stylu - biała bluzka z bufiastymi rękawami, czarna, obcisła spódnica podkreślająca długie, cudowne nogi, i czarnorynkowe pantofle. Garderoba była przeładowana; w kącie stał parawan, na którym przyklejono plakaty z filmów francuskich i amerykańskich, jednak wszystkie pary oczu były zwrócone na Laure.

Nick nieczęsto widywał bardziej seksowne blondynki, a widział ich wiele. Zrozumiał obsesję generała von Stoltza.

- To jest Laura - przedstawiła dziewczynę Diana, kiedy starszy mężczyzna zamknął drzwi. - Jak z twoim francuskim, Nick?

- Ujdzie.

- To dobrze, bo angielski Laury nie istnieje. - Przeszła na francuski. - Kochanie, opowiedz panom o swoim weekendzie.

Laura zapaliła papierosa i nerwowo wydmuchnęła dym.

- W zeszły weekend Fritz, to znaczy generał von Stoltz, zabrał mnie do Bretanii. Pojechaliśmy na północne wybrzeże, do miasta o nazwie Trégastel, i zatrzymaliśmy się w *château* bankiera, wicehrabiego de Luchaire. Było luksusowo, bo wicehrabia przyjaźni się z wszystkimi faszystowskimi szlachami. Pojechaliśmy tam, ponieważ Fritz musiał odwiedzić miejsce, gdzie produkują ciężką wodę. To jest kilka kilometrów od zamku wicehrabiego, na samym wybrzeżu, w forcie z piętnastego czy szesnastego wieku - nie mam głowy do dat.

- Jak się nazywa to miejsce? - spytał René.

- Forteresse de Morlaix. Fritz wyszedł po lunchu i wrócił dopiero o wpół do szóstej. Póki był trzeźwy, zachowywał wielką dyskrecję, ale kiedy się upił jak zwykle, powiedział mi, że w przyszłym tygodniu przenosza całą produkcję do Niemiec.



- Dlaczego? - spytał zaskoczony René.
- Chyba dlatego, że boją się inwazji.
- Wobec tego nie mamy wiele czasu - powiedział zaniepokojony Guy.
- Skoro już wiemy, gdzie odbywa się produkcja, może skontaktujemy się z Londynem i powiedzmy im, żeby zbombardowali fort - zaproponował Paul.
- To zbyt ryzykowne - stwierdziła Laura. - Fritz powiedział mi, że wokół fortu znajduje się najcięższa artyleria przeciwlotnicza na całym wybrzeżu Francji. Nie rozumiem tego dokładnie, ale ta ciężka woda jest dla nich bardzo ważna.

Zgasła papierosa. Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Nick.

- Mam pewien plan - powiedział cicho.

**Fritz** von Stoltz naprawdę nie lubił podpisywać rozkazów egzekucji, ale należało to niestety do jego obowiązków. Pił między innymi dlatego, żeby zapomnieć o tych formularzach, które w ciągu paru godzin wyprawiały ludzi pod ścianę w Fort de Vincennes, gdzie ich zamykano, zasłaniano oczy i rozstrzeliwano na komendę porucznika Wenera Herzera. Wino zagłuszało to wszystko, odpędzało duchy ofiar - nawet człowiek tak brutalny jak Stoltz miał koszmary. Niestety, do wypędzania duchów potrzebował coraz więcej wina.

Dwie noce po tym, jak Nick, René, Guy i Paul przejechali na rowerach przez Paryż, żeby się spotkać z Laurą w Semiramis, Stoltz siedział przy swoim stoliku, pił ulubione La Tâche, słuchając, jak jego ukochana Laura śpiewa piosenkę rozpoczynającą nową rewię pod tytułem *Frühlingszeit in Berlin*, czyli „Wiosna w Berlinie”.

„Pójdziemy, trzymając się za ręce po Unter den Linden” - popiskiwała Laura, ubrana w białą atlasową suknię z wąskimi paseczkami na gołych ramionach.

Za nią paradowały nagie dziewczęta trzymając sztuczne gałęzie jabłoni i kwiaty wiśni. W tle dwa ptaszki gruchały miłośnie ponad oplecioną kwiatami swastyką. Nawet niektórzy niemieccy oficerowie siedzący na widowni parskali śmiechem. Jednak Stoltz, na wpół pijany, obserwował Laurę zafascynowanymi, zażawionymi oczami. Stoltz, który wspominał swą młodość w Berlinie, uważał, że piosenka jest niesłychanie romantyczna.

„Będziemy się całować w Tiergarten - śpiewała Laura po niemiecku. - Znajdziemy miłość, gdy wiosna zawita do Berlina."

Stoltz energicznie bił brawo, otarł łzy z oczu i zamówił kolejną butelkę La Tâche.

**Wspaniała** jest ta rewia! - beknął pół godziny później, waląc się na plecy na sofę w salonie Laury przy Place Vendôme. - Szczególnie ten pierwszy numer, który śpiewałaś. „Będziemy się całować w Tiergarten - zagruchał ochryplym głosem - ...gdy wiosna zawita do Berlina." ...Ach, *poupée*, jak bardzo chciałbym cię całować w Berlinie!

**Jak** ja tęsknię za tym miastem.

Laura napełniła jego kieliszek.

- Może nie będzie już Tiergarten, w którym moglibyśmy się całować - powiedziała. - Może nie będzie Berlina.

Stoltz lekceważąco machnął ręką.

- Mogą zbombardować Berlin, ale nie uda im się go zniszczyć. A potem, po wojnie, *Führer* zbuduje nowe miasto z wielkimi, szerokimi alejami... większymi niż Champs Elysée. Zobaczysz. Sprawy wyglądają teraz źle, ale *Führer* to geniusz. Alianci w końcu się zmęczą, zawrzemy jakieś porozumienie. Wszystko się ułoży. *Führer* to geniusz - powtórzył z zamkniętymi oczami.

Patrzyła na niego trzymając w dłoniach kieliszek i butelkę La Tâche.

- Fritz? - szepnęła.

Zastygła bez ruchu, wsłuchana w jego ciężki oddech. U Maxima wypił pół butelki więcej niż zwykle, toteż nie dziwiła się, że tak szybko stracił przytomność.

Odstawiła kieliszek i butelkę na stół, obserwując śpiącego. Zaczął cicho chrapać. Podeszła i rozpięła mu mundur, odsłaniając podkoszulek. Odczekała jeszcze minutę, żeby pogrążył się w głębokim śnie. Potem poszła na palcach do sypialni i otworzyła drzwi.

Za nimi stała Diana w swoich norkach do ziemi i futrzanym kapeluszu. Laura skinęła głową chlebobawczyni, na co Diana podeszła do szafy i otworzyła ją. Wszedł René Reynaud w skórzanej kurtce i czarnej, wełnianej czapce.

Diana wskazała na Laurę i oboje ruszyli do drzwi.

- Śpi - szepnęła Laura, zbytecznie, ponieważ chrapanie Stoltza rozbrzmiewało teraz w całym mieszkaniu.

Wszyscy troje weszli na palcach do salonu. René wyjął z kieszeni marynarki rewolwer i przykręcił tłumik. Dwie kobiety patrzyły jak zahipnotyzowane, gdy podszedł na palcach do sofy i wycelował w serce Stoltza; tłumik znajdował się może o dwa centymetry od podkoszulka.

- *Vive la France* - powiedział cicho i pociągnął za spust. Ciało Stoltza lekko drgnęło, a chrapanie ustało.

- Przynieście ręcznik - rozkazał René.

Laura, która zamknęła wcześniej oczy, by nie patrzeć na egzekucję, pobiegła do kuchni z pobladłą twarzą. Wróciła z białą ścierką do naczyń i rzuciła ją Reynaudowi. Wepchnął ją między poplamiony krwią podkoszulek a śmiertelny otwór po kuli.

- Teraz odczekamy pół godziny - zarządził René, odkręcając tłumik. - Mogę wypić jego wino? Szkoda dobrego burgunda.

Laura skinęła głową. Diana podeszła do sofy i spojrzała na zwłoki generała.

- Wreszcie wiem, co to znaczy „pijany w trupa” - powiedziała. René uniósł kieliszek w stronę zwłok.

- Teraz Stoltz prowadzi pewnie ciekawą rozmowę z tymi pięciuset ludźmi, których kazał rozstrzelać. *Prosit, Herr General*, ty thusty skurwysynu. - Podniósł kieliszek do ust.

Laura pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

**Pół** godziny później Laura w rosyjskich sobolach i Diana w norkach wyniosły martwego generała, którego ciągnęły między sobą, zarzuciwszy sobie na szyję jego ręce. Wyszły z domu Laury na Place Vendôme, gdzie jak zwykle parkował Mercedes Stoltza z małymi flagami ze swastyką, stojącymi na baczność na przednich zderzakach. Padał drobny śnieg, a Reinhard, szofer Stoltza, spał na przednim siedzeniu, zgodnie z przewidywaniem Laury. W mieszkaniu zapięły na Fritzu mundur, a następnie, podczas gdy René trzymał trupa w pozycji stojącej, nałożyły mu na głowę generalską czapkę. Laura, wstrząsana dreszczem za każdym razem gdy dotykała trupa, stanęła jednak na wysokości zadania; Diana, która napatrzyła się w Turcji na umarłaków, nawet nie mrugnęła. Kobiety ściągnęły trupa po schodach na śnieg, Laura otworzyła tylne drzwiczki i wspólnie usadowiły generała wyprostowanego w kącie samochodu.

- Obudź się, Reinhard! - krzyknęła Laura, pukając w szybkę działowa. Szofer ocknął się. a Laura otworzyła szybke.

- Przepraszam, *Fräulein*, zdrzemnąłem się...

- W porządku. Właśnie zadzwoniono do generała, ma natychmiast pojechać do Fortresse de Morlaix. Lotniska zamknięto ze względu na pogodę, więc musimy jechać. Masz dość benzyny?

Reinhard patrzył na generała wspartego na tylnym siedzeniu. Diana siedziała obok niego.

- Tak.

- W takim razie, ruszaj. Jak widzisz, generał za dużo wypił, więc moja przyjaciółka i ja musimy się nim zaopiekować.

- Tak, *Fräulein*. Powinna była pani wezwać pomoc...

- W porządku. Ile czasu zajmie nam droga do Bretanii?

- Pięć, może sześć godzin...

- No, to gaz do dechy. Sprawa jest pilna.

Zamknęła drzwiczki, przestąpiła oficerki Stoltza i kalosze Diany, usiadła w przeciwległym kącie, a Reinhard uruchomił silnik. Nachyliła się, żeby zamknąć szybkę działową, a Mercedes, wyposażony, w zaciemniające zasłony na reflektorach, ruszył z rykiem w drogę.

- Jak na razie, w porządku - mruknęła do Diany.

Diana, która miała w torebce czeki wartości siedmiu milionów franków - całą swoją gotówkę - skinęła głową. Sięgnęła w bok i przesunęła nieco rękę Stoltza.

- Zaczyna sztywnieć - szepnęła. Laura wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

### ***Rozdział czterdziesty trzeci***

Strażnik wprowadził więźnia numer 50143 do sali widzeń Federalnego Zakładu Penitencjarnego w Lewisburgu, a następnie wskazał mu trzecią kabinę od końca. Chester Hill usiadł tam i spojrzał przez siatkę na siedzącą po drugiej stronie piękną kobietę w czarnej sukience i eleganckim czarnym kapeluszu z woalką.

- Masz dziesięć minut - oznajmił strażnik, po czym wrócił do stalowych drzwi.

- Przyniosłaś zdjęcia? - spytał Chester, który w ciągu trzech lat pobytu w Lewisburgu stracił sześć kilo.

- Tak, dałam je strażnikom - odparła jego była żona Sylwia. Rozwiodła się z nim w miesiąc po skazaniu Chestera.

- Jak się ma Artur?

Artur był ich synem. Wkrótce po tym, jak aresztowało go FBI, Chester dowiedział się, że wreszcie udało mu się zapłodnić żonę.

- Ma się dobrze. Chester zacisnął pięści.

- Gdybym tylko mógł go zobaczyć - mruknął ponuro.

- Chester, wiesz cholernie dobrze, że nie mogłabym go tu przyprowadzić, a nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. Nie chcę, żeby mój syn wiedział, że jego ojciec jest przestępcą, zdrajcą ojczyzny.

Po twarzy Chestera przebiegł skurcz.

- Zrobiłem to dla ciebie - powiedział.

- Co z tego? To było głupie. Boże, a ja myślałam, że jesteś sprytny.

- Dziwka - warknął.

- Nie przysłałam tu po to, żebyś mnie wyzywał.

- W takim razie po co przyszłaś? Dotąd się nie fatygowałaś! Nie

odwiedził mnie nikt z twojej cholernej rodziny. Pewnie udajesz, że w ogóle nie istniałem! A może mówisz ludziom, że umarłem? Wszystko, byleby się nie przyznać, że były małż siedzi w pudle.

- Rozumiem twoje rozgoryczenie, Chester, ale w końcu handlowałeś z wrogiem, więc nie zwalaj winy na nas. Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że ojciec potraktował cię całkiem nieźle. Pozwolił ci zatrzymać akcje, wypłaca ci honoraria za wszystkie twoje wynalazki. Jesteś pewnie najbogatszym więźniem w Ameryce.

Bogacę się bardziej z każdym dniem, pomyślał. Stanę się dostatecznie bogaty, żeby któregoś dnia wam wszystkim odplacić. Ironia polegała na tym, że Chester, który na wolności nigdy nie miał dość pieniędzy i właściwie trafił do więzienia z powodu połazczenia się na dużą sumę, za kratami stawał się milionerem dzięki swoim wynalazkom oraz błyskotliwym operacjom giełdowym.

- Przyszłam tu po to, żeby powiadomić cię osobiście, że powtórnie wychodzę za męża.

- Gratuluję - prychnął szyderczo. - Czy poznałaś szczęśliwego pana młodego w jakimś barze? A może wpadłaś na niego w Biltmore?

Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Ani jedno, ani drugie. Poznałam go w wiejskim klubie w Piping Rock. Jest bardzo miły, bardzo bogaty i wyjątkowy. Nazywa się Cornelius Payson Brooks i będzie cudownym ojcem dla Artura. Zgodził się go nawet zaadoptować.

- Adoptować!?! - Chester niemal wyskoczył z krzesła.

- Chester, bądź rozsądny. Siedzisz w więzieniu! Byłoby nieuczciwe wobec Artura, żeby nosił twoje nazwisko.

Rodzina Corny'ego żyje w Stanach od czasów Rewolucji...

- Nie! - krzyknął zrywając się z krzesła. - To mój syn! Idź do diabła, ty dziwko! Ty, twój przeklęty ojciec, który zarabia na wojnie, i ten twój braciszek-waż! Pewnego dnia wszyscy mi zapłacicie!

Dwóch strażników rzuciło się na niego, ale Chester był w takim amoku, że wyrwał się im i uderzył jednego z nich w szczękę. To był błąd. Umieszczono go na miesiąc w izolatce.

Jednak w ciągu tego miesiąca wartość akcji Chestera wzrosła o dziesięć tysięcy dolarów. Gdy tak siedział w ciemnej, cuchnącej celi bez okien, lecząc zranioną dumę i podtrzymując płomień zemsty, wpadł na pomysł wynalazku, który pewnego dnia mógł go uczynić najbogatszym człowiekiem Ameryki.

Katedra św. Patryka wypełniła się wielkimi osobistościami świata prasy, przybyłymi na pogrzeb Vana Nuysa de Courcy Clairmonta, który zaskoczył wszystkich umierając na ciężki zawał, mimo wielu lat rygorystycznych ćwiczeń. Przybyli wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, gubernator stanu Nowy Jork, burmistrz, ważne osobistości ze świata biznesu i sztuki. Oddziaływanie gazet Vana rozciągało się na wszystkie sfery życia, a mimo że był szczerze znienawidzony przez wielu wpływowych ludzi, nawet jego wrogowie stawili się na pogrzebie, chociażby tylko po to - jak powiedział jeden z dowcipnisiów - by upewnić się, że naprawdę umarł.

Wdowa po Vanie, siedemdziesięcioletnia Edith, była zrozpaczona stratą męża, którego kochała przez tyle lat. Gdy siedziała w ogromnej katedrze, pocieszała się tylko tym, że udało jej się wygrać wieloletnią walkę z Vanem - jej adoptowany syn, Nick, miał odziedziczyć sieć gazet.

To znaczy, o ile zdoła wrócić żywy z Paryża...

Porucznik lotnictwa Charles Fleming przeżył nudne pół godziny.

- Luftwaffe nas zawiodło - nadał przez radio swego Spitfire'a. Leciał nad Norfolk w pochmurny dzień. - Nie ma tu nikogo.

- W takim razie wracaj do domu - rozkazała baza.

- Roger.

Zaczął nucić piosenkę, którą usłyszał zeszłej nocy w londyńskim kabarecie. Piosenka, śpiewana przez jasnawłosą węgierską seksbombę, Magdę Kun, wprowadziła publiczność w ekstazę, kiedy piosenkarka dochodziła do pointy:

„Mam najgłębszy schron w całym mieście.”

Właśnie wtedy Charles spostrzegł Messerschmitta 109E, który pojawił się z prawej strony, nadlatując z dużą szybkością. Był uzbrojony w dwa działka kaliber dwadzieścia milimetrów umieszczone na skrzydłach oraz parę karabinów maszynowych kaliber siedem i dziewięćdziesiąt dwie setne milimetra za śmigłem. Charles zanurkował, kierując się w chmurę, gdzie mógł zająć lepszą pozycję strzelecką, ale było za późno. Messerschmitt wypalił, a Charles zauważył z przerażeniem, że jego silnik staje w płomieniach.

- Jezu! - wykrztusił, otwierając pokrywę kabiny.

Czarny dym i płomienie wydobywające się z silnika dusiły go. Znajdował się na wysokości dziewięciuset metrów i szybko spadał. Odczekał, aż samolot wpadnie w chmurę, wtedy zerwał się, policzył wolno do dziesięciu i szarpnął za linkę wyzwalającą spadochron. Nad głową wykwitł mu wielki, biały klosz, a szarpnięcie spowodowało, że bezładne spadanie przeszło w szybowanie. Wciąż znajdował się w chmurze, co było dziwnym doznaniem, ale Charles wiedział, że kiedy straci tę osłonę, stanie się łatwym celem dla Messerschmitta. Obie walczące strony uważały pilota salwującego się na spadochronie za łatwy łup. Pilota było trudniej zastąpić niż samolot. Charles uzyskał sławę podniebnego śmiałka, którego wyczyny graniczyły niekiedy z głupotą, jednak teraz robił w portki ze strachu. Wypadł z chmury. Spojrzał w dół i zobaczył zbliżające się pola Norfolk. Jak spokojnie wyglądały! Wtedy ujrzał Messerschmitta - był zaledwie punkcikiem, ale leciał prosto na niego; wściekła osa śmierci. Nadeszła chwila,

0 której Charles zdecydowanie nigdy nie chciał myśleć - chwila śmierci. To nie przeszłość przesunęła się przed oczami jego wyobraźni, ale przyszłość, która miała go ominąć. Przejęcie Ra-mschilda, zajęcie równie ważnej pozycji społecznej, jaką ma ojciec, może nawet ważniejszej... nie byłby wtedy synem Nicka Fleminga, ale to Nick byłby ojcem Charlesa Fleminga... To wszystko mnie ominie, zawył jakiś głos w jego głowie, gdy patrzył na nadlatującego Messerschmitta z karabinami maszynowymi wycelowanymi prosto w niego. A więc tak wygląda śmierć, pomyślał gorączkowo.

Messerschmitt zatoczył łuk, mijając spadochroniarza w odległości siedmiu metrów. Charles zobaczył, że niemiecki pilot pokazuje mu kciuk skierowany w górę.

Zawył z radości, podniósł oba kciuki, Niemiec pomachał mu i zniknął w chmurze.

Czytał gdzieś, że pod koniec wojny secesyjnej, kiedy stało się jasne, że Południe przegrało, żołnierze po obu stronach zaczęli sobie okazywać litość, unikając bezsensownego rozlewu krwi. Najwyraźniej pilot niemiecki okazał ten sam rodzaj rycerskości.

Charles tańczył w powietrzu. A więc jednak przyszłość należała do niego!

Wyładował na polu brukselki i złamał lewą nogę.



Stoltz się dziś naprawdę urznął! - pomyślał Reinhard Kissler, szofer generała von Stoltza, spojrzawszy w lusterku na generała, który wciąż siedział w kącie na tylnym siedzeniu obok Diany Ramschild. Jadę już kilka godzin, a ten siedzi, jakby połknął kij. Wykończy się, jeśli nie odstawi alkoholu...

Dochodziła szósta rano, a nad szosą biegnącą wzdłuż skalistego wybrzeża północnej Bretanii wstawał świt. Po drodze prawie nie mijali samochodów, więc szofer generała miał świetny czas; od Forteresse de Morlaix dzielił ich zaledwie kwadrans. Wąska, kręta droga zmusiła Reinharda do zmniejszenia prędkości do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, ale i tak opony piszczały na zakrętach. W pewnym momencie droga oddaliła się od wybrzeża i skręciła w krótki tunel w skale.

Bum! Bum! Bum! Bum! Reinhard nacisnął hamulec, kiedy strzeliły wszystkie cztery opony. Mercedesem zarzuciło; o mały włos nie wpadł na skałę, ale doświadczenie ocaliło Reinharda. Udało mu się zatrzymać samochód tuż przed wyjazdem z tunelu. Wyskoczył z latarką, żeby sprawdzić, co się stało. Zdażył zauważyć na jezdni odłamki szkła i zwoje kolczastego drutu, kiedy do tunelu wbiegło trzech mężczyzn z karabinami maszynowymi.

- Nie ruszaj się, albo po tobie! - krzyknęli.

Reinhard odwrócił się i podniósł ręce do góry. Guy (który w rzeczywistości nazywał się Vincent Jolicoeur) odebrał szoferowi pistolet i skuł mu ręce kajdankami, a Nick otworzył tylne drzwi samochodu. Generał von Stoltz padł mu w objęcia.

- Boże, nie puszczaj go teraz! - krzyknęła Diana. - Podtrzymałam go przez kilka godzin.

Nick z powrotem wepchnął zwłoki do wozu.

- Nic wam nie jest? - spytał.

- Czy generał nie żyje? - wykrztusił Reinhard.

- Zgadza się. - Guy uśmiechnął się szeroko. - Wiozłeś trupa.

- *Gott im Himmell*

Czterech innych bojowników ruchu oporu wjechało konnym wozem do tunelu.

- Zmieńcie opony! - krzyknął Paul (w rzeczywistości Yves Lefebre). - Potem załadujcie samochód.

Nick pomagał Dianie i Laurze wysiąść z wozu.

- Mamy pół godziny do spotkania z łodzią podwodną - powiedział. - Musimy się spieszyć. Szybko.

- Trzeba mi było włożyć buty turystyczne - jęknęła Laura.
- Wyglądałyby dziwacznie z tym futrem z soboli, kochanie -zauważyła Diana.

Nick podszedł do Guya.

- Jakież kłopoty? - spytał.
- Na razie żadnych.
- Wobec tego znikamy. Fajerwerki obejrzymy przez peryskop łodzi podwodnej.

Paul podszedł do nich, a Nick uściśnął mu rękę.

- Nie brak ci odwagi - powiedział. - Cholernie cię podziwiam. Paul wzruszył ramionami.
- To ty wpadłeś na ten pomysł. Francja ci tego nie zapomni.
- Francja nie zapomni ciebie - powiedział Nick i mówił poważnie.
- Szkopy! - krzyknął jeden z członków ruchu oporu. Odwrócili się i ujrzeli światła w wylocie tunelu.
- Cholera - zaklął Nick. - Tego nie było w planie.
- Zauważyli nasze światła, niech to szlag!
- Nie strzelajcie, póki nie wjadą do tunelu! - krzyknął Guy. - Nie przestawajcie zmieniać opon!
- Niech ktoś podeprze generała! Przewrócił się. Diana otworzyła tylne drzwiczki Mercedesa i wsiadła.
- No dalej, Fritz - powiedziała, sadzając trupa. - Uśmiechnij się ładnie do Niemiaszków. Zrób ważną minę i nie wyglądaj jak zdechłak. - Zapaliła lampkę, żeby było widać generała.
- Mówisz po niemiecku? - spytał Laurę Nick.
- Tak.
- Powiedz im, kim jesteś. Powiedz, że generał jedzie do fortu, ale partyzanci przebili mu opony! Zatrzymaj ich!
- Tak, dobrze...

Ruszyła w stronę wylotu tunelu. Pojazd, wojskowy autobus zatrzymał się, przednimi drzwiami wysiadł niemiecki porucznik. - Co się stało? - zawołał.

Laura szybko do niego podeszła. Młody porucznik otworzył szeroko oczy na widok piękności odzianej w futro z soboli.

- Kim pani jest?
- Nazywam się Laura Ducaze, jestem przyjaciółką generała von Stoltza, który siedzi w tamtym samochodzie. Ktoś rozsypał w tunelu potłuczone szkło, pewnie ruch oporu, popękały nam wszystkie opony. Musieliśmy wezwać na pomoc wieśniaków z wozem...

- Czy możemy w czymś pomóc?

- Nie, już wszystko w porządku. Ale dziękuję. - Posłała mu swój najładniejszy uśmiech. Myśli porucznika były tak oczywiste, że niemal wybuchnęła śmiechem.

- No, cóż... - Przełknął ślinę. - Trzeba przesunąć wóz. Muszę przejechać autobusem. Wiozę do Drancy dwa tuziny Żydów, muszą tam być przed południem.

W Drancy, osławionym obozie pod Paryżem, niedaleko lotniska Le Bourget, zatrzymywano francuskich Żydów, którzy czekali tam na deportację do obozów śmierci.

- Tak - odparła Laura. - Każę im przesunąć wóz. - Znowu się uśmiechnęła. - Dziękuję za pańską pomoc, poruczniku. Jest pan równie rycerski, jak przystojny.

Oblał się rumieńcem, a Laura odwróciła się i pospiesznie wróciła do tunelu.

- Ten autobus jest pełen żydowskich więźniów, których wiozę do Drancy - powiedziała. - Chcą, żebyśmy przesunęli wóz, by mogli przejechać. Chyba mi uwierzył.

- Dobra robota - pochwalił Nick. - Zdejmijcie zasieki z drutu kolczastego i przesuniecie wóz. Nie strzelajcie bez potrzeby. Nie będziemy zabijać więźniów.

- Jeśli jada do Drancy, to tak, jakby już nie żyli - odparł Guy. - Uważam, że trzeba wytłuc tych szkopów.

- Może jest tak, jakby już nie żyli, ale żyją - odparował Nick. - My na pewno ich nie zabijemy! Nie strzelać i schować karabiny.

Porucznik Kurt Eigler wsiadł z powrotem do autobusu i rozkazał kierowcy ruszać, kiedy tylko wóz zjedzie im z drogi. Porucznik Eigler był wciąż pod wrażeniem urody Laury, ale przyszło mu na myśl, że cała ta sytuacja jest dość dziwna. W jaki sposób generał von Stoltz zdołał zebrać tylu chłopów do pomocy przy zmienianiu opon o tak nieludzkiej godzinie? A jednak był to służbowy samochód, a na tylnym siedzeniu - musiał mieć nerwy ze stali, skoro spał w takim zamieszaniu - siedział generał von Stolz. Bez względu na dziwaczność sytuacji porucznik Eigler nauczył się nie kwestionować autorytetu wyższego rangą oficera, a już na pewno nie generała!

Kiedy wóz zjechał z drogi i stanął za Mercedesem, kierowca autobusu zmienił bieg i ruszył w kierunku wylotu z tunelu. Myśląc o Laurze Ducaze, kierowca zaczął śpiewać znaną piosenkę Marleny Dietrich: *Ich bin von Koïf bis Fuss auf Liebe eingestellt*. Porucznik

Eigler, również myśląc o Laurze, przyłączył się, i tak rozśpiewani ruszyli przez tunel.

Gdy Mustafa Kemal uwolnił Dianę Ramschild z tureckiego szpitala psychiatrycznego, postanowiła, że siłą woli zahartuje się tak, by już nigdy w życiu nie doznać szoku. Udało jej się. Z wyjątkiem okresowych niepowodzeń, jak podczas spotkania z Nickiem w więzieniu Gestapo, była kobietą o żelaznym opanowaniu, twardą i niepodatną na cierpienia. Teraz jednak, gdy tkwiła na tylnym siedzeniu Mercedesa i patrzyła na nadjeżdżający autobus, wydarzyło się coś, co rozbiło jej opanowanie w proch. Poczowała, że siedzący obok trup generała von Stoltza się poruszył. Ciało powoli sztywniało! Krzyknąwszy z przerażenia, Diana otworzyła najbliższe drzwiczki i wyskoczyła z samochodu. Porucznik Eigler i jego kierowca przestali śpiewać.

- *Was is los?*

Autobus stał obok generalskiego samochodu.

- Stój! - rozkazał Eigler, oglądając się na tylne siedzenie Mercedesa, gdzie nie było już śladu po generale von Stoltzu. Wyjął rewolwer, otworzył drzwiczki autobusu i wysiadł, by zbadać całą sprawę. Diana przestała krzyczeć i w tunelu zapadła niesamowita cisza. Eigler podbiegł do samochodu i zajrzał do środka. Gazy uchodzące z rozkładających się wnętrzności trupa w połączeniu z postępującym *rigor mortis* ułożyły ciało w całkowicie nienaturalnej pozycji. Eigler sięgnął przez otwarte drzwiczki i dotknął twarzy generała, choć wiedział już, że ma do czynienia z nieboszczykiem.  
- Straż! - zawołał.

Z tylnych drzwi autobusu wysiadło czterech niemieckich żołnierzy. W tej samej chwili zaterkotały francuskie pistolety maszynowe. Kule rozorały pierś porucznika Eiglera; runął w tył do wnętrza Mercedesa, padając na trupa Stoltza. Tunel rozbrzmiewał strzałami; czterech strażników padło na chodnik. Zapadła cisza, zakłócana tylko echem strzałów, odbijanym przez wilgotne ściany i sufit tunelu.

Przestąpiwszy martwych strażników, Nick pobiegł na tył autobusu i zajrzał do środka. W słabym świetle ledwo dostrzegł więźniów stłoczonych w małym pojeździe jak dantejskie cienie.

- Wychodźcie - powiedział. - Jesteście wolni! Wychodźcie! - Nikt się nie ruszył. - Jestem Amerykaninem - dodał. - Tamci to partyzanci z ruchu oporu. Wychodźcie. Musicie się spieszyć! Mamy mało czasu!

Cienie się poruszyły. Do Nicka podeszli Guy, Paul i Laura.

- Wracajcie do pracy! - krzyknął Guy do pozostałych. Partyzanci powrócili do zmieniania opon w generalskim samochodzie, a Laura patrzyła, jak więźniowie wychodzą z autobusu. Laura, która w Semiramis śpiewała wesoło o *youpins* - „żydkach”, teraz widziała dwa tuziny przestraszonych ludzi wychodzących z autobusu. Ręce mieli związane z tyłu. Z pomocą Nicka, Guya i Paula wysiadło dwoje nastolatków, może brat i siostra, za nimi gospodynie, biznesmeni, para staruszków. Wszyscy wyglądali raczej na zszokowanych i skołowanych niż szczęśliwych z powodu nagłej odmiany losu.

### **Kopnij żydka, Rower mu weź I do Paryża jedź!**

Laura Ducaze poczuła mdłości ze wstydu.

- Czy możecie się nimi zaopiekować? - spytał Nick.

- Musimy - odparł Guy. - Znajdziemy dla nich jakąś kryjówkę. A na razie mamy dziesięć minut spóźnienia.

- Wiem. Musimy zacząć ładować dynamit do samochodu. Poczekaj! - Nick spojrzął na autobus. - Do diabła z samochodem, autobus jest lepszy. Nie znajdą w nim dynamitu!

- Masz rację - przyznał Guy, po czym krzyknął do pracujących: -Zostawcie te opony! Ładujcie dynamit do autobusu!

Osiem minut później autobus z załadowanymi z tyłu sześcioma drewnianymi skrzynkami dynamitu z lontami - wystarczająca ilość, by wysadzić całą dzielnicę miasta - wycofał się z tunelu, zawrócił i ruszył w kierunku Forteresse de Morlaix. Za kierownicą siedział Paul, który poprzedniego dnia badał przez lornetkę drogę i sam fort. Spojrzął na zegarek - do detonacji dynamitu zgromadzonego z tyłu autobusu zostało dwanaście minut. Nacisnął pedał gazu.

Szybkościomierz wspinał się - 50 kilometrów na godzinę, 55, 60, 65, 70, 75. Paul myślał o swoim życiu, które miało trwać jeszcze dziewięć minut, dziewięć minut do wieczności. Wspominał dzieciństwo w milej podparyskiej miejscowości Neuilly, ojca lekarza i matkę piszącą wiersze, których nigdy nie wydano. Wspominał pierwsze romanse, lata studiów na Sorbonie, swoją przygodę z kinem, marzenia o pisaniu

scenariuszy filmowych... Poprzedniego dnia ciągnęli słomki, i jemu trafiła się krótką. Teraz przeżyje po tysiącokroć bardziej niesamowity scenariusz, niż kiedykolwiek mógłby sam napisać.

W oddali zamajaczyły wysokie kamienne mury fortu. Paul znowu sprawdził czas - trzy minuty. Spojrzał na szybkościomierz - sto kilometrów na godzinę. Zlewał się potem. Jakie to będzie uczucie? Nie poczujesz nic, powiedział sobie. Po prostu nagła ciemność. Był na tyle próżny, że wyobrażał sobie, jak go będą wspominać jako bohatera. Był na tyle inteligentny, że pytał siebie, czy za dwadzieścia lat ktokolwiek będzie o nim pamiętał.

*N'importe*, pomyślał. Oddaję życie za coś wartościowego.

Dwóch strażników stojących przy bramie siatkowego ogrodzenia ujrzało pędzący na nich autobus. Wyszli z wartowni, zakładając, że zwolni, jednak, ku ich zdumieniu, nie zwolnił.

- *Haiti* - krzyknął jeden z nich, po czym obaj wystrzelili.

Sekundę później autobus runął przez szlaban i ruszył na bramę fortu. Jeden ze strażników popędził, by uruchomić alarm, a drugi nieprzerwanie strzelał za autobusem. Rozpędzona maszyna przemknęła jak piorun przez zwodzony most nad fosą i uderzyła w ciężkie, drewniane bramy.

Wybuch słyszano aż w miasteczku Morlaix, położonym sześć kilometrów na południe od fortu.

### ***Rozdział czterdziesty czwarty***

Jezus Maria! - wykrzyknął komandor Warren V. Hickman, kapitan USS *Starfish*. - **Ale** grzmotnęło! Zobacz. Odsunął się, a Nick spojrział przez peryskop. Ujrzał płomień i dym kłębiący się nad fortem, który wyglądał jak zbiornik z paliwem trafiony rakieta V-2. Gdzieś pośród tego dymu, myślał, jest dusza Yvesa Lefebre'a, pseudonim Paul, dzielnego bojownika ruchu oporu. Niech Bóg zachowa tę duszę.

- Chyba powinniśmy się stąd wynosić - stwierdził komandor Hickman. Po raz ostami popatrzył na fort przez peryskop, potem obrócił go i sprawdził powierzchnię morza: żadnych statków. - Peryskop w dół - rozkazał. - Przygotować się do zanurzenia.

Nick zszedł po drabince do Diany i Laury siedzących w maleńkiej mesie oficerów. W zatłoczonych maszyniarni wewnątrz łodzi podwodnej kobiety w norkach i sobolach wyglądały kompletnie nie na miejscu.

- Już po wszystkim - oświadczył Nick, przyłączając się do nich na filiżankę kawy. - Dzięki wam, między innymi.

- A Paul? - spytała Laura.

- Nie żyje.

- W jaki sposób został wybrany?

- Ciągnęli losy. Mógł się wycofać, ale tego nie zrobił.

Diana spojrzała na Nicka. Bolały ją nogi od schodzenia po skałach . na plażę, skąd zabrał ich ponton, a poza tym ciągle jeszcze nie doszła całkiem do siebie po szoku wywołanym przez poruszającego się trupa.

- Komandor Hickman mówił, że zdążymy do Londynu na lunch. Myślę, że wszystkim nam przydałby się przyzwoity posiłek - powiedziała.

- U Claridge'a - zarządził Nick. - Ja stawiam.

Laura wypila łyk kawy. Kiedy odstawiła filiżankę, spostrzegła, że Nick jej się przygląda.

Już kilkakrotnie zauważyła na sobie jego wzrok.

Diana, która także pochwyciła to spojrzenie, poczuła ukłucie zazdrości.

oześć godzin później kończyli solę *Véronique* w luksusowym narożnym apartamencie na drugim piętrze Claridge'a.

- Co zamierzasz teraz robić? - spytał Nick, kiedy kelner rozlewał drugą butelkę Puligny-Montrachet rocznik trzydziesty ósmy. - Nie możesz jechać do Szwajcarii, nie wracając przedtem do Francji, a to bym ci odradzał.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła Diana. - Teraz, skoro już jestem w Londynie, przeczekam wojnę tutaj. Mam dość pieniędzy, turecki paszport i znajomości. Powinnam dać sobie radę. Ty tymczasem przeprowadzisz malutką transakcję finansową. Ja może nie dam rady dotrzeć do Szwajcarii, ale twoje pieniądze owszem.

- Dziś po południu porozmawiam z moimi londyńskimi bankierami. Nie bój się Diano, nie łamię danego słowa.

- Czyżby? Już raz to zrobiłeś.

- Punkt dla ciebie - przyznał. - Tym razem jednak się nie wycofam. - Zwrócił się do Laury: - A co z tobą? Jakie masz plany?

Wzruszyła ramionami, gdy kelner włożył butelkę do kubelka z lodem i po cichu wyszedł z pokoju.

- Chyba zostanę tutaj - powiedziała. - Nie mam dokąd jechać.

- A Nowy Jork?

- Nowy Jork? - spytała zdziwiona.

- Czemu nie? Mogę wynająć dla ciebie mieszkanie i pożyczyć ci tyle pieniędzy, ile zechcesz.

- Ależ ja nie znam angielskiego!

- Zapisz się na kurs Berlitz'a.

Spojrzała na Dianę, a potem znowu na Nicka.

- Panie Fleming, przyznaję, że pozwoliłam, żeby Fritz von Stoltz mnie kupił, bo moje życie w Paryżu było ciężkie.

Ale to nie znaczy, że każdy może mnie kupić. - Wstała od stołu. - Proszę mi wybaczyć. Miałam wyjątkowo nieprzyjemną noc i jestem bardzo zmęczona. Dzięki za lunch.



Patrzył, jak wychodzi z apartamentu. Diana upiła łyk wina.

- Pojedzie z tobą - powiedziała. - Zgrywa się tylko na niedostępną. Jesteś głupi, że się w to mieszasz. Zanim z tobą skończy, wyciągnie z ciebie miliony. - Odstawiła kieliszek. - Gdybyś był mądry, znalazłbyś sobie nową Edwinę.

Nick zmarszczył czoło.

- Chyba spłaciłem dług wobec ciebie, Diano. Nie potrzebuję porad dla zakochanych.

- Być może. Mam nadzieję, że nie myślisz o wzięciu jej za żonę?

- Kto mówi o ożenku? Uważam po prostu, że jest cholernie atrakcyjna, i podziwiam sposób, w jaki przez to wszystko przeszła. Czemu nie miałbym jej zaproponować podróży do Nowego Jorku? Tobie proponuję to samo, jeśli tylko zechcesz.

- Nie, dzięki.

Oparła się na krzesło. W głowie wirowało jej trochę ze zmęczenia i wina. Gdyby to tylko mnie chciał! - myślała.

Gdyby tylko mnie.

Ale nie, na zawsze pozostanę Panią Zasłon. A pod woalką te ohydne blizny...

W jej myślach zabłysło nagle wspomnienie, wspomnienie rozmowy, jaką przeprowadziła przed miesiącem w Semiramis z kilkoma niemieckimi oficerami. Opowiadali o pewnym londyńskim chirurgu plastycznym, który opracował nowe metody przeszczepów skóry, pracując z poparzonymi ofiarami nalotów. Do Niemiec dotarły wieści o cudach, których dokonywał. Jak on się nazywa? Doktor Tremaine, czy jakoś tak? Wtedy odniosła się do całej sprawy sceptycznie, ale teraz, kiedy była w Londynie...

Spojrzała na Nicka. Gdybym tylko mogła zdjąć te woalki, myślała... Gdybym tylko mogła stać się znowu piękna, gdybym przynajmniej mogła pokazać twarz, byłabym dla niego dobrą żoną, którą zawsze chciałam być...

Cholera, Nick, wciąż tak bardzo cię kocham! Może mam jeszcze szansę... O Boże, może mam jeszcze szansę!

Nick był zmęczony. Dopadło go napięcie związane z pobytem we Francji. To prawda, wysadzili Fortresse de Morlaix, zlikwidowali zagrożenie, co napełniało go dumą i ulgą. Jednak w przyszłym miesiącu miał skończyć pięćdziesiąt sześć lat. Chociaż wciąż był

w dobrej formie, nawet ktoś o najbujniejszej wyobraźni nie mógł go uznać za człowieka młodego, a za kilka lat przestanie być nawet w średnim wieku. Świadomość własnej śmiertelności, która obudziła się w dniu pięćdziesiątych urodzin, nasilała się z każdym kolejnym rokiem. Miał dosyć wojny. Teraz pragnął pokoju, wygody i miłości. Pragnął zastrzyku młodości. Pragnął Laury.

1 ego wieczoru Laura rozkoszowała się gorącą kąpielą w swoim pokoju na trzecim piętrze, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Otworzę - zawołała pokojówka, która ścieliła łóżko na noc. Laura nie rozumiała jej, nadal myła się gąbką. Potem usłyszała,

jak pokojówka mówi:

- Ale, sir, ona jest w wannie! Nie może pan tam wejść. Potem głos Nicka:

- Dziękuję, to wszystko.

A następnie głos pokojówki, chowającej banknot funtowy:

- Dziękuję, sir. Dobranoc. - Odgłos zamykanych drzwi.

Stanął w drzwiach łazienki, patrząc na nią tymi swoimi wygłodniałymi oczyma.

- Mogłeś zapukać - powiedziała.

- Drzwi były otwarte. Umówiłem ciebie i Dianę na jutro rano w sklepie Adriana Pella. Dowiedziałem się od kierownictwa hotelu, że to teraz najmodniejszy projektant mody w mieście. Musiałaś zostawić ubrania w Paryżu, więc będzie ci potrzebna nowa garderoba. - Patrzył na jej miękkie, różowe ramiona pokryte drobinkami piany, na pełne piersi ledwo widoczne pod mydlinami. - Poleciałem w sklepie, by przysłano mi rachunki.

- Dziękuję, ale mogę sama zapłacić za swoje ubrania.

- W Paryżu było inaczej.

- Jeśli zamierzasz mi to znowu wypominać, możesz się wynosić do diabła! - krzyknęła.

- Zrobiłem dla nas rezerwację na dzisiejszy wieczór w Boulestin's. To najlepsza restauracja w Londynie.

- Nie lubię angielskiego jedzenia!

- To francuska restauracja.

- Mam randkę z generałem de Gaulle'em! Zaczął się śmiać.

- Co? - warknęła. - Skąd **wiesz**, że nie mam? Czy nie jestem teraz bohaterką ruchu oporu? Może da mi medal!

- Och, zasłużyłaś na to. Co do tego nie zamierzam się spierać.

- Czy nie wyciągnęłam tej informacji od Fritza? Czy nie umożliwiłam wam zabicia go? Nie siedziałam przez całą noc obok jego ohydneho trupa? Beze mnie twój wielki plan byłby do niczego!

- Zgadzasz się. Podziwiam cię za wszystko, co zrobiłaś. Uważam, że jesteś wspaniała. Uważam też, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem... - Zawahał się. - Od śmierci mojej żony.

Teraz mówił poważnie. Ona także spoważniała. Zona? Musiała przyznać, że był przystojny. Podziwiała też sposób, w jaki opracował plan ataku na fort - był człowiekiem przyzwyczajonym do dowodzenia. Diana mówiła też, że należą do najbogatszych ludzi w Ameryce.

Ameryka... Po czterech latach, w których Europa darła się na strzępy, spokojna Ameryka wydawała się marzeniem...

- Czy to jedzenie jest naprawdę francuskie? - spytała łagodniej. Przynajmniej nie będę musiała zamykać oczu i myśleć o Clarku

Gable. Z panem Flemingiem będę miała oczy szeroko otwarte!

**Tej** nocy, po doskonałej kolacji i butelce świetnego Louis Roederer Cristal kochali się w jego apartamencie. Po miesiącach pijackich, odpychających zalotów Rzeźnika Paryża, seks z Nickiem był koncertem rozkoszy. Napawała się jego siłą, zapachem, głodem i pożądaniem. Kiedy wchodził w nią, początkowo powoli, ale później z rosnącą namiętnością, słodczy rozlewała się po ciele Laury. Zapomniała o wojnie, Fritzu i śmierci, a pamiętała tylko miłość, życie, radość. Osiągnęli jednocześnie orgazm, a potem zanurzyli się w mgiełce słodkiego, nasyconego pożądania.

- Godzinę temu pojechałabym z tobą do Nowego Jorku dla pieniędzy - szepnęła całując go w ramię. - Teraz pojedę dla ciebie.

**Silne** światło raziło ją w oczy, ale Diana siedziała bez słowa skargi, gdy doktor Kenneth Tremaine badał blizny pokrywające jej twarz. Miała wrażenie, że badanie nigdy się nie skończy. Wreszcie zgasił lampę.

- Nie mogę zagwarantować rezultatów, panno Ramschild. - Nigdy nie daje gwarancji, a pani twarz uległa poważnym poparzeniom,

choć oczywiście miałem do czynienia z gorszymi przypadkami. Jeśli jest pani gotowa podjąć ryzyko, sądzę, że istnieje siedemdziesiąt procent szansy, że przeszczepy skóry się przyjmą. Wymagałoby to kilku operacji.

- Jak bym wyglądała, gdyby się przyjęły? - spytała cicho.

- Miałyby pani bardzo mdłe blizny, które zakryłby makijaż. Nie twierdzę, że zostałaby pani gwiazdą filmową, ale nie byłaby pani okaleczona. Mogłaby pani odrzucić woalki.

- A co by się stało, gdyby operacja się nie udała?

- Nie zamierzam pani zwodzić. Duże przeszczepy skóry, takie jak proponuję, są niebezpieczne, a w każdym razie ryzykowne. Istnieje możliwość zakażenia. Mówiąc szczerze, istnieje możliwość śmierci.

- Rozumiem.

Zastanowiła się przez chwilę. Mogła dożyć wygodnej starości dzięki milionom Nicka. Mogła też podjąć to ogromne ryzyko i być może mieć u niego jakąś szansę. A jeśli nie u Nicka, to w każdym razie miała szansę przestać być osobą „egzotyczną”, co, jak doskonale wiedziała, stanowiło eufemizm dla określenia „dziwadło”. Czy pragnęła miłości na tyle mocno, by ryzykować dla niej życie?

- Kiedy mogę rozpocząć kurację? - spytała, ponownie zasłaniając twarz woalką.

Tydzień po zakończeniu wojny Nick zgromadził dzieci w salonie potrójnego mieszkania przy Park Avenue. Był tam Charles, teraz dwudziestosześcioletni, którego zwolniono honorowo z RAF-u po zestrzeleniu nad Norfolk. Złamana noga nie zrosła się najlepiej i pisane mu było utykać przez resztę życia. Kończył przerwane przez wojnę studia na uniwersytecie Columbia i był uważany za jednego z najatrakcyjniejszych nowojorskich młodych kawalerów.

Była także dwudziestopięcioletnia Sylwia, której małżeństwo z Corny Brooksem przeżywało ciężkie chwile; okazało się, że Corny strasznie pije. Artura Brooksa, syna, którego miała z Chesterem Hillem, Sylwia zostawiła w domu w Cold Spring Harbour, by przyjechać do miasta i spędzić ten wieczór z ojcem.

Był również liczący dwadzieścia cztery lata Edward Fleming, który służył godnie na Pacyfiku, a teraz szukał mieszkania w Greenwich Village, by zacząć pracować nad powieścią wojenną.

Dwudziestojednoletni Maurycy Fleming służył w Straży Przybrzeżnej, a teraz zapisał się na Harvard, by dokończyć studia.

Nierozłączne siostry, Fiona i Vicky, siedziały razem na kanapie. Następnego ranka Fionę czekały próbne przesłuchania do przedstawienia Mary Roberts Rinehart *Nietoperz*, była więc zdenerwowana. Miała dwadzieścia dwa lata. Dziewiętnastoletnia Vicky była na drugim roku w Smith.

Wreszcie dwudziestoletni Hugh, rodzinny żartowniś, gwiazda drużyny piłkarskiej w Yale.

- Chciałem, żebyśmy się tu dziś wszyscy zebrali przede wszystkim dlatego, że byliśmy rozdzieleni przez wiele lat, i chciałem znowu zobaczyć wasze twarze - zaczął Nick. - Wszyscy wyglądacie wspaniale.

- Ty też wyglądasz niezgorzej - włączył się Hugh, a jego bracia i siostry podkreślili tę uwagę gromkimi brawami. Nick sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Po drugie, chciałem, żebyście wiedzieli coś, o czym pewnie nie trzeba mówić. Wszyscy byliście bardzo drodzy waszej matce.

Uśmiechy zniknęły, kiedy w pamięci dzieci ożyły wspomnienia Edwiny.

- Wreszcie po trzecie, jako że przyszłość Ramschilda dotyczy was wszystkich, chciałem was powiadomić o pewnych ważnych decyzjach, które podjąłem. Dokonuję reorganizacji Ramschilda, studia Metropolitan Pictures i sieci gazetowej Clairmont w spółkę holdingową o nazwie Fleming Industries. Bardzo pilnie rozglądam się za nowym interesem, który mógłbym włączyć do Fleming Industries, ponieważ zamierzam wycofać Ramschilda z przemysłu zbrojeniowego...

- Co? - krzyknął Charles tak głośno, że siedząca obok Vicky aż podskoczyła. - Nie możesz tego zrobić.

Nick spojrzał chłodno na pierworodnego syna.

- Mogę robić, co mi się żywnie podoba - odparł.

- Ale dlaczego? Jeśli jakiegokolwiek przedsiębiorstwo miało udział w wygraniu wojny, to właśnie Ramschild! Mam na dowód dziesiątki przemówień rządowych! Poza tym spółka przynosi cholerny majątek!

- Charles, spółka Ramschilda spowodowała śmierć twojej matki.

- To była wina tego zdrajcy, Chestera Hilla. Spółka nie miała z tym nic wspólnego!

Nick westchnął.

- Pozwólcie, że ujmę to w ten sposób: mam dość tego, że opinia publiczna łączy mnie z bronią i śmiercią. Myślę też, że jeżeli wielkie przedsiębiorstwo zbrojeniowe wycofa się z interesu, może to mieć pozytywny wpływ na cały świat.

- Och, daj spokój. Jaki wpływ? Po prostu inne firmy zaczną się bić o twoich klientów. Zmuszenie Kruppa do wycofania się z interesu zbrojeniowego po pierwszej wojnie nie zapobiegło jakoś drugiej.

Na twarzy Nicka malowało się silne zakłopotanie.

- Możliwe, że jestem optymistą - zgodził się. - Możliwe też, że bomba atomowa pozbawiła nas wszystkich pracy.

- Czy Pentagon przestał składać zamówienia?

- Zmniejszyli ich ilość...

- Tak, ponieważ wojna się skończyła. Ale czy przestali?

- Nie.

- I mogę się założyć, że nigdy nie przestaną. Założę się też, że Narody Zjednoczone nie położą kresu wojnom. Założę się, że sprawy będą się toczyć w dużej mierze tak samo jak dotychczas, bo za bardzo boimy się użyć bomby atomowej. Gdybyśmy się nie bali, zrzucilibyśmy ją na Moskwę teraz, póki jeszcze Rosjanie jej nie mają. Założę się, że wojny będą trwały nadal i nadal będą istniały firmy zbrojeniowe, z Ramschildem albo bez. Ojczy, mówisz, że masz dość przydomka Tytan Śmierci. Dobrze, niech mnie tak nazywają! Będę zachwycony. Przez całe życie chciałem kierować Ramschildem. Nie możesz mi go teraz zabierać!

Błaganie Charlesa brzmiało żarliwie. Nick znowu się zawahał.

- Teraz jesteś szefem - ciągnął Charles. - Nikt tego nie kwestionuje. Ale my jesteśmy przyszłością spółki. Daj nam przynajmniej możliwość decydowania o jej losie!

Nick rozejrzał się po pokoju. Patrzył na liczne potomstwo, na dzieci, które dorastały, zajmując coraz więcej miejsca w jego życiu.

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Jestem gotów przeprowadzić głosowanie. Niech podniosą rękę wszyscy, którzy chcą, żeby Ramschild pozostał firmą zbrojeniową, którą pewnego dnia przejmie Charles. Zanim jednak zagłosujecie, zastanówcie się. Zastanówcie się tak, jak ja się zastanawiałem od śmierci waszej matki. Przemysł zbrojeniowy to przemysł śmierci. Czy my, jako rodzina, chcemy w nim pozostać?

Przerwał. Cisza.

- Dobrze. Ci, którzy są za, niech podniosą rękę.

W górę uniosła się ręka Charlesa, a za nią Maurycego, Hugh'a i Sylwii. Edward, Fiona i Vicky się wstrzymali.

- To większość! - ogłosił triumfalnie Charles. - Niech mnie diabli! Nick milczał, ale czuł przez skórę, że popełnił błąd.

Diana Ramschild zamknęła oczy, a doktor Tremaine włożył jej lustro w dłoń, a potem ustawił je przed twarzą pacjentki. W szpitalnym pokoju nie było wielu kwiatów, ponieważ Diana poddała się czterem operacjom w tajemnicy, spędzając okres rehabilitacji w swym mieszkaniu przy Quai de Mont Blanc w Genewie. Poza tym Diana nie miała wielu przyjaciół, którzy mogli przysyłać kwiaty. Kemal Atatiirk już nie żył, Gôring i inni faszystowscy dygnitarze albo nie żyli, albo oczekiwali na wyrok w Norymberdze; świat, który ją dotąd otaczał, obracał się w proch. Przed poddaniem się długotrwałym operacjom sprzedała sieć kabaretów za pokaźną sumę.

Wreszcie nadeszła ta chwila.

Otworzyła zielone oczy i spojrzała w lustro.

Blizny zniknęły.

Ujrzała twarz atrakcyjnej kobiety w średnim wieku, która przeszła udaną operację liftingu. Z odpowiednim makijażem ta twarz stanie się bardziej niż atrakcyjna.

- Doktorze, jest pan czarodziejem - powiedziała cicho.

**Po** tygodniu znalazła się z powrotem w luksusowym mieszkaniu przy alei Focha. Kupiła całą nową garderobę u Christiana Diora, który podbił świat mody sensacyjną „nową linią”. Diana zafundowała sobie nowy wygląd: odrzuciła woalki, rękawiczki i długie suknie, które miały zakrywać blizny. Wydała tysiące na nowe stroje, a wszystko w jednym celu - żeby po tych wszystkich latach wrócić do Nowego Jorku i zagiąć parol na Nicka Fleminga. Nie wiedziała, czy zdoła go złapać, ale miała taką nadzieję.

Położone na trzecim piętrze mieszkanie miało sześć pokoi, sześć cudownych, przewiewnych, wysokich pokoi z Belle Epoque, których podwójne okna wychodziły na szeroką aleję Focha. Diana je wypełniła meblami, które kupowała podczas wojny po okazjnych cenach w tak dobrze jej znanych małych sklepikach z antykami. Pomimo iż miała obywatelstwo szwajcarskie - Paryż uważała za swój dom.

Odziana w peniuar siedziała przy stole w jadalni, popijając kawę z mlekiem i sok pomarańczowy, przygotowane przez Marie, jej sześćdziesięcioletnią pokojówkę. Diana nigdy nie miała problemów z nadwagą, ale postanowiła zrzucić dwa kilo, toteż zrezygnowała z tradycyjnego rogalika z konfiturą: te dwa kilogramy nazwała

„kilogramami Nicka". Wiedziała, że jeśli chce mieć u niego szansę, musi mieć w ręku wszystkie atuty. Przeglądała poranną gazetę, kiedy jej wzrok padł na nagłówek:

MAGNAT ZBROJENIOWY ŻENI SIĘ Z PIOSENKARKĄ Amerykański potentat Nick Fleming żeni się z Laurą Ducaze, była piosenkarką w paryskim nocnym klubie

Marie była w kuchni, kiedy usłyszała łkanie. Podbiegła do drzwi i ujrzała, że jej chlebodawczyni rozdzierająco szlocha.

- *Mademoiselle!* - krzyknęła podbiegając do niej.

- Na nic! - zawodziła Diana szarpiąc koronkowy peniuar. - Wszystko na nic! Operacje... wszystko... na nic! On mnie nie kocha, kocha tę dziwkę!



**Część VII**  
**MIŁOŚĆ O ZMIERZCHU**  
**1950-1951**

### ***Rozdział czterdziesty piaty***

W roku 1949 Nick doprowadził do wściekłości konserwatywnych nowojorczyków, rozpoczynając wyburzanie kwartału luksusowych domów z lat dwudziestych między alejami Park i Lexington, na wysokości ulic pięćdziesiątych; kupił tam pierwszorzędną nieruchomość za zawrotną sumę dziesięciu milionów dolarów.

O ile jednak konserwatywni nowojorczyki podnosili słuszny lament na początek końca Park Avenue, znawcy architektury wychwalali pod niebiosa trzydziestopiętrowy budynek biurowy, który wznosił Nick. Zaprojektowany przez Rolfa Dietricha, nagradzanego szwajcarskiego architekta, ucznia Waltera Gropiusa, Fleming Building był gładką, olśniewającą wieżą ze szkła i stali, która wówczas była nowatorska, ale później miała zrodzić tysiąc imitujących ją bękartów.

W budynku tym miała się mieścić siedziba imperium Nicka, które przekształcił w gigantyczną spółkę holdingową o nazwie Fleming Industries. Dziesięć pięter zajmowały Fleming Communications, których jądrem była, należąca teraz do Nicka, sieć gazetowa Vana Nuysa Clairmonta. W chwili śmierci Vana w skład sieci wchodziło dwadzieścia gazet i dwie stacje radiowe. Nick dokupił jeszcze trzy stacje radiowe, dwie telewizyjne i wszedł przebojem na rynek czasopism, wykupując takie komercyjne tytuły jak „Mechanik Domowy”, „Świat robótek na drutach” czy ambitniejsze czasopisma w rodzaju „Plotek Filmowych”, teraz redagowanych przez podstarzałą Harriet Sparrow, bądź „Mody”.

Sześć pięter zajmowały międzynarodowe biura oddziału Ramschilda, obecnie zarządzanego przez Charlesa Fleminga. Nick nawet jeśli żałował, że uległ dzieciom w kwestii wycofania się z przemysłu zbrojeniowego, to sposób, w jaki Charles kierował firmą, budził

tylko jego podziw. Wszystkie dobre i złe cechy syna - odwaga, ogromny egocentryzm, nieczułość na wszystko z wyjątkiem sukcesu, silna osobowość - uczyniły go wybitnym biznesmenem, a Ramschild osiągał niebotyczne zyski, naturalnie z pomocą zimnej wojny, a obecnie wojny koreańskiej.

Znaczną część czasu Charles spędzał w Pentagonie, uwielbiając bezgranicznie to zajęcie. Obce mu były filozoficzne skrupuły ojca dotyczące niemoralności przemysłu zbrojeniowego; Charles uważał siebie za patriotę, a Ramschilda za kręgosłup Wuja Sama. Otworzył wielką nową fabrykę w Tennessee i pracował nad planami podobnej w Brazylii.

Nick godził się na to wszystko, kiedy jednak Charles chciał wejść na rynek samolotów wojskowych, ku jego wielkiej zgryzocie ojciec odmówił, nie udzielając lepszego wyjaśnienia, jak „wszystko ma swoje granice”.

Charles zaczął postrzegać ojca jako przeszkodę na drodze swych ambicji.

Na czterech piętrach budynku zarządzano nieruchomościami Nicka, nabywanymi stopniowo przez lata. W ich skład wchodziły cenne kawałki Manhattanu, Los Angeles, Miami, Dallas, Chicago i Indianapolis, a także winnica w dolinie Napa, ranczo bydła w Teksasie wraz z sześcioma rentownymi szybami naftowymi, dwa tysiące akrów w północnej Luizjanie, gdzie szukano gazu ziemnego, oraz studio Metropolitan, obecnie dzierzawione. Dwa piętra Fleming Building przeznaczono na prywatne operacje finansowe Nicka. Jego majątek, szacowany na blisko miliard dolarów, wymagał całej armii księgowych i obeznanych w podatkach prawników. Dolne siedem pięter odnajęto firmom z zewnątrz.

Na najwyższym piętrze, koronie budynku, znajdowały się gabinety dyrektorów. Tam, w luksusowych, ozdobionych dziełami sztuki pomieszczeniach pracowało piętnastu zastępców Nicka, a on sam królował w sześciopokojowym apartamencie, w skład którego wchodziła sypialnia i łazienka, prywatny pokój stołowy, kuchnia, sala projekcyjna, olbrzymi salon oraz ekstrawagancki gabinet o wymiarach dwanaście na osiemnaście metrów, ze wspaniałym widokiem na północ i wschód Manhattanu.

Za dokonania wojenne we Francji, które ujawniono dopiero po Hiroszynie, Nick otrzymał krzyż zasługi, którym Harry Truman udekorował go osobiście w Gabinetce Owalnym, oraz awans na generała brygady. To, a także powojenne przewartościowanie jego

przedwojennych ostrzeżeń przed groźbą faszyzmu oraz powszechna euforyczna kanonizacja amerykańskich przemysłowców, którzy przewodzili wojennemu wysiłkowi narodu, przyczyniło się do zmiany wizerunku publicznego Nicka. Wraz z początkiem zimnej wojny i antykomunistyczną histerią końca lat czterdziestych, Nick zaczął być, jeśli nie kochany, to w każdym razie szanowany przez większość Amerykanów. Przez radykałów pozostawał jednak nadal wyklęty. Oficjalne otwarcie Fleming Building w październiku 1950 roku, ciepło przyjęte przez duże nowojorskie dzienniki, wywołało nowe napady prasy lewicowej na korzyści, jakie Nick czerpał z wojny; odgrzebano stare historie o jego „ciemnych powiązaniach” z knującymi wojnę rządami obcych państw.

Kiedy Nick sprowadził Laurę Ducaze do Nowego Jorku w 1944 roku, nie zamierzał się z nią żenić. Oddał jej do dyspozycji czteropokojowe mieszkanie w swoim domu przy Pięćdziesiątej Szóstej Wschodniej ulicy, wyznaczył okazałą pensję, umożliwił swobodne zakupy we wszystkich najlepszych sklepach oraz kochał się z nią, sądząc, że ma ogromne szczęście. Nigdy nie myślał o niej inaczej, jak o wspaniałej kochance. Ku wielkiemu zdziwieniu, po sześciu miesiącach spostrzegł, że brakuje mu jej, kiedy nie są razem. Była nie tylko doskonała w łóżku, ale także okazała się pierwszą kobietą od czasów Edwiny, której towarzystwo sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Minęły jeszcze dwa miesiące, a Nick utwierdził się w przekonaniu, że jest zakochany. Zmagał się z myślą o małżeństwie. Był od niej dwa razy starszy; czy uznano by go za starego zbereźnika, który wykrada dziecko z kołyski? Wreszcie zdecydował, że zdobędzie to, na czym mu zależy, i niech diabli porwą całą resztę świata.

Ku jego zdziwieniu, Laurze wcale się nie paliło do zostania panią Fleming. Nick, który żył w świecie, gdzie zakładało się, że każdej kobiecie zależy na obrączce ślubnej, był zdumiony brakiem zainteresowania Laury w usankcjonowaniu ich związku. Stan obecny w zupełności jej odpowiadał. Lubiła luksus, ale Diana się myliła - Laura nie należała do osób szczególnie chciwych i wykazywała słabe zainteresowanie majątkiem Nicka. Odpowiadała jej wolność, którą cieszyła się jako jego kochanka, a poza tym czuła opór i pewną nieśmiałość przed statusem macochy siedmiorga dzieci z jej pokolenia.

Jednak dla Nicka cnoty rodzinne odgrywały zawsze wielką rolę, toteż zależało mu na uprawomocnieniu związku. Zadręczał ją jeszcze orzez dwa lata, aż w końcu, w roku 1947 uległa.

Laura okazała się lepszą macochą, niż ona sama czy przybrane dzieci mogły przypuszczać. Z wyjątkiem Sylwii i Charlesa, którzy zresztą rzadko ją widywali, dzieci Nicka polubiły nową francuską macochę, bezpośrednią i miłą, choć i nieco opieszłą-Może była leniwą, ale kiedy jesienią 1950 roku dwudziestoczteroletnia Vicky oznajmiła o swych zaręczynach z Rossem Harringtonem juniorem, spadkobiercą rekina stalowego, Laura zajęła się organizacją uroczystości, planowanej na największy ślub roku.

- Co myślisz, Lauro? - spytała Vicky, przymierzając suknię ślubną przed lustrem do ziemi w sypialni.

- Uroczo, Vicky - odparła francuska macocha, która nauczyła się angielskiego, choć mówiła z obcym akcentem; Nick brzmiał w jej wydaniu jak „Niik”, a Vicky jak „Vikii”. - Naprawdę uroczo. Będiesz najśliczniejszą panną młodą na całym świecie.

Vicky się uśmiechnęła. Odziedziczyła urodę po Edwinie, choć miała ciemniejsze włosy niż matka. Była wysoką dziewczyną, a w atlasowej sukni z szeroką spódnicą wyglądała posągowo.

- No, nie wiem nic o całym świecie, ale jest ładna. Czy powinnam się pokazać tacie?

- Och, nie, to przynosi pecha!

- To pokazywanie pana młodego przynosi pecha. Nie, chcę się pokazać tacie. Chodź, jeszcze nie wyszedł do biura.

Obie kobiety wybiegły z sypialni na pierwszym piętrze potrójnego mieszkania przy Park Avenue i przeszły korytarzem pełnym obrazów Utrilla i Vuillarda, które Laura uwielbiała, po czym zbiegły schodami do olbrzymiego salonu; długi tren Vicky trzepotał za nimi. W pokoju stołowym z przepiękną osiemnastowieczną chińską tapetą i kryształowym żyrandolem Nick siedział za biurkiem z cisu angielskiego, pijąc kawę i kończąc czytać „The Wall Street Journal”.

- „Oto panna młoda - zanuciła Vicky wbiegając do pokoju. - Gruba niczym kłoda”. Pa-pam!

Nick odłożył gazetę, spojrzął na najmłodszą córkę i przez chwilę widział Edwinę.

- Właśnie ją przywieźli - powiedziała Vicky promieniejąc. -Podoba ci się?

Wstał, podszedł do córki i pocałował ją.

- Jest olśniewająca, tak jak ty.

- Och, tato, jestem taka podniecona! - krzyknęła obejmując ojca. - Ślub będzie bajkowy! Nie mogę się doczekać!

- Za dziesięć dni będziesz starą mężatką.
- Za dziesięć dni będę panną młodą - poprawiła go tańcząc wokół stołu. - Pani Rossowa Harrington, która miała najcudowniejszy ślub roku, a następnie wyjechała na Bermudy we wspaniałą podróż poślubną ze swym zabójczym mężem. Czy to nie brzmi cudownie? Słońce, piasek i seks! Hurra!

Laura się zaśmiała.

- To nie brzmi źle - powiedziała biorąc Nicka za rękę. - Może i my zafundujemy sobie trochę słońca, piasku i seksu?
- Owszem - odparł całując żonę. - Po ślubie muszę polecieć do Rio, a ciebie zabieram ze sobą. W Rio nie brak słońca i piasku.

- Rio! - krzyknęła Laura. - Nigdy tam nie byłam. Co za frajda! Widzisz, kochanie, życie z twoim ojcem to nie kończący się miesiąc miodowy - powiedziała do Vicky.

- Jeśli starasz się wzbudzić we mnie zazdrość, marnujesz tylko czas - odparła Vicky. Spojrzała na ojca i uśmiechnęła się. - Ale to faktycznie najbardziej bajkowy ojciec na świecie.

- A ty jesteś bajkową córką - zrewanżował się Nick, mrugając do niej.

Ze wszystkich dzieci najczulej kochał Vicky, może dlatego, że była najmłodsza i najbardziej niewinna, ale także dlatego, że tak bardzo przypominała mu Edwinę. Kochał Laureę, ale Edwina miała własny specjalny kącik w jego sercu.

**Panna** Vicky Fleming? - spytał młody człowiek z dziobatą twarzą, ubrany w czarny uniform szofera i czapkę.

Vicky właśnie usiadła przy narożnym stoliku w Pavillon, gdzie umówiła się na lunch z Fioną, która miała być jedną z jej druzhen.

- Tak.

- Mam dla pani wiadomość od pana Rossa Harringtona seniora. Jestem jego szoferem i mam panią zawieźć do Far Fills. Pan Harrington powiedział, że to pilne.

- Czy coś się stało? - spytała zaniepokojona Vicky. - Czy Ross jest chory?
- Nie wiem, panienko. Wiem tylko, że pan Harrington powiedział, że to pilne i że mam panią przywieźć natychmiast.
- Ale umówiłam się tu na lunch z siostrą...
- Powiedział ..natychmiast" panienko.

Vicky westchnęła.

- Cóż, to chyba znaczy, że z lunchu nici. - Wstała z ławy. -Zostawię wiadomość u *monsieur* Soulé.

- Poczekam na zewnątrz w samochodzie, panienko.

Trzy minuty później Vicky, odziana w pelerynej kapeluszu, wyszła z restauracji położonej na rogu Pięćdziesiątej Srodmej ulicy i Park Avenue. Szofer, średniego wzrostu, ale potężnie umięśniony, stał przy czarnym Cadillacu, trzymając czarny parasol. Vicky stanęła w progu czekając, aż podejdzie z parasolem, ale ponieważ najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy, uznała, że chyba od niedawna wykonuje ten zawód. Przebiegła przez chodnik w deszczu. Otworzył drzwiczki i usiadła z tyłu. Zatrzasnął drzwiczki, zajął miejsce za kierownicą i ruszył na zachód Pięćdziesiątą Siódmą ulicą.

Zauważyła, że popielniczki są pełne niedopałków. Ten facet nie popracuje tu długo, pomyślała. Wiedziała, że jej przyszły teść nienawidzi pełnych popielniczek.

Zaniepokoiła się dopiero po dwudziestu minutach, kiedy opuścili stronę New Jersey tunelem Lincolna. Wtedy otworzyła szybkę działową i powiedziała:

- Przepraszam, ale to nie jest droga do Harringtonów. Byłam tam z tuzin razy...

- Nie wiozę pani do posiadłości - przerwał jej szofer. - Pan Harrington jest w domku myśliwskim.

- Jakim domku myśliwskim? Nigdy o żadnym nie słyszałam.

- To nie jest domek myśliwski pana Harringtona, panienko. Należy do pana Corbetta.

- Kim jest pan Corbett?

- Wspólnikiem pana Harringtona, panienko. Czterech czy pięciu z nich spotkało się w domku.

- Ale... - Zmarszczyła brwi. - Nie rozumiem. Czy ktoś został niechcący postrzelony?

- Nie, panienko.

- W takim razie... To znaczy, to jest bez sensu.

Nie odpowiedział. Zauważyła, że przygląda się jej w lusterku. Coś w wyraźnie jego ciemnobrązowych oczu ją przestraszyło. Oparła się na siedzeniu. Jechali wyboistą drogą przez las, mijając nieliczne zniszczone chaty; szybkościomierz wskazywał sto dziesięć kilometrów na godzinę.

Znowu nachyliła się do przodu.

- Jak się nazywasz? - spytała gniewnie.
- Williams, panienko. William Williams.
- W takim razie, Williamie Williams, chcę, żebyś mnie wypuścił przy najbliższym domu. Zamierzam zadzwonić do Harringtonów i zapytać, co się dzieje. Należało to zrobić w mieście.

Ku jej zdziwieniu, odparł:

- Dobrze, panienko. Przy najbliższym domu.

Oparła się, myśląc, że może niepotrzebnie wpadła w panikę. Minęli następną zniszczoną chatę.

- Powiedziała przy następnym domu! - niemal krzyknęła.
- Przepraszam, panienko. Przy tym następnym.
- Masz stanąć. Zamierzam powiedzieć panu Harringtonowi o twoim zachowaniu.
- Przepraszam, panienko.

Po minucie wjechał na błotnistą ścieżkę i ruszył w las.

- To nie jest dom! - krzyknęła.
- Owszem, jest.

Ciężka limuzyna kiwała się i podskakiwała, rozpryskując kałuże. Oddaliwszy się dwieście metrów od szosy, stanął. Kiedy wysiadł, Vicky drżała. Otworzył tylne drzwiczki.

- To jest następny dom, panienko. Spojrzała na stojącą w lesie walącą się chatę.
- Nie będą mieli telefonu - zaprotestowała.
- Chodźmy sprawdzić.

- Nie! Zawieź mnie z powrotem... Urwała. Szofer wyciągnął pistolet.

- Wsiadaj, panienko - rozkazał cicho. - W promieniu mili nie ma nikogo, kto by cię usłyszał, więc nie ma co krzyczeć. Jeśli zrobisz to, o co proszę, nie stanie ci się krzywda.

- Kim jesteś? - spytała zduszonym głosem. - Wsiadaj.

Z płaczem wysiadła z limuzyny. - Chodźmy do domu.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała łkając.

Złapał ją za przegub i pociągnął do przodu. Zaczęła krzyczeć, przerażona siłą jego rąk. Pociągnął ją na próg, kopnięciem otworzył drzwi i wepchnął dziewczynę do środka.

Chata była opuszczoną kryjówką z okresu kryzysu. W środku stała zapadająca się brudna prycza, dwa zniszczone krzesła i prosty



drewniany stół, a na nim lampa naftowa. Z liewych otworów w suficie kapał deszcz.

- Rozbierz się - rozkazał, zatrzasnął drzwi.

- Nie... proszę... - Cofała się dygocząc.

- Rozbierz się do naga.

Złożył parasol i postawił w kącie. Potem, nie wypuszczając pistoletu, zaczął rozpinąć uniform. Zdrowy rozsądek kazał Vicky usłuchać. Zdjęła pelerynę i kapelusz.

- Połóż to na podłodze.

Spełniła polecenie. Zdjęła kalosze i pantofle od Delmana.

- Dlaczego to robisz? - szepnęła.

- Jesteś bardzo ładna, panienko. - Zdjął buty, a potem rozpiął spodnie. - Chcę cię rznąć, panienko.

Znowu zaczęła płakać. Opuścił spodnie; Vicky zobaczyła, że „szofer” nie ma bielizny. Miał twarde, umięśnione ciało, być może ciało boksera.

- Jesteś zboczeńcem!

- Zgadza się, panienko. Lubię to robić. Widzisz, jaki sztywny jest mój kutas? Jest bardzo chętny, panienko. Mówi mi: „Rznij tę ładną panienkę. Rznij ją mocno”.

- O, mój Boże....

Położył pistolet na podłodze obok parasola, a potem rzucił się na Vicky jak dzikie zwierzę, zdzierając z niej kostium od Hattie Carnegie.

- Kazałem ci się rozebrać! - wrzeszczał. - Rozbieraj się, ty dziwko!

- Proszę...

- Rozbieraj się!

Zdarł z niej stanik i majtki, a potem spojrzał na jej nagość.

- Oho. - Uśmiechnął się. - Ta pani jest bardzo ładna, Williamie. To imię mojego kutasa, panienko. William Williams. To mój pieszczołek, muszę go regularnie karmić. Popatrz na te duże cycki, Williamie. Spójrz na te biodra i nogi. Na tę śliczną cipkę, która na ciebie czeka, Williamie. Rany, ależ nas czeka ucztą.

Chwycił Vicky i pociągnął ją na pryczę. Krzyczała i waliła pięściami, kiedy się na nią wgramolił.

- Nie wściekaj mnie! - krzyknął. - Nie odpowiadam za siebie, kiedy się wścieknę! Widzisz ten parasol? Jak się wścieknę, mogę ci go wsadzić! Cały!

- Dobry Boże...

- Nie ruszaj' się!

Posłuchała, zbyt przerażona, żeby się przeciwstawiać. Czowała woń jego potu, ostrą i mdlącą.

- A teraz wchodź, Williamie. Ładnie i zgrabnie.

- O Boże, o Boże.

- Och, jest taka miła, ciepła i sprężysta, Williamie... Co to? To dziewczica?

Krzyknęła, kiedy przebił błonę dziewiczą.

- Tato, pomóż mi, proszę... niech ktoś mi pomoże... Ross... niech ktoś mnie uratuje...

- Raz i dwa, raz i dwa...

- Na pomoc! Pomocy!

- Och, jak miło! Czy nie jest miło, Williamie? Nie bawisz się świetnie?

- O Boże, Boże... Dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego?!

- Oooo... Wspaniale - bełkotał. - Spuszczam się, spuszczam... Położył dłonie na jej gardle i zaczął je zaciskać.

- Spuszczam się, spuszczam... jak dobrze.

Zmiażdżył jej tchawicę. Kiedy osiągnął orgazm, Vicky Fleming już nie żyła.

**Laura** była u kosmetyczki w salonie Elizabeth Arden, kiedy zadzwonił Nick. Była czwarta po południu.

- Coś się stało z Vicky - powiedział. - Miała się spotkać na lunchu z Fioną w Pavillon, ale kiedy Fiona tam przyszła, powiedziano jej, że szofer zabrał ją do Harringtonów. Dzwoniłem do nich, ale nic o tym nie wiedzieli.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Zawiadomiłem policję.

- Policję? Chyba nie myślisz...

- Nie wiem, co myśleć, ale się niepokoję. Potrzebuję cię, Lauro. Czy możesz przyjechać do domu?

- Oczywiście, kochanie. Już jadę.

Zastała go w gabinecie, rozmawiał przez telefon. Czekwała, aż skończy. Nawet w tunelu w Bretanii nie wyglądał na bardziej zatroskanego niż teraz.

- Policja wzięła opis szofera od kelnerów z Pavillon - powiedział. - Przesłali go FBI do Waszyngtonu.

Obeszła biurko i pocałowała męża.

- Ciągłe nie ma od niej żadnej wiadomości?

- Nie.

- Ale jak myślisz, co to może być?

- Nie wiem. Może porwanie. Policja założyła podsłuch na telefon, na wypadek, gdyby zadzwonili w sprawie okupu.

Pogładziła go po włosach, teraz srebrnosiwych. Ujrzała, jak zaciska pięść, otwiera, potem zaciska znowu.

- Jeśli cokolwiek jej się stanie... - powiedział cicho, ale nie dokończył zdania.

Obecni w Nowym Jorku członkowie rodziny Flemingów zebrali się tego wieczoru w mieszkaniu Nicka na ponurą kolację (dwudziestosześcioletni Maurycy, piąte dziecko Nicka i Edwiny, przebywał akurat w Londynie, gdzie pracował w banku Saxmundham razem ze swym kuzynem, lordem Ronaldem Saxmundham, który po śmierci ojca Edwiny pod koniec wojny odziedziczył tytuł i stanowisko wuja w banku). Przybył Charles, obecnie trzydziestojednoletni, wciąż kawaler. Jego siostra Sylwia siedziała obok Nicka. Sylwia była w separacji z drugim mężem, Comy Brooksem. Obok niej siedział dwudziestodziewięcioletni Edward, o śniadej, posępnej urodzie, który po ukończeniu studiów w Princeton zaszokował ojca oznajmiając mu, że nie zajmują go interesy i zamierza zostać pisarzem. Wszystkie dzieci otrzymały w spadku po Edwinie pokaźne sumy, toteż Edward mógł się przenieść do Greenwich Village, gdzie zmagął się ze swą pierwszą powieścią i, w tajemnicy przed ojcem, palił „gandzię”, jak czarni muzycy jazzowi nazywali marihuanę. W Village Edward nosił brudne spodnie khaki i dziurawe swetry, ale przyjeżdżając do centrum, robił ukłon w stronę konserwatywnych upodobań ojca, wkładając garnitur i krawat. Naprzeciwko Edwarda, obok Charlesa, siedziała olśniewająca piękność, Fiona. Śniada uroda otworzyła dziewczynie drogę do drugoplanowych ról na Broadwayu i w telewizji, a agent załatwił jej ofertę trzyletniego kontraktu z MGM. Jednak Fiona była zakochana w maklerze giełdowym nazwiskiem Jerry Lord, który powiedział jej, że rozwodzi się z żoną. Jak na razie, był dla niej ważniejszy niż Hollywood.

Po prawej rece Laury siedział dwudziestopięcioletni Hugh Fleming,

była gwiazda sportowa Yale, obecnie pracujący dla ojca. Hugh zdążył już zdobyć reputację playboya, ale tego wieczoru, podobnie jak wszyscy pozostali, myślał w szczególności o jednej dziewczynie: o swej ukochanej siostrze Vicky. Hugh odznaczał się zazwyczaj wilczym apetytem, ale dziś zaledwie skubnął pieczeń wołową i pudding Yorkshire.

Konwersacja przy stole nie wchodziła w grę. Wszyscy jedli w milczeniu, a świece osadzone w masywnych srebrnych świecznikach rzucały blask na chińską tapetę.

W pewnym momencie zadzwonił telefon.

Wszyscy przerwali jedzenie i spojrzeli na Nicka, myśląc to samo -czy to dzwonią porywacze z żądaniem okupu. Po chwili główny lokaj wniósł do pokoju przenośny telefon.

Postawił go na stole, potem uklęknął i włączył wtyczkę do kontaktu.

- Tak? - Nick słuchał, a rodzina nie spuszczała z niego oczu. Zmarszczył brwi. - O, mój Boże. Jesteście pewni? -

Znowu słuchał. -Dobrze, dziękuję. - Odłożył słuchawkę.

- Zidentyfikowali szofera - oznajmił. - Czy może raczej człowieka podającego się za szofera. To recydywista nazwiskiem Willard Slade. - Zawahał się ze zbolalym wyrazem twarzy. - Odsiedział dziesięć lat w Lewisburgu za gwałt.

- Chryste - mruknął Edward Fleming.

Fiona, która była z Vicky bliżej niż którekolwiek z rodzeństwa, zerwała się od stołu i z płaczem wybiegła z pokoju.

### ***Rozdział czterdziesty szósty***

Przy barze w paryskim hotelu Ritz, od strony *rue Cambon*, siedział starszy dżentelmen o niebieskich oczach, siwych włosach i wąsach. Miał na sobie dobrze skrojony szary garnitur i maniery arystokraty. Kiedy hrabia Aldo Pitti-Gonzaga spostrzegł wchodzącą do baru pięknie ubraną kobietę w średnim wieku, wstał i pocałował ją w rękę na powitanie. Diana Ramschild usiadła obok delikatnego Włocha, który od dwóch lat był jej stałym przyjacielem.

Kiedy zamówili koktajle, hrabia powiedział:

- Coś się wydarzyło, *cara*. Zawsze to po tobie poznaję. Masz w oczach podniecenie.
- Dostałam list od Nicka - odparła. - Mówiłam ci, że do niego napisałam, kiedy przeczytałam o porwaniu jego córki. Teraz mi odpisał... To strasznie smutne... sprawia wrażenie zrozpaczonego, co jest zrozumiałe. Ale ten list był... - Rozłożyła ręce. - Wydaje się zmieniony, bardziej łagodny i zamyślony, niż wtedy, gdy go znałam.
- Jest starszy - powiedział hrabia, sięgając po garść orzeszków ziemnych. - Ludzie z wiekiem łagodnieją, jak wino, w każdym razie dobre wino. Złe wino na starość kwaśnieje.
- W każdym razie prosi, żebym zadzwoniła do niego w przyszłym tygodniu, kiedy będę w Nowym Jorku.
- A, więc stąd twoje podniecenie.
- Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy? - spytała nieco speszona. Uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń.
- Droga Diano, Nick Fleming to twoja choroba. Zaraziłaś się nim na całe życie. Byłem zadufany sądząc, że może stanę się lekarstwem, ale widzę, że się myliłem.
- Nie, być może miałaś rację, może jesteś lekarstwem. Bóg wie,

że przez prawie całe dorosłe życie zachowywałam się w stosunku do niego jak małe dziecko. Nadszedł czas, żeby albo o nim zapomnieć i wyjść za ciebie, albo... - Przerwała, gdy kelner stawiał przed nimi dwa kieliszki martini.

- Albo podjąć jeszcze jedną rozpaczliwą próbę zdobycia go -dokończył Aldo z uśmiechem.

- Nie, to wykluczone. Ożenił się z Laurą... Przypuszczam, że są szczęśliwi. Chcę po prostu jeszcze raz go zobaczyć.

- Uśmiechnęła się do delikatnego Włocha, którego szczerze polubiła. - A potem wrócę do ciebie, mój najdroższy Aldo.

Hrabia napił się koktajlu.

- Gdybym miał się zakładać, czego nie zwykłem robić, chyba nie postawiłbym na to dużo pieniędzy.

Detektyw Frank McGinnis miał trzydzieści cztery lata, osiem kilogramów nadwagi, trójkę dzieci, nałogowo palił Lucky Strikes i mieszkał w Queens. W ciągu swojej kariery McGinnis widział wiele trupów: trupów bez głów, potwornych topielców z rzek -oznaki brutalności kryjącej się pod gładką skorupką amerykańskiej cywilizacji. Teraz, kiedy patrzył w głąb płytkiego grobu na tyłach chaty w lasach północnego New Jersey, widok nie zaszokował go, chociaż ciało młodej dziewczyny się rozkładało.

Zaszokował natomiast i przyprawił o mdłości człowieka, który stał obok, ponieważ Nick Fleming patrzył na szczątki swojej córki.

- Czy to Victoria? - spytał detektyw.

- Tak.

Nick odwrócił się i, walcząc z mdłościami, ruszył z powrotem do limuzyny. Przez wiele tygodni czepiał się wątej nadziei, że Vicky może gdzieś żyć. Teraz nadzieja ta była równie martwa jak jego córka.

Oparł się o przedni zderzak Rollsa, wpatrzony w walącą się chatę, która przycupnęła pod zimnym, szarym niebem. Vicky, której w dzieciństwie na niczym nie zbywało, umarła w tym brudnym miejscu, a jej ciało odnalazł zabłąkany pies. Jakież to odrażające, jakie okrutne, niesprawiedliwe!

Detektyw McGinnis zapalił papierosa i podszedł do limuzyny; grób mieli obfotografować ludzie z New Jersey.

Fascynował oo lśniący Rolls-Royce ze skórzanymi siedzeniami i barkiem

wykonanym na zamówienie. Wprost płał z ciekawości, ile mógł kosztować. Czterdzieści tysięcy? Pięćdziesiąt? Suma niewyobrażalna dla Franka McGinnisa, który zarabiał sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Nigdy dotąd nie poznał prawdziwego milionera, ale śledził w prasie całą sprawę z żarłocznością pośledniego aktora czytającego wycinki prasowe na swój temat. „Tytan”, „car prasowy”, „miliarder” - te określenia, którymi przerzucały się gazety, by opisać Nicka Fleminga, były dla Franka McGinnisa równie nierzeczywiste jak Rolls. Posiadanie miliona dolarów, nie mówiąc o miliardzie, wydawało mu się nierzeczywiste. O dziwo, McGinnis odczuwał więcej ciekawości niż zawiści. Nick Fleming był człowiekiem, tak jak on. Chodził do ubikacji, mył zęby, kochał się, tak jak on. Opłakiwał śmierć dziecka tak samo, jak by to robił Frank McGinnis. W dziwny sposób gwałtowna śmierć zetknęła ze sobą tych dwóch ludzi żyjących w odmiennych światach, podobnie jak *Blitz* stykał ze sobą ludzi z różnych klas społecznych. Frank McGinnis nie był wielkim filozofem, ale zastanawiał się, czy tylko katastrofa może uczynić ludzi braćmi.

- To bez sensu - powiedział Nick, kiedy detektyw się zbliżył. - Łamię sobie głowę od tygodni, ale ta cała sprawa nie ma najmniejszego sensu. Stawiałem siebie na miejscu Slade'a, i nadal nic mi się nie zgadzało. On wiedział, kim była, z kim była zaręczona i że umówiła się na lunch w Pavillon. Ale jeżeli chciał ją porwać, czemu zrobił to w ten sposób? Dlaczego wszedł do słynnej restauracji, gdzie musiało go zauważyć sporo ludzi? Zauważyć i pewnie zapamiętać. Musiał wiedzieć, że Vicky porusza się po mieście dość swobodnie. Przecież istniał z tuzin sposobów, w jakie mógł ją uprowadzić nie rzucając się w oczy.

- Może nie. To znaczy, może nie, jeśli nie chciał wzbudzać jej podejrzeń. Musiał ją zwieść tak, żeby zgodziła się z nim pójść. Najwyraźniej, niestety, jego metoda zadziałała. Pańska córka nie wskoczyłaby do cudzego samochodu na przejażdżkę.

- Chyba nie. Ale to i tak wydaje mi się zbyt ryzykowne. Albo był zbyt tępy, by się domyślić konsekwencji wejścia do tej restauracji, w co wątpię, albo nie dbał o to, że zostanie rozpoznany! Musi wiedzieć, że FBI ma jego akta i istnieje możliwość, że go zidentyfikują. Jakimi motywami się kierował? Jeśli jest psychopata, który zabija dla przyjemności, czemu wybrał moją córkę i tak bardzo

zawracał sobie głowę? Musiał wiedzieć, że sprawa zostanie nagłośniona. Czemu nie wybrał jakiegoś dzieciaka z małego miasteczka? Wiem, że to brzmi cynicznie, ale po prostu chcę rozwikłać tę sprawę. Gdyby zażądał okupu, wszystko miało sens, ale nie zażądał. Do jasnej cholery, w tym nie ma żadnego sensu!

Wściekły i sfrustrowany grzmotnął pięścią w zderzak samochodu. McGinnis nie wiedział, co powiedzieć, ponieważ on również nie widział w tym sensu.

- Była miłą dziewczyną - mówił Nick. - Słodką dziewczyną. To znaczy, miała w sobie coś z diabła i lubiła czasem szokować ludzi, ale była dobrym dzieckiem, kochającą córką. A teraz to...

Urwał, a McGinnis wiedział, że milioner dusi w sobie łkanie. Fascynujące, pomyślał. Bogacze mają uczucia.

- Kiedy złapią Slade'a - ciągnął Nick - a wiem, że go złapią, tylko ta myśl ratuje mnie przed szaleństwem... kiedy złapią tego potwora, chcę być przy tym, jak go posadzą na krzesło elektryczne. Chcę patrzeć, jak umiera.

Usiadł na tylnym siedzeniu i zatrzasnął drzwiczki. Przez przeważającą część życia udawało mu się panować nad zdarzeniami. Teraz czuł się całkowicie, szaleńczo bezradny.

W drodze powrotnej do miasta rozmyślał nad swoim życiem. Stracił Edwinę w przypadkowym akcie wojennej przemocy, a teraz stracił Vicky w czymś, co wyglądało na przypadkowy akt przemocy w okresie pokoju. Przez całe życie przemoc kłębiła się wokół niego, przemoc gwałtownego stulecia. Przemoc wojen, rewolucji, komunistów i faszystów, a teraz, najwyraźniej, przemoc pojedynczego, niepoczytalnego człowieka. Nick przyznawał nawet, że jego pragnienie, by oglądać Slade'a na krześle elektrycznym, także stanowi objaw przemocy, choć w tych warunkach zrozumiałej.

Nick był agnostykiem, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy te zgony nie są czasem karą boską. Miał szansę wycofania się z przemysłu zbrojeniowego, ale ustąpił przed własnymi dziećmi. Czyżby to miała być zemsta milionów ludzi, którzy ponieśli śmierć od pocisków, karabinów, haubic i czołgów produkowanych przez lata w jego zakładach? Nick nie wierzył w siły nadprzyrodzone, ale widok tego płytkiego, potwornego grobu tak bardzo nim wstrząsnął, że nie potrafił opędzić się od tej myśli.



Co mógł jednak zrobić?

Właśnie wtedy przyszedł mu dobowy pomysł Fundacji Fleminga. Momentalnie pojął, że cynicy okrzykną taki pomysł gigantycznym praniem milionów dolarów, ale do diabła z cynikami. Może dzięki bogactwu uda mu się osiągnąć coś pozytywnego w świecie najwyraźniej lubującym się w przemocy. Żadna fundacja nie mogła przywrócić życia Edwinie, Vicky czy milionom ofiar wojennych. Mogła się jednak stać najlepszym pomnikiem z możliwych.

## ***Rozdział czterdziesty siódmy***

Diano!

Nick wyciągnął przed siebie obie ręce z uśmiechem, gdy weszła do salonu jego nowojorskiego mieszkania.

- Pogłoski, które słyszałem, okazały się prawdziwe - mówił, kiedy podali sobie ręce. - Wyglądasz pięknie. Gratuluję.

- Dziękuję, Nick.

- Doceniłem twój list o Vicky. To było bardzo troskliwe z twojej strony.

- Byłam zaszokowana, kiedy o wszystkim przeczytałam. Wyobrażam sobie, przez co musiałeś przejść.

Nick potrząsnął lekko głową.

- Nie - powiedział cicho. - Chyba nikt nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. To najgorsza rzecz od... - zawahał się - od śmierci Edwiny.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Nick zmusił się do grzecznego uśmiechu.

- Usiądź. Napijesz się czegoś?

- Poproszę o martini. Pozwalam sobie na dwa dziennie. - Rozejrzała się po olbrzymim salonie, gdzie wisiał pierwszorzędny Gauguin, *Klowni* Picassa z 1918 roku i wielki żółty Matisse. - Masz niezwykle mieszkanie - stwierdziła. - Czy to Laura je urządziła? - Usiadła na kremowej sofie, a Nick przyniósł jej drinka.

- Laura? Wystrój wewnątrz jej nie interesuje. Poza tym sama przyznaje, że ma fatalny gust.

- Pamiętam jej paryskie mieszkanie - powiedziała Diana z uśmiechem. - Te wszystkie pluszowe misie, wstążki i kokardki. Dobry Boże! Dzięki. - Wzięła kieliszek.

Nick usiadł naprzeciwko niej i podniósł kieliszek.

- Za nas - wzniósł toast. - Znamy się już kawał czasu.

- Amen.

Stuknęli się kieliszkami i upili łyk koktajlu. - Gdzie Laura? - spytała Diana.

- W łóżku, przeziębiona. Prosiła, żebym przekazał ci wyrazy miłości.

- Nie chce mnie widzieć, co? - spytała z uśmiechem. - Przypuszczam, że się jej kojarzę z mnóstwem spraw, o których wolałaby zapomnieć.

- Masz rację. Nie powinienem był próbować cię oszukiwać, Diano. Ona rzeczywiście nie chce cię widzieć.

Powiedziała mi, że chce zapomnieć o okupacji, Semiramis... i generale von Stoltzu.

- Nie winię jej za to. Ja również zrobiłam wszystko, żeby zapomnieć. Ale powiedz, czy jesteś szczęśliwy z Laurą? Zawahał się.

- Oczywiście. Ale co z tobą? Znalazłaś kogoś? Wyobrażam sobie, że z tą urodą musisz mieć u stóp pół Europy.

- Pochlebiasz mi. Ale mam pewnego uroczonego włoskiego hrabiego. Jest starszy ode mnie, ale to wyjątkowy człowiek. Jest delikatny, dobry i dowcipny. Spotykamy się już od paru lat i bardzo go polubiłam.

- To dobrze, cieszę się. Na jak długo przyjechałaś?

- Na dziesięć dni. Chcę zrobić zakupy i rozejrzeć się... obejrzyć miasto. Za Nowym Jorkiem się tęskni. - Zawahała się. - Tęskni się za Ameryką - dodała dość smutno. Potem uśmiechnęła się. - Czy wiesz, że nie widziałam Rockefeller Center ani Empire State Building, ani mostu George'a Washingtona, niczego! Nie byłam w Nowym Jorku ponad trzydzieści lat. Czuję się zupełnie jak turystka.

- Chcesz, żebym był twoim przewodnikiem?

- Och, Nick, to miło z twojej strony, ale jestem pewna, że masz mnóstwo zajęć.

- Nie. Chętnie cię oprowadzę. W ten sposób oderwę się od myślenia o... Vicky. Może przyjdę po ciebie do hotelu jutro o dziesiątej rano? Pokażę ci wszystko, co zrobiono w Nowym Jorku od 1920 roku, a potem zjemy lunch.

Diana zaśmiała się.

- To bardzo pracowite przedpołudnie. Chociaż brzmi uroczo -dodała ciepło. - Już się na nie cieszę.

Ich oczy się spotkały. Cofnęła się pamięcią do opuszczonego domku na plaży, gdzie po raz pierwszy kochała się z tym mężczyzną i gdzie, według słów Aldo, zapadła na ciężką chorobę.

Jej problem polegał na tym, że nie wiedziała, czy chce się wyleczyć.

**Mój** Boże, to rzeczywiście robi wrażenie - stwierdziła następnego dnia stojąc z Nickiem na tarasie widokowym na osiemdziesiątym szóstym piętrze Empire State Building, patrząc na Manhattan i dygocząc z zimna. Wczesne listopadowe przymrozki pokryły szronem przedmieścia. - Teraz rozumiem fascynację związaną z tym miejscem.

- Dopóki tu nie wejdziesz, nie możesz zrozumieć King Konga.

- Czy wiesz, że był to ulubiony film Hitlera? *King Kong* oraz film z trzydziestego pierwszego roku pod tytułem *Tańce kongresowe*. Goring mówił mi, że Hitler widział go z tuzin razy i uwielbiał każdy kadr. To był film o kongresie wiedeńskim i pewnej służącej, która ma romans z carem rosyjskim. Wielka małpa, która się wspina na Empire State Building, trzymając maleńką dziewczynę, z którą w żaden sposób nie może się kochać, oraz wiejska dziewczyna, która idzie do łóżka z carem... Zawsze uważałam, że te dwa filmy mówią wiele o psychice Hitlera.

- Tak, sądzę, że masz rację.

- Cóż, widok jest wspaniały, ale zaraz zamarznię.

- Następny przystanek w Rockefeller Center. A, przy okazji, poprosiłem moją córkę, Fionę, żeby przyłączyła się do nas przed lunchem na drinka. Chciałem, żebyś ją poznała. Jest aktorką i wiecie się jej całkiem nieźle. Jej ojcem był Rod Norman.

Diana odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Nicka, otulając się szczelnie futrem z norek.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że płatny morderca, którego wynajęłaś, zabił jej prawdziwego ojca zamiast mnie. Fiona nie wie, a ja nie zamierzam jej o tym mówić.

- Czy ona zna prawdę o swoim ojcu?

- Tak, Edwina jej powiedziała. A potem Fiona powiedziała Vicky, Vicky Hughowi... teraz wie o tym cała rodzina. Nikt jednak nie wie, kto wynajął mordercę.

Diana lekko zadrżała.

- Słuchając cię, czuję się taka winna. W ustach Kemala brzmiało to tak prosto i logicznie... - Westchnęła. - Cóż, zapłaciłam za to. Siedem lat w tureckim szpitalu psychiatrycznym, blisko siedemnaście lat noszenia woalek dzień i noc... żadnych kochanków, żadnych przyjaciół... przerażona, że ludzie mogą zobaczyć moją twarz. Nie chcę, żebyś się nade mną litował, ale zapłaciłam za to, co zrobiłam Rodowi Normanowi i co próbowałam zrobić tobie. Nie twierdzę, że w ten sposób to naprawiłam, ale zapłaciłam. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Patrzył na nią przez chwilę, a tysiące wspomnień ożyło w jego myślach.

- Tak - powiedział w końcu. - Raniliśmy się, ponieważ byliśmy zakochani. Musieliśmy być bardziej zakochani, niż przypuszczałem, skoro tak bardzo się raniliśmy.

- Ja nadal jestem zakochana.

Nagły poryw wiatru uderzył w osiemdziesiąte szóste piętro.

- Wprowadziłam cię w zakłopotanie - stwierdziła Diana z uśmiechem. - Widzę to. Nie zrobię tego więcej. Chodźmy do Rockefeller Center. I, Nick, bawię się cudownie. Dzięki.

Ruszyła do drzwi. Nick przyglądał się jej przez chwilę w zamyśleniu, a potem poszedł za nią.

**Kiedy** Nick i Diana zwiedzali Rockefeller Center, Laura była w Plaza na lunchu, z którego dochód przeznaczono na akcję dobroczynną pod patronatem Nicka i jej. Właśnie tam Laura poznała *El Toro*. Oczywiście słyszała o Juanie Alfonsie Hernando Guzmanie y Talavera, markizie de Navarra - któż o nim nie słyszał? Gazety powojennej Europy rozpisywały się o zabójczo przystojnym hiszpańskim szlachcicu, o jego triumfach na torach wyścigów samochodowych, amatorskich wyczynach na corridzie, dwóch wypadkach, o mały włos nie zakończonych śmiercią, oraz o podbojach miłosnych, które, według gazet, pozostawiały szlak złamanych serc w Hiszpanii, Włoszech i Francji i zyskały mu przydomek *El Toro*. Trzykrotnie żonaty, dwukrotnie z bogatymi kobietami starszymi od siebie. Juan

właśnie zakończył sprawę rozwodową z Sylwią Mainwaring, spadkobierczynią fortuny samochodowej, otrzymawszy od niej milion dolarów.

- Lauro, chcę, żebyś poznała markiza de Navarra - powiedział Philip Wilson, inny patron akcji dobroczynnej. - Juanie, to jest Laura Fleming, o której ci tyle opowiadałem.

Juan uniósł jej dłoń do ust, a Laura musiała przyznać, że jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich widziała - co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, z lekko falującymi czarnymi włosami i opaloną twarzą o regularnie rzeźbionych rysach amanta filmowego. Świdrował Laure płomiennymi niebieskimi oczyma pytając: „Czyż nie jestem przepiękny?” Był nienagannie ubrany w granatowy garnitur z Saville Row i prążkowaną koszulę od Turnbulla i Assera. Rozsiewał lekki, intrygujący zapach wody kolońskiej.

- Słyszałem, że żona sławnego pana Fleminga jest piękna - powiedział z lekkim obcym akcentem. - Teraz widzę na własne oczy, że to prawda. Pani jest paryżanką? - spytał przechodząc na francuski.

- Tak. Cóż, pochodzę z Poitiers.

- O, tak jak Diana. Coś mi też mówi, że jest pani równie ekscytująca jak tamto wspaniałe stworzenie.

Laurze przyszło na myśl, że Juan szyje nieco grubymi nićmi, ale mimo to był uroczy.

- Ależ tak! Już kiedyś panią widziałem. Podczas wojny śpiewała pani w Semiramis w Paryżu.

- Ach tak?

- Tak. Wtedy, z włosami zaczesanymi do góry przypominała mi pani Betty Gracie. Teraz nosi je pani rozpuszczone. Z tą fryzurą podoba mi się pani bardziej.

- A co pan robił w Paryżu podczas wojny?

- Byłem związany z ambasadą hiszpańską. Pozostawałem neutralny. - Uśmiechnął się, pokazując piękne zęby. - Pani też była neutralna?

Laura spięła się nieco.

- Przeżyłam - odparła chłodno. - Pomagałam ruchowi oporu.

- Pod koniec. Tak, pod koniec wszyscy pomagali ruchowi oporu. Laure zmroziło.

- Pomogłam w zniszczeniu Forteresse de Morlaix, o czym

mógł pan czytać albo nie. Nie mam się czego wstydzić, a już z pewnością nie muszę pozwalać, żeby obrażał mnie jakiś neutralny Hiszpan, który pewnie nigdy nie zbliżył się na milę do kuli.

- Jest pani zabójcza, kiedy się pani gniewa.

- Sądziłam, że podobne kwestie wymarły razem z Valentino.

- A więc słyszała pani o mojej reputacji?

- O, tak. Podobno ma pan największego penisa w zachodniej Europie i potrafi go pan utrzymywać przez całą noc w stanie erekcji.

Juan zmarszczył czoło, a potem nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

- To prawda. Z rozkoszą to pani udowodnię.

Laura spojrzała na niego i odczuła pokusę. Po raz pierwszy, odkąd wyszła za Nicka, pociągał ją inny mężczyzna.

- Nie, dziękuję - odparła. - Jestem bardzo szczęśliwa z mężem.

- Jest pani bardzo szczęśliwą kobietą, a z własnego doświadczenia wiem, że także rzadko spotykaną. Zazwyczaj żony, które poznawałem, jak by to powiedzieć, skarżyły się. Skoro jednak jesteśmy skazani na związek platoniczny, co pani powie na lunch? Robię doskonałą paellę.

Zawahała się.

- Chce pan powiedzieć, lunch u pana?

- Tak, czemu nie? Mam małą garsonierę przy Sutton Place. Zrobię paellę, wypijemy butelkę Rioja i będzie to cudownie ekscytujące, ponieważ nic się nie wydarzy. Nawet pani mąż nie miałby nic przeciw temu.

- Cóż...

- Jutro o pierwszej?

Nie odpowiedziała. Juan wyciągnął z kieszeni portfel od Hermesa i wyjął z niego wizytówkę.

- Sutton Place dwadzieścia siedem. Siódme piętro. Wie pani, że siódemka to szczęśliwa cyfra. Będę na panią czekał. Znowu pocałował ją w rękę i odszedł. Spojrzała na wizytówkę. Cóż, pomyślała, lunch to nic groźnego.

Nick zaprosił Dianę na lunch do małej włoskiej restauracji. Kilka minut po tym, jak zajęli miejsce przy odgrodzonym ściankami stoliku, nadbiegła Fiona, z policzkami zaróżowionymi od wiatru. Pocałowała ojca; Nick przedstawił jej Dianę.

- Mam tylko kilka minut - powiedziała Fiona siadając obok

ojca. - Za trzy kwadransy muszę być w centrum na czytanej próbie. Ojciec mi mówił, że jest pani w Nowym Jorku po raz pierwszy od trzydziestu lat! Musiał się strasznie zmienić.

- To zupełnie nowe miasto - odparła Diana podziwiając urodę Fiony. Dziewczyna paplała, a Diana spostrzegła, że jest z ojcem bardzo zżyta. Zaczęła rozumieć, jak ważną rolę w życiu Nicka odgrywa rodzina.

- Czy zna pani Greenwich Village? - spytała Fiona.

- Nie.

Fiona zwróciła się do ojca:

- Może przyprowadzisz kiedyś pannę Ramschild...

- Dianę.

- Tak, Dianę. Może przyprowadzisz Dianę któregoś wieczoru w tym tygodniu, a ja zrobię kolację. Co ty na to, Diano?

Diana była oczarowana tą ciepłą, naturalną i piękną dziewczyną. Jednocześnie gryzła się poczuciem winy z powodu współudziału w zabójstwie jej ojca. Jak mogłam to zrobić? - pytała siebie. Jak mogłam?

- Z rozkoszą - odparła. - Tylko że nie sądzę, by twoja macocha była zachwycona moim towarzystwem.

- Och. - Fiona spojrzała niepewnie na ojca. Nick nie wahał się ani chwili.

- Jeżeli Laura nie zechce przyjść, może zostać w domu - oświadczył, a Dianie się to spodobało.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Fiona wstając. - Może jutro o siódmej wieczorem?

- Zgoda.

- Czy lubisz *bouillabaisse*? - spytała Dianę.

- Uwielbiam.

- W takim razie to właśnie zrobię. Przyrządzam świetną *bouillabaisse*. Pa, pa. Miło było cię poznać.

Uścisnęła dłoń Diany, pocałowała Nicka i zniknęła.

- To niezwyklej piękności dziewczyna - stwierdziła Diana po wyjściu Fiony. - Olśniewająca, a poza tym inteligentna i miła. Musisz być z niej dumny.

- Jestem. Ona i Vicky były sobie bardzo bliskie... Po śmierci Vicky Fiona czuła się zupełnie rozbita. Teraz, dzięki Bogu, wraca chyba do siebie. Tylko jej życie miłosne jest nieco poplatane.



- To nic niezwykłego w jej wieku - stwierdziła Diana, gdy kelner wręczał im karty.
  - To nic niezwykłego w każdym wieku - dodał Nick i oboje się roześmiali.
  - Opowiedz mi coś o swojej fundacji - poprosiła Diana, kiedy złożyli już zamówienie.
  - Naprawdę cię to interesuje?
  - Naturalnie. Czemu miałyby mnie nie interesować?
  - Laure ten temat śmiertelnie nudzi.
  - Nie zamierzam krytykować twojej żony, ale znam ją dobrze; jest trochę trzpiotowata. Albo, mówiąc uprzejmiej, nieco dziecinna.
  - Tak, dziecinna - zgodził się Nick. - Nie interesuje się poważnymi sprawami, a Fundacja Fleminga to poważna sprawa. I niezwykle ekscytująca. Szczerze mówiąc, od czasu wojny nic mnie tak nie pochłaniało.
  - Odkryłeś, że rozdawanie pieniędzy jest zabawniejsze niż zarabianie?
  - Tak - odparł zdziwiony. - Skąd wiedziałaś?
  - Czytam to z twojej twarzy - powiedziała z uśmiechem. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, przyglądając się Dianie.
  - Dziś rano mówiłaś o Hitlerze - powiedział. - Hitler zrobił dla mnie jedną pozytywną rzecz: nauczył mnie nienawidzić, a to w pewnym sensie uprościło moje życie. Miałem motywację, by zniszczyć faszyzm za wszelką cenę, a kiedy to się stało, kiedy Hitler umarł, nie wiedziałem dokładnie, co zrobić z resztą życia. No, tak, żyjesz dalej, jeśli dopisze ci szczęście, cieszysz się życiem... ale życie musi mieć jakiś wyższy cel. Zarabianie pieniędzy przestało mnie zadowalać, ponieważ mam już więcej, niż mógłbym rozsądnie wydać. Próbowałem się nawet wycofać z interesu zbrojeniowego -mogłabyś to pewnie nazwać rodzajem gestu, czy raczej protestu przeciwko wszystkim jatkom, jakie broń spowodowała w tym stuleciu, ale zostałem przegłosowany przez własne dzieci. Nie wiem, czy zrobiłem słusznie, ustępując im. Tak czy inaczej, próbuję ci powiedzieć, że przez ostatnie pięć lat szukałem celu w życiu. Fundacja jest właśnie czymś takim. - Zawahał się. - Czyja cię zanudzam? - spytał niepewnie.
  - Wręcz przeciwnie. Jestem zafascynowana.
- Mówiła prawdę. Wyczuła to już z jego listu, a teraz otwierał się

przed nią człowiek znacznie wrażliwszy i bardziej troskiwy niż ten, którego znała. Mój Boże, on naprawdę złagodniał, pomyślała. Znowu się zakochuję!

Ze swej strony Nick z radością rozmawiał z kobietą, która -w przeciwieństwie do Laury - dorównywała mu inteligencją. Przez pozostałą część lunchu opowiadał o swoich marzeniach związanych z Fundacją, uzmysławiając sobie, że tak dobrze nie czuł się od lat.

Kiedy regulował należność, zrozumiał, że wcale nie jest zachwycony powrotem do Diany do Europy.

### ***Rozdział czterdziesty ósmy***

Barbara Bates, odtwórczyni roli Phoebe, trzymając nagrodę Sary Siddons, wygraną przez Eve Harrington (Anne Baxter), stanęła przed potrójnym lustrem i odpowiedziała ukłonem na wymaginowane brawa.

- Co za wspaniały film! - wykrzyknęła Fiona, entuzjastycznie bijąc brawo. - Rewelacja! Jeśli Betty Davis nie dostanie Oscara, wszyscy w Hollywood powinni pójść do psychiatry.

- Wiem - odparł Jerry Lord. - Ale oglądaliśmy to po raz trzeci w ciągu dwóch tygodni. Zaczyna mnie już nużyć.

Kiedy wychodzili z zatłoczonej sali kinowej Roxy Theater, gdzie 14 października *Wszystko o Ewie* zaczął święcić triumfy, Fiona nie przestawała mówić o filmie, którego dialogi znała niemal na pamięć.

- Ubóstwiam scenę kłótni między Betty Davis a Gary Merrillem, kiedy on rzuca ją na łóżko... to jej spojrzenie! Mówi się o oczach, które miotają płomienie, ale oczy Betty Davis naprawdę to robią! Co za aktorstwo! Co za rola. Boże, co ja bym dała za tę rolę!

- Jesteś trochę za młoda na Margo Charming.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Wciąż myślisz o przyjęciu tej oferty MGM?

Wyszli na ulicę i Fiona zapięła płaszcz, chroniąc się przed chłodem. Dostała od ojca futro z norek, ale rzadko je nosiła. Jako aktorka, Fiona zużywała znaczną dozę energii na umniejszanie faktu, że jest córką Nicka Fleminga.

Podczas gdy większość jej przyjaciół z teatru marzyła o sławie i bogactwie, Fiona marzyła o sławie, a futro z norek chowała w szafie swego mieszkania bez windy w Greenwich Village.

- Oczywiście, że rozważam te propozycje – odparła, kiedy

przywołał taksówkę. - Marzę o tym, żeby pojechać do Hollywood. Kino jest tam, gdzie się coś dzieje. Tylko że nie chciałabym teraz opuszczać ojca... Śmierć Vicky naprawdę nim wstrząsnęła, tak jak nami wszystkimi. Poza tym... jesteś ty.

Spojrzała na niego, a **Jerry** odwrócił wzrok, jak zawsze, gdy pojawiała się kwestia ich związku. Podjechała taksówka, **Jerry** otworzył drzwiczki i wsiadł za Fioną.

- Barrow Street czterdzieści pięć - powiedział kierowcy. Taksówka ruszyła Siódmą Aleją ku Village, a **Jerry** Lord wziął

Fionę za rękę. Był sympatycznie wyglądającym mężczyzną po trzydziestce, który zakrywał przedwczesną łysinę kapeluszem. Fiona często zadawała sobie pytanie, dlaczego się w nim zakochała. Wiedziała, że ze swoją urodą i pieniędzmi miała szerokie możliwości wyboru, a jednak zakochała się w mężczyźnie, który nie był ani szczególnie przystojny, ani szczególnie bogaty, a, co gorsza, mieszkał w Scarsdale z żoną i dwójką dzieci. Chodził z koleżanką Fiony, także aktorką, i w ten sposób go poznała. Tak więc zdradzanie żony nie było dla niego niczym nowym, a początkowo spotykało się z dezaprobatą Fiony. A jednak, pomimo niewierności, był tak uroczym, słodkim, przywoitym człowiekiem, że zaczęła patrzeć przez palce na tę jego wadę, a nawet, z czasem, mu współczuć. **Jerry** Lord miał to nieszczęście, że ożenił się z naprawdę nieznośną kobietą. Teraz sprawiał wraźnie zakłopotanego.

- Kiedy będziemy u ciebie, porozmawiamy o nas - powiedział. Z lekkim zaskoczeniem Fiona zrozumiała, że **Jerry** postanowił

w końcu przestać odwracać wzrok.

Mieszkanie Fiony zajmowało trzecie, najwyższe piętro uroczonego ceglanego domu na ulicy West Village; miało świetlik w dachu i szerokie okna wychodzące na ogród na tyłach. Za wysoki salon, maleńką kuchenkę, sypialnię i łazienkę Fiona płaciła pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, co w roku 1950 było niskim czynszem. **Jej** przyjaciele, którzy wiedzieli, że gdyby chciała, mogłaby wykupić cały dom, sądzili, że ma nie po kolei w głowie. Fiona uwielbiała jednak swoje przytulne mieszkanko - uważała, że jest w stylu „bohemy” - i w pełni zadowalały ją oprawione afisze teatralne ze sztuk w rodzaju *Tramwaju zwanego pożądaniem*, używane meble kupowane za grosze w sklenach z antykami i dwa koty-mieszkańce.

Eeny i Meeny. Jedyłą ekstrawagancją, na jaką sobie pozwoliła, było zainstalowanie nowej łazienki w miejsce starej, zniszczonej. Fiona mogła chować norki w szafie, ale łazienka musiała być nieskazitelna.

- Dobrze, rozmawiajmy - powiedziała, kiedy dysząc wspięli się na strome schody i zdjęli płaszcze.

Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział.

- I ja cię kocham.

- Ale wiesz, jaki jest problem.

- Twoja żona.

- Nie. Prawdziwym problemem są twoje pieniądze. Odepchnęła go.

- Moje pieniądze?

- Cóż, pieniądze twojego ojca.

- Co one mają z nami wspólnego?

- Wszystko. Posłuchaj, Fi, zarabiam trzydzieści pięć tysięcy\* rocznie. Jeśli rozwiędę się z Marilyn, będę jej musiał płacić alimenty, a przy dwójce dzieci to przynajmniej piętnaście tysięcy rocznie. Na życie zostałyby mi grosze.

Myślałem o tym dużo i stwierdziłem, że po prostu nie stać mnie na małżeństwo z tobą.

- Nie jestem droga! - krzyknęła. - Popatrz, jak żyję!

- Tak, ale daj spokój, Fi, to jest dla ciebie rodzaj zabawy.

- Zabawy? - spytała z wściekłością. - Uważasz, że bawię się w aktorkę?

- Nie, ale uważam, że cholernie dobrze wiesz, że w każdej chwili możesz wrócić do potrójnego apartamentu na Park Avenue, a jeśli tego nie wiesz, to się oszukujesz.

- Idź do diabła, niech cię cholera weźmie!

- Posłuchaj mnie! Twój ojciec jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Ja będę szczęśliwy, jeśli po przejściu na emeryturę będę zarabiał sześćdziesiąt tysięcy rocznie. My po prostu do siebie nie pasujemy.

- Ależ my się kochamy!

- Tak, kochamy się. Powiedziałaś mi, co się przydarzyło twojej siostrze Sylwii. Wyszła za kogoś takiego jak ja, a skończył w więzieniu, bo próbował skłówać pieniądze na dom. Nie chcę, żeby to nas spotkało.

- Chester Hill był przestępcą! Ty nie jesteś!

- Skąd mam wiedzieć, czy się nim nie stanę, żeby cię uszczęśliwić?

Moje małżeństwo jest fatalne, dałbym wszystko, żeby się rozwieść z Marilyn i ożenić się z tobą. Jeśli jednak chcesz znać prawdę, twoje pieniądze mnie przerażają. Zaczęła płakać.

- To niesprawiedliwe. Znowu wziął ją w objęcia.

- Wiem, ale to prawda.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy się więcej spotykać?

- Nie. Chcę powiedzieć, że powinniśmy się przestać oszukiwać rozmowami o małżeństwie, które nie miałyby szans powodzenia. Jeśli nie jedziesz do Hollywood ze względu na mnie, to radzę ci o mnie zapomnieć.

Przytuliła się mocno do niego.

- Nie chcę o tobie zapominać!

- Może jednak będziesz musiała. Puściła Jerry'ego, przygryzając wargę.

- Chodźmy do łóżka - powiedziała pociągając nosem i ocierając oczy.

- Dobrze, ale zapomnijmy o małżeństwie. Wzruszyła ramionami.

- Teraz chcę tylko miłości.

Przed domem na Barrow Street stał pod latarnią zwalisty czarnoskóry mężczyzna w dwurzędowym płaszczu i patrzył w okna Fiony.

Garsoniera Juana Alfonso Hernando Guzmána y Talavery przy Sutton Place zajmowała całe piętro ładnego domu z lat dwudziestych. Jadąc na szóste piętro windą wyłożoną boazerią, Laura, w jednych ze swych dwóch futer z soboli, powtarzała sobie po raz setny, że nawet nie dopuszcza możliwości oszukania męża, że idzie tylko na lunch. W głębi serca wiedziała jednak, że to kłamstwo. Przystojny Hiszpan rozpałił w jej sercu ogień na tyle gorący, by pokonać wszelkie zdroworozsądkowe argumenty przemawiające przeciwko samotnej wizycie u niego w domu. Laura wiedziała, że Nick jest zazdrosnym mężem. Nie należała do osób zbyt materialnie nastawionych do życia, ale podobało jej się życie jako pani Fleming. Czy markiz de Navarra był wart narażania tego niezwykle luksusowego życia? Nie, nie, nie, powtarzała sobie w kółko.

Oto jednak jechała winda. Zapowiadało się interesujące popołudnie.

Mimo iż temperatura na zewnątrz wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera, Juan otworzył jej drzwi ubrany jak karaibski plażowicz. Boso, w bardzo obcisłych białych spodniach z mankietami i koszulce polo w biało-niebieskie pasy. Błysnął tym swoim zaraźliwym uśmiechem i powiedział:

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Witaj, piękna sobolowa pani. Pocałował ją w rękę, a potem wciągnął do mieszkania, które

wyglądało jak katedra w Toledo przerobiona przez Mięsa van der Rohe. Stało tam kilka nowoczesnych mebli, a na ścianach wisiało kilka „nowoczesnych” obrazów, w tym dwa Salvadora Dali. W salonie widniał też ogromny portret Juana w kombinezonie rajdowca i kasku. Wszystko jednak wprost ociekało hiszpańszczyzną. Na ścianach wisiały bolesciwe madonny, zewsząd patrzyli drewniani *santos*, a na podłodze stały wysokie katedralne świeczniki z drewna. W oknach, wychodzących na East River i cudowny most Queensboro, wisiały ponure draperie z zielonego atlasu, które aż się prosiły, by Scarlett O'Hara uszyła sobie z nich suknię.

- Podoba ci się? - spytał po angielsku, wyciągając przed siebie ręce i ogarniając gestem salon.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki religijny - odparła ostrożnie Laura. Zaśmiał się.

- Och, pomimo mojej reputacji jestem grzecznym hiszpańskim chłopcem. Bardzo, bardzo solidny, oto cały ja. Ze wszystkich grzechów spowiadam się przed księdzem.

- Musi mieć mnóstwo roboty.

- Nie nudzi się. Napijesz się? - spytał przechodząc na francuski, którym mówił płynniej i ze słabszym akcentem.

- Kieliszek wina.

- W takim razie zaczniemy od Rioja. Spodoba ci się mój bar. Jest trochę zwariowany, tak jak ja.

Podszedł do jednego z drewnianych świątków i wykręcił mu prawą rękę. Cała część ściany obróciła się natychmiast o sto osiemdziesiąt stopni, odsłaniając bar z chromu i kolorowego szkła przypominający szafę grającą. W tym samym momencie włączył się adapter, a Edith Piaf zaczęła śpiewać *La Vie en Rose*. Laura nie mogła się powstrzymać od śmiechu z czystego zachwyty.

- To cudowne!

- Prawda? Sam go zaprojektowałem. Wszyscy mają mnie za zwykłego playboya, ale jestem naprawdę sprytny.

- I skromny.
  - Nie, nie skromny. Jestem dobry, wiem o tym. Podeszedł do baru i zabrał się do otwierania wina.
  - Czy zawsze chodzisz po domu bosy? - spytała siadając na bogato rzeźbionej hiszpańskiej sofie.
  - Nie cierpię zimna. Kiedy muszę przebywać w zimnym klimacie, ubieram się tak, jakbym był na Majorce, Lazurowym Wybrzeżu czy Karaibach. To mnie uszczęśliwia, więc czemu nie? - Podeszedł z dwoma kieliszkami wina, jeden wręczył Laurze. - Na zdrowie - powiedział po angielsku, dotykając jej kieliszka. Pijąc, spojrzała na zgrubienie w białych spodniach znajdujące się dokładnie przed jej oczami. Mój Boże, pomyślała, to musi być prawda. Laura sypiała z wieloma mężczyznami, ale nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Usiadł obok niej na sofie, przyciskając udo do jej uda.
  - Hiszpańskie czerwone wina potrafią być jak piękna kobieta - powiedział. - Hiszpańskie białe wina są jak czarownica: niebezpieczne. Opowiedz mi o sobie. Mówisz, że jesteś szczęśliwą kobietą?
  - Tak.
  - Ale także ciekawą. Dlatego tu przyszłaś, prawda?
  - Być może.
  - I co myślisz?
  - Że jesteś zarozumiałym chłopczykiem - odparła przyglądając się Hiszpanowi. Juan wzruszył ramionami.
  - To częściowo prawda.
  - Że próbujesz „zdobyć” kobietę, kierując się bardziej swą męską dumą niż uczuciem.
  - To także częściowo prawda. Wstała, odstawiając kieliszek z winem.
  - Myślę, że pójdę do domu.
  - Boisz się?
  - Trochę. - Juan wyciągnął prawą rękę. Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. - Naprawdę muszę iść - powtórzyła.
  - Daj mi rękę.
- Posłuchała go lekko zirytowana. Przyciągnął ją delikatnie do siebie, aż była zmuszona usiąść mu na kolanach. Położył na swoim kroczu dłoń Laury i przytrzymał ją uśmiechając się.
- Czy to cie ciekawiło? - szepnął.



Poczuła, że Hiszpan sztywnieje pod jej dotykiem. Puścił ją, wciąż się jej przyglądając. Nie cofnęła ręki. Nie przestając się uśmiechać, ściągnął przez głowę koszulę i cisnął ją na drugą stronę pokoju. Spojrzała na umięśniony, opalony i gładki tors.

- Jesteś zwykłą męską dziwką - powiedziała.

- Czy nie tym właśnie byłeś w Paryżu? - Zaczął ją całować.

Po chwili odepchnęła go i znowu wstała. Drżała ze strachu, nie przed nim, ale przed sobą.

- Może w Paryżu byłam dziwką, ale tu jestem żoną Nicka Fleminga, wierną żoną.

- Chyba się nie spodziewasz, że w to uwierzę.

- Wierz, w co ci się podoba. Idę do domu.

- Nikt cię nie zatrzymuje. Naturalnie, przepuścisz dobry lunch. Zaczął rozpinać rozporek. Przyglądała mu się w napięciu. Powoli,

niczym striptiserka, spuścił spodnie wzdłuż owłosionych nóg i odkopnął je na bok. Został tylko w ciemnoniebieskich kąpielówkach.

- Każę je sobie szyć w Rzymie - powiedział. - Kosztują piętnaście dolarów. Noszę je tylko raz, a potem oddaję biednym. Albo... -Mrugnął. - Daję je na pamiątkę. Chciałabyś dostać pamiątkę?

Strzelił gumką o biodro. Laura nie spuszczała z niego wzroku.

- Tak - szepnęła.

Spuścił kąpielówki i ujrzała największy męski członek, jaki w życiu widziała. Zrozumiała, czemu Juan Alfonso Hernando Guzman miał przydomek *El Toro*, czyli Byk. Wyszedł z kąpielówek, podniósł je z ziemi i, całkiem nagi, przyniósł je Laurze. Objął ją i pocałował, a ona zaczęła go gładzić po plecach.

- Będziemy się kochać przed lunchem - powiedział. - Potem zjemy paellę. Potem będziemy się kochać po lunchu.

Potem napijemy się espresso, przywiozłem automat z Florencji. Po espresso będziemy się kochać. Zdziwię cię.

Nigdy się nie męczę. - Pocałował ją w szyję.

Odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i szepnęła:

- Uszczęśliw mnie, *El Toro*.

### ***Rozdział czterdziesty dziewiąty***

Odkryła, że sekretem jego umiejętności seksualnych jest egipska technika o nazwie *Imsak*. Niezależnie od stopnia pobudzenia - a szybko przekonała się, jak bardzo potrafi być pobudzony - nie pozwalał sobie na spełnienie aktu. Powiedział jej, że czerpie radość z poczucia kontroli nad własnym ciałem; dzięki temu, że nie marnował „żywotnych soków”, potrafił utrzymywać własne pożądanie na najwyższym poziomie, a co za tym idzie, podniecać kobietę do stanu „poza progiem ekstazy”, co brzmiało lepiej po francusku niż po angielsku.

- Muszę być absolutnym panem aktu miłosnego - mówił. - W ten sposób mogę dać partnerce największą rozkosz. Większość mężczyzn chce tylko dopędzić do orgazmu, mieć go z głowy, żeby tak rzec, ale ja pogardzam podobnym nastawieniem. Kiedyś przeżyłem cały miesiąc bez orgazmu, chociaż kochałem się codziennie. Wierz mi, to był najbardziej seksualny miesiąc mojego życia. Czuję się wyczerpany, przepojony pożądaniem. Widzisz, seks musi być sztuką, być może ze szczyptą religii. To największy cud natury, jedna z najprostszych funkcji naszego ciała, a jednocześnie jedna z najbardziej złożonych. Większość mężczyzn równie dobrze mogłaby się onanizować. Ja, który poświęciłem życie dostarczaniu rozkoszy kobietom, stałem się koneserem miłości, i w tym tkwi źródło mego wielkiego sukcesu. Koneser wina nigdy się nie upija. Podobnie jest ze mną - jako koneser miłości, rzadko dopuszczam do wytrysku. Kiedy mi się to zdarza... - Wzruszył ramionami. - Czuję się tak, jakbym miał kaca. Laura nigdy jeszcze nie spotkała się z podobną filozofią, ale musiała przyznać, że to działa; nigdy nie przeżyła bardziej erotycznego popołudnia. Nick był wsnaiałym kochankiem, ale nawet on nie

należał do tej klasy co *El Toro*. Juan wprowadził ją w stan niemal mistycznego podniecenia. Napawała się rozkoszą; nie podejrzewała, że jej ciało jest zdolne do takiego natężenia ekstazy. Kiedy opuszczała mieszkanie o piątej, czuła się wyczerpana, obolała, nieco oszołomiona i spragniona ciągu dalszego.

Włożył spodnie, choć nadal był bez koszuli. Podtrzymując jej norki, zapytał cicho po angielsku:

- Czułaś przyjemność, tak? Odwróciła się, żeby go pocałować.
- Nie tylko sprostałaś swojej reputacji, ale ją przebiłaś.
- To dobrze. Cieszę się, kiedy daję przyjemność. Paella też nie była zła, co?
- Przepyszna - odparła z uśmiechem.
- Przyjdiesz znowu? Wkrótce? Zawahała się.
- To było zbyt urocze, żeby nie miało zostać powtórzone - kusił.
- Tak, przyjdę - szepnęła.
- Jutro?

O mój Boże, pomyślała.

- Tak, jutro.

Uśmiechnął się, całując ją na pożegnanie.

- Dobrze. *A demain, chérie.*

**Nick** przyszedł po Dianę do hotelu, a potem ruszyli do Village jego Rollsem.

- Czy coś się stało? - spytała widząc jego ponurą minę.
  - Czy Laura miała w Paryżu innych kochanków poza generałem von Stoltzem?
  - Mam cię okłamać, czy chcesz znać prawdę?
  - Chcę prawdy.
  - Oczywiście, że miała innych kochanków. Chociaż nie w tym czasie, kiedy była z Fritzem, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Była chyba zbyt ostrożna, by oszukiwać Fritza. Myślę jednak, że przed nim miała sporo chłopców.
- Czemu pytasz?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Ponieważ dzisiaj mnie okłamała - powiedział w końcu.
- Och.
- Powiedziała, że jedzie na zakupy, ale nie wzięła swego samo-

chodu. Pojechała taksówką. Żadna kobieta nie pojedzie na zakupy taksówką, jeśli ma do dyspozycji szofera. Czy mam rację?

- Absolutnie.

- Pytanie brzmi: dokąd pojechała taksówką?

- Masz jakieś pomysły?

- Nie, ale zamierzam się dowiedzieć.

Nie powiedział nic więcej na ten temat, ale Diana wiedziała, że jest zły.

Dotarli na Barrow Street, która wyglądała tak, jakby pochodziła raczej z roku 1850 niż 1950, wspięli się po sfatygowanych schodach na trzecie piętro.

- Jak to dobrze, że rzuciłam palenie - wydyszała Diana.

- Fiona przeżywa swój romans z ubóstwem, głównie dlatego, że nigdy nie zaznała biedy. Ma bzika na punkcie tego mieszkania.

Dotarli na ostatnie piętro, małą, ciemną przestrzeń u szczytu schodów, pomimo świetlika. Nick zadzwonił.

- Wyobrażasz sobie wnoszenie tu zakupów? - szepnął do Diany. -Przynajmniej twierdzi, że dom jest czysty. Nie ma karaluchów.

- Miło mi to słyszeć, szczególnie przed kolacją. Nick zaśmiał się.

- Przepraszam. - Zadzwonił znowu.

- Mój drugi syn, Edward, mieszka cztery przecznice stąd. Pisze wielką powieść amerykańską, w każdym razie tak mi mówi. Pracuje nad nią od pięciu lat, a jak dotąd nie widziałem nawet rozdziału, a co dopiero powieści. Nic mu jednak nie mówię. Miałem dość problemów z najstarszym synem, Charlesem, więc teraz staram się jak najmniej mieszać w życie dzieci.

- Czy martwi cię to, że Fiona jest aktorką?

- Wcale nie. Ma to po matce i bardzo się z tego cieszę. Myślę, że ma talent i wielką przyszłość przed sobą.

Drzwi otworzyła Fiona w ładnej spódniczce w szkocką kratę, niebieskiej bluzce i białym fartuchu na wierzchu.

- Witajcie w najwspanialszym apartamencie w Nowym Jorku. Cześć, tato. - Pocałowała Nicka, który ruszył za Dianą do salonu z przeszklonym sufitem.

- *Bouillabaise* pachnie bosko! - wykrzyknęła Diana rozglądając się po mieszkaniu; przypominało jej trochę pracownie artystów z lewego brzegu Sekwany. Nick pomógł jej zdjąć futro z norek, a Fiona zaniósła je na łóżko.

- Tak, i mam do tego wspaniałe wino - powiedziała znikając w sypialni. - Białe Chateauneuf-du-Pape.  
- Uwielbiam je - powiedziała Diana, podnosząc oprawione w srebro zdjęcie mężczyzny palącego fajkę. Był to klasyczny filmowy portret, a mężczyzna miał ciemne włosy zaczesane gładko na modłę wczesnych lat dwudziestych.

- Wspaniale tu wyszedłeś, Nick - pochwaliła. - Kto zrobił to zdjęcie?

- To nie ja. To Rod Norman.

Diana o mały włos nie upuściła fotografii.

- O, mój Boże - szepnęła, odstawiając portret na stół. Ponownie zalała ją fala poczucia winy. Ta urocza, utalentowana,

piękna dziewczyna podejmuje ją w swoim domu... a ona, Diana, ponosi odpowiedzialność za śmierć jej ojca. Jak mogła to zrobić?

Przypomniała sobie cynizm Kemala, swoją dawną nienawiść, anonimowość płatnych zabójców, i przypomniała sobie, jak mogła to zrobić. Dwadzieścia osiem lat temu cała sprawa przedstawiała się tak łatwo i prosto.

Teraz, gdy Fiona wróciła do salonu z radosnym uśmiechem na twarzy, Diana zaczęła myśleć, że postąpiła jak potwór.

Po blisko trzydziestu latach duch Roda Normana zaczął prześladować Dianę Ramschild.

- Nick, wiem, że nie lubisz rozmawiać o śmierci Vicky - powiedziała półtorej godziny później, kiedy wracali Rollsem do centrum. - Czy nie przyszło ci jednak nigdy do głowy, że to nie było przypadkowe zabójstwo?

Popatrzył na nią, na jej ładną twarz oświetlaną co pewien czas przez światła uliczne i reklamy.

- Czemu to mówisz?

- Podczas kolacji cierpiałam takie katusze, myśląc, że odpowiadam za śmierć ojca Fiony. Czułam taki wstyd, że mało brakowało, a wyrzuciłabym z siebie: „Ja to zrobiłam”. Potem zaczęłam myśleć, że wtedy śmierć Roda wszystkim musiała się wydać bezsensowna. To był przecież grom z jasnego nieba!

- Tak, to prawda. Pamiętam, że nikt z nas nie miał pojęcia, czemu go zamordowano. Co to ma jednak wspólnego z Vicky?

- Chodzi mi o to, że każda zbrodnia ma swoją przyczynę, nawet jeśli wydaje się tak bezsensowna, jak śmierć Roda Normana. Zastanawiam się, czy za zabójstwem Vicky nie kryje się jakaś przyczyna.

- Łamałem sobie nad tym głowę, ale nie mam pojęcia.

- A ja tak. Ten sam motyw, który kazał mi wynająć kogoś, kto miał cię zabić. Zemsta. Jesteś bardzo znanym człowiekiem, Nick, bardzo bogatym i wpływowym. Wielu ludzi musi cię nienawidzić, tak jak kiedyś ja. A jakiż jest lepszy sposób na danie upustu nienawiści niż zabicie jednego z twoich dzieci? Co więcej, może więcej niż jednego? Ta myśl przyszła mi do głowy w mieszkaniu Fiony. Jak łatwo ktoś mógłby się tam włamać i ją zabić. Wiem, że ona uwielbia to mieszkanie, ale na twoim miejscu kazałabym się jej przenieść do domu, gdzie jest przynajmniej portier, albo wynająć dla niej ochronę. Może dla innych dzieci też. Wiem, że mówię jak panikara, ale spójrz, jak łatwo było się dostać do Vicky.

Nick milczał przez chwilę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś może próbować sprzątnąć całą moją rodzinę? - spytał w końcu.

- Uważam, że powinieneś wziąć taką ewentualność pod rozwagę. Wiem, jak łatwo jest wynająć zabójców, jeśli ktoś jest na tyle zdesperowany, by zapomnieć o własnym sumieniu, i wydaje mu się, że cała rzecz ujdzie mu na sucho.

Nick, nie próbuję cię martwić, ale uważam, że Fiona jest urocza i... cóż, gdybym ocaliła jej życie, może wynagrodziłabym jej trochę to, co zrobiłam jej ojcu.

Rolls zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Jezus Maria - powiedział cicho Nick. - Lewisburg. Jakim ja byłem durniem! Ślepym, tępym durniem! - Odwrócił się do Diany, ujął jej dłoń i uściskał. - Niech cię Bóg błogosławi, Diano - powiedział żarliwie. - Możliwe, że właśnie uratowałaś życie mojej córce.

### ***Rozdział pięćdziesiąty***

Lampa katodowa, którą Chester Hill wynalazł w roku 1946, wkrótce po wyjściu z Lewisburga, była, jak wiele przynoszących zyski wynalazków, dość prosta. Ulepszyła jednak odbiór telewizyjny w takim stopniu, że wkrótce wszyscy producenci zastosowali ją w swych odbiornikach; wraz z rozkwitem telewizji pod koniec lat czterdziestych honoraria za ten niewielki wynalazek uczyniły Chestera niewiarygodnie bogatym, jednym z pierwszym multimilionerów ery telewizji.

Wciąż obolały po latach więzienia, jak na bogatego człowieka żył spokojnie, na farmie w Westchester Country i w domu przy Beekman Place. W roku 1948 ożenił się ze swoją sekretarką, ładną i inteligentną kobietą nazwiskiem Betty Drew. Chester i Betty rzadko pokazywali się publicznie, z wyjątkiem zakupów, które robili w sklepach z antykami, ponieważ Betty uwielbiała francuskie i angielskie meble, a jej namiętność z czasem udzieliła się mężowi. Farma, dom w mieście i willa w Palm Beach, którą kupili w 1949 roku, zaczęły się wkrótce zapełniać przepięknymi okazami, niektórymi wręcz o wartości muzealnej. Betty i Chester nie mieli dzieci, a przyjaciół niewielu, ale mogli siedzieć na sofie należącej niegdyś do Marii Antoniny. Jako recydywista Chester nie posiadał prawa do głosowania, ale mógł pracować nad wynalazkami przy biurku należącym kiedyś do lorda Melbourne. Stojący w gabinecie Chestera teleks giełdowy, który pozwalał mu śledzić wahania jego ogromnych udziałów na Wall Street, bynajmniej nie był antykiem.

Chester Hill siedział za biurkiem lorda Melbourne czytając prospekt giełdowy przedsiębiorstwa mrożonek, w które planował zainwestować,

kiedy Betty zapukała do drzwi i weszła. Rudowłosa, z dobrą figurą, ubierała się skromnie. Teraz na jej twarzy malowało się zdziwienie.

- Ktoś do ciebie - oznajmiła, zamykając drzwi. - To Sylwia Fleming.

Chester odłożył prospekt.

- Sylwia? - powiedział cicho, ale Betty wiedziała, co myśli o swej pierwszej żonie. - Czego szuka tutaj ta dziwka?

- Przyproceedziła twojego syna.

- Artura? Jest tutaj? - spytał Chester zaszokowany.

- Tak. - Uśmiechnęła się lekko. - To ładny mały chłopiec. No, nie jest taki mały, musi mieć chyba dziesięć lat, tak?

- Dziewięć - poprawił ją Chester.

- Jest podobny do ciebie.

- Tak? - spytał beznamietnie. - To dla mnie nowina, bo nigdy nie pozwolili mi go zobaczyć. Każ jej iść do diabła.

- To znaczy, że nie chcesz zobaczyć własnego syna?

- Nie. On już nie jest moim synem. Odebrali mi go, zmienili mu nazwisko, to jest Fleming. Nigdy więcej nie chcę widzieć żadnego Fleminga. Każ Sylwii się stąd wynosić.

- Chester, nie mogę uwierzyć...

- Każ się im wynosić! - wrzasnęła zrywając się z krzesła. - Nienawidzę tych skurwysynów, nienawidzę!

Zamilkła, dygocąc, usiłując zapanować nad emocjami.

- Wiem, ale, kochanie, to twój syn...

Stał za wspaniałym biurkiem nie odzywając się przez blisko minutę. W końcu spytał cicho:

- Czy naprawdę jest do mnie podobny?

- Tak.

- Gdzie oni są?

- Na dole w salonie.

Kolejna minuta milczącego niezdecydowania. Potem Chester obszedł biurko i objął żonę.

- Pięć lat w Lewisburgu i wszystko z powodu Flemingów -szepnął.

- Wiem, kochanie, wiem.

- Pięć długich lat.

Tulił ją jeszcze przez chwilę, potem puścił. Poprawił krawat i wygładził dłońmi włosy.



- Jak wyglądam? - spytał nerwowo.
- Przystojny jak zawsze. - Uśmiechnęła się.
- Chcę... - Przełknął ślinę. - Chcę zrobić na nim dobre wrażenie. To pewnie głupie, co? On jest Flemingiem, ale...
- Jest także twój. Według mnie to wcale nie głupie. Nie obawiaj się, zrobisz na nim dobre wrażenie. Chcesz, żebym poszła z tobą?

Zawahał się.

- Nie. Zobaczą się z nią sam.

Wyszedł z gabinetu, minął hall na piętrze ze złożonym Recamie-rem należącym kiedyś do Karola X, króla Francji, zszedł po schodach ozdobionych wspaniałą kolekcją osiemnastowiecznych chińskich rycin przedstawiających dwór cesarza Ch'ien Lunga, minął hall wejściowy, gdzie w marmurowym wazonie langwedoc-kim z Wersalu stały świeże lilie sprowadzone z Florydy... syn ubożego pastora z Salisbury w stanie Connecticut, który chciał się bogato ożenić i w rezultacie trafił do więzienia, przebył długą drogę.

Wszedł do salonu i spojrzał na kobietę, której nienawidził. Wciąż była piękna i elegancka, w stylowo prostym czarnym kostiumie i czarnym kapelusiku. Kłapę kostiumu ozdabiała broszka z diamentów i szafirów.

- Cześć, Chester - powiedziała.

Spojrzał na stojącego obok niej chłopca, wysokiego, jak na swój wiek i wyjątkowo urodziwego. Chester dostrzegł duże podobieństwo do siebie, ale z przykrością zauważył też, że syn w oczach ma coś z Nicka Fleminga. Chłopiec patrzył na niego z zaciekawieniem, bez śladu zmieszania.

- Chester, rozumiem, że myliłam się co do Artura - powiedziała Sylwia. - Powiedziałam mu wszystko o tobie i nadszedł czas, żebyście się poznali. Kochanie, to jest twój ojciec, pan Hill. Podaj mu rękę.

- Jak się pan ma, sir? - powiedział chłopiec z automatyczną grzecznością, niemal komiczną w tych okolicznościach. Chester, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczyma, powoli wyciągnął rękę i uściśnął dłoń chłopca.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałem, Arturze.

- Naprawdę się pan cieszy? - spytał nieśmiało chłopiec. Przez chwile patrzyli sobie w oczy.

- Teraz, Arturze, idź poczekać w samochodzie - powiedziała Sylwia. - Przez kilka minut muszę pomówić z twoim ojcem w cztery oczy.
- Kurczę, mam, dopiero go poznałem!
- Wiem, ale później znowu się z nim spotkasz. Artur spojrzał na Chestera.
- Naprawdę? - spytał smutno.
- Tak, oczywiście - zapewnił Chester z uśmiechem. - Teraz, kiedy twoja matka zaczęła zachowywać się po ludzku, wkrótce zorganizuję dla nas kolację. Mamy mnóstwo do nadrobienia, młody człowieku. Chciałbym usłyszeć o twojej szkole i...
- Czy zabrałby mnie pan na mecz piłki nożnej? - Przerwał mu Artur. - Szaleję za futbolem!
- W przyszłą sobotę jest mecz Gigantów. Kupię dla nas bilety... to znaczy, jeśli twoja matka nie ma nic przeciwko temu.
- Nie masz, prawda, mam?
- Zobaczymy. Arturze, idź do samochodu.
- No, dobra. - Wyciągnął rękę do Chestera. - Wspaniale było pana poznać, sir. Nie mogę się doczekać soboty. - Zawahał się. - Ciężko było nie mieć ojca przez te wszystkie lata. Szkoda, że mama mi nie powiedziała... to znaczy, nic by dla mnie nie znaczyło, że siedzi pan w więzieniu. I... w każdym razie, naprawdę się cieszę, że teraz pana mam. To małe przemówienie, tak naiwne, ale najwyraźniej szczerze, niemal złamało Chesterowi serce. Ze łzami w oczach uściskał i pocałował syna.
- Cieszę się, że cię mam - powiedział. - Naprawdę się cieszę. Tak dawno chciałem cię poznać... W więzieniu było tak ciężko... tak ciężko...
- Całkowicie się załamał, zaczął łkać. Puścił syna i stał tak, płacząc jak mały chłopiec, a Artur wpatrywał się w niego. Nagle Chester odwrócił się do Sylwii i krzyknął z wściekłością:
- Dlaczego nie mogłaś tego zrobić kilka lat wcześniej? Dlaczego musiałaś mnie torturować? Czy powiedziała ci, dlaczego poszedłem do więzienia? - krzyknął do Artura. - Potrzebowałem pieniędzy, żeby ją uszczęśliwić! Założę się, że tego ci nie powiedziała, co?
- Artur patrzył na niego zaskoczony.
- Na miłość boską. Chester, weź się w garść! - warknęła Sylwia.

- Zamknij się! - ryknął.
- To ty się zamknij, jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Artura! Chester wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nos.
- Przepraszam - powiedział.
- Arturze, zostaw nas teraz samych.
- Dobra.

Z przestraszoną miną Artur wybiegł z pokoju. Sylwia odczekała, aż rozlegnie się trzask drzwi frontowych. Wtedy spojrzała na byłego męża.

- Wiesz, jak byliśmy małżeństwem, bywały chwile, kiedy sądziłam, że chcesz mnie zabić. Och, wiem, niejeden mąż chciałby czasem zabić żonę, ale miałam wrażenie, że ty byłbyś do tego zdolny. Najwyraźniej miałam rację. Ty naprawdę mnie nienawidzisz, co?

- Do czego zmierzasz?

- To bardzo proste. Mój ojciec domyślił się, kto zabił Vicky i dlaczego. To byłeś ty, Chester. Wpadł na to dzięki informacji, że Willard Slade odsiadywał wyrok w Lewisburgu, twojej macierzystej uczelni. Musiałeś tam poznać wielu fascynujących ludzi - gwałcicieli, morderców, złodziei. To musiała być dla ciebie prawdziwa edukacja, Chester, znacznie ciekawsza niż w Yale. Mogłeś wynająć jednego z kolegów, żeby dla ciebie zabił.

- To bez sensu. Słuchaj, Sylwio, nie muszę wysłuchiwać tych bzdur.

- Och, wiedziałam, że zaprzeczysz. Chester, jesteś niesamowity. Urwałeś się chyba z jakiegoś renesansowego dworu w rodzaju Borgiów, gdzie ludzie zabijali krewnych, żeby odziedziczyć tron papieski czy coś w tym rodzaju.

- Ile zapłaciłeś Slade'owi, Chester? - spytał Nick wchodząc do pokoju. Chester zbladł na widok człowieka, którego uważał za swą nemezis. Za Nickiem stali jego dwaj synowie, Edward i zwalisty Hugh. - Musiała to być wystarczająco duża suma, by Slade mógł się przenieść do Ameryki Południowej, bo najwyraźniej nic go nie obchodziło, kto go zauważy. Na ile więc wyceniłeś życie mojej córki? Sto tysięcy dolarów?

- O czym ty, do cholery, mówisz? - wykrztusił Chester.

- Mam siedmioro dzieci, więc założmy, że przeznaczyłeś na nie milion, co wynosi około stu trzydziestu tysięcy na głowę. Opłaciłoby ci się wvdąć ten milion, co. Chester? Wykończyć

całą moją rodzinę, nie ponosząc żadnego ryzyka. A potem najsłodsza zemsta: twój syn Artur zostaje moim jedynym spadkobiercą. Musiałeś wpaść w zachwyt, kiedy przyszedł ci do głowy ten plan, Chester. Przyznaję, jest sprytny. Sprytny i zabójczy. Tylko, że to się nie uda.

- Ostrzegam cię, Nick. Mam najlepszych adwokatów w Nowym Jorku. Nie jestem już tym biednym, bezbronnym frajerem, którym byłem jako twój zięć, kiedy wrobiłeś mnie w więzienie.

- Wrobiłem? - powtórzył Nick. - Ty skurwysynu, masz szczęście, że nie wylądowałeś na krześle elektrycznym.

- Wynoś się z mojego domu! - krzyknął Chester. - Wszyscy, wynocha! Wy, pierdoleni Flemingowie, zanieczyszczacie powietrze, którym oddycham!

Hugh ruszył na Chestera, ale ojciec go powstrzymał.

- Uspokój się, Hugh.

- Ale on zabił Vicky!

- Wszystkim wam odbiło! - wrzasnął Chester. - Całej waszej bandzie... Ostrzegam was, istnieją prawa o zniesławieniu, jeśli rozpuścicie tę zwariowaną bajeczkę, wydoję was w sądzie do ostatniego centa!

- Świetnie - powiedział cicho Nick. - Zrób to, Chester. Na razie idę z tą zwariowaną bajeczką do prokuratora okręgowego. Niech on zdecyduje, jak bardzo jest szalona. Wynająłem ochronę dla całej mojej rodziny, więc nie zrobisz z nami tego co z Vicky. Kochałem tę dziewczynę, Chester. Kiedy posadzą cię na krześle... Skażą cię, o to się nie martw. Moi prawnicy powiedzieli mi, że nie jesteś tak nietykalny, jak ci się wydaje. Kiedy włączą prąd, Chester, ja się uśmiechnę.

Chester był blady jak kreda.

- Chodźmy stąd - powiedział Nick, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Jesteś żaloszny - powiedziała Sylwia do byłego męża. - Pożegnaj się z nadzieją, że jeszcze kiedyś zobaczysz Artura. Przyprowadziłam go, żebyś zobaczył, jak świetnego masz syna, ale daję słowo, nigdy więcej go nie zobaczysz.

- Niech cię diabli! - zawył rzucając się na nią. Hugh powalił go na ziemię. Potem, kiedy Hill próbował mu się wyrwać, Hugh poderwał go z powrotem na nogi.

- To za moja siostrę - oznajmił. Trzasnął go w szczękę z taką siłą,

że Chester dosłownie poleciał na bogato rzeźbiony kominek należący kiedyś do londyńskiej rodziny Rothschildów. Hugh i Edward wyszli za Sylwią z pokoju.

Nazywał się Paul Allen, znany jako Duży Paulie. Czarnoskóry, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, sto dwanaście kilo. Przyszedł na świat w Harlemie, przed trzydziestu laty. Nigdy nie znał ojca. Matka pracowała jako sprzątaczką; przynosiła sześćdziesiąt dolarów tygodniowo do trzypokojowego, pełnego karaluchów mieszkania, by wyżywić szóstkę dzieci.

Po raz pierwszy aresztowano go w wieku piętnastu lat - dostał dwa lata za kradzież samochodu. W osiemnastym roku życia dostał dziesięć lat za morderstwo drugiego stopnia - podczas napadu na Dziesiątej Alei zabił nożem sprzedawcę ze sklepu warzywniczego. Ułaskawiony w wieku dwudziestu czterech lat, rok później został posłany do Lewisburga za kradzież czeków ochrony społecznej z poczty federalnej.

Właśnie w Lewisburgu poznał Chestera Hilla. Nigdy wcześniej Paulie nie znał absolwenta Yale.

Chester nie był w Harlemie, dopóki nie poznał Pauliego.

Teraz wchodził na zasikane schody czynszowej kamienicy na Sto Dziesiątej między Pierwszą a Drugą Aleją. Gdzieś w radio śpiewała Bessie Smith. Był zimny dzień, ale ogrzewanie nie działało od trzech lat, a mieszkańcy czteropiętrowego domu z 1896 roku nie spodziewali się ciepła. Chesterowi para leciała z ust.

Wszedł na pierwsze piętro i zapukał do pierwszych drzwi. Po chwili otworzył mu Paulie. Miał na sobie gruby sweter i dżinsy. Uśmiechnął się.

- Siemanko, Chester - powitał go, wyciągając olbrzymią dłoń. Chester uściśnął ją i wszedł do pokoju, który kiedyś stanowił frontowy salon zamożnej białej rodziny, ale teraz, po pięćdziesięciu latach, kiedy wszyscy biali się wynieśli, był zniszczony w stopniu nie nadającym się do remontu. Wszędzie stały telewizory ukradzione przez Pauliego. Poza nimi, sfatygowaną sofą, drewnianym stołem i chromowym stołkiem, w pokoju nie było nic.

- Nie mówisz do mnie, człowieku? - spytał Duży Paulie, zatraskując drzwi. - Kot ci odgryzł język?

- Coś się stało, Duży Paulie. - odparł Chester. - Muszę odwołać naszą umowę.

- Odwołać? - Zaśmiał się, przykładając do piersi potężną pięść w komicznym geście zdziwienia. - Masz dziwne poczucie humoru, Chester, ale nie żartujmy z tematu, który jest tak drogi mojemu sercu.

- Nie żartuję. Muszę to odwołać. Niebezpieczeństwo jest zbyt duże. Nick Fleming mnie przejrzał. Boję się, Paulie. Naprawdę się boję.

Zdjął kapelusz, a wisząca nad nim naga żarówka rzuciła mu na twarz dziwne cienie.

- To znaczy, że mam nie zabijać jego córki? - spytał cicho Duży Paulie.

Chester potrząsnął głową.

- Byłem szalony, żeby w ogóle wymyślić coś takiego, ale tak ich nienawidziłem... nienawidziłem całej tej pieprzonej rodziny... nie wiem. Najpierw ten plan wydawał mi się świetny, ale...

Wzruszył ramionami.

- Ty biały skurwysynu - szepnął Duży Paulie skradając się do Hilla jak pantera. - Wynająłeś mnie. Mam plany na resztę życia, człowieku, będę siedział na plaży w Rio, pił koktajl rumowy, a dookoła pełno świetnych dup... nie spierdolisz mi teraz moich planów, rozumiesz? Jeśli srasz w gacie ze strachu, twoja sprawa, ale zapłacisz mi resztę tych stu kawałków.

- Możesz zatrzymać zaliczkę...

- Pierdołę zaliczkę, Chester! Dziesięć tysięcy to gówno, człowieku! Chcę całą sumę!

- Nie zapłacę ci za to, żebyś jej nie zabił! Mówię ci, umowa odwołana!

- Ty skurwysynu! - ryknął czarnoskóry olbrzym. Chwyił telewizor z dziewięciocalowym ekranem i uniósł go nad głową.

- Duży Paulie... - zaczął Chester cofając się, ale odbiornik trzasnął go w pierś. Runął w tył na telewizory.

- Ułożyłem sobie całe życie, miały się spełnić wszystkie moje marzenia! - wrzeszczał olbrzym, wyrywając przewód z jednego z telewizorów. - Teraz ty mi mówisz, że się nigdy nie spełnią! To mnie wścieka, Chester. To mnie naprawdę wścieka!

- Zapłacę ci te sto tysięcy! - wykrztusił Chester patrząc, jak Paulie zbliża się z przewodem napiętym w dłoniach.

- Nie wierzę ci, Chester.

- Nie. nie. zapłace. Możesz mi wierzyć. Rano przyśle ci czek...

- Nie wierzę ci. Wyruchałeś mnie raz, wyruchasz mnie znowu. -Duży Paulie owinął przewód wokół szyi Chestera. Ten zaczął wrzeszczeć i szarpać przewód obiema rękami, ale nie był przeciwnikiem dla Pauliego. Walczył rozpaczliwie o oddech, a Duży Paulie, z szerokim uśmiechem na twarzy, bezlitośnie zaciągnął przewód. Ciało Chestera sflaczało, Duży Paulie puścił je i opadło na telewizory. Wtedy Duży Paulie podniósł odbiornik, którym rzucił w Chestera, nachylił się i zmiażdżył ekranem twarz leżącego, obracając telewizorem, aż pokruszone szkło zmieniło twarz, okrzykniętą Twarzą Roku rocznika 1928 w Yale, w krwawą miazgę.

### ***Rozdział pięćdziesiąty pierwszy***

Kiedy chowano Chestera Hilla, którego ciało znaleziono na wysypisku śmieci w New Jersey, padał śnieg. Mimo iż twarz była nie do rozpoznania, zęby denata umożliwiły w końcu policji zidentyfikowanie zwłok. Betty, wdowa po Chesterze, która nie miała pojęcia o spisku męża przeciwko rodzinie Flemingów, załamała się z rozpaczy, sądząc, że morderca popełnił straszną, irracjonalną pomyłkę. Jednak Nick odgadł coś zbliżonego do prawdy, a mianowicie, że plan Chestera oparty na płatnych zabójcach spalił na panewce. Nienawidził go za to, co zrobił Victorii, ale musiał przyznać, że Hill zapłacił za swoją zbrodnię.

Dla Artura zabójstwo ojca stanowiło jednak równie mroczną tajemnicę, co morderstwo Roda Normana dla Fiony; poprosił Sylwię, żeby pozwoliła mu pójść na pogrzeb. Chociaż zabójstwo milionera-wynalazcy wywołało pewien szum w środkach przekazu, na cmentarzu zjawilo się niewiele osób. Po śmierci Chester pozostał takim samym samotnikiem, jakim był za życia. Tylko kilku kuzynów z Connecticut, wdowa, była żona i syn stali w padającym śniegu, patrząc na opuszczaną do grobu trumnę.

Po pogrzebie, gdy wracali limuzyną do miasta, Artur powiedział do matki:

- Sprawiał wrażenie takiego miłego człowieka. Naprawdę chciałem pójść z nim na mecz..

Sylwia uścisnęła dłoń syna.

- Znajdę ci nowego ojca - powiedziała. - Nie miałam szczęścia do pierwszych dwóch, ale teraz znajdę ci dobrego ojca, obiecuję.

Artur spojrzał na nią i uśmiechnął się z przymusem.



Nie mogę znieść Nicka! - wykrzyknęła Laura dwa tygodnie później, siedząc w wannie razem z *El Toro*. - Od pogrzebu Vicky wałęsa się markotny po domu... czuję się, jakbym żyła w kostnicy! Nagle stał się starym człowiekiem. Nawet mnie nie dotyka!

Juan, którego stopy spoczywały na jej brzuchu, uśmiechnął się.

- Nie potrzebujesz go. Masz mnie.

- To prawda, ale mimo to jego stan mnie przygnębia. Oczywiście, że jest wstrząśnięty stratą córki w tak okropny sposób, ale życie musi toczyć się dalej, prawda?

- Tak, ale może nie życie z nim.

- Co masz na myśli?

Siedzieli w wannie naprzeciwko siebie. Juan podciągnął stopy, usiadł i położył ręce na jej namydlonych ramionach.

- Kocham cię, najdroższa - powiedział. - Kocham cię z całego serca. Rozwiedź się z Nickiem i wyjdź za mnie.

Będziemy tacy szczęśliwi! Zabiorę cię do Hiszpanii i pokażę ci moją ojczyznę. Będę się z tobą kochać przez cały dzień i całą noc, bez końca.

Laura wyobraziła sobie życie w charakterze markizy de Navarra.

- Rozwód mógłby wywołać zamieszanie - powiedziała. - Pochlebia mi, że mnie chcesz, Juan... Nie chcę wyjść na osobę bez serca, ale odchodząc od Nicka sporo bym straciła.

- Chodzi ci o pieniądze?

- Oczywiście.

- Ależ on by ci dał ogromne odszkodowanie! Zostałabyś bogatą kobietą!

- Niekoniecznie. Jestem pewna, że dochowywał mi wierności, a ja nie, o czym nie muszę ci mówić.

- Postaraj się o sprytnego adwokata. Posłuż się szantażem psychicznym, to zawsze działa. Zagroź mu skandalem.

Wszystkie gazety i telewizja wiele by dały za informację, że jesteście kochankami! Trąbiono by o tym w całym kraju. Morderstwo spowodowało już taki rozgłos wokół jego osoby, że zapłaci ci za milczenie.

Przesunął dłońmi po jej namydlonych piersiach.

- Tak, rozgłos - myślała głośno. - Masz rację. Tego by nie chciał.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, że mnie kochasz.

Popatrzyła na jego przystojną twarz. Nie wiedziała, czy kocha Juana, ale uzależniła się od seksu z nim i nie miała pewności, czy mogłaby bez tego żyć. W zakłopotanie wprawiało ją uczucie, jakie żywiła w stosunku do Nicka.

Kochała go szczerze przez pięć lat. Czy

kochała go teraz? Morderstwo odbiło się fatalnie na ich związku. Poza tym była ta cholerna Diana, z którą spędzał chyba coraz więcej czasu. Na pewno nie mogła kochać Nicka z Dianą w tle!

- Kocham cię - powiedziała w końcu. - Ale nie jestem pewna, czy kocham cię na tyle, żeby odejść od Nicka.

Gwałtownie wyszedł z wanny i włożył szlafrok, który ukradł z hotelu Plaza Athénée w Paryżu.

- Chyba lepiej już idź - warknął. - Wracaj do swojego cennego Nicka i jego milionów. Juan Alfonso Hernando Guzman y Talavera nie marnuje czasu na kobiety, które nie potrafią się zdecydować.

- Kochanie, to niesprawiedliwe! Prosisz mnie o podjęcie bardzo poważnej decyzji!

- Proszę cię, idź. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Wyszła z wanny, ochlapując posadzkę wodą i mydlinami, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Uszczęśliwiłeś mnie bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna - powiedziała.

- No więc? Czemu mnie nie kochasz?

- Kocham! Nie mogłabym bez ciebie żyć!

- W takim razie rozwiódź się z Nickiem i wyjdź za mnie. Zawahała się, a potem pocałowała Juana.

- Dobrze - szepnęła.

Uśmiechnął się, rozchylił szlafrok, a ich nagie ciała przylgnęły do siebie.

- Tak lepiej - mruknął.

Przypuszczał, że odszkodowanie wypłacone przez człowieka tak zamożnego jak Nick Fleming powinno wynieść co najmniej trzy miliony dolarów. Jeden z tych milionów mógłby uszczknąć dla siebie.

A więc detektyw miał rację - stwierdził cicho Nick. Siedział z Dianą na tylnym siedzeniu taksówki, stojącej naprzeciwko domu *El Toro* przy Sutton Place. Laura właśnie wyszła, a portier pomagał jej wsiąść do taksówki.

- Kto jest jej kochankiem? - spytała Diana.

- Hiszpan nazwiskiem markiz de Navarra. To utytułowana męska dziwka.

- Słyszałam o nim. W Europie nazywają go *El Toro*.

- Mhm. wiem. Wspaniały kochanek. Cóż, mam nadzieję, że Laura

dobrze się bawiła, ponieważ ta mała przygoda kosztowała ją małżeństwo. Poprosimy do Fleming Building - powiedział do kierowcy, a potem znowu oparł się na siedzeniu obok Diany. - Chyba wcześniej czy później musiała mnie zdradzić. Czułem, że staje się niespokojna, a poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy - była dziwką. No, jeśli nie zupełnie dziwką, to prawie. To pewnie głupota z mojej strony, że się z nią ożeniłem, ale to klasyczna historia - starszy mężczyzna zaślepiony seksem. Ileż to już razy się zdarzyło? - Westchnął.

- To chyba naturalne w pewnym wieku - powiedziała taktownie Diana.

Uścisnął jej dłoń.

- Życie jest szalone, nie uważasz? - spytał. - Pamiętasz, jak ci mówiłem, że miłość to najważniejsza rzecz w życiu?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Nie wiedziałem wtedy, o czym mówię. Sądziłem, że seks to miłość albo miłość to seks. Kiedy zakochałem się w Edwinie, na początku łączył mnie z nią chyba głównie seks. Pamiętam, że mogłem myśleć tylko o zaciągnięciu jej do łóżka. Dopiero po wielu latach małżeństwa zrozumiałem, że miłość to nie tylko seks, ale i przyjaźń. Walczyliśmy ze sobą niemało, ale naprawdę byliśmy nie tylko kochankami, ale także przyjaciółmi. Okropność całej sytuacji polega na tym, że kiedy ją straciłem, zapomniałem o wszystkim, czego się nauczyłem. Z Laurą łączył mnie przede wszystkim seks. Wmawiałem sobie, że ją kocham, ale nigdy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, z wyjątkiem seksu i rzeczy, które jej kupowałem. Na pewno tak właśnie było, bo teraz, kiedy wszystko skończone, nic do niej nie czuję, kompletnie nic. Chcę tylko, żeby zniknęła z mojego życia.

Spojrzał na Dianę.

- Dziwne, ale my zostaliśmy przyjaciółmi, prawda? Po tych wszystkich burzach sprzed trzydziestu kilku lat siedzimy tu i starzejemy się jako przyjaciele. Cieszę się, że się tak stało, Diano.

- Ja też.

- Zawdzięczam ci coś bardzo cennego - ciągnął. - Uratowałaś życie Fionie. Nigdy tego nie zapomnę, Diano. , Taksówka zatrzymała się przed Fleming Building. Nick wyjrzał przez okno na lśniącą wieżę.

- Spojrz, moje imperium - powiedział. - Czasami zastanawiam

się, jaki ma sens to imperium. Może byłbym szczęśliwszy jako dentysta?

- Wątpię, Nick - odparła z uśmiechem. Przyglądał się jej twarzy.

- Zawsze miałaś takie piękne oczy, Diano. Mówiłaś, że nadal mnie kochasz. Czy to prawda?

- Nie domyślasz się? Czemu tu jestem? Czemu odkładam powrót do Europy?

- A co z twoim włoskim przyjacielem, hrabią?

- Co z nim?

Patrzyli na siebie. Potem Nick nachylił się i pocałował ją w usta. Powoli wyciągnęła do niego rękę. Jego pocałunek stał się bardziej namiętny, pocałunek, na który czekała ponad trzydzieści lat. Nick! Nick, moja miłości.

Puścił ją i szepnął:

- Chyba zakochałem się w tobie po raz drugi. Czy to szaleństwo?

- Och, kochanie - powiedziała tuląc się do niego. - To szalone i cudowne! Czekałam na to tak długo, że nie wiem, czy mam się śmiać czy płakać!

- To szaleństwo, ale i prawda: kocham cię. Mój Boże, pierwsza dziewczyna, w której się zakochałem, a teraz siedzę tu po latach i zakochuję się w niej znowu!

- A ja nigdy nie przestałam cię kochać, najdroższy - powiedziała, wyjmując mu chustkę z kieszeni i ocierając oczy.

- W takim razie, czemu, do diabła, się nie pobierzemy?

- Nie wiem, czemu, do diabła, nie?

- Mój Boże, mieliśmy mnóstwo czasu na poznanie swoich wad, prawda? Ja na pewno znam twoje: próbowałaś mnie zabić!

- Och, kochanie, tak źle postąpiłam...

- Akurat! - Zaśmiał się. - Zrobiłabyś to znowu, co? Potrząsnęła głową, wycierając nos.

- Nigdy.

- Cóż, wiem, że masz temperament. Będę musiał uważać. Pojedziemy w podróż poślubną do Londynu?

- Proszę pana - przerwał mu taksówkarz. - To wszystko jest bardzo romantyczne, ale ja muszę zarabiać na życie.

Może mi pan zapłaci i pójdziecie gruchać gdzie indziej?

Oboje wybuchnęli śmiechem jak para zakochanych po uszy nastolatków.

Juan Alfonso Hernando Guzman y Talavera ćwiczył grę w mini-golfa, kiedy rozległ się dzwonek. Ponieważ tego dnia służący miał wolne, Juan oparł kij o jeden ze świątków i poszedł do foyer, by otworzyć drzwi. W progu stała Laura, której pięknie było w futrze z soboli.

- Już po wszystkim - oznajmiła wchodząc do mieszkania. - Ten sukinsyn nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby się pożegnać. Poleciał do Londynu z Dianą, a brudną robotę zostawił prawnikom. Czy uwierzysz, że żeni się z Dianą? Ona jest prawie w jego wieku! Mój Boże.

Juan zamknął drzwi.

- No i? - spytał niecierpliwie.

- No i co?

- Ile dostaniesz? - Odebrał od niej futro.

Przeszła przez mieszkanie, które tak dobrze poznała. Juan wszedł za nią do salonu.

- Chcę wyjechać z Nowego Jorku - mówiła. - Wszystko mnie tu przygnębia. Zabierz mnie w jakieś romantyczne miejsce, Juan. Gdzieś, gdzie naprawdę jest wiosna.

- Możemy pojechać na Majorkę. Mam tam dom na plaży. Spodoba ci się.

- Majorka! To brzmi cudnie. Moglibyśmy poczekać tam na zakończenie rozwodu, a potem byśmy się pobrali.

- Ale ile ci dał? - nalegał.

- Milion dolarów. Jestem bogata.

- Milion? Zgodziłaś się na to?

- Uważam, że to dużo pieniędzy.

- Ty głupia. Ty głupiutka, mogłaś wyciągnąć więcej! Nick Fleming jest bogaty jak Krezus! Powinnaś była zażądać pięciu i zgodzić się na trzy!

- On o nas wie. Nie wiem, jak to odkrył, ale wie, a jego adwokaci dali mi do zrozumienia, że potrafią być niemili, gdybym się nie zgodziła na tę sumę. Dlatego wzięłam swój milion. To kupa forsy, a ty jesteś bogaty. Ile pieniędzy nam potrzeba?

- Milion dolarów to nie bogactwo! - pieklił się Juan. - Czy uważasz, że ja, Juan Hernando Guzman y Talavera, markiz de Navarra, sprzedaję urodę, tytuł, geniusz seksualny za marny milion dolarów? Możesz zapomnieć o Majorce.

Zapomnij o ślubnych dzwonach. Istnieje zbyt wiele bogatych kobiet tylko czekających, żebym je zerwał, bym miał marnować swój talent na ciebie.

Wymierzyła mu silny policzek. Oddała jej tak mocno, że padła na krzesło.

- Ty sukinsynu! - krzyknęła.

- Słuchaj, Lauro, po prostu stąd wyjdź. Nie chcę z tobą walczyć. Przeżyliśmy razem miłe chwile, i na tym koniec, zgoda?

Wstała z krzesła, przykładając dłoń do piekącego policzka.

- Powinnaś była wiedzieć. Ty naprawdę jesteś śmieciem, ty, twój *Imzak* i bajeczne powodzenie u kobiet. Pewnie mam szczęście, że za ciebie nie wychodzę.

- Możliwe.

Szybkim ruchem chwyciła kij golfowy i trzasnęła kochanka w krocze. Juan zawył i zgiął się w pół z bólu, a Laura rzuciła kij na sofę i ruszyła do wyjścia.

- Może ci spuchnie i stanie się jeszcze większy, kochasiu - powiedziała z uśmiechem.

- Boli! - wył Juan.

- To dobrze. Wyszła.

**Sześć** tygodni później Nick i Diana wzięli ślub w jego mieszkaniu. Para młoda trzymała się za ręce. Kiedy Nick ją pocałował, Diana rozplakała się ze szczęścia.

Czekała na to od tak dawna.

**Połowę** swego majątku wysokości siedemdziesięciu milionów dolarów Chester Hill zostawił Berty, a drugą jedynemu dziecku, Arturowi Brooksowi. Ironia losu chciała, by Artur stał się najbogatszym członkiem rodziny Flemingów w swoim pokoleniu, otrzymawszy spadek po ojcu, którego widział zaledwie dziesięć minut.

Ani Willarda Slade'a, ani zabójcy Chestera Hilla nigdy nie odnaleziono.

**Pianista** grał *TU See You Again*, gdy Fiona usiadła przy stoliku w barku małego hotelu w centrum. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę, ponieważ nadal była w żałobie po siostrze, ale Fiona nie

potrzebowała wyszukanych strojów, by przyciągać uwagę mężczyzn; sama jej uroda wystarczała.

- Mam wspaniałe nowiny - oznajmił Jerry Lord pocałowawszy ją na powitanie. - Powiedziałem sobie: do diabła z twoimi pieniędzmi. Poproszę Marilyn o rozwód.

- Cóż, to wielki zwrot. - Fiona wyglądała na zaskoczoną.

- Wiem, ale czemu mam być nieszczęśliwy w małżeństwie z Marilyn, skoro mogę być szczęśliwy z tobą?

- Dobre pytanie. Poproszę cołę - zwróciła się do kelnera. - Ja też mam dla ciebie wielkie nowiny - powiedziała do Jerry'ego.

- Jakie?

- Podpisuję ten kontrakt z MGM. Jadę do Hollywood, no, dokładnie rzecz biorąc, do Brentwood. Mój agent znalazł tam dla mnie mieszkanie.

Jerry zmarszczył brwi.

- To znaczy... dla ciebie i dla mnie?

- To znaczy, żebyś nie rozwodził się z Marilyn z mojego powodu, bo ja nie chcę za ciebie wychodzić.

Wyglądał na tak przygnębionego, że Fionie zrobiło się go żal. Ujęła go za rękę.

- Jerry, kiedy ma się bogatego ojca, jak ja, trzeba się martwić o jedno: o mężczyznę, którego moje pieniądze będą interesować bardziej niż ja.

- Ale ja taki nie jestem! Powiedziałem ci, że to twoje pieniądze są problemem.

- A kiedy mi to powiedziałeś, zdałam sobie sprawę, że moje pieniądze interesują cię bardziej niż ja. Och, może bardziej cię onieśmiały, niż pociągały, ale chodzi o to, że zależy mi na mężczyźnie, który przede wszystkim będzie myślał o mnie, a nie o pieniądzach.

Odsunął rękę, a mina wyraźnie mu zrzędła.

- W takim razie, życzę ci szczęścia, Fi. Będzie ci potrzebne.

- Nie gniewaj się.

- Nie gniewam się. - Wzruszył ramionami. - Ale chyba zamówię jeszcze jedną szkocką. - Dał znak kelnerowi. - Czyli jedziesz do Hollywood?

- Tak. Zostanę gwiazdą. - Tak jak ojciec, pomyślała. I matka.

- Nie powinnaś mieć z tym kłopotów, skoro twój ojciec jest właścicielem studia filmowego - stwierdził Jerry.

- Dojdę do tego o własnych siłach - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Kelner postawił przed nią colę.

- Jasne - powiedział Jerry.

Fiona wstała, podniosła szklanę i wylała Coca-Colę na głowę Jerry'ego Lorda.

- Cieszę się, że teraz poznałam twoją prawdziwą twarz.

- Może jednak mogłabyś grać Margo Charming - zauważył.

- Może zagram. Wypadła z baru.

Kochanie, chciałabym, żeby twoje dzieci mnie lubiły - powiedziała Diana, pijąc sok pomarańczowy. - Myślisz, że mnie polubią?

Nick, który siedział naprzeciwko niej przy stole w apartamencie w londyńskim hotelu Connaught, gdzie spędzali miesiąc miodowy, uśmiechnął się i przesłał jej całusa.

- Jeśli cię nie polubią, kopnę ich w kolektywny tyłek.

- Nie, poważnie, Nick, naprawdę chcę, żeby mnie lubiły, a może nawet, po jakimś czasie, kochały. Mam takie poczucie winy wobec Fiony.

Wyciągnął rękę ponad stołem i uściskał jej dłoń.

- Musisz o tym wszystkim zapomnieć, Diano. Uwierz mi, uratowałaś jej życie, a także życie innych moich dzieci.

Gdybyś nie otworzyła mi oczu na to, co knuł Chester, Bóg wie, co mogłoby się stać.

- Ale to właśnie Chester Hill uzmysłowił mi, jak potworną rzecz zrobiłam. On zrobił to samo, co ja niemal trzydzieści lat temu. W Turcji to mi się wydawało takie proste - czemu nie wynająć zabójcy? Ale teraz... kiedy widzę, jak ohydne jest zabijanie, jak okropne było zamordowanie tak niewinnej osoby jak Vicky... - Wzdrygnęła się. - Chcę wyznać Fionie prawdę o jej ojcu. Nie mogę się czuć swobodnie, póki nie powiem jej, że odpowiadam za śmierć jej ojca. Czy potrafisz to zrozumieć? Uważam ją za jedną z najbardziej uroczych dziewcząt, jakie poznałam, i teraz, kiedy zostałam jej macochą, chcę, żeby nasz związek był szczery.

Nick zastanowił się przez chwilę nad jej słowami.

- Rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić, i podziwiam cię za szczerość, ale myślę, że to ryzykowne.



- W sensie prawnym? Nie sędzę, żeby Fiona pobiegła na policję.
- Nie, nie to miałem na myśli. Fiona jest bardzo uczuciowa, postać Roda Normana otoczyła kultem. Ma cztery czy pięć wielkich albumów pełnych wycinków dotyczących jego kariery, setki zdjęć... Gdyby się dowiedziała, że brałaś udział w jego zabójstwie, mogłaby sobie z tym nie poradzić.
- Ależ tym bardziej powinnam jej wyznać prawdę! Właśnie dlatego, że postać ojca stała się dla Fiony taka ważna, tak strasznie trudno jest mi dźwigać ten ciężar: myśl, że spowodowałam jego śmierć! Jestem gotowa zaryzykować zerwanie z nią, choć mam nadzieję, że tak się nie stanie, ale muszę jej powiedzieć.
- Wobec tego, powiedz jej - odparł Nick.
- Pomożesz mi to zrobić?
- Naturalnie. Fiona jest inteligentną dziewczyną. Zrozumie. - Zawahał się, a potem dodał: - Mam nadzieję.
- Boże - westchnęła Diana. - Głupie rzeczy, które zrobiło się w młodości, wracają. Jaką ja byłam wtedy wariatką. - Przygryzła wargę. - Ale co będzie, jeśli ona nie zrozumie? Och, Nick, sama nie wiem... może jednak nie powinnam jej mówić? Jeśli zacnie mnie za to nienawidzić...
- Nie - przerwał jej. - Powiedz jej. Powinnaś to zrobić. Prawdopodobnie wiele lat temu sam powinienem był wyznać jej prawdę. Nie uważam, żeby ukrywanie sekretów rodzinnych przynosiło wielkie korzyści. Lepiej, żeby prawda wyszła na jaw, bez względu na to, jak bolesna. - Zastanawiał się, czy mógłby zapobiec kazirodczemu związkowi Charlesa z Sylwią, gdyby natychmiast poruszył tę sprawę otwarcie, zamiast chować głowę w piasek. Jak inaczej wszystko mogłoby się potoczyć! - Nie, oboje jej powiemy. Może nie będzie zachwycona, że jej wcześniej nie powiedziałem, ale zasługuje na to, by znać prawdę.
- 1 y kazałaś go zabić? - wykrztusiła Fiona trzy tygodnie później. Nick i Diana siedzieli w salonie jej mieszkania w Brentwood. - Nie mogę w to uwierzyć! Wynajęłaś jakiegoś... Turka, żeby przyleciał do Los Angeles i zastrzelił mojego ojca?
- Na twarzy Diany malowało się zakłopotanie.
- Wynajęłam go, żeby zabił Nicka, ale ponieważ twój ojciec i Nick bvli do siebie podobni, zabił twojego ojca przez pomyłkę.

- Ach, więc jesteś usprawiedliwiona, tak?! Co z ciebie za kobieta? Wynajmujesz płatnych morderców? To w stylu Chestera Hilla!
- Fiono, trudno ci zrozumieć tamtą sytuację - powiedział Nick. - Diana czuła się przeze mnie odrzucona i zdradzona. Była w Turcji, gdzie panuje inne nastawienie do zabijania... czuła się rozbita...
- Bronisz jej?! - krzyknęła. - Bronisz jej po tym, co zrobiła?
- Próbuję ci to wyjaśnić. To się stało prawie trzydzieści lat temu.
- Co za różnica? - warknęła. - Mój ojciec nie żyje! Nie żyje, bo ta... wariatka, z którą się ożeniłeś, zapłaciła komuś, żeby go zabił!
- Proszę cię, Fiono - błagała Diana. - Powiedziałam ci o tym tylko dlatego, że zależy mi na uczciwej przyjaźni między nami.
- Jakiej przyjaźni? Wynoś się stąd. Nie chcę cię więcej widzieć!
- Fiono! - krzyknął zaszokowany Nick. - Ona jest moją żoną, a twoją macochą. Przepróż ją!
- Nigdy! - krzyknęła, wybuchając płaczem i wypadając z pokoju. Wbiegła do sypialni, gdzie rzuciła się na łóżko, płacząc rozdzierająco. Przewróciła się na bok i spojrzała na biurko i ścianę, pokryte tuzinami oprawionych fotografii człowieka, który stał się jej obsesją, ojca, którego nigdy nie знаła, Roda Normana.

**Część VIII**  
**KONIEC GRY**  
**1953-1963**

### ***Rozdział pięćdziesiąty drugi***

Stara, siwowłosa kobieta leżąca na dużym łóżku z pościelą Pourthault była słaba i umierająca, ale nawet osiemdziesiąt cztery lata nie zdołały zniszczyć całej urody Edith Fleming Clairmont. Umierała z powodu dwóch zawałów, jednego drobnego, drugiego znacznie poważniejszego, ale w sercu Edith nie było żalu. Sypialnia jej mieszkania przy Sześćdziesiątej Czwartej ulicy była pełna zdjęć rodziny i przyjaciół, a wspomnienia wypełniały każdy centymetr sześcienny wysokiego pokoju.

Nick siedział na krześle przy łóżku i trzymał ją za rękę. Była jesień roku 1953.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz do mnie przyszedłeś? - szepnęła.

- Pamiętam.

- Tak dawno temu... tak dawno... Chyba się mnie bałeś, co?

- Tak, bałem się.

- A mimo to miałeś odwagę powiedzieć to, co powiedziałeś. Cieszę się, że do mnie przyszedłeś, Nick, kochanie.

Pochylił się i pocałował ją w rękę.

- Wszystko - powiedział cicho. - Zawdzięczam ci wszystko. Dziękuję ci z całego serca.

Uśmiechnęła się, leżąc z półotwartymi oczyma.

- Nie wyszło nam najgorzej, co? - szepnęła. - Obojgu nam nieźle się powiodło, co? To ważne. Zawsze byłam z ciebie dumna, mój kochany synu.

Milczeli przez chwilę, a popołudniowe słońce sączyło się do sypialni przez staromodne koronkowe zasłony.

- Życie toczy się tak szybko - powiedziała w końcu. - Nagle

człowiek jest stary i zdaje się, że wszystko, całe życie było tylko mgnieniem... Dziwne.

Zamknęła oczy, a Nick myślał przez chwilę, że zasnęła. Po chwili mówiła dalej z zamkniętymi oczami:

- Te potworne bomby. Jest ich chyba coraz więcej i więcej... Nick, czy myślisz, że pewnego dnia może wybuchnąć następna wojna?

- Mam nadzieję, że nie, ale boję się, że jest to możliwe.

- Gdyby wszystkie wybuchły, mogłyby zniszczyć wszystko, prawda? Tę piękną ziemię? Drzewa i kwiaty...

- I ludzi - dodał.

Ścisnęła jego rękę i wyczuł w niej przyływ sił.

- Musisz spróbować to powstrzymać, Nick - szeptała. - Wojnę... ostateczną wojnę... Masz władzę i pieniądze, mógłbyś jej zapobiec. Obiecasz mi to, Nick? Za wszystko, co dałam ci w życiu, proszę tylko o to jedno: spróbuj powstrzymać wojnę. Spróbuj uratować tę piękną ziemię. Obiecasz mi to?

Znowu pocałował ją w rękę.

- Obiecuję.

- To dobrze. - Wyglądało na to, że się uspokoiła.

Składając obietnicę, mówił szczerze, choć nie miał pojęcia, jak jej dotrzymać. Edith umarła następnego ranka.

**W** miarę upływu lat Flemingowie, podobnie jak większość rodzin, odnotowali serię małżeństw, narodzin i zgonów. Systematycznie powiększali swój majątek, dowodząc, o ile w ogóle dowód był potrzebny, że bogaci bogacą się jeszcze bardziej. W roku 1952 Charles ożenił się z Daphne Pierce, bogatą panną z wyższych sfer. Sylwia, która wciąż żywiła do brata nienaturalną namiętność, nie cierpiała szwagier-ki; jak gdyby chcąc zagrać na nosie Daphne i Charlesowi, wyjechała wraz z synem do Anglii, gdzie, ku zdziwieniu wszystkich, zdołała złapać jednego z najbardziej atrakcyjnych kawalerów w Europie, swego kuzyna, lorda Ronalda Saxmundham, prezesa banku Saxmund-ham. Ronald odziedziczył Thrax Hall, zwrócony rodzinie po wojnie, toteż Sylwia została nową panią wiejskiej posiadłości, co jej sprawiło wielką radość i ożywiło wspomnienia o ukochanej matce, Edwinie. Zapisła Artura na uniwersytet w Eton, szybko opanowała angielski akcent i zaczęła wyrabiać sobie pozycje w londyńskiej socjocie.

W 1955 roku Edward Fleming, rodzinny cygan, „beatnik”, jak ich teraz nazywano, opublikował pierwszą powieść, dziwną historię o palaczach marihuany z Greenwich Village, która spotkała się z dobrym przyjęciem krytyki, ale sprzedano zaledwie trzy tysiące egzemplarzy (olbrzymi sukces *Nagich i martwych* wzbudził jego zawzięć i Edward poniechał pomysłu napisania powieści wojennej). Był tak wściekły z powodu klęski jego *magnum opus*, że pożyczył od ojca milion dolarów i kupił wydawnictwo, przemianowując je na The Fleming Press. Nick, któremu zawód pisarza zawsze wydawał się podejrzany, namawiał syna do odłożenia pióra i zostania wydawcą, co też Edward uczynił. Ku jego zdziwieniu, bardzo mu się to spodobało. Ponieważ dawniej sam parał się pisarstwem, hojnie wypłacał zaliczki i był gotów podejmować ryzyko, stawiając na prozę eksperymentalną. W roku 1956 opublikował pierwszą powieść pod tytułem *Deep Space*, przygodową science fiction, której akcja rozgrywała się na planecie Tau Ceti. Sprzedawała się jak świeże bułeczki, a The Fleming Press po raz pierwszy zarejestrowała zysk. Nick, przeczuwając wygrywającego konia, namówił Edwarda do włączenia wydawnictwa do Fleming Communications. Dokonano wymiany akcji, a Edward, ku swemu zakłopotaniu - zawsze szczylił się tym, że pieniądze go nie interesują - stwierdził, że stał się bogaty jak nigdy dotąd.

Hugh i Maurycy ożenili się i pracowali dla ojca. W roku 1960 Nick, skończywszy siedemdziesiąt dwa lata, powiedział do Diany:

- Myślę, że w końcu mogę przejść na emeryturę. Chłopcy świetnie sobie radzą.

Czekała go niespodzianka.

1 rzeciego lutego 1963 roku prezydent John F. Kennedy powiedział do swego sekretarza:

- Połącz mnie z Nickiem Flemingiem. Pływa jachtem po Karaibach.

- Tak, panie prezydencie.

*Seaspray*, zbudowany rok wcześniej w Holandii, stanowił ostatnią ekstrawagancję Nicka. Znużony licznymi posiadłościami, unikając kurortów, które nie gwarantują prywatności, ze względu na artretyzm, potrzebował ciepłego klimatu, postanowił więc, że sprawi sobie jacht. Razem z Diana zajęli się projektowaniem nowej zabawki,

pracując z projektantem i konstruktorem, by stworzyć jacht-marzenie. W ten sposób powstał *Seaspray*. Statek, który miał sześćdziesiąt trzy metry długości, zgrabny biały kadłub i nachylony komin, mógł osiągać prędkość dwudziestu dwóch węzłów i przemierzać odległość czterech tysięcy mil morskich, napędzany czterema potężnymi silnikami Diesla. W skład dwudziestopięciosobowej załogi wchodził francuski kucharz, szwedzki masażyście i kanadyjski lekarz, których zadaniem było zaspokajanie potrzeb bogacza, jego żony i gości. Większość swoich współczesnych obrazów Nick zapisał w testamencie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a w latach pięćdziesiątych zaczął zbierać starych mistrzów. W wyłożonym boazerią salonie jachtu wisiały przepiękne płótna Watteau, Goi i Delacroix, a pokój stołowy zdobił wspaniały Rembrandt, który kosztował ponad dwa miliony dolarów. W głównej kabine Flemingowie mogli podziwiać Maneta i dwa obrazy Greuze'a, a w swojej garderobie Diana miała uroczy obraz pani Vigée-Lebrun. Po latach intensywnego życia Nick uznał, że wreszcie może zwolnić obroty i rozkoszować się wraz z Dianą lenistwem na luksusowym jachcie.

*Seaspray* stał na kotwicy u wybrzeży Jamajki, Nick i Diana opalali się nad basenem, kiedy zadzwonił telefon.

- To prezydent, sir - powiedział jeden ze stewardów, wręczając mu telefon. Nick usiadł.

- Jak Jamajka, panie Fleming? - spytał John F. Kennedy.

- Nie mogłoby być lepiej, panie prezydencie - odparł Nick. - Jest trzydzieści siedem stopni, a na niebie nawet najmniejszej chmurki.

- Cóż, zazdroścę panu. Właśnie znowu rozmawiałem z Charlesem. Mówił, że wciąż nie godzi się pan na sprzedawanie nam sprzętu Ramschilda.

- Zgadza się, panie prezydencie. Powód pozostaje ten sam. Wplątaliśmy się w paskudną, beznadziejną wojnę w tym przeklętym kraju, którego nazwy nikt nawet nie jest w stanie poprawnie wymówić. Jestem za stary, żeby pozwolić się znowu zacząć nazywać Tytanem Śmierci, a poza tym nie chcę się mieszać do wojny, która z każdym dniem staje się coraz mniej popularna. Zresztą nie ma potrzeby, żebym mówił panu o tym przez telefon, bo wiem, że czytał pan moje artykuły. Powiedziałem to raz i będę powtarzać bez końca: Wynieście się z Wietnamu!

Usłyszał, że prezydent odchrząknął.

- Cóż, znam pana zdanie w tej sprawie. Jednak niezależnie od

tego, czy ma pan rację czy nie, chodzi o to, że teraz nie możemy się wynieść...

- Spakujcie się i wynieście!

- Wie pan, że to nie takie proste.

- Akurat! Niech pan nie słucha tego, co mówią panu generałowie z Pentagonu! Oni kochają tę wojnę, a Bóg wie, że poznałem w życiu dosyć generałów, żeby przejrzeć ich grę. Niech pan ich nie słucha.

- Widzę, że nasza rozmowa donikąd nie zmierza, panie Fleming. Sęk w tym, że potrzebujemy pańskiej broni. Czy nie mogę zaapelować do pańskiego patriotyzmu?

- Ostatnia ucieczka lajdaków, jak powiedział doktor Johnson. Nie, panie prezydencie, nie może pan, ponieważ mój patriotyzm mówi mi, że ta wojna bardziej zaszkodzi mojemu krajowi, niż pomoże, i będzie kosztowała wiele istnień ludzkich. Co nas obchodzi, że Wietnam stanie się komunistyczny? Niech tak będzie, komu zależy na tym przeklętym miejscu?

Prezydent westchnął.

- Dobrze, panie Fleming. Proszę się cieszyć słońcem.

- Bez urazy, panie prezydencie? - Nick uśmiechał się szeroko.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, żebym w tej chwili pana kochał. Do widzenia, panie Fleming.

Prezydent odłożył słuchawkę i powiedział do brata, generalnego prokuratora Sądu Najwyższego:

- Co za uparty stary pryk z tego Fleminga. Nie mogę nic u niego wskórać.

Nick odłożył słuchawkę i powiedział do Diany:

- O rany, ale jest wściekły! Niesprzedawanie broni bawi mnie bardziej niż sprzedawanie!

- To prawdziwa władza: móc powiedzieć prezydentowi Stanów Zjednoczonych, żeby poszedł grać w pchełki - stwierdziła Diana.

- Kiedy matka umierała dziesięć lat temu, musiałem obiecać, że spróbuję powstrzymać wojnę i pozbyć się bomb. To nie jest łatwe, ale chyba w końcu wiem, jak spełnić tę obietnicę. Po prostu nie dam im się kupić. Chciałem wycofać się z interesu zbrojeniowego w czterdziestym piątym, ale Charles mnie od tego odwiódł. Teraz mu się nie uda. Ta wojna to głupi błąd, a ja nie mam ochoty brać w niej udziału.

Diana była dumna z męża.

- Masz racje, Nick, ale Charles będzie ci się przeciwstawiać.



- Proszę bardzo. Nadal jeszcze jestem szefem.

Oparł się na leżaku i zamknął oczy przed karaibskim słońcem. Pomyślał o matce i obietnicy na łożu śmierci. Miał wrażenie, że wreszcie znalazł sposób na jej spełnienie.

Godzinę później Charles Fleming spotkał się z trzema braćmi, Edwardem, Maurycym i Hughem, w sali konferencyjnej Fleming Building w Nowym Jorku. Charles utykał nieco z powodu rany wojennej, ale w wieku czterdziestu czterech lat był nadal szczupły, wyglądał względnie młodo, a w szarym londyńskim garniturze w prążki wciąż prezentował się władczo i przystojnie. Był zły.

- Właśnie rozmawiałem z prezydentem - powiedział siadając na głównym miejscu, a bracia usiedli po bokach. - Dzwonił do starego na *Seasprayu* i usłyszał tę samą starą śpiewkę.

- Żadnej sprzedaży dla Pentagonu? - spytał Maurycy, który miał trzydzieści dziewięć lat i czwórkę dzieci.

- Żadnej sprzedaży dla Pentagonu. Mam tego dość. Tracimy zamówienia wartości setek milionów dolarów, bo jeden stetryczały starzec na jachcie wbił sobie do głowy, że to nie jest moralna wojna.

- Bo nie jest - stwierdził Edward, wiceprezes wydziału książek i czasopism w Fleming Industries. Edward, wciąż kawaler, przyłączył się do rodzinnego interesu, ale w ostatnim, rozpaczliwym akcie buntu starzejącego się beatnika nosił porozciągane tweedowe marynarki zamiast garniturów.

- Akurat! - krzyknął Charles. - **Jeśli** nie powstrzymamy ich w Wietnamie, komuchy zaleją całą Azję! Ameryka musi być silna i potężna, a nasz ojciec, który powinien być mądrzejszy - Chryste, był w Rosji podczas rewolucji, czerwoni wzięli go do niewoli -zidiociał i chce im pozwolić, żeby nas wystraszyli! Ameryka zawsze prowadziła moralne wojny, a ta jest nie mniej moralna niż druga wojna światowa!

- Pieprzysz od rzeczy, Charlie - odparł Edward. - Nie mamy żadnego interesu w Wietnamie. Stary ma rację. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że zajął takie stanowisko, ale podziwiam jego odwagę.

Charlie spojrzał groźnie na brata, ale nakazał sobie zachowanie spokoju.

- Dobra, zapomnijmy o moralności i o tym, czy ta wojna jest

słuszna, czy nie. Pomówmy o pieniądzach, naszych pieniądzach. Nie tylko tracimy majątek, ale trafiamy na czarną listę Pentagonu. Słyszałem już od kilku wysokich generałów, że jeśli nie zgodzimy się z nimi balować teraz, kiedy nas potrzebują, już nigdy z nami nie zabalują. Ramschild jest jedną z największych spółek zbrojeniowych na świecie i przynosi jedną czwartą dochodów Fleming Industries. Jeśli jednak Pentagon nas skreśli, równie dobrze możemy wrócić do produkcji strzelb myśliwskich. Jesteście moimi braćmi. Wszyscy mamy duże udziały w spółce. Czy chcecie, żeby tak się stało? Zapadła niezręczna cisza.

- Co możemy zrobić? - spytał Maurycy. - To spółka ojca. On jest szefem.

- Może nie - odparł Charles. - Ma siedemdziesiąt pięć lat. Moglibyśmy uznać go za niesprawnego umysłowo.

- Och, daj spokój - prychnął Edward. - Ma równie jasny umysł, jak każdy z nas, nawet jaśniejszy. Spróbuj czegoś takiego, a zje twoje jaja na śniadanie.

Charles zabębnił palcami po stole.

- Masz rację - zgodził się. - Ale jest inny sposób. W głosowaniu może brać udział około piętnastu milionów udziałów Fleming Industries klasy A. Ojciec jest największym udziałowcem, posiada trzy i pół miliona akcji. Na założenie Fundacji Fleminga przeznaczył trzy kolejne miliony, które można wykluczyć z głosowania. Około dwóch i pół miliona akcji jest własnością publiczną. A każde z naszej szóstki posiada po milionie. Gdybyśmy połączyli razem nasze sześć milionów akcji, stworzylibyśmy największy blok. Moglibyśmy go zmusić do sprzedaży dla Pentagonu.

- Igrasz z ogniem - ostrzegł brata Edward. - Stary wciąż jeszcze może zmienić testament, a gdybyśmy próbowali go przegłosować, mógłby wydziedziczyć któreś z nas, albo wszystkich. Mógłby przekazać resztę swoich udziałów Fundacji, a wtedy to ona stałaby się Fleming Industries i mogłaby wywalić nas wszystkich na zbity pysk. Zresztą mnie możesz nie wliczać. Zgadzam się ze starym.

Charles spojrział gniewnie na krnąbrnego młodszego brata.

- Cholera, Eddie, zawsze byłeś buntownikiem! Najpierw idziesz sobie do Village i próbujesz być jakimś nedorobionym hippisem, a teraz usiłujesz storpedować pozostałą część rodziny. Nie rozumiesz, że Wall Street wie, że nie chcemy sprzedawać Pentagonowi? Spójrz, co się działo z akcjami przez ostatnie sześć miesięcy! Fleming miał

najsilniejszą pozycję, a teraz spadł ze stu osiemdziesięciu czterech do stu dziewiętnastu. Wszyscy lecimy na łeb na szyję!

- Stać nas na to - odparł Edward.

- Charlie ma rację - powiedział Maurycy. - Spółka ponosi straty. Jeśli Ramschild nie chce współpracować z rządem, uważam, że powinniśmy go sprzedać.

- O, nie - zaproponował Charles. - Ramschild to moje dziecko, wiemy, ile pieniędzy może przynosić. To złota żyła, której nie eksploatujemy z powodu ojca. Słuchajcie, to wszystko sprowadza się do pytania: kto kieruje tą spółką - my czy stary. Eddie ma rację, wystąpienie przeciwko niemu wiąże się z pewnym ryzykiem. Ale ostatecznie to my teraz pracujemy. Stary nie pokazał się tu od miesiąca. On i Diana pływają jachtem albo siedzą gdzieś w Europie. On już nie bierze udziału...

- Myślę, że jak najbardziej bierze udział - przerwał mu Edward. - Nie w codziennych operacjach, ale w długofalowych planach spółki i naszym życiu jako rodziny. Na dłuższą metę, jeśli nie wmieszamy się w tę bezsensowną wojnę, możemy na tym świetnie wyjść.

- Jeśli cokolwiek zostanie ze spółki! - krzyknął Charles. - Uważam, że powinniśmy postawić tę kwestię na ostrzu noża. Ojciec szanuje tylko siłę, a jeśli tu się trochę postawimy, może ustąpi.

- Na mnie nie licz - powtórzył Edward.

- Nie miałem zamiaru. A ty, Maurycy? Ty, Hugh? Zawahali się.

- A co z Fioną i Sylwią? - spytał wreszcie Hugh. - One też są nam potrzebne.

- Fiona mnie poprze - zapewnił Charles. - Nie rozmawia z Dianą, od kiedy się dowiedziała, że tamta wynajęła tureckiego zabójcę, który zamordował Roda Normana. To była zresztą głupota ze strony Diany.

- A Sylwia?

- Dam sobie radę z Sylwią.

- Jeśli przekonasz Sylwię, możesz na mnie liczyć.

- Dobra robota, Hugh. - Charles uśmiechnął się szeroko. - A co z tobą, Maurycy?

Maurycy, najbardziej konserwatywny członek rodziny, wykręcił się od odpowiedzi.

- Najpierw orzekonaj Sylwie, a potem dam ci odpowiedź.

- Dobra. - Charles wzruszył ramionami. - Jutro lecę do Londynu, żeby pomówić z Sylwią.
- Wszyscy popełniacie duży błąd - ostrzegł Edward.
- Może to ty popełniasz błąd - odparł cicho i groźnie Charles.

Niezwykła uroda wciąż była widoczna, choć blakła w szybkim tempie w wyniku połączenia nadmiaru kalifornijskiego słońca, kalifornijskiego wina oraz, ostatnio, kalifornijskich narkotyków. Marzenie Fiony o wielkiej karierze w stylu ojca, Roda Normana, zmieniło się w koszmar. Posiadała urodę gwiazdy i talent aktorski, ale brakowało jej tego trudnego do zdefiniowania elementu, który sprawia, że aktorka podbija serce widzów. Po kilku pośrednich rólkach w bezbarwnych filmach agent Fiony poradził jej, żeby poprosiła ojca o pomoc w blaknącej karierze. Ta propozycja tak bardzo ją obraziła, że nie tylko wycofała się z filmu, ale zaczęła wycofywać się z życia, a w każdym razie z rzeczywistości.

Kult zmarłego ojca, który rozpałił w sercu Fiony nienawiść do macochy, teraz zaprowadził ją do świata narkotycznych majaków. Niezwykle bogata, kupiła podniszczone *chateau* należące do Roda Normana w czasach jego świetności, a obecnie zamienione na dwuczęściowy dom mieszkalny. Fiona zaczęła cofać czas. Wypowiedziała mieszkanie lokatorom, po czym, za blisko ćwierć miliona dolarów, przywróciła domowi postać na tyle zbliżoną do kształtu z roku 1922, na ile pozwoliły jej pieniądze i zebrane informacje. Dawniej jej ulubionym filmem było *Wszystko o Ewie*, teraz jego miejsce zajął *Bulwar zachodzącego słońca*, którego kopię kupiła. Podobnie jak Norma Desmond wypełniła wielkie pokoje *chateau* bogatą kolekcją zdjęć Roda Normana; portrety przystojnego gwiazdora z przylizanymi na modłę lat dwudziestych włosami stały na stołach, fortepianie i biurkach. W południowej Kalifornii, która słynęła z ekscentryczności, dziwaczne zachowanie Fiony nie wzbudziło wielkiej sensacji; znano ją jako Świrniętą Fionę, wariatkę.

W miarę jak fale coraz bardziej egzotycznych narkotyków obmywały brzegi Los Angeles, Świrnięta Fiona próbowała wszystkich. Zamknęła się w domu marzeń Roda Normana wraz z grupką przyjaciół, pieczeniarczy i okazjonalnych kochanków, próbując marihuany, peyotlu i innych specyfików. Posiadała kopie wszystkich niemych filmów Roda Normana, które się zachowały: wyświetlała je

na okrągło, odjeżdżając na najnowszym narkotyku. Ten zaginiony, niewinny świat początku lat dwudziestych niezwykle ją pociągał; ulotne melodramaty, które kiedyś sprawiały tak komiczne wrażenie, teraz wydawały się jej bardzo romantyczne, głębokie i bezpieczne. Przede wszystkim, na srebrnym ekranie pojawiał się on, wiecznie żywy, ten, który pokonał czas, cudownie przystojny bohater, który mógł z nią być zawsze, nigdy jej nie zawodząc i nie łaszcząc się na jej pieniądze... Rod Norman.

Dlatego też, kiedy Charles zadzwonił do niej i poprosił, by poparła go w walce przeciwko Nickowi i Dianie, Fiona, której odurzony narkotykami umysł zapomniiał o pełnej miłości trosce, jaką Nick darzył ją przez lata - w istocie zaczęła uważać, że to on ponosi współodpowiedzialność za śmierć jej ojca - powiedziała:

- Poprę cię wszystkimi udziałami, które mam, Charlie. Siedzący w Nowym Jorku Charles uśmiechnął się.
- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Fi.

### ***Rozdział pięćdziesiąty trzeci***

Sylwia uwielbiała Anglię, kiedy rodzice przywozili ją tam w latach trzydziestych. Kochała miękkie, zielone piękno przyrody wokół Thum Hall; kochała spokojne wioski z chatami krytymi gontem, wioski, które zdawały się drzeć niezakłóconym snem przez stulecia. Uwielbiała też przepych i podniecający zgiełk Londynu. Dzięki krwi Thraxów odziedziczonej po matce była w połowie Angielką i uważała Anglię za swą ojczyznę w nie mniejszym stopniu niż Amerykę. Tak więc, po fatalnym małżeństwie z Chesterem Hillem i niewiele lepszym z Corny Brooksem, wyjechała do Anglii nie tylko po to, by zagrać na nosie Charlesowi i jego nowej żonie, Daphne; była to też próba odnalezienia pogodnej krainy dzieciństwa.

Londyn leczył rany poniesione podczas nalotów, a Anglia odbudowywała zniszczenia wojenne, pełna entuzjazmu dla nowej epoki elżbietańskiej. Według Sylwii to życie było na swój sposób równie ekscytujące, co w Nowym Jorku. Miała wielu znajomych, ale kuzyn, lord Ronald Saxmundham, osobiście podjął się wprowadzenia amerykańskiej krewnej w nowe środowisko. Ronald zbliżał się do czterdziestki, wysoki, chudy jak szczapa, o wyblakłej, piaskowej urodzie, dość nieśmiały - co niektórzy brali za sztywność - i niezwykle inteligentny. Był też dobry, troskliwy, a także, co może miało największe znaczenie dla Sylwii, mającej na koncie dwa nieudane małżeństwa, solidny. Bardzo go polubiła. Uznała, że byłby dobrym ojcem, którego obiecała Arturowi. Ronald był olśniony urodą kuzynki, klasą i poczuciem humoru. To, co większość uważałaby za niedobraną parę, stało się klasycznym przykładem przyciągania się przeciwieństw. Ślub został nagłośniony przez prasę - Anglia wciąż ciepło wspominała Jankesów, a co za tym idzie, wciąż ciepło wspominała Nicka i Edwine.

Jako lady Saxmundham, trzecia wicehrabina i żona jednego z czołowych angielskich bankierów, Sylwia stwierdziła, że angielski establishment przygląda jej się nieufnie. Dwie wojny światowe kosztowały Anglię imperium i wstrząsnęły systemem klasowym, ale jądro establishmentu pozostało żarliwie konserwatywne. Sylwia była w końcu, w odróżnieniu od matki, Amerykanką, a przed wojną na okładce „Life'u” ukazało się jej zdjęcie jako dziewczyny roku, co w oczach Anglików nie było całkiem właściwe. Sylwia była podejrzana.

Ku ogólnemu zdziwieniu i zachwytowi męża, Sylwia stała się niemal bardziej angielska niż Anglicy, *plus royaliste que le roi*. Zawsze świetnie jeździła konno; wstąpiła do The Quorn, brała udział w wyścigach przełajowych, wygrała kilka gonitw, zachwyciła wszystkich werwą i zacięciem. Umiejętności hippiczne są pewną drogą do serc Anglików, ale trudno powiedzieć, by Sylwię pokochano. Miała wybuchowy charakter, ostry język i dość władczy sposób bycia, które sprawiły, że co grzeczniejsi spośród znajomych zaczęli nazywać ją „trudną”. Poza tym nie była obojętna na płęć przeciwną; chociaż pilnowała, by pozostać wierną Ronaldowi - podobała jej się rola lady Saxmundham i szczerze lubiła męża, nawet jeśli nie był największą namiętnością jej życia - zyskała sobie sławę kobiety, która flirtuje, a to nie przysporzyło jej sympatii żon mężczyzn, z którymi flirtowała. Sylwia odnosiła sukcesy jako pani domu i zajęła miejsce w górnych warstwach angielskiej socjety, jednak Anglicy nigdy nie przyjęli jej do swego kolektywnego serca.

W roku 1957 urodziła Ronaldowi syna, Percevala, a w 1958 córkę, Penelopę. Podczas szóstych urodzin Percevala Ronald zaprowadził Sylwię do biblioteki w Thrax Hall, nalał brandy i oznajmił:

- Jutro przyjeżdża Charles.

Na wzmiankę o bracie serce Sylwii jak zwykle zabiło szybciej; wciąż to samo poczucie winy i niezupełnie uśpionej namiętności. Związek z bratem zawsze był tym, co ktoś nazwał „rozdrażnioną intymnością”; zarówno rozdrażnienie, jak i intymność stanowiły wynik ich sekretu.

- Dlaczego? - spytała. - Charles nie był tu od roku. Mam nadzieję, że nie przywozi Daphne. Tracę nad sobą panowanie, kiedy muszę odnosić się uprzejmie do tej kobiety.

- Nie, nie przywozi Daphne. Chodzi o interesy, a z tego, co mówił mi Eddie, raczej mętne interesy. Eddie zadzwonił, żeby mnie uprzedzić, co knuje Charles.

- Knuje? Mówisz tak, jakby to była konspiracja.
- Bo jest. Jak wiesz, twój ojciec zakazał sprzedaży broni dla Pentagonu. Nick jest przeciwny wojnie w Wietnamie, co podziwiam, choć jest to nieco samobójcze stanowisko z punktu widzenia interesów. Charles próbuje zorganizować blok rodzinny złożony z ciebie i twoich braci, żeby przegłosować ojca.
- Poważnie? Jestem zdumiona, że Charlie ma tyle odwagi. Był mocno zastraszony przez ojca, od kiedy o mały włos nie został przez niego wydziedziczony podczas wojny. - Przypomniała sobie nagiego Charlesa przeciągającego się nad leśnym stawem koło Thrax Hall. Przypomniała sobie graniczące z delirium podniecenie, jakie czuła obserwując brata.
- Wiem o tym. Ale Ramschild jest namiętnością Charlesa. Lubi poczucie władzy, spotkania z generałami, admirałami i tak dalej; w pewnym sensie ma do tego stosunek małego chłopca. Nie dziwi mnie, że jest gotów walczyć, żeby ocalić spółkę.
- Ale z ojcem? To nie błahostka. - Przypomniała sobie gorące pocałunki, ciepło jego silnego ciała, dreszcz związany z łamaniem tabu.
- Dlatego właśnie poruszam ten temat - ciągnął Ronald. - Według mnie Charles postępuje bardzo nierozsądnie. Jeśli sprawa posunie się daleko, może rozbić rodzinę, a nawet Fleming Industries. Nick Fleming nie jest królem Learem. Nie odda królestwa dzieciom bez walki.
- Masz rację. A co z innymi? Jakie jest ich stanowisko?
- Według Eddiego, Fiona poprze Charlesa, a Hugh i Maurycy mogą się przyłączyć, jeśli ty staniesz po jego stronie. Eddie jest zdecydowanie przeciwny i głosowałby za ojcem. Osobiście uważam, że to szaleństwo ze strony Charlesa. Chodzi jednak o to, że teraz wszystko zależy od ciebie. Jako twój mąż, radzę ci się do tego nie mieszać. Nie doprowadzaj do zatargu z ojcem.
- Nie bój się, nie mam zamiaru. Za bardzo kocham ojca, żeby mu wbijać nóż w plecy, a to właśnie zamierza zrobić Charles. W pewnym sensie mnie to nie dziwi. Nie mam zamiaru babrać się w taniej psychologii, ale Charles zawsze skrycie zazdrościł ojcu. Wiesz, stara historia o zazdrosnym synu ojca, który osiąga wielkie sukcesy. Powiem mu, żeby zapomniał o moim głosie i że sam też powinien zapomnieć o całej sprawie.
- To dobrze. Wiedziałem, że postąpisz rozsądnie.



- Ale on przyjeżdża jutro? Czy wie, że jutro wieczorem urządzamy Bal Thraxów?
- O, tak. Wypożycza przebranie.
- Za co się przebiera?
- Za diabła.
- Jakie to stosowne. - Sylwia się zaśmiała. - Przypomniała sobie ich miłosną ekstazę, ekstazę, która przyprawiała ją o dreszczyk po blisko trzydziestu latach.

**Bal Thraxów** zorganizowano po raz pierwszy w roku 1883 i odtąd, z wyjątkiem lat wojny, stał się corocznym wydarzeniem w Thrax Hall. Bal stanowił jedną z' największych uroczystości w życiu angielskiej socjety, a lista gości uległa niewielkim zmianom w ciągu osiemdziesięciu lat, chociaż od czasów wojny do arystokracji zaczęły dołączać gwiazdy filmu i teatru oraz magnaci przemysłowi. Był to bal kostiumowy, a ponieważ Anglicy uwielbiają przebierać się w wyszukane i czasem głupie stroje - a także ze względu na atrakcyjność miejsca i hektolitry szampana - tylko śmierć lub ciężka choroba mogła powstrzymać zaproszonych gości od przybycia. W roku 1883 ówczesny lord Saxmundham umieścił gości w sypialniach, a ich licznych służących stłoczył na strychu. Dzisiaj tylko starsi goście oraz ci, którzy przybyli z daleka, zostawali na noc; pozostali wracali do Londynu kawalkadą wynajętych autobusów. Ponieważ wszystkie pokoje zostały już poprzydzielane, Charles, gość z ostatniej chwili, zatrzymał się w Audley Place, który wciąż należał do Nicka. Członkowie rodziny spędzali tam czasem letnie wakacje, ale stary dom w stylu Tudorów, który Edwina tak kochała, przez większą część roku stał pusty. Personel Charlesa był jednak sprawny - zawiadomili wcześniej o przybyciu gościa człowieka zajmującego się domem i jego żonę. Kiedy Charles przeleciał przez Atlantyk jednym z odrzutowców należących do Fleming Industries, na lotnisku Heathrow czekał na niego Rolls z szoferem, który zawiózł go do Audley Place, przygotowanego na przybycie gościa; termostat podkrecono do dwudziestu stopni, a ogień płonący w licznych kominkach skutecznie odpędzał ostry lutowy mróz. Charles, podobnie jak każdy bogaty człowiek, uważał komfort za rzecz naturalną. Siedząc przed kominkiem z dużą whisky, myślał o ojcu. Nadal żywo pamiętał scenę, jaka rozegrała się w tym właśnie

pokoju dwadzieścia dwa lata wcześniej, kiedy ojciec chlusnął mu w twarz alkoholem i szarpnął go z krzesła. O mały włos go wtedy nie wydziedziczył, a Charles nigdy o tym nie zapomniał ani nie wybaczył. Co zrobiłby ojciec teraz, gdyby dowiedział się o ostatniej zdradzie? (Zresztą przypuszczalnie już wiedział, bo Eddie nie omieszkał mu powiedzieć.) Charles nie miał złudzeń co do reakcji ojca - zechce usunąć go z Fleming Industries. Kości zostały rzucone. Albo on, albo ojciec mieli uzyskać kontrolę nad imperium.

Charles miał jednak dwa asy w zanadrzu. Trzy, jeśli liczyć Sylwię.

Sylwia. Wszystko zależało od sprytnej siostry, która potrafi rzucić urok.

Patrząc w chyboczące płomienie Charles przypomniał sobie tamto odległe popołudnie, kiedy dopuścił się z siostrą kazirodstwa.

Sylwia... Nawet jej imię wciąż rozniecało w jego krwi ciemne żądze...

### ***Rozdział pięćdziesiąty czwarty***

Edwinie, podobnie jak większości Anglików, nigdy nie przypadła do serca sztuka nowoczesna, toteż w latach dwudziestych i trzydziestych, kiedy Nick tworzył imponującą kolekcję współczesnych płócien, jej reakcją na każdy nowy nabytek był w najlepszym razie udawany entuzjazm, a w najgorszym grymas i uwaga w rodzaju: „Boże, kochanie, czy to nie jest trochę brzydkie?” W jej mniemaniu dobra sztuka to albo obrazy, które „opowiadają jakąś historię”, albo stare portrety rodzinne, najlepiej pędzla Gainsborough lub Lawrence'a.

Początkowo Nick kładł ten jej brak szacunku na karb brytyjskiego prowincjonalizmu, z czasem jednak zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem żona nie ma trochę racji. W latach pięćdziesiątych doszedł do wniosku, że kierunek sztuki nowoczesnej, niezależnie od siły, jaką posiadał na początku wieku, zaczyna popadać w idiotyzm, jeśli nie w zwykłe szalbierstwo. Diana, pomimo szalonego życia, jakie prowadziła, miała również konserwatywny stosunek do sztuki. Kiedy się pobrali, zarówno Nick, jak i Diana wrócili do przeszłości z żarliwą namiętnością wspieraną gigantycznym bogactwem Nicka.

W efekcie nie tylko zmienili obrazy zdobiące ściany jachtu i licznych posiadłości, ale postanowili, że wewnątrz jachtu urządzią konsekwentnie w stylu dawnego okresu; wiek dwudziesty miał znajdować odbicie wyłącznie w technologicznych cudach statku. Nie posunęli się do tego, by zasłaniać przewody wentylacyjne parawanami z Koromandel, ale poza telefonami i telewizorami na pokładzie *Seaspraya* znajdowało się niewiele przedmiotów wyprodukowanych w dwudziestym wieku. Główna kabina stanowiła najlepszy przykład. Ściany pokryto tapeta z początku dziewiętnastego wieku, przed-

stawiającą widoki Londynu; Diana, która ją odkryła, zakochała się w tapecie od pierwszego wejrzenia, a Nick zapłacił za nią osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Na podłodze leżał stary, delikatnie barwiony perski dywan, a wszystkie meble pochodziły z osiemnastego wieku, włącznie z francuskim biurkiem, którego cena nawet u Nicka wywołała skrzywienie twarzy. Końcowym rezultatem tej ekstrawaganckiej ucieczki w romantyczną przeszłość była chyba najpiękniejsza pływająca sypialnia na świecie. Diana ją ubóstwiała i nie obchodziło jej, ile kosztowała.

- Jeśli zbankrutujemy, możemy trzasnąć w górę lodową i za-inkasować ubezpieczenie - mawiał Nick.

Na horyzoncie nie było wielu gór lodowych, gdy *Seaspray* pruł po Morzu Karaibskim z prędkością dwudziestu węzłów, kierując się na Bahamy. Diana skończyła się właśnie przebierać do kolacji i szła przez sypialnię, kiedy wszedł Nick. Nigdy nie widziała go w takim stanie, był bliski apopleksji.

- Do diabła z nim! - wybuchnął, zatraskując za sobą drzwi. - Niech go diabli wezmą!

- Kogo? - krzyknęła. - Co się stało?

- Co za skurwysyn. Właśnie dzwonił Eddie. Charles próbuje podburzyć rodzinę przeciwko mnie! Co za syn...

Przerwał, łapiąc się za serce i wydając odgłos będący połączeniem jęku i sapnięcia. Runął na łóżko.

- Kochanie! - Diana podbiegła do męża.

- Lekarza, szybko! - wyszeptał.

Oddalona o sześć i pół tysiąca kilometrów Sylwia stała przed lustrem w swej sypialni na pierwszym piętrze Thrax Hall i przyglądała się własnej ucieczce w romantyczną przeszłość, a mianowicie przebraniu na bal. Zamierzała wystąpić jako Kleopatra, ale uznała, że w Thrax Hall było na to za zimno, więc wybrała kreację Eleonory Akwitańskiej. Potem spojrzała do książki z kostiumami, a stwierdziwszy, że wyglądałaby śmiesznie w czapce z daszkiem, przypomniała sobie o matce i poszła na strych, gdzie po śmierci Edwiny schowano jej liczne stroje, starannie przekładając je naftaliną. Tam, wśród sukien z lat dwudziestych i trzydziestych, które przywoływały, wraz z zapachem kamfory, przepych odległych czasów, znalazła białą suknie „sufrażystki”, wyglądająca tak, jakby pochodziła mniej

więcej z 1925 roku. Instykt podpowiedział Sylwii, że wyglądałaby w niej świetnie, a kiedy ją przymierzyła, stwierdziła z ulgą, że ma równie wspaniałą figurę, jak matka. Pod dom podjeżdżały już pierwsze autobusy z Londynu, kiedy Sylwia spojrzała w lustro i uznała, że wygląda „super” - starała się być na bieżąco z nowymi modnymi wyrażeniami młodzieży. Odziedziczyła po matce większość jej bajecznej biżuterii, toteż żeby dodać sobie splendoru, założyła cztery grube brylantowe bransolety Edwiny w stylu Art Deco, dwie broszki z rubinów i brylantów, długie brylantowe kolczyki oraz wspaniałe brylantowy naszyjnik z rubinem o nazwie Krwawy Księżyc, który Nick dał jej matce jako prezent ślubny blisko pół wieku wcześniej. Rąbek sukni sięgał jej kolan, odsłaniając wspaniałe nogi, a cienkie ramiączka ukazywały całkiem sporo atłasowej skóry. Kasztanowe włosy miała ostrzyżone na modnego w latach dwudziestych pazia z grzywką; umalowała usta jaskrawo szkarłatną szminką, a oczy także na modłę lat dwudziestych. Przybrała pozę seksownego wampa z niemych filmów i przesunęła palcami wzdłuż ręki.

- Nieodparta - mruknęła.

- Przyjechał pierwszy autobus - oznajmił Ronald wchodząc do pokoju w kostiumie Szkarłatnego Pimpernela. Sylwia odwróciła się, posyłając mu kuszący uśmiech.

- Clara Bow - powiedziała.

Nigdy nie miał dość widoku żony, ale dziś była rewelacyjna.

- Zabójcza - powiedział z uśmiechem. - Absolutnie zabójcza. Zostaniesz królową balu. - Podał jej ramię. - Zejdziemy?

Podeszła do RONALDA, ujęła go pod ramię i wyszli.

- Dzwonił Charles - powiedział, kiedy szli korytarzem do schodów. - Trochę się spóźni.

Charles. Pomyślała o tym stawie w lesie...

**Przybył** Henryk VIII z dwiema żonami, Katarzyna Howard i Anna Boleyn. Stawił się Tarzan, który trzymał się blisko grzejników. Przyszedł Frankenstein, a oprócz niego hrabia Drakula, Lukrecja Borgia, kardynał Richelieu, Scarlett O'Hara, Maria Antonina, Rasputin, George Sand, Dzwonnik z Notre Dame, Neron, Jan Chrzciciel, królowa Saby, Alicja z krainy czarów i Zwariowany Kapelusznik. Ponad stu pięćdziesięciu gości w przebraniach tańczyło w wielkiej

sali balowej Thrax Hall w takt muzyki londyńskiej griipy rockowej, naśladowującej brzmienie sensacyjnego nowego zespołu z Liverpoolu

**O** nazwie The Beatles. Kiedy Charles w czerwonym kostiumie diabła z widłami i ogonem wszedł do sali, zatrzymał się, by przez moment napawać się widokiem. Już głośna dwudziestowieczna muzyka w eleganckiej szaro-złotej osiemnastowiecznej sali balowej stanowiła wystarczająco silny kontrast, ale bajkowe i historyczne kostiumy obejmujące całe tysiąclecie przywodziły na myśl pętlę czasu.

Wtedy dostrzegł Clare Bow tańczącą ze Szkarłatnym Pimpernelem. Sylwia lśniła niczym odległa gwiazda. Charles wziął od przechodzącego kelnera kieliszek szampana i popijając Laurent Perrier obserwował tańczącą siostrę. Wszystko zależało od Sylwii.

**Po** dziesięciu minutach miejsce zespołu rockowego zajęła tradycyjna orkiestra, która zaczęła grać składankę melodii Noela Cowarda. Kiedy z saksofonów i klarnetów popłynęły słodkie dźwięki *I'U See You Again*, Sylwia ruszyła przez tłum w stronę brata; wielki Krwawy Księżyc kołysał się między jej piersiami jak lampa rowerowa.

- Cześć Charlie - powiedziała całując go w policzek. - Jaki miałeś lot?

- Wyboisty.

Odstawił kieliszek na skrzynię z zielonego marmuru, którą Andre-Charles Boulle wykonał w roku 1716 (a którą Ronald ubezpieczył niedawno na ćwierć miliona funtów).

- Jak twoje nogi? - spytała. - Czy czujesz się na tyle rześko, żeby ze mną zatańczyć?

- Chyba poradzę sobie z fokstrotem.

Zaprowadził siostrę na parkiet i poczuła, jak przytula ją do siebie.

- Wiem, po co tu przyjechałeś, Charlie. Postępujesz bardzo głupio. Ojciec się wścieknie, kiedy się dowie.

- Niech się wścieka. Ja tylko próbuję ratować Ramschilda od bankructwa.

- Marnujesz czas, próbując mnie przekonywać. Nie mam zamiaru występować przeciwko ojcu.

- Nie dałaś mi nawet okazji, żeby...

- Nie potrzebuję cię słuchać, Charlie. Ronald jest temu przeciwny

I ja też.

- Kto powiedział Ronaldowi? Eddie?
- Tak. Dzwonił.
- Domyśliłem się. Eddie to kawał zarozumiałego sukinsyna. Tak czy inaczej, Eddie nie wie, bo ja nie chcę, żeby wiedział, że mam poparcie poza rodziną.
- Czyje?
- Na razie pozostaną anonimowi.
- Nie ufasz własnej siostrze?
- Nie ufam Ronaldowi. Chodzi o mniej więcej półtora miliona akcji, które staną po naszej stronie w momencie konfrontacji. Możemy wygrać, jeśli będziemy się trzymać razem!
- Ale wygrać co? Kontrolę nad spółką? Komu na tym zależy? Stan obecny w pełni mnie zadowala, a już na pewno nie chcę występować przeciwko rodzonemu ojcu.
- Sylwio, my nie występujemy przeciwko niemu!
- Chętnie usłyszę, jak nazywasz to, co robisz.
- Ratujemy dzieło jego życia. Ten stetryczały starzec na jachcie nie jest tym samym Nickiem Flemingiem, który z fabryki strzelb myśliwskich stworzył Spółkę Ramschilda, a z niej Fleming Industries! Gdyby miał sześćdziesiąt lat, a nie siedemdziesiąt pięć, sprzedawałby Pentagonowi wszystkie produkty naszych fabryk, włącznie z temperówkami! Ja tylko próbuję ocalić go przed nim samym.
- Naprawdę uważasz, że zidiociał?
- Oczywiście! Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zbywałby przez telefon prezydenta Stanów Zjednoczonych. Żaden normalny człowiek nie odrzucałby zamówień wartości setek milionów dolarów. On zgubił piątką klepkę. - Zawahał się, przyglądając się siostrze. - Pięknie dziś wyglądasz - dodał.
- Mhm. Dzięki.
- Te perfumy są nadzwyczajne.
- Dostałem je od Ronalda na Gwiazdkę. Nazywają się *Nuit d'Amour*.
- „Noc miłości”. Podoba mi się.
- Skoro o miłości mowa, jak się miewa ta dziwka Daphne?
- Nie mów tak o niej. Daphne jest miła.
- To zdzira, i dobrze o tym wiesz. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłeś się z nią ożenić. Sądziłam, że masz lepszy gust, jeśli idzie o kobiety.

- Kiedyś miałem świetny gust - powiedział cicho, patrząc Sylwii w oczy. - W młodości. - Przytulił ją nieco mocniej.

- Kiedyś miałem najwspanialszą kobietę na świecie.

Poczuła, że serce bije jej szybciej.

- Charlie, nie mów tak.

- Jestem sam w Audley Place - szepnął jej na ucho. - Przyjdź do mnie dziś w nocy.

W umyśle Sylwii błysnął obraz nagiego młodzieńca przeciągającego się nad leśnym stawem.

- Nie mogę - odparła nerwowo. - I przestań mnie tak mocno przyciskać. To nie wygląda przyzwoicie.

- Nie mów mi, że nie sprawia ci to frajdy. Nie odpowiedziała.

- Chodź ze mną do Audley Place. Nikt nie będzie tu za tobą tęsknił.

- Jesteś obrzydliwy. Odepchnęła brata i zeszła z parkietu.

Charles uśmiechnął się. Wiedział, że ziarno pokusy zostało posiane.

Sylwia weszła do sali bilardowej, gdzie ustawiono bar. Nagle zrobiło jej się gorąco ze zdenerwowania. Zapraagnęła czegoś mocniejszego od szampana.

- Poproszę o whisky - powiedziała do barmana. Drżała. Kiedy wręczył jej szklanke, wypila duży łyk szkockiej, która postawiła ją na nogi. Podszedł Ronald, prezentujący się wspaniale w kostiumie Szkarłatnego Pimpernela z czerwono-złotym płaszczem.

- Jak na razie nikt się nie zwałił - powiedział, a potem rzucił do barmana: - Jedną whisky.

- Tak, dziś chyba wszyscy zachowują się przyzwoicie - odparła Sylwia.

- Oczywiście, jest jeszcze wcześniej. Dobrze się czujesz? Jesteś trochę zarumieniona.

- To pewnie od whisky. Podczas tańca zakręciło mi się lekko w głowie. Teraz już lepiej.

- Jesteś pewna? Może coś ci przynieść?

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. - Zawahała się. - Kochanie, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym została z Charliem na noc w Audley Place? Skarżył się, że czuje się tam samotnie. Wiesz, że



ten dom jest pełen wspomnień o matce i... cóż, wiem, co Charlie ma na myśli. Mogę?

- No, chyba tak, ale musisz wrócić na lunch. Mamy pełno gości. - Wrócę.

- Czy wspominał o akcjach?

- Ach, tak. Odprawiłam go z kwitkiem.

- Grzeczna dziewczynka. No... - Dopił whisky i podsunął szklanekę barmanowi. - Na drugą nogę.

Potem wrócił do sali balowej.

Och, Sylwio, gorzko tego pożałujesz, pomyślała.

### ***Rozdział pięćdziesiąty piaty***

O piątej nad ranem odjechały ostatnie autobusy. Sylwia powinna być wyczerpana, ale adrenalina tętniła jej w żyłach. Wrzuciła do torby koszulę nocną, szczoteczkę do zębów i sukienkę. Włożyła futro z soboli i zeszła do Charlesa i Ronalda siedzących w wielkim hallu.

- Naprawdę głupio wyglądasz w tym kostiumie diabła - powiedziała podchodząc, a potem zwróciła się do Ronalda: - Dobranoc, kochanie. Musisz być wykończony. - Pocałowała go.

- Tak, trochę.

- Wobec tego idź na górę spać. Zobaczymy się później. Ujmując brata pod ramię ruszyła przez marmurowy hall, gdzie

przed wielu laty jej rodzice zobaczyli się po raz pierwszy. Sylwia nie myślała jednak o przeszłości; myślała o chwili obecnej.

- Zapowiadali opady śniegu - zawołał Ronald, kiedy otworzyła drzwi.

Odwróciła się i spojrzała na męża. Jaki on jest dobry, pomyślała, jaki miły. Nie rób mu tego.

Ale, mój Boże, nie mogę się teraz wycofać.

Na zewnątrz panował straszny ziąb. Szofer Charlesa podbiegł do Sylwii, wziął od niej torbę, a potem pomógł obojgu wsiąść do Rollsa.

- Wiem, co knujesz - powiedziała Sylwia, kiedy ruszyli. - Szyjesz naprawdę grubymi nićmi. Uwodzisz mnie, ponieważ zależy ci na moim głosie. Nie uda ci się to.

Charles wziął siostrę za rękę.

- Nie obchodzi mnie, czy mnie poprzesz, czy nie.

- Tere-fere. Och, Charlie. - Westchnęła. - Jesteś takim krętaczem. W głębi serca jesteś zepsutym człowiekiem.

- Oboje jesteśmy zepsuci - odparł z uśmiechem. - Dlatego właśnie się kochamy.

Zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy brat ma rację.

Kiedy Rolls dotarł do Audley Place, zaczął padać lekki śnieg.

- Matka tak bardzo kochała ten dom - powiedziała, gdy zbliżali się do drzwi. - Czasami tu przychodzę, żeby z nią pobyć. Nie wierzę w duchy, ale wspomnienia mogą nawiedzać dom. Pamięć o matce tkwi tu w każdej cegle.

- Była wspaniałą kobietą - stwierdził Charles.

- Jak to możliwe, że nas wydała na świat? - spytała Sylwia, otwierając drzwi.

Charles nie odpowiedział.

Na kominku w salonie wciąż płonął ogień, choć powoli zaczynał dogasać. Charles zdjął płaszcz, dołożył do ognia i rozgrzebał węgle. Sylwia rozglądała się po długim, niskim pokoju, w którym kiedyś, przed wiekami, mieściła się mleczarnia. Żywa pamięć o Edwinie graniczyła u niej z obsesją; Sylwia czuła się rozdarta między pożądaniem brata a poczuciem winy.

Charles zsunął z głowy diabelski kaptur i zaczął rozpinać kostium na plecach. Nagle znieruchomiał. Na jednym z długich stołów dostrzegł telegram. Podszedł, podniósł telegram i otworzył.

- Od Diany. - Zaczął czytać na głos. - *Twój ojciec miał lekki atak serca...*

- O, mój Boże! - przerwała Sylwia.

- *...z powodu szoku wywołanego twoją zdradą. Nie owija w bawełnę, co? Zostałeś zwolniony z funkcji pełnionych we Fleming Industries, a twój gabinet zamknięto. Twego ojca przewieziono samolotem do szpitala Doctors w Nowym Jorku.*

Zmiał telegram i cisnął go do ognia.

- Dobrze - powiedział cicho. - A więc otwarta wojna. Doskonale. Spojrzał na Sylwię, pobladłą jak kreda.

- To znak - powiedziała.

- Co?

- Atak serca ojca. To znak od matki! Wiedziałam, kiedy tylko tu weszłam.

- Co wiedziałaś? O czym ty, do diabła, mówisz?

- Wiedziałam, że nie powinnam była tu dziś przychodzić! Och.

Charlie, pragnę cię. Pragnęłam cię chyba zawsze, odkąd tylko zrozumiałam, co to jest seks. Nie wiem czemu... to jest jak jakieś złe nasienie tkwiące we mnie, którego nie mogę wyrzucić, jakaś trucizna...

- To nie jest złe ani żadna trucizna. To coś pięknego między nami. To nasza tajemna miłość. Nie obchodzi mnie, jak nazywa to reszta świata!

- Reszta świata nazywa to kazirodztwem, Charlie - powiedziała cicho. - Teraz idę do łóżka. Sama. Rano wracam do Thrax Hall. Jeśli jesteś rozsądny, wrócisz do Nowego Jorku i zaczniesz godzić się z ojcem.

- Do diabła z ojcem! - krzyknął. - Miał już swój czas. Teraz nadszedł mój! Przez całe życie znano mnie jako syna Nicka Fleminga, nawet w RAF-ie, gdzie byłem pieprzonym bohaterem, też znano mnie jako syna Nicka Fleminga! Do diabła z Nickiem Flemingiem! To słabowity, stetryczały starzec chory na serce! Pieprzyć go! On mnie zwalnia? To ja go zwolnię!

- Charlie, to nasz ojciec - powiedziała cicho. - Żał mi ciebie. Zaczęła wchodzić na schody.

- Wracaj tu! - ryknął.

- Idę na górę.

- Zrobisz to, co ci każe! Wracaj tutaj! Mam zamiar rznąć cię tu, na tej podłodze przed kominkiem. Myślałem o tym przez całą noc!

- Nie zrobię tego! - krzyknęła. - Przestań o tym mówić!

- Ty... - Kulejąc, ruszył ku schodom. - Wracaj... Sylwia puściła się biegiem na schody.

- Przestań, Charlie! Nie zrobię tego! - krzyczała.

- Zrobisz to, co ci każe! A podczas głosowania zajmiesz takie stanowisko, jakie ci każe!

- Nie!

Wspinał się na schody tak szybko, jak mu tylko pozwalała chora noga.

- Teraz ja jestem głową rodziny, a wy wszyscy macie mnie słuchać - mówił. - Jeśli się połączymy, możemy wyłączyć starego z gry. Zarobię dla nas miliony, miliardy! Przyjmę każdy kontrakt Pentagonu. Mam plany, Sylwio, tajne plany! Pentagonowi zależy na pociskach, przeznaczyli na nie miliardy, ale ojciec nie chce tych kontraktów. Kiedy przejmę spółkę, zacznę produkować te pociski dla Pentagonu. Będę produkował wszystko, co zechcą! Czy nie widzisz, że to idealny plan? Pentagon nigdy nie straci racji bytu, bo ma Rosję,

którą może straszyć naród. My staniemy się dostawcą Pentagonu, więc będziemy bogacić się coraz bardziej i bardziej. To takie pięknie, proste, nie rozumiesz? Tylko ojciec stoi nam na przeszkodzie i dlatego musimy się go pozbyć!

Dotarł do szczytu schodów, dysząc z wysiłku.

Sylwia stała w progu jednej z sypialni w końcu korytarza.

- Może i jestem zepsuta, Charlie, ale nie jestem tak chora jak ty. Jesteś chory, tak jak Chester Hill, tylko że on nie chciał wysadzać całego świata w powietrze, na miłość boską! Cieszę się, że odbyliśmy tę „pogawędkę”, jeśli można to tak nazwać. Teraz widzę, co naprawdę łęgnie się w tym twoim chorym umyśle. Jesteś niebezpieczny, Charlie, naprawdę niebezpieczny. Po raz pierwszy w życiu zaczynam rozumieć, jak wielkim człowiekiem jest ojciec. Jeśli sądzisz, że pomogę ci usunąć go z Fleming Industries, jesteś nie tylko chory, ale i głupi. Dobranoc. Zamykam te drzwi na klucz.

Weszła do sypialni, zatraskując ciężkie, drewniane drzwi i przekręcając żelazny klucz w misternym, starym zamku. To go powinno powstrzymać, pomyślała. Boże, to wariat! A może jest pijany? Tak czy inaczej Charlie mówił dziś prawdę. Czy Eisenhower nie nazwał tego kompleksem wojskowo-przemysłowym? Czy nie usiłował ostrzec Ameryki? Kompleks woj skowo-przemysłowy to mój cholerny braciszek! Na pewno właśnie dlatego ojciec nie godzi się na sprzedaż dla Pentagonu, on też to musi widzieć!

Zapaliła lampę i rozejrzała się po niskim pokoju, nie zmienionym od czasu, kiedy Edwina urządziła go w latach trzydziestych. Wszystko było tu ciepłe, przytulne, wygodne i bezpretensjonalne. Perkale i duże łóżko w stylu królowej Anny czyniło z sypialni klasycznie angielskie pomieszczenie. Sylwia czuła się w nim bezpiecznie. Skarciwszy się w myślach za to, że nie przyniosła torby, zaczęła zdejmować biżuterię. Włożyła cenne - w przypadku Krwawego Księżyca można by chyba powiedzieć „bezcenne” - kamienie do białej porcelanowej miseczki na kominku. Potem podeszła do łóżka z grubą, miękką kapą. Usiadła, zdjęła srebrne pantofle, po czym wstała, zdjęła sukienkę, rajstopy i majtki. Odłożywszy to wszystko na szeslong, wróciła do łóżka, drżąc z zimna, ponieważ była naga. Wsunęła się pod prześcieradła i ciężką koldrę, naciągając je pod brodę i rozluźniając się, w miarę jak rozgrzewało ją ciepło własnego ciała.

Łup!

Krzyknęła widząc, jak ostrze siekiery przebija drewniane drzwi. Potem zniknęło. Łup!

- Nie zbliżaj się, Charlie! Łup!

- Charlie, błagam... Łup!

- O, mój Boże... Charlie, przestań! Trzask...

Rozległ się chrzęst, a w drzwiach pojawił się otwór. Charles pchnął pękniętą deskę. Potem Sylwia ujrzała rękę wsuwającą się przez otwór i szukającą klucza. Czerwień diabelskiego kostiumu zelektryzowała ją. Odrzuciła kołdrę, zerwała się z łóżka, podbiegła do drzwi, biorąc po drodze z komody stary srebrny haczyk do zapinania guzików.

- Miliardy! - mówił Charles. - Zarobimy miliardy, Sylwio! Pomyśl o władzy, którą osiągniemy! Produkowane przez nas pociski będą chronić Amerykę! Umieścimy je w silosach we wszystkich stanach Ameryki. Pewnego dnia zmieciemy Rosję z powierzchni ziemi.

Namacał dłonią klucz. Chwytając mocniej haczyk dźgnęła nim w dłoń brata i szarpnęła, rozdzierając skórę.

Krzyknął z bólu, ale nie puścił klucza. Krwawiącą dłonią wyciągnął klucz z zamka. Zadawała kolejne ciosy, aż dłoń zniknęła wraz z kluczem w otworze w drzwiach. Cofnęła się, słysząc, jak Charlie przekręca klucz. Drzwi otworzyły się, a w progu stanął diabeł z siekierą w lewej dłoni i kluczem w zakrwawionej prawej.

Powoli wszedł do sypialni.

- Nie powinnaś się była przede mną zamykać, Sylwio - powiedział cicho. - Pragniesz mnie równie mocno, jak ja ciebie. Dlatego właśnie tu dzisiaj przyszedłeś.

Cofała się, nie spuszczać wzroku z siekiery.

- Proszę cię, Charlie, nie rób nic głupiego - szepnęła. Upuścił klucz i siekierę na podłogę.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził, jeśli to miałaś na myśli. Kocham cię, Sylwio. Nigdy bym cię nie skrzywdził. -

Zaczął zdejmować kostium diabła. - Nie rozumiesz. Ja to robię dla nas, dla rodziny. Dla ciebie i dla mnie. Już w dzieciństwie byliśmy wyjątkowi. Byliśmy wyjątkowymi kochankami i przyjaciółmi.

Rzucił kostium na siekierę, zostając w samych szortach. Teraz zaczął je ściągać. Krew z dłoni ciekła mu na nogi i podłogę.

- Będziemy się kochać, Sylwio, a potem mi pomożesz. Widzisz teraz, jak ważna jest dla mnie twoja pomoc, prawda?

- Stał nagi, nagi i zakrwawiony. - Pamiętasz ten staw przed wielu laty? Pamiętasz, jakie to było piękne? Jesteś jedyną kobietą, której kiedykolwiek pragnęłam, którą kochałam. Kochałam się z setkami kobiet, ale jedyną kobietą, którą kocham, jest moja siostra. Pomożesz mi, prawda? Moja droga Sylwio...

Podszedł do niej z rękami wyciągniętymi w błagalnym geście. Patrzyła na jego silne ciało, zdumiewając się, jak bardzo go pragnie. Tak, kochała go. Zawsze go kochała. Uwielbiała go, nienawidziła, a teraz nawet się go bała.

W błyskawicznym geście uniosła haczyk i dźgnęła nim w lewe oko brata. Ni to wrzask, ni to wycie wypełniło pokój.

Charles cofnął się, zakrywając twarz dłońmi. Mijając go, wybiegła z sypialni przez korytarz na schody, ścigana krzykiem. Chwyła futro z soboli, okryła nim nagie ciało i podbiegła do drzwi.

- Sylwio, Sylwio - krzyczał, a ona poczuła, że pęka jej serce, bo w głosie brata nie było wściekłości, a tylko przerażenie i ból.

Otworzyła drzwi i wybiegła z domu. Padał gęsty śnieg, mróz szczypał ją w bose stopy, ale nie dbała o to. Pobiegnęła wzdłuż długiego, ciemnego skrzydła Audley Place w stronę kuchni, a potem dalej, ku domowi służby, gdzie spali dozorca i szofer. W jednym oknie paliło się już światło, a w drugim właśnie się zapaliło. Musieli słyszeć krzyki, pomyślała.

Och, Charlie, mój Charlie, przepraszam, przebacz mi, ale musiałam to zrobić... musiałam wypędzić z ciebie zło...

Jesteś diabłem, Charlie. Ktoś musiał to zrobić, bo inaczej wysadziłbyś cały świat w powietrze...

### ***Rozdział pięćdziesiąty szósty***

Miejsce wspaniałych antyków i obrazów zajęły meble szpitalne i kiczowaty landszaft na białej ścianie, ale Nick się tym nie przejmował; żył, a właśnie tego ranka lekarz powiedział mu, że pod koniec tygodnia może opuścić szpital.

- Chyba nie mogą mnie jeszcze pochować - powiedział do Diany siedzącej przy szpitalnym łóżku.

- Lekarz powiedział mi, że jeśli będziesz o siebie dbał, jeszcze długo pożyjesz. Moim zadaniem jest tego dopilnować. Uśmiechnął się do niej.

- Jestem szczęściarzem - powiedział. - Miałem dwie cudowne żony i tylko jedną wpadkę małżeńską.

- O której zapomniamy. Wiesz, Nick, myślałam o swoim życiu, które raczej nie należało do nudnych...

- Raczej nie - potwierdził z uśmiechem.

- I doszłam do wniosku, że wszystko ułożyło się jak najlepiej. Gdybym za ciebie wyszła w młodości, prawdopodobnie byśmy się rozwiedli. Byliśmy wtedy zbyt uparci, by ze sobą wytrzymać. Nie, sądzę, że dobrze się stało, że wyszłam za ciebie później. Jestem dostatecznie mądra, by potrafić cię docenić.

Wyciągnął rękę, a Diana ją uścisnęła.

- A ja jestem dość mądry, żeby doceniać ciebie - powiedział. Przez chwilę uśmiechali się do siebie. - Czy sądzisz, że lekarz pozwoliłby mi na rejs na *Seasprayul*

- Jestem pewna. Czy można sobie wyobrazić coś spokojniejszego?

- W takim razie każ kapitanowi Grantowi popłynąć na Morze Śródziemne. Kiedy stąd wyjdę, polecimy do Rzymu i spotkamy się z nim w Ostii. Potem możemy pływać orzez miesiąc po Morzu



Śródziemnym. U wybrzeży Tunezji leży wyspa Dzerba, na którą chcę rzucić okiem. Proponowano mi zainwestowanie tam w hotel.

- To brzmi uroczo. Nigdy nie byłam w Tunezji.

- Świetnie.

Puścił jej dłoń, patrząc przez chwilę na ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem, gdzie w jakimś serialu tkano nie kończącą się sieć intryg.

- Myślałem o Charlesie - powiedział cicho. - Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak człowiek, który odniósł w życiu taki sukces jak ja, mógł ponieść taką klęskę jako ojciec.

- Nie poniosłeś klęski, kochanie! Według mnie Eddie to wspaniały człowiek.

- Prawda? O dziwo, pokładałem w nim najmniejsze nadzieje, a wyrósł na dobrego człowieka. Mówię jednak o Charlesie. Nigdy się między nami nie układało. Przez wiele lat trwało zawieszenie broni, ale zawsze czułem, że za tą jego maską czai się tygrys gotowy do skoku. Cóż, teraz skoczył i kosztowało mnie to, oprócz innych rzeczy, atak serca.

- On zapłacił okiem.

- Tak, można uznać, że rachunek został wyrównany. Smutne, że w ogóle musi być między nami jakiś rachunek.

Czemu ojciec i syn muszą ze sobą współzawodniczyć?

- Ponieważ jesteś jakby królem, a on był następcą tronu. Poczytaj historię. Następcy tronu zawsze spiskowali przeciwko ojcom, bo chcieli zostać królami.

- Cóż, nie jest już następcą tronu. Nie mam zamiaru robić nic dramatycznego, w rodzaju wydziedziczenia go. Charles dostanie swoją część spadku, ale nigdy więcej nie będzie pracował we Fleming Industries. Uważam, że to wystarczająca kara, a ty?

- Tak. Według mnie postępujesz mądrze i bardzo sprawiedliwie.

- Jednak w tym, co Charles mówi o Ramschildzie, jest trochę prawdy. Nie powinno się być właścicielem zakładów zbrojeniowych i odmawiać sprzedaży ich wyrobów. Będziemy musieli zwolnić setki pracowników, a to jest wobec nich nieuczciwe. Co byś powiedziała, gdybym sprzedał Ramschilda? Zmartwiłoby cię to? W końcu to twój dziadek założył tę spółkę.

- Nie - odparła po chwili zastanowienia. - Kiedy dziadek założył spółkę, wojny były krwawe, ale przynajmniej możliwe do wygrania. Teraz wojna jest nie do pomyślenia. Jeśli o mnie chodzi, z radością wycofałabym się z interesu zbrojeniowego.

- Dobrze, w takim razie sprzedamy. Ja też odetchnę, wycofując się z tego interesu. - Na jego twarzy odmalował się smutek. - Kiedyś byłem dumny z tej spółki. Ale byłem też dumny z Ameryki, a teraz już nie tak bardzo.

- Ale ja jestem dumna z ciebie - powiedziała Diana, wyciągając rękę, którą Nick uściskał.

- Jestem prawdziwym szczęściarzem - powiedział cicho.

- Ja też - odparła z uśmiechem. Naprawdę byli bardzo zakochani. Weszła pielęgniarka z jedzeniem na tacy.

- Pora na lunch, panie Fleming - zaszczębiotała wesoło. - Na deser jest dziś galaretka cytrynowa.

Skrzywił się, kiedy postawiła mu tacę na kolanach.

- Może pani włączyć dźwięk? - spytał Nick wpatrzony w ekran telewizora. - Ogłaszają jakieś wiadomości.

- Zawsze przerywają dobre programy wiadomościami - zrzędziła pielęgniarka włączając dźwięk.

- Pentagon poinformował dziś o nowej serii prób atomowych, jaka ma się odbyć w Nowadzie - mówił spiker. -

Ocenia się, że nowa bomba wodorowa posiada moc tysiąc razy większą od bomby zrzuconej na Hiroszimę w 1945 roku.

Na ekranie ukazała się pustynia. Błysnęło światło, rozległ się pomruk, który przerodził się w grzmot, po czym w powietrzu zaczął się formować przerażająco znajomy grzyb.

Nick patrzył na to potworne widowisko, próbę generalną końca świata.

Wiedział, że postąpił słusznie, wycofując się z interesu zbrojeniowego - był to może jego ostatni i najlepszy podarunek dla świata.

Przyszło mu jednak na myśl, że być może nie posunął się dostatecznie daleko.

Charles został wprowadzony do imponującego, wyłożonego boazerią gabinetu w skrzydle E Pentagonu, a generał porucznik Bruce Vanderkamp obszedł biurko, by uściskać mu dłoń na powitanie. Za biurkiem stały dwie flagi: amerykańska i departamentu obrony.

- Cieszę się, że cię widzę, Charlie - powiedział zwalisty generał, potrząsając dłonią gościa. - Słyszałem o wypadku z okiem. Przykro mi. Co to było, haczyk na ryby?

- Tak. Łowiłem w Anglii na muszkę i zaczepiłem haczykiem o oko.
  - To musiało być bolesne. Usiądź. Słyszałem, że twój ojciec wystawił Ramschilda na sprzedaż.
  - Tak, dlatego tu jestem, Bruce. Chcę go kupić.
  - Cóż, cholernie byśmy się cieszyli, gdybyś to zrobił, Charlie. Nie jest tajemnicą, że nasza współpraca z twoim ojcem nie układała się dobrze. Potrzebujemy Ramschilda, potrzebujemy go na gwałt. Ci cholerni partacze w Wietnamie przysparzają nam więcej kłopotów, niż przypuszczaliśmy. Potrzebujemy więcej karabinów, pocisków, czołgów... - Zawahał się. - Ale czy twój ojciec sprzedaje ci zakłady, Charlie? Słyszeliśmy o zatargu między wami.
  - Zajmę się tym problemem - odparł Charlie cicho, ale dosadnie. - Rzecz w tym, że kiedy zdobędę pełną kontrolę, nie będziecie już mieli żadnych kłopotów. Będę produkował wszystko, co zechcecie.
  - Och, wiemy o tym, Charlie. Cieszysz się naszym pełnym zaufaniem.
  - Zgodzicie się chyba ze mną, że Ramschild odgrywa ważką rolę w amerykańskim systemie obrony?
  - Naturalnie. Bardzo ważką rolę. Dlatego właśnie tak nas martwi stanowisko twego ojca.
  - Czy wobec tego pożyczycie mi pół miliarda dolarów? Ojciec wycenił Ramschilda na miliard dolarów. Jeśli rząd pożyczyci mi połowę, drugą dam radę zebrać we własnym zakresie.
- Generał nie wahał się ani chwili.
- Pożyczkę można załatwić, Charlie. Zero problemu. Charles wstał z uśmiechem i uścisnął dłoń generała.
  - A zatem umowa stoi, Bruce?
  - Umowa stoi.

**Biuro** mieściło się w Genewie na czwartym piętrze lśniącego wieżowca ze szkła i stali, okna wychodziły na jezioro. Tabliczka na drzwiach głosiła *Société des Travaux Internationaux*, czyli Organizacja Spraw Międzynarodowych, a biuro urządzone ze stylowym przepychem. Szwajcarska sekretarka poprowadziła Charlesa korytarzem do drzwi oznaczonych napisem „Mehemet Bey Ali”. Otworzyła drzwi i Charles wszedł do dużego gabinetu, z którego okien, zajmujących całą ścianę, rozciągał się zapierający dech w piersiach

widok na Jezioro Genewskie i ośnieżone Alpy. Za nowoczesnym biurkiem w kształcie nerki stał imponująco wysoki, mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, o gładko zaczesanych czarnych włosach i czarnym wąsiku w stylu Adolfa Hitlera. Miał na sobie drogi ciemny garnitur w nieco zbyt krzykliwe prążki. Na czwartym palcu prawej ręki miał duży złoty pierścień z brylantem. Kiedy sekretarka wyszła, mężczyźni podali sobie ręce.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Fleming - powiedział Mehemet Ali po angielsku z pomadą tureckiego akcentu. - Proszę usiąść. - Wskazał na skórzaną sofę stojącą pod przeszkloną ścianą. Charles usiadł. Mehemet Ali podniósł z marmurowego stołu srebrną papierośnicę. - Papierosa? Najlepszy turecki tytoń.

- Nie, dziękuję. Nie palę.

- O, mądry człowiek. Gdybym tylko potrafił zerwać z nałogiem. Jednak rozkosze nikotyny... - Wzruszył ramionami.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, że zapalę?

- Bynajmniej.

- Dziękuję.

Wyjął cienkiego papierosa, odłożył papierośnicę na stół, po czym zapalił papierosa platynową zapalniczką, z rozkoszą wypuszczając dym. Usiadł na skórzanym krześle obok Charlesa.

- Ma pan rację, panie Fleming. Sprawdziłem akta rodzinne. W roku 1922 niejaka Diana Ramschild... która, jak rozumiem, jest obecnie pańską macochą?

- Zgadza się.

- Tak. W 1922 roku panna Ramschild zawarła... umowę z moim dziadkiem. Zapłaciła mu tysiąc funtów szterlingów.

- Niemala suma, jak na rok 1922. To chyba równowartość dzisiejszych dwudziestu czy trzydziestu tysięcy dolarów.

- Tak.

- Jednak umowa nigdy nie została dotrzymana. Nie zabito mojego ojca, ale aktora filmowego nazwiskiem Rod Norman, który miał nieszczęście być do niego podobny.

- Tak jest. Pomyłka, choć zrozumiała. Pańska macocha napisała list do mego dziadka, skarżąc się na pomyłkę, jednak dziadek uznał, że zadanie zostało wykonane. Zresztą Turek, który udał się w tym celu do Los Angeles, został w Ameryce i otworzył restaurację w San Diego, więc... - Wzruszył ramionami. - Zapomnieliśmy o całej historii.

- Czy uważa pan, że to uczciwe załatwienie sprawy? Mehemet Ali pokręcił głową.
  - Nie. Moja rodzina ma zasady. Nie powinniśmy byli pozwolić, by w ten sposób spartaczono zadanie. Jednak w tamtych czasach trudno było się dostać z Turcji do Los Angeles, potem były wojny... - Rozłożył ręce. - Popełniliśmy błąd.
  - W takim razie, wydaje mi się, że nadal jest mi pan winien zabójstwo. Wydaje mi się, że powinien pan zorganizować zabójstwo Nicka Fleminga.
- Turek otworzył szeroko czarne oczy.
- To pański ojciec.
  - Zgadza się - odparł Charles. - Pod koniec tego tygodnia jego jacht zakotwiczy u brzegów Dżerby, wyspy koło Tunezji. Kiedy jacht stoi na kotwicy, na pokładzie stale znajduje się dwóch strażników, ale dostęp do ojca nie powinien przysparzać trudności.
- Mehemet Ali zaciągnął się papierosem, a potem strząsnął popiół na marmurową tacę.
- Lepiej niech się pan pożegna z ojcem, panie Fleming. Charles wstał.
  - Już to zrobiłem.

### ***Rozdział pięćdziesiąty siódmy***

Diana stała na pokładzie *Seaspraya* i obserwowała przez lornetkę człowieka na plaży, który również patrzył na nią przez lornetkę. W końcu ją opuścił. Widziałam już tego człowieka, myślała, także opuszczając lornetkę. Ale gdzie? Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, był szczupły, o niemal białych włosach, które przydawały mu niemieckiego czy nordyckiego wyglądu. Gdzie? - zastanawiała się. Mężczyzna odwrócił się i ruszył plażą.

Do Diany podszedł jeden z członków załogi.

- Helikopter jest gotowy, pani Fleming. Diana przestała myśleć o blondynie z plaży.

- Tylko pobiegnę się pożegnać z panem Flemingiem i zaraz wracam.

- Tak, proszę pani.

Minęła gabinet i weszła do sypialni. Nick siedział na łóżku. Atak serca zmusił go do częstszego odpoczywania; miał siedemdziesiąt pięć lat i nie wyglądał ani trochę młodziej, co smuciło Dianę. Nick, jej miłość od tylu lat, był starym człowiekiem. Ironia chciała, by Diana, o sześć lat od niego młodsza, wyglądała znacznie młodziej z powodu przeszczepów skóry.

- Wrócisz jutro? - spytał, kiedy podeszła do łóżka.

- Tak, chyba że uda mi się załatwić wszystko dzisiaj, w co wątpię. Podczas ostatniej wizyty powiedzieli mi, że chcą coś zrobić z dziąsłami. W każdym razie zarezerwowałam na dzisiejszą noc pokój u Hasslera. - Nachyliła się i pocałowała go. - Jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze, ale będę za toba tęsknił.

- Ja za tobą też, kochanie, ale wkrótce wrócę. Kiedy możemy popłynąć na Malte?
- Jutro, zaraz po twoim powrocie. Tutaj zobaczyłem już wszystko, co chciałem.
- Świetnie. Nigdy nie widziałam Malty. - Uścisnęła jego dłoń i powiedziała z uśmiechem: - Do widzenia, mój kochany. Do jutra.
- Do widzenia, kochana.

Podeszła do drzwi, potem odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na męża. Trzymał w górze prawą dłoń ze skrzyżowanymi palcami. Ten prosty, głupi, sekretny znak miłości zawsze sprawiał jej przyjemność i dawał poczucie ciepła.

Skrzyżowała palce, dmuchnęła mu pocałunek, potem wyszła i skierowała się na rufę, gdzie czekał helikopter, którym miała polecieć do Tunisu.

*i* arę minut po pierwszej w nocy podniosła się gwałtownie na łóżku w swoim pokoju w rzymskim hotelu Hassler. Werner Herzer!

Nazwisko przyplęnęło do niej we śnie, nazwisko człowieka, którego widziała rano na plaży, człowieka, który obserwował *Seaspraya* przez lornetkę. Porucznik Werner Herzer! Ileż to razy widywała go podczas wojny w Semiramis, jak pił piwo i gapił się pożądliwie na nagie dziewczęta. Werner Herzer, dowódca plutonów egzekucyjnych Fritza von Stoltza, człowiek, który lubił swoją pracę.

Czemu Werner Herzer obserwował *Seaspraya*?

Nagle zrozumiała i zdjął ją paniczny strach.

Zapaliła światło i chwyciła słuchawkę.

- Z pokojem numer osiem, szybko! - rzuciła do telefonistki. Czekając na połączenie, niemal krzyczała z niecierpliwości.

- Tak? - spytał sennym głosem Gregory Hardwick. Był Szkotem, pilotem prywatnego odrzutowca Nicka, który tego ranka przewiózł Dianę z Tunisu do Rzymu.

- Greg, tu Diana Fleming. Ubierz się i spotkajmy się na dole najszybciej, jak to możliwe. Musimy natychmiast lecieć z powrotem do Tunisu.

- Ale...

- Zadnych pytań! Rób. co ci każe!

Rzuciła słuchawkę i zerwała się z łóżka. Diana, która zazwyczaj odnosiła się swobodnie do swoich pracowników, teraz zanadto się bała, by zachowywać się grzecznie. Pobieгла do łazienki, modląc się o to, by się myliła.

Wiedziała jednak, dlaczego Werner Herzer obserwował *Seaspraya*.

**Kiedy** znaleźli się przy prywatnym odrzutowcu stojącym na lotnisku Fiumicino, Diana powiedziała:

- Połącz się przez radio z kapitanem Grantem. Sprawdź, czy coś się stało, a jeśli nie, powiedz mu, że według mnie najemny zabójca może usiłować dostać się na jacht, więc powinien ostrzec strażników.

- Tak jest.

Diana chodziła tam i z powrotem po wyściełonym dywanem luksusowym wnętrzu odrzutowca, który mógł pomieścić dwanaście osób; czekała, aż Greg połączy się z *Seasprayem*. Kiedy usłyszała senny głos radiooperatora, pospieszyła z powrotem do kokpitu.

- Kto to? - spytała.

- Gordon.

- Każ mu sprowadzić kapitana, nie, niech tylko pójdzie do pana Fleminga, niech sprawdzi, czy nic mu nie jest.

Była tak przerażona, że nie potrafiła klarownie myśleć. Uspokój się, powtarzała sobie wracając znowu do kabiny.

Uspokój się.

- Pani Fleming!

Zaszokowany okrzyk pilota powiedział jej wszystko. Pobieгла do kokpitu. Greg Hardwick zbladł jak kreda.

- Stało się coś strasznego. Pan Fleming nie żyje.

Nie krzyknęła ani nie wybuchnęła płaczem. Powoli zacisnęła pięści.

- Jak to się stało? - spytała cicho.

- Strzelono mu w głowę. Zabito też jednego ze strażników. Myśli pani, że to ktoś z załogi?

Potrząsnęła głową.

- Nie, to robota najemnego zabójcy. Każ im nic nie ruszać do naszego przyjazdu. Kiedy wystartujemy, połącz się z Interpolem w Paryżu. Każ im szukać człowieka nazwiskiem Werner Herzer, podczas wojny był porucznikiem Wehrmachtu. Ma około czterdziestu lat, jasne... jasne włosy i...

Wreszcie popłynęły łzy. Wzięła z torebki chustkę i otarła oczy.



- Czy mogę coś pani przynieść? - spytał Greg.

- Nie... nic mi nie będzie.

Wróciła do kabiny i zapięła pasy, a Greg uruchomił silniki. Zaczęła do niej docierać świadomość, że właśnie zamordowano wielką miłość jej pełnego udręk życia. Kiedy odrzutowiec rozpędził się po pasie startowym i wzbił się w powietrze, Diana łkała.

**Kiedy** helikopter wylądował na rufie *Seaspraya*, na Dżerbie wstawał świt. Kapitan Grant wyszedł wraz z jedną czwartą załogi na pokład, żeby powitać Dianę. Gdy śmigło zwolniło obroty, wyszła rozglądając się po pokładzie. O krok od basenu leżał martwy strażnik przykryty brezentem. Podeszła do kapitana Granta, siwego londyń-czyka, który pracował dla Nicka, odkąd zbudowano jacht. Zasalutował Dianie, a potem wziął ją za rękę.

- Strasznie mi przykro, pani Fleming. - Skinęła bez słowa głową, usiłując zapanować nad emocjami. - Policjanci z Dżerby wzięli odciski palców i zrobili zdjęcia - ciągnął kapitan. - Zgodnie z pani poleceniem, nie zabrali jednak zwłok pana Fleminga.

Powiew wiatru szarpnął rondem białego kapelusza Diany. Przytrzymała go ręką.

- Który strażnik został zabity? - spytała.

- Niko Theodoropolis.

- Czy zawiadomił pan jego żonę?

- Jeszcze nie.

- Proszę to zrobić i powiedzieć, że przyślę jej czek na sto tysięcy dolarów. Niech pan jej jednak nie mówi, że jest mi przykro z powodu śmierci jej męża. Gdyby poprawnie wykonywał swoje obowiązki, zarówno on, jak i mój mąż teraz by żyli. Zwolnij drugiego strażnika.

- Tak jest, pani Fleming.

- Teraz idę zobaczyć męża. Nie chcę, żeby przeszkadzano mi przez najbliższą godzinę.

- Tak jest, pani Fleming.

Załoga patrzyła, jak przystojna kobieta w niebieskim kostiumie wchodzi na środkowy pokład, a potem znika w kabinie. Minęła gabinet, kładąc na krześle torebkę i kapelusz, a przed drzwiami sypialni zatrzymała się. Może stanie się cud? Może Nick powita ją z uśmiechem, siedząc na łóżku? Może to wszystko było tylko koszmarnym snem?

Otworzyła drzwi i weszła.

Cisza. Wnętrze wyglądało normalnie; żadnego śladu walki. Powoli podeszła do łóżka.

Leżał tam, pozornie spokojnie, jak gdyby spał, aż ujrzała otwór po kuli ponad lewym oknem i krew na poduszce.

Miłość do tego człowieka zdominowała życie Diany. Kiedyś miała jego miłość, potem ją utraciła, potem walczyła o jej odzyskanie. Teraz wyrwano ją Dianie bezpowrotnie.

- Nick, mój kochany, moja miłości, zapłacę mu za tę potworność, za to... - Podeszła bliżej, przyciskając pięści do głowy. - To moja wina. Nigdy nie powinnam była mówić Fionie, że wynajęłam kiedyś zabójcę. Opowiedziała o tym całej rodzinie, podsuwając mu pomysł... Ale nigdy nie miałam pojęcia... Och, Nick, o, mój Boże...

Ujęła jego martwą dłoń i zaczęła łkać.

- Byłeś moim życiem. Byłeś dla mnie wszystkim. Jak mogę żyć bez ciebie?

Puściła jego dłoń, ocierając łzy rękawem. Pochyliła się i pocałowała twarz zmarłego.

- Pamiętasz ten dzień, tak dawno temu, kiedy zabrałeś mnie do tego pustego domu nad Zatoką? - szeptała. -

Powiedziałeś, że nasza miłość będzie trwała wiecznie. Tak będzie, kochanie, tak będzie.

Przyglądała mu włosy. Potem, wciąż dusząc się od żalu, zaczęła krążyć bez celu po kabinie, nie wiedząc, co robić, nie chcąc go opuścić.

Nagle żal ustąpił miejsca wściekłości.

- Charles! - krzyczała. - Zapłacisz za to! Zapłacisz! Wrzeszcząc jak zjawia nie z tego świata, chwyciła zasłony i zerwała

je z karnisza. Potem, nie przestając krzyczeć, zaczęła drzeć żółty len na strzepy.

Stojąca na zewnątrz zdumiona załoga zastanawiała się, czy pani Fleming postradała zmysły.

Daphne Pierce Fleming nie była „zdzirą”, za jaką uważała ją jej szwagierka, Sylwia. Daphne była zbyt tępa, żeby być zdzirą. Ładna, córka zamożnego maklera giełdowego, uczęszczała wyłącznie do właściwych szkół, ale żadna wielka idea stworzona przez człowieka nie podnieciła jej wyobraźni. W istocie niewielu mężczyzn wznieciło

ogień w jej sercu, póki nie poznała Charlesa Fleminga. Zakochała się w Charlesie, ale była też więcej niż odrobinę zakochana w jego ojcu, toteż zatarg między Charlesem a Nickiem martwił ją niezmiernie.

Zabójstwo teścia wstrząsnęło nią potwornie. Płakała tak głośno, że jej mąż warknął:

- Zamkniesz się wreszcie? Twoje łzy nie przywrócą tego starego sukinsyna do życia! - Po czym wypadł z ich wielkiego mieszkania przy Piątej Alei.

Cztery dni po pogrzebie Nicka Daphne ubierała się przed wyjściem z Charlesem na kolację, kiedy do drzwi sypialni zapukał główny lokaj, Yates.

- Pani Fleming, czy jest pan Charles? - zawołał Yates, który pochodził z Barbados. Daphne skończyła zapinać perłowy naszyjnik, podeszła do drzwi i otworzyła.

- Bierze prysznic - powiedziała.

- Przyszła do niego starsza pani Fleming. Czeka w salonie.

Na twarzy Daphne, miodowej blondynki z nadwagą, odmalowało się zaskoczenie.

- Zaraz mu powiem. Czy zaproponowałeś jej drinka?

- Tak, proszę pani. Nie chciała. Powiedziała, że poczeka. Chce się widzieć tylko z panem Charlesem.

- Ach.

Yates zniżył głos.

- Ta pani to twarda sztuka, prawda? Wygląda wrednie.

- Pani Fleming jest bardzo miłą damą, Yates - nastroszyła się Daphne.

- Skoro pani tak uważa.

- Możesz iść do domu.

- Tak, proszę pani. Dobranoc.

- Dobranoc.

Daphne zamknęła drzwi, potem podeszła do łazienki Charlesa i zapukała do drzwi.

- Co jest?

- Przyszła twoja macocha, kochanie. Chce się z tobą widzieć. Charles, który właśnie się wytarł, przejrzał się w zaparowanym

lustrze. Diana? Jezus Maria, czyżby podejrzewała...

Dziesięć minut później wszedł do salonu. Palila się tylko jedna lampa. Diana stała w końcu długiego pokoju podziwiając przez okno

wspaniały widok na Central Park. Światła Central Park West migotały wesoło. Po rzece Hudson sunęły sennie światła przelatującego w górze odrzutowca. W panującym mroku Charles ledwo dostrzegł macochę.

- Trochę tu ciemno - powiedział sięgając do włącznika.

- Nie zapalaj. - To był rozkaz. - Lubię patrzeć na park - dodała.

- Ale ja cię nie widzę.

- Znaczna część życia spędziłam za woalkami. Można przyzwycząić się do tego, że ludzie nas nie widzą. Siadaj, Charles. Musimy o czymś pomówić.

Niepewnym krokiem obszedł stół z zapaloną lampą i usiadł na krześle.

- Kochałam twojego ojca całym sercem - powiedziała cicho. - Był dobrym człowiekiem. Och, popełniał błędy, ranił ludzi. Kiedyś, dawno temu, zranił mnie, i sądziłam, że nigdy mu nie przebaczę. Ale przebaczyłam mu, bo go kochałam. Czy wiesz coś o miłości, Charles?

- Cóż... - Zawahał się. - Wiem chyba tyle samo, co każdy...

- Kochasz Sylwię, prawda?

- Oczywiście, to moja siostra.

- Po pogrzebie odbyłam z Sylwią długą rozmowę. Widzisz, po śmierci ojca całkiem się załamala. Opowiedziała mi o tym dziwnym wieczorze w Audley Place, o tym, co mówiłeś... i robiłeś...

- Sylwia kłamie. Kłamała przez całe życie!

- Ach tak? A ty mówiłeś prawdę?

- Cokolwiek zaszło między mną a Sylwią, to nasza sprawa, nie twoja! Nie muszę tu siedzieć i znosić twoich ataków!

- Czy ja cię atakuję, Charles? Z trudem przełknął ślinę.

- Chciałbym, żebyś zapaliła światło.

- Doskonale.

Patrzył, jak podchodzi od okna do lampy i zapala ją. Miała na sobie czarną sukienkę, a na niej futro z norek. W dłoni trzymała pistolet. Zaczął wstawać z krzesła.

- Nie ruszaj się! - ostrzegła. - Wydadaj choć jeden dźwięk, a rozwalę ci łeb.

Pocąc się usiadł z powrotem. Obeszła stół i stanęła przed Charlesem.

- Zaproponowano nam miliard dolarów za Ramschilda - mówiła. -Ofertę złożył syndykat kierowany przez niejakiego Lestera Keatinga, nafcjarza z Teksasu. Myślę jednak, że Keating to atrapa. Myślę, że ten syndykat to ty, Charles.

Mam rację?

Wpatrywał się w lufę pistoletu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Dzwonię po policję...

- Nie zrobisz nic, bo cię zabiję.

- Diano, proszę.

- Zamknij się. Jesteś godną pogardy gnidą. To, co zrobiłeś z własną siostrą, to zbroczenie.

- Spójrz, co ona mi zrobiła! Wydłubała mi oko!

- Szkoda, że cię nie zabiła. Tak czy inaczej, nie ma znaczenia, czy to ty stoisz za tym syndykatem, czy nie, ponieważ Ramschild nie jest na sprzedaż.

- Co?

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Charles, ale twój ojciec chciał się wycofać z interesu zbrojeniowego. To jest przemysł śmierci. Zawsze tak było, ale teraz chodzi o śmierć całej planety. To cię nie martwi, ale martwiło twego ojca, który był przyzwoitym człowiekiem. Niedługo przed śmiercią powiedział mi, że popełnił błąd. Błąd polegał na tym, że wystawił Ramschilda na sprzedaż, bo po prostu ktoś inny produkowałby dla Pentagonu pociski śmierci. Nick powiedział mi tak: „Zatrzymamy Ramschilda, ale przespecjalizujemy produkcję na cele pokojowe. Zaczniemy produkować maszyny”. I tak właśnie będzie, Charles. Przekuwamy miecze na lemieszce, żeby tak rzec. Może staniemy się przykładem dla innych zakładów zbrojeniowych. Wątpię w to, ale warto spróbować.

Pot lał się z Charlesa strumieniami. Stała dokładnie przed nim, mierząc mu z pistoletu w czoło.

- Pozostaje jeszcze ostatnie pytanie: Kto zabił Nicka Fleminga? Kto zabił moją miłość?

- Diano, na miłość boską, odłóż ten pistolet.

- Dlaczego? Przecież chcesz sprzedawać pistolety, Charles. Nie sądzisz, że powinieneś się dowiedzieć, jak działają?

- Nie możesz mnie tak po prostu zastrzelić...

- Owszem, mogę. Jestem bardzo twarda, Charles. Kocham gorąco i gorąco nienawidzę. Ktoś zorganizował zabójstwo mojego męża. Sylwia uważa, że to ty. Edward uważa, że to ty, choć przyznaje, że

pewnie nigdy nie zdołamy tego udowodnić. Myślałam o tym bardzo dużo i wszystko wskazuje na ciebie, Charles. Mam rację?

- Oczywiście, że nie. Ojciec i ja walczyliśmy ze sobą, ale nigdy bym go nie zabił! To ty próbowałaś go zabić! To ty jesteś morderczynią, Diano.

- Masz całkowitą rację, Charles - odparła cicho. - Jestem morderczynią. Naciskam spust, Charles. Bardzo powoli. Zaczął płakać.

- Na rany Chrystusa, Diano, okaż trochę litości! Jestem niewinny! O Boże, nie możesz mnie zabić tak z zimną krwią!

- Zabijam cię z gorącą krwią, Charles. Kochałam twego ojca całą duszą, a tyś go zabił.

- Nie! - krzyczał. - Daphne, pomóż mi! Daphne! O Boże, nie... nie... O, mój Boże... Proszę!

Przytknęła mu lufę do czoła. Poczul na skórze chłód stali.

- Daphne!

- Żegnaj, Charles. Klik.

Cofnęła się. Drżący, zlany potem, otworzył oczy. Rzuciła mu pistolet na kolana.

- Nie był naładowany - powiedziała. - Ale następnym razem... - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Mam nadzieję, że dobrze sypiasz, Charles. Nigdy nie będziesz wiedział, jak cię to spotka ani kiedy. Kiedy zobaczysz, jak przygląda ci się jakiś obcy człowiek, to może właśnie on przybędzie, żeby zapłacić ci za zabicie mojej miłości.

- Charles, co się stało?

W drzwiach stała Daphne. Jej mąż zerwał się z krzesła.

- Próbowała mnie zabić! - krzyczał. - Cholernie mnie nastraszyła! Diana stała już przy drzwiach.

- Pamiętaj, Charles, nigdy nie będziesz wiedział kiedy, jak ani kto. Wyszła.

Nie, Nick - myślała idąc do windy. Nie zabiję twojego syna, ale Charles nigdy się o tym nie dowie. Niech się poci w każdej żalostnej chwili swego żalostnego życia. To może największa kara. Ale nie mogłabym go zabić. Za dużo już tego było.

Wyszła z domu na Piata Aleje. Była zimna, wietrzna noc. Limuzyna

czekała na nią, ale Diana chciała się trochę przejść, pobyć sama ze swymi myślami.

- Jedź za mną - poleciała kierowcy, niedawno przyjętemu do pracy.

- Tak, pani Fleming.

Pani Fleming. Przez całe niemal życie marzyła, by nią zostać, aż wreszcie marzenie się spełniło. Idąc chodnikiem przypomniła sobie zuchwałego, żadziornego młodzieńca, którego przed tyloma laty poznała w Connecticut. Nick, kochany, moja miłości, wybacz mi wszystkie moje wady, myślała. Przebacz, że cię kiedyś nienawidziałam. Dziękuję ci za najśłodszy prezent, jaki dostałam w życiu. Dziękuję ci za miłość. Będę kontynuować twoją walkę, Nick, twoją walkę przeciwko wojnie, zniszczeniu, twoją walkę o pokój... Zrobię, co w mojej mocy, kochany. Ale, jak bardzo mi ciebie brakuje!

Szofer jadący za nią powoli długą limuzyną, zastanawiał się, czemu kobieta, która ma wszystko, płacze.